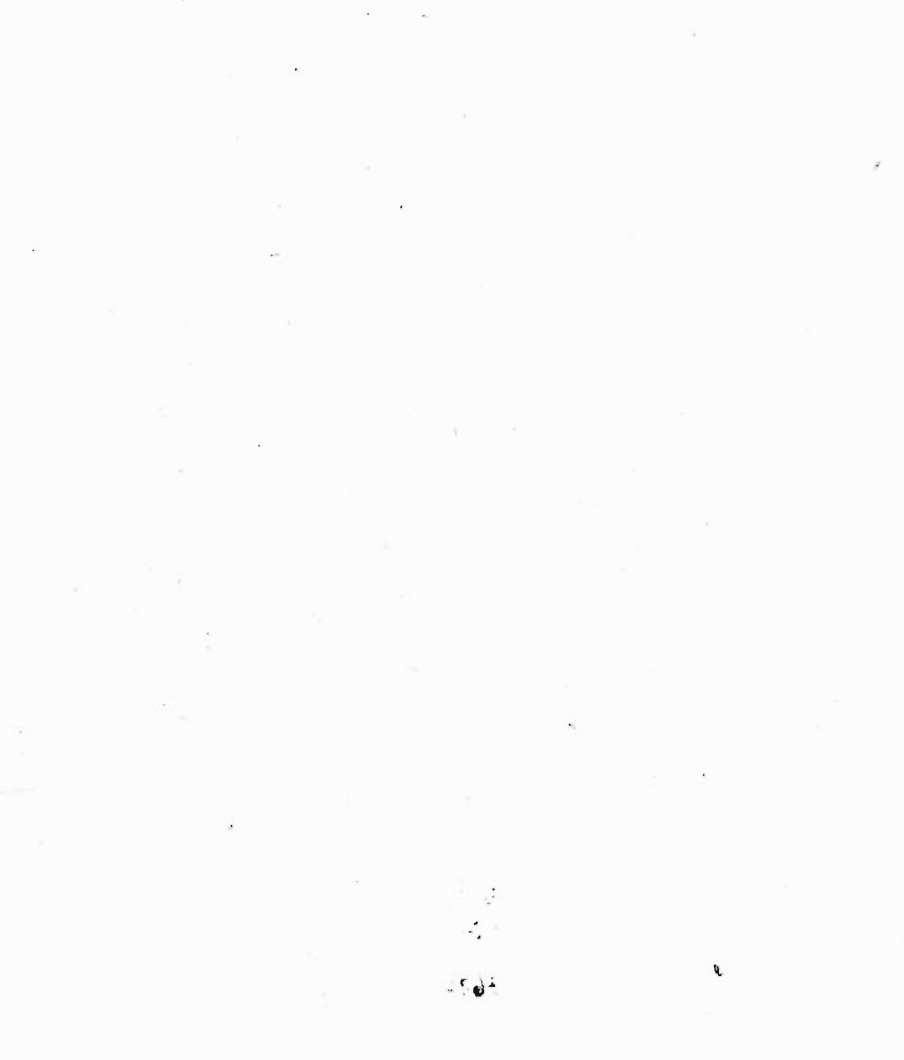


WIELCY WTAJEMNICZENI



EDWARD SCHURÉ

WIELCY WTAJEMNICZENI

ZARYS TAJEMNEJ HISTORII RELIGII

RAMA * KRYSZNA * HERMES * MOJŻESZ
ORFEUSZ * PYTAGORAS * PLATON * CHRYSZTUS

WYDANIE TRZECIE

WYDAWNICTWO J. KUBICKIEGO W WARSZAWIE

Wojewódzka 291
Biblioteka Schu
Publiczna Wiel
w 7694
Poznaniu
7694

PIERWSZE POLSKIE WYDANIE ZUPEŁNE
Z 52-GO WYDANIA FRANCUSKIEGO
W AUTORYZOWANYM TŁUMACZENIU
R. CENTNERSZWEROWEJ

B-13836

Drukarnia Krakowska W. Grzelak i Sp. w Warszawie

Dusza jest kluczem wszechświata...

Wojewódzka 291
Biblioteka Schu
Publiczna Wiel
w 7694
Poznaniu
7694

PIERWSZE POLSKIE WYDANIE ZUPEŁNE
Z 52-GO WYDANIA FRANCUSKIEGO
W AUTORYZOWANYM TŁUMACZENIU
R. CENTNERSZWEROWEJ

B-13836

Drukarnia Krakowska W. Grzelak i Sp. w Warszawie

Dusza jest kluczem wszechświata...

W S T Ę P

PAMIĘCI MARGERITY ALBANA MIGNATY

Gdyby nie ty, o wielka duszo ukochana, książka ta nie byłaby nigdy ujrzała światła dziennego. Ogrzewał ją potężny płomień twój, żywił twój ból, błogosławiła boska nadzieja. Intelkt twój dostrzegał wiekuiste Piękno i Prawdę wiekuiłą po nad znikomymi rzeczywistościami; Wiara twoja była z tych, co góry przenoszą; w sercu twoim gorzała Miłość, która budzi i tworzy dusze; twój entuzjazm palił jak ogień promieniujący.

I nagle zgasłaś i znikłaś. Śmierć uniosła cię ciemnym skrzydłem swoim w Krainę Nieznaną...

Jakkolwiek jednak nie mogą cię już dosięgnąć oczy moje, żyjesz w pojęciu moim bardziej niż kiedykolwiek. Wyzwolona z więzów ziemskich, z siedliska twojego na łonie światła niebiańskiego, którym się napawasz, nie przestałaś czuwać nad dziełem moim. Wierny twój promień przyświecał aż do końca narodzinom jego, które musiały nastąpić.

Gdyby coś ze mnie przetrwać miało wśród braci naszych, na świecie tym, gdzie wszystko przemija, chciałbym, aby przetrwała ta książka, świadectwo wiary zdobytej i podzielonej. Jak pochodnię z Eleuzys, zdobną w czarny cyprys i narcyz gwiazdzisty, poświęcam ją uskrzydłonej duszy Tej, która wiodła mnie w głębie Tajników. Niechaj nieci pochodnia ta ogień święty i niech zwiastuje światu Jutrznię wiekuiłegō świata.



O DOKTRYNIE EZOTERYCZNEJ, CZYLI NAUCE DLA WTAJEMNICZONYCH

Pewien jestem, że przyjdzie dzień, w którym
fizjolog, poeta i filozof jednym będą przemawia-
li językiem i będą się wszyscy wzajem rozumieli.

Claude Bernard

Największym złem naszego czasu jest, że Nauka i Religia stają wobec siebie, jako dwie wrogie, niedające się wzajem pogodzić siły. To zło intelektualne jest tym zgubniejsze, że przychodzi z góry i wsiąka skrycie, acz niezawodnie, niby jad lotny, wdychany wraz z powietrzem. Zaś wszelkie zło intelektualne staje się z czasem chorobą duszy, a skutek tego złem koniecznym.

Dopóki chrystianizm utrwał w sposób nainwazyjny wiarę chrześcijańską w Europie nawpół barbarzyńskiej, jak w wiekach średnich, był on najpotężniejszą dźwignią moralną: ukształtował duszę współczesnego człowieka. — Dopóki Nauka doświadczalna, otwarcie ustanowiona w XVI-ym st., walczyła jedynie o słuszne prawa rozumu oraz o nieograniczoną dla siebie wolność, była ona największą potęgą intelektualną: odnowiła oblicze świata, wyzwoliła człowieka z pęt odwiecznych i dała umysłowi ludzkiemu podstawy niezniszczalne.

Odkąd wszakże Kościół, nie mogąc już udowodnić pierwotnego swojego dogmatu wobec zarzutów, stawianych mu przez naukę, zamknął się w nim, jak w domu bez okien i przeciwstawił wiarę rozumowi, jako nakaz bezwzględny i nietykalny; odkąd Nauka, upojona odkryciami swoimi w świecie fizycznym i wyłączającym ze sfe-

ry swoich dociekań świat duchowy i intelektualny, stała się agnostyczną¹⁾ w metodzie swojej i materialistyczną, zarówno w podstawach swoich, jak i celu ostatecznym; odkąd Filozofia, sprowadzona przez nie obie na manowce i pozbawiona siły, wyrzekła się niejako praw swoich i wpadła w sceptycyzm co do możliwości zbadania istoty rzeczy; — nieuniknionym się stało głębokie starcie w sferze duchowej zarówno ogółu społeczeństwa, jak i poszczególnych jednostek. Starcie to, zrazu potrzebne i pożyteczne, ustaliło bowiem prawa Rozumu i Nauki, spowodowało z czasem skostnienie i bezsiłę. Religia odpowiada potrzebom serca, i stąd jej czar wiekuisty; Nauka — potrzebom umysłu, i stąd jej siła niezwalczona. Oddawna jednak utraciły obie te potęgi zdolność wzajemnego rozumienia się. Religia bez dowodów i Nauka bez nadziei stają wobec siebie i wzajem wyzywają się do walki, nie mogąc się pokonać.

Stąd głęboka przeciwstawność, ukryta walka, nie tylko pomiędzy Państwem i Kościołem, lecz w łonie samej Nauki, w łonie wszystkich kościołów, a nawet w świadomości wszystkich jednostek myślących. Niezależnie bowiem od tego, kim jesteśmy, do jakiej szkoły filozoficznej, estetycznej i społecznej należymy, nosimy w sobie te dwa wrogie, napozór niedające się pogodzić światy, zrodzone z dwu niezwalczonych potrzeb człowieka: potrzeby poznania i potrzeby wiary. Ten stan rzeczy, trwający już od stu lat z górą, niewątpliwie nie mało przyczynił się do rozwoju umysłowych władz człowieka przez pobudzanie ich wzajem przeciw sobie. Natchnął on poezję i muzykę, bogacąc je w akcenty nieznanego dotąd patosu i potęgi. Obecnie jednak to zbyt długo trwające i zbyt zaostrome naprężenie wywołało skutek wprost przeciwny. Jak wyczerpanie występuje u chorego po gorączce, przeszło naprężenie owo w wycieńczenie i bezsiłę. Nauka zajmuje się wyłącznie światem fizycznym i materialnym; filozofia moralna utraciła władzę kierowniczą nad umysłami; Religia rządzi jeszcze do pewnego stopnia

¹⁾ agnostycyzm -- pogląd filozoficzny, według którego umysł nasz zajmować się może badaniem tego, co poznać możemy zmysłami naszymi. (Przyp tłum.).

tłumami, minęło wszakże panowanie jej na wyznach społecznych; wielka wciąż jeszcze swoim miłosierdziem, przestała już jaśnieć potęgą wiary. Przewodnikami duchowymi naszej epoki są niedowiarki, lub najzupełniej szczerzy i uczciwi sceptycy. Zwątpili oni wszelako w sztukę swoją i spoglądają na siebie wzajem z uśmiechem, jak авгуrowie rzymscy. Na arenie publicznej i w dyskusjach prywatnych przepowiadają katastrofy społeczne, nie znajdując środka na nie, lub też przezornie omawiając i łagodząc ponure swoje przepowiednie.

Pod takim przewodnictwem zatraciła literatura i sztuka poczucie boskości. Znaczna część młodzieży, odwykła od widnokręgów wiekuistych, skłoniła się ku temu, co nowi przywódcy duchowi zwa naturalizmem, poniżając tym samym piękną nazwę Natury. To bowiem, co zdołają oni jej mianem, jest jedynie obroną i usprawiedliwieniem niskich instynktów, kałużą występku lub też schlebaniem naszym pospolitościom społecznym, — słowem: systematycznym zaprzeczaniem duszy i intelektu. A biedna Psyche, po utracie swoich skrzydeł, jękiem i wzdychaniem protestuje w głębi jaźni tych samych właśnie ludzi, którzy ją znieważają i zapierają się jej.

Materializm, pozytywizm i sceptycyzm sprawiły, że ku końcowi XIX-go st. urobiło się fałszywe zupełnie pojęcie Prawdy i Postępu.

Uczeni nasi, posługujący się przy badaniu wszechświata Baconowską metodą doświadczalną ze zdumiewającą dokładnością i cudownymi wynikami, tworzą sobie czysto zewnętrzne i materialne pojęcie Prawdy. Sądzą oni, że zbliżyć się można do niej coraz bardziej w miarę nagromadzenia coraz większej liczby faktów. Ze swojego stanowiska naukowego mają słuszność. Złe jest natomiast, że nasi filozofowie i nasi moralisci zaczynają myśleć tak samo. Pod tym względem pewne jest, że praprzyczyny i cele ostateczne pozostaną na zawsze nieprzeniknionymi dla umysłu ludzkiego. Przypuśćmy bowiem, że moglibyśmy wiedzieć dokładnie, co zachodzi — ujmując rzecz materialnie — na wszystkich planetach systemu słonecznego, co — mówiąc nawiasem — byłoby wspaniałą podstawą indukcji; przypuśćmy nawet, że moglibyśmy wiedzieć, jakiego rodzaju istoty zamieszkują satelitów Sy-

riusza oraz kilku gwiazd drogi mleczej. Oczywiście, cudownie byłoby poznać to wszystko. Czy jednak ułatwiłoby to nam poznanie całokształtu gwiazdozbioru, nie mówiąc już o mgławicy Andromedy oraz o obłoku Magellana? — Oto dlaczego rozwój ludzkości jest w pojęciu epoki naszej nieustannym dążeniem ku prawdzie nieokreślonej, niedającej się określić i na zawsze niedostępnej.

Tak pojmowali filozofię pozytywistyczną: August Comte i Herbert Spencer, których pogląd utrzymał się do naszych czasów.

Dla teozofów i mędrców Wschodu i Grecji Prawda była czymś zupełnie odmiennym. Wiedzieli oni oczywiście, że niepodobna ująć jej i ustalić bez ogólnego pojęcia o świecie fizycznym, zarazem jednak wiedzieli, że szukać jej należy przede wszystkim w nas samych, w pierwiastkach intelektualnych oraz w życiu naszym duchowym. Dla nich dusza była jedyną boską rzeczywistością, kluczem wszechświata. Skupiając całą wolę swoją w głębi własnej jaźni, rozwijając ukryte władze duszy, docierali oni do życiodajnego ogniska, zwanego przez nich Bogiem, którego światło pozwala rozumieć ludzi i byty. Dla nich — to, co my zwiemy Postępem, — to znaczy historia świata i ludzi, była jedynie ewolucją w czasie i przestrzeni owej ośrodkowej Praprzyczyny i owego Celu ostatecznego.

Patrząc na historię religii oczami, rozwartymi szeroko przez ową prawdę ośrodkową, którą dać może jedynie wtajemniczenie wewnętrzne, doznajemy uczucia zarazem zdumienia i zachwyty.

Z chwilą jednak, gdy dane jest nam ujrzeć ją, ukazuje się nam ona w glorii promiennej, ustalona i zawsze szarmonizowana we wszystkich swych punktach. Można by ją też nazwać historią religii wiekuistej, religii wszechświata. Odsłania się w niej ukryta treść rzeczy, siedlisko świadomości ludzkiej, której żmudną drogę zewnętrzną ujawnia historyk. Docieramy tutaj do punktu twórczego Religii i Filozofii, które łączą się na drugim końcu elipsy w całokształcie nauki. Punkt ten odpowiada prawdom transcendentnym. Znajdujemy w nich przyczynę, źródło i rezultat ostateczny olbrzymiej pracy stuleci, Opatrzność w jej czynnikach ziemskich. Historia ta jest jedyną, którą zająłem się w tej książce.

Dla rasy aryjskiej zaród i jądro jej mieszczą się w Wedach. Jej pierwszą krystalizacją historyczną jest doktryna troistości Kryszny, której brahmanizm zawdzięcza swoją potęgę, a religia Indii swoją cechę niezatartą. Buddha, który wedle chronologii brahmanów miał przyjść w 2400 lat po Krysznie, odsłania inną jedynie stronę doktryny tajemnej: wędrówkę dusz i wiarę w szereg bytów, związanych w jeden łańcuch prawem Karmy. Jakkolwiek buddyzm był wobec arystokratycznego i kapłańskiego brahmanizmu demokratycznym przewrotem społecznym i etycznym, jego podkład metafizyczny jest ten sam, tylko nie tak zupełny.

Niemniej też uderza odwieczność świętej doktryny w Egipcie, którego tradycje sięgają cywilizacji dużo wcześniejszej, niż ukazanie się rasy aryjskiej na widowni dziejów. Wolno było przypuszczać aż do ostatnich czasów, że monizm troisty, wyłożony w księgach greckich Hermesa Trismegistosa, był komplikacją szkoły Aleksandryjskiej pod podwójnym wpływem judeo-chryścianizmu i neoplatonizmu. Wszyscy wierzący i niedowiarkowie, historycy i teologowie nie przestawali zgodnie powtarzać tego aż do naszych czasów. Otóż teoria ta upada dzisiaj wobec odkryć epigrafiki egipskiej.

Niezbita autentyczność ksiąg Hermesa, jako dokumentów starożytnej mądrości Egiptu, stwierdzają w sposób rozstrzygający odczytane już hieroglify. Napisy na stelach¹⁾ w Tebach i Memfisie nie tylko potwierdzają chronologię Manethona, lecz wykazują, że kapłani Ammon-Ra wyznawali wyższą metafizykę, której uczono w innej postaci nad brzegiem Gangesu²⁾. Powtórzyć tutaj można za prorokiem hebrajskim, że „kamień mówi, a mur wydaje okrzyk“. Gdyż, podobna do „słońca północy“, które jaśniało — jak mówią — w Tajnikach Izdy i Ozyrysa, idea Hermesa, starożytna doktryna słowa słonecznego, rozbłyskuje znów w grobach Królów i świeci na papyrusowych zwojach **Księgi Zmarłych**, przechowanych w mumiach, mających cztery tysiące lat.

¹⁾ Pomniki egipskie z jednego kamienia.

²⁾ Porównaj piękne prace Franciszka Lenormant i M. Maspero.

W Grecji idea ezoteryczna jest zarazem bardziej widoczna i bardziej osłonięta niż gdziekolwiek; bardziej widoczna, bowiem prześwieca po przez czarującą mitologię ludzką, ponieważ płynie, niby krew ambrozyjska, w żyłach tej cywilizacji i wytryska wszystkimi porami z jej bogów, jak balsam i jak rosa niebiańska. Z drugiej zaś strony myśl głęboka i naukowa, leżąca u podstawy wszystkich owych mitów, trudniejsza jest do przeniknięcia właśnie z powodu ich uroku oraz ozdób, w jakie je przystroili poeci. Wzniosłe podstawy teozofii doryckiej i mądrości delfickiej wypisane są jednak złotymi zgłoskami zarówno we fragmentach orfik (poezji mityczno-religijnych), jak w syntezie pytagorejskiej, w dialektycznym, nieco dowolnym uprzystępnieniu Platońskim. Klucza do ich zrozumienia dostarcza nam wreszcie szkoła Aleksandryjska. Ona pierwsza bowiem ogłosiła częściowo i opatrzyła wyjaśniającymi przypisami znaczenie tajników na tle rozprężenia religii greckiej i wobec rozwijającego się chrystianizmu.

Tradycje nauki tajemnej izraelskiej, biorące początek zarówno w Egipcie, jak i Chaldei i Persji, zachowane nam zostały w dziwacznej i niejasnej postaci, a zarazem w całej swojej głębi i rozciągłości w **Kabale**, czyli tradycji ustnej, począwszy od księgi **Sohar** i **Sepher Jezirah**, przypisywanych Szymonowi Ben Jochai, i skończywszy na komentarzach Majmonidesa. Zawarta mistycznie w Księdze Rodzaju (Genesis) oraz w symbolice proroków, występuje też ona w sposób uderzający w świetnej pracy Fabra d'Olivet o **Odtworzonym języku hebrajskim**, dążącej do odbudowania, podług metody egipskiej, na zasadzie trójstego znaczenia każdego wiersza i niemal każdego wyrazu pierwszych dziesięciu rozdziałów Księgi Rodzaju, — istotnej kosmogonii Mojżesza.

Ezoteryzm chrześcijański promienieje sam przez się w Ewangeliach, oświetlonych tradycjami esseńskimi i gnostycznymi¹⁾. Wytryska on, niby ze źródła życiodajnego.

¹ **Gnostycyzm** — nauka, przyznająca sobie wyłączny przywilej głębszego poznawania natury boskiej i natury chrześcijańskiej. Znamieniem jej jest naginanie pojęć chrześcijańskich do filozofii lub misteriozofii pogańskiej, zarówno greckiej, jak wschodniej. (Przyp. tłum.).

ze słów Chrystusa, z jego przypowieści, z głębi tej duszy nieporównanej, prawdziwie boskiej. Zarazem też daje nam Ewangelia S-go Jana klucz do zrozumienia intymnej i wyższej nauki Chrystusowej, do znaczenia i doniosłości jego zapowiedzi. Odnajdujemy tutaj ową doktrynę Trójjedności i Słowa Bożego, głoszoną już przed tysiącami lat w świątyniach Egiptu, lecz uszlachetnioną, uosobioną w postaci króla wtajemniczonych, w postaci największego z Synów Bożych.

Zastosowanie do historii religii metody, którą nazwałem ezoteryzmem porównawczym, prowadzi nas do wielce doniosłego wyniku, dającego się streścić w kilku wyrazach: odwieczność, ciągłość i zasadnicza jedność doktryny ezoterycznej. Jest to fakt w najwyższym stopniu godny uwagi. Każę on bowiem przypuszczać, że mędrcy i prorocy najrozmaitszych epok doszli do tych samych wyników co do istoty rzeczy, jakkolwiek odmiennych co do formy, w sprawie prawd podstawowych i ostatecznych. Osiągali zaś je zawsze tą samą drogą wtajemniczenia wewnętrznego i rozmyślenia. Dodajmy, że mędrcy ci i prorocy byli największymi dobroczyńcami ludzkości, zbawcami, których moc odkupicielska wyrwała ludzkość z odmętów bardziej przyziemnej, niższej natury oraz negacji.

Czyż nie należy uznać wobec tego, że istnieje — jak się wyraża Leibnitz — rodzaj filozofii wiekuistej. **perennis quodam philosophia**, która stanowi pierwotny łącznik pomiędzy nauką i religią oraz ostateczne ich pojednanie?

Teozofia starożytna, wyznawana w Indiach, w Egipcie i w Grecji, stanowiła istotną encyklopedię, dzieloną powszechnie na cztery kategorie: 1. **Teogonia** czyli nauka zasad bezwzględnych, utożsamiona z nauką Liczb zastosowaną do wszechświata, czyli matematyką teologiczną. 2. **Kosmogonia**, urzeczywistnienie zasad wiekuistych w przestrzeni i czasie, czyli **inwolucja** ¹⁾ ducha do materii, okresy świata. 3. **Psychologia**, ustrój człowieka; **ewolucja** duszy poprzez łańcuch istnień. 4. **Fizyka**, poznanie państw natury ziemskiej i jej właściwości. — Metoda indukcyjna

¹⁾ **inwolucja** — rozwój wsteczny — przeciwieństwo ewolucji — rozwoju postępowego. (Przyp. tłum.).

i metoda doświadczalna łączyły się i wzajem kontrolowały w tych różnorodnych działach nauk i każdej z nich odpowiadała poszczególna sztuka. Były nimi, biorąc je w porządku odwrotnym i zaczynając od nauk fizycznych: 1. **Medycyna specjalna**, oparta na znajomości tajemnych cech minerałów, roślin i zwierząt. **Alchemia** czyli przetwarzanie metali, rozprzęganie i sprzęganie się materii pod działaniem czynnika powszechnego, sztuka uprawiana, podług Olympiodora, w starożytnym Egipcie i nazwana przez niego chrysopeą i argyropeą (fabrykacja złota i srebra). 2. **Sztuki psychurgiczne**, odpowiadające władzom duszy: magia i wieszczbiarstwo. 3. **Genetlaktia niebiańska** czyli astrologia, sztuka wykrywania stosunku, zachodzącego pomiędzy przeznaczeniem narodów i osobników a ruchami wszechświata, zaznaczonymi przez zmianę położenia gwiazd. 4. **Teurgia**, najwyższa sztuka magii, dar zarówno rzadki jak niebezpieczny i trudny, polegający na wprowadzaniu duszy w świadome zetknięcie z rozmaitymi rodzajami duchów i na oddziaływaniu na nie.

Jak widzimy więc, obejmowała teozofia ta zarazem nauki i sztuki, wypływające z jednej powszechnej podstawy, którą nazwałbym w języku współczesnym **monizmem intelektualnym, spirytualizmem rozwojowym i transcendentnym**. Główne podstawy doktryny ezoterycznej sformułować można w sposób następujący:

Duch jest jedyną rzeczywistością. Materia jest jedynie wyrazem jego niższym, zmiennym, przemijającym, jego dynamizmem w przestrzeni i czasie. — Tworzenie jest wieczne i ciągłe jak życie. Mikrokosm-człowiek jest z układu swojego troistym (umysł, dusza i ciało) obrazem i zwierciadłem makrokosmu-wszechświata (świat boski, ludzki i świat natury), który sam przez się jest narzędziem Boga niewypowiedzianego, Ducha bezwzględnego, będącego z natury swojej Ojcem, Matką i Synem (istotą, substancją i życiem).

Oto dlaczego człowiek, obraz Boga, może stać się żywym jego symbolem. Gnoza (poznanie prawd religijnych), czyli mistyka racjonalna wszystkich epok, jest sztuką znalezienia Boga w sobie samym przez rozwijanie tajemnych głębi, ukrytych władz świadomości. — Dusza ludzka, jaźń, jest w istocie swojej nieśmiertelna. Rozwój jej odbywa się

na płaszczyźnie zstępującej i wznoszącej się, poprzez istnienia duchowe i cielesne. — Ponowne wcielenie się jest prawem jej rozwoju. Osiągnąwszy doskonałość, przestaje się wcielać i powraca do Ducha czystego, do Boga, w pełni świadomości. Tak samo jak dusza wznosi się ponad prawo walki o życie z chwilą, gdy zyskuje świadomość swojego człowieczeństwa, podobnie też wznosi się ona ponad prawo ponownego wcielenia się, kiedy zyskuje świadomość swojej boskości.

Perspektywy, otwierające się u progu teozofii, są olbrzymie, zwłaszcza gdy się je porównywa z ciasnym i ponurym widnokregiem, w jakim zamyka nas materializm, lub też z dziecięcą i nie do przyjęcia naiwnymi danymi teologii kościelnej. Stojąc wobec nich po raz pierwszy, doznajemy uczucia olśnienia, przejmując nas dreszcz bezkresu. Rozwierają się w głębi jaźni naszej otchłanie Nieświadomości, ukazując nam przepaść, z której się wydostajemy, zawrotne wyżyny, na które dążymy. Zachwyceńni tym bezmiarem, lecz przerażeni drogą do odbycia, pragniemy przestać istnieć, wzywamy **Nirwany**. Potem jednak zdajemy sobie sprawę, że ta słabość jest tylko znudzeniem żeglarza, gotowego do wypuszczenia z rąk steru w obliczu szalejącej burzy. Jeden z myślicieli powiedział: człowiek zrodzony został we wklęsłości fali i nie wie nic o olbrzymim oceanie, który rozpościera się przed nim i za nim. Jest to prawda; tajemna wszakże siła niepojęta pcha łódź naszą na grzbiet fali i tam, smagani nieustannie wściekłością nawałnicy, chwytny jej rytm potężny; a oko, mierzące sklepienie niebios, odpoczywa w ciżmy błękitu.

Zdumienie nasze wzrasta, gdy, powracając do nauk nowoczesnych, stwierdzamy, że od Bacon'a i Kartezjusza dążą one bezwiednie, lecz tym pewniej w kierunku powrotu do danych teozofii starożytnej. Nie zarzucając hipotezy atomów, nieświadomie doszła fizyka współczesna do utożsamiania pojęcia materii z pojęciem siły, co stanowi już krok naprzód ku dynamizmowi spirytualistycznemu. Dla wyjaśnienia istoty światła, magnetyzmu i elektryczności zmuszeni byli uczeni przyjąć materię lotną i bezwzględnie nieważką, wypełniającą przestworze i przenikającą wszystkie ciała; materię, którą nazwali eterem, co już jest kro-

kiem ku dawnemu pojęciu teozoficznemu o **duży świat**. Niedawne doświadczenia, dotyczące przenoszenia dźwięku za pomocą fal świetlnych ¹⁾, dowodzą wrażliwości i rozumnej przystosowalności tej materii.

Zoologia porównawcza i antropologia należą do rzędu nauk, które najwięcej, zdawałoby się, zaszkodziły spirytualizmowi. W rzeczywistości wszakże poważną oddały mu one przysługę wykazaniem prawa i sposobu wkraczania świata umysłowego do świata zwierzęcego. Darwin położył kres naiwnemu pojęciu o stworzeniu w myśl teologii pierwotnej. Pod tym względem powrócił on wprost do starożytnych pojęć teozoficznych. Już Pytagoras powiedział: „człowiek jest krewnym zwierzęciem“. Darwin wykazał prawa, którym ulega przyroda, aby wykonać plan boski, prawa narzędnicze, którymi są: walka o byt, dziedziczność i dobór naturalny. Dowiódł on wielorakości i różnorodności gatunków, zmniejszył ich liczbę, ustalił ich dobór. Uczniowie jego jednakże, teoretycy transformizmu bezwzględного, którzy chcieli wyprowadzić wszystkie gatunki z jednego prototypu i uczynić ich pojawienie się zależnym wyłącznie od wpływów środowiska, naciągali fakty na korzyść czysto zewnętrznego i materialistycznego pojmowania przyrody. Nie, środowiska tak samo nie tłumaczą powstawania gatunków, jak prawa fizyczne nie wyjaśniają praw chemicznych, jak chemia nie tłumaczy podstaw rozwoju rośliny, a podstawy rozwoju rośliny — podstaw rozwoju zwierzęcia. Co się tyczy wielkich rodzin zwierzęcych, odpowiadają one wiekuistym typom życia, pieczęciom Ducha, zaznaczającym szczeble świadomości. Ukazanie się zwierząt ssących po płazach i ptakach nie

¹⁾ **Doświadczenie Bella.** Rzuci się promień światła na płytkę z selenu, która obsyła światło to na odległość, na inną płytkę z tego samego metalu. Ta druga płytkę połączona jest ze stosem galwanicznym, do którego przystosowany jest telefon. Wyraży, wymawiane za pierwszą płytką, słyszalne są wyraźnie przez telefon, złączony z drugą płytką. Promień światła służył więc za drut telefoniczny. Fale dźwiękowe przeistoczyły się w fale świetlne, te zaś w fale galwaniczne, które z kolei stały się ponownie falami dźwiękowymi.

jest wynikiem zmiany, jaka zaszła w środowisku ziemskim; zmiana ta jest tylko jego warunkiem.

Każde ona przypuszczać powstanie i rozwój nowego zarodka; tym samym nowej siły intelektualnej i duchowej, działającej stroną wewnętrzną, treścią natury, siłą, którą nazywamy zaświatem w stosunku do poznania zmysłowego. Bez tej siły intelektualnej i duchowej nie można byłoby wytłumaczyć nawet pojawienia się komórki organicznej w świecie nieorganicznym. Wreszcie Człowiek, który kończy i wieńczy łańcuch istot, ujawnia całą myśl boską, dzięki harmonii swoich narządów i doskonałości swojej formy, czyniących go żywym obrazem Duszy wszechświata, czynnego intelektu. W ciele jego streszczone są wszystkie prawa rozwoju i cała natura, nad którą on panuje i ponad którą wznosi się, aby dzięki zdobytemu uświadomieniu i wyzwoleniu się wejść do bezbrzożnego królestwa Ducha.

Psychologia doświadczalna, oparta na fizjologii i dążąca od początku stulecia do stania się ponownie nauką, doprowadziła współczesnych uczonych do progu innego świata, właściwego światu duszy, gdzie — obok trwających w dalszym ciągu analogii — nowe panują prawa. Mam na myśli badania i stwierdzenia przez medycynę nowoczesną faktów, dotyczących magnetyzmu zwierzęcego, somnambulizmu oraz wszelkich stanów duszy różnych od poprzednich, a więc: snu na jawie, jasnowidzenia i ekstazy.

Wiedza współczesna rozpoczyna dopiero stawiać pierwsze po omacku kroki w tej dziedzinie, w której umiała się orientować wiedza świątyni starożytnych, posiadała bowiem potrzebne do niej podstawy i klucze do jej zrozumienia. Mimo to nie ulega kwestii, że i nauka współczesna odkryła tutaj cały szereg faktów, które wydały się jej zdumiewającymi, cudownymi, niedającymi się wyjaśnić. Ponieważ przeczyły one teoriom materialistycznym, narzucającym jej przez tak długi czas kierunek myślenia i stanowiącym podstawę jej doświadczeń. Nie ma nie bardziej pouczającego nad pełne oburzenia niedowiarstwo niektórych uczonych materialistów wobec wielkich przejawów, mogących stwierdzić istnienie duchowego świata niewidzialnego. Każdy, kto ośmiela się dzisiaj dowodzić

istnienia duszy, ściąga na siebie oburzenie prawdziwych ateistów, tak samo jak ongi gorszono prawowierność Kościoła, przecząc istnieniu Boga. Nie naraża się już teraz coprawda życia, ale naraża się swoją opinię.

Bądź co bądź wszakże, najprostsze zjawisko poddawania myślowego na odległość wyłącznie siłą myślenia, zjawisko stwierdzane tysiąckrotnie w kronikach magnetyzmu¹⁾, wykazuje działanie ducha i woli poza obrębem praw fizycznych i praw świata widzialnego.

Drzwi do Świata Niewidzialnego zostały więc uchylone. — W wyższych przejawach somnambulizmu świat ten otwiera się szeroko. Poprzestaną jednak na tym, co stwierdziła nauka oficjalna.

Przechodząc od psychologii doświadczalnej i przedmiotowej do psychologii wewnętrznej i podmiotowej naszego czasu. znajdującej wyraz swój w poezji, muzyce i literaturze. zauważymy, że przenika ją potężny powiew bezwiednego ezoteryzmu. Dążenie do życia duchowego, tęsknota za światem niewidzialnym, dławione i odtrącane przez teorie materialistyczne i przez opinię publiczną, nie były nigdy szersze i bardziej istotne. Odnajdujemy je w żalach, w zwątpieniach, w czarnych melancholiach, a nawet w bluźnierstwach naszych powieściopisarzy-naturalistów i naszych poetów-dekadentów. Nigdy dusza ludzka nie odczuwała głębiej niedostateczności, nędzy, nieistotności życia obecnego, nigdy nie tęskniła goręcej za niewidzialnym światem pozaziemskim, mimo że nie uwierzyła jeszcze w jego istnienie. Czasem nawet udaje jej się formułować intuicyjnie prawdy transcendentne²⁾, nie wchodzące w skład systemu uznanego przez rozum, sprzeczne z poglądem ogółu i stanowiące bezwiedne przebliski tajemnego jej uświadomienia. Przytoczę na dowód ustęp z pracy niezwykłego myśliciela, który doświadczył całej goryczy i całego osamotnienia moralnego dni dzisiejszych: „Kaźda sfera bytu — mówi Fryderyk Amiel — dąży do sfery wyższej i ma już objawienie jej i przeczucie. Idea-

¹⁾ Por. piękną pracę Ochorowicza: „O poddawaniu myślowym“.

²⁾ Transcendentne — przechodzące granice doświadczenia

tem, we wszelkiej jego postaci, jest wyprzedzanie, wizja prorocza bytu wyższego niż własny, do którego dąży zawsze każda istota.

Ten wyższy dostojnością swoją byt jest z natury swojej bardziej wewnętrznym, to znaczy bardziej duchowym. Jak wybuchy wulkanów ujawniają nam tajniki wnętrza kuli ziemskiej, tak samo zapal i ekstaza są chwilowymi przebłyskami wewnętrznymi świata duszy, a życie ludzkie jest właściwie tylko przygotowaniem i wstępem do tego życia duchowego. Nieskończone są stopnie wtajemniczenia. Czuwaj więc, uczniu życia, poczwarko anioła, pracuj nad twoim przyszłym wykluciem się, bowiem boska Odyssea jest jedynie szeregiem przeobrażeń coraz bardziej uduchowionych, w których każda postać poszczególna będąca wynikiem poprzednich, warunkuje powstawanie następnych. Życie boskie jest szeregiem kolejnych śmierci, przy których duch odrzuca swoje niedoskonałości i swoje symbole, poddaje się wzrastającej sile przyciągającej niewypowiedzianego ośrodka ciężenia, słońca intelektu i miłości“.

Amiel był skądinąd bardzo rozumnym hegelianinem, pod którym krył się wyższy moralista. W dniu, w którym napisał te słowa natchnione, był głębokim teozofem. Trudno bowiem byłoby wyrazić w sposób bardziej porywający i bardziej świetlany właściwą istotę prawdy ezoterycznej. Powyższy rzut oka wystarczy do wykazania, że nauka i umysłowość współczesna przygotowują się bezwiednie i mimowolnie do przywrócenia dawnej teozofii, która będzie się posługiwała narzędziami precyzyjnymi i oprze się na solidniejszej podstawie. Ludzkość — wedle słów Lamartine'a — jest tkaczem, który pracuje w odwrotnym kierunku, idąc za wątkiem czasu. Przyjdzie dzień, kiedy przeszedłszy na drugą stronę płótna, ujrzy ona wspaniały i potężny obraz, który tkąła w ciągu wieków własnymi rękami, nie dostrzegając nic prócz skłębienia splątanych na odwrotnej stronie nici. W dniu tym stanie ona oko w oko z Opatrznością, ujawnioną w niej samej. Znajdą wówczas potwierdzenie słowa pewnego współczesnego pi-

„na hermetycznego” i nie wydadzą się zbyt śmiały mi ty — którzy dość głęboko dotarli do istoty tradycji okultystycznych, aby przeczuć cudowną ich jedność. Słowa te brzmią: „Doktryna ezoteryczna nie jest jedynie nauką, filozofią, moralnością i religią. Jest ową właściwą nauką, właściwą filozofią, właściwą moralnością i właściwą religią, do których wszystkie inne są tylko przygotowaniem lub których są zwyrodnieniem, wyrazem częściowym lub nieściśłym, zależnie od tego, czy zbliżają się do nich, czy też się od nich oddalają“.

Nie kusilem się bynajmniej przedstawić pełnego obrazu owej nauki nauk. Wymagałoby to całego gmachu nauk znanych i nieznanych, odtworzonych w ich ramach hierarchicznych i przekształconych w duchu ezoteryzmu. Dowieść chciałem jedynie, iż doktryna Tajników leży u źródła naszej cywilizacji; że stworzyła ona wielkie religie, zarówno aryjskie, jak i semickie; że chrystianizm prowadzi do niej cały rodzaj ludzki i że nauka współczesna opatrnościowo zmierza ku niej całokształtem swojego rozwoju; że wreszcie nauka i religia spotkają się w niej, jak w porcie połączenia i znajdują w niej ostateczną swą syntezę.

Rzec można, że gdziekolwiek znajduje się ułamek jakiejś doktryny ezoterycznej, tam istnieje ona w całości. Każda bowiem z jej części każe się domniemywać istnienia pozostałych lub rodzi je. Posiedli ją wszyscy wielcy mędracy i wielcy prorocy, a prorocy przyszłości posiadają ją tak samo, jak ich poprzednicy. Światło może mieć większą lub mniejszą siłę natężenia, będzie to jednak zawsze to samo światło. Kształt, szczegóły, zastosowania mogą ulegać nieskończonym zmianom; istota rzeczy, to znaczy początek i koniec, pozostają wiekuiście niezmiennic. Czytelnik znajdzie w książce tej rodzaj rozwoju stopniowego, kolejnego ujawnienia różnych części doktryny, pó przez dzieje wielkich wtajemniczonych. Każdy z nich jest przedstawicielem jednej z wielkich religii, które przyczyniły się do ukształtowania współczesnej ludzkości

¹⁾ zawierające zamkniętą w nich tajemnicę. Pisma hermetyczne, inaczej okultystyczne.

których szereg kolejny wytyka linię rozwoju, zakreśloną przez nią w cyklu niniejszym, zaczawszy od starożytnego Egiptu i pierwszych czasów aryjskich. Wyprowadzona ona będzie nie z oderwanego, scholastycznego wykładu, ale z dusz wielkich wtajemniczonych i z żywej pracy historii.

W szeregu tym Rama ukazuje nam jedynie dostęp do świątyni. Kryszna i Hermes dają klucz do niej. Mojżesz, Orfeusz i Pytagoras otwierają jej wnętrze. Chrystus jest wosobeniem świętego przybytku.

Książkę tę zrodziło jedynie gorące pragnienie zdobycia prawdy najwyższej, całkowitej, wiekuistej, bez której prawdy częściowe są tylko uludą. Zrozumieją mnie ci, którzy świadomi są, że chwila obecna historii z jej bogactwami materialnymi smutną jest pustynią ze stanowiska duszy i jej dążeń nieśmiertelnych. Moment jest wielce krytyczny i wyniki ostateczne agnostycyzmu ¹⁾ zaczynają się dawać we znaki w postaci rozprzeżenia społecznego. Powstaje — zarazem dla Francji i dla całej Europy — zagadnienie: być albo nie być. Nasuwa się — o ile nie chcemy wpaść ostatecznie w otchłań materializmu i anarchii — konieczność oparcia organicznych prawd zasadniczych na podstawach niewzruszonych.

Nauka i Religia — te strażniczki cywilizacji, utraciły obie dar swój najwyższy, swój wpływ magiczny, polegający na posiadaniu i szerzeniu wielkiej i silnej wiedzy. Świątynie Indii i Egiptu wydały największych mędrców świata. Świątynie greckie ukształtowały dusze bohaterów i poetów. Apostołowie Chrystusa byli sami wzniosłymi męczennikami i zrodzili tysiące ich. Kościół średniowieczny, bez względu na swoją teologię pierwotną, wydał świętych i rycerzy dzięki temu, że wierzył i że duch Chrystusowy wstrząsał nim od czasu do czasu. Dzisiaj ani Kościół spętany w okowach dogmatu, ani Nauka zamknięta w swojej materii, nie umieją już wytwarzać ludzi całkowitych. Zatraciła się sztuka tworzenia i urabiania dusz. Nie zmartwychwstanie ona, dopóki Nauka i Religia.

¹⁾ Agnostycyzm -- pogląd filozoficzny, przyjmujący za podstawę niemożność uzasadnienia istnienia Boga.

ziane w jedną siłę żywą, nie wezmą się zgodnym wysiłkiem do dzieła zbawienia ludzkości. Nauka nie będzie musiała w tym celu zmieniać metody, lecz jedynie rozszerzy swój zakres, zaś chrystianizm utrzyma swoją tradycję, ale zrozumieć będzie musiał jej powstanie, jej ducha i jej doniosłość.

Ten czas odrodzenia intelektualnego i przeistoczenia społecznego nadejdzie niewątpliwie. Zwiastują go już pewne oznaki niezawodne. Kiedy Nauka zdobędzie Wiedzę, Religia zyska moc, a Człowiek będzie działał z nową energią — wówczas łącznymi, uzgodnionymi ich siłami odrodzi się Sztuka życia i wszystkie w ogóle sztuki. W przeciwnym razie nie nastąpi to nigdy.

Zanim to jednak nastąpi, cóż czynić pozostaje na tym schyłku wieku, podobnym do staczania się w otchłań w pośród groźnego zmierzchu, gdy początek zdawał się wznoszeniem ku wolnym szczytom w blaskach wspaniałej jutrzeńki? — Wiara — powiedział pewien wielki uczyony — jest odwagą ducha rwącego naprzód, pewnego, że odnajdzie prawdę. Wiara taka nie jest wrogiem rozumu, lecz jego pochodnią; to wiara Kolumba i Galileusza, wiara, szukająca dowodów i przeciw-dowodów, **provando e riprovando**; — jest ona jedynie możliwą dzisiaj. Dla tych, którzy utracili ją bezpowrotnie — a takich są zastępy, przykład bowiem idzie z góry — droga jest łatwa i wytknięta; — iść za prądem czasu, poddać się jego nastrojom. zamiast walczenia z nimi, zadowolić się zwątpieniem i przeczeniem i znajdywać pociechę — w obliczu wszystkich nędz ludzkich i przyszłych kataklizmów — w uśmiechu szyderczym; rzucać na głęboką nicość rzeczy, w którą się jedynie wierzy, błyszczącą zasłonę, zdobioną pięknym mianem ideału, jakkolwiek się wie, że jest on jedynie niezbędną uludą.

Co się zaś tyczy nas, biednych zatracieńców, którzy wierzymy, że Ideał jest jedyną Rzeczywistością oraz jedyną Prawdą pośród zmiennego i znikomego świata; którzy wierzymy w sankcję i spełnienie się zapowiedzi tego Ideału, zarówno w historii ludzkości, jak w życiu przyszłym; którzy wierzymy, że sankcja ta jest potrzebna, że jest ona nagrodą za braterstwo ludzkie, jako rozum wszechświata i logika Boga, — dla nas, którzy przeświad-

czeniu o tym jesteśmy, jedna tylko pozostaje droga. Głosmy tę prawdę bez obawy i możliwie najdonośniej; rzućmy się z nią na arenę czynu, i — ponad ową walką bezładną — usiłujmy przeniknąć rozmyślaniem i wtajemniczeniem się indywidualnym do Świątyni Idei niewzruszonych, aby uzbroić się w niej w podstawy niezwalczone.

Drogę tę starałem się obrać w tej książce w nadziei, że inni pójdą za mną i uczynią to lepiej ode mnie.

KSIEGA PIERWSZA

R A M A

CYKL ARYJSKI

Zoroaster zapytał Ormuzda, wielkiego Twórcę: „Kto jest pierwszym człowiekiem, z którym mówiłeś“?

Ormuzd odpowiedział: „Piękny Yima, który był na czele mężnych“,

Powiedziałem mu, aby czuwał nad światami, których jestem władcą i dałem mu złoty miecz, miecz zwycięstwa!

I poszedł Yima po drodze słońca i zgromadził mężnych w słynnej Airyuna - Vaéju, stworzonej czystą.

Zend-Avesta (Vendidad-Sadé)
2-i Fargard.

O Agni! Ogniu święty! Ty, który uśpiony jesteś w drzewie i wzlatujesz płomieniem jasnym nad ołtarzem ofiarnym, tyś jest sercem ofiary, śmiałym wzbiciem się modlitwy w niebiosa, iskrą bożą utajoną w każdej rzeczy i świetlaną duszą słońca.

Hymn wedyjski

RASY LUDZKIE I POCZĄTEK RELIGII

„Niebo jest moim ojcem, spłodziło mnie ono. Rodziną jest mi całe to otoczenie niebieskie. **Matką moją jest wielka Ziemia.** Najwyżej wzniesiona część jej powierzchni jest jej macicą: tutaj **Ojciec zapładnia łono tej, która jest jego małżonką i córką jego**“.

Tak śpiewał przed czterema czy pięcioma tysiącami lat przed ołtarzem z ziemi, na którym płonął ogień suchych traw, poeta wedyjski. Głębią przecucia wieszczego, potęgą uświadomienia tchną te dziwne słowa. Zawarta jest w nich tajemnica dwojakiego pochodzenia ludzkości. Boski typ człowieka poprzedza ziemię i jest nad nią wyższy; niebiańskie jest pochodzenie jego duszy. Ale ciało jego jest wytworem pierwiastków ziemskich zapłodnionych przez treść kosmiczną. Uściski Uranosa i wielkiej Matki oznaczają w mowie Tajników deszcze dusz czy monad duchowych, spadających, aby zapłodnić zarodki ziemskie; są to pierwiastki twórcze, bez których materia byłaby jedynie nieruchomą masą rozlaną. Część najbardziej wzniesiona powierzchni ziemskiej, którą poeta wedyjski nazywa macicą ziemi, oznacza łądy i góry, kolebki ras ludzkich. Co zaś do nieba: **Varuna**, grecki Uranos, uosabia świat niewidzialny, nadmysłowy, wieczny i duchowy, obejmuje całą Nieskończoność Przestrzeni i Czasu.

W rozdziale niniejszym rozpatrywać będziemy ziemskie jedynie początki ludzkości podług tradycji ezoterycznych, uznanych i potwierdzonych przez współczesną wiedzę antropologiczną i etnologiczną.

Cztery rasy, zaludniające obecnie kulę ziemską, są córami rozmaitych stref i ziem. Stwarzane kolejno, drogą

powolnego kształtowania się ziemi, wylaniały się lądy z mórz w znacznych odstępach czasu, nazywanych przez starożytnych kapłanów indyjskich cyklami przedpotopowymi.

Po przez tysiące lat rodził każdy ląd własną swoją florę i faunę, a uwieńczeniem tego dzieła było stworzenie rasy ludzkiej różnej barwy.

Ląd południowy, pochłonięty przez ostatni wielki potop, był kolebką pierwotnej czerwonej rasy ludzkiej. Szczałkami jej, pochodzącymi od Troglodytów, jaskiniowców, którzy przedostali się na szczyt gór podczas zapadania się ich lądu, są amerykańscy Indianie. Afryka jest macierzą rasy czarnej, nazwanej przez Greków etiopską. Azja wydała rasę żółtą, która utrzymała się w Chińczykach. Najpóźniej powstała rasa biała, której kolebką są lasy Europy, położone pomiędzy nawałnicami Atlantyku a uśmiechami morza Śródziemnego. Wszystkie odmiany ludzkie są wytworem pomieszań, połączeń, zwyrodnień czy doborów tych czterech wielkich ras. W okresach poprzednich rasa czerwona i rasa czarna panowały kolejno, wydawszy potężne cywilizacje, które pozostawiły ślady w postaci budowli cyklopicznych, jak w architekturze Meksykańskiej. Świątynie Indii i Egiptu przechowały nie liczne tylko znaki cyfrowe i tradycje, dotyczące tych cywilizacji zanikłych. W naszym okresie góruje rasa biała: rzecz też można, obliczając przypuszczalną starożytność Indii i Egiptu, iż przewaga jej datuje się od siedmiu czy ośmiu tysięcy lat ¹⁾.

Podług tradycji bramińskich cywilizacja powstać miała na kuli ziemskiej przed 50 tysiącami lat, wraz z rasą

¹⁾ Ten podział ludzkości na cztery kolejne rasy pierwotne przyjęty był przez najdawniejszych kapłanów egipskich. Uosabiają je cztery postacie o różnych typach i barwach, przechowane w malowidłach, zdobiących grób Sėti I-go w Tebach. Rasa czerwona nosi nazwę **Rot**, rasa azjatycka, o żółtej barwie skóry — nazwę **Amu**; rasa afrykańska, czarna — **Halasiu**, rasa libijsko-europejska, biała, jasnowłosa — **Tamahu**.

(Lenormant: „Historia Ludów Wschodu”).

czerwoną, na lądzie południowym, w epoce, kiedy cała Europa i część Azji pokryte były jeszcze wodą. Mitologie te wspominają jeszcze o uprzednim istnieniu jakiejś rasy olbrzymów. Odnaleziono w jaskiniach Tybetu olbrzymie kości ludzkie, których budowa przypomina raczej małpę niż człowieka. Są to szczątki ludzkości pierwotnej, przejściowej, bliskiej jeszcze zwierzętom, nie posiadającej mowy artykułowanej, ustroju społecznego, ani religii. Te trzy cechy powstają bowiem równocześnie i na tym właśnie polega znaczenie ciekawej owej triady bardyjskiej, która mówi: „Trzy rzeczy są pierwotnie równoczesne: Bóg, światło i wolność“. Wraz z pierwszymi artykułowanymi dźwiękami powstaje społeczeństwo oraz mgliste przecucie boskiego porządku rzeczy. Jest to tchnienie Jehowy w ustach Adama, zakłęcie Hermesa, prawo pierwszego Manu, ogień Prometeusza. Bóg drga w faunie ludzkim. Rasa czerwona, jak mówiliśmy, zaludniała ląd południowy, dzisiaj pochłonięty przez ocean, nazwany przez Platona — w myśl tradycji egipskich — Atlantydą.

Wielki kataklizm zniszczył ją częściowo i rozproszył jej resztki. Niektóre rasy polinezyjskie oraz Indianie Ameryki Północnej i Aztekowie napotkani przez Franciszka Pizarro w Meksyku, są przeżytkami dawnej rasy czerwonej, której kultura, zatracona od dawna, miała swoje dni chwały i świetności materialnej. Wszyscy ci biedni spóźnieni potomkowie noszą w duszy swojej nieuleczalną melancholię, właściwą starym, zamierającym beznadziejnie rasom.

Po rasie czerwonej rasa czarna panowała na kuli ziemskiej. Typu jej najbardziej skończonego nie należy szukać w zwyrodniałym murzynie, ale w Abisyńczyku i w Nubijczyku, w którym przechowały się cechy specyficzne tej rasy z doby jej rozkwitu. Czarni zajęli południe Europy w czasach przedhistorycznych i zostali wyparci stąd przez białych. Pamięć ich zaginęła zupełnie w tradycjach gminnych. Odcisnęli oni jednak na nich dwa niezatarte piętna: strach przed smokiem, który był godłem ich królów, oraz pojęcie, że diabeł jest czarny. Czarni wywzajemnili się za obelgę, czyniąc swojego diabła białym. W okresie przewagi swojej mieli czarni środowiska religijne w Górnym Egipcie i w Indiach. Ich miasta

cyklopiczne wznosiły się na górach Afryki, Kaukazu i Azji Środkowej. Ich ustrój społeczny polegał na bezwzględnej teokracji. U szczytu kapłani, przed którymi drżano jak przed bóstwami; w dole szczepy rojące się bezładnie, bez podziału na rody, z kobietami-niewolnicami. Kapłani owi posiadali głęboką wiedzę, wyznawali zasadę boskiej jedności wszechświata oraz kult gwiazd, który pod nazwą **sabeizmu** przesiąknął do narodów białych¹⁾. Nie było wszakże żadnego ogniwa łącznego pomiędzy wiedzą czarnych kapłanów, a bałwochwalstwem mas, żadnej sztuki ideowej ani mitologii urobionej na tle wrażeń. Poza tym wszakże był przemysł ich dość już rozwinięty, zwłaszcza zdolność miotania pocisków i posługiwanie się w tym celu masami głazów olbrzymich oraz topienia metali w ogromnych paleniskach, przy których zatrudniano jeńców wojennych. Religią rasy tej, potężnej dzięki jej odporności fizycznej, sile namiętności i zdolności przywiązywania się, było panowanie siły oparte na strachu. W świadomości tych ludów dziecięco naiwnych występowała Natura i Bóg nie inaczej jak w postaci smoka, straszliwego zwierzęcia przedpotopowego, którego obraz malować sobie kazali królowie na swoich sztandarach i którego kształt wycinali kapłani na wrotach swoich świątyń.

O ile w palących promieniach słońca Afryki zrodziła się rasa czarna, rzec można, iż lody bieguna północnego zrodziły rasę białą. Byli to owi Hyperborejczycy, o których mówi mitologia grecka. Ci ludzie rudowłosi, niebieskoocy, przedarli się z Północy przez gąszcze lasów oświetlonych zorzą północną; towarzyszyły im psy i reny, a przewodzili im mężni wodzowie, kierowani przez jasnowidzące niewiasty. Złoto ich włosów i lazur ich oczu tworzyły harmonijny zespół barw, wyróżniający tę rasę, przeznaczoną jak gdyby do stworzenia kultu słońca i ognia świętego i przyniesienia światu tęsknoty za niebem.

Przyjdzie taki okres, w którym burzyć się ona będzie

¹⁾ Porównaj historyków arabskich, jak Aboul-Ghazi, historię genealogiczną Tatarów i Mohammeda Moshena, historyka Persów. — William Jones, *Asiatic Researches*. I. Rozprawy o Tatarach i Persach.

przed nim i zapragnie wdrzeć się doń, to znów kryć się będzie przed jego wspaniałością w zachwycie bezgranicznym.

Podobnie jak inne, i rasa biała musiała wyzwolić się ze stanu dzikości, zanim budzić się w niej zaczęły pierwsze przebliski samowiedzy. Wybitną jej cechą jest umiłowanie swobody jednostki, wrażliwość refleksyjna, stwarzająca zdolność współodczuwania oraz przewaga intelektu, nadająca wyobraźni kierunek idealistyczny i symboliczny. Wrażliwość uczuciowa wytworzyła przywiązanie, wyróżnianie przez mężczyznę jednej kobiety, stąd skłonność tej rasy do monogamii, zasada życia małżeńskiego i rodzinnego. Wyobraźnia dążąca do ideałów stworzyła kult przodków, który stanowi podstawę i jądro religii narodów białych.

Pierwiastek społeczny i polityczny ujawnił się w dniu, w którym pewna liczba ludzi na wpół dzikich, zagrożonych przez szczep wrogi, zgromadziła się — wiedzona instynktem — i wybrała najsilniejszego i najrozumniejszego spośród siebie, aby bronił ich i przewodził nad nimi. Dzień ten był dniem narodzin społeczeństwa. Wódz jest przyszłym królem, jego towarzysze — przyszłą szlachtą: starcy obradujący, lecz niezdolni do marszów wyteżonych, tworzą już rodzaj senatu lub rady starszych. W jaki wszakże sposób powstała religia? Utrzymywano, że zrodził ją lęk człowieka pierwotnego wobec zjawisk przyrody. Lęk wszakże nie ma wspólnego z szacunkiem i miłością. Nie wiąże on faktu z ideą, rzeczy widomej z Nieznanym, człowieka z Bogiem. Dopóki człowiek drżał przed naturą, nie był jeszcze człowiekiem. Stał się nim w dniu, w którym uświadomił sobie związek, łączący go z przeszłością i przyszłością, z czymś wyższym i dobroczynnym, w dniu, w którym zbudziło się w nim uwielbienie dla tajemniczego nieznanego. W jaki jednak sposób objawiło się to uwielbienie po raz pierwszy?

Fabre d'Olivet kreśli genialnie pomyslaną, przekonującą hipotezę w sprawie sposobu, w jaki kult przodków miał powstać u rasy białej¹⁾.

¹⁾ „Histoire philosophique du genre humain“ (Historia filozoficzna rodzaju ludzkiego). T. I. I.

W klanie wojowniczym wybuchło starcie pomiędzy dwoma współzawodniczącymi wojownikami. Rozwścieczeni chcą wstąpić w bój i już stają na przeciw siebie. W tej samej chwili jakaś niemiasta z rozwianym włosom rzuca się pomiędzy nich i rozdziela ich. To siostra jednego, zarazem żona drugiego. Oczy jej ciskają płomienie, głos jej nabrał brzmienia rozkazu. Woła głosem zadyszczanym, urywanym, że widziała w lesie Przodka rasy, zwycięskiego ongi wojownika, który nagle ukazał się jej. Nie chce on, aby dwaj bracia walczyli z sobą wzajem, lecz żąda, aby się połączyli przeciwko wspólnemu wrogowi. „Cię wielkiego Przodka, cię bohatera oznajmił mi to“ — woła kobieta w uniesieniu — „przemówił do mnie! Widziałam go!“. Mówi z głębokim przeświadczeniem, że było tak istotnie, jak powiedziała. Przekonana przekonywa. Wzruszeni, zdumieni, jak gdyby zdruzgotani siłą niezmożoną, pojednani już przeciwnicy podają sobie dłonie i patrzą na kobietę natchnioną jak na rodzaj bóstwa.

Natchnienia podobne, po których następowały nagle, gwałtowne zmiany nastrojów, musiały występować często i pod różnymi postaciami w życiu przedhistorycznym rasy białej. U ludów barbarzyńskich kobieta jest pierwszą, która dzięki swojej wrażliwości nerwowej przeczuwa siły tajemne, stwierdza objawienie się światów niewidzialnych. Uprzytomnijmy sobie teraz wyniki, nieoczekiwane i zdumiewające, podobnego wydarzenia.

Cała ludność klanu, poruszona nadzwyczajnym tym faktem, mówi o wydarzeniu cudownym. Dąb, pod którym natchniona niewiasta ujrziała zjawę, staje się drzewem świętym. Prowadzą ją na to miejsce: i tu pod czarodziejskim, magnetycznym wpływem księżyca, wprowadzającym ją w stan jasnowidzenia, przemawia w dalszym ciągu głosem proroczym w imieniu wielkiego Przodka. Niebawem niewiasta owa i inne jej podobne, stojąc na skałach, czy w pośród polan leśnych, przy wtórze wiatru i ryku dalekiego Oceanu, wyczarowuje mgliste zjawy przodków wobec zdjętych dreszczem trwogi tłumów. I tłumy te, porwane zapałem i ekstazą niewiasty, zobaczą te zjawy lub uwierzą, że ją widzą, pociągnięte czarem, zaklętym w mgły lotne, unoszące się nad łąkami i osrebrzone klaskami księżycowymi. Ostatni z wielkich Cel-

tów, Ossjan, wywoła z mgieł tych ducha Fingala i jego towarzyszy. W ten sposób w samych już zaczątkach życia społecznego rodzi się kult przodków u ludzi rasy białej. Wielki Przodek staje się Bogiem plemienia. I oto mamy już początek religii.

Ale to jeszcze nie wszystko. Dokoła prorokini gromadzą się starcy, którzy przypatrują się jej w chwilach jej snów na jawie, w momentach jej wieszczych natchnień. Badają oni jej stany zmienne, kontrolują jej objawienia, wyjaśniają jej słowa prorocze. Spostrzegają, że w chwilach natchnień wieszczych, w stanie jasnowidzenia, twarz jej przeobraża się, mowa staje się rytmiczną, a głos podniesiony wypowiada prorocstwa śpiewnie, melodią poważną i dźwięcznie wpadającą w ucho¹⁾. Stąd wiersz, strofa, poezja i muzyka, której źródło uważane jest za boskie przez wszystkie ludy aryjskie. Pojęcie objawienia nie mogło powstać na innej drodze, jak tylko w łączności z faktami podobnego rodzaju. Zarazem też wytryska z nich poczucie religijne, potrzeba kultu, kapłanów i poezji.

¹⁾ Wszystkich, którzy mieli sposobność widzenia prawdziwej wizjonerki, uderzyć musiało dziwne podniecenie umysłowe, objawiające się w jej śnie na jawie. Dla tych, którzy nie bywali świadkami podobnych przejawów i którzy mogliby mieć wątpliwości w tym kierunku przytoczę ustęp z dzieła znanego Dawida Straussa, którego nie można podejrzewać o przesady. Widział on u przyjaciela swego, Justyna Kenera, słynną „jasnowidzącą z Preworst“ i tak ją opisuje: „Wkrótce potem jasnowidząca wpadła w sen magnetyczny. Po raz pierwszy wówczas miałem przed sobą obraz zdumiewającego tego stanu i, rzec mogę, w najczystszej i najpiękniejszej jego postaci. Była to twarz o wyrazie bolesnym, ale wzniosłym i czułym, jak gdyby opromieniona światłem niebiańskim; język jasny, miarkowany, uroczysty; dźwięczny; rodzaj recytatywu; bogaństwo uczucia, przelewające się na zewnątrz, które możnaby przyrównać do zwojów mglistych oraz świetlanych, to znów ciemnych, prześlizgujących się po nad duszą, lub też do melancholijnych i ciężkich fal zefiru muskających struny cudownej harfy eolskiej“ (Biografia ogólna, art. Kerner).

W Azji, w Iranie i w Indiach, gdzie ludy białe zapoczątkowały pierwsze cywilizacje aryjskie, połączywszy się z ludami barwy odmiennej, mężczyźni rychło wzięli górę nad kobietami w zakresie natchnień religijnych. Mowa tam już jest tylko o mędracach, a rishi, o prorokach. Kobieta odsunięta, podległa, jest już kapłanką tylko przy ognisku domowym. W Europie natomiast odnajdujemy ślady górującej roli kobiety u ludów tego samego pochodzenia, pozostających w stanie barbarzyńskim w ciągu tysiącleci. Uwydatniają się one w Pythonissie, wróżbiarce skandynawskiej, w Voluspie Eddy, w druidyjskich kapłankach celtyckich, we wróżbitkach towarzyszących armiom germańskim i rozstrzygających o dniach wydawania bitew¹⁾, i wreszcie w Bachantkach tracejskich, o których mowa jest w legendzie o Orfeuszu. Wieszcziarka przedhistoryczna odradza się w Pytii Delfijskiej.

Prorokinie pierwotne rasy białej tworzyły zgromadzenia druidek pod dozorem starców uczonych czyli druidów, ludzi spod dębu. Zrazu był wpływ ich prawdziwie dobroczynny. Intuicją swoją, boskim natchnieniem, zapalem nadawały one olbrzymi rozpęd duchowy rasie, która stała zaledwie u progu wielowiekowej walki swojej z rasą czarną. Rychło jednak uległa instytucja druidek rozprężeniu. Nieuniknionymi stały się wówczas ogromne nadużycia. Czując się paniami losów rodzimych szczepów, zapragnęły druidki utrwalić to panowanie za wszelką cenę. Nie mogąc stale liczyć na natchnienie, próbowały w braku jego panować grozą. Żądały ofiar w ludziach i uczyniły z nich pierwiastek podstawowy swojego kultu. Instynkty bohaterskie ich rasy wielce były im w tym względzie pomocne. Białych cechowało męstwo i ich wojownicy lekceważyli śmierć, na pierwsze zaraz wezwanie zjawiali się sami i z zapalem junackim rzucali się pod nóż krwawych kapłanek. Żywych wysyłano w poselstwie do zmarłych, aby tą drogą zyskać łaski przodków. Ta groźba nieustanna zawieszona nad głowami pierwotnych wojowników i spadająca w postaci wyroków głoszonych ustami

¹⁾ Porównaj ostatnią bitwę Ariowista i Cezara w **Komentarzach** Cezara.

proroków i druidów stała się w rękach ich potężnym narzędziem władzy.

Mamy tu pierwszy przykład wypaczenia, jakiemu z konieczności ulegają najszlachetniejsze porywy natury ludzkiej, gdy nie miarkuje ich władza rozumna, mająca dobro jedynie na względzie i zdążająca ku niemu, pod wpływem wyższego uświadomienia. Wydane na łup ambicji i namiętności osobniczych, przeistacza się natchnienie w przesąd, męstwo staje się okrucieństwem, wzniosła idea ofiary — narzędziem tyranii, wyzyskiem podstępny i okrutny.

Były to jednak pierwsze dopiero zaczątki, gwałtowne i nieobliczalne w swym szale dzieciństwo rasy białej: Pełna zapału w dziedzinie duchowej, wystawiona ona być miała na wiele innych, bardziej jeszcze krwawych przełomów. Zbudziły ją do czynu pierwsze napaści rasy czarnej, która zaczynała zagarniać ją od południa Europy. Walka była z początku nierówna. Biali, na wpół dzicy, wychodzący ze swoich lasów lub mieszkań nawodnych, mieli za jedyną broń łuki, dzidy i strzały o ostrzach kamiennych. Czarni uzbrojeni byli w broń żelazną, w rynsztunek spiżowy, posiadali wszystkie środki walki, jakich im dostarczyła ich cywilizacja pomysłowa i cyklopiczne ich grody. Zmiażdżeni w pierwszym starciu, uprowadzeni zostali Biali w niewolę Czarnych, którzy zmusili ich do rozbijania i obrabiania kamieni oraz do topienia metali w wielkich paleniskich. Rychło wszakże zaczęli ratując się ucieczką zbiegowie wprowadzać do ojczyzny swojej obyczaje, sztuki, rzemiosła, a także okruchy wiedzy zwycięzców. Biali nauczyli się od Czarnych dwóch rzeczy zasadniczych: topienia metali i świętego pisma, to znaczy sztuki utrwalania swoich myśli za pomocą tajemniczych znaczków hieroglificznych rysowanych na skórkach zwierząt, na kamieniach lub też na korze jesionów — co dało początek runom celtyckim. Metal stopiony i przekuty dawał broń wojenną; święte pismo było zaczątkiem nauki i tradycji religijnej. Walka rasy białej z czarną toczyła się ze zmiennym szczęściem w ciągu długich wieków od Pyrenejów do Kaukazu i od Kaukazu do Himalajów. Zbawieniem Białych były ich lasy, gdzie — jak dzikie zwierzęta — mogli kryć się, aby wypadać z nich w odpowied-

niej chwili. Ośmieleni, zahartowani w bojach, coraz lepiej zbrojni ze stulecia na stulecie, osiągnęli wreszcie odwet: zburzyli miasta Czarnych, wypędzili ich z wybrzeży Europejskich i zajęli z kolei całą północ Afryki oraz środek Azji, zaludniony przez szczepy rasy czarnej.

Zmieszanie obu ras dokonane zostało dwojakim sposobem: bądź drogą pokojowej kolonizacji, bądź — podboju wojennego. Fabre d'Olivet, cudownie wskrzeszający obraz przedhistorycznej przeszłości świata, rozwija niezmiernie jasny pogląd na powstanie narodów zwanych semickimi i narodów zwanych aryjskimi, przy czym punkt wyjścia jego jest następujący: Tam, gdzie biali osadnicy poddali się dobrowolnie narodom czarnym i podporządkowali się im, przyjmując z rąk ich kapłanów wtajemniczenie religijne, utworzyć się miały ludy semickie, jak: Egipcjanie sprzed Menesa, Arabowie, Fenicjanie, Chaldejczycy i Żydzi. Cywilizacje aryjskie natomiast powstać miały tam, gdzie Biali panowali nad Czarnymi dzięki zwycięstwu czy podbojowi; takim np. miało być pochodzenie Irańczyków, Hindusów, Greków i Etrusków. Dodajmy, że tą nazwą narodów aryjskich obejmujemy też narody białe, które pozostały w starożytności w stanie barbarzyńskim i koczowniczym, jak np.: Scytów, Getów, Sarmatów, Celtów, a w następstwie Germanów. Tłumaczyłaby się tym zasadnicza różnorodność religii i pisma tych dwu wielkich kategorii narodów. U Semitów, na których pierwotnie wpływ przeważający wywierała umysłowość rasy czarnej, zauważyć się daje — ponad powszechnym bałwochwalstwem — dążenie do monoteizmu, bowiem ukryta doktryna jedności Boga nieosobowego i bezwzględego była jedną z głównych zasad wiary kapłanów czarnej rasy oraz ich wtajemniczenia. U Białych, którzy bądź jako zwycięzcy, bądź z innych powodów pozostali czyści, spostrzegać się daje, przeciwnie, dążenie do wielobóstwa, do mitologii, do personifikacji bóstwa, co wpływało z ich umiłowania natury i z ich namiętnego kultu przodków.

Na tej samej drodze wytłumaczyć się też daje zasadnicza różnica pomiędzy pismem Semitów i Aryjczyków.

Dlaczego wszystkie narody semickie piszą od ręki prawej ku lewej, a ludy aryjskie — od lewej ku prawej? Fabre wyjaśnia to w sposób zarazem ciekawy i oryginalny. Wyjaśnienie jego daje nam istną wizję tej zaginionej przeszłości.

Wiadomo powszechnie, że w czasach przedhistorycznych nie istniało zwykłe pismo. Sztuka pisania polegała na oddawaniu znakami dźwięków wyrazów. Pismo hieroglificzne, czyli sztuka przedstawiania rzeczy różnymi znakami, sięga najpierwszych zaczątków cywilizacji. W owych czasach pierwotnych była ona przywilejem kapłanów, uważana bowiem była za coś świętego, jako obzątek religijny, a pierwotnie nawet jako wyraz natchnienia boskiego. Kiedy na południowej półkuli kapłani rasy czarnej, czyli sudańskiej, kreślili na skórach zwierzęcych lub też na płytach kamiennych swoje tajemnicze znaki, zwracali przy tym zazwyczaj twarz ku biegunowi południowemu; ręka ich skierowana była ku Wschodowi, źródłu światła, dlatego pisać musieli od strony prawej ku lewej. Kapłani rasy białej, czyli północnej, nauczyli się pisma od kapłanów czarnych i pierwotnie pisać zaczęli w ten sam sposób, jak oni. W miarę jednak, jak budzić i rozwijać się w nich zaczęło poczucie odmienności pochodzenia, świadomość narodowa i ambicja czy duma rasowa, wymyślać zaczęli własne swoje znaki i, zamiast zwracania się w stronę Południa, ku krainie Czarnych, zwracali się ku Północy, ku krajowi Przodków i pisali w stronę Wschodu, wskutek czego stawiać zaczęli znaki od strony lewej ku prawej. Tym się tłumaczy kierunek runów celtyskich, znaków zendu czyli języka starożytnych Persów, sanskrytu, języka greckiego, łaciny i wszystkich w ogóle pism ras aryjskich. Biegną one w kierunku słońca, źródła życia na ziemi; ale zwrócone są ku Północy, ojczyźnie Przodków i tajemnemu źródłu jutrzni niebiańskich.

Prąd semicki i prąd aryjski stanowią dwa strumienie, którymi szły do nas wszystkie nasze światopoglądy, mitologie nasze i religie, sztuki, nauki i doktryny filozoficzne. Każdy z tych prądów przynosi z sobą odmienny

światopogląd, a ujednostajnienie tych pojęć odmiennych i ich pojednanie dałoby prawdę właściwą. Prąd semicki obejmuje zasady bezwzględne i wyższe: pojęcie jedności i powszechności w imię idei kierowniczej, która w zastosowaniu swoim prowadzi do zjednoczenia całego rodu ludzkiego. Prąd aryjski mieści w sobie ideę rozwoju, idącego wzwyż po przez wszystkie królestwa ziemskie i poza ziemskie i prowadzi, w zastosowaniu swoim, do nieskończonej różnorodności rozwoju w imię nieprzebranego bogactwa natury i wielorakich dążeń duszy. Geniusz semicki zstępuje od Boga do człowieka; geniusz aryjski wznosi się od człowieka do Boga. Symbolem pierwszego jest archanioł, wymierzający sprawiedliwość i zstępujący na ziemię, zbrojny w miecz i piorun; drugiego — Prometeusz, dzierżący w dłoni ogień porwany z niebios i hardo mierzący wzrokiem Olimp.

My dzisiaj nosimy w sobie oba te geniusze. Myślimy i działamy z kolei pod wpływem jednego i drugiego. Są one jednak splątane bezładnie, a nie zlane w jedną całość w naszej umysłowości. Przeciwstawiają się wzajem sobie i zwalczają w naszym poczuciu wewnętrznym i w naszym myśleniu nieuchwytnym tak samo jak w naszym życiu społecznym i w naszych urządzeniach publicznych.

Utajone pod różnorodnymi postaciami, które możnaby sprowadzić do dwu mianowników ogólnych: spirytualizmu i naturalizmu, nadają one kierunek naszym dyskusjom i naszym walkom. Niezwalczone są oba i nie dają się pogodzić z sobą wzajem. Któż je złączy? A jednak od ich pojednania, od zlania się ich w jedną syntezę zależy postęp i zbawienie ludzkości, Dlatego też w pracy niniejszej chcielibyśmy dotrzeć do źródła obu prądów, do narodzin dwu geniuszów. Po przez walki dziejowe, wojny kultów, sprzeczności tekstów świętych przenikniemy w głąb sumień twórców ich i proroków, którzy nadali religiom kierunek pierwotny. Posiedli oni intuicję wieszczą i natchnienie, przychodzące z góry, żywe światło, rodzące czyn płodny. Synteza istniała w nich, tkwiła w ich duszach od początku. Promień boski zbladł i ściemnił się w ich następcach; wyblęskuje on jednak

ponownie, ilekroć w danym momencie dziejowym prorok jakiś, bohater, czy jasnowidzący wznieść się zdoła do samego źródła jasności. Bowiem cel dostrzec można tylko z punktu ośrodkowego; ze słońca promieniującego — bieg planet. Taki przebieg mają dzieje objawienia. Jest ono stałe, stopniowe, wielopostaciowe jak natura, ale płynące z jednego źródła, jedyne, jak jedyną jest prawda, stałe i niewzruszone — jak Bóg.

Idąc wstecz drogą prądu semickiego, dochodzimy z Mojżeszem do Egiptu, którego świątynie miały — podług Manéthona — tradycję trzydziestu tysięcy lat. Idąc wstecz drogą prądu aryjskiego, dochodzimy do Indii, gdzie rozwinęła się pierwsza wielka cywilizacja, jako wynik podboju, dokonanego przez rasę białą. Indie i Egipt były dwiema wielkimi macierzami religii. Posiadły one tajemnicę wielkiego wtajemniczenia. Wejdziemy do ich świętych przybytków.

Tradycje ich wszakże prowadzą nas jeszcze dalej, do epoki odleglejszej, w której dwa genjusze, rozpatrywane przez nas, zjednoczone są w pierwotnej swojej niewinności i cudownie z sobą szarmonizowane. Jest to pierwotna epoka aryjska. Wspaniałe prace nauki współczesnej, zdobyte filologii, mitologii porównawczej dają nam obecnie możliwość uchylenia zasłony, kryjącej tę epokę tak odległą. Zarysowuje się ona z prostotą iście patriarchalną i wspaniałą czystością linii po przez hymny wedyjskie, które są jej odbiciem. Jest to wspaniały okres męskości, nie przypominający w niczym złotego okresu dzieciństwa, o którym śnią poeci.

(Nie brak w nim bólu i walki, jest jednak w ludziach ufność, siła i pogoda ducha, których ludzkość nigdy już później nie odzyskała.

W Indiach myśl pogłębi się, a uczucia ulegną wysubtelnieniu. W Grecji uczucia i myśli spowinięte zostaną w urok sztuki, przyodzieją się w czarowną szatę piękna. Nie istnieje jednak poezja szczytniejsza od niektórych hymnów wedyjskich, przewyższająca je wzniosłością moralną i głębią myśli. Jest w nich poczucie boskości natu-

ry, świata niewidzialnego, który ją otacza i wielkiej jedności, przenikającej całość.

W jaki sposób zrodzić się mogła kultura podobna? Jak mogła rozwinąć się umysłowość taka pośród zażartych wojen, jakie wiodły z sobą rasy, oraz ciągłej walki z naturą? Na tym miejscu zatrzymują się dociekania i domysły nauki współczesnej. Głębiej jednak docierają tradycje religijne narodów, pojmowane w ich znaczeniu ezoterycznym. Pozwalają nam one przypuszczać, że pierwsze skupienie jądra aryjskiego w Iranie wytworzyło się dzięki pewnego rodzaju doborowi, dokonanemu w samym łonie rasy białej pod przewodem zwycięskiego jakiegoś prawodawcy, który dał ludowi swojemu religię i prawa zgodne z geniuszem rasy białej. Księga święta Persów, **Zend-Avesta**, mówi w istocie o takim starożytnym prawodawcy, nazywając go imieniem Yimy. Zoroaster tworząc nową religię, powołuje się na poprzednika tego, jako na pierwszego człowieka, do którego przemawiał Ormuzd, Bóg żywy, podobnie jak Chrystus powołuje się na Mojżesza. — Poeta perski, Firdusi, nazywa tego samego prawodawcę: Djem, zwycięzca Czarnych. — W epoce hinduskiej, w **Ramayanie**, zjawia się on pod nazwą **Rama** i w szacie króla indyjskiego, otoczonego wspaniałością wysoko rozwiniętej kultury; zachowuje on tu jednak podwójną swoją cechę: zdobywcy-odnowiciela i zarazem wtajemniczonego. — W tradycjach egipskich epoka Ramy określona jest jako epoka panowania Ozyrysa, pana światła, poprzednika Izydy, królowej tajemników.

W Grecji wreszcie, starożytny bohater, pół-bóg, czczony był pod mianem Dionizosa, pochodzącym z sanskryckiego **Deva Nahusha**, boski odnowiciel. Orfeusz nadał nawet nazwę tę boskiemu Rozumowi, a poeta Nonnus opiewał podbój Indii przez Dionizosa zgodnie z tradycjami Eleuzyńskimi. Wszystkie tradycje te, jak promienie jednego i tego samego koła wskazują na jeden punkt środkowy wspólny. Idąc w ich kierunku, można dotrzeć do niego. Wówczas, po przez Indie Wedów, przez Iran Zoroastra, w pierwszym szarym brzasku rasy białej, dostrzeżemy wychodzącego z gęstwin leśnych dawnej Scytii

pierwszego twórcę religii aryjskiej, promieniującego podwójną glorią zwycięzcy i wtajemniczonego, niosącego w dłoni ogień tajemny, ogień święty, który oświeci wszystkie rasy.

Sława odnalezienia tej osobistości należy się Fabrowi d'Olivet¹⁾; utorował on drogę świetlaną, która do niej prowadzi. Idąc też śladem przez niego wytkniętym, będę usiłował i ja z kolei ją odtworzyć.

¹⁾ „Histoire philosophique du genre humain“. (Historia filozoficzna rodzaju ludzkiego). T. I.

II

POSLANNICTWO RAMY

Na cztery czy pięć tysięcy lat przed naszą erą gęste lasy pokrywały jeszcze dawną Scyтіę, ciągnącą się od Oceanu Atlantyckiego aż do mórz podbiegunowych. Czarni, którzy byli świadkami narodzin tego lądu, wyspa po wyspie, nazwali go „ziemią wyłonioną z fal“. Jakież przeciwieństwo z ich ziemią białą, spaloną od słońca, stanowiła ta Europa o zielonych wybrzeżach, o zatokach wilgotnych, głęboko wrzynających się w ląd, o sennych rzekach, ciemnych toniach jezior, o smugach mgieł, snujących się wiecznie po zboczach gór! Na porośłych trawą, nieuprawnych, rozległych jak pampasy płaszczyznach nie słychać było nic poza wyciem dzikich bestii, rykiem bawołów i ogłuszającym galopem stadnin dzikich koni, pędzących z rozwianymi na wietrze grzywami. Człowiek mógł już uważać się za pana tej ziemi. Wymyślił już noże i topory z krzemienia, umiał sporządzać łuki i strzały, proce i sidła, i znalazł dwóch towarzyszy walki, dwóch przyjaciół doskonałych na śmierć i życie: psa i konia. Pies domowy, który stał się wiernym, czujnym stróżem jego chaty skleconej z drzewa, zapewnił mu bezpieczeństwo domowego ogniska. Dzięki poskromieniu konia zdobył on ziemię, poddał władzy swej inne zwierzęta, stał się królem obszarów. Na grzbietach płowych rumaków pędzili i wirowali rudowłosi olbrzymi lotem błyskawicy. Zabijali niedźwiedzia, wilka, żubra, rzucali postrach na panterę i lwa, które w owej epoce zamieszkiwały nasze lasy.

Cywilizacja rozpoczęła swój pochod: zaczątki rodziny, klan, plemię — istniały już. Scytowie, synowie Hy-

perborejczyków, wznosili już wszędzie na cześć przodków swoich potworne menhiry ¹⁾).

Po śmierci wodza grzebano wraz z nim jego zbroję i konia, aby mógł — jak mówiono — dosiadłszy go, zwałczyć ognistego smoka na tamtym świecie. Stąd zwyczaj składania ofiary z konia, odgrywający tak wielką rolę u Wedów i Skandynawów. Religia rozpoczynała się więc od kultu przodków.

Semici odnaleźli jedyne Boga, Ducha wszechświata, w pustyni, na szczycie gór, w bezmiarze gwiezdnych przestrzeni. Scytowie i Celtowie znajdowali Bogów swoich, duchy wielorakie, duchy w gąszczach lasów rodzinnych. Tam słyszeli głosy, tam przenikały ich po raz pierwszy dreszcze Niewidzialnego, wizje Zaświatów. Dla tego też las, zachwycający czy groźny, drogim pozostał rasie białej. Pociągana melodią liści i czarem światła księżycowego, powraca ona do niego wciąż w biegu wieków, jako do źródła Młodości, do świątyni pramacierzy Herty. Uspione są w nim jej bóstwa, jej ukochania, jej utracone tajniki.

Od najdawniejszych czasów przepowiadały jasnovidzące niewiasty przyszłość, stojąc pod drzewami. Każdy szczerp miał swoją wielką prorokinię, jak Woluspa Skandynawów, z całym swoim orszakiem druidek. Kobiety te jednak, zrazu wzniosłe natchnione, stały się ambitnymi i okrutnymi. Dobrze prorokinie przeistoczyły się w złe czarownice. Ustanowiły one ofiary z ludzi i krew poświęcanych zraszała nieustannie grobowce druidów, przy akompaniamencie ponurego śpiewu kapłanów i radosnych okrzyków okrutnych Scytów. Pewien młodzieniec, imieniem Ram, sposobił się również do kapłaństwa, skupiona jednak dusza jego i głęboki umysł wzdrygały się przed tym krwawym kultem.

Młody druid łagodny był i poważny. Od wczesnego dzieciństwa okazywał już skłonności szczególne do poznawania roślin, ich cudownych własności; umiał wycisnąć i przyrządzać soki z nich; bardzo zajmowało go rów-

¹⁾ Menhiry — bloki kamienne, prawdopodobnie grobowce, przedhistoryczne pomniki celtyckie.

niez badanie gwiazd i ich wpływu. Zdawał się odgadywać, widzieć rzeczy dalekie. Stąd od lat najmłodszych wielkie uznanie dla niego najstarszych nawet druidów. Słowa jego, cała jego postać tchnęły dobrotliwą jakąś wielkością. Jego spokój mędrca był zupełnym przeciwstawieniem opętania druidek, głosicielek klątw, rzuconych przez nie w ponurych wyroczniach, w konwulsjach szału. Druidzi nazwali go „tym, który wie“, a lud dał mu miano „natchnionego pokojem“.

W poszukiwaniu nauki boskiej wędrował Ram po całej Scytii i po krajach południowych. Kapłani Czarnych, pociągnięci ogromem jego wiedzy, a zarazem jego skromnością, udzielili mu części swoich tajników. Po powrocie do kraju Północy przerażony był Ram nadzwyczajnym wzmożeniem się kultu ofiar ludzkich, w którym widział zgubę swojej rasy. Jaką jednakże drogą zwalczyć ten zwyczaj, mający źródło w dumie druidek, szerzony przez ambitnych druidów i podtrzymywany przez lud zaboronny? W owym czasie spadła na Białych inna klęska; Ram dopatrywał się w niej kary niebios za kult świętokradzki. Z wycieczek swoich do krain Południa i stykania się z Czarnymi zawlekli Biali do swego kraju straszliwą chorobę, rodzaj dżumy. Zakażała ona krew ludzi, główne źródło życia. Czarne plamy występowały na całym ciele, oddech stawał się cuchnącym, nabrzmiałe i pokryte wrzodami członki zniekształcały się i chory umierał wśród najszerszych męczarni. Oddech żywych i odór zmarłych szerzyły zarazę. Przerażeni Biali padali i konali tysiącami w swoich lasach, opustoszonych nawet przez ptactwo drapieżne. Ciężko strapiony Ram szukał napróżno drogi ratunku.

Zwykł był on oddawać się rozmyślaniom pod dębem, stojącym na polanie leśnej. Pewnego wieczora, po wielogodzinnym rozmyślaniu o nieszczęściach swojej rasy, usnął pod swoim ulubionym drzewem. We śnie zdawało mu się, że ktoś woła go po imieniu i że się obudził. W tej chwili ujrzał przed sobą postać olbrzymią, odzianą, jak on sam, w białą szatę druida. W rękę trzymała ona laseczkę, dokoła której owijał się wąż. Zdziwiony Ram chciał zapytać nieznanego o znaczeniu laseczki, gdy nagle zjawa ujęła go za rękę, kazała mu powstać i wska-

zała mu na drzewie, pod którym był uspiony, prześliczną gałąź jemioli: „Ramie! — rzekła zjawa — oto lek, którego szukasz!“ Mówiąc to, wyciągnęła z łona swego mały złoty nożyk ogrodniczy, ścięła nim gałąź i dała mu ją, po czym, szepnąwszy kilka słów o sposobie przygotowania jemioli, znikła.

Wówczas Ram zbudził się na dobre, czując się znacznie pokrzepionym na duchu. Głos wewnętrzny mówił mu, że znalazł zbawienie. Bezzwłocznie zajął się przygotowaniem jemioli wedle wskazówek boskiego swego przyjaciela. Gdy napój był gotów, rozpuścił go w płynie sfermentowanym i dał go do wypicia jednemu z chorych, który od razu ozdrowiał. Cudowne kuracje, których dokonał, okryły go sławą w całej Scytii. Wzywano go wszędzie, aby uzdrawiał. Gdy druidzi jego szczepu zapytali go o skład leku, wyjawiał im swoją tajemnicę, zaznaczając wszakże, że musi ona pozostać wyłączną własnością kasty kapłańskiej, aby nie pozbawić jej autorytetu. Uczniowie Rama, którzy obchodzili całą Scyтіę z gałązkami jemioli, uważani byli wszędzie za wysłańców boskich, a mistrz ich za pół-boga.

Wydarzenie to stało się źródłem nowego kultu. Jemiola uważana była odtąd za roślinę uświęconą. Na jej pamiątkę ustanowił Ram święto Kolendy czyli nowego zbawienia, które obchodzono na początku roku i które nazwał Nocą macierzystą (matką nowego słońca) czyli wielkim odnowieniem. Co się tyczy owej istoty tajemniczej, którą Ram ujrzał we śnie i która pokazała mu jemiolę, nosi ona w tradycji ezoterycznej Białych Europejskich nazwę **Aesc-heył-hopa**, co oznacza: „nadzieja zbawienia jest w lesie“. Grecy zrobili z niej Eskulapa, geniusza medycyny, trzymającego w ręku różdżkę czarnoksięską w postaci laski bożka, dokoła której owijają się wąż.

„Natchniony pokojem“ Ram miał jednak szersze cele na względzie. Chciał on uleczyć naród swój z choroby moralnej, gotującej mu sroższą jeszcze klęskę niż dzuma. Z chwilą, gdy obrany został naczelnym druidem swego szczepu, nakazał wszystkim druidom i druidkom, aby położyli kres przynoszeniu ofiar z ludzi.

Nowina ta rychło obiegała wszystkie ziemie aż do oceanu, witana wybuchami radości przez jednych, wywołu-

jąca jako zamach bluźnierczy, oburzenie innych. Druidki, czując, że władza ich jest zagrożona, najokropniejsze rzuciły klątwy na śmiałka, głosiły na niego wyroki śmierci. Wielu druidów, widzących w mordach ofiarnych jedyny sposób utrzymania się przy władzy, stanęło po ich stronie. Ram, ubóstwiany przez jednych, nienawidzony był przez innych. Nie tylko jednak nie cofnął się przed walką, ale zaostrzył ją przyjęciem nowego symbolu. Każdy szczep biały posługiwał się wówczas znakiem umówionym w postaci zwierzęcia, symbolizującego jego ulubione cechy. Jedni wodzowie wyrzynali na odrzwiach drewnianych swoich domostw podobizny żórawi, inni — orłów lub sępów. Jeszcze inni — głowy dzików lub bawołów. Były to pierwsze zaczątki późniejszych herbów. Ulubionym symbolem, malowanym przez Scytów na ich chorągwiach, był Byk, którego nazywali Thor, znak siły i brutalnej przemocy. Ram przeciwstawił Bykowi — Barana, odważnego, ale pokojowo usposobionego wodza stada, obrał go za znak umówiony, wyróżniający wszystkich swoich stronników. Sztandar ten, zatknięty pośrodku Scytii, stał się hasłem do wielkich zamieszek, spowodował istną rewolucję w umysłach. Narody białe rozdzieliły się na dwa obozy. Przełom nastąpił w głębi duszy Białych, którzy zrobili pierwszy krok na drodze wyzwolenia się ze zwierzęcej brutalności i wzniesienia się ku niewidzialnemu sanktuarium, wiodącemu do boskiej ludzkości. „Śmierć Baranowi!“ — wołali stronnicy Byka. „Na bóg z Bykiem!“ — głosili przyjaciele Rama. Nieuniknioną stała się walka potężna.

Wobec podobnego stanu rzeczy zawahał się Ram. Czyż rozpętanie walki takiej nie było pogorszeniem zła i skazaniem rasy swojej na zagładę w bratobójczej wojnie? W tym momencie miał on ponowne widzenie.

Ciężkie, ciemne chmury zasnuły cały strop nieba. Słały się po zboczach gór i w pędzie czepiały się miotanych wichrem wierzchołków drzew. Stojąca na skale postać niewieścia z włosom rozwiechczonym już ramię podniosła, aby zadać cios śmiertelnikowi, związanemu u jej stóp. „W imię przodków, wstrzymaj się!“ — krzyknął Ram, rzucając się na kobietę. Druidka groźnie spojrzała na przeciwnika, topiąc w nim wzrok ostrzejszy od sły-

letu. Wtem ryknął potężny grzmot i w błysku pioruna ukazała się olśniewająca postać. Blask, który bił od niej, rozjaśnił las cały. Kobieta padła jak rażona; pękły więzy, którymi spętany był wojownik, patrzący z błyskiem wyzwania w oczach na postać promiennego olbrzyma. Ram nie czuł jednak lęku, bowiem w rysach widziadła poznał istotę boską, która raz już objawiła mu się pod dębem. Wydała mu się teraz jeszcze piękniejszą; całe ciało jej promieniowało z siebie jasność. I spostrzegł Ram, że znajdował się w otwartej świątyni, otoczonej szeregiem wielkich kolumn.

Na miejscu kamienia ofiarnego wznosił się ołtarz. Przed ołtarzem stał wojownik, którego oczy wciąż jeszcze wyzywały śmierć. Kobieta, leżąca na posadzce, wydawała się martwą. Geniusz niebiański dzierżył w prawej dłoni pochodnię, a w lewej — czarę. Uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł: „Ramie, zadowolony jestem z ciebie. Czy widzisz tę pochodnię? To ogień święty Ducha boskiego. Czy widzisz tę czarę? To czara Życia i Miłości. Daj pochodnię mężczyźnie, a czarę kobiecie“. Ram uczynił, jak mu nakazał Geniusz. Z chwilą, gdy pochodnia dostała się do rąk mężczyzny, a czara do rąk kobiety, ogień zapłonął na ołtarzu sam przez się, a oboje oni promienieli przeistoczeni w jego błysku, jako para boskich Oblubieńców. Równocześnie rozszerzyła się świątynia; kolumny sięgnęły nieba; sklepienie stało się stropem niebieskim. Wówczas Ram, pogrążony wciąż w swoim wieszczym śnie, ujrzał się na szczycie góry pod niebem gwiazdzistym. Stojący przed nim Geniusz jego wyjaśniał mu znaczenie układów gwiazdnych i pozwolił mu odczytywać w płomiennych znakach zodiakalnych losy ludzkości.

„Duchu cudowny, kim jesteś?“ — zapytał Ram swego Geniusza. A Geniusz odpowiedział: „Nazywają mnie Dva Nahusha, Rozum boski. Rozsiejesz promień mój na ziemi, a ja przyjdę zawsze na twoje wezwanie. A teraz idź obroną drogą. Tam!“ I dłonią wyciągniętą wskazał mu Geniusz Wschód.

III

WYJŚCIE I PODBÓJ

Senne to widzenie otworzyło oczy Ramie, jak gdyby olśnionemu nagłym światłem, na właściwe jego posłannictwo, na olbrzymią doniosłość przeznaczeń białej rasy. Zamiast tedy wzniesienia pożogi wojennej pomiędzy szczepami europejskimi, postanowił pociągnąć za sobą wybrańców spośród nich w głąb Azji. Oznajmił więc stronnikom swoim, że ustanawia kult świętego ognia, który uszczęśliwi ludzkość; że składanie ofiar z ludzi na zawsze będzie zniesione; że obrządek wzywania Przodków nie będzie już dokonywany przez okrutne kapłanki na ociekających krwią ludzką dzikich skałach, ale przy każdym ognisku domowym przez oboje małżonków, złączonych w jednakiej modlitwie — w hymnie uwielbienia, przy ogniu oczyszczającym. Tak, ogień widmowy ołtarza, symbol i wyraziciel niewidzialnego ognia niebios, połączy rodzinę, klan, szczep i wszystkie narody, środowisko Boga żyjącego na ziemi. Aby posiać jednak taką siejbę, oddzielić należało przede wszystkim ziarno od plew; trzeba było, aby wszyscy mężczyźni przygotowali się do opuszczenia Europy dla zdobycia nowej ziemi, ziemi dziewiczej. Tam wyda on swoje prawa; tam ustanowi kult ognia odradzającego.

Myśl jego przyjęta została z zapalem przez lud młody i żądny przygód. Ognie, rozpalone i podsycane w ciągu kilku miesięcy na górach, były hasłem emigracji masowej wszystkich tych, którzy wyruszyć chcieli pod znakiem Barana. Olbrzymia masa wychodźcza, pod wodzą wielkiego pasterza narodów, ruszyła zwolna, kierując się ku środkowej Azji. W drodze wzdłuż Kaukazu zmuszona by-

ła zająć kilka cyklopicznych twierdz, wzniesionych przez Czarnych. Na pamiątkę zwycięstw swoich wycięły kolumny Białych ogromne głowy baranie na skałach Kaukazu.

Ram okazał się godnym szczytnego swojego posłannictwa. Usuwał trudności, przenikał myśli, przewidywał przyszłość, uzdrawiał chorych, uśmierzał bunty, zagrzewał męstwo. Widocznie więc potęgi niebiańskie, nazywane przez nas Opatrznością, chciały panowania rasy północnej na ziemi, gdy za pośrednictwem geniusza Ramy rozświetlały promieniami swoimi jej drogi. Rasa ta miała już swoich wtajemniczonych drugiego stopnia, którzy wyrwali ją ze stanu dzikości. Ram wszakże, w którego umyśle poczęta została po raz pierwszy idea prawa społecznego, jako wyrazu prawa boskiego, był wtajemniczonym bezpośrednio, wtajemniczonym pierwszego rzędu.

Zaprzyjaźnił się z Turańczykami, dawnymi plemionami scytyjskimi, skrzyżowanymi z rasą żółtą i zamieszkującymi górną Azję i pociągnął ich za sobą na podbój Iranu, z którego wyparł całkowicie Czarnych. Chciał on, aby naród czystej rasy białej zaludnił środek Azji i stał się dla wszystkich innych ogniskiem światła. Założył tu miasto Ver, miasto cudowne, jak mówi Zoroaster. Nauczył lud swój uprawiania i obsiewania ziemi, był ojcem zboża i łoży winnej. Ustanowił kasty zależnie od rodzaju zajęcia i rozdzielił całą ludność na kapłanów, wojowników, rolników i rzemieślników. Kasty te pierwotnie nie współzawodniczyły z sobą; przywilej dziedziczenia, odwieczne źródło nienawiści i zawiści, wprowadzony został później dopiero. Zakazał niewolnictwa równie surowo jak morderstwa, utrzymując, że niewolenie człowieka przez człowieka jest źródłem wszystkich nieszczęść. Zachował w zupełności ustrój klanowy, więc pierwotne ugrupowanie rasy białej, i pozwolił klanowi wybierać wodzów swoich i swoich sędziów.

Uwieńczeniem dzieła Ramy, głównym narzędziem cywilizacyjnym, przez niego stworzonym, była nowa rola, jaką wyznaczył kobiecie. Dotychczas mężczyzna znał kobietę w dwojakiej jej postaci.: nędznej niewolnicy chaty, którą pomiałał i z którą obchodził się brutalnie, lub też groźnej kapłanki spod dębu i znad skały, o której łaski

ubiegał się. Jak czarownica okrutna, opętała go ona i nieograniczoną miała nad nim władzę, gdyż przesadna dusza jego dygotała z lęku przed jej wyrokami. Krwawa ofiara ludzka była odwetem ze strony kobiety topiącej nóż w sercu swojego tyrana. Przez zniesienie tego kultu straszliwego i podniesienie kobiety wobec mężczyzny do boskiej godności małżonki i matki, Ram uczynił z niej kapłankę domowego ogniska, strażniczkę ognia świętego, równą małżonkowi, wzywającą wraz z nim ducha Przodków.

Jak wszyscy wielcy prawodawcy, Ram rozbudził jedynie i rozwinął podnioślejsze instykty swojej rasy. Celem urozmaicenia i upiększenia życia ustanowił cztery wielkie święta doroczne. Pierwszym było święto wiosny czyli rodzaju. Poświęcone było miłości małżonka i małżonki. Święto lata, czyli zbiorów, należało do synów i córek, którzy darzyli rodziców plonami swojej pracy. Święto jesieni słaWiło ojców i matki, którzy dawali dzieciom owoce na znak uciechy. Najuroczystszym i najbardziej mistycznym było święto Narodzin, czyli wielkiego posiewu. Ram poświęcił je zarazem noworodkom, owocom miłości poczętym na wiosnę i duszom zmarłych czyli Przodków. Ta uroczystość religijna, jako łącznik między widzialnym a niewidzialnym, była zarazem pożegnaniem dusz, które uleciały i mistycznym pozdrowieniem tych, które wstępowały ponownie w łona matek, aby odrodzić się w ich dzieciach. W tę noc świętą zbierali się dawni Ariowie w świętych przybytkach Aïryana-Vaeïa, jak to czynili ongi w swoich lasach. Rozniccaniem ogni i śpiewami święcili początek roku ziemskiego i słonecznego, kiełkowania w łonie ziemi, życia płodnego w samym sercu zimy, dreszcz życia, w głębi śmierci. Opiewali zlanie się w uścisku nieba i ziemi i zwycięskie poczęcie nowego słońca przez wielką Macierz-Noc.

Ram wiązał w ten sposób życie ludzkie z cyklem pór roku, z przeistoczeniami astronomicznymi, uwydatniając tym samym boskie jego znaczenie. Za ustanowienie płodnych tych w wyniki urzędzeń nazywa go Zoroaster „wodzem narodów, wielokroć szczęsnym monarchą“. Z tego też samego powodu poeta hinduski, Valmiki, przenoszący starożytnego bohatera do epoki znacznie późniejszej

wkładający go w ramy kultury dużo bardziej posuniętej, nie odejmuje mu jednak cech wysokiego ideału: „Rama o oczach błękitnych jak kwiat lotosu — mówi Valmiki — był panem świata, władcą duszy własnej i miłością ludzi, ojcem i matką swoich poddanych. **Umiał on związać wszystkich łańcuchem miłości**“.

Rasa biała, osiadła w Iranie, u wrót Himalajów, nie była jeszcze władczynią świata. Przednie jej strażę musiały posunąć się w głąb Indii, do głównego środowiska Czarnych, którzy pokonali niegdyś rasę czerwoną i rasę żółtą. Zend-Avesta mówi o tym pochodzie Ramy na Indie.¹⁾

¹⁾ Nader znamiennym jest, że Zend-Avesta, księga święta Persów, uważając Zoroastra za natchnionego przez Ormuzda proroka prawa Bożego, czyni z niego następcę proroka znacznie dawniejszego. Symbolika świątyni starożytnych daje nam tutaj wątek wielkiego objawienia boskiego, snujący się po przez wszystkich prawdziwych wtajemniczonych i wiążący ich z sobą. Oto ustęp ten:

1. Zarathustra (Zoroaster) zapytał Ahura-Mazdy (Ormuzda, boga światła): Ahura-Mazdo, o święty i stokroć błogosławiony twórcu wszystkich istot cielesnych przezczystych:

2. Kto był pierwszym człowiekiem, z którym mówiłeś, ty, któryś jest Ahura-Mazdą?

...4. Wówczas Ahura-Mazda odrzekł: „Z pięknym Yimā, tym, który stał na czele zgromadzenia, godnego pochwały, o czysty Zarathustro“;

...13. A ja mu rzekłem: „Czuwaj nad światami, które do mnie należą, uczyni je płodnymi ty, jako ich opiekun.

...117. A ja przyniosłem mu oręż zwycięstwa, ja, który jestem Ahura-Mazdą.

...18. Dzidę złotą i złoty miecz.

...31. Wówczas Yimā wznosił się do gwiazd ku południowi, po drodze, która idzie za słońcem.

...37. Kroczył on po tej ziemi, którą uczynił płodną. Była ona o trzecią część znaczniejszą niż dawniej.

...43. I świetny Yimā zebrał zgromadzenie mężów najzaniejszych na słynnej górze Ariyana-Vaeia, stworzonej czystą Vendidad-Sadé 2-i Fargard.

Epopea hinduska uczyniła z pochodzącego tego jeden z najulubieńszych swoich tematów. Rama podbił obszary, obejmujące Himawat, ziemię słoni, tygrysów i gazel. Dał on hasło do pierwszego uderzenia i prowadził pierwszy atak tego olbrzymiego boju, w którym dwie rasy walczyły nieświadomie o berło świata. Tradycja poetycka Indii, opierając się na tradycji tajemniczej nauki świątyni, przeistoczyła bój ten w walkę czarowników białych z czarownikami czarnymi. W wojnie swojej z ludami i królami kraju Dżambus, Ram — jak go wówczas nazywano — Rama, jak go nazywały ludy Wschodu, użył sposobów cudotwórczych na pozór, bowiem przekraczających zwykłe władze człowieka. Posiadanie ich zawdzięczali wielcy wtajemniczeni znajomości ukrytych sił przyrody i umiejętności kierowania nimi.

Tradycja podaje, że za sprawą Ramy wytryskiwały źródła na pustyni; zgłodniałe rzesze znajdowały niespodziewanie rodzaj mанны, której sposobu używania nauczyły; innym znów razem ukrócał epidemie stosowaniem rośliny zwanej **hom** (grecka — **amomos**, egipska — **persea**), z której wyłaczał sok uzdrawiający. Roślina ta zyskała odtąd miano świętej wśród jego wyznawców i zastąpiła jemiolę, którą utrzymali jako świętą Celtowie europejscy.

Rama zwalczał wrogów wszelkiego rodzaju czarami. Kapłani czarnych zawdzięczali władzę nad ludami jedynie dzięki podtrzymywaniu barbarzyńskiego kultu. Hodowali w świątyniach swoich olbrzymie węże i gady latające, rzadkie przeżytki zwierząt przedpotopowych, którym kazali oddawać cześć jako bogom i które budziły grozę w tłumach. Węże te karmili ciałami jeńców. Rama zjawiał się od czasu do czasu niespodzianie w tych świątyniach z pochodniami, budził postrach wśród węży i kapłanów i przeganiał ich precz. Czasem też zjawiał się w obozie nieprzyjacielskim i narażał się bezbronny na wściekłość tych, którzy czyhali na jego śmierć. Nikt jednak nie śmiał tknąć go, wracał też bez żadnej szkody do swoich. Na pełne zdziwienia pytania, zadawane tym, którzy pozwalali mu odejść bezkarnie, odpowiadali oni, że spotkawszy się z jego wzrokiem, drętwieli z przerażenia; albo też, że, kiedy mówił, góra śpiżowa stanęła między

nimi a nim, tak że widzieć go nie mogli. Wreszcie, jako
uwieńczenie jego dzieła, przypisuje Ramie tradycja in-
dyjska podbój Cejlonu, ostatniego schronienia czarnego
czarownika Rawany, na którego czarownik biały spuścił
deszcz ognisty, przerzuciwszy uprzednio most przez od-
nogę morza. Do zbudowania mostu tego pomogły mu za-
stępny mały, przypominających bardzo pierwotny jakiś
szczęp dzikich himanów, których wciągnął i zagrzeź do
walki ten wielki oczarowywacz narodów.

IV

TESTAMENT WIELKIEGO PRZODKA

Mocy swej, geniuszowi swemu i swej dobroci zawdzięczał Rama, jak mówią święte księgi Wschodu, że stał się władcą Indii i Królem duchowym świata. Kapłani, narody i królowie korzyli się przed nim jak przed dobroczyńcą niebieskim. Wysłańcy jego szerzyli pod znakiem barana prawo aryjskie, wieszczące równość zwycięzców i zwyciężonych, zniesienie krwawych ofiar z ludzi i niewolnictwa, poszanowanie kobiety przy ognisku domowym, kult przodków i dogmat świętego ognia, jako widomy symbol Boga nienazwanego.

Zestarzał się Rama. Broda jego zbielała, ale moc nie opuściła jego ciała, a majestat najwyższego kapłana prawdy jaśniał na jego czole, Królowie i wysłańcy narodów składali w jego ręce władzę najwyższą. Prosił o rok czasu do namysłu, a w trakcie tego ponowne miał widzenie.

„Ujrzał się w lasach z czasów swojej młodości. On sam był znów młodym i miał na sobie szatę lnianą druida. Świecił księżyc. Była to noc święta, Noc-Macierz, w której ludy oczekują odrodzenia słońca i roku. Rama chodził pod dębami, wsłuchując się jak niegdyś w nawołujące głosy losu. Nagle zbliżyła się do niego piękna niewiasta z wspaniałą koroną na głowie. Jej płowe włosy świeciły jak złoto, skóra jej była białości śniegu, a oczy miały głęboki blask lazuru po burzy. Rzekła doń: „Jestem dziką druidką; dzięki tobie stałam się małżonką promienną. Nazywam się Sita. Jestem kobietą, wyniesioną przez ciebie do chwały, jestem rasą białą, jestem twoją oblubienicą. O, panie mój i królu! Wszakże to dla mnie przeszedłeś

przez rzeki, oczarowałaś narody i powaliliś królów. Oto twoja nagroda. Przyjm wieniec ten z ręki mojej, uwieńcz nim skroń twoją i panuj wraz ze mną nad światem. Ukłękła w postawie kornej, pełnej poddania, podając mu wieniec leżący na ziemi. Jego kamienie drogocenne połyskiwały tysiącami ogni; upojenie miłosne promieniało w oczach kobiety. Widok ten przejął do głębi duszę staroego Ramy, pasterza ludów. Wtem zjawił się ponad lasem Geniusz jego, Deva Nahusha, i przemówił doń: „Jeśli włożysz wieniec ten na głowę swoją, opuści cię Intellekt boski; nie ujrzysz mnie więcej. Jeśli weźmiesz niewiastę w objęcia swoje, szczęście twoje śmierć jej zada. Jeśli jednak wyrzekniesz się posiadania jej, będzie żyła szczęśliwa i wolna na ziemi, a duch twój niewidzialny będzie panował nad nią. Wybieraj tedy: czy chcesz dać posłuch jej prośbie, czy pójść za mną“. Sita, nie podnosząc się z klęcek, patrzyła na swego władcę oczyma upojonymi miłością i wzrokiem błagalnym czekać się zdawała na jego odpowiedź. Rama milczał przez chwilę. Spojrzenie jego utkwione w oczach Sity mierzyło przepaść, dzielącą posiadanie całkowite od rozstania na wieki. Czując wszakże, iż miłość najwyższa jest najwyższym wyrażeniem się, położył dłoń swoją wyzwalającą na czole białej kobiety i rzekł do niej: „Żegnaj! Bądź wolną i nie zapominaj o mnie!“ Ledwie wymówił te słowa, kobieta znikła niby zjawa księżycowa. Młoda Jutrzenka dotknęła czarodziejską różdżką swoją wierzchołków lasu wiecznego. Król stał się znów starcem. Rosa łąz skropiła jego białą brodę, a z głębi lasów zawołał jakiś głos smętny: „Ramo! Ramo!“

Ale Deva Nahusha, Geniusz promieniejący światłością, zawołał: „Za mną!“ I Duch boski uniośł Ramę na górę na północ Himawatu.

Po tym widzeniu, które wskazało mu, w jaki sposób spełnić ma swoje posłannictwo, zwołał Rama królów i wysłańców narodów i rzekł im: „Nie chcę władzy najwyższej, którą mi ofiarujecie. Zatrzymajcie wasze wieńce i bądźcie posłuszni prawu. Zadanie moje spełnione. Chronię się na zawsze z moimi braćmi wtajemniczonymi na górę Aïryana-Vaeïa. Stamtąd czuwać będę nad wami. Pilnujcie ognia świętego! Gdyby zagasnąć miał, zjawiłbym

się znów wśród was, ale już jako sędzia karzący, jako mściciel!" To rzekłszy, odszedł wraz z wiernymi swoimi na górę Albori, pomiędzy Balkiem i Bamayanem, do schroniska, które znane było tylko wtajemniczonym. Tam nauczał uczniów swoich wszystkiego, co sam wiedział o tajemnicach ziemi i wielkiej Istoty. Oni z kolei różnieśli daleko, po Egipcie aż do Okcytanii, ideę ognia świętego, symbolu boskiej jedności rzeczy, oraz rogi baranie, godło religii aryjskiej. Rogi te stały się znakiem wtajemniczenia, a stąd władzy kapłańskiej i królewskiej ¹⁾). Rama nie przestawał czuwać z dala nad ludami i nad umiłowaną swoją białą rasą. Ostatnie lata jego życia zajęte były ustaleniem kalendarza Arian. Jemu to zawdzięczamy znaki zodiaku. Był to testament patriarchy wtajemniczonych. Dziwna księga, wypisana przez Praojca rasy naszej gwiazdami, znakami hieroglificznymi niebios na stropie bezkresnym. Ustalając dwanaście znaków zodiaku, potrójne przypisał im znaczenie. Pierwsze tyczyło wpływu słońca podczas dwunastu miesięcy roku; drugie streszczało w pewnej mierze własne jego dzieje; trzecie wskazywało tajemne sposoby, jakimi posługiwał się, aby osiągnąć swój cel. Dlatego właśnie znaki te, odczytywane w porządku odwrotnym, stały się z czasem ukrytymi godłami wtajemniczenia stopniowego ²⁾).

¹⁾ Rogi baranie odnaleźć można na głowach mnóstwa postaci na pomnikach egipskich. Ten strój głowy królów i wielkich kapłanów jest oznaką wtajemniczenia kapłańskiego i królewskiego. Stąd też pochodzą dwa rogi tiary papieskiej.

²⁾ Oto w jaki sposób podług Fabra d'Olivet, genialnego tego myśliciela, który umiał odczytywać symbole przeszłości w myśl tradycji ezoterycznej, uosabiają znaki zodiaku dzieje Ramy: — 1. Baran, uciekający z głową zwróconą w tył, wyobraża Rama opuszczającego ojczyznę i kierującego wzrokiem krajowi, z którym się rozstaje. — 2. **Byk rozjuszony** staje mu na drodze, ale połowa jego ciała pogrążona w mule nie pozwala mu wykonać zamiaru, pada więc na kolana. — 3. **Bliźnięta** oznaczają sojusz Ramy z Turańczykami. — 4. **Rak** — rozmyślanie i skupienie się jego w głębi duszy własnej — 5. **Lew** — jego walki z wrogami. 6. **Dziewica skrzydlata** (znak **Panny**) zwycięstwo. 7. **Wagi** — równość zwycięz-

Rama nakazał wiernym swoim, aby zataili fakt jego śmierci i prowadzili dalej dzieło jego, utrzymując na wieki swoje braterstwo. W ciągu całych stuleci jeszcze wierzyły ludy, że Rama, noszący na głowie tiarę z rogami baraniami, żyje wciąż jeszcze na świętej swojej górze. W czasach wedyjskich Wielkim Przodkiem stał się Yama, sędzia zmarłych, Hermes — kierowca dusz Hindusów.

ców i zwyciężonych. 8. **Skorpion** — bunt i zdradę. 9. **Strzelec** — zemstę za nie. 10. **Koziorożec**. 11. **Wodnik**. 12. **Ryby** tyczą moralnej strony dziejów Ramy.

To wyjaśnienie znaków zodiaku może się wydać śmiałym i dziwacznym. Jak dotychczas jednak nie wyjaśnił nam żaden astronom ani mitolog w przybliżeniu nawet pochodzenia ani znaczenia tych znaków tajemniczych mapy nieba, przyjętych i czczonych przez ludy od samego początku naszego cyklu aryjskiego: Hipoteza Fabra d'Olivet ma tę przynajmniej zasługę, że otwiera umysłowi naszemu nowe i dalekie widnokreśli. — Powiedziałem, że znaki te, czytane w porządku odwrotnym oznaczały w następstwie w Grecji i na Wschodzie różne stopnie, które należało przebyć, aby wznieść się do najwyższego wtajemniczenia. Przypomnijmy najsłynniejsze z tych godeł: **Dziewica skrzydlata** oznaczała czystość, dającą zwycięstwo. **Lew** — siłę moralną; **Bliźnięta** — związek człowieka z duchem boskim, tworzących pospolu dwóch zapaśników niezwalczonych. **Byk** okiełznany — opanowanie przyrody; **Baran** — gwiazdę Ognia lub Ducha wszechświata, który darzy wtajemniczeniem najwyższym przez poznanie Prawdy.

V

RELIGIA WEDYJSKA

Geniusz organizatorski wielkiego wtajemniczonego Ariów stworzył w Azji, w Iranie, lud, społeczeństwo i ustrój życia, które promieniować miały we wszystkich kierunkach. Kolonie pierwotnych Ariów rozszerzyły się po Azji i po Europie, roznosząc ich obyczaje, ich kultury i ich bóstwa. Z wszystkich tych kolonii najbardziej zbliżoną do Ariów pierwotnych jest odnoga Ariów, zamieszkałych w Indiach.

Księgi święte Indów, Wedy, mają dla nas wartość potrójną. Przede wszystkim wiodą one nas do ogniska dawnej czystej religii aryjskiej, której hymny wedyjskie świetlanymi są promieniami. Nadto dają one nam klucz do zrozumienia duszy Indii. I wreszcie wskazują nam pierwsze skryształizowanie się podstawowych, macierzystych niejako idei ezoterycznej doktryny oraz wszystkich religii aryjskich ¹⁾.

Poprzestaniemy na krótkim tylko rzucie oka na formy zewnętrzne oraz na jądro religii wedyjskiej.

Nic prostszego ani bardziej wzniosłego nad religię tę, w której głęboki naturalizm łączy się z ukrytym spiry-

¹⁾ Brahmani uważali Wedy za główne swoje księgi święte. Znajdują oni w nich naukę nauk Sam wyraz **Weda** oznacza wiedzę. Słusznie też miały teksty wedyjskie urok szczególny dla uczonych europejskich. Zrazu widzieli oni w nich tylko poezję patriarchalną; z czasem jednak odkryli w nich nie tylko źródło wielkich mitów indo-europejskich oraz najszybszych bóstw klasycznych, ale także mądrze ustanowiony kult,

tualizmem. Przed wschodem słońca mężczyzna, głowa rodziny, staje przed ołtarzem ziemi, na którym płonie ogień, rozniecony za pomocą tarcia dwóch suchych kawałków drzewa.

Przy sprawowaniu obrzędów głowa rodziny jest zarazem ojcem, kapłanem i królem ofiarnym. Podczas gdy jutrzienka wchodzi na niebo, wyłaniając się z mgieł, „jak — wedle słów poety wedyjskiego — kobieta, wychodząca z kąpieli i tuląca się w najpiękniejsze, utkane przez nią samą płótna“, odmawia głowa domu modlitwę, wezwanie do Ushy (Jutrzienki), do Savitri (słońca) i do Assurów (Duchów życia). Matka i synowie leżą na ogień (**Agni**), płyn sfermentowany przygotowany z tojeści — **soma**. Strzelający w górę płomień unosi ku bogom niewidzialnym modlitwę oczyszczoną, wychodzącą z ust patriarchy i z serca rodziny.

Stan duszy poety wedyjskiego tak samo dalekim jest od zmysłowości helleńskiej (mówię o kultach gminnych greckich, nie zaś o nauce wtajemniczonych w Grecji), która wyobraża sobie bogów kosmicznych zdobnych w piękne kształty ludzkie, jak od żydowskiej doktryny jednobóstwa, wielbiącej Przedwiecznego, wszechobecnego, choć niemającego formy zewnętrznej. W pojęciu poety wedyjskiego natura podobna jest do przejrzystej zasłony, poza którą poruszają się siły nieważkie i boskie. Siły te wzywa on, wielbi, personifikuje, zdając sobie doskonale sprawę ze swoich przerośni. Dla niego słońcem jest nie tyle Savitri, ile Vivaswat, potęga twórcza, która w nie tchnie życie i której dziełem jest system słoneczny. Indra, boski wojownik, przebiegający niebo na swoim wozie złocistym, miotający pioruny i przeszywający obłoki, uosabia potęgę tego słońca w życiu atmosferycznym, w „wielkim przezroczu powietrznym“. Wyżej jeszcze

głęboko obmyślony system religijny i metafizyczny (patrz Bergaigne: „Religia Wedów“, a także piękna, jasna praca Augusta Bartha: „Religie Indii“). Przyszłość gotuje im może ostatnią niespodziankę, którą będzie odnalezienie w Wedach określenia tajemnych sił przyrody. Nauka współczesna jest już na ich tropie.

wznosi się poeta wedyjski, kiedy wzywa Varunę (Uranosa greckiego), boga bezkresnego, świetlanego nieba, obejmującego wszechświat. O ile Indra uosabia życie czynne oraz walki nieba, jest Varuna przedstawicielem niewzruszonego jego majestatu. Nic nie może dorównać wspaniałości opisu nieba, jaki znajdujemy w Hymnach: „Słońce jest jego okiem, niebo — jego szatą, huragan — jego tchnieniem. Jego to dziełem jest ustalenie podstaw niewzruszonych, na których opiera się niebo i ziemia i on też utrzymuje je w rozdzieleniu. Wszystkiego dokonał i wszystko zachował. Dziełom Varuny nic szkody wyrządzić nie może. Nikt nie jest w stanie przeniknąć go; ale on sam wie wszystko i widzi wszystko, co jest i co będzie. Z wyżyn nieba, na którym przebywa w pałacu o tysiącu wrót, rozróżnia w powietrzu ślady przelatującego ptactwa, a na oceanie drogę okrętów prujących fale. Z wyżyn tych, ze swego złocistego tronu, opartego o podstawy z brązu, widzi on i sądzi działania ludzkie. Utrzymuje ład we wszechświecie i w społeczności; karze winnego; miłosiernym jest dla żałujących za grzechy. Ku niemu też zwraca się okrzyk bólu i pokajania; przed obliczem jego staje grzesznik, aby zrzucić z siebie brzemię swojej winy. Obrazkowa skądinąd, często wysoce spekulatywna religia wedyjska schodzi z Varuną w głębię świadomości i osiąga zrozumienie idei boskiej¹⁾). Dodajmy, że wznosi się ona do czystej idei Boga jedyne, przenikającego wielką Całość i rządzącego nią. Potężne obrazy, roztaczane w hymnach wielkimi strumieniami, niby rzeki wezbrane, dają nam jednak pojęcie o zewnętrznej tylko obsłonie Wedów. Do samego jądra doktryny, do jej tajemniczej, ukrytej głębi docieramy dopiero wraz z pojęciem o Agni, ogniu bożym. Agni jest w istocie najdoskonalszym czynnikiem kosmicznym, podstawą wszechrzeczy. „Nie jest on tylko ogniem ziemskim błyskawicy i słońca. Istotną jego ojczyzną jest niebo niewidzialne, tajemnicze, siedlisko światła wiekuistego, praźródło wszechrzeczy. Narodziny jego są nieskończone, bądź kiedy wytryska z kawałka drzewa, w którym spoczywa w uśpieniu niby zarodek w macicy,

¹⁾ A. Barth. „Religie Indii“.

bądź kiedy jako „Syn Fal“ kaskadą spada z hukiem gromu, z rzek niebiańskich, w których Aćwini (rycerze nieba) spłodzili go z pajakami złotymi. Jest on najstarszym z bogów, kapłanem najwyższym nieba i ziemi; celebrował modły w siedlisku Vivaswata (nieba czy słońca) znacznie wcześniej jeszcze, aniżeli przyniósł go śmiertelnym Matariswa (piorun) i zanim Atarvan i Angirasi, ofiarnicy starożytni, zesłali go na ziemię jako opiekuna, gospodarza i przyjaciela ludzi.

Agni, kierownik i twórca ofiary boskiej, stał się też wzywaczem bogów, nosicielem wszelkich rozważań mistycznych, których przedmiotem jest ofiara. **Rodzi bogów**, kształtuje świat, wytwarza i podtrzymuje życie na ziemi; jest — słowem — **potęgą kosmogoniczną**.

Soma — jest nieodstępny towarzyszem Agni. W rzeczywistości jest on sokiem pewnej rośliny poddanej fermentacji, lanym w ofierze bogom. Istnienie jego wszakże jest — jak istnienie Agni — mistyczne. Najwyższym jego siedliskiem są głębie trzeciego nieba, gdzie Suria, córka słońca, scedziła go; gdzie znalazł go Pustan — bóg żywicieli. Tam Sokół, symbol błyskawicy, albo może sam Agni, porwali go Łucznikowi niebiańskiemu, Gandarwie, strażnikowi jego, i przynieśli go ludziom. Bogowie pili go i zyskali nieśmiertelność; (ludzie też z kolei staną się nieśmiertelnymi, gdy pić go będą u Yamy, w siedlisku szczęśliwych). Tymczasem daje on im na ziemi siłę i pełnię życia; jest ambrozją i krynicą młodości. Żywi i przenika rośliny, tchnie życie w nasienie zwierząt, daje natchnienie poecie i siłę uniesienia modlitwie. **Soma, dusza nieba i ziemi, Indry i Wisznu, tworzy wraz z Agni parę nierozdzielna; para ta rozpałała słońce i gwiazdy**¹⁾.

Agni i Soma uosabiają w doktrynie ezoterycznej dwa podstawowe pierwiastki życia we wszechświecie: Agni jest pierwiastkiem **Wiekuiście — Męskim**, intelektem twórczym, Duchem czystym; zaś Soma — pierwiastkiem **Wiekuiście — Żeńskim**. Duszą świata, więc substancją lotną, macierzą wszystkich światów widzialnych i nie-

¹⁾ Barth. „Religie Indii“.

widzialnych oczom ciała, słowem przyrodą czyli materia w jej przeobrażeniach nieskończonych ¹⁾).

Otóż związek tych dwu istot stwarza Istotę najwyższą, istotę Boga.

Dwa te pojęcia zasadnicze rodzą trzecie nie mniej płodne. Wedy czynią z aktu **twórczego ofiarę nieustanną**. Ażeby splodzić wszystko, co istnieje, Istota najwyższa poświęca samą siebie; dzieli się, aby stać się wieloraką. Ofiara ta uważana jest więc za sprężynę życia wszystkich funkcji przyrody. Pojęcie to, zdumiewające i dziwne na pierwszy rzut oka, nader głębokie przy bliższym wniknięciu w nie, zawiera w sobie zarodek całej teozoficznej doktryny przeobrażeń Boga poprzez światy, syntezę ezoteryczną wielobóstwa i jednobóstwa. Zrodzi ona dionizyjską doktrynę upadku i odkupienia dusz, którą rozwinął Hermes i Orfeusz. Stąd już wytryśnie doktryna Słowa bożego, głoszona przez Krysznę i doprowadzona do doskonałości przez Chrystusa.

Ofiara ognia z jej obrządkami i modłami, stanowiąca jądro niezwruszone kultu wedyjskiego, staje się w ten sposób obrazem wielkiego tego aktu kosmogonicznego. Wedy przywiązują zasadniczą wagę do modlitwy, do formuły zaklęcia, towarzyszącej ofierze. Dlatego też czynią z modlitwy boginię — Brahmanaspati. Wiara w moc przyzywającą i twórczą słowa ludzkiego, któremu towarzyszy potężne uniesienie duszy lub też wypływ skupionej woli, jest źródłem wszystkich kultów, racją bytu egipskiej i Chaldejskiej doktryny czarnoksięstwa. W pojęciu kapłana wedyjskiego i brahmańskiego Asurowie, władcy niewidzialni i Pitrysy, dusze przodków mogą siedzieć na trawie podczas całopalenia, pociągnięci ogniem, śpiewami i modlitwami.

Nauka, dotycząca tej strony kultu, jest nauką hierarchii duchów wszelakiego rodzaju i wszelakich stopni.

¹⁾ Niezaprzeczoną dowodem, że Soma uosabia pierwiastek bezwzględnie żeński, jest że brahmanowie utożsamiali go później z księżycem. Owóż księżyc uosabia pierwiastek żeński we wszystkich religiach starożytnych, gdy słońce symbolizuje w nich pierwiastek męski.

Wedy wyraźnie i z całym naciskiem głoszą ideę nieśmiertelności duszy. „W każdym człowieku istnieje część nieśmiertelna; ogrzej ją, Agni. promieniami twoimi, rozplomień ją twoim ogniem. O, Jatawedo, przyniesź ją w tym ciele czarownym, przez siebie ukształtowanym, do świata pobożnych“.

Poeci wedyjscy nie tylko wskazują przeznaczenie duszy, ale zajmują się także jej pochodzeniem. „Z czego zrodziła się dusza? Są takie, które przychodzą do nas i odchodzą; które odchodzą i wracają“. Oto już w dwóch słowach doktryna wcielenia, które odgrywać będzie główną rolę w braminizmie i buddyźmie, u Egipcjan i u Orfików, w filozofii Pytagorasa i Platona, w tajniku tajników, w arkanach arkanów.

Czyż można wobec tego nie odnajdować w Wedach głównych linii wytycznych skończonego systemu religijnego, filozoficznego ujęcia wszechświata? Jest w nich nie tylko głębokie odczucie prawd rozumnych, poprzedzających obserwację i przewyższających ją, jest nadto jednolitość i szerokość poglądu, ujawniona w pojmowaniu przyrody, w uporządkowaniu i scharmonizowaniu jej zjawisk. W świadomości poety wedyjskiego, niby w przejrzystym kryształ, odbija się słońce prawdy wiekuistej i w tym pryzmacie błyszczącym załamują się już wszystkie promienie teozofii wszechświata. Pierwiastki doktryny wiekuistej wyraźniej tu jeszcze występują, niż w innych księgach świętych indyjskich oraz w innych religiach semickich i aryjskich, a to dzięki nieźrównanej otwartości poetów wedyjskich oraz dzięki przejrzystości tej religii pierwotnej, tak wzniosłej i czystej. W okresie tym nie było jeszcze różnicy między wiedzą tajemną a kultem popularnym. Czytając jednak uważnie Wedy, dostrzec można poza ojcem rodziny lub poetą wznoszącym hymny, inną osobistość donioślejszego znaczenia: **rishi**, mędrca, wtajemniczonego, od którego przejął poeta prawdę. Widoczne jest, że prawda tak przekazywana była drogą nieprzerwanej tradycji, sięgającej początków rasy aryjskiej.

I oto mamy już lud aryjski, krocący po drodze podpójów i misji cywilizacyjnej wzdłuż Indu i Gangesu, pod

przewodem niewidzialnego geniusza Ramy i Devy Nahushy, darzących go świadomością rzeczy boskich.

Agni, ogień święty, krąży już w żyłach tego ludu. Młodzieńczy wiek jego, jego siła i męskość kąpią się w blaskach różanego świtu. Wytworzyła się już rodzina. Kobietę otacza szacunek powszechny. Kapłanka ogniska domowego często sama układa, sama śpiewa hymny. „Oby mąż tej małżonki żył sto jesieni“ — mówi poeta. Ukochanie życia ziemskiego nie wyklucza wiary w zaświaty.

Król mieszka w pałacu na wyniosłości górującej nad osadą. Kiedy wyrusza na wojnę, jedzie na rydwanie świetnym, strojny w pozłociste zbroje, uwieńczony tiarą; błyszczący jest cały, jak bóg Indra. Później, kiedy bramini utrwalą swoją potęgę, wzniesiona zostanie obok — obok wspaniałego pałacu **Maharadzi** czyli wielkiego króla — pagoda kamienna, z której zrodzi się na świat sztuka, poezja i dramat bogów, grany i śpiewany przez tancerki świątyni. Narazie kasty istnieją, ale nie bezwzględne, nie poddzielane murami nieprzebytymi. Wojownik jest kapłanem, a kapłan wojownikiem, częściej jeszcze sprawującym służbę u wodza lub u króla. A oto występuje osobistość nędzna z pozoru, ale rokująca wielkie na przyszłość nadzieje. Splątane włosy i broda, nawpół nagi, okryty łachmanami. To **mumi**, samotnik, żyje on obok jezior świętych, w dzikich pustkowiach, w których oddaje się rozmyślaniu i ascezie. Od czasu do czasu przychodzi z napomnieniami od wodza lub króla. Często bywa odrzucany; nie słuchają go; ale mają dla niego szacunek i boją się go. Już teraz wywiera wpływ groźny.

Pomiędzy tym królem na jego wozie pozłocistym, otoczonym wojownikami i tym nawpół nagim **mumi** nie mającym innej broni prócz myśli, słów i spojrzenia — rozgorzeje walka. Zwycięzcą potężnym w niej nie będzie król; będzie nim samotnik, zasuszony, żebrak, który zwycięży dzięki posiadaniu wiedzy i woli.

Historia tej walki — to historia bramanizmu, jak później będzie historią buddyzmu. Streszcza się w niej cała niemal historia Indii.

7

KSIĘGA DRUGA
K R Y S Z N A
INDIE I WTAJEMNI-
CZENIE BRAMINÓW¹⁾

¹⁾ Ze względu na znaczenie wyrazów: Brahma, braminowie, Brahman, braminizm, a zwłaszcza dla uniknięcia nieporozumienia należy poznać rodowód ich i stopniowe przekształcanie się pojęć z nimi związanych. Materiał, odnoszący się do powyższych wyrazów, zebrany przez d-ra Johna

Muir'a w tomie I-ym *Original Sanserit texts* oraz d-ra Houg'a w rozprawie „**Brahma i Braminowie**“, zużytkował J. A. Święciecki w IV t. *Historii Literatury Powszechnej* „*Hist. Lit. indyjskiej*“ str. 103 i nast.

Brahman -- wyraz podług znaczenia swojego abstrakcyjny, oznacza coś, co jest nieodłączne od powodzenia ofiar, przechodzi z czasem w znaczenie „siły żywotnej wszechświata“, a na koniec w „istotę najwyższą“. Pochodzi on od pierwiastka **brīh** — rosnąć i przyrostka **mani**, co razem oznacza „roślinę“, latorośl. Stąd powstały z czasem „środkie wzrostu i pomyślności“, a mianowicie ofiary, świętej pieśni, w ogóle pobożność.

Z rodzaju nijakiego, „**Brahman**“ przez przedłużenie głoski końcowej na **â** i zmianę akcentu tworzy się forma konkretna **Brahmân** -- „ten, który rośnie“, „wzrost w sobie nosi“, „Stwórca świata — Bóg“. Liczba mnoga tego wyrazu tj. **Brahmanâs** oznaczają pierwotnie „modlących się“, z czasem wszakże „**brahmanâs**“ zajęci byli przygotowaniem „**soma**“, a następnie przestrzeganiem prawidłowego odbywania ceremonii ofiarnych, przez co stali się wreszcie panującą kastą kapłanów — **braminami**. —

Wyraz „**Brâhmanam**“ oznacza w ogólności naukę praktycznego spożytkowania materiału, zawartego w **Samhitach** **Wed**, z których każda posiada swoje „**Bramany**“, złożone z 3-ech części. Treścią **Bramanów**, stanowiących liczbą i objętością dzieł swoich odrębny rodzaj literatury i będących zwierciadłem duchowym epoki kilkowiekowej — są omówienia i wyjaśnienia zawilego rytuału ofiarnego, wywody i badania teologiczne, legendy wszelkiego rodzaju, rady praktyczne dla kapłanów, postanowienia, dotyczące rozmaitych wydarzeń przy ofiarach, podania historyczne oraz uwagi etymologiczne, usiłujące wyprowadzić z języka naukę filozoficzną i teologiczną dla wzmocnienia wywodów teologicznych.

Wyznaniem wiary bramińskiej była formuła: „Cały wszechświat powstał z **Brahmy**, z którego wszystko pochodzi, do którego wszystko powraca i w nim oddycha. Niechaj każdy wielbi go w spokoju“. Instytucje do szerzenia nauki w rodzaju wszechnie, „**paryszady**“, kierowane przez kapłanów biegłych w **Wedach**, kształciły przyszłych braminów.

Ten, kto tworzy nieustannie światy, jest troisty. Jest to Brahma-Ojciec; jest to Maya-Matka; jest to Wisznu-Syn; Istota, Materia i Życie. Każdy z nich zawiera w sobie obydwa inne, a wszystko troje jednością są w Niewymownym.

Doktryna braminiczna. Upani-
szady.

Nosisz w sobie samym wzniosłego przyjaciela, którego nie znasz. Bowiem Bóg przebywa w duszy każdego człowieka; niewielu jednak umie go znaleźć! Człowiek, który dążenia swoje i czyny swoje przynosi w ofierze Istocie, będącej źródłem wszechrzeczy i twórcą wszechświata, zdobywa ofiarą tą doskonałość. Ten bowiem, kto w sobie samym znajduje swoje szczęście i radość, i w sobie samym też światło swoje, jedność z Bogiem stanowi. Owóż, wiedz o tym: dusza, która znalazła Boga, uwolniona jest od odrodzenia się i od śmierci, od starości i od cierpienia i pije ze źródła nieśmiertelności.

Bhagawadgita („Pieśń Błogosławionego“).

INDIE BOHATERSKIE — SYNOWIE SŁOŃCA I SYNOWIE KSIĘŻYCA

Podbój Indii przez Ariów zrodził jedną z najświetniejszych kultur, jakie znał świat. Wzdłuż Gangesu i jego dopływów powstały wielkie państwa i olbrzymie stolice, jak Ayodhya, Hastinapura i Indrapęchta. Opowiadania epiczne **Mahabharaty** i Kosmogonie ludowe **Puran**, zawierające najstarsze tradycje historyczne Indii, mówią z zachwytem o przepychu królewskim, o bohaterskiej wielkości i o duchu rycerskim tych wieków zamierzchłych. Nic bardziej dumnego, ale zarazem bardziej szlachetnego, aniżeli jeden z tych królów aryjskich Indii, stojący na swoim rydwaniu wojennym i dowodzący armiami słoń, koni i żołnierzy. Jeden z kapłanów wedyjskich błogosławi w ten sposób króla swojego wobec zebranego tłumu: Sprowadziłem cię pośród nas. Cały lud pragnie cię. Niebo jest mocne, ziemia jest mocna; góry te są mocne; niechaj mocnym będzie też król rodów. W późniejszym zbiorze praw, **Manawa — Dharma — Sastra** czytamy: „Władcy świata, pełni zapału w zwalczaniu się wzajemnym, rozwijają siłę swoją w boju, nie odwracając ani na chwilę twarzy i po śmierci ulatują wprost do nieba“. Uważają się w istocie za pochodzących od bogów, za współzawodników ich, gotowych stać się nimi samymi. Posłuszeństwo synowskie, męstwo wojenne w połączeniu z poczuciem wspaniałomyślnego opiekuństwa w stosunku do wszystkich — oto ideał człowieka. Co się tyczy kobiety, epepea induska, pokorna sługa braminów, wyobraża ją nam jedynie w postaci wiernej małżonki.

Ani Grecja, ani narody północne nie wyczarowały w poematach swoich postaci tak subtelnych, tak szlachetnych i tak pełnych uniesienia małżonek, jak namiętna Sitā lub czuła Damayanti.

Epopoea indyjska nie mówi nam jednak nic o głębokich tajnikach pomieszania ras, ani o powolnym kiełkowaniu idei religijnych, które wywołały głębokie zmiany w ustroju społecznym Indii wedyjskich. Ariowie, zdobywcy, przedstawiciele rasy czystej, znaleźli się wobec ras mocno skrzyżowanych i znacznie niższych, w których typ żółty, czerwony i czarny pomieszały się w najróżnorodniejszym stosunku. Kultura induska czyni wrażenie ogromnej góry, u której stóp rozpostarła się rasa melanezyjska, na zboczach rasy mieszane, a na szczycie — czysti Ariowie. Brak ścisłego podziału na kasty w epoce pierwotnej umożliwił liczne krzyżowania się wśród tych narodów. Czystość rasy zdobywców psuła się z czasem coraz bardziej: dotychczas jednak zauważyć można przewagę typu aryjskiego w warstwach wyższych, zaś typu melanezyjskiego — w niższych. Z mętnych nizin społeczności induskiej wznosił się zawsze, jak wyziewy dżungli zmieszane z odorem zwierząt, wrzący opar namiętności, mieszanina tęsknicy i okrucieństwa. Obfitość krwi czarnej nadała Indii jej barwę specjalną. Udelikatniła ona i zniewieściła rasę. Cudem jest nieledwie, że pomimo znacznej domieszki krwi czarnej, utrzymać się mogła poprzez tyle przewrotów przewaga światopoglądu rasy białej u szczytu tej kultury. Tak więc podstawa etniczna Indii zarysowuje się ściśle biorąc, w sposób następujący: z jednej strony geniusz rasy białej z swoim poczuciem moralnym i wzniosłymi dążnościami metafizycznymi; z drugiej geniusz rasy czarnej z jej potęgą namiętności i siłą rozprzegania. W jaki sposób ujawnia się podwójny ten geniusz w zamierzonych dziejach religii w Indiach? Najdawniejsze tradycje mówią o dynastii słonecznej i dynastii księżycowej. Królowie dynastii słonecznej utrzymywali, że pochodzą od słońca; inni nazywali się synami księżycy. Ten język symboliczny był jednak tylko wyrazem dwu sprzecznych pojęć religijnych, bowiem oznaczał, że te dwie kategorie władców związane były z dwoma kultami odmiennymi. Kult słońca przypisywał Bogu wszechświata płęć męską.

Grupowało się dokoła niego wszystko, co było najczystsze w tradycji wedyjskiej: znajomość ognia świętego i modlitwy, pojęcie ezoteryczne o Bogu najwyższym, cześć dla kobiety, kult przodków, królowie obieralni i patriarchalni. Kult księżycy przypisywał swojemu bóstwu płęć żeńską, pod której znakiem religie cyklu aryjskiego wielbiły zawsze przyrodę, często przyrodę ślepa, nieświadomą w jej najgwałtowniejszych, najokrutniejszych przejawach. Kult ten skłania się ku bałwochwalstwu i czarnoksięstwu, popierał wielożeństwo i tyranie, dogadzające żądom gminu. — Walka pomiędzy synami słońca i synami księżycy, pomiędzy Pandawami i Kurawami, jest przedmiotem wielkiej epepei induskiej, Mahabharaty, rodzaju perspektywicznego zarysu historii Indii aryjskich, przed ostatecznym wprowadzeniem braminizmu. Walka ta pełna jest bojów zażartych, pełna dziwnych i nieskończonych przygód. W pośrodku olbrzymiej epepei zwycięzcami są Kurawowie, królowie księżycowi. Pandawowie, szlachetni synowie słońca, obrońcy czystych obrządków, są zdetronizowani i skazani na wygnanie. Błąkają się, ukryci w lasach, szukając schronienia u pustelników, noszą odzież zrobioną z kory i kije wędrowców.

Czy wezmą górę nizinne instynkty? Czy potęgi ciemności, uosobione w epepei induskiej przez czarnych Rakshasów odniosą triumf nad świetlanymi Dewami? Czy tyrania zmiażdży wybrańców pod kołami swojego rydwanu wojennego, a cyklon złych żądz czy zmiecie z oblicza ziemi ołtarz wedyjski, czy zagasi święty ogień przodków? Nie, Indie są dopiero u progu swojej ewolucji religijnej. Metafizyczny i organizatorski jej geniusz zajaśnieje w całej pełni w braminizmie dopiero. Kapłani, zastępujący królów i wodzów pod nazwą **purohitas** (przełożeni nad ogniem świętym) stali się już ich doradcami i ministrami. Posiadali oni wielkie majątki i znaczny wpływ. Nie byłiby jednak mogli nadać kaście swojej owej powagi najwyższej, owego stanowiska niezwalzonego, górującego nawet nad władzą królewską, gdyby nie pomoc innej kategorii ludzi, uosabiających ducha Indii w tym, co jest w nim najoryginalniejszego i najgłębszego. Ludźmi tymi byli pustelnicy.

Od niepamiętnych czasów mieszkali ci asceci w głębi

lasów, na brzegach rzek lub w górach, obok jezior świętych. Czasem żyli samotnie, czasem złączeni w bractwa, ale zawsze jednym zespoleni i ożywieni duchem. Są to królowie duchowi, istotni władcy Indii. Oni to, jako spadkobiercy dawnych mędrców, rishi, byli w posiadaniu klucza do tajemnego znaczenia Wedów. Żył w nich geniusz ascetyzmu, wiedzy tajemnej, władzy nadziemskiej. Dla zdobycia tej wiedzy znosili wszystko: głód, chłód, piekące słońce, strach przed dżunglą. Bezbronni w swoich szalasach z desek, żyją modłami i rozmyślaniami. Głosem, spojrzaniem przywołują i oddalają węże, uśmierzają lwy i tygrysy. Szczęśliwy, kto zyska ich błogosławieństwo: będzie miał przyjaciół w Dewach! Biada temu, kto ukrzywdzi ich lub zabije: ich klątwa — mówią poeci— ciąży na winnym aż do trzeciego wcielenia. Królowie drżą przed ich groźbami i rzecz godna uwagi, lękają się ich nawet bogowie. W Ramayanie Vicvamitra, król, który stał się ascetą, zdobywa surowością obyczajów i rozmyślaniami taką władzę, że bogów lęk zdejmuje o ich istnienie. Wówczas zsyła mu Indra najpowabniejszą z Apsar, która kąpie się w jeziorze pod szalasem świętobliwego. Nimfa niebiańska czaruje pustelnika, który ulega pokusie jej wdzięków; ze związku ich rodzi się bohater i dzięki temu istnienie wszechświata zapewnione jest na kilka tysięcy lat. Pod tą przenośnią i przesadą poetycką nie trudno domyśleć się właściwej istoty rzeczy. Jest nią potęga pustelników białej rasy, których duch wieszczy i wola skupiona panują z głębi lasów nad burzliwą duszą Indii.

Z łona takiego bractwa pustelniczego wytrysnąć miał przewrót w ustroju kapłaństwa, który uczynił z Indii najpotężniejszą teokrację. Zwycięstwo władzy duchowej nad władzą ziemską, pustelnika nad królem, które zrodziło potęgę braminizmu, było dziełem jednego z najwybitniejszych reformatorów. Boski ten człowiek, który pogodził dwa walczące z sobą genjusze: rasy białej i rasy czarnej, kultury: słoneczny i księżycowy, stał się rzeczywistym twórcą narodowej religii indyjskiej. Ponadto doktryna potężnego tego geniusza dała światu nową niesłychanej doniosłości ideę. Była to idea słowa bożego, czyli boga wcielonego w człowieku i objawionego przez niego. Tym

pierwszym mesjaszem, tym najstarszym synem bożym, był Kryszna.

Dzieje jego żywota niesłychanie są ciekawe, bowiem streszczają i dramatyzują doktrynę bramińską. Pozostały one jednak tylko rozsiane w tradycji, często nieuchwytnie, a to z powodu braku siły plastycznej, jaki cechuje geniusz induski. Niejasna i mityczna opowieść Wisznu-Purana zawiera wszakże dane historyczne o Krysznie, o charakterze indywidualnym i wymownym. Nadto **Bhagawad-Gita**, cudowny fragment, włączony w karty wielkiego poematu, **Mahabharaty**, który bramini uważają za jedną z najświętszych swoich ksiąg, zawiera przypisywaną mu doktrynę w całej jej czystości. Przy odczytywaniu tych dwu ksiąg, stanęła przede mną jak żywa postać wielkiego twórcy religii indyjskiej. Opowiem więc dzieje Kryszny na podstawie obu tych źródeł, z których jedno uosabia tradycję gminną, a drugie — tradycję wtajemniczonych.

Wojciechowska

Wojciechowska

Publiczna

w

Poznaniu

II.

KRÓL MADURY

Na początku okresu Kali-Yougi, na 3000 lat przed erą naszą (podług chronologii braminów), żądza złota i władzy opanowała świat. W ciągu wieków — mówią mędrzy starożytni — Agni, ogień boski, tworzący świetlane ciało Dewów i oczyszczający dusze ludzkie, zalewał ziemię swoimi falami eterycznymi. Równocześnie jednak owiewało wszystkie serca palące tchnienie Kali, bogini Żądzy i Śmierci, wychodzącej z otchłani ziemskich nakształów oddechu płonącego. Sprawiedliwość zapanowała wraz z szlachetnymi synami Pandawów, królów słońca, posłusznych głosowi mędrców. Jak zwycięscy, przebaczali oni zwyciężonym i traktowali ich jak równych. Odkąd wszakże synowie słońca wytępieni zostali lub strąceni z tronów, a nieliczni ich potomkowie kryli się w grotach i szałasach pustelników, zapanowała niesprawiedliwość, ambicja i nienawiść. Królowie księżycowi, zmienni i kłamliwi jak gwiazda nocy, której przyjęli godło, wzajem zwalczali się nieubłaganie w nieustannych bojach. Jednemu z nich wszakże udało się wziąć górę nad wszystkimi innymi i pokonać ich grozą i szczególnymi urokami.

Na północy Indii, na brzegu szerokiej rzeki, jaśniało miasto potężne, o dwunastu pagodach, dziesięciu pałacach i stu wrotach, nad którymi wznosiły się wieże. Wielobarwne sztandary powiewały na wysokich jego murach, podobne do skrzydlatych węży. Była to dumna Madura, niezdojta jak twierdza Indry. Władcą Madury był Kansa o sercu wykrętnym i duszy nienasyconej. Nie znoził obok siebie nikogo prócz niewolników; zdawało mu się, że osiąść może to tylko, co zmiążdży, a wszystkie ziemie zdobyte niczym mu się wydawały wobec tych, które je-

szcze pozostawały do zdobycia. Wszyscy królowie, którzy uznawali kult księżycy, składali mu hołd. Ale Kansa marzył o podboju całych Indii, od Lanki aż do Himawatu. Aby osiągnąć zamiar swój, złączył się z Kalayenim, władcą gór Wyndhia, potężnym królem Yawanasów, ludzi o żółtej twarzy. Jako wyznawca bogini Kali, oddawał się Kalayeni ponurym praktykom czarnoksięskim. Nazywano go przyjacielem Rakshasów, czyli demonów nocnych i królem węźców, posługiwał się bowiem tymi zwierzętami, aby siać postrach wśród swoich ludów i swoich wrogów. W głębi gęstego lasu znajdowała się świątynia bogini Kali, wydrążona we wnętrzu góry, olbrzymia jaskinia czarna, której krańca niepodobna było dojrzeć i której wyjścia strzeżły kolosy o głowach zwierzęcych, wykute w skale. Tam przyprowadzano tych, którzy przychodzili hołd składać Kalayeniemu, aby zyskać od niego moc tajemną. Ukazywał się on wówczas u wejścia do świątyni w otoczeniu mnóstwa potwornych węży, owijających się dokoła niego, podnoszących łby na skinienie jego berła. Zmuszał wówczas hołdowników swoich do oddawania czci tym gadzinom, których skłębione syczące łby wiły się ponad jego głową. Sam równocześnie szeptał jakieś zaklęcia tajemnicze. Ci, którzy spełniali wszystkie formuły tego obrządku i korzyli się przed węzami, otrzymywali, jak mówiono, wielkie łaski i wszystko, czego zapragnęli. Zarazem jednak stawali się nieodwołalnie ofiarami Kalayeniego, z bliska i z daleka. Ktokolwiek próbował opierać się jego rozkazom lub też wyzwolić się spod jego władzy, widział przed sobą straszliwą postać czarnoksiężnika, otoczonego gadzinami, których syczące łby okalały go zaciśniętym kręgiem, a ich ślepie paraliżowały magiczną swoją siłą. Kansa prosił potężnego władcę o sojusz. Król Yawanów przyobiecał mu władzę nad światem pod warunkiem, że pojmie córkę jego za małżonkę.

Dumną jak antylopa i zwinną jak wąż była córka króla czarnoksięskiego, piękna Nysumba, strojna w wisiory złote, pobrzękujące na piersi, czarnej jak heban. Twarz jej była jako chmura ciemna o sinawych odbłaskach księżycowych, oczy jak para błyskawic, a usta pożądliwe jak

krwawy miąższ owocu o białych pestkach. Rzekłbyś — sama Kali ponura, bogini żądz.

Owładnęła niebawem sercem Kansy, a rozpalając wszystkie jego namiętności, żar płomienny z nich uczyniła. Kansa miał pałac zapelniony kobietami barw wszelkich, żadnej jednak nie uległ poza Nysumbą.

— Obym syna z Tobą spłodził, a uczynię go następcą moim. Stanę się wówczas władcą ziemi i nie będę się lękał nikogo.

Bezplodną jednak była Nysumba i serce się jej goryczą przepełniło. Zazdrościła innym kobietom Kansy, których miłość dawała owoce. Żądała od ojca pomnażania ofiar przynoszonych Kali, ale łono jej pozostawało jak piasek gorący, na którym nic zrodzić się nie może. Wówczas rozkazał król Madury dokonać wobec całej ludności miasta wielkiej ofiary ognia i przywołać wszystkie Dewy Kobiety Kansy i lud cały zgromadziły się na uroczystość. Kapłani bili czołem przed wielkim ogniem i wzywali śpiewami swymi wielkiego Warundę, Indrę, Aswinów i Muratów. Królowa Nysumba zbliżyła się do ognia i rzuciła w płomień garść kadzidła ruchem wyzywającym, wymawiając magiczne zaklęcia w nieznanym języku. Dym skłębił się gęstszy, buchnęły płomienie i krzyknęli przerażeni kapłani:

— O, królowo! to nie Dewy, ale Rakshasy przez ogień przeszły. Łono twoje pozostanie bezplodne.

Zbliżył się z kolei Kansa do ognia i rzekł do kapłana:

— Powiedz zatem, która z moich kobiet urodzi władcę świata?

W tej samej chwili Dewaki, siostra króla, zbliżyła się do ognia. Była to dziewczica o sercu prostym i czystym, której wiek dziecięcy upłynął na przędzeniu i tkaniu i która żyła jak we śnie. Ciało jej tylko było na ziemi, dusza zdawała się zawsze przebywać w niebie. Dewaki kornie przyklekła, prosząc Dewy, aby dały syna jej bratu i pięknej Nysumbie. Kapłan spojrzął z kolei na dziewczicę i na ogień i nagle zawołał zdumiony:

— O, królu Madury, żaden z twoich synów nie będzie

władcą świata! Ten, który nim będzie, zrodzi się z łona tej oto siostry twojej.

Wielkie było przerażenie Kansy i jeszcze większy gniew Nysumby na te słowa. Kiedy król i królowa pozostali sami, rzekła ona do niego:

— Dewaki musi zginąć natychmiast!

— Jakto? odparł Kansa, mam-że zgładzić siostrę moją? Jeśli Dewy roztaczają nad nią swoją opiekę, zemsta ich zwróci się przeciwko mnie.

— Dobrze więc! — zawołała pełna wściekłości Nysumba — niech panuje ona zamiast mnie i niech siostra twoja wyda na świat tego, przez którego zginiesz nędznie. Nie chcę panować wspólnie z tchórzem, który boi się Dew, wracam więc do ojca mojego, Kalayeni.

Oczy Nysumby miały ognie, wisiory podskakiwały na jej błyszczącej hebanowej szyi. Padła na ziemię, a piękne jej ciało wiło się, jak żmija rozwścieczona. Kansę zagrożonego utratą tej, która rozpłomieniła w nim żądze najgwałtowniejsze, zdjął lęk i ponownie opanowało go namiętne pożądanie.

— Niech i tak będzie! — rzekł — Dewaki zginie, bylebyś ty nie opuściła mnie.

Błysk triumfu zamigotał w oczach Nysumby, fala krwi zalała szkarłatem czarne jej oblicze. Zerwała się jednym skokiem z ziemi, oplotła giętkimi ramionami szyję pokonanego tyrana i muskając go hebanowym swym łonem, z którego bił aromat upajający, szepnęła głosem przyciszonym:

— Złożmy ofiarę Kali, bogini Żądzy i Śmierci, a ona da nam syna, który będzie władcą świata.

Tej samej wszakże nocy purohita, kapłan naczelny, ujrzał w widzeniu sennym króla Kansę, dobywającego miecza przeciwko własnej siostrze. Udał się natychmiast po obudzeniu do dziewicy Dewaki, aby uprzedzić ją, że grozi jej śmierć i rozkazał, aby uciekła niezwłocznie do pustelników. Ostrzeżona przez kapłana Dewaki, wyszła w przebraniu pokutnicy z pałacu Kansy i opuściła miasto Madurę bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi. Wczesnym rankiem wtargnęli żołnierze do sypialni siostry króle-

wskiej, aby zadać jej śmierć, ale znaleźli sypialnię pustą. Król zaczął badać strażę miejskie. Odpowiedzieli mu wszyscy zgodnie, że wrota zamknięte były przez całą noc, we śnie wszelako widzieli, jak promień księżycy przebił mur ciemny i po promieniu tym wyszła z grodu niewiasta jakaś...

Kansa zrozumiał, że siła niezwalczona roztacza opiekę swą nad Dewaki.

Od tej chwili padł strach na jego duszę. Siostrę swoją znienawidził nienawiścią śmiertelną.

III.

DZIEWICA DEWAKI

Kiedy Dewaki, odziana w ukrywające jej piękność ubranie z kory, przestąpiła niezmierzone pustkowie olbrzymich lasów, chwiała się na nogach, wyczerpana znudzeniem i głodem. Zaledwie jednak poczuła cień tych lasów czarownych, zakosztowała słodczy owocu z drzew mangowych i odetchnęła świeżością krynicy, orzeźwiła się jak kwiat omdlały. Weszła pod olbrzymie sklepienie, utworzone z pni potężnych, których gałęzie zapuszczały ponownie korzenie w ziemię, mnożąc do nieskończoności zielone arkady. Długo szła tędy, ochroniona od słońca, jak gdyby wewnątrz ciemnej pagody bez wyjścia. Brzęczenie pszczcł, krzyki zakochanych pawi, śpiew kokilasów i tysiący ptaków pociągał ją wciąż dalej. Drzewa stawały się coraz bardziej olbrzymie, las coraz głębszy i bardziej splątany. Pnie cisnęły się za pniami, liście wznosiły się kopulasto na podkładkach liści, jak pylony¹⁾ wciąż potężniejsze. Dewaki bądź sunęła naprzód przez krużganki z zieleni, które słońce oblewało kaskadami światła i gdzie leżały kłody pni, obalonych przez nawałnicę, bądź stawała pod namiotami drzew mangowych, z których zwisały się girlandy pnączy i spadały deszcze kwiatów. Daniele i pantery przebiegały gęstwinę; gałęzie trzeszczały pod cielskiem bawołów, stada małą przedzierały się z wrzaskiem przez poszycie liści. Szła tak przez dzień cały. Pod wieczór ujrzała pod lasem bambusów nieruchomą

¹⁾ pylony — drzwi świątyni egipskich zakończone wieżami czworograniastymi.

głowę mądrego słonia. Spojrzał on na dziewicę rozumnym i opiekuńczym wzrokiem i podniósł trąbę, jak gdyby na jej powitanie. Las przerzedził się nagle i Dewaki ujrzała przed sobą widok, tchnący prawdziwym spokojem i czarem niebiańsko-rajskim.

U stóp jej roztaczało się jezioro usiane kwiatem lotosu i modrych grzybieni: jego lazurowe łono rozwierało się u skraju lasu niby dalszy ciąg nieba. Płochliwe bociany stały na brzegach w nieruchomym rozmarzeniu; dwie antylopy piły wodę fal. Na drugim brzegu wdzięczyło się pod osłoną palm ustronie pustelnika. Cicha światłość różana oblewała jezioro, lasy i schronisko świętych rishi. Na widnokręgu biały szczyt góry Meru wznosił się ponad lawiną lasów. Oddech niewidzialnego strumienia ożywiał rośliny; przyciszony szmer dalekiej kaskady błąkał się w zefirze jak pieszczota lub cicha melodia. Na brzegu jeziora ujrzała Dewaki czółno. Obok niego człowiek w wieku dojrzałym, pustelnik, zdawał się czekać na nią. W milczeniu dał znak dziewczynie, aby wsiadła do czółna i ujął wiosła. W chwili, gdy łódź pomknęła, roztrącając grzybienie, zobaczyła Dewaki łabędzia, płynącego po jeziorze. Samiec łabędzi, który lotem śmiałym sfrunął z powietrza, zaczął zataczać wielkie dokoła niej kręgi, poczym spuścił się na wodę obok pierwszego łabędzia, samicy, drżąc cały śnieżnym swym upierzeniem. Na ten widok głęboki dreszcz wstrząsnął ciałem Dewaki, która nie wiedziała czemu go przypisać. Ale łódź oparła się już o brzeg przeciwny i dziewczica o oczach barwy lotosu stanęła przed królem pustelników — Wasychtą.

Siedział on na skórze gazeli, a odziewała go skóra czarnej antylopy. Wyglądał raczej na boga niż na człowieka, taką cześć budziła jego postać. Od sześćdziesięciu lat żywił się jedynie dzikimi owocami. Włosy jego i broda były białe jak szczyty Himawatu, skórę miał przejrzystą, spojrzenie jego błędnych oczu zwrócone było w głąb duszy własnej w rozmyślaniu nieustannym. Ujrzawszy Dewaki, wstał i powitał ją tymi słowami: „Dewaki, siostrze sławnego Kansy, bądź pozdrowiona pomiędzy nami. Kierowana przez Mahadewę, władczynię najwyższego, opuściłaś padół nędz, aby go zamienić na świat upojen. Jesteś tu u świętych rishi, panów własnych zmysłów, szczęśliwych

ze swego losu i pragnących kroczyć tylko szlakiem nieba. Oddawna już czekaliśmy na ciebie, jak noc czeka na świtanie. Jesteśmy okiem Dew, zwróconym na świat, my, którzy żyjemy w głębiach lasów. Ludzie nas nie widzą, ale my widzimy i patrzymy na ich czyny. Ponury wiek żądz, krwi i zbrodni pokarał ziemię. Wybraliśmy ciebie do spełnienia dzieła wyzwolenia; przez nas wybrały cię Dewy. Bowiem w łonie niewiasty promień wspaniałości boskiej przyjąć ma kształt ludzki“.

W tej chwili wychodzili z pustelni rishi na modły wieczorne. Stary Wasichta nakazał im, aby skłonili się nisko przed Dewaki. Uczynili, jak im kazano — i rzekł Wasichta: „Ta będzie matką nas wszystkich, z niej bowiem zrodzi się duch, co ma nas odrodzić“. Poczym, zwracając się ku niej: „Idź, córo moja, rishi powiodą cię do sąsiedniego jeziora, gdzie mieszkają siostry pokutne. Zamieszkasz pomiędzy nimi i spełnią się misteria“.

Dewaki zamieszkała w obrośniętej lianami pustelni u pobożnych niewiast, karmiących oswojone gazy i oddających się obrządkom i modlitwom. Dewaki uczestniczyła w składaniu przez nie ofiar. Jedną ze starszych niewiast wprowadzała ją w świat nauk tajemnych. Pokutnice te miały rozkaz przystrajania jej jak królowej we wspaniałe tkaniny wonne i puszczenia jej, aby swobodnie błądziła w głębi lasu. A las ten, pełen aromatów przedziwnych, odgłosów i tajemnic, pociągał młodą dziewczynę. Czasem spotykała ona gromady starych pustelników, powracających z nad rzeki. Widząc ją, przyklękali, poczym szli w dalszą drogę. Pewnego dnia ujrzała obok źródła, przysłoniętego różowymi kwiatami lotosu, młodego pustelnika, pogrążonego w modłach. Powstał na jej spotkanie, objął ją wzrokiem smutnym i głębokim i oddalił się w milczeniu. Poważne postacie starców, obraz dwóch łabędzi i spojrzenie młodego pustelnika nawiedzały dziewczynę w jej rojeniach sennych. Obok źródła stało drzewo odwieczne o szerokich konarach rozłożystych, zwane przez starych rishi „drzewem Życia“. Dewaki lubiła spoczywać w jego cieniu. Często usypiała tutaj i śniły jej się dziwne widzenia. Głosy śpiewały spoza liści: „Chwała ci, Dewaki! Przyjdzie on w glorii świetlanej, ten fluid czysty, wyłomiony z duszy wielkiej i przed wspaniałością jego zbledną

gwiazdy. -- Przyjdzie i życie wyzwie śmierć i odmłodzi krew wszystkich istot. — Przyjdzie od miodu słodszy i amryty¹⁾, tego napoju bogów dającego nieśmiertelność, czystszy niż jagnię bez skazy i niż usta dziewicy, i wszystkie serca miłością rozploną. — Chwała, chwała, chwała ci, Dewaki!“²⁾ — Czy to pustelnicy, czy Dewy tak śpiewały? Czasem zdawało jej się, że siła jakaś daleka, czy obecność czyjaś tajemnicza, jak gdyby ręka niewidzialna wyciągnięta ku niej, do snu ją zmuszała. Wpadała wówczas w sen głęboki, słodki, niepojęty, z którego budziła się zmieszana i niespokojna. Odwracała się, jak gdyby szukając, kto obok niej się znajduje, ale nigdy nikogo nie widziała. Czasem tylko dostrzegała róże rozsypane na jej łożu z liści lub też wieniec lotosu w swoich dłoniach.

Pewnego dnia wpadła Dewaki w głębszy jeszcze sen ekstatyczny. Usłyszała muzykę niebiańską, jak ocean harf i głosów boskich. Nagle rozwarło się niebo otchłanią świetlistą. Tysiące promiennych istot patrzyło na nią, a w blasku olśniewającego promienia słońce słońc, Mahadewa, ukazał się jej w postaci ludzkiej. Wówczas „zaćmiona“ przez Ducha światów, utraciła przytomność i w zapomnieniu o całej ziemi, w błogości bezgranicznej, poczęła dziecię boskie³⁾.

Kiedy siedem księżyców opisało swoje koła zakłete ponad świętym lasem, rozkazał zwierzchnik nad wszystkimi pustelnikami przywołać Dewaki: „Wola Dew została spełniona“ — oznajmił jej. „Poczęłaś w czystości serca i w mi-

1) **Amryta** — w mitologii indyjskiej to samo prawie co w greckiej ambrozja: napój, dający nieśmiertelność.

2) Atharwa-Weda.

3) Niezbędna jest tutaj uwaga, dotycząca symbolicznego znaczenia powyższej legendy i początku istotnego tych, którzy nosili w dziejach miano **Synów Bożych**. W myśl doktryny tajemnej indyjskiej, która była również doktryną wtajemniczonych w Egipcie i w Grecji, dusza ludzka jest córa nieba, ponieważ przed narodzinami swymi na ziemi przeszła przez szereg istnień cielesnych i duchowych. Ojciec i matka płodzą zatem tylko ciało dziecka, zaś dusza jego przychodzi skądinąd. Temu prawu powszechnemu ulegają wszyscy. Naj-

łości bożej. Bądź przez nas pozdrowiona, dziewico i matko. Zrodzi się z ciebie syn, który będzie zbawcą świata. Ale brat twój, Kansa, szuka cię, aby cię zgładzić wraz z słodkim płodem, który nosisz w twoim łonie. Musisz ująć przed nim. Bracia pustelnicy wskażą ci drogę do pasterzy, którzy mieszkają u podnóża góry Meru, pod pachnącymi cedrami, w powietrzu czystym Himawatu. Tam wydasz na świat twojego boskiego syna i nazwiesz go Kryszną błogosławionym. Niechaj nie wie on jednak o pochodzeniu swoim ani twoim, nie mów mu o nim nigdy. Idź bez obawy, czuwamy nad tobą!“ I poszła Dewaki do pasterzy u podnóża góry Meru.

więksi prorocy, ci nawet, których ustami przemawia Słowo Boże, nie mogą wyzwolić się z niego. W istocie bowiem, z chwilą gdy się przyjmuje istnienie uprzednie duszy, sprawa, kim był ojciec, staje się drugorzędną. Najważniejszą jest rzeczą, czy prorok ów pochodzi ze świata boskiego Tego zaś dowieść są w stanie prawdziwi synowie Boga zarówno czynami swymi za życia, jak swoją śmiercią. — Wtajemniczeni starożytni nie uważali jednak za właściwe popolitowania tych spraw. Niektórzy z nich, zjawiający się na świecie jako wysłańcy boscy, byli synami wtajemniczonych, a matki ich były w świątyniach, ażeby począć wybrańców.

IV.

MŁODOŚĆ KRYSZNY

U stóp góry Meru rozpościera się przewiewna dolina, usiana pastwiskami i okolona rozległymi lasami cedrowymi, po których ślizgało się świeże tchnienie Himawatu. Dolinę tę zamieszkiwał lud pasterzy, nad którymi pannał patriarcha Nanda, przyjaciel pustelników. Tam właśnie znalazła Dewaki ucieczkę przed prześladowaniem ty-rana, Madury, i tam również, w schronieniu Nandy, wy-dała na świat syna swego — Krysznę. Nikt z wyjątkiem Nandy nie wiedział, kim jest nieznajoma i kto był ojcem jej dziecięcia. Niewiasty okoliczne mówiły: „To syn Gan-dharwów ¹⁾. Bowiern muzycy Indry opiekę swoją rozto-czyć musieli nad miłością tej kobiety, która podobna jest do nimfy niebiańskiej, do Apsary. Czarowne dziecę nieznajomej rosło wśród stad i pasterzy pod czujnym okiem matki. Pasterze nazywali je „Promiennym“, bowiern sama jego obecność, uśmiech i wielkie oczy miały dar promieniowania radości. Zwierzęta, dzieci, kobiety, mężczyźni — wszyscy kochali małego, a on zdawał się kochać ca-ły świat, uśmiechał się do matki, bawił się z jagniętami i dziećmi, równolatkami, lub rozmawiał ze starcami. Jako dziecko już nie znał Kryszna bojaźni, śmiały był i doko-nywał czynów zdumiewających. Czasem spotykano go w lesie, rozciągniętego na mchu, obejmującego młode pan-tery i trzymającego je za rozwartą paszczę, a one nie śmiały kasać go. Czasem zapadał nagle w odrętwienie, za-

¹⁾ Są to geniusze które w każdej poezji hinduskiej wy-stępują jako duchy opiekuńcze małżeństw z miłości.

myślał się głęboko, ulegał dziwnym smętkom. Pozostawał wówczas na uboczu i poważny, zatopiony w myślach, patrzył nie odpowiadając. Nade wszystko jednak, nad wszystkich ludzi i wszystkie rzeczy ubóstwiał młodą swą matkę, tak piękną, tak promienną, mówiącą mu o niebie Dew, o walkach bohaterskich i rzeczach cudownych, o których opowiadali jej pustelnicy.

Pasterze, wiodący stada swoje pod cedry góry Meru, mówili: „Kim jest ta matka i kim jest jej syn? Mimo że odziana jest jak wszystkie nasze niewiasty, ma wygląd królowej. Cudowne dziecko wychowane jest razem z naszymi, a jednak niepodobne jest do nich. Czyżby to miał być geniusz? Czy Bóg może? Kimkolwiek jest, przyniesie nam szczęście“.

Kiedy Kryszna miał piętnaście lat, wezwał do siebie zwierzchnik pustelników jego matkę, Dewaki. Pewnego dnia znikła, nie pożegnawszy się z synem. Nie widząc jej, udał się Kryszna do patriarchy Nandy i rzekł:

— Gdzie jest matka moja?

Nanda odparł, pochylając głowę:

— Nie pytaj mnie, dziecko moje. Matka twoja udała się w daleką podróż. Poszła z powrotem do kraju, z którego przybyła i nie wiem, kiedy powróci.

Kryszna nie odpowiedział nic, jeno w tak głęboką wpadł zadumę, że wszyscy jego rówieśnicy odsunęli się od niego, jak gdyby lękiem przesądnym zdjęci. Kryszna porzucił swoich towarzyszy, zabawy ich i, w myślach wciąż zatopiony, udał się sam na górę Meru. Błąkał się tak kilka tygodni. Pewnego dnia wszedł na wysoki zalesiony szczyt, z którego roztaczał się widok na łańcuch gór Himawat. Nagle ujrzał przed sobą starca odzianego w białą oponczę pustelnika i stojącego pod olbrzymimi cedrami w świetle porannym. Zdawał się mieć sto lat z górą. Śnieżna jego broda i wysokie czoło jaśniały majestatem. Dziecię pełne życia i starzec stuletni patrzyli na siebie wzajem. Oko starca spoczęło z lubością na postaci Kryszny. A Kryszna tak był zachwycony widokiem starca, że oniemiał z podziwu. Jakkolwiek widział go po raz pierwszy, zdawało mu się, że go zna.

— Kogo szukasz? — rzekł wreszcie starzec.

— Matki mojej. —

Nie ma już jej tutaj
Gdzież ją odnajdę? —

— U tego, który pozostaje zawsze niezmiennym.

— Ale jakże mam Go znaleźć?

— Szukaj.

— A ciebie czy ujrzę jeszcze?

— Tak, kiedy córa Węża popchnie do zbrodni syna Byka, ujrzysz mnie w świtanium purpurowym. Zgładzisz wówczas Byka i zmiażdżysz głowę potwora. Wiedz, synu Mahadewy, że ty i ja jednością jesteśmy w Nim! Szukaj go, szukaj, szukaj wciąż!

I starzec wyciągnął ręce na znak błogosławieństwa. Potem zawrócił i postąpił kilka kroków naprzód pod wysokimi cedrami, w kierunku Himawatu. Nagle wydało się Krysznie, że majestatyczna postać starca staje się przejrzystą. Po chwili drgnęła ona i znikła wśród roziskrzonych gałązek o cienkich listeczkach, w migotaniu świetlanym.¹⁾

Gdy wreszcie zeszedł Kryszna z góry Meru, zdawał się jak gdyby przeistoczonym. Moc jakaś nowa promieniowała z jego istoty. Zgromadził swoich towarzyszy i rzekł im: „Chodźmy walczyć z bykami i z węzami; chodźmy bronić dobrych i powalać złych“. Z łukiem w ręku i mieczem u pasa Kryszna i jego towarzysze, synowie pasterzy, przeistoczeni w wojowników, zaczęli krążyć po lasach, walcząc z dzikimi zwierzętami. W głębi kniej słychać było wycia hien, szakali i tygrysów, okrzyki triumfalne młodzieńców wobec pokonanych bestii. Kryszna zabijał i poskramiał lwy; staczał boje z królami i wyzwalał narody uciemiężone. Ale w duszy jego gościł wciąż smutek. W sercu jego żyło jedno tylko głębokie, tajemne pragnienie, z którym się nie zdradzał: odnaleźć matkę i ujrzeć powtórnie dziwnego, boskiego starca. Przypominał sobie słowa jego: „Czyż nie przyobiecał mi, że ujrzę go znów, gdy zmiażdżę łeb potwora? Czy nie powiedział mi, że odnajdę matkę moją obok Tego, który wiecznie

¹⁾ Jest to stale wierzenie w Indiach, że wielej asceci objawiać się mogą z dala w widomej postaci, wówczas kiedy ciało ich pogrążone jest w śnie kataleptycznym.

pozostaje niezmiennym?" Darcemnie jednak walczył, zwyciężał i zabijał; nie mógł znaleźć promiennej matki swojej, ani oglądać powtórnie boskiego starca. Pewnego dnia usłyszał o Kalayenim, królu węzów, i oświadczył się z gotowością walczenia z najstraszliwszym z tych potworów w obecności czarnoksiężnika. Mówiono, że wąż ten hodowany przez króla Kalayeni pożarł już setki ludzi i że spojrzenie jego zmraza lękami najśmielszych. Na znak dany przez króla Kalayeni wypełzła gadzina sino-ziolonej barwy, wyprostowała z wolna straszliwe swoje cielsko, na dęła czub czerwony, a przeszywające oczy jej zamigotały w potwornym łbie, pokrytym lśniąca łuską. „Wąż ten — rzekł Kalayeni — wie nicjedno; to demon potężny. Tajemnice swoje wyjawi on tylko temu, kto go zglądzi, ale zabija tych, których pokona. Nie pozostaje ci więc nic innego, jak ukorzyć się przed nim, jeśli nie chcesz zginąć w walce szalonej“. Słowa te oburzyły Krysznę; czuł on bowiem, że serce jego jest jak ostrze pioruna. Spojrzał na węża i rzucił się nań, chwytając go za łeb. Człowiek i gadzina stoczyli się na stopnie świątyni. Zanim jednak potwór zdołał opleść go swoimi pierścieniami, odciął mu Kryszna łeb mieczem, i wydostając się spod drgającego jeszcze cielska, wzniosł młody zwycięzca w górę lewą dłońią z gestem triumfu łeb hydry. Łeb ten żył jednak jeszcze; patrzył wciąż na Krysznę i rzekł doń: „Dlaczego zabiłeś mnie, synu Mahadewy? Czy sądzisz, że znajdziesz prawdę, zabijając żywych? Szaleńcze, znajdziesz ją jedynie, zadając śmierć samemu sobie. Śmierć jest w życiu, a w śmierci jest życie. Strzeż się córy węża i krwi przełanej. Strzeż się! strzeż się!“ Mówiąc to, wydał wąż ostatnie tchnienie. Kryszna rzucił łeb jego i odszedł zgrozą zdjęty. Ale Kalayeni rzekł: „Nie mam władzy nad tym człowiekiem; Kali jedynie mógłby pokonać go czarami swymi“.

Po miesiącu obmywań i modłów nad brzegiem Gangesu, po oczyszczeniu się w blasku słońca i w myśl Mahadewy udał się Kryszna do swego rodzinnego kraju, do pasterzy z gór Meru.

Księżyc jesienny ukazywał po nad wierzchołkami lasów cedrowych swoją błyszczącą tarczę; powietrze nocy pachniało balsamem dzikich lilii, w których szemrzą

pszczoły za dnia. Kryszna, siedząc pod wielkim cedrem na skraju łąki, znużony daremnymi walkami na ziemi, marzył o walkach niebiańskich i o nieskończoności przestworzy. Im więcej myślał o promiennej matce swojej i o boskim starcu, tym marniejszymi i pogardy godnymi wydały mu się jego dziecięce czyny i tym żywiej czuł tęsknotę rzeczy niebiańskich. Całe jego jestestwo przenikał czar, niosący pociechę i wspomnienia boskie. Z głębin serca swego wznosił hymn wdzięczności dla Mahadewy i rozbrzmiała na ustach jego słodka melodia boska. Gopisy, córki i żony pasterzy, pociągnięte tym cudownym śpiewem, wyszły z domostw swoich. Pierwsze w szeregu dziewczęta, ujrawszy starców rodzin na drodze, cofnęły się niezwłocznie, udając, że wyszły jedynie, aby rwać kwiaty. Kilka z nich jednak zbliżyło się do Kryszny, wzywając go dwukrotnie po imieniu, po czym uciekły zawstydzone. Kobiety, ośmielając się zwolna, otoczyły Krysznę grupami, jak nieśmiałe a ciekawe gazy, oczarowane jego śpiewem. Ale on pochłonięty snami boskimi, nie widział ich. Podniecane śpiewem, zaczęły niecierpliwie się, że nie zauważył ich obecności. Niechdali, córka Nandy, wpadła, z oczyma zamkniętymi, w stan ekstazy nieomal. Ale Saraswati, siostra jej, śmielsza, przysunęła się tuż blisko do syna Dewaki, otarła się o niego ciałem i szepnęła głosem pieścotliwym:

— O, Kryszno, — czyż nie widzisz, że słuchamy cię i że nie możemy spać spokojnie w domach naszych? Twoje melodie oczarowały nas, o bohaterze cudowny! I oto w pętlach trzyma nas głos twój i nie możemy już obejść się bez ciebie.

— O, śpiewaj jeszcze! — rzekło inne dziewczę; — naucz nas śpiewać melodyjnie!

— Naucz nas tańczyć — rzekła jedna z niewiast.

Zbudzony z marzeń Kryszna spojrział dobrotliwie na Gopisy. Zwrócił się do nich ze słodkimi słowy i, ujmując je za ręce, posadził je na trawie, w cieniu wielkich cedrów, w jasnym świetle księżycy. Potem zaczął rozsnuwać przed nimi obrazy, oglądane w duszy własnej: historię bogów i bohaterów, walki Indry i czyny boskiego Ramy. Kobiety i dziewczęta słuchały go z zachwytem. Opowiadania te trwały aż do świtu, a gdy różanopalca jutrzienka

wschodziła za górą Meru, a ptaki świergotać zaczęły w gałęziach cedrów, córki i żony pasterzy wróciły do swoich domostw. Nazajutrz wszakże, zaledwie księżyc czarowny ukazał swój sierp, wróciły jeszcze bardziej spragnione jego słów. Widząc, że upajają się opowieściami jego, nauczył je Kryszna, jak mają same śpiewać i wyobrażać przy tym ruchami wzniosłe czyny bohaterów i bogów. Dał jednemu harfy o strunach drżących jak dusze, innym cymbały dźwięczne jak serca wojowników, jeszcze innym bębny, naśladujące łoskot grzmotu. Najpiękniejsze z dziewcząt wybrał, aby tchnąć w nie myśli swoje. Wyciągając ramiona, chodząc i poruszając się w boskim upojeniu, odtwarzały tancerki majestat Waruny, gniew Indry, zabijającego smoka, lub rozpacz opuszczonej Mayi. W ten sposób walki i nieśmiertelna chwała bogów, które Kryszna oglądał w duszy własnej, odradzały się w tych upojonych i przeistoczonych szczęściem kobietach.

Pewnego dnia rozpierchły się Gopisy. Dźwięki ich instrumentów muzycznych i roześmianych głosów śpiewnych zamilkły w oddali. Kryszna pozostał sam pod wielkim cedrem. Przywołał wówczas dwie córki Nandy: Saraswati i Nichdali, które wnet usiadły obok niego. Saraswati otoczyła jego szyję ramionami, aż zadźwięczały zdobiące ją naramienniki — i rzekła: „Nauczyłeś nas śpiewów i tańców uświęconych i tym uczyniłeś nas najszczęśliwsiymi z niewiast; będziemy wszakże najnieszczęśliwsiymi, jeśli nas opuścisz. Cóż się z nami stanie, kiedy cię już nie ujrzą oczy nasze? O, Kryszno, poślub nas, siostrę moją i mnie, będziemy ci wiernymi małżonkami, a oczy nasze nie zasmucą się utraceniem ciebie“. Gdy Saraswati tak mówiła, zawarła Nichdali powieki, jak gdyby wpaść miała w sen ekstatyczny.

— Dlaczego zamykasz oczy, Nichdali? — zapytał Kryszna.

— Zazdrosna jest — odparła Saraswati ze śmiechem — nie chce widzieć ramion moich, oplecionych dokoła szyi twojej.

— Nie — odrzekła Nichdali zarumieniona; zamykam oczy, aby napawać się widokiem twojej postaci, wrytej w głębi duszy mojej. Kryszno, możesz odejść; nie utracę

cię nigdy. — Zamyślił się Kryszna. Rozplótł z uśmiechem ramiona Saraswati, zaciśnięte namiętnie dokoła jego szyi. Potem przyjrzał się uważnie obu kobietom i ujął je obie w swoje ramiona. Przycisnął najpierw usta swoje do ust Saraswati, a potem do oczu Nichdali. W dwu przeciągłych tych pocałunkach zdawał się młody Kryszna zgłębiać wszystkie rozkosze ziemskie i upajać się nimi. Nagle dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

— Piękną jesteś, o Saraswati! — rzekł — ty, której usta mają zapach buksztynu i wszelakiego kwiecica; czarującą jesteś, o Nichdali, ty, której powieki odsłaniają oczy głębokie i która umie patrzeć w głąb siebie. Kocham was obie. Jakżebym mógł was poślubić, skoro musiałbym podzielić między was serce moje.

— O! nie pokocha on nigdy! — rzekła Saraswati gniewnie.

— Kochać będę tylko miłością wiekuistą.

— Cóż czynić należy, abyś tak pokochał? — rzekła czule Nichdali. Kryszna wstał; oczy jego płomieniały.

— Aby kochać miłością wiekuistą?—powtórzył. Trzeba, aby zgasło światło dnia, aby piorun wpadł do serca mojego i aby dusza moja uleciała ze mnie w głąb niebios.

W chwili, gdy mówił tak, zdawało się dziewczętom, że postać jego olbrzymieje. Lęk zdjął je nagle przed nim; wróciły do domu, płacząc. Kryszna udał się sam w drogę na górę Meru. Nocy następnej zgromadziły się niewiasty na zwykłe zabawy, daremnie jednak czekały na mistrza. Znikł, pozostawiając im treść jedynie i balsam swej istoty: śpiewy i tańce uświęcone.

WTAJEMNICZENIE

Król Kansa, dowiedziawszy się, że siostra jego, Dewaki, znalazła schronienie u pustelników, gdzie nie mógł jej odszukać, zaczął ich prześladować i tropić jak dzikie zwierzęta. Zniewoliło ich to do cofnięcia się głębiej jeszcze w dzikszą część lasu. Wówczas główny ich kierownik, stary Wasychta, chociaż miał już sto lat, udał się w drogę, aby pomówić z królem Madurą. Zdumione stráže ujrzały u wrót pałacu ślepego starca, prowadzonego przez gazelę, którą trzymał na smyczy. Przejęci szacunkiem dla rishi, przepuścili go swobodnie. Wasychta zbliżył się do tronu, na którym siedział Kansa obok Nysumby i rzekł:

— Kanso, królu Madury, biada ci, synu Byka, za to, że prześladujesz samotników w świętym lesie. Biada ci, córo Węza, za to, że natchnąłś go zemstą. Zbliża się dzień waszej kary. Wiedzcie, iż syn Dewaki żyje. Przyjdzie okryty łuską nietykalną i przepędzi cię sromotnie z tronu. A teraz drzyjcie i spędzajcie dni w lęku; taką karę zyskają na was Dewy.

Wojownicy, stráže, służebni padli na twarz przed świętym starcem stuletnim, który wyszedł, prowadzony przez swoją gazelę, a nikt nie śmiał tknąć go nawet. Od dnia tego wszakże Kansa i Nysumba zaczęli myśleć, w jaki sposób można byłoby zgładzić tajemnie króla pustelników.

Dewaki nie żyła i nikt — prócz Wasychty — nie wiedział, że Kryszna jest jej synem. Rozgłos jego czynów doszedł w tym czasie do uszu króla. Pomyślał tedy Kan-

sa: „Potrzebny mi jest człowiek silny, który mógłby mnie bronić. Ten, kto zabił wielkiego węża króla Kalayeni, nie ulęknie się pustelnika“. To pomyślawszy, kazał Kansa oznajmić patriarsze Nanda, aby mu przysłał młodego bohatera, Krysznę, „z którego uczynię kierowcę mojego rydwanu i pierwszego mojego doradcę“ — dodał ¹⁾). Nanda powtórzył Krysźnie rozkaz królewski, na co odpowiedział Kryszna: „Pójdę!“ W duchu wszakże pomyślał: „Czyż król Madury — miałby być owym wiekuiście Niezmiennym? Przez niego dowiem się, gdzie jest moja matka“.

Kansa, widząc siłę, zrećność i rozum Kryszny, polubił go i powierzył mu pieczę nad swoim państwem. Nysumba natomiast doznała na widok bohatera z góry Meru dreszczu nieczystych pożądań cielesnych i umysł jej giętki snuć zaczął w błysku myśli zbrodniczej projekt ponury. Bez wiedzy króla przywołać kazała kierowcę rydwanu do swojego gyneceum. Czarnoksięską mocą swą potrafiła odmłodzić się za pomocą płynów, działających ze skutecznością natychmiastową. Syn Dewaki zastał hebanowo-łoną Nysumbę nagą prawie na łożu purpurowym; złote kolce oplatały ramiona jej i nogi w kostkach; diadem z kamieni drogocennych błyszczał na jej głowie. U stóp jej płonęła kadzielnica miedziana, z której kłębamii ulatywały opary wonności upajających.

— Kryszo — rzekła córka króla węży — czoło twoje gładziej jest od śniegu na szczytach Himawatu, a serce twoje jest jak ostrze pioruna. Niewinnością twoją jaśniejesz nad wszystkimi królami świata. Nikt cię tutaj nie poznał; ty sam nie wiesz, kim jesteś. Ja jedna wiem o tym; Dewy uczyniły z ciebie władcę ludzi; ja jedna uczynić mogę z ciebie władcę świata. Chcesz tego?

— Jeśli rzeczywiście mówi ustami twymi Mahadewa — rzekł Kryszna uroczyście — powiesz mi, gdzie jest

¹⁾ W dawnych Indiach obie te godności pełniła często jedna osoba. Kierownicy rydwanów królewskich byli wielkimi osobistościami i często ministrami monarchy. Przykładów tego mnóstwo jest w poezji hinduskiej.

matka moja i gdzie znajdę wielkiego starca, który przemawiał do mnie pod cedrami góry Meru.

— Matka twoja? — zawołała Nysumba z pogardliwym uśmiechem — o, napewno nie ja cię o tym pouczę: twój starca nie znam zupełnie. Szaleńcze! gonisz mary obłędne, a nie widzisz skarbów ziemi, które składam ci w darze. Są królowie, noszący koronę i nie będący królami. Są synowie pasterzy, którzy noszą majestat królewski na swoich czolach i którzy nie znają swojej potęgi. Silny jesteś, młody i piękny; idą za tobą serca. Zabij króla, gdy spać będzie, a ja koroną uwieńczę skroń twoją i będziesz władcą świata. — Bowiem kocham cię; jesteś mi przeznaczony. Tak chcę, tak rozkazuję!

Mówiąc to, powstała królowa, dumna, rozkazująca, dziwny rzucająca urok, straszliwa jak piękny wąż. Stojąc na wspaniałym łożu, cisnęła z oczu posępnych taki snop płomieni żarzących na jasne oczy Kryszny, że zadrżał przerażony. W spojrzeniu jej dojrzał piękno. Dojrzał przepaść świątyni Kali, bogini Żądzy i Śmierci, i węże kłębiące się w niej w wiekuistej męce konania. I stały się nagle oczy Kryszny jako dwa sztylety ostre. Przeszyły one królową na wskroś. Bohater z góry Meru zawołał:

— Wierny jestem królowi, który wezwał mnie na swego obrońcę, ale ty zginiesz, wiedz o tym!

Nysumba krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się na łożo, kłusząc purpurę pościeli. Cała jej sztuczna młodość zgasła od razu; była znów stara i pomarszczona.

Kryszna wyszedł, pozostawiając ją na pastwę własnej wściekłości.

Król Madury, któremu dniem i nocą nie dawały spokoju słowa pustelnika, rzekł do swego kierowcy rydwanu:

— Odkąd stopa wroga stanęła w moim pałacu, nie mam spokoju na tronie. Diabelski czarownik, Wasychta, żyjący w gęstym lesie, rzucił na mnie swoją klątwę. Od tej chwili nie oddycham swobodnie; starzec ten zatrul mi życie, lecz mając przy sobie ciebie, który nie lękasz się niczego, nie boję się go. Chodź ze mną do lasu przeklętego. Szpieg pewien, który zna wszystkie drogi, zaprowadzi nas do niego. Jak tylko go ujrzysz, pośpiesz ku niemu i zadań mu cios, zanim zdąży wymówić słowo lub spojrzeć na ciebie. A gdy będzie już zraniony śmiertelnie, za-

pytaj go, gdzie jest syn siostry mojej, Dewaki, i jakie nosi imię. Spokój państwa mojego zależy od tej wiadomości.

— Bądź spokojny — odrzekł Kryszna — nie przejął mnie lękiem Kalayeni, ani wąż Kali. Przed kim mógłbym drzeć teraz? Więc choć potężnym jest ów człowiek, do wiem się, co ukrywa przed tobą.

Król i kierowca jęgo, przebrani za łowców, pędzili na wozie, zaprzężonym w rwące cwałem konie. Za nimi pospieszał szpieg, który przeszukał las cały. Było to na początku okresu deszczowego. Wody rzek i strumieni wezbrały, drogi i ścieżki zarosły bujnie pleniącą się roślinnością, sznury bocianów znaczyły długie białe smugi na szarym tle chmur. Z chwilą, kiedy doszli do świętego lasu, widnokrąg zaciemnił się, chmury zasnuły słońce, rdzawa mgła wypełniła powietrze. Z ponurego, burzliwego stropu nieba zwisały ciężkie chmury, czepiając się szmatami zwichrzonych wierzchołków lasów.

— Dlaczego — spytał Kryszna króla — zaciemniło się nagle niebo i czemu tak poczerniał las?

— Widzę to — odparł król Madury — to Wasychta, zły samotnik, zaciemnia tak niebo i najeża przeciwko mnie drzewa przekłete. Czy przeraża cię to, Kryszno?

— Miałebym bać się, że niebo zmienia oblicze, a ziemia barwę? Nie, nie boję się.

— A więc, naprzód.

Kryszna zaciął rumaki i rydwan wjechał w obręb głębokiego cienia baobabów. Pędził tak przez czas pewien z zawrotną szybkością. A las stawał się coraz dzikszyszy i coraz groźniejszy. Błyskawice przeszły ciemności; ryki gromu wstrząsnęły ziemią i lasami.

— Nigdy jeszcze — rzekł Kryszna — nie widziałem nieba tak czarnego, ani drzew tak pogiętych od wichru. Potężnym jest twój czarownik!

— Boisz się, Kryszno, ty, który zabijasz węże, ty, bohaterze z góry Neru?

— Choćby zapaść się miało niebo, a ziemia drgać w posadach — nie znam lęku.

— Więc jedźmy dalej!

I znów śmiały kierowca zaciął rumaki i rydwan po-

pędził lotem ptaka. Nagle rozszrożyła się burza z mocą tak straszliwą, że pogięły się najwyższe olbrzymy drzew. Miotany wichrem las zawył rykiem tysięcy szatanów. Piorun spadł obok podróżnych; strzaskany baobab runął, tarasując drogę; konie stanęły, drgnęła ziemia.

— Bogiem chyba być musi wróg twój — rzekł Kryszna — skoro sam Indra ma go w swojej opiece.

— Jesteśmy blisko kresu naszej drogi — wtrącił szpieg królewski. Spójrz na tę aleję zieleni. Na krańcu jej stoi nędzna chata. Tam właśnie mieszka Wasychta, wielki muni, żywiący ptaki, broniony przez gazelę i siejący postrach na dzikie bestie.

Słyszając te słowa, król Madury zbladł śmiertelnie: „Jest więc tam? naprawdę? za tymi drzewami?“ I konwulsyjnie chwytając się Kryszny, szepnął dygocząc:

— Wasychta! Wasychta! ten, który obmyśla, jak ma mnie zgładzić, jest tam. Widzi mnie z głębi swojego domostwa... oko jego śledzi mnie... Uwolnij mnie od niego!

— Tak, na Mahadewą! — rzekł Kryszna, schodząc z rydwanu i przeskakując przez olbrzymi pień baobabu — chcę zobaczyć tego, przed którym tak drżysz cały.

Stuletni muni Wasychta przebywał od roku już w oczekiwaniu śmierci w chacie tej, ukrytej w głębi lasu świętego. Przed śmiercią ciała wyzwolił się z niewoli ciała. Oczy jego zagasły, lecz widział duszą. Skóra jego nie odczuwała już ani ciepła, ani zimna — ale umysł jego żył zlany cudownie z duchem najwyższym. Rzeczy tego świata oglądał już tylko po przez światłości Brahmy, modląc się i rozmyślając nieustannie. Jeden z wiernych uczniów jego przychodził codziennie z pustelni i przynosił mu ziarenka ryżu, którymi się żywił. Gazela, która jadła z jego ręki, ostrzegała go rżeniem przed zbliżaniem się dzikich zwierząt. Wówczas oddalał je szeptaniem zaklęcia mantra i wyciąganiem w ich kierunku swego bambusowego kija o siedmiu węzłach.

Zbliżanie się ludzi, kimkolwiek byliby, widział okiem duszy na odległość kilku mil.

Idąc naprzód po ciemnej alei, stanął Kryszna nagle przed obliczem Wasychty. Król pustelników siedział, skrzyżowawszy nogi na macie słomianej, oparty o mur chaty, w głębokim spokoju. Jego oczy ślepeca nicciły ogień

iskier wewnętrznych jasnowidzącego. Jak tylko Krysna spojrział na niego, poznał w nim od razu „boskiego starca“. Radość przepelniała jego serce, duszę przejęła cześć głęboka. Zapominając o królu, o rydwanie i o państwie jego, zgiął kolano przed świętym i hołd mu złożył.

Wasychta zdawał się widzieć go. Bowiem ciało jego, oparte o ścianę chaty, uniosło się w lekkim drganiu; wyciągnął ramiona, aby pobłogosławić przybysza, a wargi jego wyszeptały zgłoskę świętą: AUM¹⁾.

Przez ten czas król Kansa, nie słysząc krzyku i nie mogąc się doczekać powrotu kierowcy rydwanu, pośpieszył w głąb alei. Na widok Krysny, klęczącego przed świętym pustelnikiem, osłupiał ze zdumienia. Pustelnik zwrócił ku niemu swoje oczy ślepeca i podnosząc kij, rzekł:

— O, królu Madury, przychodzisz zabić mnie, bądź pozdrowiony! Bowiem zadając mi śmierć, wyzwolisz mnie z nędzy ciała. Chcesz wiedzieć, gdzie jest syn siostry twojej, Dewaki? ten, który ma pozbawić cię tronu? Oto jest on! Stoi na klęczkach przede mną i przed Mahadewą. To Krysna, własny twój kierowca. Pomyśl, jak jesteś szalony i przeklęty, bowiem najgroźniejszy wróg twój — to on właśnie. Przywiodłeś go do mnie, abym mu powiedział, że jest owym wybrańcem. Drżyj! Zgubiony jesteś, albowiem dusza twoja piekielna stanie się pastwą demonów.

Kansa z przerażeniem słuchał jego słów. Nie śmiał spojrzeć w twarz starcowi; blady z wściekłości na widok klęczącego wciąż Krysny, chwycił swój łuk i, napinając go z całych sił, wypuścił strzałę na syna Dewaki. Ale ramię jego drgnęło, pocisk zboczył i strzala utkwiała w piersi Wasychty, który, skrzyżowawszy ręce, czekał na nią jak gdyby w ekstazie.

Krzyk straszny rozległ się — nie z piersi starca, ale z piersi Krysny. Usłyszał on świst puszczonej z łuku strzały, ujrzał ją tkwiącą w ciele świętego... i zdało mu się, że przeszła ona własne jego serce, tak dalece dusza

¹⁾ We wtaajemniczeniu bramhińskim oznacza ona: Bóg Najwyższy, Bóg-Duch. Każda z tych liter odpowiada jednej z potęg boskich, jednej z osób Trójcy.

jego zjednoczyła się w tej chwili z duszą rishi. Wraz tą ostrą strzałą cały ból świata przeszył duszę Kryszny, rozdarł ją do głębi. Wasyeha, ze strzałą tkwiącą w piersi, poruszał jeszcze wargami, szepcząc:

— Synu Mahadewy, dlaczego wydajesz ten okrzyk bólu? Zabić daremnym jest trudem. Strzala nie może dotrzeć do duszy, a ofiara jest zwyciężcą zabójcy. Triumfuj, Kryszno, przeznaczenie spełniło się: wracam do Tego który pozostaje zawsze Niezmiennym. Niech Brahma przyjmie twoją duszą. Ale ty, jego wybrany, zbawco świata, wstań! Kryszno! Kryszno!

Kryszna, posłuszny temu głosowi, wstał, chwytając za miecz; chciał zwrócić się przeciwko królowi. Ale Kansa uciekł.

Wtem błysk świetlany rozdarł czarne niebo i Kryszna padł na ziemię, rażony jasnością olśniewającą. A gdy ciało jego pozostało bez czucia, dusza, złana potęgą sympatii z duszą starca, wzniosła się w przestworze. Ziemia ze swymi rzekami, strumieniami, z morzami i łąkami, znikła jak kula czarna, a oni obaj ulecieli aż po siódme niebo Dew, ku Ojcu wszystkich istot, słońcu słońc, Mahadewie, boskiemu rozumowi. Pograżyli się w rozwarty przed nimi ocean jasności, w którego samym środku ujrzał Kryszna matkę swoją, promienną, uwielbianą matkę, Dewaki, która z nieopisanie błogim uśmiechem wyciągnęła ku niemu ramiona, przyciągając go do swego łona. Tysiące Dew przylatywało poić się światłością Dziewicy-Matki, ogrzewać się przy tym ognisku niewygasającym. I uczył Kryszna, że ogarnia go i pochłania miłosne spojrzenie Dewaki. Z głębi serca matki promieniejącej, istota jego siała blaski poprzez wszystkie nieba. Uczuł, że jest Synem, duszą Boską wszechświata, Słowem życia, Słowem twórczym. Stojąc ponad życiem ziemskim, przenikał je bólem przecierpianym, żarem modlitwy i błogością boskiej ofiary ¹⁾.

¹⁾ Legenda o Krysznie pozwala nam dotrzeć do źródła idei Dziewicy-Matki, Człowieka-Boga i Trójcy. — W Indiach idea ta występuje od początku zaraz w całej przejrystości swojej symboliki, w głębokim swoim znaczeniu metafizy-

czynnym. W księdze V-ej rozdz. II **Wisnu-Purana**, opowiedziawszy o poczęciu Krysny przez Dewaki, dodaje: „Nie mógł nikt patrzeć na Dewaki z powodu spowijającej ją światłości, a ci, którzy oglądali jej wspaniałość, czuli że rozum ich maści się; bogowie dla śmiertelnych niewidzialni, nieustannie głosili chwałę jej, odkąd Wisnu weielony był w jej łono“. Mówili oni: „Ty jesteś ową Prakriti bezbrzeżną i lotną, która nosiła niegdyś Brahme w swoim łonie; stałaś się później boginią Słowa, siłą Twórey wszechrzeczy i matką Wed. O ty, istota wiekuista, zawierająca w materii swojej istotę wszechrzeczy stworzonych, byłaś samą twórczością, byłaś ofiarą, z której powstało wszystko, co rodzi ziemia; jesteś drzewem, którego tarcie ogień nieci. Jak Aditi, jesteś matką bogów; jak Diti, jesteś matką Datiów, ich wrogów. Jesteś światłem, które rodzi dzień; jesteś pokorą, matką prawdziwej mądrości, jesteś polityką królów, matką porządku; jesteś pożądanym, z którego wytryska miłość, jesteś zadowoleniem, z którego ezerpie siły rezygnacja; jesteś uświadomieniem, z którego bierze początek nauka; jesteś cierpliwością, matką odwagi; całe sklepienie niebieskie i gwiazdy są twoimi dziećmi; z ciebie powstaje wszystko, co istnieje... Zesłaś na ziemię, aby zbawić świat. Zmiłuj się nad nami, o, bogini; i okaż się laskawą dla wszechświata, bądź dumną, że nosisz w swym łonie boga, który podtrzymuje świat“.

Ustęp ten świadczy że bramini utożsamiali matkę Krysny z materią wiekuistą, z istotą wszechrzeczy, z pierwiastkiem żeńskim w przyrodzie. Uczynili z niej drugą osobę Trójcy boskiej, troistości pierwotnej nieobjawionej. Ojciec, **Nara**, (wiekuiście — Męski pierwiastek); Matka, **Nari** (wiekuiście — Żeński pierwiastek) i Syn, **Wiradi** (Słowo Twórcze) — taki jest układ władz boskich. Innymi słowy: pierwiastek umysłowy, pierwiastek plastyczny i pierwiastek tworzący. Wszystkie trzy razem stanowią ową **natura naturans** Spinozy. Świat zorganizowany — **natura naturata** — jest dziełem Słowa twórczego, które objawia się z kolei w trzech postaciach: **Brahma** — duch — odpowiada światu boskiemu, **Wisnu** — dusza — światu ludzkiemu, **Siwa** — ciało — przyrodzie zmysłowej. W trzech tych światach pierwiastek męski i pierwiastek żeński (duch i materia) jednocześnie są czynne; a pierwiastek wiekuiste żeński objawia się równocześnie w przyrodzie ziemskiej, ludzkiej i boskiej.

Kiedy Krysna ocucił się, gromy huczały jeszcze na niebie, las był ciemny i potoki deszczu zalewały chatę. Gazela lizała krew na ciele przebitego strzałą ascety. „Boski starzec“ był już trupem tylko. Ale Krysna wstał jak odrodzony. Przepaść dzieliła go od świata i znikomych jego ulud. Danem mu było widzieć wielką prawdę i zrozumieć posłannictwo swoje.

Król Kansa, zdjęty lękiem bez granic, uciekał na rydwanie swoim, gnany przez nawałnicę, a konie jego spinały się, jak gdyby zacinane przez tysiące demonów.

Izys jest troistą, Cybela również.— Tak pojęta, jak widzimy, troistość podwójna: Boga i wszechświata obejmuje podstawy i ramy teodycei i kosmogonii (systemu sprawiedliwości bożej i ustroju wszechświata). Zaznaczyć należy, że idea ta wyszła z Indii. Przyjęły ją wszystkie świątynie starożytne, wszystkie religie wielkie oraz kilka najwybitniejszych systemów filozoficznych. W czasach apostołów i w pierwszych wiekach chrześcijaństwa czekali wtajemniczeni chrześcijanie pierwiastek żeński przyrody widzialnej i niewidzialnej pod mianem Ducha Świętego, wyobrazonego w postaci gołąbka, symbolu siły żeńskiej, we wszystkich świątyniach Azji i Europy. Mimo że kościół ukrył i zatracił klucz tych tajemnic, znaczenie ich przechowało się w tych symbolach.

VI

DOKTRYNA WTAJEMNICZONYCH

Pustelnicy powitali w Krysznie oczekiwanego i powołanego następcę Wasychty. Odprawiono w świętym lesie **Sradę**, czyli obchód żałobny po wielkim starcu. Po spełnieniu ofiary ognia w obecności najstarszych pustelników, tych, którzy umieją na pamięć trzy Wedy, otrzymał syn Dewaki — na znak władzy rozkazodawczej — kij o siedmiu węzłach. Po dokonaniu obrządku tego udał się Kryszna na górę Meru, aby rozmyślać tam w skupieniu ducha nad swoją nauką i nad drogą zbawienia ludzkości. Rozmyślał tak i umartwiał ciało swoje w ciągu siedmiu lat. Po ich upływie uczuł, że boskością swoją zwyciężył ziemską naturę i że dostatecznie utożsamił się ze słońcem Mahadewy, aby zasłużyć na imię syna Bożego. Wówczas dopiero wezwał do siebie pustelników, nowych i dawnych, aby objawić im swoją doktrynę. Ujrzeni oni Krysznę oczyszczonego i wyolbrzymionego, bohater przedstoczył się w świętego; nie utracił on lwiej swej siły, ale zyskał słodycz gołębia. Jako jeden z pierwszych przybył Ardżuna, potomek królów słonecznych, jeden z Pandawów, strąconych z tronu przez Kurawów, królów księżycowych. Młody Ardżuma pełen był ognia, zapal **jego** ostygł jednak łatwo i łatwo też przeistaczał się w **zaw**ątpienie. Przywiązał się on gorąco do Kryszny.

Siedząc pod cedrami góry Meru i mając przed sobą Himawat, zaczął Kryszna głosić uczniom swoim prawdy, niedostępne dla ludzi, żyjących w niewoli zmysłów. Uczył ich doktryny nieśmiertelności duszy, odradzania się **jej**

i pojednania mistycznego z Bogiem. Ciało — mówił on — osłona duszy, która w nim przebywa, jest rzeczą skończoną; ale dusza sama jest niewidzialna, nieważka, niezniszczalna, wiekuista¹⁾. Człowiek ziemski jest troisty, jak bóstwo, którego jest odzwierciedleniem: intelekt, dusza i ciało. Jeżeli dusza łączy się z intelektem, osiąga ona **Satwę**: mądrość i pokój; jeśli pozostaje w zawieszaniu między intelektem a ciałem, ulega władzy **Raji**, namiętności, i wiruje od przedmiotu do przedmiotu, zataczając krąg fatalny, i jeśli zaprzeda się ciału, wpada w **Tamę**, obłąd, nieświadomość i śmierć chwilową. Oto, co człowiek każdy widzieć może w sobie samym i dokoła siebie²⁾.

— Jaki jest jednak los duszy po śmierci? — zapytał Ardżuna. Czy ulega ona zawsze tym samym prawom, czy też może wylamać się spod nich?

— Nie wylamauje się spod nich nigdy i ulega im zawsze — odparł Krysna. Na tym polega tajemnica odrodzeń. Podobnie jak głębie nieba rozświetlają promienie gwiazd, tak samo światło tej prawdy rozświetla głębie nieba. „Kiedy ciało zamiera podczas górowania nad nią **Satwy** (mądrości), dusza ulatuje w sfery owych istot czystych, które poznały Najwyższego, Kiedy zaś zamrze ciało w chwili, gdy jest we władzy **Raji** (namiętności), dusza wciela się ponownie w istotę przywiązaną do rzeczy ziemskich. Podobnie też, gdy śmierć ciała następuje przy górowaniu **Tamy** (nieświadomości), zaćmiona przez materię dusza daje się ponownie usidlić istotom obłądnym³⁾.”

— Słuszne to — rzekł Ardżuna. Foucz nas jednak, co się staje w przeciągu wieków z tymi, którzy szli za głosem mądrości i którzy po śmierci swojej przenoszą się do światów bożych?

— Człowiek — odrzekł Krysna — którego śmierć zastanie oddającego się praktykom pobożnym, korzysta w ciągu kilku wieków w sferach niebiańskich z nagrody.

¹⁾ Wyjawienie tej doktryny, którą przyjął później Platon, znajduje się w I-iej księdze **Bhagawadgity** w postaci dialogu między Krysna i Ardżuną.

²⁾ Księga XIII do XVIII **Bhagawadgity**.

³⁾ Ibid. ks. XIV

należnej mu za jego znoję, a potem powraca na ziemię. wcielony w istotę, należącą do godnej, świętobliwej rodziny. Taki rodzaj odrodzenia w życiu doczesnym trudny jest jednak wielce do uzyskania. Człowiek, na nowo w ten sposób narodzony, posiada w tym samym stopniu zdolność skupiania się i doskonalenia, w jakim posiadał ją w pierwotnym swoim ciele, zaczyna też na nowo pracować nad doskonaleniem się w pobożności¹⁾.

— A więc — zauważył Ardżuna — dobrzy nawet muszą odradzać się i rozpoczynać na nowo życie cielesne! Powiedz nam wszakże, o, władco życia! czy dla człowieka idącego drogą mądrości nie istnieje kres wiecznych odrodzeń?

— Słuchajcie więc, — rzekł Kryszna — a wyjawię wam bardzo wielką i bardzo głęboką tajemnicę, tajemnicę najwyższą, wzniosłą i czystą. Aby dojść do udoskonalenia, zdobyć należy **wiedzę jedności**, która przewyższa mądrość; należy wznieść się do istoty boskiej, stojącej ponad duszą, ponad rozumem nawet. Owóż boska ta istota, ten przyjaciel wzniosły jest w każdym z nas. Bowiem w duszy każdego człowieka mieszka Bóg, niewielu wszakże umie go tam znaleźć. A oto droga zbawienia. Gdy uda wam się dojrzeć w sobie Istotę doskonałą, stojącą ponad światem, postanówcie wyrzec się wroga waszego, który przybiera na siebie postać żądz. Poskramiajcie wasze namiętności. Rozkosze, których dostarczają wam zmysły, są źródłem i rodzicielem przyszłych cierpień. Nie tylko czyncie dobro, ale bądźcie dobrymi. Niech pobudka tkwi w czynie, a nie w jego wynikach. Wyrzeczcie się plonu waszych dzieł, ale niech każdy z czynów waszych będzie ofiarą złożoną Najwyższej istocie. Człowiek, który czyni ofiarę z pożądań swoich i z czynów na rzecz istoty, będącej źródłem i twórcą wszechrzeczy, zdobywa ofiarą tą doskonałość. Złączony duchowo z tą istotą, zyskuje ową mądrość, stojącą ponad kultem ofiar, i odczuwa szczęśliwość boską. Ten bowiem, kto w samym sobie odnalazł szczęście i radość i kto światło też w sobie samym odnalazł, zjednoczył się z Bogiem. Wiedźcie za tym, że dusza,

¹⁾ Ibid. ks. V

która odnalazła Boga, wyzwolona jest z odradzania się i ze śmierci, ze starości, z bólu i pije z krynicy nieśmiertelności¹⁾.

W ten sposób wyjaśnił Kryszna swoją doktrynę uczniom, wnosząc ich powoli — drogą wewnętrznego kontemplacji — do poznania prawd najwyższych, odsłonionych przed nim samym w piorunowym błysku jego widzenia. Kiedy mówił o Mahadewie, głos jego stawał się uroczystszy, a twarz rozjaśniał promienny blask. Pewnego dnia Ardżuna, pełen ciekawości i odwagi, rzekł do niego:

— Daj nam ujrzeć Mahadewę w boskiej jego postaci. Czy nie mogą oglądać go oczy nasze?

Powstał wówczas Kryszna i mówić zaczął o Tym, który żyje we wszystkich istotach, przybierając kształtów tysiące, który oczu moc ma niezliczoną i oblicza zwrócone we wszystkie strony, a który wszakże wyższym jest nad nie o cały bezmiar nieskończoności; o Tym, który w bezkresnym nieruchomym ciele swym mieści cały wielokształtny świat ruchomy. „Gdyby w niebiosach rozbłysła naraz światłość tysięcy słońc — rzekł Kryszna — przypominałaby ona w słabym zaledwie stopniu świetność jedynego istoty Wszecmocnej“.

Kiedy tak mówił Kryszna o Mahadewie, taki trysnął z oczu jego promień, że uczniowie nie mogli znieść tego blasku i padli do jego stóp. Włosy zjeżyły się z przerażenia na głowie Ardżuny. Nachylając się kornie i składając modlitewnie dłonie, rzekł: „Mistrzu, słowa twoje przerażają nas, nie możemy znieść widoku wielkiej Istoty, jaką przedstawiasz oczom naszym. Obraz ten piorunuje nas“²⁾. A Kryszna mówił dalej: „Słuchajcie, co wieści wam on przez usta moje: Ja i wy mieliście wiele narodzin. Moje znane są tylko mnie, ale wy nie znacie waszych. Jakkolwiek z samej natury mojej nie podlegam narodzinom ani śmierci i jakkolwiek jestem władcą wszystkich istot, rozkazuję jednak naturze własnej i własną potęgą mą czy-

¹⁾ Bhagawadgita, *passim*.

²⁾ Patrz ustęp o przeobrażeniu Kryszny w ks. XI Bhagawadgity. Można ją porównać z przeobrażeniem Chrystusa, Mat. XVII. Patrz ks. VIII niniejszego dzieła.

nię się widzialnym. Ilekroć też cnota upadać zaczyna na świecie, a zapanowuje na nim grzech i niesprawiedliwość, czynię się widzialnym i dlatego ukazuję się po przez wieki dla ocalenia sprawiedliwości, zniszczenia zła i przywrócenia cnoty. Kto poznał prawdziwą moją istotę i moje dzieło boskie, nie powraca już do nowych narodzin, lecz powraca do mnie⁴⁾).

Mówiąc to, spoglądał Kryszna łagodnie i dobrotliwie na uczniów swoich. Wtedy Ardżuna zawołał.

— Panie! jesteś władcą naszym, jesteś synem Mahadewy! Mówi mi o tym dobroć twoja, twój czar niewypowiedziany bardziej jeszcze, niż blask twój przerażający. Nie w wirze bezkresu szukają cię z upragnieniem Dewy; kochają się one i wielbią, gdy ludzką przybierasz na się postać. Ani pokuta, ani jałmużny, ani Wedy, ani ofiary nie dorównują jednemu spojrzeniu twemu. Jesteś prawdą. Wiedź nas na walki, na boje, na śmierć. Dokądkolwiek zechcesz, pójdziemy za tobą!

Uśmiechnięci i zachwyceni uczniowie cisnęli się do Kryszny, mówiąc:

— Jakże mogliśmy nie widzieć tego wcześniej? Wszak to Mahadewa przemawia przez ciebie.

A on rzekł:

— Oczy wasze nie były otwarte. Wyjawilem wam wielką tajemnicę. Odsłońcie ją tylko tym, którzy mogą ją zrozumieć. Jesteście wybrańcami moimi; widzicie cel, tłum widzi zaledwie kawałek drogi. A teraz idźcie głosić ludom drogę zbawienia.

⁴⁾ Bhagawadgita, ks. IV. Cf. Schlegel i Wilkins.

ZWYCIĘSTWO I ŚMIERĆ

Po udzieleniu nauki uczniom swoim na górze Meru udał się Kryszna wraz z nimi nad brzegi Dżamuny i Gangesu, aby nawrócić lud. Wchodził do chat i zatrzymywał się w miastach. Wieczorem na krańcach wiosek zbierał się dokoła niego tłum. Głosił ludowi nade wszystko miłość bliźniego. „Krzywda, którą wyrządzamy bliźniemu naszemu — mawiał — idzie za nami nicodstępnie, jak cień idzie za ciałem naszym. Sprawiedliwy dążyć winien do spełniania uczynków, opartych na miłości bliźniego, one bowiem zaważą najbardziej na szali bożej. — Jeśli przedstawiać będziesz z dobrymi, zbędnymi się staną twoje przykłady; nie lękaj się przedstawiania ze złymi, gdyż tym sposobem sprowadzisz ich na dobrą drogę. — Człowiek cnotliwy podobny jest do drzewa olbrzymiego, którego liczne gałęzie wznoszą się prostopadle w ziemię, którego cień dobroczynny daje otaczającym go roślinom świeży powiew życia“.

Czasem też mówił Kryszna, którego duszę przepelniał teraz balsam miłości, o zaparciu się samego siebie i o poświęceniu; mówił głosem słodkim, pociągające wyczarowując przy tym obrazy: „Jak ziemia nosi i podtrzymuje tych, którzy depeją ją nogami i którzy rozdierają jej łono, aby ją uprawiać — tak samo i my winniśmy dobrem płacić za zło. — Człowiek zaenry pać musi pod ciosami, zadany mi mu przez złych ludzi, jak święte drzewo sandalowe zapachem swoim owiewa topór, który je zwał“.

Kiedy pół-mędrkowie, niedowiarki i pyszałki żądali od

niego, aby im wyjaśnił istotę Boga, takimi odpowiadał zdaniami:

„Wiedza ludzka jest próżnością jedynie; wszystkie dobre jej uczynki są tylko uludą, jeśli nie umie wiązać ich z Bogiem. — Bóg miłuje pokornych sercem i duchem; nie potrzeba mu niczego innego. — Nieskończoność jedynie i bezkres zdolne są zrozumieć nieskończoność; Bóg tylko zrozumieć może Boga“.

Nie były to jedyne prawdy nowe, głoszone przez niego. Zachwycał zwłaszcza i czarował tym, co mówił o Bogu żyjącym, o Wisznu. Pouczał, że władca wszechrzeczy wcielał się niejednokrotnie w ludzi. Objawiał się kolejno w siedmiu rishich, we Wyasie i w Wasyehcie. I nadal objawiać się będzie. Wisznu — jak twierdził Kryszna — lubił czasem przemawiać ustami pokornych: żebraka, pokutnicy, dziecięcia. Opowiadał ludowi przypowieść o biednym rybaku, imieniem Durga, który spotkał dziecko umierające z głodu pod cieniem drzewa daktylowego. Dobry Durga, uginając się pod ciężarem własnej niedoli, obarczony liczną rodziną, której nie był w stanie wyżywić, wzruszył się niedolą dziecka i zabrał je z sobą do domu. Słońce już zaszło, księżyc wschodził nad Gangesem, rodzina cała odmówiła modlitwy wieczorne, a dziecko szepnęło półgłosem: „Owoc kataki oczyszcza wodę; dobre uczynki oczyszczają duszę. Weź sieć, Durgo, łódź twoja kołysze się na Gangesie“. Durga zarzucił sieć, które ugięły się pod ciężarem mnóstwa ryb. Dziecię znikło. I tak — mówił Kryszna — kiedy człowiek o własnej zapomina niedoli, aby myśleć o niedoli bliźnich — objawia się Wisznu i czyni go szczęśliwym w własnym jego sercu“.

Przykładami podobnymi głosił Kryszna kult Wisznu. Każdy z wsluchanych w słowa syna Dewaki szczęśliwy był, że ma Boga tak blisko własnego serca. Sława proroka z góry Meru rozeszła się po całych Indiach.

Pasterze, znający go od małego dziecka i będący świadkami naocznymi jego czynów, wierzyć nie mogli, aby święty ten był owym tak dobrze im znanym bohaterem nieustraszonym.

Stary Nanda już nie żył. Żyły wszakże obie jego córki, Saraswati i Nichdali, które kochał Kryszna. Losy je-

dney i drugiej były odmienne. Saraswati, rozgniewana na Krysznę za to, że ją opuścił, szukała zapomnienia w małżeństwie. Poślubiła człowieka, należącego do wyższej kasty, który pojął ją za jej urodę. Potem pogardził nią i sprzedał jakiemuś waysia czyli kupcowi. Saraswati porzuciła go jednak i stała się kobietą złych obyczajów. Potem dnia pewnego, ogarnięta skruczą i wstrętem do swego życia, poczuła w sercu rozpacz, powróciła do kraju rodzinnego i udała się w tajemnicy do siostry swej, Nichdali. Ta, mająca wciąż w pamięci Krysznę, jak gdyby był zawsze przy niej, pozostała w stanie dziewictwa i mieszkała razem z bratem swoim, u którego pełniła obowiązki służebnej. Gdy Saraswati opowiedziała jej o swojej niedoli i wyjawiała przed nią swoją hańbę, Nichdali odpowiedziała:

— Siostro moja biedna; ja ci wybaczam, ale mój brat ci nie wybaczy. Kryszna jedynie mógłby cię ocalić.

Promień zabłysnął w zagasłych oczach Saraswati.

— Kryszna! — rzekła — co się z nim dzieje?

— Stał się świętym, wielkim prorokiem. Naucza na brzegach Gangesu.

— Chodźmy do niego! — zawołała Saraswati. — I udały się obie siostry w drogę, jedna zniszczona przez żądze, druga promienna niewinnością — obie wszakże jedną pochłonięte miłością.

Kryszna nauczał w tej porze wojowników czyli ksatriów. Kolejno bowiem głosił naukę swoją braminom, ludziom należącym do kasty braminów i ludowi. Braminom wyjaśniał ze spokojem wieku dojrzałego głębokie prawdy swojej doktryny, wobec radzów sławił cnoły wojenne i rodzinne w słowach pełnych ognia młodości; do ludu przemawiał z prostotą dziecięcą o miłosierdziu, o pokorze i o nadziei.

Siedział właśnie za stołem biesiadnym, w gościnie u pewnego słynnego wodza, kiedy dwie niewiasty przyszły prosić o wprowadzenie ich przed oblicze proroka. Ich odzież pokutnie ułatwiła im dostęp do niego. Saraswati i Nichdali skłoniły się do stóp Kryszny i Saraswati pierwsza zawołała:

— Odkąd opuściłeś nas, o Kryszno, pędziłam życie

w błędzie i grzechu; gdybyś chciał jednak, mógłbyś mnie ocalić!...

Nichdali dodała:

— O Kryszno, ujrzawszy cię ongi, wiedziałam, że miłość moja dla ciebie będzie wieczną, teraz, kiedy odnajduję cię w całym twym blasku, wiem, że jesteś synem Mahadewy.

I obie ucałowały jego stopy. Radzowie rzekli wówczas:

— Dlaczego, o święty rishi, pozwalasz kobietom tym, aby cię znieważały słowami niedorzecznymi?

Na to odpowiedział Kryszna:

— Pozwólcie im wynurzyć przede mną serca swoje; więcej one warte od was. Bowiem w sercu jednej żyje wiara, a w sercu drugiej gości miłość. Grzesznica Saraswati zbawiona jest od tej chwili, albowiem uwierzyła we mnie; cicha Nichdali więcej w milczeniu swoim miłowała prawdę, niż wy wszyscy krzykami waszymi. Wiedźcie otóż, że promienna matka moja, żyjąca w słońcu Mahadewy, nauczy ją tajników miłości wiekuistej, podczas gdy wy wszyscy grzęznąć jeszcze będziecie w mrokach życia nizinnego.

Od dnia tego Saraswati i Nichdali szły nieodstępnie śladem Kryszny wraz z jego uczniami. Natchnione przez niego, nauczały one inne kobiety.

Kansa panował wciąż w Madurze. Od chwili, kiedy zabił starego Wasychtę, nie miał ani chwili spokoju na tronie. Ziściło się proroctwo pustelnika: syn Dewaki żył! Król widział go i poczuł, że wobec potęgi tych oczu słabnie cała jego siła i kruszy się cała jego władza. Drżał jak suchy liść o życie własne i często, mimo że otaczały go roje straży, odwracał się nagle w przekonaniu, że ujrzy młodego bohatera, promiennego a straszliwego, u wrót swego pałacu. — I Nysumba również, rozciągnięta na łożu w głębi gynecceum, rozmyślała o utraconej swej potędze. Kiedy powiedziano jej, że Kryszna, który stał się prorokiem, naucza na brzegach Gangesu, namówiła króla, aby wysłał oddział żołnierzy z rozkazem sprowadzenia go związanego. Na widok wysłanych przeciwko niemu żołnierzy uśmiechnął się Kryszna i rzekł do nich:

— Wiem, kim jesteście i w jakim celu przychodzicie.

Gotów jestem iść z wami do waszego króla, pierwszej jednak powiem wam o królu niebios, który jest moim królem.

I mówić zaczął o Mahawedzie, o blasku jego wspaniałym i o jego objawieniach. Kiedy skończył, złożyli żołnierze broń swoją u stóp Kryszny, mówiąc:

— Nie uprowadzimy ciebie jako jeńca na dwór naszego króla, ale pójdziemy za tobą do króla twojego.

Pozostali przy nim, a gdy wieść o tym doszła do Kansy, lęk zdjął go wielki. Wtedy poradziła mu Nysumba:

— Wyślij najpierwszych mężów kraju.

Stało się wedle jej rady. Najwybitniejsi mężowie państwa Kansy udali się do miasta, w którym nauczał Kryszna. Przyobiecali nie dawać posłuchu jego mowie.

Na widok wszakże blasku jego spojrzenia, majestatu jego postaci i czci, jaką okazywał mu tłum, nie mogli powstrzymać się od słuchania. Kryszna mówił im o niewoli wewnętrznej tych, którzy czynią źle, i boskiej wolności tych, którzy czynią dobrze. Radość i zdumienie ogarnęły kszatriów, bowiem poczuli się wyzwolonymi jak gdyby z przytłaczającego ciężaru.

— Zaprawdę wielkim jesteś czarownikiem — rzekli. Przysięgliśmy, że przyprowadzimy cię przed oblicze króla, zakutego w łańcuchy żelazne: nie możemy jednak tego uczynić, albowiem wyzwoliłeś nas z więzów, jakimi my sami byliśmy spętani.

Powrócili tedy do Kansy i oznajmili mu:

— Nie możemy przyprowadzić ci tego człowieka. Wielkim on jest prorokiem i nie masz powodu lękać się go.

Widząc, że wszystkie próby sprowadzenia Kryszny są daremne, rozkazał król potroić strażę i założyć ciężkie łańcuchy żelazne u wszystkich wrót pałacu. Pewnego dnia wszakże usłyszał wielki hałas w mieście, okrzyki radości i triumfu. „To Kryszna wchodzi do miasta. Lud wywała wrota, kruszy łańcuchy żelazne“. Na wieść tę chciał Kansa uciekać. Straże zmusiły go jednak do pozostania na tronie.

Kryszna wchodził istotnie w otoczeniu uczniów swoich i licznego zastępu pustelników do Madury, z której murów powiewał las chorągwi i której ulice przepelniała

ciężba ludzka, podobna do rai rozkołysanego wiatrem morza. Deszcz wieńców i kwiatów sypał się na jego głowę. Witano go okrzykami zachwytu. U wnijsć do świątyni stali bramini, zgromadzeni pod świętymi drzewami bananowymi i witający syna Dewaki, zwycięzcę potwora, bohatera z góry Meru, a nade wszystko proroka Wisznu. Wreszcie, otoczony świetnym orszakiem i witany jak zbawca przez lud i kszatriów, stanął Kryszna przed królem i królową.

— Przemoc i zło były podstawami twojego panowania — rzekł Kryszna do Kansy, — zasłużyłeś też na tysiące śmierci za to, że zabiłeś świętego starca, Wasychtę. Nie umrzesz jednak jeszcze. Chcę dowieść świata, że nie zabijaniem wrogów odnosi się zwycięstwo nad nimi, ale przebaczeniem im.

— Zły człowieku! rzekł Kansa, — skradłeś koronę moją i państwo moje. Dopełnij więc swojego dzieła.

— Mówisz jak szaleniec — rzekł Kryszna. Gdybyś umarł w tym stanie bezrozumu, zakamieniałości i występku, zgubiony byłbyś na wieki w przyszłym życiu. Jeśli natomiast rozumieć zaczniesz szal twój i żałować czynów popełnionych, będąc jeszcze na tym świecie, kara twoja na tamtym będzie zmniejszona i przyjdzie dzień, w którym, za wstawiennictwem duchów czystych, zbawiony zostaniesz przez Mahawedę.

Nysumba, pochylona nad uchem króla, szepnęła:

— Szaleńcze! Skorzystaj z obłędnej pychy jego. Dopóki żyjesz, pozostaje ci jeszcze nadzieja zemsty.

Kryszna zrozumiał, co powiedziała, chociaż nie słyszał jej słów. Obrzucił ją surowym, pełnym politowania spojrzeniem:

— Nieszczęsna! Żądło twoje wciąż zatrute. Czarownico, duchu przewrotny, nie więc nie ma w sercu twoim prócz jadu zmił?... Wyrwij to żądło, albowiem, jeśli nie uczynisz tego, zmuszony będę kiedyś głowę ci rozplatać. A teraz pójdziesz wraz z królem na wygnanie, aby tam, pod okiem braminów, odbyć pokutę za swoje zbrodnie.

Po wydarzeniach tych powołał Kryszna, za zgodą wybitnych mężów i ludu, ucznia swojego, Ardżunę, najslawniejszego potomka królów słonecznych, na króla Madury. Władzę najwyższą złożył w ręce braminów, którzy

stali się duchowymi przewodnikami króla. Sam Krysna zaś pozostał zwierzchnikiem pustelników, stanowiących radę najwyższą braminów. Celem ustrzeżenia rady tej od prześladowań kazał wybudować dla niej i dla siebie miasto obronne pośród gór, otoczone wysokim murem i zamieszkałe przez ludność wybraną. Miasto owo nosiło nazwę Dwarka. Pośrodku jego stała świątynia wtajemniczonych, której część główna ukryta była pod ziemią¹⁾.

Kiedy jednak królowie kultu księżycowego dowiedzieli się, że król kultu słonecznego objął tron Madury i że brami stali się dzięki niemu władcami Indii, złączyli się w sojuszu potężnym, aby obalić go połączonymi siłami. Ardżuna, z kolei, zgromadził dokoła siebie wszystkich królów kultu słonecznego tradycji białej, aryjskiej, wedyjskiej. Krysna czuwał nad nimi i kierował nimi z głębi świątyni w Dwarce. Dwie armie wrogie stanęły naprzeciw siebie i walka rozstrzygająca była nieunikniona. Ardżuna, nie widząc wszakże mistrza swego obok siebie.

¹⁾ **Wisnu-Purana**, ks. V rozdz. XXII i XXX mówią o mieście tym w sposób dość przejrzysty: „Postanowił tedy Krysna zbudować twierdzę, w której pokolenie Yadu znalazłoby schronienie bezpieczne, a zarazem tak pewne, że kobiety nawet mogłyby jej bronić. Wysokie mury chroniły Dwarę, zdobiły ją ogrody i zbiorniki wody, czyniąc ją równie wspaniałą jak Amarawati, miasto Indry. W mieście tym obronnym zasadził on drzewo Parijata, którego zapach balsamiczny rozehodził się najszerszymi kręgami w dal. Wszysey ci, co się doń zbliżali, zyskiwali możność przypominania sobie uprzedniego swego istnienia“. Drzewo to musi być widocznie symbolem wiedzy boskiej i wtajemniczenia, tym samym, który odnajdujemy w tradycji chaldejskiej i który przeszedł stąd do genezis hebrajskiej. Po śmierci Krysny miasto zostaje zatopione, drzewo wraca do nieba, jedynie tylko świątynia pozostaje. O ile wszystko to ma znaczenie historyczne, znaczy ono dla tych, którzy znają areysymboliczny i ostrożny język Hindusów, że tyran jakiś kazał zrównać miasto z ziemią i że wtajemniczenie odbywało się coraz bardziej w ukryciu.

ułąkł się; duch jego uległ przyćmieniu; odwaga jego osłabła. Pewnego dnia o świcie zjawił się Kryszna przed namiotem króla, ucznia swego.

— Dlaczego — rzekł mistrz głosem surowym — nie rozpocząłeś walki, która ma rozstrzygnąć, czy synowie słońca czy też synowie księżycy panować mają na ziemi?

— Nie mogę na nic się odważyć bez ciebie — odparł Ardżuna. Spójrz na te dwie armie olbrzymie i na te zastępy, które mają się wzajem mordować.

Ze wzniesienia, na którym stali, władca duchów i król Madury patrzyli na dwie armie niezliczone, ustawione w szyku bojowym, jedna na przeciw drugiej. Z dala dostrzec można było lśniące zbroje pozłociste wodzów; tysiące żołnierzy, koni i słoni czekały tylko na hasło rozpoczęcia walki. W tej chwili najstarszy z Kurawasów, wódz armii nieprzyjacielskiej, zadał w swój róg morski, w róg wielki, którego grom podobny był do ryku lwa. Na odgłos ten rozległo się na ogromnym placu boju rżenie koni, szcęk zdławiony oręża, warkot bębnow i trąb — co wszystko razem złożyło się na huk potężny. Nie pozostało już Ardżunie nic czynić innego, ieno wskoczyć na rydwan zaprzężony w białe rumaki i zadać w konchę swoją jasno-błękitną, aby dać synom słońca hasło rozpoczęcia walki. Głęboka litość zalała jednak serce króla, który rzekł bardzo zgnębiony:

— Ręce opadają mi na widok tych rzucających się na siebie wzajem hord; usta moje wysuszył ogień, ciało moje drży, włos jeży mi się na głowie, skóra moja płonie, a umysł mąci się. Widzę złe wróżby. Bój ten nie zapowiada nic dobrego. Cóż przyjdzie nam z panowania, z rozkoszy, a nawet z życia? Ci, dla których zdobywać pragniemy państwa, rozkosze, radości, stoją tam, gotowi do walki, zapominają o życiu swoim i swoich dostatkach. Ojcowie, synowie, dziadowie, wnukowie, rodzice, przewodnicy duchowi, zarzynać się będą wzajem. Nie chcę zabijać ich, aby panować nad trzema światami, a tym mniej jeszcze, aby królować na ziemi. Czy zabijanie wrogów może sprawić mi przyjemność? Grzech zabicia wiarołomnych spadnie na nas.

— W jaki sposób — rzekł Kryszna — dotknęła cię klątwa bojaźni, niegodna duszy mędrca, będąca źródłem

hańby, która wypędza nas z niebios? Nie bądź zniewieściałym. Powstań.

Ale Ardżuna, zgnębiony i zniechęcony, siedział w milczeniu, a potem oznajmił:

— Nie będę walczył.

Na to Kryszna, król duchów, ze słabym odparł uśmiechem:

— O, Ardżuno! nazwałem cię królem snu, aby umysł twój czuwał nieustannie. Ale umysł twój usnął i ciało twoje zwalczyło duszę. Płaczesz nad tymi, nad którymi nie należałoby płakać i słowom twoim brak mądrości. Mądrzy nie oplakują ani żywych, ani umarłych. Ja i ty i ci kierownicy ludzi istnieliśmy zawsze i nie przestaniemy istnieć nigdy w przyszłości. Podobnie jak dusza, przemierzając w danym ciele, przeżywa dzieciństwo, młodość i starość, tak samo przeżywać je będzie w innych ciałach. Człowieka rozważnego nie może to stropić. Potomku Bharaty! znoś z jednaką pogodą ducha cierpienie i radość. Ci, którym są one obojętne, zasługują na nieśmiertelność. Ci, którzy dostrzegają właściwą istotę rzeczy, widzą prawdę wiekuistą, panującą nad duszą i ciałem. Wiedz za tym, że to, co przenika wszechświat, nie może ulec zniszczeniu. Nikt nie jest w stanie zniszczyć Niewyczerpanego. Istnienie wszystkich tych ciał krótkotrwałe jest, jak ci wiadomo. Jasnowidzący wiedzą również, iż dusza wcielona jest wiekuista, niezniszczalna i nieskończona. Dlatego też idź walczyć, synu Bharaty! Jednako błędzą ci, którzy sądzą, że dusza może zabijać lub może zostać zabita. Nie zabija ona, ani może być zabita. Nie urodziła się i nie może tym samym stracić bytu tego, który zawsze posiada. Jak ten, kto zrzuca ze siebie stare szaty, aby przywdziać nowe, tak samo dusza wcielona odrzuca ciało swoje, aby wcielić się w inne. Miecz jej nie przetnie, ogień nie spali, ani woda zatopi, ani też powietrze nie wysuszy jej. Trwała, mocna, wiekuista — przenika wszystko. Nie powinny zatem obchodzić cię, o Ardżuno, ani narodziny ani śmierć! Albowiem ten, kto się urodził, umrzeć musi niezawodnie, zaś ten, kto umiera, musiał się narodzić. Spełń powinność swoją bez wahania, albowiem nie ma dla kszatrii nic wyższego ponad walkę w imię słuszności. Szczęśni są wojownicy, którym bitwa zdaje się wrotami otwartymi do raj!

Jeśli jednak nie zechcesz stanąć do słusznego boju, popełnisz grzech, zaniedbując obowiązki swoje i narażając dobrą swoją sławę. Wszyscy mówić będą o wiecznej hańbie twojej, a hańba gorszą jest od śmierci człowieka czczonego powszechnie¹⁾.

Na te słowa mistrza spłonął Ardżuna wstydem i poczuł, że jego królewska krew nowym zawrzała męstwem. Wskoczył tedy na rydwan swój i dał znak do rozpoczęcia bitwy. Wówczas pożegnał Kryszna ucznia swojego i opuścił pole walki, albowiem pewien już był zwycięstwa syna słońca.

Rozumiał wszakże, iż, chcąc zniewolić zwyciężonych do przyjęcia religii swojej, musi odnieść nad duszami ich ostatecznie zwycięstwo — trudniejsze niż zwycięstwo orężne. Zarówno jak święty Wasychta umarł przeбитy strzałą, aby móc objawić Krysznie prawdę najwyższą, tak samo musiał Kryszna śmierć ponieść dobrowolną pod ciosami zadanymi mu przez śmiertelnego wroga, aby wpoić w serca przeciwników swoich zasady wiary, którą głosił uczniom swoim i światu.

Wiedział on, że dawny król Madury, nie myśląc bynajmniej o pokucie za grzechy, schronił się do ojca swej żony, króla Kalayeni, władcy wężów. Gnany zemstą, którą podsycala w nim Nysumba, rozkazał szpiegom, aby śledzili Krysznę i uchwycili moment odpowiedni do zadania mu ciosu. Zaś Kryszna czuł, że spełnił posłannictwo swoje i że do ostatecznego przypieczętowania go brak jedynie najwyższej pieczęci ofiary. Przestał więc unikać wroga i krzyżować zamiary jego potęgą swojej woli. Wiedział, że z chwilą, gdy przestanie bronić się siłą swoją tajemną, cios dawno obmyślany dosięgnie go niezawodnie. Ale syn Dewaki pragnął umrzeć z dala od ludzi, w samotności Himawatu. Tam będzie się czuł bliższym matki swojej promiennej, boskiego starca i słońca Mahadewy.

Udał się tedy do pustelni, położonej w najdzikszym i najbardziej samotnym ustroniu, u stóp niebotycznych szczytów Himawatu. Żaden z uczniów nie domyślał się jego zamiaru. Saraswati jedynie i Nichdali wyczytały go

¹⁾ Początek **Bhagawadgity**.

z oczu mistrza, wiedziona owym szarem przeczuwania, właściwym kobiecie i miłości. Zrozumiawszy, że Krysna chce umrzeć, padła mu Saraswati do nóg, ucałowała je namiętnie i zawołała:

— Nie opuszczaj nas, mistrzu!

Nichdali spojrziała na niego i rzekła z prz...

— Wiem, dokąd idziesz. Kochaliśmy cię, pozwól więc nam iść ze sobą.

A na to Krysna:

— W niebie moim nie dozna miłość odmowy. Chodźcie więc!

Po długiej podróży doszli prorok i dwie świętoblive niewiasty do szeregu chatek, ugrupowanych dokola wielkiego nagiego cedru, na żółtawej, skalistej górze. Z jednej strony okalały je olbrzymie szczyty śnieżne Himawatu; z drugiej, w głębi, labirynt gór: w dali — płaszczyna, państwo Indii, owiane, jak sen, mgłą złotawą. W pustelni tej mieszkało kilku pokutników w odzieży z kory, z włosami skręconymi w snop, z długimi brodami, z członkami wyschłymi palącym technieniem wiatru i żarem słońca, obrosłych włosem na skórze pokrytej warstwami błota i kurzu. Kilku z nich wyglądało jak szkielety, obciążone zasuszoną skórą. Na widok smutnego miejsca tego zawołała Saraswati:

— Ziemia jest daleka, a niebo milczące. Dlaczegoż, o Panie, przywiodeś nas do tej pustelni, opuszczonej przez Boga i ludzi?

— Módl się — odrzekł Krysna — jeśli chcesz, aby ziemia przybliżyła się i niebo przemówiło do ciebie.

— Z tobą niebo zawsze jest bliskie, rzekła Nichdali; ale dlaczego chce nas ono opuścić.

— Syn Mahadewy — oznajmił Krysna — musi umrzeć przebity strzałą, aby świat uwierzył w jego słowa.

— Wyjaśnij nam tę tajemnicę!

— Zrozumiecie ją po mojej śmierci. Módlmy się.

Przez siedem dni modlili się i dokonywali obmywań. Oblicze Krysny przeistaczało się często, zdając się promieniować światło. Siódmego dnia o zachodzie słońca ujrzały obie niewiasty łuczników, zbliżających się do pustelni.

— Oto łucznicy Kansy, którzy cię szukają — rzekła Saraswati — broń się, mistrzu!

Ale Kryszna, klęcząc pod cedrem, nie przerywał modlitwy. Po chwili nadeszli łucznicy, przypatrując się kobietom i pokutnikom. Twarze prostaczych żołnierzy tych żółte były i czarne. Na widok tonącego w modłach świętego stanęli oszołomieni. Zrazu usiłowali wyrwać go ze stanu ekstazy, zadając mu pytania, łząc go i ciskając węń kamienie. Nic wszakże nie zdołało zakłócić kamiennego jego spokoju. Zniecierpliwieni rzucili się na niego i uwiązali go do pnia cedru. Kryszna pozwalał wszystko ze sobą robić, jak gdyby pogrążony był we śnie. Potem cofnęły się nieco łucznicy i wzajem podniecając się, zaczęli z odległości ciskać w niego strzały. Gdy przebiła go pierwsza strzała i trysła krew, zawołał Kryszna: „Wasychto, synowie słońca zwyciężyli!“ Kiedy druga strzała świsnęła i wbiła się w jego ciało, rzekł: „Matko moja promienna, niechaj ci, którzy mnie kochają, wejdą wraz ze mną w krąg twoich jasności“. Przy trzeciej szepnął tylko „Mahadewa!“ i potem z imieniem Brahmy na ustach wyzionął ducha.

Słońce zaszło. Zaszumiał wichur, zawieja śnieżna zwała się ze szczytów Himawatu i padła na ziemię. Niebo zasnęło się chmurami. Wir czarny powionął po górach. Przerażeni tym, co uczynili, uciekli zabójcy, a obie niewiasty, zmartwiałe z przerażenia, padły zemdlone na ziemię, jak gdyby rażone deszczem krwawym.

Ciało Kryszny spalone zostało przez jego uczniów w świętym grodzie Dwarki. Saraswati i Nichdali rzuciły się na stos, aby połączyć się z mistrzem, i w tej samej chwili wydało się tłumowi, że widzi syna Mahadewy, unoszącego się słupem świetlnym z płomieni i pociągającego ze sobą obie swoje małżonki.

Po wydarzeniu tym przyjęła większa część Indii kult Wisznu, który zjednoczył kultury słoneczne i kultury księżycowe w religii Brahmy.

VIII

PROMIENIOWANIE DOKTRYNY SŁONECZNEJ

Taką jest legenda o Krysźnie, odtworzona w całości kształcie swoim w perspektywie dziejowej.

Rzuca ona żywe światło na powstanie braminizmu. Niepodobna oczywiście ustalić na podstawie dokumentów faktycznych, czy poza mitem o Krysźnie ukrywa się osobnik rzeczywiście istniejący. Potrójna zasłona, okrywająca wyłonienie się wszystkich religii wschodnich, bardziej jest nieprzenikniona w Indiach niż gdziekolwiek. Bramini bowiem, władcy nieograniczonej społeczności hinduskiej, jedyni przechowywacze tradycji, urabiali ją często i przerabiali w biegu wieków. Słuszność wszakże nakazuje dodać, że wiernie przechowali oni wszystkie jej podstawy i że jeśli nawet doktryna święta rozwinęła się w przebiegu wieków, jądro jej nie zostało nigdy naruszone. Nie moglibyśmy też, jak to czyni większość uczonych europejskich, wyjaśnić postaci takiej, jak Kryszna, słowami: „To bajki rozsiane na tle mitu słonecznego i przetkane fantazją filozoficzną“. Nie tworzy się w ten sposób religia, która przetrwała tysiące lat, zrodziła cudowną poezję, kilka wielkich systemów filozoficznych, oparła się potężnej napaści buddyźmu ¹⁾, najściom mongolów, maho-

¹⁾ Wielkość Sakya-Muni tkwi w boskiej jego dobroci, w jego reformie moralnej i w przewrocie społecznym, jaki spowodował on obaleniem skostniałych kast. Buddha wstrząsa podwalinami braminizmu w sposób podobny, jak prote-

metan, podbojowi angielskiemu i zachowała, w upadku swoim jeszcze, poczucie odwiecznych i wzniosłych swoich początków.

Nie. U źródła wielkiej organizacji stoi zawsze wielki człowiek. Jeśli weźmiemy pod uwagę górującą rolę osobistości Kryszny w tradycji epickiej i religijnej, jeśli uwzględnimy z jednej strony cechy jego ludzkie, a z drugiej jego stałe utożsamianie z Bogiem objawionym czy z Wisznu, musimy uwierzyć, że był on twórcą kultu Wisznu, któremu braminizm zawdzięcza całą swoją wysoką wartość i swój urok. Logika za tym nakazuje przypuścić, że spośród chaosu religijnego i społecznego, jaki stwarzało pierwotne opanowanie Indii przez kultury naturalistyczne i zmysłowe, wyłonił się świetlany reformator, który ożywił czystą doktrynę aryjską ideą trójjedności i słowa bożego objawionego, który przypieczętował dzieło swoje

stantyzm uczynił to przed trzystu laty w stosunku do katolicyzmu: zmusił go do skupienia całej energii, do walki i do odrodzenia się. Ale Sakya-Muni nie dodał nie do doktryny ezoterycznej braminów, rozgłosił tylko niektóre jej części. Psychologia jego jest w gruncie rzeczy taka sama, jakkolwiek obiera drogę odmienną. (Patrz Schuré: **Legenda o Buddzie**, *Revue des Deux-mondes* 1 lipca 1885).

Jakkolwiek Buddha nie figuruje w tej książce, nie zapoznajemy bynajmniej doniosłego znaczenia jego w łańcuchu wtajemniczonych, uczyniliśmy to jedynie ze względu na specjalny plan pracy niniejszej. Pod tym względem należałoby zająć się Buddhą dwukrotnie, raz przy Pytagorasie, w którego osobie rozwinąłem doktrynę powtórnego wcielenia i ewolucji dusz; z drugiej strony przy Chrystusie, który pierwszy ogłosił, dla Wschodu zarówno jak dla Zachodu, ideę braterstwa i miłości bliźniego.

Co się tyczy wielce ciekawej i zasługującej na przeczytanie książki **Esoterie Buddhism** M. Sinnett'a, której powstanie przypisują niektórzy domniemanym wyznawcom, zamieszkującym obecnie Tybet, nie mogę widzieć w niej nie, poza zręczną kompilacją braminizmu i buddyzmu z niektórymi myślami Kabały i Paracelsa oraz pewnych danych nauki współczesnej.

ofiary życia własnego i nadał tym sposobem Indiom ich ducha religijnego, ich charakter narodowy i ostateczny ustrój.

Znaczenie Kryszny wyda nam się większym jeszcze i prawdziwie wszechświatowym, jeśli zwrócimy uwagę na to, że doktryna jego mieści w sobie dwie idee podstawowe, dwa czynniki twórcze religii i filozofii ezoterycznej. Mówię o doktrynie nieśmiertelności duszy czyli istnień kolejnych w szeregu wcieleń oraz o doktrynie trójjedności czyli Słowa Bożego, objawionego ustami człowieka. Zaznaczyłem powyżej ¹⁾ doniosłość filozoficzną zasadniczego tego pojęcia, które, jeśli dobrze je zrozumiemy, odezwie się żywym echem we wszystkich dziedzinach wiedzy, sztuki i życia. Muszę się ograniczyć na zakończenie do uwagi historycznej.

Pojęcie, że Bóg, Prawda, Piękno i Dobro nieskończone objawiają się w człowieku uświadomionym z potęgą zbawczą, sięgającą aż do głębin nieba siłą miłości i ofiary, to pojęcie najplodniejsze ze wszystkich budzi się po raz pierwszy w Krysznie. Uosabia się ono w chwili, kiedy ludzkość, po wyjściu z pierwocin aryjskich, pogrążyć się zaczyna coraz bardziej w kulcie materii. Kryszna objawia światu doktrynę Słowa Bożego, której nie zapomni już.

Im głębiej będzie ludzkość odczuwała swój upadek, tym goręcej będzie łaknęła Zbawców i Synów Bożych. P. Krysznie odbywa się niejako potężne promieniowanie doktryny słonecznej po przez świątynie Azji, Afryki i Europy. W Persji uosabia ją Mitras, pojednawca świetlanego Ormuzda i ponurego Ahrimana; w Egipcie — Horus, syn Ozyrysa i Izidy; w Grecji — Apollin, syn słońca i lśni; Dionizos — wskrzesiciel dusz. Wszędzie bóg słoneczny jest bogiem pośredniczącym, a światło jest zarazem mową życia. Czy nie ona też była źródłem, z którego wytrysnęła idea mesjaniczna? Ideę tę wprowadził bądź co bądź do świata starożytnego Kryszna; dzięki Chrystusowi promieniować ona będzie na świat cały.

Wykażę w dalszym ciągu tej tajemnej historii religii, w jaki sposób doktryna Trójcy świętej wiąże się z doktry-

¹⁾ Porównaj uwagę o Dewaki z powodu widzenia Kryszny.

na duszy i jej ewolucją, w jaki sposób i dlaczego jedna jest podłożem i dopełnieniem drugiej. Już na tym miejscu zaznaczyć możemy, że ich punkt styczny jest ośrodkiem żywotnym, świetlanym ogniskiem doktryny ezoterycznej. Jeśli rozpatrywać będziemy wielkie religie Indii, Egiptu, Grecji i Judei od strony ich zewnętrznej jedynie, dostrzeżemy wszędzie rozdzwięki, zabobony, chaos. Kiedy jednak zglebimy ich symbole, kiedy spróbujemy badać ich tajniki, doszukiwać się idei podstawowej, zapładniającej twórców i proroków — olśni nas światło harmonii przedziwnej. Najróżniejszymi, często zawiłymi nader drogami do tego samego dojdziemy punktu, tak że dotarcie do tajników jednej z tych religii będzie zarazem dotarciem do pozostałych. Będziemy wówczas świadkami dziwnego zjawiska. Stopniowo, coraz szerszy zataczając krąg, wyłoni się w blasku promiennym, z pośrodku religii, doktryna wtajemniczonych, jak słońce z mgławic je otaczających. Każda religia wyda się jak gdyby planetą odmienną. Przy rozpatrywaniu każdej z nich z odmienną spotykamy się atmosferą i z odmiennym położeniem na mapie nieba, zawsze jednak to samo przyświeca nam słońce.

Kraina wielkich marzycieli, Indie, pogrąża nas wraz z sobą w marzenie o wieczności. Wspaniały, surowy jak śmierć, Egipt, wskazuje nam drogę do życia pozagrobowego. Upajająca Grecja pociąga nas ku pełnym uroku światom życia i nadaje tajnikom swoim czar form swoich zewnętrznych, pełnych wdzięku lub grozy, swojej duszy żywej i namiętnej. Pytagoras wreszcie sformułuje naukowo doktrynę ezoteryczną, da jej wyraz najpełniejszy może i na moeniejszych niż kiedykolwiek oparty podwalinach. Platon i szkoła Aleksandryjska byli tylko jej uprzyścipleniaczami.

W rozdziałach powyższych dotarliśmy do źródła jej w dżunglach Gangesu i pustkowiach Himalajów.

1

KSIĘGA TRZECIA
H E R M E S
TAJEMNICE EGIPTU

O, duszo ślepa! Uzbrój się w pochodnię Tajemnic, a wpośród nocy ziemskiej odnajdziesz twójego Sobowtóra świetlanego, twój Duszę niebiańską. Idź za tym przewodnikiem boskim i nicci będzie on Geniuszem twoim. Albowiem dzierży on klucz twoich istnień minionych i przyszłych.

*Wezwanie do Wtajemniczonych
(podług Księgi Zmarłych).*

Wsluchujcie się w siebie samych i patrzcie w nieskończoność Przestrzeni i Czasu. Rozbrzmiewa tam śpiew Gwiazd, głos Liezb i harmonia Sfer.

Słońce każde jest myślą Bożą, a każda planeta odmianą tej myśli. Uciążliwą wędrówkę waszą w dół i w górę po siedmiu planetach i siedmiu ich niebach odbywacie w celu poznania myśli Bożej. Co czynią Gwiazdy? Co mówią Liezby? Co toczą Sferę? — O, dusze ztratcone lub zbawione — głoszą, opiewają, toczą — wasze przeznaczenia.

I

SFINKS

W przeciwieństwie do Babilonu, ponurej twierdzy despotyzmu, był w świecie starożytnym Egipt prawdziwą ostoją wiedzy świętej, szkołą najsłynniejszych jego proroków, ucieczką i wytwórnią najszlachetniejszych tradycji ludzkości. Dzięki dokonany na olbrzymią skalę wykopaliskom i pracom zdumiewającym, naród egipski znany nam jest obecnie lepiej, aniżeli którakolwiek z cywilizacji, jakie poprzedziły Grecję, odtwarza on nam bowiem dzieje swoje wypisane na kartach z kamienia¹⁾. Pomniki jego są już odczyszczane, hieroglify odczytane; pozostaje jednak jeszcze praca nad dotarciem do najgłębszych arkanów myśli jego, do doktryny tajemnej kapłanów egipskich. Doktryna ta, uprawiana naukowo w świątyniach, przezornie osłonięta tajemnicą, ukazuje nam duszę Egiptu i zarazem rozwiązuje zagadkę polityki jego i roli górującej w historii świata.

Historycy nasi mówią o faraonach w ten sam sposób, jak o despotach Niniwy i Babilonu. Egipt jest dla nich monarchią absolutną i zaborczą, jak Assyria, i różni się od niej tym tylko, że przetrwał o kilka tysięcy lat dłużej.

¹⁾ Champollion: „L'Égypte sous les Pharaons“; Bunsen: „Aegyptische Alterthümer“; Lepsius: „Denkmäler“; Paul Pierret: „Le Livre des morts“; François Lenormant: „Histoire des peuples de l'Orient“; Maspéro: „Histoire ancienne des peuples de l'Orient“ etc.

Czy przychodzi mi na myśl, że w Assyrii władza królewska obaliła kapłaństwo, aby użyć je za narzędzie swoje, gdy przeciwnie w Egipcie kapłaństwo kierowało władzą królewską, nie abdykowało nigdy, w najtrudniejszych nawet epokach; narzucało królom swoje zwierzchnictwo; wypędzało despotów i rządziło zawsze narodem. Czy rolę tę zawdzięczało ono wyższości umysłowej, głębokiej i ukrytej mądrości, z którą nigdzie, w żadnym państwie i w żadnej epoce, równać się nie mogła mądrość żadnego z ciał nauczających? Mocno o tym powątpiewam. Nie tylko bowiem nie wyciągnęli dziejopisarze nasi żadnego z niezliczonych wniosków, jakie wysnuć należałoby z tego faktu zasadniczego, ale nicomal nie dostrzegają go wcale, a w każdym razie nie przypisują mu żadnego znaczenia. Nie trzeba być jednak koniecznie archeologiem albo językoznawcą, aby zrozumieć, że źródłem nieublaganej nienawiści wzajemnej Assyrii i Egiptu jest fakt, że dwa te narody uosabiały w świecie dwie przeciwstawne zasady i że naród egipski zawdzięczał przetrwanie swoje przez tak długie wieki podkładowi religijnemu i naukowemu, którego moc okazała się potężniejszą od wszystkich przewrotów. Od epoki aryjskiej, poprzez okres burzliwy, który nastąpił po czasach wedyjskich i trwał aż do podboju perskiego i epoki aleksandryjskiej, to znaczy w ciągu pięciu tysięcy lat z górą, był Egipt warownią czystych i wzniosłych doktryn, których całokształt składa się na ogół nauki zasad i któremu możnaby nadać miano ezoterycznej ortodoksji starożytności. Pięćdziesiąt dynastii nastąpiło kolejno po sobie, zaś Nil wznosił odsepami ¹⁾ swoimi grody całe, Fenicjanie najściem swoim zalali kraj, a potem zostali z niego wyparci; pośród przyływów i odpływów historii, pod pozornym bałwochwalstwem swojego zewnętrznego wielobóstwa, utrzymał Egipt dawne podstawy tajemnej swojej teogonii oraz ustrój swój kapłański. Oparł się on wiekom jak piramida z Gizeh, na wpół pogrzebana w piaskach, a mimo to nietknięta. Dzięki temu bezruchowi sfinksa, zachowującego swoją tajem-

¹⁾ Gdsepy — przybycie gruntu przez ustąpienie wód po wylewach rzek.

nie, dzięki tej odporności granitu stał się Egipt osłą, do-
kółka której rozwinęła się myśl religijna ludzkość w prze-
jściu z Azji do Europy. Judea, Grecja, Etruria — wszyst-
kie te dusze bytów, które dały podstawy religiom różno-
rodnym, czerpały źródło natchnień ze starożytnego Egip-
tu. Mojżesz i Orfeusz stworzyli dwie potężne, przeciw-
stawne sobie wzajem religie, z których jedną cechował
surowy monoteizm, drugą — olśniewające wielobóstwo.
Gdzie jednak kształtował się ich geniusz? Gdzie zdobył
jeden siłę, energię, odwagę przestoczenia narodu napoły
dzikiego, jak śpiż przekuwa się w ogniu? Skąd wziął dru-
gi ów dar magiczny zniewalania bogów do przemawiania,
niby lira nastrojona, do dusz tych barbarzyńców oczarow-
wanych? Oczywiście w świątyniach Ozyrysa, w starożyt-
nych Tebach, które wtajemniczeni nazywali grodem słoń-
ca czy Arką słoneczną, bowiem w nich było siedlisko
syntezy nauki boskiej oraz wszystkich tajemników wtajem-
niczenia.

Co roku, w porze letniego przesilenia, kiedy padają
ulewne deszcze abisyńskie, zmienia Nil barwę i przybiera
ów odcień krwawy, o którym wspomina Biblia. Rzeka
przybiera aż do jesiennego porównania dnia z nocą i grze-
bie pod swymi falami widnokrąg brzegów. Wyniosłe
wszakże na swoich cokółkach granitowych, pod osłepiają-
cymi promieniami słońca, wykute w skalach świątynie,
grobowce, pylony¹⁾, piramidy odbijają wspaniałość ruin
swoich w wezbranym jak morze Nilu. Tak samo też ka-
płaństwo egipskie przetrwało wieki całe, zachowując
ustrój swój i symbole swoje, stanowiące niezbadane przez
długi czas tajniki jego wiedzy. W świątyniach tych, w tych
kryptach i piramidach wypracowana została słynna do-
ktryna Słowa-Swiatła, Słowa Bożego, które Mojżesz zam-
knie w złotej swojej arce przymierza i którego Chrystus
żywą będzie pochodnią.

Prawda niewzruszona jest sama w sobie; ona jedna

¹⁾ Pylony — budynki kształtu wieżowego, służące w sta-
rożytnych budowlach egipskich za ramy portyku wejściowe-
go, stanowią charakterystyczną cechę budownictwa staro-
egipskiego

przetrwą wszystko; zmienia ona wszakże kształt i siedlisko, a objawienia jej są periodyczne.

„Światło Ozyrysa“, rozjaśniające niegdyś wtajemniczonym głębie przyrody i sklepienia nieba, zagasło na zawsze w opustoszonych grobowcach. Spełniła się wyrocznia Hermesa: „O Egipcio! Egipcio! nie pozostanie z ciebie nic prócz bajek, które wydadzą się nieprawdopodobnymi przyszłym pokoleniom i nie nie przetrwa z ciebie prócz słów wyciosanych w kamieniu“.

Chcielibyśmy jednak, podążając tajemną drogą starożytnego wtajemniczenia egipskiego, o ile pozwala na to intuicja ezoteryczna oraz gubiące się załamywanie promieni światła poprzez osłonę wicków, wskrzesić jeden z promieni tajemniczego tego słońca świątyni.

Zanim jednak przekroczymy ich progi, rzućmy okiem na wielkie fazy, przez jakie przeszedł Egipt przed Hksosem.

Cywilizacja egipska, niemal równie stara jak szkielet naszych łądów, sięga początkami swymi okresu starożytnej rasy czerwono-skórych¹⁾. Olbrzymi sfinks z Gizeh, obok wielkiej piramidy, jej jest dziełem. W czasach, kiedy istniała jeszcze Delta (utworzona później przez odsepy Nilu), potworny zwierz symboliczny spoczywał już na wzgórzu granitowym, mając poza sobą łańcuch gór libijskich, a przed sobą fale morskie, rozbijające się u jego stóp; tam, gdzie teraz ciągną się w nieskończoność piaski pustyni. Sfinks — to pierwsze dzieło Egiptu, stał się podstawowym jego symbolem, jego znakiem wyróżniającym. Najstarszy z kapłanów wyrzeźbił to wyobrażenie przyrody spokojnej, groźnej w swojej tajemniczości. Głowa ludzka wyrasta z ciała byka o lwich pazurach i składa orle

¹⁾ W jednym z napisów IV-ej dynastii mowa jest o sfinksie, jako o pomniku, którego powstanie ginie w pomroce dziejów, a który odnaleziony został przypadkowo za panowania tego księcia, zakopany pod piaskiem pustyni, gdzie spoczywał zapomniany w ciągu długich pokoleń. **Fr. Lenormant**: „Histoire d'Orient“ II.55.— Owóz IV-a dynastia przenosi nas na 4000 lat przed Chrystusem. Łatwo ocenić wobec tego starożytność Sfinksa!

skrzydła na swoich bokach. To Izys ziemska; przyroda w żywej jedności swych państw. Już bowiem kapłani owi z czasów niepamiętnych wiedzieli i pouczali, że natura ludzka jest wykwitem natury zwierzęcej.

Ta mieszanina byka, lwa, orła i człowieka obejmuje zarazem cztery gatunki zwierzęce z widzenia Ezochiela, symbolizujące cztery zasadnicze żywioły mikro- i makrokosmu: wodę, ziemię, powietrze i ogień — podstawę wiedzy tajemnej. Dlatego też w duszy wtajemniczonych z okresów późniejszych, gdy ujrzą zwierzę święte, leżące na progu świątyni lub w głębi sklepień podziemnych zbudzi się zrozumienie tej tajemnicy: i, jak ów sfinks, zwiną i oni w milczeniu skrzydła ducha swego na prawdzie, głęboko w niej ukrytej. Już przed Edypem bowiem wiedzieć oni będą, że rozwiązaniem zagadki sfinksa jest człowiek, mikrokosm, czynnik boski, streszczający w sobie wszystkie żywioły i wszystkie siły przyrody. Jedynym więc świadkiem działalności swojej, jaki pozostawiła rasa czerwona, jest sfinks z Gizeh, niezaprzeczony dowód, że postawiła ona wielkie zagadnienie i rozwiązała je na swój sposób.

II

HERMES

Rasa czarna, która odziedziczyła po czerwonej rasie południowej władanie światem, uczyniła z Górnego Egiptu główny swój przybytek święty. Nazwa Hermesa Totha, tajemniczego pierwszego duchownego przewodnika Egiptu, otwierającego mu drogę do nauk świętych, wiąże się niewątpliwie z pierwszym okresem pokojowego pomieszania rasy białej z rasą czarną w okolicach Etiopii i Górnego Egiptu, na długo przed epoką aryjską. Hermes jest nazwą rodową, jak Manu lub Buddha. Oznacza ona zarazem człowieka, kastę i boga. Hermes-człowiek jest pierwszym wielkim egipskim odsłaniaczem tajników; jako kasta — jest to stan kapłański, przechowujący tradycje nauki wtajemniczonych; jako bóg — planeta Merkury, zespolona wraz z sferą swoją kategorią duchów, boskich odsłaniaczy; Hermes jest słowem, przewodnikiem najwyższym w nadziemskiej dziedzinie wtajemniczenia niebiańskiego. Wszystkie te sprawy związane są w duchowej organizacji świata węzłami ukrytego powinowactwa, jak gdyby nicią niewidzialną. Imię Hermesa jest talizmanem, który streszcza i kojarzy w sobie wszystkie; dźwiękiem magicznym, który wywołuje ich obraz. Stąd wielki jego urok. Grecy, uczniowie Egipcjan, nazywali go Hermesem Trismegistem czyli potrzykroć wielkim, albowiem uważany był za króla, prawodawcę i kapłana. Symbolizuje on epokę, w której stan kapłański, stan urzędniczy oraz władza królewska, zjednoczone były w jednym ciele rządzącym. Chronologia egipska Manethona nazywa epokę

te panowaniem bogów. Nie było wówczas ani papyrusu, ani pisma fonetycznego, istniało natomiast pismo, używające znaków, które wyrażały pojęcia; nauka kapłańska wypisana była pismem hieroglificznym na kolumnach i murach grobowców. Pomnożona znacznie, przeszła ona później do księgozbiorów świątyni. Egipcjanie przypisywali Hermesowi 42 księgi, dotyczące wiedzy tajemnej. Księga grecka, znana pod nazwą **Hermesa Trismegistosa**, zawiera, przekształcone niewątpliwie, ale niezmiernie cenne szczątki teogonii starożytnej, owego światła, z którego spłynęły pierwsze promienie wiedzy na Mojżesza i Orfeusza. Doktryna Ognia — Początku Wszecrzeczy, oraz doktryna Słowa Światła, zawarta w **Wizji Hermesa**, pozostanie szczytem i ośrodkiem wtajemniczenia egipskiego. Postaramy się odnaleźć ową wizję mistrzów, ową różę mistyczną, rozwijającą się jedynie w mrokach świątyni i w głębi tajników wielkich religii. Słowa Hermesa, nacechowane mądrością starożytną, najlepiej się nadają jako przygotowanie do tego aktu: „Myśl nasza — mówi on do ucznia swego Asklepiosa, — nie byłaby nigdy zdolna wytworzyć sobie pojęcia Boga i żaden język nie byłby zdolny określić go. To co jest bezcielesne, niewidzialne, nieposiadające kształtu widomego, nie może być uchwycone za pomocą zmysłów; to co jest wieczne, nie może być mierzone krótką miarą czasu: Bóg jest więc niewypowiedziany. Bóg może, co prawda, udzielić wybranym swoim zdolności wznoszenia się ponad rzeczy przyrodzone i dostrzegania tą drogą promieni jego doskonałości najwyszej, — wybrani ci jednak nie mogą znaleźć słów dla oddania w języku pospolitym bezcielesnej wizji, która wstrząsnęła do głębi ich jestestwem. Mogą oni wyjaśnić ludzkości wtórne przyczyny tworzenia, które dane im było oglądać jako obrazy życia we wszechświecie, pierwotne jednak źródło pozostaje osłonięte mgłą tajemniczą, „która dopiero po śmierci naszej zdolni będziemy zgłębić“.

Tak mówił Hermes na progu krypt o Bogu nieznanym. Uczniowie, którzy docierali wraz z nim do ich wnętrza, uczyli się poznać go jako istotę żywą¹⁾.

¹⁾ Naukowa teologia wtajemniczonych — mówi M. Maspero — jest monoteistyczną od czasu pierwszych Faraonów.

Księga mówi o śmierci jego jako o odejściu Boga.

„Hermes dostrzegął ogół rzeczy, a dostrzegłszy je, zrozumiał; rozumiawszy zaś — posiadał władzę objawiania i ujawniania. Co powstało w myśli jego — napisał; co napisał — ukrył w znacznej części, milcząc jako mędrzec wielki i mówiąc zarazem, ażeby świat w ciągu całego przyszłego trwania swojego szukać musiał tych rzeczy. I tak nakazawszy bogom, braciom swoim, aby służyli mu za orszak — wzbił się na gwiazdy“.

Można w ostateczności traktować dzieje polityczne narodów jako odrębne całości, niepodobna jednak rozbiierać w taki sposób historii ich rozwoju religijnego. Religie Assyrii, Egiptu, Judei, Grecji zrozumieć można jedynie w związku ich ze starożytną religią indo-aryjską. Wzięte oddzielnie przedstawiają one szereg zagadek i szarad; rozpatrywane w całokształcie i z góry, stanowią jeden wspaniały łańcuch rozwojowy, którego wszystkie ogniwa wzajem się zazębiają, uzupełniają i tłumaczą. Słowem — rzecz można, że historia jednej religii będzie zawsze ciasną, zabobonną i fałszywą — prawdziwą będzie jedynie historia religijnego rozwoju ludzkości. Stojąc na tej wyżynie, odczuwa się już tylko prądy, obiegające całą kulę ziemską. Naród egipski, najbardziej niezależny i najbardziej od-

W tekstach, odnoszących się do tej epoki, znajdujemy twierdzenie o zasadniczej jedności boskiej, wypowiedziane w sposób stanowczy i wyraźny. „Bóg jest jeden i jedyny, ten, który istnieje jako duch utajony; Bóg jest i był od początku, był wówczas, gdy nikt inny nie istniał. On istniał, gdy nie innego nie istniało, a co istnieje w niebie i na ziemi, On stworzył po swoim przyjściu do bytu. Jest On zarazem Ojcem, Matką i Synem, on rodzi, lecz nigdy nie był zrodzony. On jest wieczny i nieskończony, On stwarza, lecz nigdy nie był stworzony. Nieskończoność, wiekuistość, niezawisłość, wola wszechpotężna, dobroć bezgraniczna — są jego własnościami. „Stwarza on własne członki, które są Bogami“ — mówią stare teksty. Każdy z tych wtórnych bogów, aważanych za tożsamość Boga Jedynego, może stworzyć nowy typ, z którego wyłonią się z kolei i tą samą drogą inne typy niższe. — „*Histoire ancienne des peuples de l'Orient*“:

poromy na wpływy zewnętrzne, nie mógł wyzwolić się spod tego prawa powszechnego. Na pięć tysięcy lat przed naszą erą ognisko światła, rozniecone w Iranie przez Ramę, promieniowało na Egipt, stwarzając tutaj prawo Hammona-Râ, Tebańskiego boga słońca. Ustrój ten pozwolił Egiptowi oprzeć się zwycięsko tyłu przewrotom. Menes był pierwszym królem, który oparł rządy swoje na sprawiedliwości, pierwszym faraonem, który wprowadził prawo to w czyn. Był on o tyle przeczornym, że nie pozbawił Egiptu dawnej jego teologii, która była też jego własną. Wzmocnił on ją jedynie i rozwinął, uzupełniając ją nową organizacją społeczną. Ustrój organizacji tej był następujący: Kapłaństwo czyli nauczanie — na jednym planie, sprawiedliwość — na innym; do nich obu należało kierownictwo kraju; władza królewska pojęta była jako przedstawicielstwo ich, podlegające ich kontroli; u podstaw społeczeństwa stała względnie niezależna gmina albo powiat czyli „nom“. Takim był ustrój, który nazwać można rządami wtajemniczonych. U szczytu tego gmachu społecznego, jako jego wiązanie, stała synteza wiedzy, znana pod nazwą Ozyrysa (O Sir-Is), władcy duchowego. Symbolem jego i gnomonem¹⁾ matematycznym jest wielka piramida. Faraon, sprawujący władzę zarazem kapłana i króla, różnił się zasadniczo od despoty asyryjskiego, opierającego nieograniczoną władzę swoją na krwi i zbrodni. Faraon był wtajemniczonym, którego skronie wieńczyła korona, a przynajmniej uczniem wtajemniczonych. W ciągu wieków będą faraonowie bronili prawa Barana, symbolizującego w owym czasie prawa sprawiedliwości i sądu międzynarodowego przeciwko Azji, która stała się despotyczną i Europie, w której panowała anarchia.

Około r. 2200 przed Chr. przebył Egipt najgroźniejszy przełom, jaki może przebyć naród: najście i podbój — połowiczny przynajmniej — dokonany przez obcych. Najście fenickie było wynikiem wielkich walk religijnych w Azji, które pobudziły do buntu masy ludowe przez sianie niezgody w świątyniach. Najście to — pod wodzą królów

¹⁾ **Gnomon** — przyrząd używany przez astronomów starożytnych do oznaczania wysokości ciał niebieskich.

pasterscy, zwanych Hyksosami — spowodowało zalanie
hordami azjatyckimi okolicy Deltę i Egiptu Środkowego.
Odszczepieńczy królowie wprowadzili do Egiptu wypa-
czoną kulturę, jónską gnuśność, azjatycki przepych, oby-
czaje haremowe, grube bałwochwalstwo. Zagrożony był
byt naródowy Egiptu; jego umysłowość znalazła się w nie-
bezpieczeństwie; jego posłannictwo wszechświatowe za-
chwiane. Posiadał on wszakże duszę żywą, którą był zor-
ganizowany zastęp wtajemniczonych, przechowywaczy
dawnej nauki Hermesa i Ammon-Râ. Jak się zachowała
dusza ta? Cofnęła się w głąb swoich przybytków i tam
skupiła się bardziej jeszcze w sobie, aby tym skuteczniej
oprzeć się wrogowi. Kapłaństwo ukorzyło się pozornie
przed zdobywcami i uznało uzurpatorów, którzy wprowad-
zili kult byka i wołu Apisa. W rzeczywistości wszakże
ukryci w świątyniach kapłani przechowywali tam — jako
depozyt święty — naukę swoją, swoje tradycje, dawną
nieskażoną religię, a wraz z nią nadzieję przywrócenia
dynastii narodowej. W tym właśnie okresie rozpowszech-
nili oni wśród tłumów legendę o Izydzie i Ozyrysie, o po-
ćwiartowaniu tego ostatniego i następnym jego zmar-
twychwstaniu dzięki synowi jego, Horusowi, który odna-
leźć miał członki jego rozproszone i uniesione przez wo-
dy Nilu. Podniecali wyobraźnię tłumy uroczystością
i świetnością obchodów publicznych. Podtrzymywali jego
ukochanie dawnej religii przedstawianiem mu nieszczęść
bogini, jej oplakiwania utraty boskiego małżonka oraz
nadziei, jaką pokładała w synu, Horusie, boskim pośred-
niku. Zarazem jednak uważali wtajemniczeni za konie-
czne osłanianie prawdy ezoterycznej potrójną zasłoną.
Szerzeniu kultu Izidy i Ozyrysa sprzyjała umiejętna or-
ganizacja wewnętrzna małych i wielkich Tajemnic. Oto-
czono je zaporami w postaci straszliwych niebezpie-
czeństw. Wymyślono próby moralne, żądano klątwy mil-
czenia, a kara śmierci nieuchronnie była stosowana w ra-
zie, jeśli który z wtajemniczonych zdradził najdrobniej-
szy chociażby szczegół, dotyczący Tajemnic. Dzięki suro-
wej tej organizacji stało się wtajemniczenie egipskie nie
tylko ucieczką i schronieniem doktryny ezoterycznej, ale
zarazem warownią odrodzenia narodowego i rozsądnikiem
przyszłych religii. W czasie kiedy ukoronowani bezpraw-

ni przywłaszczyliście władzy panowali w Memfisie, przygotowywały powoli Teby odrodzenie kraju. Ze świątyni swojej, z arki swojej słonecznej wyszedł zbawca Egiptu, Amos, który wypędził Hyksosów po dziewięciowiekowym ich panowaniu i przywrócił utracone prawa nauki egipskiej oraz kultowi Ozyrysa.

Tym sposobem, na szczęście ludzkości, Tajemnice uratowały duszę Egiptu od zagłady, jaką groziła jej obca tyrania. Tak silną była bowiem dyscyplina, wprowadzona przez kapłanów i tak wielką potęgą ich wtajemniczenia, że skupiła się w łonie ich organizacji największa siła moralna, najwyższy dokonał się dobór intelektualny.

Wtajemniczenie w przyszłości oparte było na zdrowszym i podnioslejszym poglądzie na istotę człowieka, aniżeli nasz pogląd obecny. Wychowywanie ciała, duszy i umysłu nie jest traktowane przez nas równomiernie. Nasza wiedza przyrodnicza, skądinąd bardzo posunięta, traktuje duszę i jej rozlanie się we wszechświecie jako pojęcie abstrakcyjne; religia nasza nie zadawała naszych potrzeb umysłowych; a medycyna nasza nie chce nic wiedzieć o duszy i o duchu. Człowiek współczesny szuka przyjemności, nie dającej szczęścia, szczęścia bez nauki i nauki bez mądrości. Starożytność nie uznawała możliwości odgraniczania tych rzeczy. Miała ona na względzie wszędzie i zawsze potrójną naturę człowieka. Wtajemniczenie polegało na stopniowym wciąganiu całej istoty człowieka na zawrotne wyżyny ducha, z którego panować mógłby on nad życiem. „Ażeby dojść do doskonałości — mówili mędrcy ówcześni — musi człowiek przekształcić zupełnie swoją istotę fizyczną moralną i umysłową“. Przekształcenie to skutecznie można jedynie drogą równoczesnego ćwiczenia woli, intuicji i rozumowania. Przez zupełne uzgodnienie ich może człowiek rozwinąć władze swoje aż do granic nieobliczalnych. Wtajemniczenie budzi uśpione władze duszy. Poglębiając wciąż studia swoje, nie ustając w usiłowaniach, może człowiek wejść w związek z tajemnymi siłami wszechświata. Prząc całą potęgę woli, może osiągnąć bezpośrednio duchowe uświadomienie, utworować sobie drogę do zaświatów i stać się zdolnym do wznoszenia się ku nim. Wówczas dopiero będzie mógł powiedzieć, że pokonał los i osiągnął na ziemi już boskie

wyzwolenie. Wówczas dopiero stać się może wtajemniczony mistrzem, prorokiem i wywoływaczem duchów, a więc jasnowidzącym i twórcą dusz. Albowiem ten jedynie, kto opanował siebie, może panować nad innymi; kto sam jest wolny — może wyzwalać.

Tak zapatrywali się wtajemniczeni w starożytności. Najwięksi z nich żyli i działali zgodnie z tym poglądem. Prawdziwe wtajemniczenie nie było więc bynajmniej czczym tylko rojeniem, ani też prostym nauczaniem, było ono tworzeniem duszy przez nią samą, jej rozwarciem się na wyższej płaszczyźnie, jej rozkwitem w świecie nadziemskim.

Przenieśmy się myślą do epoki Ramzesa, do czasów Mojżesza i Orfeusza, do roku 1300 przed naszą erą i postarajmy się dotrzeć do głębi wtajemniczenia egipskiego. Pomniki, wyobrażające postacie, księgi hermetyczne, tradycja żydowska i grecka umożliwiają poznanie faz wstępnych i wytworzenie sobie pojęcia o najwyższym jego objawieniu.

III

IZYDA — WTAJEMNICZENIE — PRÓBY

Za panowania Ramzesa dosięgła kultura egipska najwyższego rozkwitu swojej sławy. Faraonowie XX-ej dynastii, uczniowie i obrońcy sanktuariów, bohatersko podtrzymywali walkę z Babilonem. Łucznicy egipscy niepokobili wciąż Libijczyków, Beduinów i Numidyjczyków i odpychali ich w głąb Afryki. Flota licząca czterysta okrętów podążała za ligą odszczepieńców aż do ujść Indusu. Celem skuteczniejszego przeciwdziałania uderzeniom ze strony Asyrii i jej sprzymierzeńców wytknęli Ramzesowie drogi strategiczne aż do Libanu i zbudowali łańcuch twierdz pomiędzy Mageddo i Karkemiszem. Nieskończone karawany przeciągały przez pustynię od Radazji do Elefantyny. Roboty budowlane prowadzone były nieprzerwanie, zatrudniając robotników z trzech lądów. Hypostylowa sala Karnaku, której każda kolumna była wysokości kolumny Vendôme, została doprowadzona do porządku; świątynie w Abydos ozdobiono cudami rzeźby, a dolinę królów wypełniły wspaniałe pomniki. Wznoszono gmachy w Bubaście, w Lutzorze, w Speosie Ibsambu. W Tebach pylon triumfalny słauił wzięcie Kadeszu. W Memfisie wznosiło się Ramsesseum, okolone lasem obelisków, posągów i olbrzymich monolitów.

Pośród gorączkowej tej pracy, tego życia olśniewającego, niejednen cudzoziemiec, pragnący poznać Tajniki i przybywający z dalekich wybrzeży Azji Mniejszej lub z gór Tracji, obierał za cel wędrówki Egipt, do którego

ziągnął go rozgłos wspaniałych świątyń. Na widok Memfisu stawał osłupiony. Posągi, widowiska, uroczystości publiczne olśniewały wielkością i przepychem. Po uroczystości namaszczenia króla, która odbywała się w zamknięciu świątyni, wychodził z niej faraon, aby ukazać się tłumowi w lektyce dźwiganej przez dwunastu oficerów sztabu głównego, niosących wielkie wachlarze z piór pawich i liści lotosu, osadzone na wysokich tykach. Poprzedzało ich dwunastu młodych lewitów¹⁾ trzymających haftowane poduszki z oznakami dostojęstwa królewskiego: z berłem sędziów, uwieńczonym głową barana, mieczem, łukiem i mnóstwem zbroi. Poza nim szedł dwór królewski i kolegia kapłańska w otoczeniu wtajemniczonych w wielkie i w małe misteria. Naczelnicy kapłani mieli na głowach białe tiary, a napierśniki ich błyszczały ogniem kamieni symbolicznych. Dostojnicy koronni strojni byli w emblematy Jagnięcia, Barana, Lwa, Lillii i Pszczoły, zawieszane na grubych cudownej roboty łańcuchach złotych. Cechy zamykały pochód, niosąc rozwinięte chorągwie i sztandary²⁾. W nocy wspaniale przystrojone łodzie obwoziły po sztucznych jeziorach orkiestry królewskie, pośród których odcinały się hieratyczne pozy tancerek i lutnistek.

Ten przytłaczający przepych nie był jednak głównym celem dążeń przybysza. Przywiodło go z tak daleka pragnienie przeniknięcia tajników i żądza wiedzy. Opowiadał mu, że w świątyniach Egiptu znajdzie magów i kapłanów, którzy posiadli naukę boską. Przybysz pragnął dotrzeć do tych tajników. Kapłani z kraju jego mówili mu o **Księdze umarłych**, o tajemniczym zwoju, który kładziono mumiom pod głowy jako wiątyk. Na zwoju tym wypisana była w formie symbolicznej historia zagrobowej drogi duszy, celem ułatwienia duchowi przejścia z niebytu do Ra — do nieba. „Rozdział ten odnaleziony był w Hermopolis, wypisany pismem błękitnym na alabastrowej płycie, u stóp boga Totha (Hermesa) za czasów króla Menkara,

¹⁾ Lewici — młodzieńcy pochodzenia kapłańskiego.

²⁾ Malowidła ścienne świątyń w Tebach, odtworzone w książce Franciszka Lenormant oraz rozdział o Egipcjach w „Mission des Juifs“: Saint-Yves d'Alveydre'a.

przez księcia Hastatefa podczas podróży jego, mającej na celu oglądanie świątyni. Książę zabrał kamień ten do świątyni królewskiej. O, wielka tajemnico! Po przeczytaniu czystego i świętego rozdziału tego przestał żyć, siyszee, zbliżyć się do kobiet, nie tknął więcej mięsa ani ryby". Ile jednak było prawdy w niepokojących tych opowiadaniach, w tych obrazach hieratycznych, poza którymi ukrywała się straszliwa tajemnica pozagrobowa? — Izydzie tylko i Ozyrysowi jest to wiadome — mówiono przybyszowi. Jakimi wszakże byli ci bogowie, o których mówiono z gestem tajemniczym, z palcem na ustach? Ażeby dowiedzieć się tego, pukał przybysz do wrót wielkiej świątyni Teb lub Memfisu.

Służba wprowadzała go pod portyk wewnętrznego dziedzińca, którego ogromne kolumny, podobne do olbrzymich lotosów, podtrzymywały siłą swoją i czystością Arkę słoneczną, świątynię Ozyrysa. Kapłan zbliżał się do wprowadzonego. Majestat rysów jego, spokój, jakim tchnęło jego oblicze, tajemne głębie jego czarnych oczu nieprzeniknionych, acz jaśniejących światłem wewnętrznym, wystarczały już samo przez się do wywołania silnego uczucia niepokoju. Wzrok jego wwiercał się w głąb duszy obcego przybysza. Czuł on, że staje wobec człowieka, przed którym nie da się ukryć. Kapłan Ozyrysa zaczął wypytywać przybyłego o jego miasto rodzinne, o jego rodzinę oraz o świątynię, z której czerpał dotychczas naukę. O ile po krótkim tym, ale przenikliwym, egzaminie uznany on był za niegodnego dopuszczenia do tajników — milczący, ale nieodwołalny gest wskazywał mu drzwi. Jeśli jednak kapłan dostrzegał w ubiegającym się szczere pragnienie prawdy, zapraszał go, aby szedł za nim przez portyki, przez dziedzińce wewnętrzne, potem przez aleję, wyciosaną w skale i nie mającą dachu. Na końcu alei tej, po której obu bokach ustawione były szeregi pomników z jednego kamienia, słupów i słinków, stała niewielka świątynia, służąca za wejście do krypty podziemnej. Naturalnej wielkości posąg Izydy zasłaniał drzwi do krypty. Bogini wyobrażona była w postawie siedzącej z księgą zamkniętą na kolanach, w pozie pełnej skupienia i rozmyślań. Twarz jej była osłonięta; pod posągiem był napis:

„Nikt ze śmiertelnych nie uchylił mej zasłony“.

— Oto wrota do tajemnej świątyni — oznajmiał kapłan. Spójrz na te dwie kolumny. Czerwona — wyobraża wzniesienie się ducha ku światłu Ozyrysa; czarna — oznacza ugrzęźnięcie jego w materii, upadek ten doprowadzić może do unicestwienia. Ktokolwiek szuka dostępu do nauki naszej i do naszej doktryny, naraża życie swoje. Na słabych i złych czeka tu obłąd lub śmierć; jedynie silni i dobrzy znajdują u nas życie i nieśmiertelność. Wielu nierozważnych przekroczyło te podwoje i niewyszło z nich żywymi. To przepaść, pochłaniająca wszystkich, z wyjątkiem tych jedynie, którzy są nieustraszeni. Zastanów się więc głęboko nad tym, co chcesz uczynić, nad niebezpieczeństwami, na które się narażasz, i, jeśli nie czujesz w sobie odwagi, która nie ulęknie się żadnych prób, wyrzec się twojego zamiaru. Bowiem z chwilą, kiedy wrota te zawrą się za tobą — nie będziesz już mógł cofnąć się. Jeśli po przemówieniu tym przybysz trwał w chęci poznania tajników, odprowadzał go kapłan do wewnętrznego dziedzińca i polecał go służącym świątyni, z którymi przeżył miał tydzień, poświęcony pełnieniu najniższych posług, słuchaniu hymnów i dokonywaniu obmywań. Zachowywać musiał przy tym bewzględne milczenie.

Kiedy wreszcie nadszedł wieczór prób, dwaj neokorzy czyli stróże świątyni, prowadzili go do wrót tajemnej świątyni, do czarnego przedsionka, z którego nie było widać wyjścia. Po obu stronach ponurej sieni, oświetlonej pochodniami, spostrzegł przybysz szereg posągów, wyobrażających głowy zwierzęce osadzone na torsach ludzkich, lwy, byki, ptaki drapieżne, węży, a wszystkie one zdawały się szyderczo uśmiechać do niego. Na końcu złowrogiej tej sieni stały, ustawione naprzeciw siebie: mumia i szkielet. Strażnicy wskazywali nowicjuszowi niemym gestem jamę w murze, przed którą stał. Było to wyjście do korytarza tak niskiego, że dostać się można doń było zaledwie na czworakach.

— Możesz jeszcze wrócić — mówił jeden z neokorów. Wrota świątyni jeszcze się nie zawarły. W przeciwnym razie musisz iść tą drogą bez możliwości powrotu.

— Zostaję — odpowiadał nowicjusz, wysilając całą swoją odwagę.

Po takiej odpowiedzi wręczano mu małą zapaloną lampkę. Neokorowie wracali i zamykali z trzaskiem wrota świątyni. Nie było już wyboru — trzeba było wsunąć się do korytarza. Załedwie wczuł się do niego na kolanach, trzymając lampkę w dłoni, rozlegał się z głębi podziemi głos: „Giną tutaj szaleńcy, którzy zapragnęli wiedzy i władzy“. Zdumiewające jakieś urządzenie akustyczne sprawiało, że echo powtarzało słowa te siedmiokrotnie, w dłuższych odstępach. Trzeba było, mimo to, iść naprzód: korytarz rozszerzał się, spadając w dół coraz bardziej pochyło. Wreszcie śmiały podróżnik stawał wobec leja zakończonego jamą. W otworze jego ginał koniec drabiny żelaznej, na którą wchodził i na której ostatnim stopniu przerażony wzrok jego tonął w głębiach przeraźliwej studni. Jego mała lampka naftowa, którą ścisnął konwulsyjnie w drżącej dłoni, sączyła skąpe światło w ciemnicy bezdennej. Co czynić? Nad nim powrót niemożliwy; pod nim otchłań czarna, straszliwa noc. W tej chwili rozpaczy dostrzegł na lewo rozpadlinę. Uczepiony jedną ręką o drabinę, drugą wyciągając przed sobą lampkę, zauważył w rozpadlinie stopnie. Schody — było to zbawienie. Przypadł do nich; piał się w górę, wymykając się z przepaści! Schody, przebijające świdrem skałę, wiły się krętą linią wężową. Pnąc się tak coraz dalej, docierał wreszcie do kraty z brązu, otwierającej dostęp do szerokiej galerii, podtrzymywanej przez wielkie kariatydy. W przejściach między nimi widniały na murze dwa szeregi fresków symbolicznych. Było ich po jedenaście z każdej strony; lampy kryształowe, umieszczone w dłoniach pięknych kariatyd, rzucały na nie słabe, łagodne światło.

Mag zwany **pastoforem** (stróż świętych symbolów) otwierał przed nowicjuszem kratę i przyjmował go pełnym życzliwości uśmiechem. Winszował mu szczęśliwego przebycia pierwszej próby, poczym oprowadzając go po galerii, wyjaśniał mu znaczenie świętych malowideł, pod każdym z nich była zgłoska i cyfra. Dwadzieścia dwa symbole wyobrażały pierwsze dwadzieścia dwa tajniki i tworzyły alfabet nauki tajemnej, a więc, zasady bezwzględne, klucze wszechobejmujące, które kierowane wolą, stają się źródłem najwyższej mądrości i potęgi. Zasady te utrwały się w pamięci dzięki związkowi ich ze

zgióskami świętego języka oraz z liczbami, które zgióskom tym odpowiadają. W języku tym każda zgióska i każda liczba wyrażają prawo troiste, mające odpowiedniki swoje w **świecie boskim**, w **świecie umysłowym** i w **świecie fizycznym**. Jak palec, dotykający strun liry, wywołuje poszczególny dźwięk z całej gamy dźwięków i wprawia we współdrżanie wszystkie pokrewne mu brzmienia, tak samo umysł, wymawiający literę z całą świadomością jej znaczenia, powołują do życia siłę, której echo odbija się we wszystkich trzech światach. I tak litera A, odpowiadająca liczbie I, wyobraża w **świecie boskim**: Istotę bezwzględną: Absolut, z którego wylaniają się wszystkie twory; w **świecie umysłowym** — jedność, źródło i syntezę liczb; w **świecie fizycznym** — człowieka, uwieńczenie istot względnych, który, przez naprężenie wszystkich swoich władz, wznosi się do współśrodkowych sfer nieskończoności. — Tajnik I wyobrażony był u Egipcjan w postaci kapłana w białej szacie, dzierżącego berło i mającego złotą koronę na głowie. Biała szata oznaczała czystość, berło było znakiem władzy, a złota korona — światło wszechogarniające.

Trudno było nowicjuszowi zrozumieć wszystkie te nowe i dziwne rzeczy, które przed nim odsłanianiano. Słowa pastofora i piękne te malowidła, patrzące na niego z niewzruszoną powagą bogów, otwierały przed nim nowe, nieznanne widnokreśli. Poza każdym z nich dostrzegał w błyskach przelotnych szeregi myśli i obrazów, nagle przez nie wywołanych. Tajemniczy łańcuch przyczyn nasunął mu po raz pierwszy w życiu jego myśl o **wnętrzu** świata. W ten sposób przechodząc od litery do litery, od cyfry do cyfry, wyjaśniał mistrz uczniowi znaczenie tajników i wiódł go od **Izydy Uranii** do **wozu Ozyrysa**, przez **wieżę zburzoną** do **gwiazdy promienistej** i wreszcie do **korony magów**. „A wiedz otóż — mówił pastofor — co oznaczać ma ta korona: wszelka wola, łącząca się z Bogiem celem objawienia prawdy i sprawowania sprawiedliwości, zyskuje już w ziemskim życiu cząstkę władzy boskiej nad istotami i przedmiotami. Cząstka ta stanowi nagrodę wiekuiście duchów wyzwolonych“. Słuchając tych słów mistrza, doznawał dowieczasz uczucia zdumienia, lęku i zachwytu zarazem. Były to pierwsze przebliski światła sanktua-

stan, a prawda w tych błyskach dostrzeżona zdawała mu się jutrzną boskiego wspomnienia.

Nie był to jednak jeszcze koniec prób. Przy ostatnich słowach swoich otwierał pastofor podwoje, wiodące do nowego wąskiego a długiego przejścia sklepionego, na którego końcu buzało gorące ognisko. „Ależ to śmierć!“ — wołał nowicjusz, patrząc z drżeniem na swego przewodnika. „Synu mój — odpowiadał pastofor — śmierć przeraża jedynie dusze niedojrzałe. Przeszedłem ongi przez płomień ten niby przez pole różane“. I wrota galerii tajników zamykały się za nowicjuszem. Zbliżając się do kręgu ogniowego, spostrzegł on, że ognisko było jedynie złudzeniem wzrokowym, wytworzonym przez lekkie przeplecenie drew żywicznych ułożonych w rozmaitych kierunkach na kratkach. Ścieżka, wykreślona środkiem, pozwalała mu przejść szybko. Po próbie ognia następowała próba wody. Nowicjusz przejść musiał przez martwą czarną wodę przy blasku płonącej nafty, zapalanej za nim w komnacie ognistej. Po odbyciu próby tej przechodził, cały dygocący jeszcze, prowadzony przez dwóch przewodników do groty ciemnej, gdzie stało łoże miękkie, tajemniczo oświetlone przyćmionym światłem zawieszanej u stropu lampy brązowej. Tu ususzano go, skrapiano ciało jego wytwornymi wonnościami, przyodziewano w cienką bieliznę i pozostawiano samego ze słowami: „Spocznij i czekaj na wielkiego hierofantę“¹⁾.

Nowicjusz wyciągał zmartwiałe przebyłym trudem członki na puszystym kobiercu łoża. Po tylu doznanym wrażeniach różnolitych słodką wydawała mu się ta chwila spoczynku. Przed oczyma wyobraźni jego przesuwały się wszystkie owe, oglądane przez niego, malowidła święte, wszystkie dziwne postacie, sfinksy i kariatydy. Dlaczego jednak myśl jego powracała wciąż do jednego z tych malowideł, które jawiło mu się niby widziadło na jawie? Widział przed sobą wyraźnie tajnik X wyobrażony w postaci koła zawieszzonego na swojej osi pomiędzy dwiema kolumnami. Z jednej strony wznosi się w górę Hermanubis, geniusz Dobra, piękny jak młody efeb; z drugiej Ty-

¹⁾ hierofanta — kapłan, który przewodniczył misteriom Eleuzyńskim.

Ion, geniusz Zła, pada głową na dół w przepaść. Pomiędzy obydwojma, na wierzchu koła, siedzi sfinks, trzymający miecz w szponach.

Nieuchwytny szmer muzyki lubieżnej, który, zdało się, wychodził z głębi grotu, spędził to widzenie. Były to lekkie, nieokreślone dźwięki, tchnące smętkiem niewysłowionym, przenikającym w głąb duszy. Nagle dźwięknął mu w uszach brzęk jakiś metaliczny, zmieszany z dźwiękami fletu i z ciężkimi, jak oddech pałacy, westchnieniami.

Tonąc w marzeniu płomiennym, przymykał oczy. Gdy je otworzył, ujrzał o kilka kroków od swego łoża olśniewające zjawisko, tchnące czarem życia i urokiem szatańskim. Nubijka, spowita w osłony przejrzyste z gazy purpurowej, z koliają amuletów na szyi, podobna kapłankom misteriów Mylitty, stała, chłonąc go wzrokiem i trzymając w lewej ręce uwitą różami czarę. Uosabiała ona ów typ nubijski, którego odurzająca zmysłowość streszcza w sobie całą potęgę uroku samczego: policzki wydatne, rozszerzone nozdrza, pełne krwiste wargi, jak soczysty owoc czerwony. Czarne jej oczy żarzyły się w półcieniu.

Zerwał się nowicjusz i zdumiony nie wiedząc, czy lękać się ma czy cieszyć, skrzyżował instyktownie ręce na pierśsiach. Nubijka szła ku niemu zwolna z oczami spuszczo-nymi, szepcząc półgłosem: „Boisz się mnie, piękny cudzoziemcze? przynoszę ci nagrodę zwycięzców, zapomnienie bólów, czarę szczęścia?“... Nowicjusz wahał się; wtedy, jak gdyby owładnięta nagłym znużeniem, siadała Nubijka na jego łożu i topiła w nim wzrok błagalny, który owiewał go falą palącego oddechu.

Lecz biada mu, jeśli ulegnie pokusie. Biada mu, jeśli pochyli się nad ustami tymi, jeśli da się upoić ciężkim aromatem, unoszącym się z tych ramion brunatnych. Jeśli raz tylko dotknie jej dłoni i umoczy usta w tej czarze, zgubiony będzie na wieki... padnie na posłanie opleciony uściskiem żarzącym. Ale po dzikim nasyceniu zmysłów, napćj, który wchłonął w siebie z podanej mu czary, pogrąży go w sen kamienny. Po przebudzeniu będzie osamotniony, zdjęty lękiem. Lampa rzucać będzie błyski posępne na zmięte jego łożo. W tej chwili ujrzy przed sobą hierofantę, który mu powie:

— „Wyszedłeś zwycięsko z pierwszych zadanych ci

prób. Opanowałeś śmierć, ogień i wodę, nie umiałeś jednak opanować samego siebie. Ty, który wznieść się pragniesz na wyżyny ducha i wiedzy, uległeś pierwszej pokusie zmysłów i wpadłeś w otchłań materii. Kto zaprzedał się w niewolę zmysłów, żyje w mrokach niewiedzy. Przeniosłeś mrok nad światło, pozostań więc w mroku. Uprzedziłem cię o niebezpieczeństwach, które czyhają na ciebie. Uratowałeś życie, ale utraciłeś wolność. Pozostaniesz pod grozą śmierci, niewolnikiem świątyni“.

Jeśli jednak nowicjusz miał siłę przewrócić czarę, wyłać zawarty w niej napój i odtrącić kusicielkę — otaczał go wnet orszak dwunastu neokorów, niosących pochodnie i prowadził w triumfie do świątyni Izydy, gdzie czekali na niego zebrani w pełnym zgromadzeniu, ustawieni w półkole i przybrani biało magowie. W głębi rzęście oświetlonej pustyni jaśniał olbrzymi posąg Izydy odlany z metalu, ze złotą różą u piersi i z głową uwieńczoną diademem siedmiopromiennym. Do ramion bogini tulił się syn jej, Horuso. Stojący pod posągiem hierofanta w szatach purpurowych przyjmował przybysza i odbierał od niego przysięgę milczenia i poddania, popartą klątwami najstraszliwszymi. Po odebraniu przysięgi pozdrawiał go w imieniu całego zebrania jako brata i jako przyszłego wtajemniczonego. Stając wobec dostojnych mistrzów tych, doznawał uczeń Izydy uczucia, że staje wobec bogów. Przerósłszy siebie samego, wkroczał po raz pierwszy w sferę prawdy.

IV

OZYRYS — ŚMIERĆ I ZMARTWYCHWSTANIE

A jednak było to zaledwie dopuszczenie na próg poznania prawdy. Teraz bowiem rozpoczynały się dopiero długie lata nauki i przygotowania. Zanim wznieść się miał nowy adept do Izydy Uranii, poznać musiał Izydę ziemską, zdobyć wiedzę fizyczną, wykształcić się w naukach jej poświęconych. Czas cały poświęcał po części na rozmyślania w ciszy swojej celi, po części zaś na studiowanie hieroglifów w salach i dziedzińcach świątyni rozległej jak miasto, oraz na słuchanie wykładów, prowadzonych przez mistrzów. Uczył się poznawania własności minerałów i roślin, dziejów człowieka i narodów, medycyny, architektury i muzyki świętej. Podczas tych długich lat nauki miał nie tylko **poznać**, ale **stać się!** — miał z zaparciem się siebie zdobyć siłę. Mędrcy starożytni wierzyli, iż człowiek wówczas tylko osiąść może prawdę, kiedy staje się ona najistotniejszą częścią składową jego osobowości, wpływem bezpośrednim jego duszy. Pracy tej głębokiej dokonać musiał jednak, pozostawiony własnym zupełnie siłom. Mistrze jego żadnej nie okazywali mu w niej pomocy, tak iż często dziwił go ich chłód, ich obojętność. Czuwano nad nim pilnie, zniewalano go, aby stosował się do nieugiętych przepisów, wymagano od niego bezwzględного posłuszeństwa; nie wyjaśniano mu jednak niczego, co wychodziło za pewne granice. Na jego pełne niepokojny pytania odpowiadano: „Czekaj i pracuj“. Przychodziły na niego wówczas nagle chwile buntu, gorzkich żalów, strasznych podejrzeń. Czy nie stał się ofiarą śmiałych

oszustów lub złych czarnoksiężników, którzy opanowali wolę jego w niecnym jakimś celu? Prawda zdawała się uciekać przed nim; bogowie opuścili go; był sam, zaprzędany w niewolę świątyni. Prawda ukazała mu się w postaci sfinksa. Teraz sfinks ten mówił mu: „Jestem zwątpieniem!“ I piękne zwierzę skrzydlate o niewzruszonej, kamiennie obojętnej twarzy kobiecej i szponach lwa porrywało i unosiło prawdę, aby ją podrzeć na strzępy w palącym piasku pustyni.

Dręczące te zmory opuszczały go wszakże, poczym następowały godziny ukojenia i boskich przeczuć. Przenikał wówczas znaczenie symboliczne prób, którym go poddawano przy wejściu jego do świątyni. Niestety, bowiem, ciemne otchłanie, w które nieomal nie wpadł, mniej były czarne, aniżeli niezgłębiona przepaść prawdy; ogień, przez który przeszedł, mniej był groźny, aniżeli żądze, których żar spalał jeszcze jego ciało; lodowata, mroczna woda, w której był zmuszony pogrążyć się, mniej była zimna, aniżeli zwątpienia, w których tonęła i gubiła się myśl jego w godzinach posepnych. W jednej z sal Świątyni ciągnęły się dwa szeregi tych samych malowideł świętych, których znaczenie wyjaśniono mu w krypcie podczas owej nocy prób, a które wyobrażały dwadzieścia dwa tajniki. Tajniki te, które odsłaniano na wstępie do nauki okultystycznej, stanowiły właściwie podstawy teologii; ażeby jednak zrozumieć je — należało przejść przez całe wtajemniczenie. Od owej nocy żaden z mistrzów nic więcej mu o nich nie wspomniał. Pozwalano mu tylko przechadzać się po tej sali i rozmyślać nad owymi znakami. Spędzał w niej długie samotne godziny. Poprzez postacie czyste i jasne jak światło, uroczyste jak wieczność, przesiąkała zwolna w jego serce niedostrzeżona, nieuchwytna prawda. W niemym obcowaniu z milczącymi i bezimiennymi bóstwami tymi, z których każde panować się zdawało nad inną sferą życia, nowych doznawać zaczynał wrażeń: zrazu było to cofanie się w najgłębszą treść duszy własnej, rodzaj oderwania się od świata, które pozwalało mu szybować ponad sprawami ziemskimi. Czasem pytał którego z magów: „Czy nadejdzie dzień, w którym wolno mi będzie napawać się aromatem róż Izidy i widokiem światła Ozyrysa?“ — Na co mag odpowiadał mu: „Nie zależy

to od nas. Prawda nie jest dawana. Odnajduje ją człowiek w samym sobie, albo też nie odnajduje jej wcale. Nie możemy uczynić z ciebie wyznawcy jej, musisz stać się nim sam przez się. Kwiat lotosu rośnie pod powierzchnią fal na długo przed rozwinięciem się. Nie przyspieszaj rozkwitu boskiego kwiatu. Jeśli ma on nastąpić, nastąpi we właściwej porze. Pracuj i módl się“.

I uczeń powracał z tęskną radością do studiów swoich i do swoich rozmyślań. Rozkoszował się poważnym i słodkim urokiem tej samotności, w której czuje się tchnienie istoty istot. Tak upływały miesiące i lata. Zdawał sobie sprawę, że dokonywa się w nim samym powolna przemiana, przeistoczenie zupełne. Namiętności, które osaczyły jego młodość, nikły jak cienie, a myśli, które go teraz opanowały, uśmiechały się do niego jak przyjaciółki-nieśmiertelne. Chwilami odczuwał jak gdyby pochłonięcie swojego ja ziemskiego i narodziny nowej jaźni, czystej i bardziej lotnej. W nastroju tym padał na stopnie świątyni, której podwoje zamknięte były przed nim. W takich chwilach nie było w nim ani buntu, ani żadnego pożądania, ani żalu. Było tylko bezgraniczne poświęcenie duszy Bogom, zupełne oddanie się prawdzie. „O, Izydo — wzywał on w modłach swych — dusza moja jest jedynie lżą oczu twoich, niech więc spadnie ona jako rosa na inne dusze, abym, umierając, mógł czuć ulatający ku tobie ich aromat. Gotów jestem do wszelkiej ofiary“. Po jednej z takich niemych modlitw ukazywała się pogrążonemu w ekstazie uczniowi wychodząca jak gdyby spod ziemi wizja: postać hierofanty w gorących blaskach zachodu. Mistrz zdawał się czytać wszystkie myśli ucznia, przenikać cały dramat jego przeżyć wewnętrznych.

— Synu mój — mówił — zbliża się godzina, w której prawda zostanie ci objawiona. Bowiem przeczułeś ją już wchodząc w głąb duszy własnej i odnajdując w niej życie boskie. Przyjmiesz udział w wielkim niewypowiedzianym obcowaniu Wtajemniczonych, którego stałeś się go-dzien czystością twojego serca, ukochaniem prawdy i siłą zaparcia się siebie. Nikt jednak nie może przekroczyć progu Ozyrysa, zanim nie przeszedł przez śmierć i przez zmartwychstanie. Będziemy ci towarzyszyli do krypty. Nie lękaj się, albowiem jesteś już jednym z naszych braci

O zmierzchu kapłani Ozyrysa towarzyszyli z pochodniami w rękach nowemu adeptowi w drodze do niskiej krypty, opartej na czterech słupach, ustawionych na sfinksach. W rogu krypty stał otwarty sarkofag marmurowy ¹⁾.

— Nikt — rzekł hierofanta — nie może uniknąć śmierci, zmartwychwstanie jest przeznaczeniem każdej istoty żyjącej. Adept przechodzi żywy przez grób, by za życia wejść w krąg światła Ozyrysowego. Legnij więc w grobie tym i oczekuj światła. Nocy tej przekroczysz podwoje Przerżenia i dosięgniesz progę Doskonałości.

Adept kładł się do otwartego grobu, hierofanta wyciągał nad nim rękę, aby pobłogosławić, poczym orszak wtajemniczonych oddalał się w milczeniu od grobu. Mała, postawiona na ziemi, lampka oświetlała jeszcze mdłym światłem swoje cztery sfinksy, podtrzymujące przysadziste kolumny krypty. Przyciszony, głuchy chór głosów niskich rozbrzmiewa w powietrzu. Skąd przychodzi? To śpiew pogrzebowy!... Cichnie i zamiera, lampka rzuca błysk ostatni, potem gaśnie zupełnie. Adept pozostał sam w ciemnościach; ogarnia go chłód mogilny, mrozi wszystkie jego członki. Przechodzi stopniowo przez wszystkie bolesne uczucia zamierania i wpada w letarg. Wszystkie obrazy życia jego przesuwają się kolejno przed oczyma jego wyobraźni, jak coś nierzeczywistego i świadomość jego ziemską staje się coraz bardziej zamgloną i rozpierchłą.

¹⁾ Archeologowie przez długi czas dopatrywali się w sarkofagu wielkiej piramidy w Gizie grobu króla Sezostrysa, na wiarę Herodota, który nie był wtajemniczonym i któremu kapłani egipscy powierzali jedynie opowieści ludowe oraz drobne fraszki. Królowie egipscy mieli groby swoje gdzieindziej. Dziwaczna budowa wewnętrzna piramidy świadczy, że musiała ona służyć jako miejsce obrzędów wtajemniczenia oraz tajemnych praktyk kapłanów Ozyrysa.

Odnaleźć w niej ma **Studnię Prawdy**, przez nas opisaną. schody, wiodące w górę, salę tajników... **Komnata** zwana **Królewska**, w której mieści się sarkofag, była tą właśnie, do której wprowadzano adepta w przeddzień wielkiego wtajemniczenia. Taka sama budowa cechowała wielkie świątynie środkowego i górnego Egiptu.

W miarę jednak jak czuje zamknięcie ciała, oddziela się część lotna jego osoby; wpada on w stan ekstazy...

Cóż to za punkcik jaśniejący, daleki ukazuje się za ledwie dostrzegalny na czarnym tle mroków? Zbliży się, potężnieje, staje się gwiazdą pięcioramienną, mieniającą się wszystkimi barwami tęczy i przebijającą mroki światłem magnetycznym. Teraz jest to już słońce, przyciągające go białością swojego ośrodka ognistego. —

Czy to czary mistrzów stwarzają tę wizję? Czy niewidzialne stało się widzialnym? Czy to zapowiedź prawdy niebiańskiej, płomiennej gwiazdy nadziei i nieśmiertelności? — Gwiazda niknie, a na miejscu jej rozwiera się pęk kwiatu na tle nocy, kwiatu bezcielesnego, ale wrażliwego i obdarzonego duszą. Rozwiera się on przed nim jak róża biała; rozchyła swoje płatki; widzi jak drgają żywe jej listki, jak różowi się kielich jej płomienny. — Czy to kwiat Izdy, mistyczna Róża mądrości, mieszcząca Miłość w sercu swoim? Ale oto ulatnia się ona jak opar wonny. I w tej samej chwili pogrążony w ekstazie czuje muskające go ciepłe tchnienie pieścizotliwe. Mgła zgęszcza się i przybiera kształty coraz wyraźniejsze, wreszcie staje się postacią ludzką.

To postać kobieca, Izys z świątyni tajemnej, ale młodszą, promieniejąca uśmiechem, świetlana. Zasłona przejrzysta spowija ją całą, a po przez tę zasłonę przeziera jaśniejące jej ciało. W ręku ma zwój papyrusu. Zbliży się zwolna, pochyla się nad wtajemniczonym, leżącym w grobie i mówi: „Jestem siostrą twoją niewidzialną, duszą twoją boską, a oto księga twojego życia. Zawiera ona karty pełne bytów twoich minionych i białe karty twoich bytów przyszłych. Przyjdzie dzień, w którym rozwinię je wszystkie przed tobą. Znasz mnie już teraz. Przywołaj mnie, a zjawię się!“ Kiedy wypowiedziała słowa te, promień miłości trysnął z jej oczu... O, słodka obecności anielskiego sobowtóra, niewypowiedziana zapowiedź boskości. cudowne zlanie się w nieuchwytnych zaświatach...

Nagle załamuje się wszystko, widzenie zaciera się. Cios straszliwy; adept czuje, że wtłoczony zostaje znów w swoje ciało, jak gdyby w trupa. Powraca do stanu świadomego letargu; pierścienie żelazne ściskają jego członki, straszliwy ciężar przytłacza jego mózg; budzi się i wi-

Gzi... ze stoi przed nim hierofanta w otoczeniu magów
Otaczają go, podają mu kordiał do picia; — wstaje.

— Zmartwychwstałeś — mówi prorok — chodź świę-
cić wraz z nami uroczystość wtajemniczonych i opowiedz
nam o wędrówce twojej ku światłu Ozyrysa. Bowiem je-
steś już odtąd jednym z naszych. —

Przenieśmy się teraz z hierofantą i nowym wtajemni-
czonym do obserwatorium świątyni, na tle ciepłych wspa-
niałości nocy egipskiej. Tam właśnie kapłan naczelny
udzielał niedawnemu adeptowi wielkiego wtajemniczenia,
opowiadając mu **widzenie Hermesa**.

Widzenie to nie było opisane na żadnym papyrusie.
Kreślone ono było znakami symbolicznymi na płytach
krypty tajemnej, znanej jedynie prorokowi. Jeden prorok
przekazywał ją drugiemu w opowieści ustnej.

— Słuchaj uważnie — mówił hierofanta — bowiem
w widzeniu tym zawarta jest wiekuista historia świata
i wszechrzeczy.

WIDZENIE HERMESA ¹⁾

Pewnego dnia zasnął Hermes po długich rozmyślaniach o początku wszechrzeczy. Ciężka drętwość oładnęła jego ciałem; w miarę wszakże, jak stawało się coraz o ciężalsze, duch jego wznosił się w przestworzach. Wydało mu się, że olbrzymia jakaś istota, nieokreślonego kształtu, wzywa go po imieniu.

— Kim jesteś? — zapytał Hermes przerażony. — Jestem Ozyrysem, Rozumem najwyższym i mogę odsłonić przed tobą wszystkie tajemnice. — Czego pragniesz? — Oglądać źródło istnień, o boski Ozyrysie: i poznać Boga. — Stanie się jak pragniesz.

W tej samej chwili uczył Hermes, że tonie w morzu rozkosznej jasności. W jej falach przejrzystych przepływały czarowne kształty wszystkich istnień. Lecz nagle spadły na niego ciemności przeraźliwe o dziwacznych kształtach pokręconych. Otoczył go chaos wilgotny pełen oparów i ryków ponurych. Równocześnie rozbrzmiał z głębi przepastnej jakiś głos. Był to **krzyk światła**. Zara-

¹⁾ **Widzenie Hermesa** stanowi początek księgi **Hermesa Trismegistosa** pod nazwą **Poemandres**. Starożytna tradycja egipska doszła do nas w zmienionej nieco przeróbce aleksandryjskiej.

Próbowałem odtworzyć zasadniczy ten fragment doktryny hermetycznej w znaczeniu najwyższego wtajemniczenia oraz syntezy ezoterycznej, jaką on przedstawia.

tem też z otchłami wilgotnych strzelił w górę, ku wyży-
nom eterycznym, cienki język ognia.

Hermes wznosił się wraz z nim i ujrzał się w prze-
stworzach. Chaos rozwikływał się w otchłami; konstelacje
gwiazd rozpalaly się nad jego głową, a głos światła wy-
pełniał nieskończoność.

— Czyś zrozumiał, co oglądałeś? — zapytał Ozyrys
Hermesa, spętanego w marzeniu swoim sennym i zawie-
szonego między ziemią a niebem.

— Nie — odparł Hermes.

— Dowiesz się za tym. Oglądałeś to, co trwa wieku-
ście. Światło, które widziałeś najspierw — to rozum
boski, zawierający w sobie zarodek wszechświata oraz
pratyty wszystkich istot. Mroki, w których byłeś pogrą-
żony — to świat materialny, w którym żyją istoty ziem-
skie, ludzie. Ale ogień, który w oczach twoich wytrysnął
z głębin — to **Słowo Bęże**. Bóg jest Ojcem, Słowo — Syn-
nem, ich połączenie — jest Życiem.

— Jakiż zmysł cudowny powstał we mnie? — rzekł
Hermes. Nie widzę już oczami ciała, ale oczami ducha.
Jak to się stało? — O, dziecię prochu — odpowiedział
Ozyrys — stało się tak, bowiem Słowo jest w tobie. Tym,
co słyszy w tobie, widzi i działa, jest słowo właśnie, ogień
święty, mowa twórcza!

— Skoro tak jest — rzekł Hermes — daj mi oglądać
życie światów, drogę dusz, z której przychodzi człowiek
i na którą wraca.

— Niech się stanie wedle woli twojej.

Hermes stał się ponownie cięższym niż kamień i spadł
po przez przestworza jak aerolit. Wreszcie ujrzał się na
szczycie góry. Panowała noc; ziemia ciemna była i naga;
członki jego ciążyły mu cłowiem.—Wzniesь oczy i patrz!—
usłyszał głos Ozyrysa.

Spojrzał Hermes i zobaczył widok cudowny. Prze-
stwór nieskończony, niebo gwiazdziste rozpinało nad nim
siedem sfer świetlnych. Jednym rzutem oka objął sie-
dem nieb, spiętrzonych nad jego głową, jak siedem kul
przejrzystych i koncentrycznych, w których ośrodku
świetlnym znajdował się on sam. Ostatnią z kul opasywa-
ła droga mleczna. W każdej sferze krążyła planeta, któ-
rej towarzyszył geniusz odmiennego kształtu, znaku

światła. Ośniony Hermes ogiądał ich gwiazdy rozsiane i ich ruchy majestatyczne; wtem usłyszał głos:

— Patrz, słuchaj i zrozum. Widzisz siedem sfer życia twojego. Po przez nie dokonywa się spadek dusz i wznoszenie się ich. Siedem geniuszów — to siedem promieni Słowa — Światła. Każdy z nich poszczególną rządzi sferą Ducha w pewnej fazie życia dusz. Najbliżej ciebie znajduje się geniusz Księżyca o niepokojącym uśmiechu, uwieńczony srebrnym sierpem. Kieruje on narodzinami i śmierciami. Wyzwala dusze z ciał i wciąga je w promień swojego światła. — Ponad nim blady Merkury wskazuje drogę duszom zstępującym lub wznoszącym się, dając znak łaską swoją, w której jest siedlisko Wiedzy. — Wyżej jaśnieje Wenus trzymająca zwierciadło miłości, w którym dusze z kolei zapominają o sobie i rozpoznają się. — Ponad nią Geniusz Słońca wznosi pochodnię zwycięską wiekuistego Piękna. — Jeszcze wyżej Mars mieczem Sprawiedliwości potrząsa. — Górujący nad całą sferą niebieską Jupiter dzierży berło władzy najwyższej, którą jest Rozum boski. — Na krańcach świata, pod znakami zodiaku, Saturn podtrzymuje glob mądrości wszechświata ¹⁾.

— Widzę — rzekł Hermes, — siedem sfer, obejmujących świat widzialny i niewidzialny; widzę siedem promieni Słowa-Światła, Boga jedyne, który je przenika i rządzi nimi za ich pomocą. Ale jak, o mistrzu mój, dokonywa się wędrówka ludzi po przez te światy?

— Czy widzisz — rzekł Ozyrys — ziarenka świetlane spadające ze sfery drogi mlecznej w głąb siódmej sfery? To zarodki dusz. Żyją one jak opary lekkie w sferze Saturna, szczęśliwe, beztroskie i nieświadome własnego szczęścia. Spadając ze sfery do sfery, przybierają coraz cięższą powłokę. W każdym wcieleniu zyskują nowy

¹⁾ Rozumie się że Bogowie ci inne nosili nazwy w języku egipskim. Ale siedem Bóstw kosmogonicznych ma odpowiedniki swoje we wszystkich mitologiach co do znaczenia swojego i swoich właściwości. Wspólnym ich źródłem jest starożytna tradycja ezoteryczna: Zachowujemy nazwy łacińskie, ponieważ utrzymała je tradycja zachodnia; czynimy to dla większej jasności.

Amysy cielesny, przystosowany do środowiska, które zamieszkuje. Ich energia żywotna wzrasta; w miarę wszakże wchodzenia ich w ciała coraz bardziej zwarte, tracą pamięć boskiego swego pochodzenia. Taką drogą dokonywa się upadek dusz, których kolebką jest Eter boski. Coraz bardziej pochłonięte przez materię, coraz bardziej upojone życiem, spadają one snopem iskier ognistych, doznając dreszczu rozkoszy poprzez sfery Bólu, Miłości i Śmierci — aż do ziemskiego swojego więzienia, w którym jęczysz ty sam, trzymany na uwieży przez płomienisty ośrodek ziemi i w którym życie boskie wydaje ci się marzeniem płonnym.

— Czy mogą dusze umierać? — pyta Hermes.

— Tak — odpowiada głos Ozyrysa — wiele z nich ginie podczas fatalnego upadku. Dusza jest córą niebios i wędrówka jej jest próbą, przez którą ona przechodzi. Jeśli w nieokiełzanym swoim ukochaniu materii traci ona pamięć swojego pochodzenia — iskra boża, która była w niej i która mogła rozblysnąć światłem od gwiazdy jaśniejszym, powraca do sfery eterycznej, jako atom bez życia — a dusza rozpada się w odmęcie ślepych żywiołów.

Na te słowa Ozyrysa zadrżał Hermes. Burza grzmiąca spowila go czarną chmurą. Siedem sfer znikło pod oparami gęstymi: dojrzał w nich widma ludzkie, wydające dziwne okrzyki, porywane i rozdzierane przez zjawy roztworów i zwierząt pośród niewypowiedzianych jęków, i złorzeczeń.

— Takim jest — rzekł Ozyrys — los dusz niepoprawnie niskich i złych. Ich udreka kończy się wraz z ich zagładą, którą jest utrata świadomości. Ale, patrz, mgły rozwiewają się, siedem sfer ukazuje się znów pod stronem. Spójrz w tę stronę. Czy widzisz rój dusz, który usiłuje wznieść się ku sferom księżycowym? Jedne z nich strącane są ku ziemi, jak roje ptaków przez gwałtowne poddmuchy burzy. Inne dostają się potężnym rozmachem skrzydeł do sfery wyższej, która wciąga je do swojego obiegu. Dostając się tam, odzyskują możliwość oglądania rzeczy boskich. Tym razem już jednak nie wystarcza im samo odbicie ich w bezwładnym śnie o szczęściu. Jasnowidzeniem świadomości, którą oświeca ból, pełnią siły woli zdobytej w walce, wchłaniają je w siebie. Stają się

świetlanymi, bowiem posiadają w sobie boskość i wypromieniowują w czynach swoich. Wzmocnij za tym duszę swoją, o Hermesie, i rozpogódź twój umysł przyćmiony. Rozjaśnij go oglądaniem tych dalekich wzlotów dusz, które wznoszą się do siedmiu sfer i rozpryskują się w nich niby snopy iskier. I ty bowiem podążyć możesz za nimi; wystarcza chcieć, aby wznieść się. Patrz, jak roją się one i zakreślają łuki boskie.

Każda tuli się pod skrzydła ulubionego geniusza swojego. Najpiękniejsze żyją w sferze słonecznej, najpotężniejsze wznoszą się do Saturna. Niektóre wznoszą się aż do Ojca, pomiędzy potęgą, gdyż same są potęgami. Albowiem tam, gdzie wszystko się kończy, wszystko wiekuście się rozpoczyna; i siedem sfer głosi równocześnie: „Mądrość! Miłość! Sprawiedliwość! Piękno! Wspaniałość! Wiedza! Nieśmiertelność“!

— Oto — zakończył hierofanta, co widział starożytny Hermes i co przekazali nam jego następcy. Słowa mędrca są jak siedem tonów liry, w których zawarta jest cała harmonia wraz z liczbami i prawami wszechświata. Widzenie Hermesa podobne jest do nieba gwiazdzistego, którego niezglębione otchłanie usiane są konstelacjami. Dla dziecka jest to tylko strop niebieski nabitý złotymi ćwiekami, dla mędrca — to bezmiar nieskończony, w którym krążą światy zdumiewająco rytmicznie i miarowo. Widzenie to obejmuje liczby wiekuiste, znaki tajemne i klucze czarnoksięskie. Im więcej nauczysz się wpatrywać w nie i im lepiej je będziesz rozumiał — tym bardziej nieskończonymi ci się wydadzą. Bowiem jedno i to samo prawo organiczne rządzi wszystkimi światami.

I prorok świątyni wyjaśniał tekst święty. Mówił, że doktryna Słowa-Światła wyobraża bóstwo w stanie statycznym, w doskonałej jego równowadze. Wykazywał trójstą jego naturę, która jest zarazem rozumem, siłą i materią; duchem, duszą i ciałem, światłem, słowem i życiem. Istota, objawienie i treść są trzema nazwami, z których każda każe się domyślać obu pozostałych. Związek ich stanowi podstawową zasadę boską i rozumową, prawo trójcy w jedności, rządzące wszechświatem.

Doprowadziwszy w ten sposób ucznia swojego do idealnego ośrodka wszechświata, do twórczej zasady By-

tu, rozwijał ją mistrz w czasie i przestrzeni, wykazywał jej wielorakie rozkwity. Druga bowiem część widzenia Hermesa przedstawia boskość w stanie dynamicznym, to znaczy w czynnym jej rozwoju, innymi słowy: wszechświat widzialny i niewidzialny, żyjące niebo. Siedem sfer związanych z siedmioma planetami symbolizowało siedem zasad, siedem różnych stanów, przez które każdy człowiek i każda społeczność przejść muszą, w ich ewolucji poprzez system słoneczny. Siedem Geniuszów, czyli siedem Bóstw kosmogonicznych oznaczały duchy wyższe, kierujące wszystkimi sferami, które same wzięły początek z niezmiennej zasady ewolucji. Każdy wielki Bóg był więc dla starożytnego wtajemniczonego symbolem i kierownikiem legionów duchów, odtwarzających prawzór jego w tysiącznych odmianach i mogących, w zakresie swojej władzy, wywierać wpływ na ludzi i na rzeczy ziemskie. Siedem Geniuszów widzenia Hermesa — to siedem Dew Indii, siedem Amshapand Persji, siedmiu wielkich Aniołów chaldejskich, siedmiu Sefirotów (serafów)¹⁾ Kabały, siedmiu Archaniołów Apokalipsy chrześcijańskiej. Wielka siedmiorakość, ogarniająca wszechświat ujawnia się nie tylko w siedmiu barwach tęczy, w siedmiu tonach gamy, objawia się też ona w ustroju człowieka, który jest trojnym w swej istocie, ale siedmiorakim w swoim rozwoju²⁾.

— „Dotarłeś za tym — kończył hierofanta — do progu wielkiej tajemnicy. Życie boskie ukazało ci się w postaci mar rzeczywistości. Hermes zapoznał cię z niebem niewidzialnym, ze światłem Ozyrysa, z ukrytym Bogiem

1) Jest to 10 Sefirotów w Kabale. Pierwsze trzy wyobrażają boską trójcę, siedem pozostałych — rozwój wszechświata.

2) Damy tutaj nazwy egipskie tego siedmiorakiego ustroju człowieka, powtarzającego się w Kabale: **Chat** — ciało materialne, **Aneh** — siła żywotna, **Ka** — ciało astralne, **Hafi** — dusza zwierzęca i **Bai** — dusza rozumowa, **Cheybi** — dusza duchowa, **Kon** — duch boski, odpowiadający greckiemu.

Rozpatrzenie tych idei podstawowych doktryny ezoterycznej znajdziemy w księdze **Orfeusza**, a zwłaszcza u **Pytagorasa**.

wszecchwiała, żyjącym w milionach dusz, tainącym życie w głoby błukające się i w ciała będące w okresie kształtowania się. Twoją jest teraz rzeczą, jaką masz obrać drogę, aby wznieść się do Ducha czystego. Od tej chwili bowiem należysz do żywych zmarłychwstałych. Pamiętaj, że dwa są zasadnicze klucze wiedzy: „Strona zewnętrzna jest równa wewnętrznej; małe jest takie, jak wielkie; istnieje jedno tylko prawo, a ten, kto tworzy, jest Jeden. Nie ma nic małego, ani nic dużego w harmonii boskiej. — To jest klucz pierwszy. A oto drugi: „Ludzie są bogami śmiertelnymi, a bogowie nieśmiertelnymi ludźmi“. Szczęśliwy, kto rozumie te słowa, bowiem posiada klucz wszechrzeczy. Pomnij, że prawo tajemnicy osłania wielką prawdę. Wiedza zupełna może być wyjawiona tym jedynie braciom naszym, którzy przeszli przez te same próby, przez jakie my przeszliśmy. Należy odmierzać prawdę wedle intelektów, osłaniać ją wobec słabych, których mogłaby ona przyprawić o szal, ukryć ją przed złymi, którzy są w stanie pochwycić jedynie ułamki jej i obrócić je w narzędzia rozkładu. Zamknij ją w sercu twoim i niech przemawia ona przez dzieła twoje. Wiedza będzie siłą twoją, wiara — twoim mieczem, a milczenie — zbroją twoją nieprzeniknioną“.

Wyjawiania proroka Ammon-Râ, otwierające przed świeżo wtajemniczonym tak szerokie widnokregi w głębi własnej jego duszy i we wszecchwiecie, wywierały niewątpliwie głębokie wrażenie, zwłaszcza że czynione one były w obserwatorium świątyni Tebańskiej, wśród jasnej ciszy nocy egipskiej. U stóp jego, pośród kęp kaktusów i drzew daktylowych, uspięne były pilony portyków wchodowych kształtu wieczowego, dachy i białe tarasy świątyni. W oddali wielkie monolity¹⁾, olbrzymie posągi Bogów, obsiadły ciche jeziora niby sędziowie nieprzedajni. Trzy piramidy, geometryczne figury czworościenności i świętej siedmiokrotności ginęły na widnokregu, zatracając zarysy trójkątów swoich w lekkiej szarości powietrza. Nieprzenikniony strop nieba skrzył się gwiazdami. Jakimiż nowymi oczami patrzył na te gwiazdy, które mu

¹⁾ monolity — obeliski lub kolumny, wykute z jednej bryły kamiennej.

przedstawione jako przysięgę jego siedliska. Kiedy wreszcie złoty sierp księżycy wynurzył się z ciemnego zwierciadła Nilu, niknącego na widnokręgu niby długi sinawy wąż, wydało mu się, że widzi barcę Izydy, żeglującą po strumieniu i unoszącą ją ku słońcu Ozyrysa. Przypomniał sobie Księgę Zmarłych i odsłaniać mu się zaczęło znacznie wszystkich owych symbolów. Po tym, co widział i czego się dowiedział, mogło mu się zdawać, że jest w mrocznym państwie Amentów¹⁾, w tajemniczym czyścicu pomiędzy życiem ziemskim a niebiańskim, w którym zmarli, zrazu niemi i ślepi, odzyskują stopniowo mowę i wzrok. I on też udać się miał w wielką drogę, rozpocząć wędrówkę w nieskończoność, po przez światy i byty. Hermes rozgrzeszył go już i uważał za godnego jej. Wyjawiał mu słowo wielkiej zagadki: „Jedna jedyna dusza, wielka dusza Wszystkiego zrodziła, mnożąc się, wszystkie dusze, krążące we wszechświecie“.

Zbrojny w wielką tajemnicę, siadał do barki Izydy. Odpływała ona. Wzniesiona w przestworza eteru, płynęła w sferach międzygwiazdowych. Szerokie promienie niezmierzonej jutrzynki przebijały już błękitne osłony widnokręgów nieba, już chór duchów, sławiących Akhima-Seku, którzy zyskali spoczynek wiekuisty, śpiewał: „Pozostań o, Ammonie Ra Hermakuti! Słońce duchów! Ci, którzy są, znajdują się w twojej barce, w najwyższym są uniesieniu! Wydają okrzyki w barce tysiącoleci. Wielki krąg boski uszczęśliwiony jest głoszeniem chwały wielkiej barki, świętej. Uroczystości radosne odbywają się w tajemniczej świątyni. O, powstań, Ammonie Ra Hermakuti! Słońce, które tworzy się samo!

A wtajemniczony odpowiadał dumnymi słowami: „Dotarłem do krainy prawdy i łaski bożej, czyniącej ludzi sprawiedliwymi. Zmartwychwstaję jak Bóg żyjący i promienieję w chórze Bogów, zamieszkujących niebo, bo wiem jestem z ich rodu“.

¹⁾ Amentis — dosłownie ukrywający, u Egipcjan piekło, grecki Hades, Amentis odprowadzał dusze, wylatujące ustami, w kształcie ptaka, z ciała ludzkiego przed tron Ozyrysa, który wraz z 42 sędziami wyrokował o czynach nieboszczyków.

Mysli tak dumne i tak śmiałe nadzieje mogły powstać w duszy adepta w nocne godziny po mistycznym obchodzie zmartwychwstania. Nazajutrz, w alejach, wiodących do świątyni, w oslepiającym świetle dnia, noc ta zdawała mu się sennym już tylko marzeniem. Ale jak niezapomnianym marzeniem była pierwsza ta wędrówka w krainę nieuchwytną i niewidzialną. Odczytywał ponownie napis na posągu Izydy: „Żaden śmiertelny nie uniósł mojej zasłony“. A przecież uchylił się rąbek zasłony, co prawda, aby znów opaść, po czym zbudził się on na ziemi grobowców. O, jakże dalekim był jeszcze od celu wymarzonego! Długa jest bowiem droga na **barce tysiąceleci!** Dane mu było przynajmniej ujrzeć cel ostateczny. Choćby nawet widzenie jego miało być sennym jedynie marzeniem, dziecięcym wzlotem wyobraźni, przyćmionej jeszcze oparami ziemskimi, czyż mógł żywić wątpliwość co do innego owego uświadomienia, które zbudziło się w głębi jego duszy? co do tajemniczego owego **sobowtóra**, tej jaźni niebiańskiej, która ukazała mu się w pięknie swoim promiennym, niby kształt żywy i która przemawiała do niego we śnie. Czy była to dusza siostrzana, czy może geniusz jego, a może tylko odbłask jego ducha, przeczucie jego bytu przyszłego? Cud i tajemnica. Niewątpliwie, była to rzeczywistość, a jeśli dusza ta była tylko własną jego duszą, była duszą prawdziwą. Wszystko uczyni, aby ją odnaleźć! Gdyby żyć miał miliony lat, nie zapomni tej boskiej godziny, w której dane mu było widzieć właściwą jaźń swoją, czystą i promienną¹⁾.

Wtajemniczenie zostało dokonane. Adept wyświęcony został na kapłana Ozyrysa. Jeśli był Egipcjaninem, pozostawał przy świątyni; jeśli zaś cudzoziemcem, pozwalano mu w pewnych wypadkach wracać do swojego kraju celem wprowadzenia tam kultu lub też wypełnienia jakiejś misji. Zanim wszakże opuszczał świątynię, uroczyście

¹⁾ W myśl doktryny egipskiej człowiek w życiu doczesnym miał jedynie świadomość duszy zwierzęcej i duszy rozumowej, zwanych **hati** i **baï**. Część wyższa jego istoty, dusza duchowa i duch boski, **cheybi** i **kou** istnieją w nim w stanie nieświadomego zarodka i rozwijają się w życiu pozaziemskim, kiedy on sam staje się **Ozyrysem**.

przysięgał jak najgroźniejszymi zaklęciami, że zachowa bezwzględne milczenie w sprawie jej tajemnic. Nie wolno mu było nigdy i przed nikim zdradzić tego, co widział i słyszał, ani też wyjawić doktryny Ozyrysa inaczej jak pod potrójną osłoną symbolów mitologicznych lub tajników. Gdyby złamać miał tę przysięgę, śmierć nieuchronna spotkałaby go wcześniej czy później, gdziekolwiek znajdowałby się. Milczenie natomiast stawało się puklerzem jego siły.

Po powrocie na wybrzeża Johii, do gwarne go miasta, zrażony gwałtownymi namiętnościami, błakający się pośród ciżby ludzi, którzy żyją jak opętanci, nieświadomi własnej swojej istoty — powracał często myślą do Egiptu — do piramid, do świątyni Ammon-Râ. Pamięć jego wskrzeszała wówczas widzenie w krypcie. I jak tam, w Egipcie, kwiat lotosu kołysze się na wodach Nilu, tak samo unosiła się wizja ta biała ponad bagnistym, odurzającym strumieniem życia ziemskiego. W chwilach wyjątkowych słyszał głos jej, a był to głos światła. Wyczarowując w duszy jego harmonię mistyczną, mówił mu głos ten: „Dusza jest przysłoniętym światłem. Zaniedbywana przyćmiewa się i gaśnie, namaszczonej wszakże świętymi olejami miłości, rozpała się i płonie jak lampa nieśmiertelna“.



KSIĘGA CZWARTA
M O J Ź E S Z
POŚLANNICTWO IZRAELA

Nic istniało dla niego nic osłoniętego, nic, co okrywałoby zasłoną istotę wszystkiego, co widział.

(Napis pod posągami Ptahmera, arcykapłana świątyni w Memfis — Muzeum Luwru).

Najtrudniejsza i najbardziej zawiła z ksiąg świętych, Genesis, tyleż zawiera tajemnic, ile wyrazów, a każdy wyraz kryje ich kilka.

Stę Hieronim.

Dziecię przeszłości, zapowiedź przyszłości, księga ta (dziesięć pierwszych rozdziałów księgi Rodzaju) spudkobierczymi całej wiedzy Egipcjan, nosi ponadto w łonie swym zadatki przyszłych nauk. — Wszystko, co przyroda ma najgłębszego i najbardziej tajemniczego, co rozum jest w stanie ogarnąć z cudów, co intelekt posiada najwznioślejszego — wszystko to zawarte jest w tej księdze.

Fabre d'Olivet. „Odtworzony język hebrajski“ (Rozprawa wstępna).

I

TRADYCJA JEDNOBÓSTWA I PATRIARCHOWIE PUSTYNI.

Objawienie jest tak stare jak świadomość ludzka. Jest ono wynikiem natchnienia i sięga zamierzchłej przeszłości. Wystarczy jeden badawczy rzut oka na księgi święte Iranu, Indii i Egiptu, aby nabrać przekonania, że myśli podstawowe doktryny ezoterycznej stanowią ukrytą, ale niemniej żywą ich treść. Żyje w nich dusza niewidzialna, podstawa twórcza wielkich tych religii. Wszystkim prorokom potężnym dane było w pewnym momencie ich życia widzieć promieniowanie prawdy ośrodkowej; ale światło, które z niej wyprowadzali, załamywało się i zabarwiało zależnie od geniusza ich i ich posłannictwa, zależnie od czasu i środowiska. Przeszliśmy przez wtajemniczenie aryjskie wraz z Ramą, bramińskie — z Kryszną, Izidy i Ozyrysa — z kapłanami Tebańskimi. Czy moglibyśmy wobec tego zaprzeczyć, że braminom i kapłanom boga Ammon-Râ nie była znana zasada duchowa Boga najwyższego, stanowiąca główny dogmat jednobóstwa i jedności przyrody? Niewątpliwie, nie przypuszczali oni, aby świat zrodził się od razu, jako wynik dzieła chwili czy kaprysu bóstwa, jak to wyobrażali sobie pierwotni nasi teologowie. Naukowo, stopniowo, drogą wylaniania się i rozwoju, wyprowadzali świat widomy z niewidzialnego, wszechświat z niezbadanych głębin Boga. Pierwotna jedność rodziła dualizm męski i żeński, twórcza dwoistość — żywą trójcę człowieka i wszechświata i tak dalej. Liczby święte tworzyły słowo wiekuiste, rytm i narzędzie bosko-

sci. Badane z większą lub mniejszą siłą i jasnością poglądu, wywoływały w umyśle wtajemniczonego pojęcie o budowie wewnętrznej świata na zasadzie zrozumienia własnego ustroju duchowego. W podobny sposób ten właściwy, wydobyty za pomocą uderzenia smyczkiem o płytę szklaną pokrytą piaskiem, rysuje na niej w drobnych rozmiarach — harmonijne formy drgań, napełniających dźwiękowymi swoimi falami rozległe państwo powietrza.

Monoteizm ezoteryczny Egiptu nie wyszedł jednak nigdy poza progi świątyni. Jego nauka święta pozostała przywilejem nielicznej mniejszości. Nieprzyjaciele zewnętrzni kruszyć zaczęli starożytną warownię kultury. W okresie, do którego doszliśmy, w XII w. przed Chr. grzęzła Azja w kulcie materii. Indie chyliły się już szybko ku upadkowi. Na brzegach Eufratu i Tygrysu powstało potężne państwo. Babilon, miasto potwornych rozmiarów, oszałamiało swoją kolosalnością ludy koczownicze, wałęsające się dokoła niego.

Królowie asyryjscy głosili, że są władcami czterech stron świata i dążyli do wykreślenia granic państwa swego tam, gdzie kończy się ziemia. Miażdżyli narody, pędzili je masowo na wygnanie, wcielali do swoich armii i podburzali jedne przeciw drugim. Lekceważenie praw ludzkich, brak poszanowania jednostki były głębokie, ale znacznie mniej czyste, mniej wzniosłe i mniej owocne niż kapłanów egipskich. W Egipcie nauka cieszyła się najwyższym autorytetem. Kapłaństwo wywierało tam zawsze wpływ hamujący na władzę królewską. Faraonowie pozostawali uczniami kapłanów i nie doszli nigdy do tak ohydneho despotyzmu, jaki cechował królów Babilonu, gdzie — wprost przeciwnie — pokonane kapłaństwo było od początku jedynie narzędziem tyranii. Na jednej z płaskorzeźb Niniwy widać Nemroda, przysadzystego olbrzyma, który rozdziera muskularnym swym ramieniem młodego lwa, trzymanego w mocnym uścisku. Żywy to symbol: w ten właśnie sposób zdusili monarchowie asyryjscy lwa irańskiego, bohaterski naród Zoroastra, wyrzynając jego arcykapłanów i towarzyszy ich — magów, przekupując jego królów. O ile rishi Indyjscy i kapłani egipscy wprowadzili do pewnego stopnia rządu Opatrzności na ziemi dzięki swojej mądrości, rzec można, iż rządy baby-

łońskie były panowaniem Losu, zatem brutalnej i ślepej siły. Babilon stał się w ten sposób tyrańskim środowiskiem anarchii powszechnej, nieruchomym okiem zawie-ruchy społecznej, ogarniającej Azję; potężnym okiem Lo-su, zawsze otwartym, czyhającym na narody, aby je po-zreć.

Jakże mógł Egipt przeciwstawić się temu potokowi zachłannemu? Omal nie pochłonęli go już Hyksosi. Opie-rał się bohatercko, nie mogło to jednak trwać wiecznie. Po upływie sześciu wieków nawałnica perska, która na-stąpiła po cyklonie babilońskim, zmieść miała z oblicza ziemi jego świątynie i jego faraonów. Zresztą Egipt, po-siadający w najwyższym stopniu geniusz wtajemniczenia w arkana tajników i utrzymywania duchowych dóbr na-bytych, nie miał nigdy ducha prężności i propagandy. Miałyż więc zagańąć wszystkie nagromadzone przezeń skarby jego wiedzy? Znaczna część niewątpliwie została zagrzebana i szkole Aleksandryjskiej udało się wydostać szczątki ich zaledwie. Dwa wszakże narody, różniące się zupełnie rodzajem swoich umysłowości, rozpały w ich świątyniach pochodnie swoje o promieniach odmiennych, z których jedna oświetla głębie nieba, a druga oświetla i przekształca ziemię: Izrael i Grecja.

Doniosłe znaczenie narodu izraelskiego dla historii ludzkości uderza na pierwszy rzut oka z dwóch przyczyn. Po pierwsze dlatego, że uosabia on monoteizm; po drugie, że dał początek chrystianizmowi. Opatrznościowy jednak cel posłannictwa Izraela jasnym się staje dla tych jedy-nie, którzy, badając symbole Starego i Nowego Testa-mentu, spostrzegają, że mieści się w nich cała tradycja ezoteryczna przeszłości, jakkolwiek w formie często zmie-nionej — zwłaszcza o ile dotyczy to Starego Testamen-tu — przez licznych redaktorów i tłumaczy, z których większości obce było ich znaczenie pierwotne. Wówczas dopiero jasną się staje rola Izraela. Naród ten stanowi również ogniwa konieczne pomiędzy starym a nowym cy-klem, pomiędzy Wschodem a Zachodem.

Wynikiem idei jednobóstwa jest zjednoczenie ludzko-ści pod skrzydłami jednego Boga, oraz jednego i tego sa-mego prawa. Dopóki jednak teologie tworzyć sobie będą dziecinne pojęcie o Bogu, a ludzie nauki będą go zapozna-

wali lub wprost przeczyli jego istnieniu, jedność moralna, społeczna i religijna na naszej planecie pozostanie jedynie pobożnym życzeniem lub też postulatem nauki i religii, niemożliwym do ziszczenia. Możliwą natomiast wyda się ona wówczas tylko, kiedy zasada boska uznana zostanie ezoterycznie i naukowo za klucz świata i życia człowieka i społeczeństwa w ich rozwoju.

Chryścianizm wreszcie, to znaczy religia Chrystusa, ukaże nam się wówczas tylko w całej swojej wzniosłości i powszechności, kiedy ujawni on nam swoją treść ezoteryczną. Wówczas dopiero pokaże się, że jest on wynikiem wszystkiego, co go poprzedza, jako mieszczący w sobie zasady, cele i środki całkowitego odrodzenia ludzkości. Zatem wówczas dopiero, kiedy chrystianizm odsłoni przed nami najgłębsze swoje tajniki, stanie się on tym, czym jest istotnie: religią zapowiedzi i ziszczenia ich, to znaczy wtajemniczenia powszechnego.

Mojżesz, wtajemniczony egipski i kapłan Ozyrysa, był niewątpliwie twórcą monoteizmu. Dzięki niemu zasada ta, ukryta dotychczas pod potrójną zasłoną tajemnicy, wyszła z głębin świątyni, aby wejść w krąg historii. Mojżesz zdobył się na odwagę uczynienia z najwyższej zasady wtajemniczania wyłącznego dogmat religii narodowej, a zarazem był o tyle przezornym, że wyjawiał konsekwencję tego nielicznym tylko wtajemniczonym, zaś masom narzucił je siłą grozy. Rzecz oczywista, że kierował w tym względzie prorokiem z góry Synaj względ szerszy, branie pod uwagę widnokręgów znacznie dalszych, niż przeznaczenie własnego jego narodu. Prawdziwym posłannictwem Izraela, z którego niewielu Żydów — poza największymi jego prorokami — zdawało sobie sprawę, było stworzenie powszechnej religii ludzkości. Ażeby posłannictwo to mogło zostać spełnione, musiał być pochłonięty naród, który je uosabiał. Naród żydowski został rozproszony, unicestwiony. Idea Mojżesza i Proroków ostała się i spotęgowała.

Rozwinięta i przekształcona przez chrystianizm, ponowiona przez mahometanizm, jakkolwiek w postaci mniej podniosłej, musiała ona z konieczności narzucić się barbarzyńskiemu Zachodowi, wyrzucić wpływ na Azję nawet. Odtąd już ludzkość nie będzie miała przed sobą innej dro-

gi, chociażby burzyć się miała i walczyć z samą sobą wysiłkami konwulsyjnymi; zawsze będzie ona krążyła dookoła tej idei ośrodkowej, jak mgławica dookoła słońca, które je wytwarza. Na tym polega wiekopomne dzieło Mojżesza.

Dla urzeczywistnienia tego przedsięwzięcia, najpotężniejszego od czasów przedhistorycznej wędrówki Ariów, znaleźli Mojżesz gotowe już narzędzie w plemionach Hebrajczyków, w tych zwłaszcza, które osiedliwszy się w Egipcie, w dolinie Goshen, żyły tu w stanie zawisłości pod nazwą Beni-Jakobów. Miał on też w swoim dziele ustanowienia jednobóstwa poprzedników w osobach koczowniczych królów pokojowych, których przedstawia nam Biblia pod mianem patriarchów: Abrahama, Izaaka i Jakuba.

Przyjrzyjmy się tym Hebrajczykom i tym patriarchom. Postaramy się uwypuklić postać wielkiego ich Proroka na tle mirażów pustyni i ciemnych nocy na górze Synaj, wśród których rozlega się ryk gromów legendarnego Jehowy.

Znano ich już od wieków, od tysięcy lat, tych Ibrim, tych koczowników niestrudzonych, tych wiecznych wygnańców¹⁾. Hebrejowie, pobratymcy Arabów, stanowili, jak wszyscy Semici, produkt dawnego zmieszania rasy białej z rasą czarną. Przeciągali oni wielokrotnie przez północną część Afryki pod mianem Bedonów (Beduinów), ludzi bez dachu i bez łoża, po czym rozbijali namioty swoje w rozległych pustyniach, pomiędzy morzem Czerwonym i zatoką Perską, pomiędzy Eufratem i Palestyną. Ammonici, Elamici czy Edomici — wszyscy ci koczownicy podobni byli wzajem do siebie. Za środek przewozowy służył wszystkim osioł lub wielbłąd, za mieszkanie — namiot, jedynym ich majątkiem były stada, blakające się jak oni sami i pasące się stale na cudzej ziemi. Niepodległe plemiona te żywiły wstręt — podobnie jak przodkowie ich, Ghiborim, jak pierwotni Celtowie — do ciosanego kamienia, do miast obronnych, do pańszczyzny i do kamiennych świątyń. Mimo to jednak wywierały olbrzy-

¹⁾ Ibrim znaczy „ci z tamtej strony, ci stamtąd, ci którzy przeszli przez rzekę“. — Renan, Historia narodu Izraelskiego.

mie miasta: Babilon i Niniwa, kolosalnymi pałacami i tajemnicami, urok nieodparty na tych nawpół dzikich ludzi. Wciągnięci do tych więzień kamiennych, chwytni przez żołnierzy królów asyryjskich, wtłaczani przemocą do ich szeregów, upajali się czasem orgiami babilońskimi. Czasem też uwodziły Izraelitów Moabitanki, śmiałe te czarnoskóre kusicielki o oczach błyszczących jak gwiazdy. Pociągały ich one do oddawania czci bożkom ciosanym z kamienia i drzewa, a nawet do uprawiania straszliwego kultu Molocha. Nagle jednak budziła się w nich tęsknota za pustynią i wówczas uciekali. Wracając do dzikich swoich dolin, w których słyhać było jedynie ryk dzikich zwierząt, do nieskończonych płaszczyn, w których kierować się mogli jedynie światłem konstelacji, pod zimnym okiem tych gwiazd, wielbionych przez ich przodków, wstydzili się samych siebie. A jeśli w takich chwilach patriarcha, człowiek natchniony, mówił im o Bogu jedynym, o Elelionie, Aelohimie, Sebaocie, Panu zastępów, który widzi wszystko i karze winowajców, dorosłe te, dzikie i krewkie dzieci chyliły głowy i, klękając do modłów, pozwalały kierować sobą jak owieczki.

Powoli też idea wielkiego Aelohima, Boga jedynego, wszechmocnego, wypełniła dusze ich, jak w Padan-Harranie zmierzch zacierają wszystkie nierówności gruntu i niezmierzonej linii widnokregu, zatapiając barwy i odległości we wspaniałej jednostajności stropu i przetwarzając wszechświat w jednolite morze ciemności, nad którym rozpostarte jest usiane gwiazdami niebo.

Któż to byli owi patriarchowie? Abram, Abraham, czyli ojciec Orham, był królem Uru, miasta chaldejskiego, położonego blisko Babilonu. Asyryjczycy przedstawiali go zgodnie z tradycją — w pozycji siedzącej z miną dobrotliwą¹⁾. Ta prastara postać występująca w dziejach mitologicznych wszystkich narodów, bowiem cytowana przez Owidiusa²⁾ jest tą samą, o której mówi Biblia, że wędrowała z kraju Ur do ziemi Chanaanickiej, posłuszna gło-

1) Renan: „Naród Izraelski“.

2) *Rexit Achaemenias pater Orchamus, isque. Septimus a prisco numeratur origine Belo.*
Vide: *Metam.* IV. 212.

sowi Przedwiecznego: „Wiekuisty ukazał mu się i rzekł. Jestem bogiem silnym, wszechmocnym. Krocź w prawości przed obliczem moim... Ustanowię przymierze pomiędzy mną a tobą i pomiędzy potomstwem twoim, aby było przymierzem wiekuistym, ażebym był Bogiem twoim i Bogiem potomstwa twojego po tobie“ (Genesis, XVI, 17. XVII, 7).

Ustęp ten, przełożony na język współczesny, oznacza, że wielce starożytny wódz semicki, imieniem Abraham, który, jak się zdaje, otrzymać musiał wtajemniczenie z rąk kapłanów chaldejskich, uczuł, że głos wewnętrzny każe mu wieść plemię swoje na Zachód i nakazuje mu cześć dla Aelohima.

Pierwsza sylaba Is imienia Izaaka, zdaje się wskazywać na wtajemniczenie egipskie, natomiast imię Jakuba i Józefa pozwala przypuszczać pochodzenie fenickie. Prawdopodobne jest bądź co bądź, że ci trzej patriarchowie byli trzema wodzami odrębnych ludów, żyjących w różnych, odległych od siebie epokach. Już znacznie po Mojżeszu złączyła ich legenda izraelska w jedną rodzinę. Z Izaaka zrobiono syna Abrahama, z Jakuba syna Izaaka. Ten sposób symbolizowania ojcostwa duchowego przez ojcostwo fizyczne bardzo był rozpowszechniony u kapłanów starożytnych. Z legendarnej tej genealogii jeden zasadniczy daje się wysnuć wniosek: ciągłość kultu mono-teistycznego poprzez wtajemniczonych patriarchów pustyni. Fakt, że ludźmi tymi kierowały głosy wewnętrzne ostrzegawcze, lub, że miewali oni objawienia duchowe w postaci snów, a nawet widzeń na jawie, nie przeczy bynajmniej nauce ezoterycznej, ani powszechnemu prawu psychicznemu, które rządzi duszami i światami. Fakty te przybrały w opowieści biblijnej naiwną formę odwiedzin aniołów, których gości się pod namiotem.

Czy patriarchowie ci mieli głębsze pojęcie o duchowości Boga i o celach religijnych ludzkości? Niewątpliwie. Niedorastając wiedzą pozytywną do poziomu magów chaldejskich i kapłanów egipskich, przewyższyli ich prawdopodobnie podniosłością moralną i szerokością poglądów. będącą wynikiem wolnego życia koczowniczego. Boskiemu porządkowi, jaki zaprowadził Aelohim we wszechświecie, odpowiada u nich ustrój społeczny, oparty na

kulcie rodzinnym, na szacunku dla kobiet, na gotącej miłości dla synów, na rozciąganiu opieki nad całym pokoleniem, na gościnności dla obcych. Słowem „wysocy ci ojcowie“ są naturalnymi rozjemcami pomiędzy rodziną a pokoleniem. Laska ich patriarchy jest berłem sprawiedliwości. Wywierają wpływ cywilizacyjny i tętną dobrocią i pokojem. Tu i owdzie, poprzez legendę o patriarchach przeziara myśl ezoteryczna. Tak np., kiedy w Bethel widzi Jakub we śnie drabinę z Aelohimem u szczytu i aniołami wchodzącymi na jej stopnie i schodzącymi z nich, poznać można w tym widzeniu spopularyzowaną, streszczoną judejską formę widzenia Hermesa i doktryny ewolucji dusz wznoszących się do sfer niebieskich i opadających z nich.

Dwa wersety biblijne ujawniają nam fakt dziejowy wielkiej doniosłości. Mowa w nich o spotkaniu Abrahama z towarzyszem wtajemniczenia. Po zwyciężeniu królów Sodomy i Gomorrhę, udaje się Abraham do Melchisedeka, aby mu złożyć hołd. Miejscem zamieszkania tego króla jest twierdza, która stanie się w następstwie Jerozolimą. „Melchisedek, król Salemu, kazał przynieść chleb i wino. Albowiem był on ofiarnikiem Aelohima, Boga najwyższego. Błogosławi on Abrahama, mówiąc: „Błogosławiony Abram od Boga najwyższego, dzierżawcy nieba i ziemi“ (Gen. XIV, 18-19). Król Salemu jest więc arcykapłanem tego samego Boga, co Abraham, który widzi w nim zwierzchnika, mistrza i dzieli z nim chleb i wino w imię Aelohima, co w dawnym Egipcie było znakiem wzajemnego obcowania wtajemniczonych. Istniał zatem węzeł braterstwa, oznaki rozpoznawcze oraz cel wspólny, łączące wielbicieli Aelohima zamieszkałych w głębi Chaldei i w Palestynie, a może nawet i w niektórych świątyniach Egiptu. To sprzysiężenie monoteistyczne czekało już tylko na swego organizatora.

Tak więc pomiędzy skrzydlatym Bykiem asyryjskim i Sfinksem egipskim, czuwającym z dala nad pustynią, pomiędzy miażdżącą tyranią i nieprzenikniętą tajemnicą inicjacji, posuwają się naprzód wybrane pokolenia Abrahmitów, Jakobelitów i Beni-Izraelitów. Uciekają one od wyzdzanych uczt babilońskich, przechodzą obok orgii Moabit. potworności Sodomy i Gomorrhę i ohydnych kul-

tu Baala, odwracając się od nich ze wstrętem. Pod opieką patriarchów idzie karawana drogą, opromienioną tu i owdzie oazami, znaczoną nielicznymi źródłami i wątlými palmami. Wije się ona długą, zanikającą wstęgą w bezkresie pustyni, w palących promieniach światła dziennego, w purpurze zachodu lub pod płaszczem zmierzchu, a nad wszystkim tym króluje Aelohim. Ani stada, ani kobiety, ani starcy nie znają celu nieskończonej wędrówki. Idą mimo to posłusznym i bezwolnym krokiem wielbłądów. Dokąd idą tak nieustannie? Patriarchowie wiedzą; powie im to Mojżesz.

II

WTAJEMNICZENIE MOJŻESZA W EGIPCIE — UCIECZKA JEGO DO JETRY

Ramzes II był jednym z wielkich władców Egiptu. Syn jego nosił imię Menefty. Zwyczajem egipskim kształcili go kapłani w świątyni Ammon-Râ, w Memfisie, bowiem sztuka panowania uważana była w owym czasie za część sztuki kapłańskiej. Menefta był młodzieńcem skromnym, ciekawym, o miernej inteligencji. Jego pociąg do nauk tajemnych był dość niskiego gatunku, wskutek czego stał się on w następstwie ofiarą czarowników i astrologów pośledniego stopnia. — Jego towarzyszem nauk był młodzieniec o silnej umysłowości, o charakterze dziwnym i zamkniętym w sobie.

Hozarsyf¹⁾ był kuzynem Menefty, synem księżniczki rodu królewskiego, siostry Ramzesa II. Czy był to syn przybrany czy naturalny? — niepodobna tego dociec²⁾.

¹⁾ Pierwsze imię Mojżesza (Manethon cytowany przez Filona).

²⁾ W opowieści biblijnej (Exod. II, 1-10) występuje Mojżesz jako Żyd z pokolenia Lewi, znaleziony i przybrany przez córkę Faraona w sitowiu Nilu, gdzie podstęp matki złożył go celem znięczenia serca księżniczki i uratowania dziecka od prześladowania, przypominającego Herodowe. Manethon natomiast, kapłan egipski, któremu zawdzięczamy objaśnienia najdokładniejsze w sprawie dynastii Faraonów, potwierdzo-

Hozarsyf był nade wszystko synem świątyni, wzrósł bowiem pomiędzy jej kolumnami. Poświęcony przez matkę bogini Izydzie, nosił już w wieku młodzieńczym szaty kapłańskie i w takim charakterze występował na koronacji faraona, a w procesjach kapłańskich podczas wielkich uroczystości miał na sobie pas kapłański, a w ręku kielich lub kadzielnicę; potem, wewnątrz świątyni, poważny i skupiony, wsłuchany był w hymny święte lub w nauki kapłanów.

Był niskiego wzrostu, miał wygląd pokorny i zamysłony; spod wielkiego czoła patrzyły przenikliwie czarne oczy o orlej bystrości i niepokojącej głębi. Nazywano go „milczącym“, tak był zamknięty w sobie, prawie zawsze niemy. Często jękał się mówiąc, jak gdyby szukał wyrazów lub jak gdyby obawiał się wyjawić swoje myśli. Wydawał się nieśmiałym. Potem nagle wybuchała w jednym słowie, jak błysk gromu, myśl jakaś przerażająca, pozostawiając poza sobą smugę światła. Rozumiano wówczas, że jeśli „milczący“ weźmie się kiedykolwiek do dzieła, uczyni to ze straszliwą odwagą. Pomiędzy brwiami jego pogłębiała się już fatalna fałda ludzi, powołanych do zadań przytłaczających swoim ogromem; nad czołem jego zawisła groźna chmura.

ne dzisiaj przez napisy na pomnikach. Otóż Manethon utrzymuje, że Mojżesz był kapłanem Ozyrysa: Strabon, czerpiący wyjaśnienia swoje z tego samego źródła, to znaczy od kapłanów egipskich, stwierdza to samo. Źródło egipskie ma pod tym względem większą wartość od źródła żydowskiego: bowiem nie leżało bynajmniej w interesie kapłanów egipskich przekonywać Greków czy Rzymian, że Mojżesz był Egipcjaninem, zaś miłość własna Żydów nakazywała im przedstawić twórcę ich narodu jako człowieka tej samej co i oni krwi. Opowieść biblijna przyznaje zresztą, że Mojżesz wychowany był w Egipcie i wysłany przez swój rząd w charakterze kierownika (dozorecy) Żydów do Gossen. To właśnie jest faktem doniosłym, zasadniczym, ustalającym tajemną łączność pomiędzy religią mojżeszową i wtajemniczeniem egipskim. Klemens z Aleksandrii przypuszczał, że Mojżesz był głęboko wtajemniczony w naukę egipską. Istotnie dzieło twórcy Izraela byłoby niezrozumiałe, gdyby nie faki ten.

Kobiety bały się wzroku tego młodego lewity, wzroku niezgłębionego jak grób i twarzy jego kamiennej, jak wrota świątyni Izydy. Rzec można, że przewidywały one wroga ludu kobiecego w tym przyszłym przedstawicielu pierwiastka męskiego w religii, w tym, co jest w nim najbezwzględniejszego i najnieprzystępniejszego.

Matka jego, księżniczka rodu królewskiego, marzyła o tronie faraonów dla syna swego. Hozarsyf był mędrszy od Menefty; mógł żywić nadzieje zyskania tronu przy pomocy kapłanów. Faraonowie wyznaczali, co prawda, następców swoich spośród swoich synów; zdarzyło się jednak, że po śmierci władcy kapłani unieważniali jego wybór, oczywiście w interesie państwa. Niejednokrotnie odsuwali oni od tronu niegodnych i słabych, aby oddać berło królewskiemu wtajemniczonymu. Już nawet odczuwał Menefta zazdrość o swego kuzyna; Ramzes obserwował go pilnie, niedowierzając milczącemu lewicie.

Pewnego dnia matka Hozarsyfa spotkała syna w Serapeum memfiskim, na olbrzymim placu pełnym obelisków, pylonów trofealnych, który stanowił rodzaj muzeum sławy narodowej pod gołym niebem, dokąd prowadziła aleja sześciuset sfinksów. Na widok królewskiej swej matki skłonił się młody lewita do ziemi, czekając, wedle zwyczaju, dopóki ona pierwsza nie przemówi.

— Masz przeniknąć tajniki Izydy i Ozyrysa — rzekła. — Przez długi czas nie będę cię widziała, o, synu mój. Nie zapomnij wszakże, iż jesteś ze krwi faraonów i że jestem twoją matką. Rozejrzyj się dokoła siebie... jeśli zechcesz, wszystko to... będzie kiedyś należało do ciebie!

Mówiąc to, obwiodła dokoła gestem wskazującym obeliski, świątynię, Memfis i cały widnokrąg.

Uśmiech pogardliwy przemknął po obliczu Hozarsyfa, gładkim i nieruchomym, jak posąg z brązu.

— Chciałabyś więc — rzekł — abym rządził tym narodem, ubóstwiającym bogów o głowach szakali, ibisów i hien? Cóż pozostanie za kilka wieków ze wszystkich tych bałwanów?... — Przy tych słowach nachylił się i biorąc garść małego piasku, przepuścił ją między cienkimi palcami wobec zdumionej tym ruchem matki: — Tyle oto! — dodał.

— Gardzisz więc religią ojców naszych i nauką naszych kapłanów?

— Przeciwnie! dążę do niej. Ale piramida jest nieruchoma. Należy poruszyć ją z miejsca. Nie będę Faraonem. Ojczyzna moja jest daleko stąd... tam... na puszczy!

— Hozarsyfie! — zawołała księżna tonem wyrzutu — dlaczego bluźnisz? Wiew ognia posiał cię w moje łono, i czuję to — zmiecie cię burza. Wydałam cię na świat i nie znam cię. W imię Ozyrysa, kim jesteś i co zamierzasz czynić?

— Czyż wiadomo to mnie samemu? Ozyrys jedynie wie o tym; może powie mi. Ale daj mi błogosławieństwo twoje, o matko, aby opiekowała się mną Izyda i aby ziemia egipska łaskawa mi była.

Ukląkł Hozarsyf przed matką, skrzyżował kornie ręce na piersiach i pochylił głowę. Matka odpięła kwiat lotosu, który nosiła na czole wedle zwyczaju kobiet ze świątyni i dała mu go powąchać, widząc, że myśl syna pozostanie wiekuiście tajemnicą dla niej, oddaliła się, szepcząc modlitwy.

Hozarsyf przeszedł zwycięsko przez wszystkie próby, poprzedzające wtajemniczenie Izydy. Hartowna jego dusza i żelazna wola sprawiły, że wydały mu się one zabawką nieledwie. Obdarzony geniuszem matematycznym i umysłem wszechogarniającym, doprowadził do olbrzymiej potęgi sprawność duchową i zdolność operowania liczbami świętymi, których płodny symbolizm i zastosowanie były wówczas nieskończone. Umysł jego, lekceważący rzeczy powierzchowne i przemijające, czuł się w swoim żywiole jedynie pośród zasad niewzruszonych. Z wyżyn tych spokojnie i pewnie przenikał wszystko i panował nad wszystkim, nie zdradzając ani pożądań, ani buntu, ani zaciekawienia. Hozarsyf pozostał zagadką zarówno dla matki swojej, jak i dla swoich mistrzów. Najbardziej przerażało ich, że był niezłomny i z jednej wykuty bryły jak zasada. Czuli, że nie uda im się ani ugiąć go, ani sprowadzić z raz obranej, dla niego samego nieznannej drogi. Kroczył on po niej tak nieodmiennie, jak krąży ciało niebieskie po niewidzialnej swojej orbicie. Arcykapłan Membra zadawał sobie pytanie, jak wysoko sięgnie ambicja tego młodzieńca, zawarta w własnej jego duszy. Chciał

przekonać się o tym. Pewnego dnia niósł Hozarsyf wraz z trzema innymi kapłanami Ozyrysa arkę złotą, która poprzedzała arcykapłana na wielkich uroczystościach. Arka ta zawierała dziesięć najtajniejszych ksiąg świątyni, dotyczących magii i sztuki wywoływania duchów.

Kiedy powrócili obaj do świątyni, rzekł Membra do Hozarsyfa:

— Jesteś z krwi królewskiej. Siła twoja i wiedza są ponad wiek twój. Czego pragniesz?

— Niczego, prócz tego — odpowiedział Hozarsyf, kładąc rękę na arce świętej, którą pokrywały błyszczące skrzydła odlanego ze złota krogulca.

— Chcesz zatem zostać arcykapłanem świątyni Ammon-Râ i prorokiem Egiptu?

— Nie; chcę jedynie wiedzieć, co jest zawarte w tych księgach.

— Jakże dowiesz się tego, skoro nikt oprócz kapłana nie może znać ich treści?

— Ozyrys przemawia, jak chce, kiedy chce i do kogo chce. To, co zawiera ta arka, jest jedynie martwą literą. Jeśli Duch żywy zechce przemówić do mnie — uczyni to.

— Co zamierzasz uczynić w tym celu?

— Czekać i być posłusznym.

Odpowiedzi te, powtórzone Ramzesowi II-mu, spotęgowały jego nieufność. Obawiał się on, aby Hozarsyf nie dążył do objęcia tronu z krzywdą syna jego, Meneftę. Wydał tedy rozkaz, aby syn jego siostry zamianowany został świętym pisarzem świątyni Ozyrysa. Ważny ten urząd obejmował symbolikę we wszelkich jej postaciach, kosmografię i astronomię; oddalał go wszakże od tronu. Syn królewny poświęcił się z nadzwyczajną gorliwością i najzupełniejszym oddaniem swoim obowiązkom pisarza na usługach świątyni — hierogrammaty, z którymi związana była funkcja nadzorcy rozmaitych nomów czyli prowincji egipskich.

Czy Hozarsyf był istotnie tak dumny, jak mu to przypisywano? Tak, o ile dumą nazwać można, gdy lew uwięziony podnosi głowę i patrzy — poprzez przesła klatki — na dalekie widnokreśli, nie widząc wcale przyglądających mu się przechodniów. Tak, jeżeli dumą nazwać można, że orzeł na uwięzi drży całym swym upierzeniem i z wy-

ciągniętą szyją i rozpostartymi skrzydłami patrzy na słońce. Jak wszyscy ludzie mocni, powołani do spełnienia wielkich czynów, nie czuł się Hozarsyf zależnym od ślepego Losu: przeświadczony był, że czuwa nad nim tajemnicza Opatrzność, która doprowadzi go do celu.

Podczas pełnienia obowiązków skryby (pisarza) wysłany został na inspekcję Deltę. Hebrajczycy, lennicy egipscy, zamieszkujący w owym czasie dolinę Gossen, obciążeni byli największą pańszczyzną. Ramzes II połączył łańcuch twierdz Peluzjum z Heliopolisem. Wszystkie nomy gipskie miały obowiązek dostarczania zastępów robotniczych do tych olbrzymich prac. I znów najciężej obciążono pod tym względem — Beni-Izraelitów. Pracowali oni zwłaszcza w kamieniołomach i cegielniach. Dumni i niezależni, nie znosili z takim — jak tuziemcy — poddaniem bata żandarmów egipskich; burzyli się często, a czasem nawet oddawali razy. Kapłan Ozyrysa nie mógł się oprzeć uczuciu sympatii dla tych nieugiętych „o twardej karku“, których Starszyzna, wierna tradycji Abrahamowej, utrzymała bez zastrzeżeń kult jedyne Boga; dla tych ludzi, którzy czcili swoich wodzów, swoich **hag'ów** i **zaken'ów**, natomiast opierali się jarzmu i burzyli się przeciwko niesprawiedliwości. Pewnego dnia, widząc żandarma egipskiego, znęcającego się nad bezbronnym Hebrajczykiem, wyrwał okrutnikowi broń i zabił go na miejscu. Czyn ten, dokonany pod wpływem szlachetnego oburzenia, zdecydował o jego życiu. Kapłani Ozyrysa, którzy popełnili zbrodnię zabójstwa, surowo byli sądzeni przez kolegium kapłańskie. Że zaś Faraon podejrzewał już w synu siostry swej przyszłego przywłaszczyciela tronu, życie Hozarsyfa wisiało na włosku. Wobec tego postanowił on pójść na wygnanie, aby tam dobrowolną nałożyć na siebie karę. Pociągała go samotność puszcy, dal nieznaną; jego dążenia, przecucie posłannictwa własnego, a nade wszystko tajemniczy, nieubłagany głos wewnętrzny mówiły mu: „Idź — tam jest twoje przeznaczenie“!

Poza morzem Czerwonym i półwyspem Synajskim, w krainie Madianitów była świątynia niezależna od kapłanów egipskich. Ziemia ta ciągnęła się szeroką wstęgą zieleni pomiędzy zatoką elamityńską a pustynią Arabii.

Zdala — poza odnogą morską — widać było ciemne zbocza góry Synaj z jej nagim szczytem. Kraj ten, wciśnięty pomiędzy pustynię i morze Czerwone, chroniony przez górę wulkaniczną, odcięty od innych, wolny był od najazdów. Świątynia owa poświęcona była czci Ozyrysa, zarazem jednak czczono tam Boga najwyższego pod nazwą Aelohim.

Bowiem świątynia ta, pochodzenia etiopskiego, była ogniskiem religijnym Arabów, Semitów oraz ludzi rasy czarnej, którzy pragnęli wtajemniczenia. Od wieków już były również Synaj i Horeb, tajemniczym środowiskiem kultu jednobóstwa. Już sam widok nagiej i dzikiej wielkości góry, wznoszącej się samotnie pomiędzy Egiptem i Arabią, nasuwał myśl o Bogu jedynym. Liczni Semici odbywali do niej pielgrzymki pobożne celem oddawania czci Aelohimowi. Pozostawali tam po kilka dni, poszcząc i modląc się w pieczarach i przejściach wyżłobionych w zboczach góry Synaj. Przedtem jeszcze oczyszczali się i słuchali nauk w świątyni Madianitów.

W miejscu tym szukał Hozarsyf schronienia.

Arcykapłan Madianitów, czyli Raglem (dozorcą boskim) był wówczas Jetro ¹⁾. Był to człowiek rasy czarnej ²⁾, przedstawiciel najczystszej rasy etiopskiej, która na 4 czy 5 tysięcy lat przed Ramzesem panowała w Egipcie i która nie zatraciła swoich tradycji, sięgających najstarszych ras zamieszkałych na kuli ziemskiej. Jetro nie był ani natchnionym, ani też człowiekiem czynu, lecz wielkim mędrce. Posiadał on skarby wiedzy, nagromadzone zarówno w pamięci, jak i w kamiennych bibliotekach swojej świątyni. Nadto był on opiekunem mieszkańców pustyni: Libijczyków, Arabów i Semitów koczowniczych. Wieczni ci tułacze, zawsze ci sami, ze swoim nieuświadomionym dążeniem do Boga jedynego, uosabiali żywioł niezmienny pośród kultów przemijających i zanikających cywilizacji. Czuło się w nich niejako obecność

¹⁾ Exodus, III. I.

²⁾ Później (Liczby III. 1.) po wyjściu z Egiptu, Aaron i Maria, brat i siostra Mojżesza, zarzuca mu, że poślubił Etiopkę. Zatem, ojciec Sefory (żony Mojżesza) Jetro, należał też do tej rasy.

Wiekuistego, pamięć odległych wieków, wielkie zastępy Aelohima. Jetro był ojcem duchowym tych niepokornych, tych tułaczy, tych niezawisłych. Znał ich duszę, przeczuwał ich przeznaczenie. Kiedy Hozarsyf przyszedł prosić go o schronienie w imię Ozyrysa-Aelohima, przyjął go z otwartymi rękami. Może w tym zbiegu odgadł od razu człowieka wybranego, zrodzonego po to, by stać się prorokiem wygnańców, przewodnika ludu Bożego.

Hozarsyf chciał poddać się przede wszystkim pokucie, którą prawo wtajemniczonych nakazuje zabójcom. Kapłan Ozyrysa, popełniający zabójstwo, chociażby mimowolne, tracić miał przywilej uprzedniego zmartwychwstania „w świetle Ozyrysa“, które zdobył dzięki przebyciu prób wtajemniczania i które wywyższało go ponad zwykłych ludzi. Aby odpokutować swoją zbrodnię, aby odzyskać światło wewnętrzne, musiał poddać się próbom o wiele okrutniejszym—raz jeszcze przeżyć próbę śmierci. Po długotrwałym poście pogrążono pokutnika, przy pomocy napoju specjalnego, w sen letargiczny, poczym składano go do jednego z grobowców w podziemiach świątyni. Pozostawał tam w ciągu dni, czasem nawet tygodni¹⁾. Przez ten czas miał jakoby odbywać wędrówkę w zaświaty, do Erebu lub krainy Amenti, „gdzie krążą dusze zmarłych, którzy nie są jeszcze oderwani od atmosfery ziemskiej. Szukać tam musiał swej ofiary, przeżyć jej udręki, uzyskać jej przebaczenie i dopomóc jej do znalezienia drogi do światła. Wówczas dopiero uważano, że odpokutował swoją zbrodnię, wówczas dopiero jego ciało astralne obmyte zostało z czarnych plam, którymi skaził je zatruty oddech i złorzeczenie ofiary. Z tej wędrówki istotnej czy przypuszczalnej łatwo mógł jednak winowajca nie powrócić, i często kapłani przychodzący zbudzić pokutnika zastawali już tylko trupa.

Hozarsyf nie zawahał się poddać tej próbie jak również

¹⁾ Współcześni nam podróżnicy stwierdzali, że fakirzy hindusecy każą się zagrzebywać po wprowadzeniu ich uprzednim w sen letargiczny i oznaczają ścisłą datę dnia, w którym mają ich odkopać. Jeden z nich, po trzytygodniowym zagrzebaniu, znaleziony był żywym, zdrowym i nietkniętym.

wielu innym ¹⁾. Pod wrażeniem popełnionej zbrodni zabójstwa zrozumiał zasadniczy, niezmienny charakter pewnych praw moralnych i zdał sobie sprawę z głębokiego zamętu, jaki przekroczenie ich wywołuje na dnie sumienia. Z całym też zaparciem się złożył samego siebie w ofierze Ozyrysowi, błagając, aby Bóg, w razie gdyby powrócić miał do życia ziemskiego, natchnął go siłą objawienia światu zakonu sprawiedliwości. Po obudzeniu się z groźnego letargu w podziemiach świątyni Madiantów, poczuł, że jest innym człowiekiem.

Cała jego przeszłość jak gdyby oderwała się od niego; Egipt przestał być jego ojczyzną; bezmiar pustyni z jej tułaczami koczownikami roztaczał się przed nim jako nowe pole działania.

Patrzył na górę Aelohima na widnokregu i po raz pierwszy, jak wizja burzy w mgłach spowijających Synaj, błysnęła w umyśle jego idea własnego posłannictwa: urobić z tych koczujących pokoleń lud wojowniczy, który będzie przedstawicielem zakonu Boga najwyższego pośród kultów bałwochwalczych i bezrządu narodów — lud, który przekaże przyszłym wiekom prawdę opieczetowaną w złotej arce wtajemniczenia.

W dniu tym dla zaznaczenia nowej, rozpoczynającej się w jego życiu, ery przyjął Hozarsyf imię Mojżesza, co znaczy: Zbawiony.

¹⁾ Siedem cór Jetry, o których mówi Biblia (Exodus, II, 16-20) ma widocznie znaczenie symboliczne, jak cała ta opowieść, która doszła do nas w formie legendarnej i zupełnie spopularyzowanej.

Moeno jest nieprawdopodobne aby kapłan wielkiej Świątyni kazał córkom swoim paść stada i aby miał czynić pasterza z kapłana egipskiego. Siedem cór Jetry symbolizuje siedem cnót, które zdobyć musiał wtajemniczony, aby otworzyć studnie prawdy. Studnia ta nazwana jest w historii o Hagar i Izmaelu „studnią Żyjącego, który mnie widzi“.

III

SEFER - BERESZYT

Mojżesz zaślubił Seforę, córkę Jetry i przebywał przez długie lata przy mędrca Madianitów. Dzięki tradycjom etiopskim i chaldejskim, które znalazł w świątyni, mógł dopełnić i skontrolować wiedzę, nabytą w świątyniach egipskich, sięgnąć okiem do najstarszych okresów ludzkości i przenieść się drogą indukcji na najdalsze widnokręgi przyszłości. W świątyni Jetry znalazł dwie księgi poświęcone kosmogonii i przytoczone w Księdze Rodzaju: **wojny Jehowy i pokolenia Adama**. Pogrążył się w studio-waniu ich.

Dzieło, które obmyślał, wymagało wielkiej wytrwałości i mocy. Przed nim już Rama, Kryszna, Hermes, Zoroaster, Fo-Hi stworzyli religię dla ludów; Mojżesz zamierzał stworzyć lud dla religii wiekuistej. Śmiały ten, nowy zupełnie i tak olbrzymi zamiar wymagał podstawy potężnej. W tym właśnie celu napisał Mojżesz swój **Sefer-Bereszyt**, swoją **Księgę Zasad**, treściwą syntezę dawnej wiedzy i ramy wiedzy przyszłej, klucz tajemnic, pochodnię wtajemniczonych, ognisko zestrzelające cały naród.

Spróbujmy rozpatrzyć, czym była Księga Rodzaju w mózgu Mojżesza. Niewątpliwie promieniowała ona w umyśle proroka innym światłem, obejmowała nierównie szersze światy, aniżeli dziecięcy świat i poziomy szmat ziemi, które ukazują się nam w greckim przekładzie Septuaginty ¹⁾ lub w przekładzie łacińskim św. Hieronima!

¹⁾ Septuaginta — Biblia Aleksandryjska.

Współczesny wykład Pisma Świętego rozpowszechnił mniemanie, jakoby Księga Rodzaju nie była dziełem Mojżesza, że prorok ten mógł nawet wcale nie istnieć i być postacią czysto legendarną, sfabrykowaną w cztery lub pięć wieków później przez kapłanów żydowskich, którzy chcieli tym sposobem nadać sobie cechy pochodzenia boskiego. Pogląd swój opiera krytyka współczesna na tej okoliczności, że Księga Rodzaju składa się z odmiennych fragmentów (elohistycznych i jehowistycznych) sklejonych razem i że obecna jej redakcja sporządzona została conajmniej w cztery wieki po epoce, w której Izraelici wyszli z Egiptu.

Ustalone przez krytykę współczesną i posiadane przez nas fakty co do okresu ostatecznej redakcji tekstów, są ścisłe; wnioski wszakże, wyprowadzone z nich — są dowolne i nielogiczne. Z tego, co Elohista i Jehowista pisali w czterysta lat po wyjściu Hebrejczyków z Egiptu, nie wypływa bynajmniej, aby byli oni twórcami Księgi Rodzaju i aby nie opracowali dokumentu dawniejszego, źle może zrozumianego. Z tego, że Pięcioksiąg daje nam opowieść legendarną o życiu Mojżesza, nie wypływa bynajmniej, aby nie zawierał on nic prawdziwego. Postać Mojżesza nabiera życia, a całe cudowne jego dzieje stają się zrozumiałymi z chwilą, kiedy zaczynamy przenosić go do rodzimego jego środowiska: do świątyni słonecznej w Memfisie. I wreszcie, głębie samej Księgi Rodzaju odsłaniają się dopiero przy świetle pochodni, zapożyczonych od wtajemniczenia Izydry i Ozyrysa.

Niepodobna zbudować religii bez jej twórcy. Sędziowie, Prorocy, cała historia narodu izraelskiego są dowodem istnienia Mojżesza; Chrystusa nawet niepodobna wyobrazić bez niego. Księga Rodzaju zawiera samą istotę tradycji mozaistycznej. Bez względu na przeistoczenia, jakim uległa, zawierać musi czcigodna mumia ta pod warstwieniem pyłu wieków i pod opaskami kapłańskimi, ideę podstawową, żywą myśl, testament proroka izraelskiego.

Naród izraelski skupia się tak samo niezaprzeczenie i tak samo nieuchronnie dokoła Mojżesza, jak ziemia krąży dokoła słońca.

Ustaliwszy wszakże fakt ten, zbadać należałoby jesz-

cze, jakie były idee podstawowe Księgi Rodzaju i co przekazać chciał Mojżesz potomności, dając jej tajemny testament w Sefer-Bereszyt. Zagadnienie to może być rozwiązane jedynie ze stanowiska ezoterycznego. Przedstawia się ono w sposób następujący: umysłowość Mojżesza, jako wtajemniczonego egipskiego, musiała stać na wysokości nauki egipskiej, która — podobnie jak nasza — przyjmowała niezmiennność praw, rządzących wszechświatem, oraz stopniowy rozwój światów i której pojęcie o duszy i przyrodzie niewidzialnej były rozległe, dokładne i wyrozumowane. Jeśli taką była wiedza Mojżesza — a jakże mogła nie stać na tej wyżynie wiedza Ozyrysowego kapłana? — jak można ją pogodzić z dziecinnie naiwnymi pojęciami Księgi Rodzaju o stworzeniu świata i powstaniu człowieka? Czyżby historia ta, która, jeśli brać ją będziemy dosłownie, wywoła dzisiaj uśmiech na twarzy ucznia szkoły średniej, nie miała zawierać głębokiego znaczenia symbolicznego? I czyżby nie miał istnieć klucz do zrozumienia go? Jakież jest to znaczenie? Gdzie znaleźć klucz do niego?

Klucz ten znajduje się: 1^o w symbolice egipskiej, 2^o w symbolice wszystkich religii starożytnego cyklu, 3^o w syntezie nauki wtajemniczonych, takiej, jaka jest wpływem porównawczego nauczania ezoterycznego, począwszy od Indii wedyjskich aż do wtajemniczonych chrześcijan pierwszych wieków.

Kapłani egipscy — mówią autorzy greccy — mieli trzy sposoby wypowiedzenia swoich myśli. „Pierwszy był jasny i prosty, drugi — symboliczny język przenośni, trzeci — święty i hieroglificzny. Ten sam wyraz mógł wedle woli ich przybierać znaczenie właściwe, przenośne lub duchowe. Takim był duch ich języka. Heraklit doskonale wyraził różnicę, określając ją epitetami: **mówiący, znaczący i ukrywający**“¹⁾).

W naukach teogonicznych i kosmogonicznych używali zawsze kapłani egipscy trzeciego sposobu pisania. Hieroglify ich miały zawsze równoległe wzajem sobie odpowiadające znaczenie. Dwu ostatnich nie można było zrozumieć bez klucza. Zagadkowy ten i ukryty sposób pisa-

¹⁾ Fabre d'Olivet: „Złote myśli Pytagorasa“.

nia związany był z podstawowym dogmatem doktryny Hermesa, w myśl którego jedno i to samo prawo rządzi światem natury, światem ludzkim i światem boskim. Język ten, zdumiewająco zwięzły, niezrozumiały dla prostaków, szczególnie wymowny był dla wyznawców. Za pomocą jednego tylko znaku uzmysliwiał on zasady, przyczyny i skutki, promieniujące z bóstwa na ślepą przyrodę, na świadomość ludzką i na świat czystych duchów. Dzięki pismu temu ogarniał wyznawca jednym rzutem oka wszystkie trzy światy.

Nie ulega wątpliwości, wobec poziomu naukowego przygotowania Mojżesza, że pisał on Księgę Rodzaju hieroglifami egipskimi w trojakim znaczeniu. Klucze do zrozumienia jej oraz objaśnienia przekazał on swoim następcom. Kiedy potem, w epoce Salomona, przełożono Księgę Rodzaju na język fenicki, kiedy po niewoli babilońskiej Ezdrasz ułożył ją w języku aramejsko-chaldejskim, posiadali kapłani żydowski klucze te w stopniu wielce niedostatecznym. Kiedy wreszcie przyszli greccy tłumacze Biblii, mieli oni już słabe zaledwie pojęcie o znaczeniu ezoterycznym tekstów. Święty Hieronim, tłumacząc tekst hebrajski na język łaciński, nie mógł — pomimo najszerszych swoich zamierzeń i pomimo wielkiego swojego umysłu — dotrzeć do znaczenia pierwotnego; a, gdyby nawet był to uczynił, musiałby zataić je. Słowem, czytając Księgę Rodzaju w przekładach, mamy tylko jej znaczenie pierwotne, niższe. Nawet teologowie i egzegeci, ortodoksi, czy wolnomyśliciele, czy chcą czy nie chcą, widzą tekst hebrajski jedynie po przez **Vulgatę**. Znaczenie porównawcze i wyższe, to znaczy głębokie i istotne, zatraca się dla nich. Pozostaje ono wszakże tajemniczo ukryte w tekście hebrajskim, którego źródłosłówów szukać należałoby w świętym języku świątyni, przeistoczoną przez Mojżesza. W języku tym każda samogłoska i każda spółgłoska miała znaczenie wszechobejmujące, zależnie od dźwiękowej wartości litery oraz stanu duszy człowieka, który ją wypowiada. Dla ludzi, obdarzonych głębszą intuicją, ukryte znaczenie to wytryska czasem z tekstu, olśniewając ich jak błyskawica; dla wtajemniczonych jaśnieje w budowie fonetycznej słów użytych lub stworzonych przez Mojżesza: w głoskach magicznych, w których wtajemniczony

w świątyni Ozyrysa odlewał myśl swoją, jak dzwiczny metal w formie doskonałej. Dzięki badaniu tej fonetyki, noszącej na sobie piętno świętego języka świątyni starożytnych, dzięki kluczom, których nam dostarcza Kabała, i których część sięga Mojżesza, wreszcie dzięki porównawczemu ezoteryzmowi, jesteśmy dzisiaj w możności rozpoznać i odtworzyć prawdziwą Księgę Rodzaju. Tą drogą myśl Mojżesza wyblśnie jak złoto z ogniska wieków, z mętów pierwotnej teologii i z popiołów krytyki negatywnej¹⁾.

¹⁾ Prawdziwym odtwórcą kosmogonii Mojżesza jest człowiek genialny, obecnie niemal zapomniany, któremu Francja odda sprawiedliwość w dniu, kiedy nauka ezoteryczna, która jest całkowitą nauką religii, oparta zostanie na podstawach niezłomnych. Fabre'a d'Olivet nie mogli zrozumieć współcześni mu, ponieważ wyprzedzał on o wiek cały swoją epokę. Wszeghognający umysł jego posiadał w jednakowym stopniu trzy władze, których połączenie stwarza umysłowości wyższe: intuicję, analizę i syntezę. Urodzony w Ganges (Hérault) w 1767 r., poświęcił się badaniu tajemniczych doktryn Wschodu, zdobywszy uprzednio głęboką znajomość wschodnich filozofii, nauk i literatur.

Court de Gébelin pierwszy swoim dziełem „**Monde primitif**“ (świat pierwotny) otworzył mu oczy na znaczenie symboliczne mitów starożytnych oraz na święty język świątyni. Celem wtajemniczenia się w doktryny Wschodu nauczył się języka chińskiego, sanskrytu, arabskiego i hebrajskiego. W r. 1815 ogłosił najwybitniejsze dzieło swoje: „**La langue hébraïque restituée**“ (Język hebrajski odtworzony). Dzieło to zawiera: 1^o Rozprawę wstępną o powstaniu mowy; 2^o gramatykę hebrajską opartą na nowych podstawach; 3^o źródłosłowy hebrajskie rozważane ze stanowiska etymologii; 4^o rozprawę wstępną; 5^o francuski i angielski przekład dziesięciu pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju, zawierających kosmogonię Mojżesza. Do przekładu tego dodany jest niezmiernie ciekawy komentarz. Na tym miejscu streścić mogą jedynie podstawy i istotę tej księgi objawionej. Przejęta jest ona najgłębszym duchem ezoteryzmu i opracowana według najściślejszych metod naukowych. Metoda, którą posługuje się Fabre d'Olivet, aby wnikać w ukryte znaczenie hebrajskie.

Dwa przykłady uwydatnią jaskrawie, czym był język święty starożytnych świątyń i w jaki sposób trojacie te znaczenia odpowiadają sobie w symbolach egipskich i w symbolach Księgi Rodzaju. Na licznych pomnikach egipskich powtarza się wyobrażenie kobiety uwieńczonej, trzymającej w jednej ręce krzyż — symbol wiecznego życia, w drugiej — berło w kształcie kwiatu lotosu — symbol wtajemniczenia. Jest to bogini **Izyda**. Otóż Izyda ma znaczenie trojacie. W znaczeniu właściwym uosabia ona Kobietę, a tym samym żywioł żeński we wszech-

go tekstu Księgi Rodzaju, oparta jest na zestawieniu i porównaniu języka hebrajskiego z arabskim, syryjskim, aramejskim i chaldejskim **ze stanowiska pierwotnych i ogólnych źródłosłów**, których daje on zdumiewający słownik poparty przykładami, wziętymi ze wszystkich języków. Słownik ten służyć może za klucz do zrozumienia nazw świętych u wszystkich narodów. Dzieło Fabre'a d'Olivet daje, ze wszystkich ksiąg ezoterycznych dotyczących starego Testamentu, klucze najpewniejsze. Daje ono nadto nadzwyczaj jasny wykład historii Biblii wraz z wyjaśnieniem przyczyn, dla których ukryte jej znaczenie zatraciło się i pozostaje dotychczas zupełnie zapoznawane przez naukę i teologię oficjalne.

Niech mi wolno będzie powiedzieć na tym miejscu kilka słów o innym jeszcze dziele nowszym, z tamtego wysnutym, które poza osobistą swoją wartością, ma nadto zasługę zwrócenia uwagi niezależnych badaczy na pierwszego w tym kierunku twórcę. Książką tą jest: **La mission des Juifs** (Posłannictwo Żydów) Saint-Yves d'Alveydre 1884 — Calmann Lévy (Saint-Yves zawdzięcza filozoficzne wtajemniczenie swoje dziełom Fabre'a d'Olivet. Jego pojmowanie Księgi Rodzaju jest zasadniczo zgodne z linią, po której idzie autor **Odtworzonego języka hebrajskiego**; jego metafizyka jest metafizyką **Złotych myśli Pytagorasa**; jego filozofia historii oraz ujęcie ogólne jego dzieła zapożyczone są z **Historii filozoficznej rodzaju ludzkiego**. Wziąwszy za założenie te idee podstawowe, dodawszy do nich własne materiały i obrobivszy je wedle własnych pojęć, dał on dzieło niezmiernie bogate, niejednolite co do wartości, o budowie złożonej. Cel jego jest podwójny: dowieść, że nauka i religia Mojżesza

świecie. Porównawczo symbolizuje ona przyrodę ziemską z całą jej potęgą twórczą. W najwyższym znaczeniu jest to natura niebiańska, niewidzialna, właściwy żywioł dusz i duchów, światło duchowe, rozum, jedyne źródło wtajemniczenia. Symbolem, odpowiadającym Izydzie w Księdze Rodzaju i w umysłowości judeo-chrześcijańskiej, jest EWA, Hewa, Kobieta wiekuista. Ewa ta jest nie tylko połowicą Adama, jest ona też małżonką Boga. Stanowi ona trzy czwarte jego istoty. Bowiem imię wiekuistego IEVE, które przerobiliśmy niewłaściwie na Jehowa i Ja-

były nieuniknionym wynikiem prądów religijnych, które poprzedziły je w Azji i w Egipcie, co już udowodnił w genialnych dziełach swoich Fabre d'Olivet, a także dowieść, że potrójna nieograniczona władza: ekonomiczna, sądowa i religijna czy naukowa, szła po wsze czasy równoległe z doktryną wtajemniczonych, stanowiąc podstawową część religii dawnego, poprzedzającego Grecję, cyklu. Taką jest myśl przewodnia Saint-Yves'a, myśl głęboka i zasługująca na najwyższą uwagę. Nazywa on ją: **synarchią**, czyli rządzeniem podług zasad: w synarchii tej znajduje on podstawowe prawo społeczne, jedyne zbawienie na przyszłość. Nie tutaj miejsce na badanie, w jakim stopniu dowiódł autor tezy swojej historycznie. Saint-Yves nie lubi podawać źródeł, ogranicza się często do głośnego twierdzenia i nie cofa się nawet przed stawianiem ryzykownych hipotez, o ile popierają one z góry powziętą jego myśl. Mimo to jednak książka jego, dzieło niezmiernie doniosłe, zdradzające wielką wiedzę ezoteryczną, obfityje w ustępy technące wysokim poziomem, rzucające wspaniałe obrazy, rozwijające myśli nowe i głębokie. Nie zgadzam się z nim pod wieloma względami, zwłaszcza co do poglądu na osobę Mojżesza, któremu nadał on zdaniem moim rozmiary zbyt olbrzymie i legendarne. Uznaję wszakże wysoką wartość niezwyklej tej książki, której wiele zawdzięczam. Niezależnie od krytycznego poglądu na dzieło Saint-Yves'a, przyznać mu należy wielką zasługę: życia poświęconego wyłącznie danej idei. Patrz książki jego: **Mission des Souverains** (Posłannictwo władców) i **la France vraie** (Prawdziwa Francja), w której oddaje on sprawiedliwość, nieco spóźnioną i bezwiednie może, duchowemu przewodnikowi swojemu, Fabre'owi d'Olivet.

hwe, składa się z przystawki **Jod** oraz imienia Ewa. Arcykapłan Jeruzolimy wymawiał raz do roku imię boskie, wymawiając je litera po literze w sposób taki: **Jod, he, wau, he**. Pierwsza wyrażała myśl boską *) i nauki teologiczne; trzy litery imienia Ewy wyrażały trzy państwa natury **) , trzy światy, w które wciela się ta myśl, a tym samym nauki kosmogoniczne, psychiczne i fizyczne, które im odpowiadają ¹⁾).

„Niewypowiedziany“ zawiera więc w głębokiej treści swojej pierwiastek wiekuście męski i pierwiastek wiekuście kobiecy. Nierozzerwalna spójnia ich składa się na potęgę jego i jego tajemniczość. Tego właśnie Mojżesz, wróg zaklęty wszelkich podobizn bożych, nie mówił ludowi, zawarł to wszakże w przenośni w składni imienia bożego i wyjaśnił swoim wyznawcom. Tak więc przyroda, osłonięta w kulcie żydowskim, ukryta jest w samym imieniu Boga. Małżonka Adama, kobieta ciekawa i czarująca winowajczyni, ujawnia nam ukrytą pokrewność swoją z Izydą ziemską i boską, matką bogów, która w głębi łona swojego ukazuje wiry dusz i gwiazd.

Inny przykład. Istotą, odgrywającą wielką rolę w historii Adama i Ewy, jest wąż. Księga Rodzaju nazywa go

*) natura naturans Spinozy.

**) natura naturata tegoż.

1) Fabre d'Olivet wyjaśnia imię *IEWE* w sposób następujący: „Imię to stanowi przedewszystkiem wskazującą oznakę życia podwójną i tworzącą pierwiastek zasadniczo żywotny E E. (ה ה). Pierwiastek ten nie jest nigdy używany jako imię, jest on jedynym, który ma ten przywilej. Jest on już z założenia swego nie tylko słowem, ale jedynym słowem, którego pochodniami są wszystkie inne: ה ה ה — istota istniejąca. Tutaj jak widzimy i jak starałem się wyjaśnić w mojej gramatyce, znak zrozumiały ׀ (Wau) stoi w pośrodku pierwiastka życia. Mojżesz, używając specjalnie słowa tego, aby utworzyć z niego imię własne Istoty istot, dodaje do niego znak objawienia wewnętrznego i Wieczności ׀ (I) i otrzymuje ה ׀ ה ׀ (JEWE), w którym określenie: *istniejący* umieszczone jest między przeszłością bez początku i przyszłością bez kresu. Cudowne imię to oznacza zatem ściśle: Istota, która jest, która była i która będzie.

Nahasz. Jakie znaczenie miał wąż w świątyniach starożytnych? Tajniki Indii, Egiptu i Grecji odpowiadają na to pytanie jednogłośnie: Wąż, zwinięty kolisto, oznacza życie wszechświata, którego czynnikiem czarodziejskim jest światło astralne. Nadto w znaczeniu głębszym Nahasz oznacza siłę, która wprawia to życie w ruch, siłę przyciągania osobniczego, w której Geoffroy de Saint-Hilaire dopatrywał się przyczyny ciężenia powszechnego. Grecy zwali ją Erosem, Miłością czy Pożądaniem.

Zastosujmy teraz dwa te znaczenia do historii Adama, Ewy i węża, a zobaczymy, że grzech pierwszego stała, słynny grzech pierworodny staje się od razu wciągnięciem natury boskiej i przyrody wszechświata z jej państwami, rodzajami i gatunkami, do potężnego, niewzruszonego koła życia.

Dwa te przykłady umożliwiły nam pierwszy rzut oka na głębiny możeszowe Księgi Rodzaju.

Już uchylenie tego rąbka wskazuje nam, czym była kosmogonia dla wtajemniczonego starożytności i co ją odróżniało od kosmogonii we współczesnym znaczeniu tego wyrazu.

Dla nauki współczesnej kosmogonia jest jedynie kosmografią. Znajdziemy w niej opis widzialnego wszechświata oraz badanie łańcucha przyczyn i skutków fizycznych w danej sferze. Będzie to np. system planetarny Laplace'a, w którym podana jest teoria układu słonecznego jako wynik ruchów planetarnych i wzajemnego oddziaływania planet, co jest czystą hipotezą. Będzie to także historia ziemi, której świadectwem nieodpartym są narwarstwienia gruntu. Nauce starożytnej nie były obce te dzieje rozwoju widzialnego wszechświata, a jeśli nawet jej pojęcia o nim mniej były ścisłe aniżeli pojęcia nauki współczesnej, sformułowała ona jednak intuicyjnie prawa zasadnicze, tym rozwojem rządzące.

Dla mędrców Indii i Egiptu był to wszakże zewnętrzny tylko pozór świata, jego ruch odbity. Właściwego jego wyjaśnienia szukali oni w jego obrazie wewnętrznym, w jego ruchu pierwotnym i bezpośrednim. Znajdowali je w innym układzie praw, ujawniającym się umysłowi naszemu. Dla wiedzy starożytnej nie był wszechświat nieskończony martwą jedynie materią podlegającą prawom

mechanicznym, lecz całością żywą, rozumną, posiadającą duszę i wolę. Wielki ten żywy twór święty posiadał niezliczone organy, odpowiadające nieskończonemu jego władzom. Jak poruszenia ciała ludzkiego są wynikiem duszy myślącej i działającej woli — tak samo w pojęciu nauki starożytnej **widzialny układ wszechświata był jedynie odbiciem układu niewidzialnego**, to znaczy sił kosmogonicznych i monad duchowych państw, rodzajów, gatunków, które przez nieustanną swoją **inwolucję** — wstępowanie w materię, powodują **ewolucję** — rozwój życia. W przeciwieństwie do nauki współczesnej, rozpatrującej jedynie stronę zewnętrzną wszechświata, skorupę ziemską, miała na celu nauka świątyni starożytnych ujawnienie jego strony wewnętrznej, wykrycie tajemnych jego sprężyn. Nie wyprowadzała ona intelektu z materii, lecz materię z intelektu. W jej pojęciu nie rodził się wszechświat ze ślepego krążenia atomów, lecz, przeciwnie, drganie duszy wszechświata rodziło atomy. Słowem — drogą jej było zakreślanie kół współśrodkowych, od całości wszechświata do szczegółów, od świata Niewidzialnego do Widzialnego, od Ducha czystego do Substancji organicznej, od Boga do człowieka. Ten porządek zstępny Sił i Duszy, odwrotnie proporcjonalny do porządku wstępnego Życia i Ciała, stanowił antologię czyli naukę zasad umysłowych i był podstawą kosmogonii.

Wszystkie wielkie wtajemniczenia Indii, Egiptu, Judei i Grecji, wtajemniczenie Kryszny, Hermesa, Mojżesza i Orfeusza znały pod różnymi postaciami ten układ zasad, potęg, duszy, pokoleń, zstępujących z pra-przyczyny, z Ojca niewypowiedzianego.

Porządek zstępny wcieleń jest współrzędny z porządkiem wstępnym żywotów i stanowi jedyne jego wytłumaczenie. Zstępność (inwolucja) wytwarza rozwój (ewolucję) i tłumaczy ją.

W Grecji świątynie męskie i doryckie, Jupitera i Apollina, zwłaszcza świątynia Delfijska, były jedynymi, które znały dokładnie układ zstępny. Świątynie Jońskie, czyli żeńskie, znały go tylko w przybliżeniu. Ponieważ cała cywilizacja grecka była jońską, nauka i znajomość układu doryckiego zatracaly się w niej coraz bardziej. Niezaprzeczonym jest wszakże faktem, że jej wielcy wta-

jemniczeni, jej bohaterowie i jej filozofowie, od Orfeusza do Pytagorasa, od Pytagorasa do Platona i od Platona do szkoły Aleksandryjskiej ściśle związani są z tym układem. Wszyscy oni uznali, że duchowym ich przywódcą był Hermes.

Nawróćmy do Księgi Rodzaju. W pojęciu Mojżesza, również duchowego syna Hermesa, tworzyło dziesięć pierwszych jej rozdziałów istotną ontologię podług porządku i pokrewności zasad. Wszystko, co się zaczyna, musi mieć koniec. Księga Rodzaju opisuje zarazem ewolucję w czasie i tworzenie w wieczności, jedynie godne Boga.

Zachowuję sobie do **księgi o Pytagorasie** danie żywego obrazu teogonii i kosmogonii ezoterycznej, w ramach mniej oderwanych niż Mojżeszowe i bliższych duchowi współczesnemu. Znaczenie tej kosmogonii pytagorejskiej w myśl wtajemniczenia orficzego i świątyni Apollina będzie — pomimo formy politeistycznej, pomimo nieskończonej różnorodności symbolów, zupełnie takie same, jak proroka Izraela. U Pytagorasa wyjaśniać je będzie do pewnego stopnia naturalne jego dopełnienie: doktryna duszy i jej ewolucji. Uczono jej w świątyniach greckich pod symboliką mytu o Persefonie. Nazywano go także **ziemską i niebieską historią Psyche**. Historii tej, odpowiadającej temu, co chrystianizm nazywa **Odkupieniem**, brak zupełnie w starym Testamencie. Nie dlatego brak jej tam, aby Mojżesz i prorocy nie znali jej, lecz dlatego, że uważali ją za nazbyt wzniosłą do nauczania powszechnego i zachowywali ją dla tradycji ustnej wtajemniczonych. Boska Psyche pozostanie przez długi czas ukrytą pod symbolami hermetycznymi Izraela, aby potem wcielić się w świetlaną, uduchowioną postać Chrystusa.

Kosmogonię Mojżeszową cechuje szorstka zwięzłość ducha semickiego i ścisłość matematyczna ducha egipskiego. Styl opowiadania przypomina postacie zdobące wnętrza grobowców królewskich: proste, suche i surowe; twarda ich nagość kryje nieprzeniknioną tajemnicę. Całość przypomina budowlę cyklopiczną; tu i owdzie wszakże, jak wybuch lawy spomiędzy zwałów olbrzymich, wytryska myśl Mojżesza z nieokiełznaną gwałtownością ognia pierwotnego spomiędzy niejasnych wersetów tłu-

maczy. W pierwszych nieporównanie wspaniałych rozdziałach czuje się tchnienie Aelohima, odwracającego jedną po drugiej ciężkie karty wszechświata.

Przed rozstaniem się z nimi, rzućmy raz jeszcze okiem na niektóre z potężnych hieroglifów, będących dziełem proroka z góry Synaj. Niby wrota świątyni podziemnej, otwiera każdy z nich dostęp do galerii prawd tajemnych, oświetlających nieruchomym światłem swoim szeregi światów i czasów. Spróbujmy dotrzeć do nich za pomocą kluczy wtajemniczenia. Postarajmy się poznać dziwne te symbole, te formuły magiczne w ich sile odtwarzającej, poznać je takimi, jakimi widział je wtajemniczony w świątyni Ozyrysa, gdy wytryskiwały one ognistymi zgłoskami z tygla jego myśli.

W krypcie świątyni Jetry siedzi na jednym z sarkofagów Mojżesz, pogrążony w samotnym dumaniu. Mury pokryte są hieroglifami i malowidłami, wyobrażającymi imiona i postacie bóstw wszystkich ludów na ziemi. Symbole te streszczają historie okresów zamierzchłych i przepowiadają okresy przyszłe. Lampa naftowa, umieszczona na ziemi, słabo oświetla te znaki, z których każdy własnym przemawia językiem. Samotny myśliciel nie widzi nic wszakże ze świata zewnętrznego; szuka w samym sobie Słowa Księgi swojej; formy swojego dzieła, Słowa, które stanie się Czynem. Lampa zgasła. Ale przed oczami jego duszy, w ciemności podziemi, jaśnieje ognistymi zgłoskami wypisane słowo:

I E W E

Pierwsza litera „I“ jest białości światła, trzy pozostałe błyszczą jak barwny ogień, w którym przelewają się wszystkie kolory tęczy. Jakie dziwne życie w tych literach! W pierwszej dostrzega Mojżesz Żywioł męski, Ozyrysa, Ducha twórczego, w Ewie zdolność poczynania — Izydę niebiańską, która jest jej częścią.

W ten sposób rozwijają się i układają władze boskie, które mieszczą w sobie wszystkie światy w potędze. Doskonały zespół Ojca i niewysłowionej Matki rodzi Syna, Słowo żywe, tworzące wszechświat. Oto tajemnica tajemnic, niedostępna dla zmysłów, lecz przemawiająca znakiem Wiekuistego, jak Duch przemawia do Ducha.

A święty tetragram¹⁾ błyszczy światłem coraz mocniejszym. Mojżesz widzi, jak tryskają z niego wielkimi wyblaskami trzy światy, wszystkie państwa natury i wzniosły układ nauk. Skupia się wówczas pałający wzrok jego na męskim znaku Ducha twórczego. Ducha tego wzywa, aby objawił mu porządek tworzenia i aby jego najwyższa wola natchnęła go siłą zrodzenia własnego jego dzieła, wzorowanego na długim wpatrywaniu się w dzieło Wiekuistego.

I oto w mrokach podziemia wyblyskuje inne imię boskie:

AELOHIM.

Oznacza ono dla wtajemniczonego: **On — Bogowie, Bóg Bogów**²⁾.

Nie jest to już Istota zwarta w sobie samej i w Absolucie, lecz władca światów, którego myśl rozkwita milionami gwiazd, ruchomych sfer zawieszonych we wszechświecie. „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię“. Niebiosa te były wszakże zrazu tylko pojęciem czasu i przestrzeni bez kresu, w których panowała pustka i milczenie. „I technienie Boga unosiło się nad powierzchnią przepaści“³⁾. Co wyda najpierw jego łono? Słońce? Ziemię? Mgławicę? Substancję jakąś świata widzialnego? Nie. Tym, co najpierw zrodziło łono jego, była **Aur — Światłość**. Ale światłość ta nie jest światłem fizycznym; jest to światłość duchowa, którą zrodziło drgnienie Izydy w łonie Nieskończoności; dusza wszechświata, światło

¹⁾ **Tetragram** — wyraz złożony z czterech liter.

²⁾ **Aelohim** — jest liczbą mnogą od **Aelo**, imienia nadawanego przez Hebrajczyków i Chaldejczyków istocie najwyższej i pochodzącego od pierwiastka **AEL**, co obrazuje wzniosłość, siłę i władzę rozlewną i oznacza w pojęciu powszechnym — **Bóg — Hod**, to znaczy **On** jest w jęz. hebrajskim, chaldejskim, syryjskim, etiopskim, arabskim jednym z świętych imion bóstwa. — Fabre d'Olivet „*La langue hébraïque restituée*“.

³⁾ „**Ruah Aelohim** — technienie Boga wskazuje w przenośni ruch rozlewania się, rozszerzania. W znaczeniu hieroglificznym jest to siła przeciwstawna ciemnościom. O ile

astralne, substancja, która tworzy dusze i w której rozwijają się one jak we fluidzie lotnym, żywioł subtelny, po przez który przenosi się myśl na przestrzenie nieskończone; światłość boska, która poprzedzała wszystkie słońca i z nich się wyłaniała. Zrazu rozlewa się ona w Bezmiarze; jest to potężny **wydech** Boga; potem zwiera się ruchem miłosnym w samej sobie, głęboki **wdech** Przedwiecznego. W falach eteru boskiego drgają, niby pod osłoną przezrzystą, formy astralne światów i istot. A wszystko to streszcza się dla Maga — proroka w słowach, które wypowiada on i które świecą w ciemnościach zgłoskami błyszczącymi: „**RUA AELOHIM AUR**“¹⁾).

„Niech będzie Światłość i stała się Światłość“. Technienie Aelohima jest światłością!

Z łona pierwotnego tego światła niematerialnego wytryskuje pierwszych sześć dni Tworzenia, zatem: nasiona, pierwiastki, kształty, dusze życia wszechrzeczy. To Wszechświat w potędze, przed ukształtowaniem, w Duchu poczęty. A jakież jest ostatnie słowo Tworzenia, formuła, streszczająca Istotę w czynie, Słowo żywe, w którym

wyraz **ciemność** cechuje siłę zwierającą, o tyle wyraz **ruah** będzie cechował siłę rozwierającą. W jednym i w drugim powtarza się wiekuisty układ dwu sił przeciwstawnych, które mędry i uczeni wszystkich epok, od Parmenidesa i Pytagorasa do Kartezjusza i Newtona, widzieli w przyrodzie i określali różnymi nazwami“. — Fabre d'Olivet „**Langue hébraïque**“.

¹⁾ **Oddech — Aelohim — Światło**. Trzy te nazwy są streszczeniem hieroglificznym drugiego i trzeciego wersetu Księgi Rodzaju. Tekst hebrajski 3-go werstetu tak się przedstawia. **Wa—iaomer Aelohim ichi—aur, wa iehi aur**. Przekład dosłowny, podług Fabre'a d'Olivet, będzie brzmiał jak następuje: „I On, rzekł On Istota istot: będzie uczyniona światłość; i była uczyniona światłość“. Wyraz **rua** oznaczający technienie, znajduje się w drugim wersecie. Zwrócić należy uwagę, że wyraz **aur**, oznaczający światło, jest wyrazem **rua**, czytany w odwrotnym porządku. Technienie boże, zwierające się w sobie — wdech — stwarza światłość duchową.

ujawnia się pierwsza i ostatnia myśl Istoty doskonałej? To:

ADAM EWA.

Mężczyzna — Kobieta. Symbol ten nie wyobraża bynajmniej, jak uczy kościół i jak sądzą nasi wykładowcy Pisma świętego, pierwszego stadła ludzkiego na ziemi, ale Boga czynnego we wszechświecie oraz symbol rodzaju ludzkiego; Ludzkość wszechświata poprzez wszystkie nieba. „Bóg stworzył człowieka na podobieństwo swoje; stworzył go mężczyzną i niewiastą“. Ta para boska jest słowem powszechnym, którym Jowe objawia własną naturę poprzez światy. Sferą, którą zamieszkuje on pierwotnie i którą Mojżesz ogarnia potęgą myśli swojej, nie jest ogród Edenu, ów legendarny raj ziemski, lecz przejściowa sfera bezkresna Zoroastra, nad-ziemia Platona, powszechne państwo niebieskie, Heden, Hadama, substancja wszystkich ziem. Ale jaką będzie ewolucja Ludzkości w czasie i przestrzeni? Mojżesz widzi ją w postaci streszczonej w historii upadku. W Księdze Rodzaju Psyche, Dusza ludzka, zwie się **Aisza**, odmiana imienia Ewy¹⁾. Jej ojczyzną jest **Szamaim**, niebo. Żyje ona w nim szczęśliwa w eterze boskim, lecz nieświadoma siebie samej. Cieszy się niebem, nie rozumiejąc go, albowiem, aby zrozumieć je, należy zapomnieć o nim i znów wskrzesić w sobie pamięć jego; aby pokochać je — należy utracić je i odzyskać ponownie. Przez cierpienie tylko zdobędzie ona owo poznanie; dopiero po upadku zrozumie. O ileż głębszym i bardziej tragicznym jest ten upadek, aniżeli ów z Biblii dziecięcej, którą czytamy: Pociągnięta żądzą poznania ku otchłani mrocznej, spada Aisza... Przestaje być duszą czystą, mającą jedynie ciało gwiazdowe i żywiącą się boskim eterem. Przyodziewa się w ciało materialne i wchodzi w krąg pokoleń. Przechodzi nie przez jedno wcielenie, lecz przez setki, tysiące wcieleń, w ciało coraz grubsze, za-

¹⁾ Genesis II. 23. **Aisza**, Dusza, zlaną tutaj z kobietą, jest małżonką **Aisz'a**, Intelaktu zlanego z mężczyzną. Wzięta ona jest z niego, stanowi nierozłączną jego połowę, jego wolę. — Ten sam sosunek zachodzi pomiędzy Dionizosem i Persefoną w Misteriach orfjckich.

leżnie od planet, które zamieszkuje. Spada ze świata w świat... Spada i zapomina... Czarna zasłona zakrywa oko jej duszy. Tli jeszcze w niej iskierka słabego i bladego (jak utracona nadzieja) wspomnienia dawnego szczęścia; w grubej tkance materii zatracą się boska świadomość, zaciemnia się pamięć nieba. Z iskierki tej ma się ona odrodzić i przetrworzyć.

Tak, Aisza żyje jeszcze w tej parze istot nagich, leżących bezbronne na ziemi dzikiej, pod wrogim niebem, które rozdziera ryk gromu. Raj utracony? — Przed nią, za nią, bezmiar osłoniętego nieba! Tak rozpatruje Mojżesz pokolenia Adama we wszechświecie ¹⁾, a potem przeznaczenia człowieka na ziemi. Widzi okresy minione i teraźniejszość. W Aiszy ziemskiej, w duszy ludzkości, poczucie Boga jaśniało niegdyś wraz z ogniem Agni, w Krajinie Kusz, na zboczach Himalajów.

Lecz oto na wygaśnięciu jest dusza ludzkości, tonąca w bałwochwalstwie, opanowana przez żądze piekielne, zdławiona przez tyranję asyryjską, pośród ludów zwaśnionych i bogów wzajem się pożerających. Mojżesz przysięga sobie, że ją wskrzesi przez ustanowienie kultu Aelohima.

Ludzkość cała, podobnie jak każdy człowiek, powinna być podobizną Iewy. Gdzie jednak znaleźć naród, który będzie jego wcieleniem i żywym słowem ludzkości?

Tedy Mojżesz, powziąwszy myśl księgi swojej i dzieła swojego, zgłębiwszy mroki duszy ludzkiej, wypowiada wojnę Ewie ziemskiej, naturze słabej i zepsutej. Dla zwalczania jej i podniesienia z upadku wzywa Ducha, Ogień pierwotny i wszechpotężny, Iewe, do którego źródła wzniósł się powtórnie. Czuje, że wybliski jego rozżarzają go i hartują, jak stal. Jego imię jest Wola.

I w czarnej ciszy podziemia słyszy Mojżesz głos. Wychodzi on z głębin jego sumienia, drga jak światło i mówi: „Idź na górę Pana, na Horeb“.

¹⁾ W samarytańskim wykładzie Biblii do imienia Adama dodane jest określenie **powszechny, nieskończony**. Mowa tu jest zatem o rodzaju ludzkim, o panowaniu człowieka we wszystkich światach.

IV

WIDZENIE NA GÓRZE SYNAJ

Ciemna bryła granitowa, tak naga, tak poszarpana biegiem wód pod olśniewającymi potokami słońca, iż rzekłbyś, poryta błyskawicami i wyrzeźbiona przez pioruny. To szczyt Synaju, tron Aelohima, — mówią synowie pustyni. Naprzeciw niej niższa góra, skały Serbalu, też dzięk i urwiste. We wnętrzu ich kopalnie miedzi, pieczary. Pomiędzy dwiema tymi górami ciemna dolina, chaotyczne zbiorowisko gładów, zwane przez Arabów Horeb, czyli Ereb z legendy semickiej. Ponura jest ta dolina smutku, kiedy zapadnie w niej noc, przyspieszona cieniem, kładącym się od Synaju; bardziej jeszcze ponura, kiedy szczyt góry spowije szyszak chmur, z pod których groźne strzelają błyski. Wichur straszliwy dmie wówczas w ciasnym przesmyku. Wieść idzie, że Aelohim obala tam śmiałków, którzy ważą się walczyć z nim i ciska ich w przepaście, gdzie roztopiają się nawałnice. Tam również, mówią Madianicy, błakają się złowrogie cienie olbrzymów, **Refaim**, druzgoczące skały i obalające je na tych, którzy próbują wdrzeć się do miejsca świętego. Tradycja ludowa utrzymuje też, że Bóg Synaju ukazuje się czasem w słupie ognistym, niby głowa Meduzy o orlich lotkach. Biada tym, którzy ujrzą jego oblicze. Widzieć go — znaczy umrzeć.

Tak opowiadali koczownicy wieczorami, siedząc i gawędząc pod namiotem, kiedy wielbłądy i niewiasty sen już zmorzył. Faktem jest, że tylko najśmielsi spośród wtajemniczonych Jetry wspinali się aż do jaskini Serbalu i pozostawali tam szereg dni, poświęcając się postom i mo-

dlitwom. Mędracy z Idumei czerpali tam natchnienie. Było to miejsce, poświęcone od niepamiętnych czasów widzeniom nadziemskim, Elohimom, czyli duchom świetlanym. Ani jeden kapłan, ani jeden myśliwy nie byłby się zgodził poprowadzić tam pielgrzyma.

Mojżesz szedł nieustraszony w górę przez wąwóz Horebu. Przeszedł on bez lęku w sercu przez dolinę śmierci i przez jej zwaliska skał. Wtajemniczenie ma, jak wszelki wysiłek ludzki, swoje okresy pokory i dumy. Wdzierając się po stopniach góry świętej, stanął Mojżesz u szczytu dumy, bowiem dotarł na wyżyny potęgi ludzkiej. Zdało mu się, że jest zespolony z Istotą najwyższą. Gorejące purpurą słońce chyliło się na złom wulkaniczny Synaju, którego fioletowe cienie słały się już na doliny, kiedy stanął Mojżesz przy wnijsciu do pieczary, osłoniętym nędzną roślinnością drzew terpentynowych. Chciał już wejść do środka, gdy wtem olśniła go jasność nagła, która go spowiła dokoła. Wydało mu się, że ziemia pali mu się pod stopami i że góry granitowe zamieniły się w morze płomieni. U wnijscia do groty stała zjawa olśniewająca światłością, patrząca na niego i zagradzająca mu mieczem drogę. Mojżesz upadł twarzą na ziemię, jak rażony gromem. Wzrok Anioła przeszył go swoim światłem. Cała jego duma prysła w jednej chwili. Wiedziony owym głębokim odczuciem faktów budzącym się w stanie jasnowidzenia, zrozumiał, że świetlana istota owa nakaże mu spełnienie rzeczy strasznych. Chciałby uchylić się od posłannictwa swojego i wczołgać się pod ziemię jak gad nędzny.

Ale głos jakiś zawołał: — Mojżeszu! Mojżeszu!

A on odrzekł: — O to jest!

— Nie zbliżaj się do tego miejsca. Zzuj sandały ze stóp twoich. Bowiem miejsce, na którym się znajdujesz, jest ziemią świętą.

Mojżesz ukrył oblicze w dłoniach. Lękał się widoku Anioła i spotkania się z jego wzrokiem.

A Anioł rzekł do niego: — Ty, który szukasz Aelohima, czemu drżysz przede mną?

— Ktoś ty?

— Promień Aelohima, Anioł słoneczny, wysłannik Te-go, który jest i który będzie.

— Co rozkazujesz?

— Powiesz dzieciom Izraela: Wiekuisty, Bóg ojców waszych, Bóg Abrahama, Bóg Izraela, Bóg Jakuba posłał mnie do was, aby wywieść was z kraju niewoli.

— Kim jestem — zapytał Mojżesz — abym wywieść miał dzieci Izraela z Egiptu?

— Idź — rzekł Anioł — bowiem będę z tobą. Rozpalę ogień Aelohima w sercu twoim i położę słowa jego na wargach twoich. Od czterdziestu lat wzywasz go. Głos twój doszedł do niego. Oto biorę cię jego imieniem. Synu Aelohima, należysz do mnie na zawsze.

A Mojżesz ośmielony zawołał: — Ukaż mi Aelohima! Niech ujrzę jego ogień żywy.

Podniósł głowę. Ale morze ognia znikło i Anioł znikł też jak błyskawica. Słońce zniżyło się na zgasłe wulkany Synaju; cisza śmierci zaległa nad doliną Horebu; Głos, który zdawał się rozbrzmiewać w lazurze i ginąć w nieskończoności, mówił:

„Jestem Ten, który jestem“.

Po widzeniu tym czuł się Mojżesz zupełnie złamanym. Przez chwilę wydało mu się, jak gdyby ciało jego strawił ogień Eteru. Ale duch jego był mocniejszy. Kiedy zszedł ponownie do świątyni Jetry, czuł, że gotów jest do spełnienia swego dzieła. Żywa myśl jego kroczyła przed nim, jak Anioł zbrojny w miecz ognisty.

EXODUS ¹⁾ — PUSTYNIA — MAGIA I SZTUKA WY-
WOŁYWANIA DUCHÓW — TEURGIA

Zamierzenie Mojżesza było jednym z najniezwykłych, najśmielszych, jakie człowiek powziął kiedykolwiek. Wyrwać lud spod jarzma narodu tak potężnego jak egipski; poprowadzić go na podbój kraju zajętego przez ludność wrogą i lepiej uzbrojoną; wieść go przez dziesięć, dwadzieścia, czy czterdzieści lat po pustyni, palić go pragnieniem, wyczerpywać głodem; drażnić go, jak rumaka pełnej krwi, strzałami Hetitów i Amalecytów, gotowych rozbić go na miazgę; wyodrębnić go z jego namiotem Wiekuistego, w którym spoczywała arka przymierza, spośród narodów bałwochwalczych, narzucić mu jego różdżką ogniową kult jedyne Boga i wpoić w niego taki lęk przed tym Bogiem, takie ubóstwianie go, aby wcielił się On w niego, aby stał się jego symbolem narodowym, celem wszystkich jego dążeń i jego racją bytu;—takim było niesłychanie śmiałe dzieło Mojżesza.

Wyjście z Egiptu było na długo naprzód obmyślane i przygotowane przez proroka, przez głównych wodzów izraelskich i przez Jetrę. Dla wprowadzenia w czyn swojego zamierzenia skorzystał Mojżesz z chwili, kiedy Menefta, dawny jego towarzysz studiów, obecny faraon, zajęty był odpieraniem groźnego najazdu króla Libijczy-

¹⁾ Exodus — wyjście, nazwa drugiej księgi Pięcioksięgi Mojżesza.

ków, Mermaiu. Cała armia egipska, skoncentrowana na Zachodzie kraju, nie mogła powstrzymać Hebrajczyków i masowa ich emigracja dokonała się bez przeszkody.

Oto już Beni-Izrael w drodze. Długi sznur karawan, z mnóstwem wielbłądów objuczonych namiotami, z niezliczonymi stadami bydła, przygotowuje się do okrążenia morza Czerwonego. Jest ich zrazu tylko kilka tysięcy ludzi. Z czasem rzesze wychodźcze pomnożą „wszelkiego rodzaju ludzie“ — mówiąc słowami Biblii: Chanańczycy, Edomici, Arabowie, Semici różnych szczepów, pociągnięci i olśnieni przez proroka pustyni, który wzywa ich ze wszystkich stron świata, aby urobić ich na swoją modłę. Jądro tego ludu tworzy Beni-Izrael, lud prawy, ale twarde, uparty i buntowniczy. Wodzowie jego, **hagowie**, wpoili mu kult Boga Jedyneho, który stał się u nich wzniosłą tradycją patriarchalną. Lecz u tych natur pierwotnych i gwałtownych jest monoteizm zaledwie uświadomieniem wyższym i niestałym. Gdy tylko budzą się w nich złe ich żądze, instynkt politeizmu, tak zrozumiały u człowieka, bierze znów górę. Wpadają wówczas ponownie w gminne zabobony, w hołdowanie czarnoksięstwu i w bałwochwalcze praktyki narodów sąsiadujących z Egiptem i Fenicją, które Mojżesz będzie zwalczał prawami drakońskimi.

Dokoła proroka rządzącego tym ludem gromadzi się grupa kapłanów pod przywództwem Aarona, brata jego we wtajemniczeniu oraz prorokini, Marii, która uosabia już w Izraelu wtajemniczenie żeńskie. Grupa ta tworzy stan kapłański. Wraz z nimi skupia się dokoła proroka lewy siedemdziesięciu starszych wybranych lub wtajemniczonych świeckich, którym powierzy Mojżesz swoją doktrynę tajemną oraz tradycję ustną, odda w ich ręce część swojej władzy, uczyni ich parokrotnie uczestnikami natchnień swoich i swoich widzeń.

W środku tej grupy niesiona jest arka złota, której pomysłu wziął Mojżesz ze świątyń egipskich, gdzie służyła ona za miejsce ukrywania ksiąg teurgicznych; przekształcił ją jednak na nową modłę, zgodną o osobistymi jego zamierzeniami. Arkę Izraela wieńczą cztery cheruby złote podobne do sfinksów i przypominające cztery stworzenia symboliczne z widzenia Ezechielowego. Jedno ma głowę lwa, drugie — byka, trzecie — orła, a ostatnie — ludzką.

Symbolizują one cztery żywioły wszechświata: ziemię, wodę, powietrze i ogień, a także cztery światy, wyrażone przez cztery litery boskiego tetragramu. Skrzydła cherubów okrywają złoty stół arki, tzw. ubłagalnię. Arka ta stanie się narzędziem zjawisk elektrycznych i świetlnych, które będą dziełem magii Ozyrysowego kapłana. Zjawiska te, wyolbrzymione przez legendę, będą źródłem opowieści biblijnych. W arce złotej mieści się nadto Sefer Bereszyt, czyli księga kosmogonii, ułożona przez Mojżesza egipskim pismem hieroglificznym, oraz laska czarnoksiężka proroka, nazwana w Biblii różdżką. Zawarta w niej też będzie księga przymierza czyli przykazania z góry Synaj. Mojżesz nazwie arkę tronem Aelohima; bowiem złożona w niej jest święta tradycja, posłannictwo Izraela, myśl Iewy.

Jaki ustrój polityczny dał Mojżesz swojemu ludowi? Co do tego przytoczyć należy jeden z najciekawszych ustępów Biblii (Exodus). Ustęp ten tymbardziej sprawia wrażenie nader starożytnego i autentycznego, że wykazuje słabe strony Mojżesza, jego dumę kapłańską i skłonność do tyranii teokratycznej, którą pokonywał w sobie etiopski jego mistrz.

„I stało się nazajutrz, że usiadł Mojżesz, aby sądzić lud. I stał lud przed Mojżeszem od poranka aż do wieczora.

A widząc świekier Mojżeszowy wszystko, co on czynił z ludem, rzekł:

— Cóż to jest, co ty czynisz z ludem? czemuż ty sam siedzisz, a lud wszystek stoi przed tobą od poranka aż do wieczora?

Tedy Mojżesz odpowiedział świekrowi swemu: Przychodzi lud do mnie, aby się radził Boga.

Gdy sprawę jaką mają, przychodzą do mnie, a rozsądzam ich, oznajmiając ustawy Boże i prawa Jego.

Zatym rzekł świekier Mojżeszowy do niego: Niedobra rzecz, którą ty czynisz.

Napewno ustaniesz, i ty i lud twój, który jest z tobą, bo nazbyt ciężka to rzecz nad siły twoje; nie będziesz jej męgł ty sam podołać.

Przeto usłuchaj teraz głosu mego, poradzę ci, a będzie Bóg z tobą; stój ty za lud przed Boga, a sprawy odnoś do Boga.

A nauczaj ich też ustaw i praw, oznajmiając im drogę, którąby chodzić i dzieło, któreby czynić mieli.

Obierz też z całego ludu mężów statecznych, bojących się Boga, mężów prawdomównych, którzyby nienawidzili zysków nieuczciwych, postanów z nich przełożonych, tysięcy, setników, pięćdziesiątników i dziesiątników.

I niech na każdy czas lud sądzić będą: a gdy będzie rzecz wielka, odniosą ją do ciebie, a każdą rzecz małą sądzić będą sami; tedy ulżą tobie, gdy poniosą część ciężaru z tobą.

Jeśli to uczynisz, a rozkaże ci to Bóg, będziesz mógł ostoić się i wszystek lud na miejsce swoje powróci w pokój.

I usłuchał Mojżesz rady świekra swojego, a uczynił wszystko, jako mu on powiedział¹⁾.

Z ustępu tego wynika, że w ustanowionym przez Mojżesza ustroju Izraela władza wykonawcza uważana była za wpływ władzy sędowniczej i podporządkowana kontroli władzy kapłańskiej. Takim był sposób rządzenia, przekazywany przez Mojżesza następcom jego w myśl mądrej rady Jetry. Takim też pozostał za Sędziów, od Jozuego do Samuela, aż do przywłaszczenia władzy przez Saula. Czasu królów zatracać zaczęło poniżone kapłaństwo tradycję Mojżeszową, która utrzymana została jedynie przez proroków.

Zaznaczyliśmy już, że Mojżesz nie był patriotą, lecz jedynie poskromicielem ludów, mającym na względzie losy ludzkości całej. Lud Izraela był dla niego tylko narzędziem, celem jego była religia powszechna i myśl jego ułatywała ponad głowami koczowników w przyszłość. Od wyjścia z Egiptu aż do śmierci Mojżesza była cała historia narodu Izraelskiego długą walką między prorokiem a jego ludem.

Mojżesz poprowadził plemiona izraelskie najpierw na puszczę Synaj, równinę bezpłodną, rozciągającą się u stóp wyżyny, poświęconej przez wszystkich Semitów Aelohi-

¹⁾ Exodus XVIII. 13-24. Doniosłość ustępu tego, ze stanowiska społecznego ustroju ludu izraelskiego, słusznie podkreślił Saint-Yves w pięknej książce swojej: „La mission des Juifs“.

mowi i będącej dla samego Mojżesza miejscem objawienia. Na tym samym miejscu, na którym Geniusz proroka owładnął nim, chciał prorok owładnąć ludem swoim i wycisnąć na czole jego piętno Iewy: dziesięcioro przykazań, potężną syntezę prawa moralnego, uzupełnienie prawdy tajemnej, ukrytej w hermetycznej księdze arki.

Nic bardziej tragicznego nad pierwszą tę rozmowę proroka z jego ludem. Zachodziły tam sceny dziwne, krwawe, straszliwe, pozostawiające niby odcisk rozpalonego żelaza na udreńczonym ciele Izraela. Łatwo, pod wyolbrzymieniem legendy biblijnej, domyśleć się możliwej rzeczywistości faktów.

Wybrane plemię rozłożyło się obozem na płaskowzgórzu Faranu, u wejścia do dzikiego wąwozu, prowadzącego do skał Serbalskich. Groźny szczyt Synaju góruje nad tym gruntem kamienistym, wulkanicznym, wstrząsanym wybuchami. Wobec wszystkiego zgromadzonego ludu oznajmia Mojżesz uroczyście, że idzie na górę Synaj, aby zasięgnąć rady Aelohima i że przyniesie stamtąd prawo pisane na tablicy kamiennej. Rozkazał ludowi, by czuwał i pościł i czekał na niego w czystości i modlitwie. Arkę przenośną, którą okrywa namiot cymborium, pozostawia pod ochroną siedemdziesięciu Starszych, poczym znika w wąwozie, zabierając jedynie swego wiernego ucznia imieniem Jozue.

Mijają dni — Mojżesz nie wraca. Lud niepokoi się zrazu, a potem szemrze: „Przecż było przywodzić nas na tę puszcę okrutną i wydać na łup Amalecytom? Przyobiegał nam Mojżesz, że powiedzie nas do ziemi Chanańskiej, mlekiem i miodem płynącej, a oto mrzemy na puszczy. Lepsza była niewola w Egipcie, niżli to życie nędzne. Dałby Bóg, abyśmy mieli jeszcze mięsiwa owe, które tam spożywaliśmy. Jeśli Bóg Mojżesza jest prawdziwym Bogiem, niech to okaże, niech rozproszeni będą wszyscy jego wrogowie i niech wnijsć nam da natychmiast do ziemi obiecaniej“. Szemrania te potęgują się wciąż; lud się buntuje; starsi nawet udział w tym biorą.

A oto występuje grupa kobiet, szepczących i szemrających między sobą. Są to Moabitanki, czarnoskóre, o ciążach gібkich i kształtach pełnych, nałożnice czy służebnice wodzów Edonitańskich, sprzymierzonych z ludem Izra-

elskim. Przypominają sobie, że były kapłankami Astarty i że odprawiały orgie ku czci bogini w świętych lasach kraju rodzinnego. Czują, że wybiła godzina odzyskania utraconej władzy. Przychodzą, strojne w złoto i jaskrawe materie, przychodzą z uśmiechem na ustach, niby sznur pięknych wężów, wychodzących spod ziemi i połyskujących w słońcu falistymi kształtami swoimi o metalicznych odblaskach. Przyłączają się do zbuntowanych, wpatrują się w nich wzrokiem płomiennym, oplatają ich ramionami, na których pobrzękują kolce miedziane i kuszą ich mową miodną: „Kimże jest ów kapłan z Egiptu? Kim Bóg jego? Umarł pewnie na Synaju. Nie on powiedzie plemiona do Chanaanu. Dzieci Izraela wzywać winny bogów moabitańskich: Belfegora i Astartę! To są prawdziwi bogowie cuda czyniący. Oni to powiodą ich do ziemi Chanaankiej“.

Zbuntowani słuchają mowy Moabitanek; jedni podniecają drugich i oto rozbrzmiewa okrzyk tłumu: „Aaronie, uczynź nam bogi, któreby szły przed nami, bo Mojżeszowi, mężowi temu, który nas wywiódł z ziemi Egipskiej, nie wiemy, co się stało“.

Aaron daremnie usiłuje uspokoić tłum. Moabitanki przywołują kapłanów fenickich, przybyłych z karawaną. Ci przynoszą wyciosany z drzewa posąg Astarty i stawiają go na kamiennym ołtarzu. Zbuntowani zmuszają Aarona, grożąc mu śmiercią, aby oddał cielca złotego, jedną z postaci Belfegora. Poświęcają byki kozły na ofiarę całopalną obcym bogom i zasiadają do jadła i picia. Rozpoczynają się dokoła bałwanów tańce lubieżne, prowadzone przez Moabitanki przy dźwiękach neblów, kinnorów i tułumbasów, wprawianych w ruch przez niewiasty.

Daremnie usiłowało siedemdziesięciu Starszych, wybranych przez Mojżesza, powstrzymać łajaniem to rozprężenie. Teraz siadają oni na ziemi, nakrywszy głowy workami popiołu. Skupieni dokoła ubłagalni arki, słuchają z przerażeniem dzikich okrzyków, śpiewów lubieżnych, wzywania bogów wyklętych, demonów rozwiązłości i okrucieństwa. Widok tego ludu, tonącego w rozpuście i buntującego się przeciw Bogu swemu napełnia ich odrazą. Co się stanie z Arką, Księżą i Izraelem, jeśli Mojżesz nie powróci?

Mojżesz wraca jednak. Z długiego swojego zamknięcia się w sobie, z osamotnienia swojego na górze Aelohima przynosi on Zakon wypisany na tablicach kamiennych¹⁾. Przyszedłszy do obozu, widzi tańce, bachanalie ludu swojego przed posągami Astarty i Belfegora. Na widok kapłana Ozyrysowego, proroka Aelohima, przerywają się tańce, obcy kapłani uciekają, zbuntowanych opanowuje niepokój. Wre gniew w Mojżeszu jak ogień pożerający. Rozbija tablice kamienne i czuje się, że rozbiłby cały ten lud i że Bóg nim owładnął.

Drży lud Izraelski; na dnie oczu rokoszan, ukryta pod lękiem, czai się nienawiść. Jedno słowo, jeden ruch, zdradzający anarchię podniesie przeciw niemu tysiące łbów swoich i gradem kamieni zmiecie arkę świętą, proroka i jego ideę. Ale Mojżesz stoi niewzruszenie, a za nim potęgi niewidzialne, które go strzegą. Rozumie on, że należy przede wszystkim wznieść na własne wyżyny dusze siedemdziesięciu wybranych, a przez nich lud cały. Wzywa Aelohima — Jewę, Ducha męskiego, Ogień pierwotny z głębi duszy własnej i z głębi nieba.

— Zbliżcie się do mnie, wy siedemdziesięciu! — woła Mojżesz. Weźmiecie arkę i udacie się wraz ze mną na górę Bożą. A zaś lud ten niech czeka i drży. Przyniosę mu sąd Aelohima.

Kapłani-lewici wyjmują z namiotu arkę złotą spowitą w zasłony i orszak siedemdziesięciu znika wraz z prorokiem w wąwozie Synaju. Niewiadomo, kto drży bardziej: czy lewici przed tym, co mają zobaczyć, czy lud przed karą, którą zawiesił Mojżesz nad ich głowami niby miecz niewidzialny.

— O! gdyby można było wymknąć się ze straszliwych rąk tego kapłana Ozyrysowego, tego proroka nieszczęsnego! — mówią buntownicy. I połowa obozu zwija pospiesznie namioty, siodła wielbłądy i szykuje się do ucieczki. Gdy oto zmierzch dziwny, zasłona kurzawy zaciąga niebo,

¹⁾ W starożytności słowa, pisane na kamieniu, uchodziły za szczególnie święte. Hierofanta Eleuzyjski odczytywał w tajemniczym z tych tablic kamiennych rzeczy, o których przysięgli nie mówili nikomu i które nie były wypisane w żadnym innym miejscu.

ostry wiatr dmie od Morza Czerwonego, puszcza przybiera barwę płową i ściemnioną, poza Synajem gromadzą się wielkie chmury. W końcu niebo staje się zupełnie czarne.

Dmący wiatr nawiewa fale piasku, błyskawice rozdzierają potokami deszczu skłębione dokoła Synaju chmury. Niebawem olśniewa niebo błysk gromu; ryk jego, odbity o ściany wszystkich wąwozów górskich, rozlega się po obozie wielokrotnymi wybuchami, czyniąc łomot przeraźliwy. Lud nie wątpi już, że to gniew Aelohima, wywołany przez Mojżesza. Córki Moabskie znikły. Lud obala bałwany bożków, wodzowie padają na ziemię, dzieci i kobiety kryją się pod brzuchy wielbłądów. Trwa to noc całą, cały dzień. Piorun spada na namioty, zabija ludzi i zwierzęta, i wciąż jeszcze rozlegają się huki gromu.

Ku wieczorowi ścicha burza, chmury dymią się jednak ciągle na szczycie Synaju, a niebo pozostaje czarne. Ale oto u wnijscia do obozu ukazuje się ponownie siedemdziesięciu Starszych z Mojżeszem na czele. W mdłym świetle zmierzchu oblicze proroka i jego wybranych promienieje światłem nadziemskim, jak gdyby przynosili oni na twarzach swoich olśniewający odblask wizji wzniosłej. Na arce złotej, na cherubach o skrzydłach ognistych, migocze błysk elektryczny, jak kolumna fosforyzująca. Na ten widok niezwykle starszozna i lud, mężczyźni i niewiasty, padają zdala na twarz.

— Niech ci, którzy są za Wiekuistym, zbliżą się do mnie — rzekł Mojżesz.

Trzy czwarte starszozny Izraelskiej skupia się dokoła Mojżesza; rokoszanie ukryci są w swoich namiotach. Wówczas występuje prorok i rozkazuje wiernym swoim wyciąć w pień przywódców buntu oraz kapłanki Astarty ażeby drżał Izrael po wsze wieki przed Aelohimem, aby pamiętał o Zakonie danym na górze Synaj i jego pierwszym przykazaniu: „Jam jest Przedwiecznym Bogiem twoim który cię wywiódł z ziemi Egipskiej, z domu niewoli. Nie będziesz miał innego Boga przede mną. Nie czyn sobie obrazu rytego ani żadnego podobieństwa rzeczy tych, które są na niebie w górze i które na ziemi nisko i które są w wodach pod ziemią“.

Tak właśnie napoły grozą i napoły tajemniczością na-

rzucił Mojżesz ludowi swemu zakon swój i swoją religię.

Co wszakże widziało owych siedemdziesięciu na górze Synaj? Piąta Księga Mojżeszowa — Deuteronomium (XXXIII, 2) mówi o ogromnym widzeniu, o dziesięciu tysiącach świętych, którzy pojawili się na Synaju wśród nawałnicy, w jasności Jewy. Czy wszyscy Mędrcy starożytnego cyklu, starożytni wtajemniczeni asyryjscy, hinduscy, perscy i egipscy, wszyscy szlachetni synowie Azji, ziemi Boga, zstąpili aby dopomóc Mojżeszowi w jego dziele i wywarli nacisk rozstrzygający na świadomość jego wyznawców? Potęgi duchowe, czuwające nad ludzkością, są zawsze obecne, zasłona wszakże, która nas od nich oddziela, rozdziera się w rzadkich jedynie momentach i to dla nielicznych tylko wybranych. Niewątpliwie jednak natchnął Mojżesz owych siedemdziesięciu ogniem bożym i energią własnej woli. Stanowili oni pierwszą świątynię, przed świątynią Salomona; świątynię żywą, świątynię ruchomą, serce Izraela, królewskie światło Boga.

Dzięki zajściom na górze Synaj, dzięki masowemu wyłączeniu zbuntowanych zyskał Mojżesz władzę nad koczowniczymi Semitami, którą utrzymać umiał żelazną ręką. Zajścia podobne, wywołujące z konieczności nowe przeciwdziałanie silnej władzy, powtarzać się musiały podczas pochodów i kontr-pochodów ku ziemi Chanaanській. Mojżesz, tak samo jak Mahomet, rozwinąć musiał zarazem geniusz proroka, wojownika i organizatora społecznego. Zmuszony był staczać walki ze zniechęceniem, oszczerstwem i knowaniami. Po zdławieniu buntu ludu należało upokorzyć dumę kapłanów-lewitów, chcących dorównać mu znaczeniem i uchodzić za wtajemniczonych bezpośrednio przez Jewę; zmiążyć należało najniebezpieczniejszych burzycieli porządku w osobach kilku zuchwałych ambitnych wodzów, jak Kore, Datan i Abiram, podsycających bunt ludowy celem obalenia proroka i obwołania króla, co uczynią Izraelici w następstwie z Saulem wbrew oporowi Samuela. Walka ta budzi w Mojżeszu kolejno uczucia oburzenia i litości, czułość ojcowską i rozjuszenie lwa w stosunku do narodu, który szamoce się pod żelaznym uściskiem jego ducha i który mimo wszystko ulegnie mu. Echo tych przeżyć odnajdujemy w przytaczanych

w opowieści biblijnej rozmowach proroka z jego Bogiem, które zdają się ujawniać to, co zachodziło w głębi jego duszy. Według Pięcioksiągu pokonywa Mojżesz zwycięsko wszystkie przeszkody spełnianiem cudów najnieprawdopodobniejszych. Jehowa, pojmowany jako Bóg osobowy, jest zawsze na jego usługi. Ukazuje się on na ubłagalni w postaci obłoku świetlanego zwanego chwałą Pana. Mojżesz sam tylko może się doń zbliżyć; niepowołanych czeka tam śmierć. Namiot, w którym mieści się arka, odgrywa w opowieści biblijnej rolę niejako baterii elektrycznej olbrzymich rozmiarów, która, naładowana ogniem Jehowy, poraża masy ludzkie. Wybuch jej zabija za jednym zamachem synów Aarona, dwustu pięćdziesięciu stronników Korego i Datana, wreszcie czternaście tysięcy ludu! Nadto wywołuje Mojżesz w oznaczonej godzinie trzęsienie, raczej rozstąpienie się ziemi, która pochłania trzech buntowniczych wodzów z namiotami ich i rodzinami. Opowieść ta tchnie poezją straszliwą o rozmachu imponującym. Tyle jest w niej jednak przesady, cechuje ją charakter tak wyraźnie legendarny, że niedorzecznością byłoby wprost rozważać kwestię jej prawdziwości. Nade wszystko zaś nadaje opowieściom tym charakter egzotyczny wola Boga gniewnego i zmiennego, jaką odgrywa w nich Jehowa. Zawsze gotów on piorunować i niszczyć, gdy przeciwnie Mojżesz uosabia mądrość i miłosierdzie. Podobnie dziecinne i tak niezgodne z pojęciem boskości wyobrażenie o istocie Najwyższej równie jest obce świadomości wtajemniczonego przez Ozyrysa, jak świadomości Chrystusa.

Olbrzymia ta przesada zdaje się wszakże być wynikiem pewnych zjawisk, związanych z darem czarnoksięskim Mojżesza i znanych już z tradycji świętyń starożytnych. Rozważyć na tym miejscu wypada, co właściwie sądzić należy o rzekomych cudach Mojżesza ze stanowiska teozofii wyrozumowanej oraz wyjaśnionych punktów wiedzy tajemnej. Starożytność nie tylko Mojżeszowi przypisywała zdolność wywoływania napięciem woli potężnych wtajemniczonych zjawisk elektrycznych w rozmaitych postaciach. Tradycja chaldejska przypisywała zdolność tę magom, tradycja grecka i łacińska niektórym ka-

planom Jupitera i Apollina ¹⁾). W podobnych wypadkach zjawiska te należą istotnie do rzędu elektrycznych. Inna wszakże, bardziej subtelna i bardziej rozlana we wszechświecie siła, którą wielcy wtajemniczeni umieli przyciągać, ześrodkowywać i zużytkowywać, wprowadzać miała tutaj w ruch elektryczność atmosfery ziemskiej. Siła ta nosi u bramanów nazwę **akasa**, magowie chaldejscy zwa ją **ogniem pierwotnym**, kabaliści średniowieczni **wielkim czynnikiem czarnoksięskim**. W nauce współczesnej mogłaby ona być nazwana **siłą lotną**. Można bądź przyciągać ją bezpośrednio, bądź wywoływać za pośrednictwem czynników niewidzialnych, świadomych lub półświadomych, których pełna jest atmosfera ziemska i które umie wykorzystać wola magów. W teorii tej nie ma nic sprzecznego z racjonalistycznym pojmowaniem wszechświata; jest ona nawet nieodzowną dla wytłumaczenia mnóstwa zjawisk, które bez tego pozostałyby niewytłumaczonymi. Dodać jedynie należy, że zjawiskami tymi rządzą prawa niewzruszone, pozostające zawsze w stosunku do intelektualnej, moralnej i magnetycznej siły adepta.

Rzeczą antyracjonalną i antyfilozoficzną byłoby wprowadzanie w ruch przez jakąkolwiek istotę ludzką przyczyny, Boga. Antyracjonalną i antyfilozoficzną byłaby też działalność bezpośrednia przyczyny, spowodowana przez ową istotę, co równałoby się utożsamianiu tej ostatniej z Bogiem. Człowiek względnie tylko wznieść się może do Boga myślą, modlitwą, czynem lub ekstazą. Działalność swoją we wszechświecie sprawuje Bóg pośrednio tylko i hierarchicznie na podstawie niezmiennych praw,

¹⁾ Dwukrotnie odparty został w tych samych warunkach atak na świątynię Delfijską. W r. 480 przed Chr. zaatakowały ją armie Xerksesa, lecz cofnęły się przerażone burzą, której towarzyszyło buchanie płomieni z ziemi oraz spadanie wielkich brył skalnych (Herodot). W r. 279 przed Chr. zaatakowana została świątynia ponownie najściem Galów i Kimrysów. Nieliczna garstka Foreńczyków broniła miasta. Barbarzyńcy natarli, ale w chwili kiedy wtargnąć mieli do świątyni, rozszalała burza i Foreńczycy pokonali Gallów. (Patrz piękną opowieść o **Historii Gallów** Am. Thierry, ks. II).

powszechnych, oddających myśl jego, jak również przez członków społeczności ziemskiej i boskiej, którzy są jego częściowymi i stosunkowymi przedstawicielami w bezkresie przestrzeni i czasu.

Ustaliwszy punkty te, uważamy za rzecz zupełnie możliwą, aby Mojżesz, któremu pomocne były opiekujące się nim potęgi duchowe i który posiada w wysokim stopniu zdolność kierowania siłą lotną, mógł posługiwać się arką, jako rodzajem zbiornika, ześrodkowująca przyciągającego, celem wywoływania zjawisk elektrycznych o sile piorunującej. Odzież lniana, jaką przywdziewał on, jego kapłani i powiernicy, jak również wonności, których używali, izolowały ich skutecznie i broniły przed wybuchami ognia lotnego. Zjawiska te mogły być wszakże rzadkie tylko i ograniczone. Legenda kapłańska wyolbrzymiła je. Wystarczać musiało Mojżeszowi porażenie za pomocą wyładowania fluidu kilku opornych wodzów lub buntowniczych kapłanów dla steroryzowania i zupełnego poskromienia ludu.

VI

SMIERĆ MOJŻESZA

Kiedy Mojżesz doprowadził lud swój do Chanaanu, uczuł, że dzieło jego zostało spełnione. Czym był Jewe-Aelohim dla proroka z Synaju? Porządkiem boskim, oglądanym z góry w dół poprzez wszystkie sfery wszechświata i urzeczywistnionym na ziemi widzialnej, na wzór hierarchii niebiańskiej i prawdy wiekuistej. Nie, nie nadaremnie oglądał on oblicze Wiekuistego, odzwierciadlające się we wszystkich światach. W Arce spoczywała Księga, a czuwał nad Arką lud silny, żywa świątynia Pana. Kult Boga jedyne ustanowiony został na ziemi; imię Jewy jaśniało głoskami płomiennymi w świadomości Izraela; fale wieków przepływać mogą nad zmienną duszą ludzkości, nie wymażą one z niej wszakże imienia Wiekuistego.

Zdawał sobie Mojżesz sprawę z tego, wezwał więc Anioła Śmierci. Nałożeniem rąk na głowę następcy swojego, Jozuego, pobłogosławił go przed Arką przymierza, aby Duch Boży przeszedł w niego, po czym pobłogosławił ludzkość całą poprzez dwanaście pokoleń Izraela i wstąpił z równin Moabskich na górę Nebo, a towarzyszył mu tylko Jozue i dwaj lewici. Aaron „przyłączony został do ojców swoich“, prorokini Maria tą samą odeszła drogą. Przyszła kolej na Mojżesza.

Jakież były myśli proroka stodwudziestoletniego, kiedy znikł z przed oczu jego obóz Izraela i kiedy wstąpił na wielką samotnię Aelohima? Czego doświadczył, kiedy mu ukazał Pan wszystką ziemię od Galaad aż do Jerycho.

miasta palm? Prawdziwy poeta¹⁾, oddając po mistrzowsku ten nastrój duszy, wkłada w usta Mojżesza taki okrzyk:

Samotnym życiem gdy, Panie, się strudzę,
Pozwól snem ziemi zasnąć Twemu słudze.

Piękne te słowa więcej mówią o duszy Mojżesza, aniżeli komentarze setki teologów. Dusza ta podobna wielkiej piramidzie z Gizeh, potężna, naga i zamknięta jest na zewnątrz, ale kryjąca wielkie tajniki we wnętrzu swoim i mieszcząca w sobie sarkofag, zwany przez wtajemniczonych sarkofagiem zmartwychwstania. Stąd przez przejście ukośne dostrzec można było gwiazdę polarną. W taki sam sposób dostrzegł nieprzenikniony umysł Mojżesza spośródka duszy własnej cel ostateczny wszechrzeczy.

Tak, wszyscy potężni znają samotność, którą stwarza wielkość. Mojżesz wszakże bardziej był od innych samotny, bowiem idea jego bardziej jeszcze była bezwzględna, bardziej jeszcze od ziemi oderwana. Bóg jego był nade wszystko żywiołem męskim, Duchem czystym. Aby wszczepić go ludziom — musiał wypowiedzieć walkę żywiołowi żeńskiemu, bogini Naturze, Hewie, wiekuistej kobiecości, żyjącej w duszy Ziemi i w sercu Człowieka. Walczyć z nią musiał nieustannie i nieubłaganie, nie w celu zniszczenia jej, ale ukorzenia i owdzięcia nią. Cóż więc dziwnego, że Natura i Kobieta, złączone przymierzem tajemniczym, drżały przed nim? Cóż dziwnego, że cieszyć się będą, gdy odejdzie i czekać tylko będą, aby podnieść głowę, z chwilą, kiedy cień Mojżesza przestanie rzucać na nie przecucie śmierci? Takimi były niewątpliwie myśli Proroka, kiedy wchodził na nagi szczyt góry Nebo. Nie mógł być kochany przez ludzi, bowiem kochał jedynie Boga. Czy przynajmniej żyć będzie dzieło jego? Czy lud pozostanie wierny swojemu posłannictwu? O, fatalne jasnowidzenie umierających, darze tragiczny proroków, uchylających w ostatniej godzinie wszystkie

¹⁾ Alfred de Vigny:

„O, Seigneur, j'ai vécu puissant et solitaire.
Laissez moi m'endormir du sommeil de la terre”.

zasłony! W miarę jak umysł Mojżesza odrywał się od ziemi, widział straszliwą rzeczywistość przyszłości, widział zdrady Izraela; anarchię, podnoszącą głowę; władzę królewską, która zastąpi Sędziów; zbrodnie Królów, bezczeszczące świątynię Pańską; zakon swój złamany i niezrozumiany; myśl swoją spaczoną, przeistoczoną przez ciemnych lub obłudnych kapłanów; odstępstwa królów, cudzołożenie Judasza z narodami bałwochwalczymi; czytą tradycję i naukę świętą zdławione i proroków, posiadaczy słowa żywego, prześladowanych w głębi puszczy nawet.

Siedząc w pieczarze góry Nebo, przejrzał Mojżesz to wszystko okiem swego ducha. Ale już śmierć dotykała skrzydłem swym jego czoła i kładła mroźną dłoń na jego sercu. Wtedy to serce lwie raz jeszcze zagrzmieć usiłowało. Rozsrożony na lud swój, wezwał Mojżesz zemstę Aelohima na ręce Judasza. Podniósł swe ciężkie ramię. Jozue i lewici, którzy mu towarzyszyli, z przerażeniem usłyszeli słowa, wychodzące z ust umierającego proroka: „Izrael zdradził swego Boga, niechaj rozproszony będzie na cztery strony nieba!“

Lewici i Jozue patrzyli ze strachem na mistrza, który już znaku życia nie dawał. Jego ostatnie słowo było przekleństwem. Czy oddał wraz z nim technienie ostatnie? Ale Mojżesz otworzył oczy po raz ostatni i rzekł: „Wracajcie do Izraela. A kiedy nadejdzie czas, zbudzi wam Wiekuisty proroka takiego, jakim ja jestem, spośród braci waszych i włoży słowa swoje w usta jego, i prorok ten opowiadać wam będzie wszystko, co Przedwieczny mu rozkaże.

„I stanie się, że ktokolwiek nie byłby posłuszny słowom, które on wam powie, Wiekuisty szukać będzie tego na nim“ (Deuteronomium XVIII, 18.19).

Wypowiedziawszy te prorocze słowa, wyzionął Mojżesz ducha. Czekał już na niego Anioł słoneczny z mieczem ognistym, który ukazał mu się z samego początku na górze Synaj. Uprowadził on go w głąb łona Izdy niebiańskiej, do wnętrza fal owej światłości, która małżonką jest Boga. Zdala od sfer ziemskich mijali obaj kręgi dusz coraz wspanialszych. Wreszcie wskazał mu Anioł Boski ducha tak czarownie pięknego i słodczy niebiań-

skiej pełnego, a tak promiennego i świecącego jasnością tak porażającą, że własna jego światłość cieniem za ledwie obok tamtej była. Nie miał on w dłoni karzącego miecza, lecz palmę ofiarną i zwycięską. Zrozumiał Mojżesz, że Ten dzieło jego spełni i sprowadzi ludzi ku Ojcu niebieskiemu, potęgą pierwiastka Wiekuście Żeńskiego, Łaską Bożą i Miłością najwyższą. I padł Prawodawca na twarz przed Odkupicielem i wielbił Mojżesz Jezusa Chrystusa.



KSIĘGA PIĄTA
ORFEUSZ
MISTERIA DIONIZOSA

Jak miotają się w bezmiarze
wszechświata, jak wirują i szukają
się wzajem te dusze niezliczone,
wytryskujące z wielkiej Duszy
Świata! Spadają z planety na pla-
netę i oplakują w otchłani zapom-
nianą ojczyznę... To lzy Twoje,
Dionizosie... O wielki Duchu, o bo-
ski Wybawicielu, przyjm ponownie
córy twoje do twojego łona świa-
tłości.

Fragment orficki.

— *Eurydyko! O Światłości boska!*
— zawołał Orfeusz, umierając. *Eu-
rydyko!* — jęknął, płacząc, siedem
strun jego *Liry*. A głowa jego, któ-
ra toczy się, uniesiona na zawsze
na falach czasów, wzywa wciąż je-
szcze: — *Eurydyko! Eurydyko!*

Legenda o Orfeuszu.

I

GRECJA PRZEDHISTORYCZNA — BACHANTKI
UKAZANIE SIĘ ORFEUSZA.

W świątyniach Apollina, posiadających tradycję orfi-cką, święcona była podczas wiosennego porównania dnia z nocą tajemnicza uroczystość. Była to chwila rozkwitania narcyzów dokoła źródła Kastalskiego. Trójnogi, liry świątyni, drgały same przez się; Bóg niewidzialny powracać miał z krajów hyperborejskich na wozie ciągni-onym przez łabędzie. Wówczas arcykapłanka przystrojona w szaty Muzy, uwieńczona laurem, z świętymi przepaska-mi dokoła skroni, opiewała jedynie dla wtajemniczonych **Narodziny Orfeusza**, syna Apollina i kapłanki Boga. Wzy-wała duszę Orfeusza, ojca mytów, harmonijnego wyba-wiciela ludzkości; Orfeusza władnego, nieśmiertelnego, po-trzykroć uwieńczonego: w piekle, na ziemi i w niebie; kro-czącego, z gwiazdą u czoła pomiędzy ciałami niebieskimi i bogami.

Śpiew mistyczny kapłanki delfickiej był aluzją do je-dnego z licznych tajników, ukrywanych przez kapłanów przed tłumem i nieznanym mu. Orfeusz był geniuszem ożywczym świętej Grecji, budzicielem jej boskiej duszy. Jego lira siedmiostrunna obejmuje wszechświat. Każda z jej strun innej odpowiada stronie duszy ludzkiej, zawiera zasady odmiennej nauki czy sztuki. Zatraciliśmy klucz pełnej harmonii, różne jednak tony nie przestały drgać w uszach naszych. Impuls teurgiczny i dionizyjcki, jaki umiał Orfeusz nadać Grecji, udzielił się dzięki niej całej Europie. Doba obecna nie wierzy już w piękno życia. Je-

śli wszakże mimo wszystko zachowała głęboką pamięć jego, tajemną i niezłomną nadzieję, zawdzięcza ją temu wzniosłemu wtajemniczonemu. Powitajmy w nim wielkiego wieszczą Grecji, praojca Poezji i Muzyki, pojętych jako objawicielki prawdy wickuistej. Przed odtworzeniem wszakże historii Orfeusza na podstawie wiadomości, zaczerpniętych z głębi tradycji świątyn, powiemy słów kilka, czym była Grecja w chwili jego zjawienia się.

Było to w epoce Mojżesza, na pięć wieków przed Homerem, na trzynaście przed Chrystusem. Indie grzęzły w swoim **Kali-Yag**, okresie mroków, i były już cieniem zaledwie dawnej swojej świetności. Asyria, która wskutek tyranii Babilonu rozpętała nad światem klątwę anarchii, ciemniała w dalszym ciągu Azję. Egipt, wielki wiedzą swoich kapłanów i potęgą swoich faraonów, opierał się całą mocą temu powszechnemu rozkładowi, wpływ jego nie sięgał wszakże poza Eufrat i morze Śródziemne. Izrael był już na puszcy, gdzie grzmiący głos Mojżesza oznajmić miał mu zasadę Boga męskiego i jedności bożej; świat wszakże nie usłyszał jeszcze ccha tego oznajmienia.

Grecję rozdzierały głęboko sięgające właśnie polityczne i religijne. Górzysty półwysep, wrzynający się koronkowymi swymi wrębami w fale morza Śródziemnego, otoczone wieńcem wysp, zaludniony był od tysięcy lat przez szereg rasy białej, podobny Gotom, Scytom i Celtom pierwotnym. Rasa ta podlegała wpływom i mieszaninom wszystkich kultur uprzednich. Wybrzeża zaroily się koloniami hinduskimi, egipskimi i fenickimi, które wprowadziły na jej góry i do jej dolin wielorakie rasy, obyczaje i bóstwa. Okręty o rozpiętych żaglach przepływały pod stopami Kolosa Rodyjskiego, ustawionego na obu kamiennych tamach jej portu. Fale morza Cykladzkiego, na którym żeglarz widzieć zawsze mógł w dni jasne wyłaniającą się na widnokręgu jakąś wyspę lub jakieś wybrzeże, pruły czerwone dzioby okrętów fenickich lub czarne piratów lidyjskich. Unosili oni na wydrażonych łodziach wszystkie skarby Azji i Afryki: kość słoniową, malowane wyroby garncarskie, tkaniny syryjskie, złote naczynia, purpurę i perły — częstokroć kobiety, porywane na dzikich wybrzeżach. Krzyżowanie ras wpłynęło na ukształtowanie się języka dźwięcznego i łatwego, miesza-

niny pierwotnego celtyckiego, zendskiego, sanskrytu i fenickiego. Język ten, obrazujący majestat Oceanu w imieniu **Posejdona** i pogodę niebios — w imieniu **Uranosa**, nasiadował wszystkie głosy natury, od szczebiotu ptaków do szczęku oręza i ryku burzy. Był on wielobarwny, jak jego morze ciemno-szafirowe o zmiennych odcieniach lazuru, wielodźwięczny — jak fale, cicho szemrzące w zatokach lub rozbijające się z głośnym rykiem o skały niezliczone — **poluphlosboio Thalassa** — jak mówi Homer.

Wraz z tymi kupcami czy rozbójnikami morskimi przybywali często kapłani, którzy kierowali nimi i wydawali im rozkazy, jako ich władcy. Ukrywali oni starannie w łodziach swych drewniany posążek któregośkolwiek z bożków swoich. Wyciosany z gruba, stanowił on niewątpliwie dla żeglarzy ówczesnych taki sam fetysz, jak Madonna dla marynarzy dzisiejszych. Kapłani ci posiadali już jednak pewien zasób wiedzy, a bożek, którego zabierali onę ze świątyni swoich w podróż daleką, uzmysławiał dla nich sposób pojmowania natury, całokształt praw, ustrój społeczny i religijny. W owych czasach bowiem źródłem całego życia umysłowego były świątynie. Czczono Junonę w Argos; Artemidę — w Arkadii, w Pafosie i w Koryncie; fenicka Astarta przeistoczyła się w zrodzoną z piany morskiej Afrodytę. W Attyce zjawiało się kilku inicjatorów. Kolonia egipska, założona w Eleuzys, wprowadziła tu kult Izydy pod postacią Demetry (Cerery), matki Bogów. Erechteusz, bohater attycki, którego mit wiąże się ściśle z kultem Ateny i pierwotną cywilizacją Attyki, ustanowił pomiędzy górą Hymetem i Pentelikonem kult bogini dziewicy, córki nieba błękitnego, zwolenniczki drzewa oliwkowego i mądrości. Podczas najazdów, na pierwszy sygnał alarmowy, chroniła się ludność na Akropol i skupiała się dokoła bogini, jak gdyby dokoła żywego posągu zwycięstwa.

Bóstwa miejscowe podporządkowane były kilku bogom męskim kosmogonicznym. Usunięci wszakże na szczyty gór, zaćmieni przez świetne orszaki bóstw żeńskich, niewielki wywierali oni wpływ. Bóg słońca, Apol-

lo delfijski¹⁾, istniał już, nie odgrywał wszakże roli wybitnej. U stóp szczytów śnieżnych góry Ida, na wyżynach Arkadii i pod dębami Dodony głosili już naukę swoją kapłani Wielkiego Zeusa. Lud przekładał jednak nad tajemniczego boga powszechnego — boginie, uosabiające naturę w jej potęgach czarujących lub straszliwych. Strumienie podziemne Arkadii, pieczary górskie, sięgające głębinami swoimi wnętrza ziemi, wybuchy wulkaniczne na wyspach morza Egejskiego — podsunęły Grekom w zaraniu już kult sił tajemnych ziemi. Przeczuwali oni naturę, bali się jej i czcili ją zarówno na jej wyżynach jak i w jej głębiach. Że jednak bóstwa te nie posiadały ani ośrodka społecznego, ani też syntezy religijnej, wrzała między nimi zażarta walka nieustanna. Wrogie sobie wzajem świątynie i miasta współzawodniczące, narody, które dzielił rytuał oraz ambicje królów i kapłanów, nienawidziły się, zazdrościły sobie wzajem i zwalczały się, tocząc z sobą wojny krwawe.

Poza Grecją wszakże istniała dzika, barbarzyńska Tracja. Ku Północy — pasma gór, porośniętych olbrzymimi dębami i uwieńczonych skałami, wiły się jedne za drugimi linią falistą, rozwierały się dolinami rozległymi, półkolistymi lub piętrzyły się złomami węzłowatymi. Wiatry północne orały ich porośnięte zbocza, a niebo, częstokroć burzliwe, zamiatało chmurami ich szczyty.

Pasterze dolin i wojownicy płaszczyzn byli synami tej

¹⁾ Według starej tradycji trackiej był twórcą poezji **Olen**. Owóż imię to znaczy po fenicku **Istota powszechna**. Źródłosłów imienia Apollina jest ten sam. **Ap Olen** lub **Ap Wholon** znaczy **Ojciec powszechny**. Pierwotnie czczono w Delfach Istotę powszechną pod nazwą Olena. Kult Apollina wprowadzony został przez jednego z kapłanów-nowatorów, pod wpływem doktryny zakłęcia słonecznego, która szerzyła się wówczas w świątyniach Indii i Egiptu. Reformator ten utożsamia Ojca wszechświata z podwójnym jego objawieniem: ze światłem nadziemskim i słońcem widzialnym. Reforma ta nie wyszła wszakże poza głębiny świątyni. Orfeusz dopiero nowa nadał siłę zakłęciu słonecznemu Apollina, ożywiając je i elektryzując dzięki misteriom Dionizosa. (Fabre d'Olivet: „Les vers dorés de Pythagore“).

samej silnej rasy białej, wielkiej potęgi Doryjczyków greckich. Była to rasa wybitnie męska, której wyrazem w pięknie jest wybitność rysów i stanowczość charakteru, zaś w brzydocie — potworność masek Meduz i starożytnych Gorgon.

Podobnie jak wszystkie ludy starożytne, które ustrój swój zawdzięczały Misteriom, jak Egipt, jak Izrael i Etruria, miała i Grecja swoją geografiją świętą, w której każda okolica stawała się symbolem sfery czysto duchowej i nadziemskiej. Dlaczego Tracja uważana była zawsze¹⁾ przez Greków za krainę szczególnie świętą, krainę światła i prawdziwą ojczyznę Muz? Prawdopodobnie dlatego, że na wysokich jej górach wznosiły się świątynie Kronosa, Zeusa i Uranosa. Stąd spływały dźwięcznymi rytmami eumolpicznymi²⁾ Poezja, Prawa i Sztuki święte. Świadczą o tym mitologiczni poeci Tracji. Pod imionami Tamyrysa, Linosa i Amfiona kryją się może osobniki żyjące istotnie; bądź co bądź wszakże wyobrażają one przede

¹⁾ Wyraz **Tracja** pochodzi podług Fabra d'Olivet od fenickiego **Rakhiwa**: przestrzeń eteru czyli firmament. Nie ulega wątpliwości, że dla poetów i wtajemniczonych greckich, jak Pindar, Eschylos, Platon — nazwa Tracji miała znaczenie symboliczne kraju czystej doktryny i poezji świętej, która z niej bierze początek. Filozoficznie oznaczała ona: sferę umysłową, całokształt doktryn i tradycji, wyprowadzających świat z rozumu boskiego. Historycznie nazwa ta przypominała kraj i rasę, w których doktryna i poezja aryjska wykwitły najpierw, a już potem przeszczepione zostały do Grecji przez świątynię Apollina — Używanie podobnego rodzaju symbolizmu stwierdza w następstwie historia. W **Delfach** była klasa **kapłanów Tracydyjskich**. Byli to stróże boskiej doktryny. Sąd Amfiktionii strzeżony był przez **straż Tracydów**, czyli wojowników wtajemniczonych. Tyrania Sparty zniosła ten zastęp nieprzedajny i zastąpiła przekupnikami, których cechowała siła brutalna. W następstwie czasownik: **tracyzować** stosowany był w sensie ironicznym do ludzi, trzymających się dawnych doktryn.

²⁾ **Eumolpos** — słynny śpiewak, syn Posejdona, dał początek misteriom eleuzyńskim. Od niego pochodzi ród **Eumolpidów** (Przyp. tłum.).

wszystkim w języku świątyni różne rodzaje poezji. Każdy z nich uświęca zwycięstwo, odniesione przez jedną i drugą nad drugą. W świątyniach ówczesnych pisano historię alegorycznie jedynie. Osobnik nie był niczym, doktryna i dzieło — wszystkim. Tamyrys, opiewający walkę Tytanów i oślepiiony przez Muzy, wieści porażkę poezji kosmogonicznej.

Linus, który wprowadził do Grecji azjatyckie śpiewy melancholijne i który został zabity przez Herkulesa, opiewał najście na Trację w utworach poetyckich smętnych i uczuciowych, których nie mógł zrazu uznać męski umysł Doryjczyków północnych. Linus jest zarazem wyobrazicielem zwycięstwa kultu księżycowego nad kultem słonecznym. Amfion natomiast, który, jak głosi legenda alegoryczna, poruszał kamienie dźwiękami swojej liry, uzmysławia siłę plastyczną, jaką doktryna słoneczna i poezja dorycka natchnęły sztuki i całą kulturę helleńską¹⁾.

Odmiernym zupełnie światłem błyszczy Orfeusz! Promienieje on poprzez wieki własnym światłem geniusza twórczego, którego męskie głębie duszy drgają miłością dla pierwiastka wiecznie żeńskiego — zaś pierwiastek ten, żyjący i drgający w trojkiej postaci: w Naturze, w Ludzkości i w Niebie, odpowiada mu z głębin swoich najskrytszych. Wielbienie świątyni, tradycja wtajemniczo-

¹⁾ Strabon twierdzi stanowczo, że poezja starożytna była jedynie językiem alegorycznym. Denis z Halikarnasu potwierdza to i przyznaje, że tajniki natury i najwyższe pojęcia moralne okryte były zasłoną. Nie jest więc przenośnią nazywanie poezji starożytnej **językiem Bogów**. W samej nazwie jej ukryte jest czarodziejskie jej znaczenie, stanowiące jej siłę i urok. Większość lingwistów wyprowadza nazwę poezji od wyrazu greckiego **poiein**, robić, tworzyć. Jest to etymologia prosta i na pozór zupełnie naturalna, mało jednak zgodna ze świętym językiem świątyni, z którego wyszła pierwotna poezja. Logiczniej byłoby przyjąć wraz z Fabre'm d'Olivet, że **poiesis** pochodzi od fenickiego **phohe** (usta, głos, mowa, rozmowa) oraz **ish** (Istota najwyższa, istota — zasada, w przenośni — Bóg), Etruskie **Aes** lub **Aesar**, galijskie **Aes**, skandynawskie **Ase**, koptyjskie **Os** (Pan), egipskie **Oziris** mają ten sam źródłosłów.

nych, wołanie poetów, głos filozofów — a nade wszystko: dzieło jego, ustrój Grecji — świadczą o żywej jego rzeczywistości.

Walka głęboka, zacięta wstrząsała w owych czasach Tracją. Kultury słoneczne i kultury księżycowe walczyły z sobą zażarcie o przewagę. Ta wojna wielbicieli słońca z wielbicielami księżyca nie była, jak można przypuścić, błahym sporem dwóch zabobonów. Dwa te kultury wyobrażały dwie teologie, dwie kosmogonie, dwie religie i dwa ustroje społeczne, zasadniczo sobie wzajem przeciwstawne. Kultury uranijskie i słoneczne miały świątynie swoje na wyżynach gór, męskich kapłanów, surowe prawa. Państwem kultów księżycowych były lasy, doliny głębokie; obrządki ich sprawowały niewiasty-kapłanki, zaś same obrządki były zmysłowe, cechowały je nieuregulowane praktyki sztuk tajemnych i upodobanie w podnieceniach zmysłowych, orgiastycznych.

Między kapłanami słońca i kapłanami księżyca toczyła się walka na śmierć i życie. Walka dwu płci, odwieczna, nieunikniona, otwarta czy ukryta, lecz wiekuista pomiędzy pierwiastkiem męskim i żeńskim, pomiędzy mężczyzną i kobietą, walka, wypełniająca historię wyborem pomiędzy jednym i drugą, walka, na której tle rozgrywa się tajemnica światów. Zarówno jak zespolenie się, zlanie obu tych pierwiastków stanowi istotę właściwą i tajemnicę boskości, tak samo równowaga ich zdolna jest jedynie stworzyć wielkie cywilizacje.

Wszędzie, zarówno w Tracji, jak w Grecji, męscy słoneczni i kosmogoniczni bogowie usuwani byli na szczyty górskie, do krajów pustynnych. Lud miał większe upodobanie do drażniących orszaków bóstw żeńskich, budzących niebezpieczne namiętności i ślepe siły natury. Kultury te nadawały najwyższemu bóstwu płęć żeńską.

Wynikiem tego stały się niebawem przeraźliwe nadużycia. U Traków kapłanki księżyca, czyli potrójnej Hekaty, zagarnęły całą władzę, przyswoiwszy sobie dawny kult Bachusa, któremu nadały charakter krwawy i groźny. Na znak swojego zwycięstwa przybrały nazwę Bachantek, jak gdyby chcąc zaznaczyć swoją przewagę, panowanie kobiety; pokonanie przez nią mężczyzny.

W swoich świątyniach, wznoszonych w dzikich, odle-

głych dolinach, składały one ofiary bóstwom, uprawiały czarną magię, a zarazem były uwodzicielkami. Jaki czar niepojęty, jaka ciekawość piekąca pociągała mężczyzn i kobiety do tych samotni, pełnych przepysznej, bujnej roślinności? Nagie kształty — tańce lubieżne w głębi lasu... potem śmiechy, okrzyk głośny — i setka Bachantek rzuciła się na przybysza, aby go powalić. Musiał przysiąc, że się im podda, że spełniać będzie ich obrządki, w przeciwnym razie ginął. Bachantki oswajały pantery i lwy, które występowały na ich uroczystościach. Nocą padały na ziemię przed potrójną Hekata, mając węże oplecione dokoła ramion; potem w dzikich płasach wzywały Bachusa, podziemnego dwupłciowca z łbem byka¹⁾. Biada wszakże obcemu, biada kapłanowi Jupitera czy Apollina, który ważyłby się podpatrzyć je. Rozszarpywały go na kawały. Pierwotne Bachantki były więc greckimi druidkami. Wielu wodzów Tracji pozostało wiernymi dawnym kultom męskim. Ale Bachantki potrafiły owdądzić niektórymi z ich królów, łączących obyczaje barbarzyńskie z przepychem i wyrafinowaniem azjatyckim. Oczarowały ich one ponętami rozkoszy i pokonały grozą. W ten sposób podzielili bogowie Trację na dwa wrogie obozy. Kapłani Jupitera i Apollina stawali się bezsilnymi na pustynnych swoich szczytach, nawiedzanych przez burze i gromy, przeciwko Hekacie, wciąż wzrastającej w palących żarem dolinach i zagrażającej z głębin swoich ołtarzom synów słońca.

W czasie tym pojawił się w Tracji młodzieniec rodu królewskiego, pociągający niezemskim czarem. Mówiono

¹⁾ Bachus z łbem byka występuje w XXIX-ym hymnie orfickim. Jest to pamiątka po dawnym kulecie, nie związanym bynajmniej z czystą tradycją Orfeusza, który zupełnie uduchowił i przeistoczył popularnego Bachusa w niebiańskiego Dionizosa, symbol ducha boskiego, objawiającego się we wszystkich państwach natury. Rzecz dziwna, że odnajdujemy piekielnego Bachusa Bachantek w szatanie z łbem byka, którego wzywały i wielbiły średniowieczne czarownice na swoich nocnych schadzkach. Jest to ów słynny **Baphomet**, o którego kult oskarżał kościół Templariuszów, aby ich zgubić w opinii ogółu.

o nim, że jest synem kapłanki Apollina. Melodyjny głos jego miał dziwny urok. Mówił on o Bogach w sposób zupełnie nowy, rytmiką dotychczas nieznaną. Wydawał się natchnionym. Jasne kędziory jego włosów, chluba Doryjczyków, opadały złocistymi falami na ramiona, a dźwięki ulatujące mu z warg, układały kąty ust jego w linie słodkie i smutne zarazem. Błękitne oczy promieniowały siłą, słodycz i czar magiczny. Dzicy Trakowie unikali jego wzroku; kobiety natomiast, biegle w sztuce czarowania, mówiły, że w lazurze tych oczu strzały słońca zlewają się z pieszczotą księżyca. Bachantki nawet, zaciekawione jego urodą, krążyły dokoła niego jak zakochane pantery, dumne ze swoich centkowanych skór i uśmiechały się, słuchając jego niezrozumiałych słów.

Nagle młodzieniec ten, którego zwano **synem Apollina**, znikł. Mówiono, że umarł, że zstąpił do piekieł. W rzeczywistości uciekł on potajemnie do Samotracji, potem do Egiptu, gdzie prosił kapłanów memfiskich o schronienie. Przeszedłszy przez ich wtajemniczenie, powrócił po dwudziestu latach pod przybranym w świątyni imieniem, zyskanym od mistrzów po przebytych próbach na znak poruczonego mu posłannictwa. Nazywał się teraz Orfeuszem, Arfa¹⁾, to znaczy, **ten który uzdrawia światłem**.

Najdawniejsza świątynia Jupitera wznosiła się wówczas na górze Kaukaion. Hierofanci jej byli niegdyś arcykapłanami. Ze szczytów tej góry, bezpieczni od napaści, panowali nad całą Tracją. Odkąd wszakże zyskały przewagę bóstwa z dolin, zmalała liczba wyznawców Jupitera, a świątynie jego niemal opustoszały. Kapłani z Kaukaionu przyjęli wtajemniczonego egipskiego jak zbawcę. Wiedzą swoją i zapalem pociągnął Orfeusz większość Traków, przeistoczył z gruntu kult Bachusa i pokonał Bachantki. Niebawem wpływ jego przeniknął do wszystkich świątyń Grecji. Jego to dziełem było ustanowienie kultu Zeusa w Tracji i Apollina w Delfach, gdzie założył podstawy sądów Amfiktionickich, które stały się jedno-

¹⁾ Wyraz fenicki, złożony z **aur** — światło i **rophac** — uzdrowienie.

scią społeczną i narodową Grecji. Wreszcie utworzeniem Misteriów ukształtował ducha religijnego swojej ojczyzny. Albowiem, u szczytu wtajemniczenia, zlał religię Zeusa z religią Dionizosa w ideę wszechświatową. Dzięki nauce jego osiągnęli wtajemniczeni czyste światło prawd najwyższych. To samo światło dostawało się do ludu nieco przyćmione, ale niemniej dobroczynne, pod osłoną poezji i porywających uroczystości. W ten sposób stał się Orfeusz prorokiem Tracji, arcykapłanem Zeusa Olimpijskiego, zaś dla wtajemniczonych — objawicielem Dionizosa niebiańskiego.

II

ŚWIĄTYNIA JUPITERA

W pobliżu źródeł Ebru wznosi się góra Kaukaion, opasana gąszczem lasów dębowych, uwieńczona koroną skał i głazów cyklopicznych. Od tysięcy lat miejsce to jest górą świętą. Pelasgowie, Celtowie, Scytowie i Getowie¹⁾, wypierając jedni drugich, kolejno czcili tam swoich różnorodnych bogów. Czyż to wszakże nie ten sam zawsze Bóg, którego szuka człowiek, wdzierając się tak wysoko? Gdyby tak nie było, dlaczego miałby wznosić mu z takim mozołem świątynie w strefie wichrów i piorunów?

W epoce, o której mówimy, wznosiła się pośrodku świętej zagrody świątynia Jupitera, budowla ciężka i niedostępna jak twierdza. U wniścia perystyl, złożony z czterech kolumn doryckich, odcina się olbrzymimi słupami swymi na ciemnym tle portyku.

U zenitu niebo jest pogodne; burza grzmi wszakże jeszcze ponad górami Tracji, których szczyty i doliny zarysowują się na widnokregu, niby czarna otchłań, wstrząsana rykami grzmotów i rozdzierana świetlnymi smugami błyskawic.

¹⁾ **Getowie** — naród tracki, nie mając wspólnego z Gotami, jak fałszywie wywodził Grimm. Ciekawym jest faktem historiograficznym, że dowody, użyte przez Grimma na poparcie Gotycyzmu Getów, obrócone zostały przez Bielowskiego („Wstęp Krytyczny“) na korzyść słowiańskości tychże Getów. (Przyp. tłum.).

To chwila składania ofiar. Kapłani Kaukaionu uznają jedynie ofiarę ognia. Schodzą ze stopni świątyni i rozpalają wonne drzewo ofiarne pochodnią, zapaloną w sanktuarium. Wreszcie wychodzi z wnętrza świątyni arcykapłan, odziany jak inni w białą szatę lnianą i uwieczony mirtem i cyprysem. W ręku ma berło hebanowe z rękojeścią z kości słoniowej; opasuje go pas złoty, którego kryształy ciskają posępne ognie, symbole tajemniczej władzy królewskiej. To Orfeusz.

Prowadzi za rękę ucznia, z Delf rodem, bladego, drżącego, wsłuchanego z zachwytem i dreszczem mistycznym w słowa wielkiego Wtajemniczonego. Dostrzega to Orfeusz i chcąc uspokoić wybrańca swego serca, otacza go pięściwie ramieniem. Uśmiech igra w jego oczach; nagle strzela z nich błysk płomienny. I gdy u stóp ich krążą kapłani dokoła ołtarza i śpiewają hymn do ognia, z ust Orfeusza wychodzą skierowane do ukochanego ucznia słowa wtajemniczenia, które padają w głąb serca młodzieńca niby nektar boski.

Oto jak brzmiały słowa natchnione Orfeusza:

„Zawrzyj się w głębi duszy własnej, aby wznieść się do Źródła wszechrzeczy, do wielkiej Trójcy, promieniejącej w Eterze niepokalanym. Niech ogień myśli twojej strawi twoje ciało; oderwij się od materii jak płomień odziera się od drzewa przezeń spalonego. Wówczas duch twój wzleci do czystego eteru pra-przyczyn wiekuistych, jak orzeł do tronu Jupitera.

„Wyjawię ci tajemnicę światów, duszę natury, istotę Boga. Oto główne arkana: Jedyna istota króluje w głębinach niebios i w przepaściach ziemi, Zeus gromowładny, Zeus nieuchwytny. W nim wszystko zawarte: rada głęboka, nienawiść potężna i miłość przesłodka. Panuje on w głębinie ziemi i na wysokości gwiazdzistego nieba. Tchnienie rzeczy, ogień nieposkromiony, pierwiastek męski i żeński, Król, Moc, Bóg, wielki Mistrz.

„Jupiter jest małżonkiem i małżonką boską, Mężczyzną i Kobieta, Ojcem i Matką. Z ich związku świętego, z ich zaślubin wiekuistych rodzi się nieustannie Ogień i Woda, Ziemia i Eter, Noc i Dzień, dumni Tytani, Bogowie niewzruszeni i ruchomy posiew ludzki. Związek miłosny Nieba i Ziemi nieznany jest profanom. Tajniki

Oblubieńca i Oblubienicy odsłonięte są jedynie dla istot boskich. Oznajmię ci wszakże, co jest prawdą. Przed chwilą jeszcze wstrząsał skałami tymi ryk gromu; piorun spadał na nie jak ogień żywy, jak płomień toczący się, a echa gór rozbrzmiewały wtórem radosnym. Ale ty drżałeś, nie wiedząc, skąd ten ogień przychodzi, ani gdzie uderza. To ogień męski, nasienie Zeusa, ogień twórczy. Wytryska on z serca i z mózgu Jupitera; drga we wszystkich istotach. Kiedy spada piorun, ciska go jego prawica. Ale nam, jego kapłanom, znana jest treść jego; unikamy jego pocisków, a czasem kierujemy nimi. A teraz spójrz na niebo. Patrz na ten krąg, połyskujący miliardami gwiazd, na który zarzucona jest lekka opaska drogi mleczej, kurzawa słońc i światów. Patrz, jak błyszczy Orion, jak migocą Bliźnięta i świeci jasno Lira. To ciało boskiej Oblubienicy, krążącej w wirze harmonijnym pod okiem Oblubieńca. Patrz oczami duszy, a ujrzysz głowę jej w tył przegiętą, jej ramiona wyciągnięte i uchyliłz usianą gwiazdami jej zasłone.

„Jupiter jest Małżonkiem boskim i boską Małżonką. Oto tajnik pierwszy. Ale teraz, o synu Delf, przygotuj się do następnego wtajemniczenia. Drzyj, płacz, raduj się, wielbij! Bowiem myśl twoja pogrąży się w strefę płonąca, w której wielki Demiurg miesza pospołu świat i duszę w czarze życia. Pijąc z tej czary upajającej, zapominają istoty o swoim niebiańskim pobycie i staczają się w bolesną otchłań narodzin.

„Zeus jest wielkim Demiurgiem. Dionizos jest jego synem, jego Słowem objawionym. Dionizos, duch promienny, żywy intelekt, jaśniał w siedzibach Ojca, w pałacu Eteru niewzruszonego... Dnia pewnego, kiedy pochylony, wpatrywał się poprzez gwiazdy w otchłanie nieba, ujrzał w lazurowych głębiach odbicie własnej postaci, wyciągającej ku niemu ramiona. Zachwycony piękną tą zjawą, zakochany w swoim sobowtórze, rzucił się, aby go uchwycić. Lecz obraz uciekał, uciekał wciąż i pociągał go na dno otchłani. Wreszcie znalazł się w cienistej dolinie, pełnej przedziwnych aromatów, chłodzonej rozkosznym powiewem wietrzyka, który muskał jego ciało. W jednej z grot ujrzał Persefonę. Piękną prządka, Maia, tkala zasłone, w której osnowie kłębiły się postacie wszystkich

istot. Stał oczarowany widokiem boskiej dziewicy. W tej chwili dostrzegli go dumni Tytani i wolne Tytanidy. Pierwsi, zazdrośni o jego urodę, drugie, ogarnięte szałem miłosnym, rzucili się na niego jak wściekłe żywioły i rozszarpali go na strzępy. Potem, rozdzielwszy pomiędzy siebie jego członki, ugotowali je w wodzie, zaś serce jego pogrzebali. Jupiter poraził piorunem Tytanów, a Minerva uniosła z sobą do Eteru serce Dionizosa, które stało się tam słońcem gorejącym. Z oparów wszakże dymu spalonego ciała Dionizosa wyłoniły się dusze ludzkie, wznoszące się ponownie ku niebu. Z chwilą, gdy blade cienie dotrą do płomiennego serca Bożego, zapłoną jak ognie i Dionizos cały wskrześnie na wyżynach Empirejskich, bardziej jeszcze żywy niż kiedykolwiek.

„Oto tajemnica śmierci Dionizosa. A teraz słuchaj tajemnicy jego zmartwychwstania. Ludzie są ciałem i krwią Dionizosa; ludzie nieszczęśliwi są jego członkami rozproszonymi, które szukają się wzajem, wijąc się w zbrodni i w nienawiści, w bólu i miłości, poprzez tysiące istnień. Żar ogniowy ziemi, otchłań sił nizinnych, wciągają je coraz głębiej w przepaść, rozszarpują je coraz bardziej. Lecz my, wtajemniczeni, którym wiadomo, co jest w górze i co jest na padole, jesteśmy zbawcami dusz, Hermesami ludzi. Pociągamy je ku sobie, niby siła magnetyczna, sami przyciągani przez Bogów. Odtwarzamy w ten sposób czarami niebieskimi żywe ciało bóstwa. My to sprawiamy, że niebo płacze, a ziemia się raduje; jak cenne klejnoty nosimy w sercach naszych lzy ludzkie, aby zamienić je na uśmiechy. Bóg umiera w nas i w nas też rodzi się ponownie“.

Tak mówił Orefeusz. Uczeń z Delf ukląkł przed mistrzem swoim z wniesionymi ramionami i z gestem błagalników ¹⁾). I wyciągnął arcykapłan Jupitera ręce nad głową ucznia, wymawiając słowa uświęcenia:

„Niech Zeus niewypowiedziany i Dionizos potrzykroć objawiający się: w czeluściach piekieł, na ziemi i w nie-

¹⁾ **Błagalnictwo (hikezia)**, instytucja pod pieczęcią Zeusa, czyniąca nietykalnym każdego, kto chronił się z gałązką oliwną u ołtarza Boga. (Przyp. tłum.).

bie, sprzyjają młodości twojej i wleją w serce twoje wiadzę Bogów“.

Wysłuchawszy słów tych, opuszczał Wtajemniczony perystyl świątyni, aby rzucić na ogień ołtarza garść żywicy pachnącej i wzywał trzykrotnie Zeusa gromowładnego. Kapłani otaczali go kołem, śpiewając hymn. Arcykapłan — król pozostał pod portykami w mślach pogrążony, opierając się ramieniem o jeden ze słupów kamiennych.

— Dżwieczny Orfeuszu — rzekł — synu ukochany Nieśmiertelnych i słodki lekarzu dusz, od dnia, w którym słyszałem cie, śpiewającego hymny na cześć Bogów na uroczystości Apollina delfickiego, porwałś serce moje: wszędzie też szedłem za toba. Śpiew twój jest jak wino, które uniaia, twoje nauki — jak napój gorzki, przynoszący ulgę ciału udreżonemu i wlewający nową siłę w członki jego.

— Możliwa jest droga, która prowadzi z padółu ziemskiego ku Bogom — rzekł Orfeusz, zdając się raczej odpowiadać głosom wewnętrznym, aniżeli uczniowi swemu. Ścieżyna kwietna, zbocza wyboiste, a potem skały nawiedzane przez pioruny, okolone bezmiarem przestworzy — oto los Widzacego i Proroka na ziemi. Pozostań na ścieżkach kwietnych niziny, o dziecię moje, i nie szukaj zaświatów.

— Pragnienie moje wzmagą się w miarę iak ie gasisz — rzekł młody wtajemniczony. Otworzyłeś mi oczy na istote Bogów. Ale powiedz mi, wielki mistrzu tainików, natchniony przez boskiego Erosa, czy będę mógł widzieć ich kiedykolwiek?

— Oczami ducha — odparł arcykapłan Jupitera. — lecz nie oczami ciała. Jak dotychczas wszakże, umiesz posługiwać się tymi ostatnimi tylko. Długa praca lub wielkie cierpienia mogą jedynie otworzyć nasze oczy wewnętrzne.

— Ty tylko potrafisz otworzyć je, Orfeuszu! Czegóż może lokać się, będąc z toba?

— Chcesz wiec? Zatem słuchaj! W Tesalii, w uroczej dolinie Tempe, wznosi się świątynia mistyczna zamknięta dla profanów. W niej Dionizos objawia się widzacym i wtajemniczonym. Za rok wezwę cię na uroczystość ku

czci jego i pogrążę cię w sen czarodziejski, a wówczas otworzę ci oczy na świat boży. Do tej chwili życie twoje musi być czyste, a dusza twoja białości nieskalanej. Wiedz bowiem, że światłość Bogów przeraża słabych i zabija bezczeszczących.

Lecz pójdź za mną do mojej siedziby. Dam ci księgę, która będzie ci potrzebna do przygotowania się.

I wszedł mistrz z uczniem delfickim do wnętrza świątyni i zaprowadził go do wielkiej celi, dla niego przeznaczanej. Płonęła tam lampka egipska wiecznie świecąca, którą podtrzymywał geniusz skrzydlaty wykuty z metalu. Tam w skrzynkach z pachnącego cedru zamknięte były liczne zwoje papyrusów, okrytych hieroglifami egipskimi i znakami fenickimi, jak również księgi, pisane przez Orfeusza w języku greckim i zawierające jego wiedzę magiczną oraz jego doktrynę tajemną.¹⁾

Mistrz i uczeń spędzili w celi część nocy na rozmowie.

¹⁾ Pomiędzy licznymi księgami zaginionymi, które greccy pisarze orficey przypisywali Orfeuszowi, były też **Argonautyki**, traktujące o wielkim dziele hermetycznym; **Demetreida**, poemat o matce Bogów, któremu odpowiadała **Kosmogonia**; **święte śpiewy Baehusa** czyli Ducha czystego, których dopełnieniem była **Teogonia**; nie mówiąc już o innych dziełach, jak **Zasłona** czyli **sieć dusz**, sztuka misteriów i obrządków; **Księga przemian**, chemia i alchemia; **Korybanty** czyli tajniki ziemskie i trzęsienia ziemi; **anemoskopia**, nauka o atmosferze: botanika naturalna i ezaruoksyńska itd...

III

UROCZYŚCISCI DIONIZYJSKIE W DOLINIE TEMPE

Było to w Tesalii, w przewiewnej dolinie Tempe¹⁾. Nadeszła noc święta, poświęcona przez Orfeusza misteriom Dionizosa. Uczeń z Delf, prowadzony przez jednego ze służebników świątyni, szedł wąskim i głębokim parowem, otoczonym ściętymi prostopadle skałami. Wśród ciszy nocy ciemnej nie było słyhać nic prócz szmeru strumyka, wijącego się wśród zieleni nadbrzeżnej. Wreszcie ukazał się za górą księżyc w pełni, wyłaniając żółtą tarczę swoją spoza czarnych zazębien skał. Przyciągające światło jego subtelne prześlizgnęło się po głębiach — i nagle odsłoniła się urocza dolina, skąpana w jasności elizejskiej. W świetle tym wyłoniły się na chwilę z mroków jej dna porośłe murawą, jej gaje jesionów i topoli, jej źródła kryształowe, groty osłonięte kaskadami bluszczów i rzeka kręta, opasująca wyspy drzew lub tocząca swe nurty pomiędzy splątanymi gąszczami. Złotawa poświęciła, sen rozkoszny stulały rośliny. Zwierciadło toni drgało jak gdyby muskane tchnieniem nimf i nieuchwy-

¹⁾ Pauzaniusz opowiada, że corocznie poselstwo, wysyłane z Aten do świątyni Apollina w Delfach, udawało się stamtąd do doliny Tempe, aby zbierać liście gorzkiego lauru, który uważany był za roślinę świętą. Ten zwyczaj symboliczny przypominał wyznawcom Apollina, że związani są oni z wtajemniczeniem orfickim i że źródłem pierwszego natchnienia Orfeusza był pień stary i mocny, którego gałęzie zawsze młode i żywotne zrywała świątynia Delficka.

tne dźwięki lutni ulatywały z kęp nieruchomych trzcin. Cichy czar Diany spowijał wszystko dokoła. Uczeń z Delf szedł niby we śnie. Stawał chwilami, aby napawać się cudownym zapachem przewierścienia i gorzkiego lauru. Czarowna jasność trwała wszakże chwilę tylko. Chmura zasłoniła tarczę księżyca. Wszystko znów szerniało, skały przybrały ponownie groźny wygląd i błędne ogniki migotać zaczęły ze wszystkich stron poprzez gęstwinę drzew, na brzegu rzeki i w głębinach doliny.

To młodzieńcy szukający wtajemniczenia zbierają się w drogę — objaśnił stary przewodnik po świątyni. — Każdy orszak ma swojego przewodnika, niosącego pochodnię. Pójdziemy za nimi.

Wędrowcy spotykali orszaki, wychodzące z zarośli i udające się w drogę. Najpierw dostrzegli przechodzących **wtajemniczonych młodego Bachusa**, młodzieńców, odzianych w długie tuniki z cienkiej tkaniny nicianej i uwieczonych bluszczem. W rękach mieli oni czary z cyzelowanego drzewa, symbole czaru życia. Za nimi kroczyły drużyny młodych ludzi silnych i dumnych. Byli to **młodzi wtajemniczeni walczącego Herkulesa**; w krótkich tunikach, z gołymi nogami, ze skórą lwa przepasaną przez plecy i biodra, z wieńcami liści oliwkowych na głowie. Dalej szli **wtajemniczeni rozdartego Bachusa**, ze skórą przegowatej pantery zarzuconą dokoła ciała, z przepaskami purpurowymi we włosach, z laską owitą bluszczem i winnym liściem w ręku.

Mijając jedną z pieczar, ujrzeni rozciągniętych krzyżem na ziemi **młodych wtajemniczonych Aidonisa i Erosa podziemnego**. Byli to ludzie, oplakujący śmierć krewnych lub przyjaciół. Śpiewali oni cichym głosem: „Aidonisie! Aidonisie! zwróć nam tych, których nam zabrałeś

To zlewanie się tradycji apollinijskiej z tradycją orficką zaznacza się jeszcze w inny sposób w historii świątyni. Słynna dysputa Apollina z Bachusem w sprawie trójnoga świątyni takie ma właśnie znaczenie. Bachus, mówi legenda, odstąpił trójnog bratu i osiadł na Parnasie. Ma to znaczyć, że Dionizos i wtajemniczenia orfickie pozostały przywilejem wtajemniczonych, zaś Apollin głosił wyroczenie swoje na zewnątrz świątyni.

lub też zstąpić nam pozwól do królestwa twojego!“ Wiatr wpadał do pieczary i zdawał się wwiercać w nią z jęklwym śmiechem ponurym. Nagle jeden z młodych wtajemniczonych zwrócił się do ucznia z Delf i rzekł: „Przekroczyłeś próg Aidonisa; nie ujrzysz już więcej światła żywych“. Inny musnął go w przejściu i szepnął mu do ucha: „Cieniu, staniesz się ofiarą cienia; ty, który przybywasz z królestwa Nocy, powróć do Erebu!“ — i uciekł pędem. Lęk zmroził ucznia z Delf. Szepnął więc przewodnikowi: „Cóż to ma znaczyć?“ Sługa świątyni zdawał się nie słyszeć nic, rzekł bowiem spokojnie: „Należy przejść przez most. Nikt nie ujdzie swemu przeznaczeniu“.

Przeszliśmy przez most, drewniany, przerzucony przez rzekę Peneus.

— Skąd — spytał neofita — idą te głosy żalosne i ten śpiew jękliwy?

— Kto są te cienie białe, snujące się długimi szeregami pod drzewami topoli?

— To niewiasty, które mają zostać wtajemniczone w misteria Dionizosa.

— Czy znasz ich imiona?

— Nikt tutaj nie zna imion osób i każdy zatracą pamięć własnego imienia. Podobnie bowiem, jak u wnijsćcia w obręb miejsca uświęconego zdejmują i pozostawiają młodzi wtajemniczeni swoją odzież zbrukaną, aby wykąpać się w strumieniu i przwvdziać czyste szaty lniane, tak samo każdy pozbywa się własnego imienia i przybiera obce. Na siedem dni i siedem nocy przeistacza się każdy z nich i przechodzi do innego życia. Patrz na te szeregi kobiet. Nie są one ugrupowane podług rodzin ich ani ich krajów rodzinnych, ale zależnie od Boga, który daje im natchnienie.

Ujrzeni pochód młodych dziewcząt z wieńcami narcyzów na głowach, w fałdzistych szatach (peplos) lazurowych; przewodnik nazwał je nimfami, towarzyszkami Persefony. Nosiły one skrzyńeczki, urny, wazy ofiarne. Po nich szły w szatach czerwonych kochanki mistyczne, małżonki pałające miłością i poszukiwaczki Afrodyty. Znikły one w głębi czarnego lasu, skąd niebawem rozległy się wołania gwałtowne zmieszane z łkaniami omdlewającymi. Zwolna wszakże ucichły. Po nich rozległ się z ciem-

nego gaju mirtowego chór namiętny i strzelił w niebo falami przeciągłymi: „O, Erosie! zraniłeś nas! O, Afrodyto! zmiażdżyłaś członki nasze! Okryłyśmy piersi skórą jelonka, lecz w głębi łona krwawi się nam szkarłat ran naszych. Serca nasze są jak zarzewie pożerające. Inni z nędzy umierają, a nas trawi miłość. Pochłoń nas, Erosie! O, Erosie! pochłoń nas lub wyzwól! Dionizosie! Dionizosie!“

Nadchodziło inne poselstwo. Niewiasty orszaku tego odziane były w szaty z wełny czarnej z długimi, wlokącymi się za nimi, welonami i wszystkie pogrążone były w jakiejś żałobie. Przewodnik wymienił nazwę ich: **placzki Persefony**. W miejscu tym wznosił się wielki grobowiec owity bluszczem. Uklękły dokoła niego, rozpuściły włosy i zaczęły zawodzić głośno. Na strofę pożądania odpowiada antistrofa bólu. „Persefono—wołały—umarłaś, porwana przez Aïdonisa; zstąpiłaś do państwa umarłych. Ale my, oplakujące ukochanego, jesteśmy żywymi trupami. Oby nie odżył dzień. Oby ziemia, która pokrywa cię, o wielka bogini! dała nam sen wieczny i oby cienie nasze błąkały się, tuląc w objęciach cień ukochany! Wysłuchaj błagań naszych, Persefono! O, Persefono!“

W obliczu tych scen dziwnych, pod wrażeniem udzielającego się szału tych głębokich cierpień, ogarnęło ucznia z Delf tysiące uczuć sprzecznych i dręczących. Nie był już samym sobą; pożądania, myśli, udręki wszystkich tych istot stały się jego pożadaniami, jego udrękami. Dusza jego rwała się na cząstki, aby wejść do tysięcy ciał. Przenikał go lęk śmiertelny.

Nie wiedział już, czy jest człowiekiem czy cieniem.

W tej chwili jeden z wtajemniczonych, wzrostu słusznego, przechodzący мимо, stanął i rzekł: „Pokój cieniom zasmuconym! Kobiety cierpiące, dążcie do światła Dionizosa. Orfeusz na was czeka“.

Otoczyły go wszystkie w milczeniu, rozsypując przed nim listki swoich wieńców ze złotogłowiu — a on, owity bluszczem, laską swoją wskazał im drogę. Kobiety poszły czerpać czarami drewnianymi wodę ze strumienia i pić ją. Orszaki utworzyły się ponownie i ruszyły w dalszą drogę. Młode dziewczęta poszły naprzód, śpiewając tren żałobny, którego każda strofa taką kończyła się zwrotką: „Potrząsajcie maki! Pijcie wody Letejskie! Daj nam kwiat upra-

gniony. Niech zakwitnie znów narcyz dla siostr naszych!
Persefono! Persefono!“

Uczeń długo jeszcze szedł z przewodnikiem swoim. Szedł łąkami, na których rosło ziele złotogłowiu, szedł pod cieniem topoli szemrzących smutnie. Słyszał śpiewy ponure, ulatujące w powietrzu i rozbrzmiewające niewiadomo skąd. Widział, zawieszane na drzewach, larwy straszliwe i figurki z wosku niby dzieci spowite. Tu i owdzie przepływały rzekę łódzie, pełne ludzi milczących jak gdyby umarłych. Wreszcie rozszerzyła się dolina, niebo rozjaśniało się i zabłysła jutrzienka. Z dała zarysowywały się ciemne przełęcz Ossy, poradlone przepaściami, w których piętrzą się zwaliska skał. Bliżej, w pośrodku koliska gór, jaśniała na zazielenionym pagórku świątynia Dionizosa.

Słońce złociło już najwyższe szczyty. W miarę zbliżania się do świątyni widzieli nadchodzące ze wszystkich stron orszaki młodych mystów¹⁾, poselstwa kobiet, grupy wtajemniczonych. Tłum ten, na pozór pełen powagi uroczystej, wstrząsany wszakże wewnątrz oczekiwania, zgromadził się u stóp pagórka i piąć się zaczął ku wejściu do świątyni. Wszyscy pozdrawiali się jak przyjaciele, potrząsając na znak powitania gałązkami i owitymi bluszczem laskami. Przewodnik znikł; uczeń z Delf znalazł się, sam nie wiedział w jaki sposób, w grupie wtajemniczonych, których włosy dziwnie jaśniały, przetkane wieńcami i różnokolorowymi opaskami. Nigdy ich nie widział, zdawało mu się wszakże, iż poznaje ich we wspomnieniu pełnym błogości. I oni też zdawali się oczekiwać go. Pozdrawiali go bowiem jak brata i winszowali mu szczęśliwego przybycia. Pociągnięty przez grupę swoją i jak gdyby uniesiony na skrzydłach, wspiął się aż do najwyższych stopni świątyni, kiedy nagle olśnił oczyma jego błysk oslepiającej jasności. Było to słońce wschodzące, które rzucało snop promieni na dolinę, zalewając światłem swoim olśniewającym ten tłum mystów i starszych

¹⁾ **Myst** — młody wtajemniczony, stawiający pierwsze dopiero kroki na drodze do osiągnięcia pełnego wtajemniczenia. (Przyp. tłum.).

wtajemniczonych, zgrupowany na stopniach, wiodących do świątyni, rozsypany na całym pagórku.

W tej samej chwili zaintonował chór pierwszą zwrotkę peanu¹⁾. Ciężkie, z brązu wykute, wrota świątyni same rozwarły się i, w otoczeniu Hermesa i służebnika niosącego pochodnię, ukazał się Orfeusz. Uczeń z Delf poznał go z radosnym drżeniem. Odziany w purpurę, z lirą ze złota i kości słoniowej w ręku, promienny wiekuistą młodością, przemówił Orfeusz:

„Witajcie, wy wszyscy, którzy przybyliście tutaj, aby odrodzić się po cierpieniach ziemskich i którzy odradzacie się teraz. Chodźcie upoić się światłem świątyni, wy, którzy wychodzicie z mroku; myści, niewiasty, wtajemniczeni. Chodźcie radować się, wy, którzyście cierpieli; chodźcie spocząć, wy, którzy staczaliście walki. Słońce, które wzywam, aby jaśniało nad głowami waszymi i które będzie błyszczało w duszach waszych, nie jest słońcem śmiertelnych; to czyste światło Dionizosa, wielkie słońce wtajemniczonych. Przebytymi cierpieniami waszymi, wysiłkiem, który was tu przywiódł, zwyciężycie, a jeśli wierzycie w słowa boskie, już zwyciężyliście. Bowiem po długim kołowaniu w bytach mrocznych wyjdziecie narreszcie z bolesnego kręgu pokoleń i odnajdziecie się wszyscy, jako jedno ciało, jako jedna dusza, w światłości Dionizosa!“

„Iskra boża, która wskazuje nam drogę na ziemi, jest w nas; pochodnią staje się ona w świątyni, gwiazdą na niebie. Tak potężnie światło Prawdy! Słuchajcie drgań Liry siedmiostrunnej, liry Boga... Wprawia ona w ruch światy... Słuchajcie baczenie! niech dźwięk was przenika... a rozewrą się głębiny niebios!“

Pomoc słabym, pociecha cierpiącym, nadzieja dla wszystkich. Lecz biada złym! biada gwałcicielom świętości. Srodze zostaną ukarani. Bowiem w upojeniu Tajnikami każdy przejrzeć może do dna duszę innego. Złych powala wówczas groza; gwałcicieli druzgoce śmierć.

„A teraz, kiedy Dionizos posiał już blaski swoje nad wami, wzywam Erosa boskiego i wszechmocnego. Niech

¹⁾ pean — hymn grecki na cześć bogów, zwłaszcza w kulcie Apollina. (Przyp. tłum.).

będzie on w miłości waszej, w waszym smutku, w radościach waszych. Kochajcie, albowiem wszystko kocha — Demoni otchłani i Bogowie Eteru. Kochajcie, albowiem wszystko kocha. Lecz kochajcie światło, a nie mroki. Pamiętajcie o celu podczas wędrówki. Dusze, powracające do światła, noszą na swym gwiazdnym ciele, niby plamy potworne, piętna wszystkich błędów swojego życia. Aby oczyścić się ze skaz tych, muszą odbyć pokutę i powrócić na ziemię... Czyści natomiast i silni ulatują ku słońcu Dionizosa.

„A teraz wznieście okrzyk: Ewohe!“¹⁾.

¹⁾ Okrzyk „Ewohe!“, wymawiany w rzeczywistości jako: **He, Vau, He**, — był okrzykiem świętym wszystkich wtajemniczonych Egiptu, Judei, Fenicji, Azji Mniejszej i Grecji. Cztery głoski święte, wymówione jak należy: **Jod — He — Vau — He** — oznaczały Boga w jego zlanu się wiekuistym z Naturą; obejmowały całokształt Bytu, żywy Wszechświat. **Jod** (Ozyrys) oznaczał bóstwo właściwe, intelekt twórczy, żywioł **Wiekuiście męski**, który jest we wszystkim, wszędzie i ponad wszystkim. **He — Vau — He** — wyobrażało żywioł **wiekuiście żeński**, Ewę, Izydę, Naturę, we wszystkich postaciach widomych i niewidzialnych, przezeń zapłodnionych. Najwyższe wtajemniczenie w nauki teogoniczne i sztuki teurgiczne odpowiadało głosce **Jod**. Inny dział nauk odpowiadał każdej z głosek wyrazu **Ewa**. — Podobnie jak Mojżesz, zachował i Orfeusz nauki, wyobrażone przez głoskę **Jod** (Jowisz, Zeus, Jupiter) oraz ideę jedności Boga dla wtajemniczonych pierwszego rzędu, usiłując zarazem wzbudzić w narodzie zainteresowanie dla tych spraw poezją, sztukami oraz żywymi ich symbolami. Dlatego też okrzyk „Ewohe“ otwarcie był głoszony na uroczystościach Dionizyjskich, na których dopuszczano do misterii, poza wtajemniczonymi, i początkujących też adeptów.

Na tym polega cała różnica pomiędzy dziełem Mojżesza a dziełem Orfeusza. I jeden i drugi wzięli za punkt wyjścia wtajemniczenie egipskie i posiadli tę samą prawdę, stosując ją wszakże w sposób odmienny. Mojżesz ostro, zazdrośnie sławił Ojca, Boga męskiego. Powierzył pieczę nad nim zam-

— Ewohe! — krzyknęli Heroldowie w czterech rogach świątyni. — Ewohe! i zadźwięczały cymbały. — Ewohe! — rozbrzmiał w odpowiedzi okrzyk entuzjastyczny zgromadzenia, zgrupowanego na stopniach świątyni. I okrzyk na chwałę Dionizosa, święte wezwanie do odrodzenia, do życia, gruchnęły po dolinie, tryskając z tysięcy piersi, powtórzone przez wszystkie echa górskie. I Pastery z dzikich przełęczy Ossy, zawieszeni wraz ze stadami swoimi wzdłuż lasów, tuż pod chmurami, krzyknęli: Ewohe!

kniętej kaście kapłańskiej i poddał lud dyscyplinie nieublaganej, pozbawiwszy go wszakże objawienia. Orfeusz w boskim upojeniu żywiłem wiekuiście żeńskim, Naturą, sławił ją imieniem Boga, który ją przenika i którego wytryśnięcia w ludzkości boskiej pożądał. I oto dlaczego okrzyk: „Ewohe!” stał się okrzykiem świętym we wszystkich misteriach greckich.

IV

WYWOŁYWANIE DUCHÓW

Uroczystość przemknęła jak sen; nadszedł wieczór. Echa tańców, śpiewów i modlitw rozwiały się we mgle różanej. Orfeusz i uczeń jego zeszli przejściem podziemnym do świętej krypty, dostępnej jedynie dla hierofanty i ciągnącej się aż w głąb góry. Tam właśnie oddawał się wtajemniczony przez Bogów rozmyślaniom samotnym lub też poświęcał się wraz z adeptami wysokim zadaniom magii i teurgii, czyli sztuki wywoływania duchów.

Dokoła nich ciągnęła się rozległa i wyboista przestrzeń. Dwie białe w ziemię pochodnie słabo oświetlały popękane mury i mroczne głębie. O kilka kroków od nich rozwierała się w ziemi głęboka czarna rozpadlina; wydostał się z niej ciepły powiew, a sama rozpadlina zdawała się sięgać aż do wnętrza ziemi. Mały ołtarz, na którym płonął ogień wzniecony z suty ch gałęzi lauru, a także sfinks porfirowy, stali na straży granic krypty. W dali, na wyżynie niewspółmiernej, widoczne było przez skośną szczelinę niebo usiane gwiazdami. Ten błądy promyk niebieskawego światła wydawał się okiem firmamentu, zagląającym do wnętrza przepaści.

— Piłeś ze źródła świętej jasności — rzekł Orfeusz, wszedłeś z sercem czystym do łona tajników. Nadeszła godzina uroczysta, w której przenikniesz za moim przewodem do źródeł życia i światła. Ci, którzy nie uchylili gęstej zasłony, kryjącej przed oczyma ludzkimi cuda niewidzialne, nie stali się synami Bogów.

— Słuchaj więc prawd, które przemilczeć należy przed tłumem, a które stanowią siłę świątyni.

— **Bóg** jest jeden, zawsze jednakowo niezmienny. Króluje on wszędzie. **Bogów** natomiast jest moc niezliczona i są oni różni, bowiem wiekuiścią i nieskończoną jest boskość. Najwięksi są duszami ciał niebieskich.

Słońca, gwiazdy, ziemie i księżycy — każde ciało niebieskie ma własną swoją duszę, a źródłem wszystkich jest ogień niebiański Zeusa i światło pierwotne. Półświadome, niedostępne, niezmiennie rządzą one wszechświatem swoimi regularnymi obrotami. Każde z tych wirujących ciał niebieskich wciąga do swojej eterowej sfery zastępy półbożków czy dusz promiennych, co ludźmi niegdyś były, a, po zstąpieniu po szczeblach królestwa natury, z chwałą przebyły cykle istnień, aby wyjść wreszcie z kręgu pokoleń. Za pośrednictwem tych duchów boskich Bóg oddycha, działa i objawia się; co mówię? są one tchnieniem jego duszy żywej, promieniami jego świadomości wiekuistej; rządzą one zastępami duchów niższych, kierujących żywiołami; rządzą światami. Z dala i z bliska są dokoła nas, a chociaż z istoty swojej nieśmiertelne, przybierają zmienne wciąż kształty, zależnie od narodów, czasów i stref. Bezbożnik, który przeczy ich istnieniu, lęka się ich; pobożny wielbi je, nie znając ich; Wtajemniczony zna je, przyciąga i widzi. Jeśli walczyłem, aby je znaleźć, jeśli stawilem czoło śmierci, jeśli — jak mówię — zstąpiłem do piekieł, uczynilem to celem pokonania demonów przepaści, wezwania Bogów z wyżyn niebieskich, aby czuwali nad moją ukochaną Grecją, aby Niebo głębokie zjednoczyło się z ziemią i aby ziemia oczarowana słuchała głosów boskich. Piękno niebios wcieli się w ciało niewieście, ogień Zeusa krążyć będzie we krwi bohaterów. Zanim jeszcze powrócą do gwiazd, jaśnieć będą synowie Bogów jako Nieśmiertelni.

„Czy wiesz, czym jest Lira Orfeusza? Dźwiękiem świątyń natchnionych. Strunami ich są Bogowie. Muzyka ich nastroi Grecję, jak lirę, i marmur nawet śpiewać będzie rytmiką wspaniałą, harmoniami niebiańskimi.

„A teraz wezwę moich Bogów, aby jako żywi objawili się tobie i aby ukazali ci w widzeniu proroczym misty-

cznego Hymeneusza ¹⁾), którego przygotowuję światu i którego ujrzą moi wtajemniczeni.

„Legnij pod osłoną tej skały. Nie lękaj się niczego. Sen czarodziejski zawrze twoje powieki, drzeć będziesz zrazu i widzieć rzeczy przerażające; ale potem muzyka czarowna, błogość nieznana pochłonie zmysły twoje i istność twoją całą“.

Uczeń wtulił się w niszę, wykutą w skale w kształcie łoża. Orfeusz rzucił garść wonności na ogień ołtarza. Po czym, ujmując w dłonie swoje hebanowe berło, na którego rękojeści umieszczony był iskrzący się kryształ, stanął tuż przy sfinksie i wołając głosem głębokim, rozpoczął wezwanie:

„Cybelo! Cybelo! Wielka macierzy, wysłuchaj mnie! Światło pierwotne, płomieniu chyży, lotny i mknący wiekuiście po przez przestworza, ty, który zawierasz w sobie oddźwięki i obrazy wszechrzeczy! Wzywam rumaki twoje światłem połyskujące. O, duszo wszechświata, ryjąca przepaście, siejąca słońca, ciągnąca za sobą w Eterze twój płaszcz gwiazdzisty; światło subtelne ukryte, niewidzialne dla oczu cielesnych; wielka matka Światów i Bogów, ty, która mieścisz w sobie kształty wiekuiste! zejdź do mnie, zejdź do mnie, Cybelo odwieczna! Moim paktem czarodziejskim, moim paktem z Potęgami, na duszę Eurydyki!... wzywam cię, małżonko wielokształtna, uległa i drgająca w ogniu wiekuistej Męskości. Z wyżyn przestworzy, z głębin przepaści, ze wszech stron, przybądź, spłyn, wypełnij falami twoimi tę pieczarę. Otocz syna Misteriów sznćcem diamentowym i ukaż mu w łonie twoim głębokim Duchy Przepaści, Ziemi i Nieba“.

Zaledwie wypowiedział słowa te, gdy grzmot podziemny wstrząsnął głębiny przepaści i zadrżała cała góra. Zimny pot zmroził ciało ucznia. Widział Orfeusza już tylko przez gęstniejący opar. Przez chwilę walczyć usiłował z potęgą olbrzymią, która go miażdżyła. Lecz mózg jego został zalany, wola unicestwiona. Opanowała go śmiertelna trwoga tonącego, którego płuca zalewa woda

¹⁾ Hymeneusz -- u starożytnych bóg związków małżeńskich.

i którego zachłystnięcie się straszliwe chłonie w mrokach bezpamięci.

Kiedy odzyskał świadomość, otaczała go noc głucha, panująca dokoła, noc, przez którą prześlizgiwał się zółtawy pół cień brudno-szary. Patrzył długo, nie widząc nic. Od czasu do czasu czuł, że ciało jego muskały w przelocie niewidzialne nietoperze. Wreszcie dojrzał w mroku niejasne zarysy poruszających się centaurów, hydr, gorgon. Pierwszą wszakże istotą, którą ujrzał wyraźnie, była wielka postać niewiasty, siedzącej na tronie. Oplywała ją długa, ciemno-fałdzista, posępna zasłona, usiana gasnącymi gwiazdami, głowę jej wieńczył splot maków. Jej szeroko otwarte źrenice czuwały nieruchomie. Mnóstwo cieni ludzkich migąło dokoła niej niby ptaki znużone i szepotało półgłosem: „Królowo zmarłych, duszo ziemi, Persefono! Jesteśmy córami nieba. Czemu rzucono nas na wygnanie do posępnego królestwa? O, żniwiarko niebios, czemu ścieraś dusze nasze, fruwające ongi i szczęśliwe w światłościach, pośród siostrzyc swoich, wśród pół eteru?

A na to Persefona: — Zerwałam narcyz, wstałam do łoża małżeńskiego. Wypiłam śmierć z życiem. Jak wy, jęczę w mrokach.

— Kiedyż będziemy wyzwolone? — jęknęły dusze.

— Kiedy przyjdzie mój oblubieniec niebieski, boski wybawiciel — odrzekła Persefona.

Nagle ukazały się straszliwe zjawy niewieście. Oczy ich krwią były nabiegłe, ich głowy wieńczyły rośliny trujące. Dokoła ramion ich, dokoła ich półnagich ciał wiły się węże, którymi posługiwały się nakształt biczów: „Dusze, widziadła, mary! — syczały — nie wiercie szalonej królowej zmarłych. Jesteśmy kapłankami życia mrocznego, służebnicami żywiołów, potworami głębin, Bachantkami ziemskimi, Furiami piekielnymi. To my jesteśmy waszymi władczyniami wiekuistymi, o, dusze nieszczęsne! Nie wyjdziecie z przekłętą kręgu pokoleń, wtłoczemy was w nie przemocą, biczami naszymi. Wijcie się wiekuiście w syczących pierścieniach węzów naszych, w więzach żądz, nienawiści i żalu“. Mówiąc to, rzuciły się z włosem rozwianym na gromadę grozą zdjętych dusz, które wiro-

wać zaczęły w kołowrocie zeschniętych liści, wydając przeciągle jęki.

Na widok ten zbladła Persefona; zdawała się już tylko zjawą księżycową. Szepnęła: — Niebo... światło... bogowie... rojenie sennel... Sen, sen wieczny. — Jej wieniec z maków zwiądł; oczy jej zawarł lęk. Królowa zmarłych wpadła w sen letargiczny, siedząc na tronie — po czym wszystko znikło w mrokach. —

...Zmieniło się widzenie. Uczeń z Delf znalazł się pośród wspaniałej zieleniejącej doliny. W głębi wznosił się Olimp. Przed otworem czarnej pieczary drzemała na łożu z kwiatów piękna Persefona. Wieniec z narcyzów — zamiast poprzednich maków posępnych — stroił teraz jej głowę, jutrzienka odradzającego się życia różowiła policzki jej odcieniem rajskim. Ciemne jej warkocze opadały na śnieżnej białości ramiona, a lekko wzniesione róże jej łona wzywać się zdawały pieszczoty wiatrów. Na łące pływały nimfy. Małe, białe obłoczki płynęły po lazurze nieba. Ze świątyni rozbrzmiewały dźwięki liry...

W jej głosie złotym, w jej rytmach świętych słyszał uczeń harmonię wewnętrzną wszechrzeczy. Bowiem słodka jakaś muzyka bezcielesna płynęła z wszystkich liści, z fal, z pieczar; do uszu jego dolatywały rytmami urywanymi dalekie głosy wtajemniczonych kobiet, śpiewających hymny chóralne w górach. Jedne, jak gdyby oszalałe z trwogi, wzywały Boga; inne zdawały się dostrzegać go, padając na skraju lasów, napoły martwe ze znużenia. Wreszcie rozwarły się u zenitu lazury, a z głębin ich wyłonił się olśniewający obłok. Jak ptak, co buja przez chwilę w przestworzu, a potem spada na ziemię, zstąpił z obłoku Bóg, dzierżący laskę owitą bluszczem i stanął przed Persefoną. Promienny był, włos miał rozwiany; w oczach jego jaśniało święte upojenie przecuciem światów, które mają się narodzić. Laska boża dotknęła jej łona; uśmiech wykwitł na jej obliczu. Dotknął jej czoła; rozwarła oczy, podniosła się zwolna i spojrzała na małżonka swego. Oczy jej, pełne jeszcze senności Erebu, rozjaśniły się i błyszczeć zaczęły jak dwie gwiazdy.

— Czy poznajesz mnie? — rzekł Bóg.

— O Dionizosie! — zawołała Persefona — Duchu boski, słowo Jupitera, Światło niebiańskie, jaśniejące w postaci człowieka! ilekroć mnie budzisz, zdaje mi się, że budzę się do życia po raz pierwszy; światy wskrzesają w mojej pamięci, przeszłość i przyszłość stają się nieśmiertelną teraźniejszością; czuję promieniejący w sercu moim wszechświat.

Ponad górami ukazali się równocześnie na krawędzi obłoków srebrzystych Bogowie zaciekawieni i pochyleni ku ziemi.

W dole grupy mężczyzn, kobiet i dzieci, wychodzących z dolin i pieczar wpatrywały się w zachwycie niebiańskim w oblicza Nieśmiertelnych. Hymny płomienne ulatywały ze świątyń w dymach kadzidlanych. Pomiędzy ziemią a niebem odbyć się miały jedne z owych zaślubin, po których poczynały matki bohaterów i Bogów.

Zaróżowił się już krajobraz cały; już królowa zmarłych, która stała się znów boską żniwiarką, wzlatywała w objęciach swego małżonka ku niebu. Otoczył ich obłok purpurowy i wargi Dionizosa spoczęły na ustach Persefony...

Potężny okrzyk miłości rozdarł ziemię i niebo, jak gdyby święty dreszcz Bogów, trącając wielką lirę, zerwać chciał wszystkie jej struny, rozsypać dźwięki jej na wszystkie strony świata. W tej samej chwili trysnął z boskiej pary błysk olśniewający, huragan oślepiającego światła... nagle wszystko znikło.

Kiedy odzyskał znów czucie cielesne, pogrążony był w odmęcie czarnej nocy. Na tle mrocznych głębin jaśniała jedynie promienna lira. Znikała ona, znikała, aż wreszcie stała się gwiazdą. Wówczas dopiero spostrzegł uczeń, że był w krypcie wywoływań i że tym punktem świetlnym była daleka szczelina pieczary, ukazująca hen w górze firmament.

Obok niego stał wielki cień. Poznał w nim Orfeusza po długich jego lokach i po kryształach, iskrzącym się w rękojeści jego berła.

— Skąd wracasz, synu, z Delf? — zapytał hierofanta.

— O, mistrzu wtajemniczonych, czarodzieju niebiański, cudowny Orfeuszu, boski miałem sen. Miałżeby to być czar magii, dar Bogów? Co się stało? Czy zmienił się świat? Gdzie jestem teraz?

— Zdobyłeś szczyt najwyższy wtajemniczenia i we śnie widziałeś ziszczenie mojego marzenia: nieśmiertelną Grecję! Lecz wyjdźmy stąd, bowiem aby spełniło się marzenie to — stać się musi, abym ja umarł, a ty, abyś żył.

V

ŚMIERĆ ORFEUSZA.

Lasy dębowe na zboczach góry Kaukaionu ryczały miotane burzą; nagie skały rozgrzmiewały zgrzytami gromu z siłą zdwojoną i wstrząsały podwalinami świątyni Jupitera. Kapłani Zeusa zgromadzili się w sklepionej krypcie sanktuarium. Siedząc na ławach z brązu, tworzyli półkole. Orfeusz stał pośrodku niby oskarżony. Bledszy był niż zazwyczaj: jedynie w jego spokojnych oczach gorzał głęboki płomień.

Najstarszy z kapłanów przemówił surowym głosem sędziego:

— Orfeuszu, ty, o którym mówią, że masz być synem Apollina, mianowaliśmy cię arcykapłanem i królem, daliśmy ci berło mistyczne syna Bożego; sprawujesz nad Tracją władzę kapłańską i królewską. Wzniosłeś w tej okolicy świątynie Jupitera i Apollina, sprawiłeś, że jaśniało w nocy misteriiw boskie słońce Dionizosa. Czy wiadomo ci wszakże, co nam zagraża? Ty, któremu znane są tajemnice straszliwe, ty, który niejednokrotnie przepowiadałeś nam przyszłość, ty, który z odległości przemawiałeś do uczniów twoich, ukazując się im we śnie, nie wiesz, co się dzieje dokoła ciebie. Pod nieobecność twoją zebrały się w dolinie Hekaty dzikie Bachantki, kapłanki przekłete. Pod przewodem Aglaoniki, czarnoksiężniczki z Tesalii, udało im się przekonać wodzów z nad wybrzeży Ebru, aby przywrócili kult posępnej Hekaty; grożą zniszczeniem świątyń Bogów męskich i wszystkich ołtarzy

Najwyższego. Podnieceni ich mową płomienną, prowadzeni przez ich pochodnie podpalające, obozują wojownicy tracyjscy u stóp tej góry i jutro oblegną świątynię, pobudzani oddechem tych niewiast, odzianych w skóry panter, żądnych samczej krwi. Wiedzie ich Aglaonika, kapłanka posępnej Hekaty; to najstraszliwsza z czarownic, nieubłagana i wściekła jak Furia. Musisz znać ją! Co powiesz o niej?

— Wiedziałem o tym wszystkim — rzekł Orfeusz — wszystko to musiało się stać.

— Czemu więc nie uczyniłeś nic, aby nas obronić? Aglaonika przysięgła, że powyrzyna nas przy ołtarzach naszych, w obliczu nieba żywego, które wielbimy. Cóż wszakże stanie się z tą świątynią, z jej skarbami, z nauką twoją, z samym Zeusem nawet, jeśli go opuścisz?

— Czyż nie jestem z wami? — zapytał Orfeusz łagodnie.

— Przybyłeś, lecz zbyt późno — odparł starzec. Aglaonika prowadzi Bachantki, a Bachantki prowadzą Traków. Czy odeprzesz ich gromem Jowisza i strzałami Apollina? Czemu nie wezwałeś na obronę tego miejsca świętego wodzów trackich, wiernych Zeusowi, aby dopomogli nam zgnieść bunt?

— Nie orężem bronić należy Bogów, lecz słowem. Nie na wodzów uderzyć trzeba, lecz na Bachantki. Pójdę ja, sam jeden. Bądźcie spokojni. Nikt z profanów nie przestąpi tego progu. Jutro skończy się panowanie krwawych kapłanek. A wiedźcie o tym, wy, którzy drżycie wobec hord Hekaty, że zwyciężą słoneczni Bogowie niebiescy. Tobie, starcze, który zwątpiłeś o mnie, pozostawiam berło kapłana i wieniec hierofanty.

— Co czynić zamierzasz? — zawołał przerażony starzec.

— Połączę się z Bogami... Do zobaczenia z wami wszystkimi! I poszedł Orfeusz, pozostawiając kapłanów osłupiałych na ich ławach. W świątyni zastał ucznia z Delf; ujmując go więc silnie za rękę, rzekł:

— Idę do obozu Traków; chodź ze mną.

Poszli drogą wśród dębów; burza odeszła daleko; poprzez gąszcz gałęzi migotały światła gwiazd.

— Wybiła dla mnie godzina ostatnia — rzekł Orfeusz — inni, rozumieli mnie, ty zaś mnie kochałeś. Eros jest najstarszym z Bogów, mówią wtajemniczeni; dzierży on klucz wszystkich bytów. Dlatego też pozwoliłem ci dotrzeć do głębi Tajników; Bogowie przemówili do ciebie, oglądałeś ich... Teraz, z dala od ludzi, sam na sam z miśtem, musi Orfeusz pozostawić ukochanemu uczniowi godło przeznaczenia swego, nieśmiertelne dziedzictwo, cystą pochodnię duszy swojej.

— Mistrzu! słucham i jestem posłuszny — rzekł uczeń z Delf.

— Chodźmy dalej tą idącą w dół ścieżką — powiedział Orfeusz. — Czas nagli. Chcę zaskoczyć z nienacka nieprzyjaciół moich. Idąc za mną, słuchaj słów moich; i wyryj je w pamięci, lecz zachowaj je tam jak tajemnicę.

— Ryją się one ognistymi zgłoskami w sercu moim; wieki nie wymażą ich zeń.

— Wiesz już teraz, że dusza jest córą nieba. Oglądałeś początek twój i twój koniec i zaczynasz już przypominać sobie. Kiedy zstępuje ona w ciało, nie przestaje — jakkolwiek w słabym już stopniu — wchłaniać fluidu z góry. Tchnienie to potężne przenika nas najpierw przez matkę nasze. Mleko ich łona żywi ciało nasze, lecz całą istotę naszą, którą dręczy dławiąca niewola ciała, żywi dusza ich. Matka moja była kapłanką Apollina, moje pierwsze wspomnienia wyczarowują mi gaj święty, uroczystą świątynię, niewiastę, tulącą mnie do łona, spowijającą mnie miękką kaskadą włosów swych, niby płaszczem ciepłym. Przedmioty ziemskie, twarze ludzkie przejmowały mnie przeraźliwym strachem. Matka moja tuliła mnie jednak zaraz w ramionach, patrzyłem w jej utkwione we mnie oczy i wzrok jej słał mi fale boskiego wspomnienia nieba. Promień ten zgasł jednak w ponurej szarżynie ziemi. Pewnego dnia matka moja znikła; umarła... Pozbawiony jej spojrzenia, jej pieśczoć, przerażony byłem moim osamotnieniem. Widok krwi ofiarnej, spływającej na ołtarze, wzbudził we mnie odrazę do świątyni, zszedłem więc w mroczne doliny. Bachantki oszołomiły młodość moją. Od owych czasów już panowała Aglaonika nad tymi lubieżnymi i okrutnymi niewiastami. Wszyscy, męż-

czyźni i kobiety, bał się jej. Tchnęła ponurą żądzą i raziła grozą. Tessalijka ta wywierała na wszystkich, którzy się do niej zbliżali, urok fatalny; sztukami piekielnej Hekaty wciągała młode dziewczęta do swojej doliny, opętanej przez złe duchy i wtajemniczała je w arkana swojego kultu. Ujrawszy Eurydykę, zapalała do młodej dziewczyny żądzą przewrotną, miłością wyuzdaną, złowrogą. Zapragnęła wciągnąć ją do kultu Bachantek, ujarzmić ją, wydać ją na łup piekielnych mocy po skażeniu jej młodości. Oplątała ją już siecią uwodzicielskich obietnic, swoimi nocnymi czarami.

Pociągnięty niewytłumaczonym jakimś przeczuciem do doliny Hekaty, kroczyłem pewnego dnia łąką, gęsto porośłą wysokimi trawami i roślinami trującymi. Dokoła panowała groza ciemnych lasów, nawiedzanych przez Bachantki. Przepływały tu fale aromatów, niby gorące tchnienia żądy. Ujrzałem Eurydykę. Szła zwolna, w kierunku pieczary, której otwór czerniał z dala, jak gdyby pociągał ją jakiś niedostrzegalny cel. Nie widziała mnie. Czasem dolatywał z lasu Bachantek śmiech lekki, czasem dziwne westchnienia. Eurydyka zatrzymywała się, drżąc, niepewna, po czym szła znów dalej, jak gdyby pociągnięta jakąś czarodziejską siłą. Złote jej loki spływały swobodnie na białe ramiona, jej oczy narcyzowe tonęły w upojeniu, gdy szła tak ku wnijściu do Piekieł. Ujrzałem jednak niebo uśpione w jej spojrzeniu. — Eurydyko, zawołałem, ujmując jej rękę — dokąd idziesz? Jak gdyby ze snu zbudzona, wydała okrzyk grozy i wyzwolenia, potem padła mi w ramiona. W owej chwili właśnie ujrzał nas Eros; jedno spojrzenie uczyniło z Eurydyki i Orfeusza małżonków na wieki.

Przytulona do mnie w przerażeniu swoim, wskazała mi Eurydyka grootę gestem pełnym lęku. Zbliżywszy się, ujrzałem w niej siedzącą niewiastę. Była to Aglaonika. Tuż koło niej stał mały woskowy posążek Hekaty, pomalowany na czerwono, biało i czarno i trzymający w ręku bicz. Aglaonika szeptała wyrazy czarodziejskie, kręcąc czarodziejski kołowrotek, a oczy jej, wpatrzone w przeszczeń, zdawały się pożerać swą ofiarę. Połamałem kołowrotek, podeptałem nogami posążek Hekaty i, wpierając w czarownicę ostre spojrzenie, zawołałem: — Na Jowi-

sza! zabraniam ci myśleć o Eurydyce — pod karą śmierci! Wiedz bowiem, że synowie Apollina nie boją się ciebie.

— Zdumiona Aglaonika wyla się jak wąż pod gestem moim i znikła w pieczarze, ciskając mi spojrzenie pełne śmiertelnej nienawiści... Uprowadziłem Eurydykę do wrót mojej świątyni. Dziewice z Ebru, uwienieczone kwiatem hiacyntu, śpiewały dokoła nas: Hymen! Hymeneusz!... Znałem pełni szczęścia!

Księżyc zdążył zmienić się trzy razy zaledwie, kiedy jedna z Bachantek, nasłana przez Tessalijkę, przyniosła Eurydyce czarę wina, która — jak mówiła — miała dać jej znajomość napojów i ziół czarnoksięskich. Zaciękwiona Eurydyka wypila wino i upadła, jak rażona gromem. Czara zawierała jad śmiertelny.

— Kiedy stos pochłonał w moich oczach mą małżonkę, kiedy mogiła rozwarła się, aby ukryć w swym wnętrzu jej popioły i kiedy znikł ślad ostatni żywych jej kształtów, zawołałem: — Gdzie jest dusza jej?

Zrozpaczony, opuściłem miejsce naszego szczęścia. Błagałem się po całej Grecji. Błagałem kapłanów Samotracji o wywołanie jej ducha; szukałem jej we wnętrzu ziemi, na przylądku Tenaru; nadaremnie. Wreszcie przybyłem do jaskini Trofoniusza. Tam prowadzą kapłani śmiałych przybyszów przez szczelinę aż do jezior ognistych, wręczących we wnętrzu ziemi, aby zobaczyć mogli, co się w nich dzieje. Podczas drogi, idąc wciąż i iść nie przestając, wpada się w ekstazę i zyskuje dar jasnowidzenia. Zaledwie można oddychać, głos zamiera, mówi się już tylko znakami. Jedni cofają się z pół drogi, inni nie ustępują i umierają zduszeni; większość tych, którzy wychodzą żywi, dostaje obłędu.

— Po ujrzeniu tego, czego żadne usta nie powinny powtarzać, powróciłem do grotty i wpadłem w głęboki sen letargiczny. W tym śmiertelnym śnie ukazała mi się Eurydyka. Płynęła w poświacie, blada jak promień księżycy i rzekła: „Dla mnie nie uląkłeś się piekieł, szukałeś mnie pośród martwych. Oto jestem. Przybywam na twoje wezwanie. Miejscem zamieszkania mojego nie jest łono ziemi, lecz sfera Erebu, ostrokrag cienia pomiędzy ziemią a księżycem. Wiruję na tej krawędzi, płacząc jak ty. Je-

śli chcesz wyzwolić mnie, zbaw Grecję, dając jej światło. Wówczas ja sama odzyskam skrzydła i ulecę ku gwiązdom, gdzie znajdziesz mnie w światłości Bogów. Aż do czasu tego błąkać się muszę w kręgu mętym i bolesnym“...

— Po trzykroć chciałem pochwycić ją; trzy razy rozwiła mi się w ramionach jak cień. Usłyszałem jedynie jak gdyby dźwięk zrywającej się struny; potem głos, słaby jak tchnienie, smutny jak pocałunek pożegnalny, szepnął: „Orfeuszu!“

— Głos ten zbudził mnie. Imię to, dane mi przez duszę, zmieniło całą moją istotę. Czulem przenikający mnie dreszcz święty bezmiernego pragnienia i potęgę miłości nadludzkiej. Eurydyka żywa dałaby mi upojenie szczęściem; martwej Eurydyce zawdzięczam odnalezienie Prawdy. Miłością wiedziony, przywdziałem szaty lniane i poświęciłem się wielkiemu wtajemniczeniu i życiu ascetycznemu; miłości zawdzięczam przeniknięcie magii i szukanie wiedzy boskiej. Miłość kazała mi przejść przez jaskinie Samotracji, przez podkopy Piramid i grobowce Egiptu. Badałem śmierć, aby znaleźć życie, a poza życiem widziałem krawędzie gwiazd, dusze, sfery przejrzyste, Eter boski. Ziemia ctwarła przede mną czeluście swoje, niebo — swoje świątynie gorejące. Wydarłem mumiom wiedzę ukrytą w ich sarkofagach. Kapłani Izydy i Ozyrysa wyjawili mi swoje tajemnice. Oni tych jedynie mieli Bogów; ja miałem Erosa! Dzięki niemu mówiłem, śpiewałem, zwyciężyłem. Dzięki niemu odcytowałem słowo Hermesa i słowo Zoroastra; dzięki niemu wypowiedziałem słowo Jupitera i Apollina“!

— Nadeszła wszakże godzina przypiecztowania mojego posłannictwa śmiercią. Raz jeszcze zstąpić muszę do piekieł, aby dostać się do nieba. Słuchaj, dziecię ukochane, słów moich: Zaniesiesz doktrynę moją do świątyni w Delfach, a przykazania moje sądowi Amfiktionowskiemu. Dionizos jest słońcem wtajemniczonych; Apollin będzie światłem Grecji; związek Amfiktionowski — stróżem sprawiedliwości“¹⁾.

¹⁾ **Amfiktionia** — jako forma prawna zjednoczenia Helly — powstała na gruncie konieczności bronienia świąty-

Hierofanta i uczeń jego byli już u kresu doliny. Przed nimi otwierał się widok na polanę, na zwarte ściany ciemnych lasów, na namioty i na ludzi leżących na trawie; w głębi lasu widać było dogasające ognisko i migoczące na wietrze pochodnie. Orfeusz kroczył spokojnie pośród uśpionych Traków, znużonych orgią całonocną. Czuwający wartownik zapytał o jego imię.

— Jestem posłannikiem Jupitera, wezwij starszą twoją — odpowiedział Orfeusz.

— Kapłan świątyni!... Okrzyk ten wartownika rozległ się jak sygnał alarmowy po całym obozie. Wszyscy zbroją się pośpiesznie; przywołują się wzajem; połyskują miecze; starsza przybiega zdumiona i otacza arcykapłana.

— Ktoś ty? W jakim celu przybywasz?

— Jestem posłem świątyni. Wy wszyscy, królowie, wodzowie, wojownicy Tracji, wyrzeczcie się walki ze światłem i uznajcie boskość Jupitera i Apollina. Bogowie z niebios mówią do was przez moje usta. Przychodzę jako przyjaciel, jeśli usłuchacie mnie; jako sędzia — jeśli nie zechcecie mnie słuchać.

— Mów! — rzekła starsza.

Stojąc pod wielkim wiązem, zaczął Orfeusz mówić. Mówił o dobrodziejstwach Bogów, o uroku światła niebiańskiego, o owym czystym życiu, jakie wiódł tam w górze wraz z braćmi swoimi wtajemniczonymi pod okiem wielkiego Uranosa, jakie chciałby, aby było udziałem wszystkich ludzi. Przyobiecował uśmierzać rozterki, uzdrawiać chorych, uczyć, jakie nasiona rodzą najpiękniejsze owoce ziemskie, oraz jakie, cenniejsze jeszcze, rodzą boskie owoce życia: radość, miłość, piękno. A kiedy mówił, głos jego poważny i słodki dźwięczał jak struny liry i sięgał coraz głębiej do dna serc Traków, poruszonych jego słowami. Z głębi lasów nadbiegły zaciekawione Bachantki z pochodniami w rękach, pociągnięte brzmieniem głosu ludzkiego. Spod okrywających je skór pantery wyzierały brunatne ich piersi i obnażone kształty wspaniałe. Przy świetle pochodni nocnych połyskiwały oczy ich lubieżno-

ni. Bronili jej „mieszkający dokoła“ (amfiktionowie). Amfiktionii było wiele, najsłynniejsza z nich — delficka, dzięki której Delfy stały się ogniskiem Hellady. (Przyp. tłum.).

ścią i okrucieństwem. Pod łagodzącym wszakże wpływem słów Orfeusza uspakajały się zwolna i, zgrupowane dokoła niego, usiadły u jego stóp, niby oswojone dzikie zwierzęta. Jedne, zdjęte wyrzutami sumienia, wbijały w ziemię ponury wzrok; inne słuchały jak oczarowane. Trakowie, wzruszeni również, szeptali: „To Bóg mówi, to sam Apollo rzuca czary na Bachantki“.

Z głębi lasu wszakże śledziła ich Aglaonika. Arcykapłanka Hekady, widząc osłupiałych Traków i Bachantki opętane czarami silniejszymi nad jej własne, czuła zwycięstwo nieba nad piekłem, czuła, że pod urokiem słów boskiego czarodzieja władza jej przeklęta runie w mroki, z których wyszła. Rzucając się więc skokiem gwałtownym ku Orfeuszowi, ryknęła: „Bóg?! — powiadacie? A ja mówię wam, że to Orfeusz, człowiek taki sam jak wy, czarownik, który was oszukuje, tyran, który przywłaszczycie chce sobie wasze wawrzyny. Bóg? — mówicie — syn Apollina? On? kapłan? dumny hierofant? Rzućcie się na niego! Jeśli jest Bogiem, niech się broni... a, jeśli ja kłamie, rozszarpcie mnie! Za Aglaoniką szło kilku wodzów, opętanych złymi jej czarami i płonących zarzewiem jej nienawiści. Rzucili się na hierofantę. Orfeusz wydał ostry okrzyk i padł, przebity ostrzami ich mieczów. Wyciągnął rękę do ucznia swego i rzekł:

— Umieram, ale Bogowie żyją!

Po tych słowach wyzionął ducha. Pochylona nad trupem jego czarownica Tessalijska, podobna teraz do Ty-syfony, czyhała z dziką radością na ostatnie tchnienie proroka, szykując się do wyciągnięcia przepowiedni ze swojej ofiary.

Jakież było jednak przerażenie Tessalijki, kiedy nagle ujrzała, że ta głowa trupa ożywia się przy niepewnym błysku pochodni, że blady rumieniec wykwita na martwej twarzy, oczy rozwierają się szeroko i spojrzenie głębokie, łagodne, a zarazem straszne zwraca się ku niej, podczas gdy głos dziwny, głos Orfeusza ulatuje raz jeszcze z warg drżących, aby wymówić wyraźnie cztery melodyjne zgłoski mściciela:

— Eurydyko!

Wobec tego spojrzenia, wobec głosu tego cofnęła się przerażona kapłanka, wołając: — On nie umarł! Będą

mnie prześladowali wiecznie! Orfeusz... Eurydyka!... Rzucając słowa te, znikła Aglaonika, jak gdyby gnana przez tysiące furii. Przerazone Bachantki i Trakowie, zdjęci grozą popełnionej zbrodni, znikli w ciemnościach, wydając okrzyki rozpaczny.

Uczeń pozostał sam przy ciele mistrza. Kiedy ponury promień Hekaty oświetlił pokrwawione szaty i bladą twarz wielkiego proroka, wydało się uczniowi jego, że dolina, rzeka, góry i lasy przepaściste jęły jak jedna wielka lira.

Ciało Orfeusza spalone zostało przez kapłanów jego, a popioły przeniesione do odległej świątyni Apollina, gdzie oddawano im odtąd cześć boską. Żaden z buntowników nie odważył się pójść do świątyni Kaukaionu. Tradycja Orfeusza, jego nauka i jego misteria zostały tutaj utrzymane i rozeszły się stąd po wszystkich świątyniach Jupitera i Apollina. Poeci greccy utrzymywali, że Apollo stał się zazdrosnym o Orfeusza, ponieważ wzywano go częściej niż jego. Prawdą było, że kiedy poeci opiewali Apollina, wzywali wielcy wtajemniczeni ducha Orfeusza, wybawiciela i wieszczka.

W następstwie Trakowie, nawróceni na religię Orfeusza, opowiadali, że zstąpił do piekieł, na poszukiwanie duszy małżonki swojej, że rozszarpały go tam Bachantki, zazdrosne o jego miłość wiecznotrwałą i że głowa jego, rzucona do Ebru i uniesiona burzliwymi jego falami, wołała wciąż jeszcze: Eurydyko! Eurydyko!

Trakowie opiewali jak proroka tego, którego zamordowali jak zbrodniarza, a który śmiercią swą nawrócił ich. Tak więc słowo orfickie wessało się w sposób mistyczny w krew Hellady ukrytymi drogami świątyń i wtajemniczeń! Bogowie dostroili się do jego głosu, jak chór wtajemniczonych dostraja się w świątyni do dźwięków liry niewidzialnej. Dusza Orfeusza stała się duszą Grecji.

KSIĘGA SZÓSTA
PYTAGORAS
MISTERIA DELFICKIE

Poznaj siebie samego — a poznasz Wszechświat i Bogów.

Napis na świątyni w Delfach.

Sen, Marzenie i Ekstaza są trzema wrotami, otwartymi na Zaświaty, skąd sływa na nas znajomość duszy i sztuka wieszczania.

Ewolucja jest prawem Życia.

Liczba jest prawem Wszechświata.

Jedność jest prawem Boga.

GRECJA W SZÓSTYM WIEKU

Dusza Orfeusza przemknęła jak meteor boski po burzliwym niebie rodzącej się Grecji. Z chwilą zniknięcia jego zasnęły je ponownie mroki. Po szeregu rewolucji spalili tyrani Tracji jego księgi, obalili jego świątynie, wypędzili jego uczniów. Królowie greccy, a także wiele miast, bardziej dbających o wyuzdaną rozpustę, aniżeli o sprawiedliwość, wypływającą z czystych doktryn, naśladowało ich. Chciano zatrzeć pamięć jego, zniszczyć ostatnie ślady po nim i uczyniono to z takim powodzeniem, że w kilka wieków po jego śmierci część Grecji wątpiła, czy w ogóle istniał kiedykolwiek. Daremnie przechowywali wtajemniczeni tradycję jego przez tysiąc lat z górą; daremnie Pytagoras i Platon mówili o nim, jako o człowieku boskim; Sofiści i retorycy widzieli w nim jedynie personifikację legendy o powstaniu muzyki. Dzisiaj jeszcze uczeni przeczą wprost istnieniu Orfeusza. Opierają się oni na tym zwłaszcza fakcie, że ani Homer, ani Hezjod nie wymieniają jego imienia. Milczenie wszakże poetów tych tłumaczy aż nadto klątwa, rzucona na wielkiego proroka przez władze miejscowe. Uczniowie Orfeusza nie pomijali wszelako żadnej sposobności przypominania o najwyższej władzy świątyni w Delfach, powtarzania, iż należało poddać wszystkie spory i zatargi, powstałe pomiędzy poszczególnymi państwami Grecji, radzie Amfiktionńskiej. Nie dogadzało to zarówno podżegaczom, jak tyranom. Homer, który wtajemniczenie swoje zawdzięczał prawdopodobnie świątyni w Tyrze i którego mitologia jest

poetycką przeróbką teologii Sankoniatonu, Homer — Jończyk mógł łatwo nie znać Deonijczyka — Orfeusza, którego tradycję tymbardziej okrywano tajemnicą, im bardziej podlegała ona prześladowaniu.

Hezjodowi, urodzonemu w pobliżu Parnasu, musiało być znane imię Orfeusza i doktryna jego przez świątynię w Delfach; ci wszakże, którzy go wtajemniczali, nakazali mu — nie bez słuszności — zupełne o tym milczenie.

Mimo to wszakże żył Orfeusz w dziele swoim; żył w uczniach; żył w tych nawet, którzy przeczyli jego istnieniu. Jakież to było dzieło? Gdzie szukać należy ducha tego ożywiającego? Czy w spartańskim okrutnym możnowładztwie wojennym, w którym pogardzano wiedzą, nieuctwo podnoszono do godności systemu i wymagano brutalności jako przejawu męstwa? Czy w nieubłaganych wojnach Messenńskich, podczas których Spartiaci gnębili lud sąsiedni aż do wytępienia go, w których ci Rzymianie greccy dawali już zapowiedź skały Tarpejskiej i krwawych wawrzynów kapitolijskich, rzucając w przepaść bohater-skiego Arystomena, obrońcę swojej ojczyzny?

Czy może raczej w niesfornej demokracji ateńskiej, zawsze gotowej przedzierzgnąć się w tyranie? Czy w straży pretoriańskiej Pizystrata lub w sztylcie Harmodiusza i Arystogitona, ukrytym pod gałęzią mirtu? Czy w licznych miastach Hellady, Wielkiej Grecji i Azji Mniejszej, których dwoma przeciwstawnymi typami są Ateny i Sparta? Czy we wszystkich tych demokracjach i zawistnych tyraniach, zazdrosnych i zawsze gotowych do wzajemnego rozszarpywania się? — Nie; duszy Grecji gdzie indziej szukać należy. Żyje ona w jej świątyniach, w jej Misteriach i w jej wtajemniczonych. Żyje ona w świątyni Jupitera w Olimpii. Junony — w Argos, Cerery — w Eleuzji, panuje nad Atenami wraz z Minerwą. promienieje w Delfach z Apollinem, którego światło góruje nad wszystkimi świątyniami i przenika je. Oto właściwe środowisko życia helleńskiego, mózg i serce Grecji. Tutaj szukają nauki poeci, ujawniający tłumowi prawdy najwyższe w obrazach żywych; mędracy, szerzący je dialektyką subtelną. Duch Orfeusza krąży wszędzie, gdzie drga nieśmiertelna Grecja. Odnajdujemy go we współzawodnictwie poezji i gimnastyki, w igrzyskach Delfickich i Olimpijskich.

szczęśliwie pomysłanych urządzeniach, które stworzyli następcy mistrza, aby zbliżyć i zjednoczyć dwanaście szczepów greckich.

Widzimy ją namacalnie w sądzie Amfiktionńskim, w tym zgromadzeniu wielkich wtajemniczonych, najwyższym trybunale rozstrzygającym, który zbierał się w Delfach, jako wymiar sprawiedliwości i zgody, i w którym zyskała Grecja jedność swoją w momentach bohaterstwa i samozaparcia się¹⁾.

Jednakże ta Grecja Orfeusza, której intelektem była czysta, przechowywana w świątyniach, doktryna; duszą — religia plastyczna, a ciałem — wysoki trybunał sprawiedliwości, ześrodkowany w Delfach — Grecja ta zaczęła chylić się, poczawszy od siódmego wieku, ku upadkowi. Wyroki delfickie przestały być szanowane; gwałcono święte terytoria. Działo się tak dlatego, że wyginęła rasa wielkich wtajemniczonych, a poziom umysłowy i moralny świątyń obniżył się. Kapłani zagarniali władzę polityczną; Misteria nawet ulegać zaczęły sprzedajności i wypaczeniu. Wygląd ogólny Grecji zmienił się. Dawne rządy królewsko-kapłańskie i rolnicze ustąpiły miejsca w jednych państwach rządowi tyranii absolutnej, w innych — arystokracji wojskowej, w jeszcze innych — demokratycznej anarchii. Świątynie niezdolne już były zapobiec grożącemu rozprężeniu. Potrzebny im był dopływ nowych sił. Należało uprzystępnić doktryny ezoteryczne. Ażeby myśl Orfeusza mogła żyć i rozwijać się w całej pełni, musiała nauka świątyń przejść do instytucji świeckich. Prześlizgnęła się ona pod rozmaitymi postaciami do głów prawodawców cywilnych, do szkół poe-

¹⁾ **Przysięga amfiktionńska** ludów zjednoczonych daje pojęcie o wielkości i społecznej potędze tego związku. „Przysięgamy nie obalać nigdy miast amfiktionńskich, nie odcinać im nigdy, ani w czasie pokoju, ani w czasie wojny źródeł zaspakajania ich potrzeb. Gdyby potęga jakaś ważyła się uczynić to, pójdziemy przeciwko niej i zniszczymy jej miasto. Gdyby bezbożnicy porwali ofiary ze świątyni Apollina, przysięgamy użyć naszych nóg, naszych ramion, naszego głosu, wszystkich sił naszych. przeciwko nim i przeciwko ich sojusznikom“.

tyckich, pod portyki filozofów. Ci ostatni w nauczaniu swoim tę samą odczuwali konieczność dwóch doktryn, jaką uznał Orfeusz w religii: jednej — publicznej, drugiej — tajemnej, wypowiadających tę samą prawdę w odmiennej tylko formie i w odmiennej mierze i poziomie ujęcia, przystosowanym do stopnia rozwoju uczniów. Ewolucja ta dała Grecji jej trzy wielkie wieki twórczości artystycznej i świetności umysłowej. Umożliwiła ona myśli orfickiej, która jest zarazem pierwszą siłą rozpędową i syntezą idealną Grecji, ześrodkowanie całego swego światła i promieniowanie jego na świat cały, zanim jeszcze budowa jej polityczna, podkopywana przez rozterki wewnętrzne, nie zachwiała się pod ciosami zadanymi jej przez Macedonię, aby runąć w końcu pod żelazną ręką Rzymu.

Ewolucja, o której mówimy, niejednego wysunęła działacza. W rządzie jej sprawców byli tacy myśliciele, jak Tales, prawodawcy — jak Solon, poeci — jak Pindar, bohaterowie — jak Epaminondas. Miała ona wszakże wodza uznanego. Był nim wtajemniczony pierwszego rzędu, człowiek obdarzony niezwykłą inteligencją, twórczą, nakazodawczą — Pytagoras, mistrz Grecji świeckiej, podobnie jak Orfeusz był mistrzem Grecji kapłańskiej. Pytagoras tłumaczył i rozwinął myśl poprzednika i przystosował ją do swojej epoki. Tłumaczenie jego było wszakże twórczością. Usystematyzował on natchnienie orfickie w skończony całokształt, dostarczył w nauczaniu swoim na ich poparcie świadectwa nauki, zaś dowodu moralnego w swoim systemie wychowawczym oraz w związku pytagorejskim, który go przeżył.

Pomimo, że działał on w pełnym świetle historii, pozostał Pytagoras postacią niemal legendarną. Głównym powodem tego jest zaciekle prześladowanie, którego był ofiarą na Sycylii i które wielu Pytagorejczyków przypłaciło życiem. Jedni zginęli pod gruzami podpalonej ich akademii, inni umarli z głodu w świątyni. Pamięć i doktryna mistrza utrwaliły się jedynie dzięki pozostałym przy życiu jego wyznawcom, którym udało się uciec z Grecji. Platon zdobył z wielkim trudem i za wielką cenę, dzięki Architasowi, rękopis mistrza, którego doktryna ezoteryczna napisana była przez niego tajemnymi jedynie

znakami, w postaci symbolicznej. Właściwym polem jego działalności było nauczanie ustne, jak to się dzieje u wszystkich reformatorów. Mimo to wszakże istota jego systemu doszła do nas w „Złoty wierszach“ Lizjasza, w komentarzu Hieroklesa, we fragmentach Filolausa i Architasa, jak również w **Tymeuszu** Platona, zawierającym kosmogonię Pytagorasa. Pełno wreszcie u pisarzy starożytnych wzmianek o filozofie z Krotonu. Przytaczają oni mnóstwo anegdot, malujących jego rozum, jego urodę i jego cudowną niemal władzę nad ludźmi. Neoplatonicy, aleksandryjscy, Gnostycy, a nawet pierwsi Ojcowie Kościoła przytaczają go jako autorytet. Są to wszystko cenne świadectwa, w których drga zawsze fala potężna zapалу, jakim niezwykła osobowość Pytagorasa zdołała natchnąć Grecję i jakiego echa ostatnie rozbrzmiewają w osiem wieków po jego śmierci.

Doktryna jego, oglądana z góry i odcyfrowana dzięki zastosowaniu klucza ezoteryzmu porównawczego, przedstawia wspaniały całościowy kształt, syntezę harmonijną, której poszczególne części związane są w jedną całość podstawową myślą przewodnią. Znajdujemy w niej rozumowane odtworzenie ezoterycznej doktryny Indii i Egiptu, której nadał on grecką przejrzystość i prostotę i którą zaprawił żywszym, wyraźniejszym odczuciem idei wolności człowieka.

W tej samej epoce i w różnych punktach kuli ziemskiej szerzyli wielcy reformatorzy doktryny analogiczne. Ezoteryzm Fo-hi wydał w Chinach doktrynę Lao-Tse. Sakja-Muni nauczał nad brzegami Gangesu; kapłani etruscy wysłali do Rzymu wtajemniczonego, zaopatrzonego w księgi sybillińskie, króla Nume, który próbował osłabić groźne potęgujące się ambicje Senatu rzymskiego mądrymi urządzeniami społecznymi. Nie jest też bynajmniej dziełem trafu, że reformatorzy owi występują równocześnie u tak różnych narodów. Ich odmienne posłannictwa mają na względzie jeden wspólny cel. Stwierdzają one, że w pewnych momentach dziejowych ten sam prąd duchowy obiega tajemniczo całą ludzkość. Skąd przychodzi? — Z owego świata boskiego, który jest poza sferą naszego widzenia, lecz którego wysłannikami i uczestnikami są geniusze i prorocy.

Pytagoras przeszedł przez cały świat starożytny, zanim powiedział Grecji to, co miał jej do powiedzenia. Był w Afryce i w Azji, oglądał Memfis i Babilon, poznał politykę ich i ich wtajemniczenie. Jego burzliwe życie podobne jest do okrętu, puszczonego na wzburzone fale; z rozwiniętymi żaglami płynie on ku celowi, nie zbaczając z drogi, pośród żywiołów rozszalałych. Jego doktryna czyni wrażenie nocy przewiewnej, następującej po ogniu żarzącym krwawego dnia. Wyczarowuje ona myśl o pięknie stropu niebieskiego, odsłaniającego zwolna oczom jasnowidzącym swoje archipelagi gwieździste i swoje rozwiewne harmonie.

Spróbujmy odczyścić ją i wyluskać zarówno z mroku legendy, jak z przesądów szkoły.

II

LATA WĘDRÓWKI

Wyspa Samos była na początku szóstego wieku przed Chr. jedną z najbardziej kwitnących wysp jońskich. Z przystani jej portu otwierał się widok na fioletowe góry zniewieściałej Azji Mniejszej, dostarczycielki przepychu i wszelakich ponęt. Miasto, położone nad szeroką zatoką, piętrzyło się amfiteatralnie wzwyż, od zielonego wybrzeża po zboczu góry, u stóp wyniosłego cyplu, który wieńczyła świątynia Neptuna. Ponad nią sterczały kolumny wspaniałego pałacu, w którym panował tyran, Polikrates. Pozbawiwszy Samos wolności, nadał on miastu polor przybytku sztuk i przepychu azjatyckiego. Sprowadzone przez niego hetery z Lesbos zajęły pałac, sąsiadujący z jego własnym i ściągaly tu młodzież męską miasta na uczty, na których zaprawiały ją do najbardziej wyrafinowanych rozkoszy, przy wtórze muzyki, tańców i festynów. Anakreon, powołany przez Polikratesa na Samos, przywieziony był na galerze o trzech rzędach wioseł, o żaglach z purpury i złożonych masztach. Poeta, z czarą z cyzelowanego srebra w dłoni, śpiewał dla dostojnego grona biesiadników swoje ody pieściwe i jak deszcz róż wonne. Szczęście Polikratesa stało się przysłowiem w Grecji. Przyjaciel jego, faraon Amazys, ostrzegał go wielokrotnie, aby nie ufał powodzeniu tak nieprzerwanemu, a zwłaszcza, aby się nim nie chwalił. Polikrates odpowiedział na ostrzeżenie władcy egipskiego

rzuceniem cennego pierścienia w toń morską. „Składam ofiarę tę Bogom“ — rzekł. Nazajutrz rybak ubogi przyniósł tyranowi jego pierścień, który znalazł we wnętrznościach złowionej ryby. Faraon, dowiedziawszy się o tym, oznajmił, że zrywa przyjaźń swoją z Polikratesem, bowiem tak zuchwałe szczęście ściągnąć musi na niego gniew Bogów. — Niezależnie od prawdziwości anegdoty koniec Polikratesa był tragiczny. Jeden z jego satrapów ściągnął go do sąsiedniej prowincji i tam zamordował w straszliwych mękach, poczym rozkazał rozpiąć ciało jego na krzyżu na górze Mykale. Mieszkańcy Samos widzieć mogli w ten sposób w krwawej glorii zachodzącego słońca postać ukrzyżowanego tyrana swojego na wzniesieniu, naprzeciw wyspy, nad którą panował w chwale i uciechach.

Powróćmy jednak do początku panowania Polikratesa. W noc jasną siedział urodziwy młodzian w lesie wierbowym o lśniących liściach, w pobliżu świątyni Junony, której fasadę dorycką srebrzyło światło księżyca, w pełni uwydatniające całą mistyczną jej wspaniałość. Zwój papyrusu, na którym wypisana była jedna z pieśni homerowych, wypadł już oddawna z rąk jego na ziemię. Rozmyślenia jego, trwającego od zmierzchu, nie przerywało nic aż do późnej nocy. Słońce zaszło już oddawna, ale płomienna tarcza jego migała wciąż jeszcze przed oczami młodego marzyciela obecnością ułudną. Bowiem myśl jego błakała się daleko poza sferą świata widzialnego.

Pytagoras był synem bogatego sprzedawcy pierścieni z Samos i kobiety, imieniem Partenis. Pytia Delficka, do której młodzi małżonkowie udali się po przepowiednię, przyobiecała im narodziny syna, „który będzie pożyteczny wszystkim ludziom po wsze czasy“. Wyrocznia kazała małżokom udać się do Sydonu w Fenicji, ażeby syn, mający być wybrańcem, poczęty został i porodzony z dala od niepokojących wpływów jego ojczyzny. Jeszcze przed narodzeniem dziecięcia poświęcili je rodzice ze zbożnym oddaniem światłu Apollina.

Dziecię przyszło na świat. Kiedy ukończyło rok życia, matka jego, idąc za radą, daną uprzednio przez kapła-

nów z Delf, zaniósł ją do świątyni Adonai¹⁾ w dolinie Libanu. Tam pobłogosławił ją arcykapłan, poczym rodzina powróciła do Samos. Dziecię Partenis było bardzo piękne, łagodne, spokojne, pełne wrodzonego poczucia sprawiedliwości. Jedynie w oczach jego płonął żar intelektu, który nadawał czynom jego energię utajoną. Rodzice nie tylko nie stawiali sprzeciwu jego wczesnemu dążeniu do wiedzy, lecz zachęcali go do niej. Dzięki temu mógł swobodnie wieść rozprawy z kapłanami z Samos, z mędrkami, którzy zaczynali wówczas zakładać w Jonii szkoły, gdzie nauczali zasad fizyki. Mając lat osiemnaście, słuchał wykładów Hermodamasa z Samos; w dwa lata potem — Ferecyda z Syros: dysputował nawet z Talesem i Anaksymandrem z Miletu. Mistrzowie ci odsłonili przed nim nowe widnokreśli; żaden z nich wszakże nie zadowolili go. Szukał wewnętrznego spoidła, które mogłoby być łącznikiem pomiędzy sprzecznymi ich naukami, szukał syntezy, zespolenia w jedną wielką Całość. W owym momencie stanął syn Partenis wobec jednego z tych przełomów, podczas których umysł, nadmiernie podniecony przeciwstawnością rzeczy, napina wszystkie swoje władze w wysiłku naiwyższym, aby dostrzec cel, aby znaleźć drogę, wiodącą do słońca prawdy, do ośrodka życia.

W tę noc ciepłą i wspaniałą patrzył syn Partenis z kolei na ziemię, na świątynię i na niebo błyszczące gwiazdami. — Pod nim, dokoła niego, była ona, Demeter, ziemia — macierz, Natura, którą pragnął przeniknąć. Chłonał w siebie jej potężne wyziewy, czuł niezwykłony pociąg, przykuwający go do jej łona — jego, atom myślący, jak gdyby nieodłączną cząstkę jej samej. Mędracy, których się radził, mówili mu: „Z niej wszystko powstaje. Nic nie powstaje z niczego. Dusza wylania się z wody lub z ognia, albo też z obojga razem. Jako wypływ subtelny oddziela się od nich po to tylko, aby ponownie do nich wrócić. Natura wiekuista ślepa jest i nieugięta. Poddaj

¹⁾ **Adonai** — nazwa Boga, dawana mu przez Żydów, którzy tym imieniem zastępują właściwe jego imię, **Jehowa** (Jahwe). Adonai — jest to właściwie liczba mnoga od Adon-Pan. (Przyp. tłum.)

się jej nieubłaganemu prawu. Jedyłą zasługą twoją będzie poznać ją i poddać się jej“.

Potem patrzył na strop nieba i na zgłoski ogniste, jakie tworzą gwiazdozbiory w niezgłębionych czeluściach przestworzy. Zgłoski te musiały mieć jakieś znaczenie. Jeśli bowiem nieskończenie małe, ruch atomów, ma swoją rację bytu, jakżeby być mogło, aby nie miało jej nieskończenie wielkie: rozproszenie ciał niebieskich, których układ jest wyobrażeniem ciała wszechświata? O, tak! każdy z tych światów podlega własnemu swojemu prawu, a ruchami wszystkich rządzi Liczba w harmonii najwyższej. Któż wszelako odczytać zdoła kiedykolwiek alfabet gwiazd? Kapłani Junony mówili mu: „Niebo Bogów istniało przed ziemią. Z niego to przychodzi dusza twoja. Proś ich, aby do niego powrócić mogła“.

Rozmyślanie to przerwał śpiew miłosny, dochodzący z ogrodu położonego na wybrzeżach Imbrazusa. Lubieżne głosy Lesbijek zlewały się omdlewająco z dźwiękami cytary¹⁾; młodzi chłopcy odpowiadali na nie śpiewami bachicznymi. Z głosami tymi skłóciły się nagle przenikliwe, ponure okrzyki dochodzące z portu. Były to krzyki rokoszan, którymi Polikrates naładować kazał barkę, aby sprzedać ich do Azji jako niewolników. Poganiano ich rzemieniami uzbrojonymi w gwoździe, aby skupić ich pod mostem z dwóch łodzi spojonych. Ich ryki i przekleństwa skonały w nocnej ciszy.

Ciało młodzieńca przebiegł bolesny dreszcz; pokonał go wszakże, aby skupić się w sobie. Stał wobec zagadnienia, bardziej jeszcze piekącego, bardziej ostrego. Ziemia mówiła: **Fatalizm!** niebo mówiło: **Opatrzność,** a Ludzkość, chwiejna pomiędzy obojgiem, odpowiadała: **Szał! Ból! Niewola!** W głębi duszy własnej słyszał jednak młody adept głos niepokonany, odpowiadający łańcuchom ziemi i ogniom nieba okrzykiem: **Wolność!** Po czyjej stronie była słuszność? po stronie mędrców? kapłanów? szaleńców? nieszczęsnych? czy po jego własnej? bowiem wszystkie te głosy mówiły prawdę: każdy odnosił triumf we własnej sferze; żaden wszakże nie mógł dostarczyć mu dowodów swojej słuszności. Trzy światy istniały niewzruszone,

¹⁾ **Cytara** (grecka **kithara**) — rodzaj liry u starożytnych. (Przyp. tłum.).

jak Iono bogini Demetry, jak światło ciał niebieskich i jak serce ludzkie, ten wszakże jedynie, kto powiązałby je w akord harmonijny, kto uzgodniłby je i odnaleźć umiałby prawo ich równowagi, byłby mędrcom prawdziwym; ten jedynie posiadałby wiedzę prawdziwą i mógłby pomóc ludziom. Zatem w syntezie trzech światów tkwi tajemnica **Kosmosu!**

Wypowiadając wyraz ten, świeżo przez niego stworzony, wstał. Oczarowany wzrok jego utkwiał w doryckiej fasadzie świątyni. Surowy gmach zdawał się prehistoczo-
nym w czystych promieniach Diany. Wydało się Pytagorasowi, że dostrzega w niej idealny obraz świata, rozwiązanie zagadnienia, którego szukał. Bowiem podstawa, kolumny, architrav i fronton trójkątny ujawniły mu nagle troistą naturę człowieka i wszechświata, mikrokosmu i makrokosmu, którego uwieńczeniem jest jedność boska, będąca sama trójcą. Kosmos, nad którym panował i który przenikał Bóg, tworzył:

Tetradę świętą, wielką, czysty symbol,
Źródło Natury i pierwowzór Bogów.

Tak, tam, w tych liniach geometrycznych, kryje się klucz wszechświata, nauka liczb, prawo troistości, rządzące układem bytów, prawo siedmiorakości, kierujące ich ewolucją. I nagle, w widzeniu wspaniałym, ujrzał Pytagoras ruch światów, zgodny z rytmem i harmonią świętych liczb. Ujrzał równowagę ziemi i nieba, której waha-
dłem jest wolność człowieka; trzy światy: naturalny, ludzki i boski, podtrzymujące i określające się wzajem, rozgrywające dramat wszechświatowy odbywaniem ruchu dwojakiego: wstępnego i zstępnego.

Przeczuł sfery świata niewidzialnego, otaczające i nieustannie ożywiające świat widomy; powziął myśl oczyszczenia i wyzwolenia człowieka już na ziemi drogą potrójnego wtajemniczenia. Ujrzał wszystko to: życie i dzieło swoje w błysku nagłym, w jasności olśniewającej, z wyrazistością i niedającą się zbić pewnością umysłu, czującego, że stanął w obliczu Prawdy.

Teraz dziewięć należało na podstawie Rozumu tego, co czysty Intelpekt jego uchwycił w Absoluście; wymagało to poświęcenia całego życia, pracy Herkulesa.

Gdzie wszakże znaleźć wiedzę, niezbędną do celowego dokonania podobnej pracy? Nie mogły jej dostarczyć ani pieśni Homera, ani mędrcy jońscy, ani świątynie greckie.

Uskrzydłonym nagle umysłem pogrążył się Pytagoras we własnej przeszłości, w narodzinach swoich, okrytych zasłoną tajemniczości i w mistycznej miłości matki. Jedno ze wspomnień dzieciństwa stało przed nim z wyrazistością, wrzynającą się w pamięć. Przypomniał sobie, że matka zniosła go, kiedy miał rok, do doliny Libanu, do świątyni Adonaia. Ujrzał się znów małym dzieckiem, uczepionym u szyi Partenis, pośród gór olbrzymich i lasów rozległych, gdzie strumień spadał rozbryzgującą się kaskadą. Matka stała na tarasie, ocienionym wielkimi cedrami. Przed nią kapłan najstarszy z mleczno-białą brodą uśmiechał się do matki i dziecięcia, wymawiając słowa poważne, których dziecię nie rozumiało.

Matka przypominała mu potem często dziwne słowa hierofanty Adonaia: „O, kobieto jońska, syn twój wielkim będzie mądrością swoją, pamiętaj wszakże, że jakkolwiek Grecy posiadają naukę Bogów — naukę **Boga** — znaleźć można jeszcze jedynie w Egipcie“. Słowa te rozbrzmiały mu znów w uszach, jako wtór do wspomnienia o uśmiechu matki, o pięknym obliczu starca, o dalekim szumie kaskady, nad którym górował głos kapłana pośród pejzażu wspaniałego jak marzenie z zaświata. Po raz pierwszy odgadywał znaczenie wyroczni. Słyszał wprawdzie niejednokrotnie o zdumiewającej wiedzy kapłanów egipskich, o ich potężnych tajemnicach; sądził jednak, że nie mają dla niego znaczenia. Teraz zrozumiał, że musi zdobyć tę „naukę Boga“, aby dotrzeć do głębi natury i że naukę tę znajdzie jedynie w świątyniach Egiptu. A więc to cicha Partenis przeznaczyła go do tego dzieła, przynosząc go w ofierze Najwyższemu.

W tej chwili dojrzało w nim postanowienie udania się do Egiptu po zdobycie wtajemniczenia.

Polikrates chełpił się opieką, jaką roztaczał nad filozofami i poetami. Chętnie też dał Pytagorasowi pismo, którym polecał go faraonowi, Amazysowi i prosił, aby ten zapoznał go z kapłanami świątyni w Memfidzie. Nie poszło to wszakże łatwo. Kapłani przyjęli go nieufnie

i stawiali mu duże przeszkody. Mędracy egipscy nie mieli zaufania do Greków, uważając ich za lekkoduchów i niestałych. Robili też wszystko, co było w ich mocy, aby zniechęcić młodego adepta, który poddał się z cierpliwością i niezachwianą odwagą wszystkim próbom, jakie mu narzucono. Wiedział z góry, że osiągnąć może wiedzę jedynie przez opanowanie woli całej swojej istoty. Wtajemniczenie jego trwało dwadzieścia dwa lata za pontyfikatu arcykapłana Sonchisa. Opowiedzieliśmy w księdze Hermesa o próbach, pokusach, grozach i ekstazach, przez które przechodził wtajemniczony Izydy aż do jego pozornej śmierci kataleptycznej i jego wskrzeszenia w świetle Ozyrysa.

Pytagoras przeszedł przez wszystkie fazy, które pozwały poznać — nie w postaci czczej teorii, lecz rzeczy przeżytej — doktrynę Słowa-Światła, czyli Słowa powszechnego oraz doktrynę ewolucji człowieka poprzez siedem cykli planetarnych. Za każdym krokiem tego zawrotnego wzbijania się na wyżyny, próby stawały się coraz groźniejsze. Stokrotnie narażał w nich adept życie swoje zwłaszcza, jeśli zdobyć chciał umiejętność posługiwania się siłami tajemnymi, niebezpiecznymi praktykami magii i teorii. Jak wszyscy wielcy ludzie, wierzył Pytagoras w swoją gwiazdę. Nie odstraszało go nic; nie cofał się przed żadną z prób, mogących mu dać wiedzę, nawet przed grozą śmierci, ponieważ widział życie pozaziemskie. Kapłani egipscy, uznawszy w nim wreszcie niezwykły hart duszy oraz namiętne, bezinteresowne umiłowanie wiedzy, które jest rzeczą najrzadszą na świecie, utworzyli przed nim skarbnicę swojej mądrości i swojego doświadczenia. Pod ich kierunkiem kształtował się i hartował duch jego. U nich zgłębił wiedzę matematyki świętej, naukę liczb, czyli zasad powszechnych, które stały się ośrodkiem jego systemu i które sformułował w nowy sposób. Surowość dyscypliny egipskiej w świątyniach dała mu poznać cudowną potęgę woli ludzkiej, umiejętnie ćwiczonej i kierowanej, a także jej nieskończone zastosowania zarówno w sprawach cielesnych, jak duchowych. „Nauka liczb i sztuka opanowania woli są to dwa klucze magii, mówili kapłani z Memfisu; otwierają one wszystkie wrota wszechświata“.

W Egipcie zatem zdobył Pytagoras ów rzut oka z wyżyn, który pozwala dostrzegać sfery życia i nauki w porządku koncentrycznym i zrozumieć **inwolucję** ducha do materii na drodze twórczości uniwersalnej oraz jego **ewolucję**, czyli ponowne zlanie się z jednością, na drodze twórczości indywidualnej, zwanej rozwojem świadomości.

Pytagoras dotarł do szczytu kapłaństwa egipskiego i myśleć już może zaczynał o powrocie do Grecji, kiedy rozsrożył się nad korytem Nilu huragan wojny ze wszystkimi jej klęskami i wciągnął wtajemniczonego świątyni Ozyrysa w nowy wir. Od dawna już planowali despotci azjatyccy rozgromienie Egiptu. Najścia ich, powtarzane wielokrotnie w przebiegu wieków, rozbiły się o wał bezpieczeństwa, jaki tworzyły dokoła kraju mądre jego urzędnictwa społeczne, siła jego kapłanów i energia faraonów. Odwieczne wszakże państwo to, przybytek nauki hermetycznej, nie miało trwać bez kresu. Syn zwycięzcy Babilonu, Kambyzes, rzucił na Egipt niezliczone zastępy swoich armii, wygłodzonych jak chmara szarańczy i zadał cios miażdżący instytucji faraonatu, której początek ginął w pomroce dziejów. Mędrcom zdawali sobie sprawę, że była to katastrofa, dotykająca świat cały. Do owego czasu był Egipt ostoją Europy wobec Azji. Opiekuńczy wpływ jego rozszerzał się na całą połać wzdłuż morza Śródziemnego, dzięki świątyniom fenickim, greckim i etruskim, z którymi wyżsi kapłani Egiptu w ciągłych pozostawali stosunkach. Kiedy przedmurze to runęło, mógł już Byk bez przeszkód zwałić się na wybrzeża helłeńskie. Pytagoras był więc świadkiem podboju Egiptu przez Kambyzesa. Mógł widzieć na własne oczy, jak despota perski, godny następcy ukoronowanych łotrów Niniwy i Babilonu, rabował świątynie Teb i Memfis i rozbił sanktuarium Hammona. Widział faraona Psammenita, prowadzonego w okowach przed Kambyzesa i postawionego na wzgórzu, dokoła którego zgromadzono kapłanów, przedstawicieli rodów najwyższych oraz dwór królewski. Widział córkę Faraona odzianą w łachmany i otoczoną wszystkimi damami dworu, w takim jak ona ubraniu, następcę tronu i dwa tysiące młodzieży, prowadzonych na miejsce stracenia z wędzidłem na ustach i uzda

na szyi, faraona Psammenita, z trudnością powstrzymującego łkanie na ten przeraźliwy widok; i wreszcie bezecnego Kambyzesa, siedzącego na tronie i rozkoszującego się bólem powalonego przeciwnika. Okrutna, ale także pouczająca lekcja historii po lekcjach wiedzy! Jakież widok zwierzęcości rozpełnanej w człowieku i wieńczącej dzieło swoje zrodzeniem tego potwora despotyzmu, który deptał wszystko żelazną stopą i ohvdną apoteoza swoją narzucał ludzkości panowanie najbardziej nieubłagane go losu.

Kambyzes przewieźć rozkazał Pytagorasa wraz z częścią kanłanów egipskich do Babilonu i internował go tam¹⁾. To miasto olbrzymie, które Arystoteles porównywa do kraju, otoczonego murami, dawało wówczas niezmiernie pole obserwacji. Starożytna wieża Babel, wielka nierządnicą proroków hebrajskich, stała się, po podboju perskim, bardziej niż kiedykolwiek szatańską mieszaniną ludów, narzeczy, kultów i religii, pośród których wznosił despotyzm azjatycki niebotyczną wieżę swoją.

Według tradycji perskich początek budowy jej sięga czasów legendarnej Semiramidy. Ona to — jak mówią — zbudowała olbrzymi, opasujący ją mur, który miał osiemdziesiąt pięć kilometrów obwodu i którego grubość była tak wielka, że dwa wozy mogły się na nim wyminąć, zbudowała wiszące na tarasach ogrody, wzniosła pałace potężne, ozdobione rzeźbami wielobarwnymi, świątynie podtrzymywane przez kamienne postacie słoni i mające na dachach figury różnokolorowych smoków. Królował tutaj kolejny szereg despotów, którzy ujarzmili Chaldec, Asyrie, Persie, część Tatarii, Judeę, Syrie i Azję Mniejszą. Tutaj Nabuchadenzor, zabójca magów, wprowadził do niewoli lud żydowski, uprawiający w dalszym ciągu swój kult w jednym z zaułków olbrzymiego miasta, w którym Londyn mógłby się obrócić cztery razy. Żydzi dali nawet wielkiemu królowi potężnego ministra — doradcę w postaci proroka Daniela. Za panowania Baltazara, syna Nabuchadenzora, padły wreszcie mury starej wieży

¹⁾ Fakt ten przytacza Jamblique w swoim Życiu Pytagorasa:

Babel pod dyszącymi zemstą ciosami Cyrusa, a Babilon przeszedł na przeciąg kilku stuleci pod panowanie perskie. Dzięki temu szeregowi wydarzeń uprzednich, trzy religie odmienne reprezentowane były przez wysokich kapłanów Babilonu w chwilach przybycia Pytagorasa do tego miasta; byli tu starożytni kapłani chaldejscy, przeżytki magii perskiej oraz wybrańcy spośród uprowadzonego w niewolę judaizmu. Najlepszym dowodem zgody, panującej pomiędzy tymi kapłanami rozmaitych kultów dzięki wspólnej im stronie ezoterycznej, jest rola Daniela, który, wyznając wiarę Boga Mojżeszowego, zajmował stanowisko głównego doradcy — ministra przy Nabuchadenezorze, Baltazarze i Cyrusie.

Pytagoras rozszerzyć musiał swój i bez tego już rozległy horyzont studiowaniem doktryn tych, religii i kultów, których syntezę przechowali jeszcze niektórzy tajemniczeni. Mógł zgłębić w Babilonie wiedzę magów, następców Zoroastra. Kapłani egipscy byli jedynymi posiadaczami kluczy powszechnych do nauk świętych, zaś magowie perscy mieli opinię ludzi, którzy udoskonalili praktykę niektórych sztuk. Przypisywali oni sobie umiejętność kierowania tajemnymi owymi siłami przyrody, noszącymi miano ognia pantomorficznego oraz światła astralnego. W świątyniach ich, jak mówiono, czyniły się nagle ciemności wśród białego dnia, lampy zapalały się same przez się, widać było promieniowanie Bogów i słychać było huk gromów. Magowie nazywali **Iwem niebieskim** ów ogień bezcielesny, czynnik rodzący elektryczność, którą umieli skupiać lub rozpraszać; **wężami** — prądy elektryczne powietrza i magnetyczne ziemi, które — wedle własnego mniemania — umieli kierować na ludzi, niby strzały. Opracowali też naukę specjalną, dotyczącą potęgi sugestywnej, przyciągającej i twórczej słowa ludzkiego. Używali do wywoływania duchów formułek stopniowanych, zapożyczonych z najstarszych języków ziemi. Uzasadniali je psychicznie dla samych siebie w sposób następujący: „Nie zmieniaj żadnego z obcych wyrazów wezwania, bowiem są one nazwami Boga; tkwi w nich siła magnetyczna, płynąca z uwielbienia tłu-

mu i potęga ich jest niewypowiedziana¹⁾). Zaklinalia te, stosowane przy wtórze oczyszczeń i prośb, były — właściwie mówiąc — tym, co w następstwie nosiło nazwę białej magii.

Pytagoras dostał się więc do Babilonu, do arkanów magii starożytnej. Zarazem też w tej jaskini despotyzmu oczom jego przedstawił się wspaniały widok: na gruzach rozpadających się religii Wschodu, ponad ich zdziesiątkowanym i wynaturzonym stanem kapłańskim, grupa nieustraszonych, skupionych razem, wtajemniczonych broniła swojej nauki, swojej wiary i, o ile było to w jej mocy, sprawiedliwości. Stojąc oko w oko z despotami, jak Daniel w jaskini lwów, zawsze gotowi na śmierć srogą, rzucali czary na dzikie zwierzęta absolutyzmu i pokonywali je potęgą swojego ducha, a walcząc uporczywie, usuwali im, piędź po piędzi, grunt spod nóg.

Po wtajemniczeniu swoim egipskim i chaldejskim poznał młodzian z Samos nauki fizyczne głębiej, niż wszyscy jego mistrzowie, niż jakikolwiek Grek, kapłan czy człowiek świecki jego czasu. Znał on zasady wiekuiste, rządzące wszechświatem i znał ich zastosowania. Natura rozwarła przed nim swoje przepastne głębie; grube zasłony, spowijające materię, rozdarły się w jego oczach, aby ukazać cudowne sfery przyrody i ludzkość uduchowioną.

W świątyni Neith-Isis w Memfisie i Bela w Babilonie zgłębił tajniki, dotyczące przeszłości religii, dziejów łądów i ras. Przeprowadzić mógł porównanie pomiędzy dodatnimi i ujemnymi stronami monoteizmu żydowskiego, politeizmu greckiego, troistości hinduskiej i dwoistości perskiej. Wiedział, że wszystkie te religie są promieniami jednej i tej samej prawdy, przesianymi przez rozmaite stopnie inteligencji i dla różnych stanów społecznych. Miał w rękę swoim klucz, to znaczy syntezę wszystkich tych doktryn, w nauce ezoterycznej. Oko jego, ogarniające przeszłość, sięgające w przyszłość, oceniać musiało z jasnością szczególną — terażniejszość. Doświadczenie wskazywało mu, że groźba plag największych zawisła nad ludzkością wskutek ciemnoty kapłanów, materializmu uczonych i nieokiełznania demokracji. Widział wzra-

¹⁾ Wyrocznie Zoroastra, zebrane w teurgii Proklusa.

stający pośród rozprzężenia powszechnego despotyzm azjatycki, a z tej czarnej chmury rozpętać się miał huragan potężnej burzy wirowej nad bezbroną Europą.

Czas był za tym powrócić do Grecji, aby spełnić tam swoje posłannictwo, rozpocząć swoje dzieło.

Pytagoras internowany był w Babilonie w ciągu dwóch lat. Ażeby móc opuścić miasto — należało zyskać odpowiedni rozkaz króla perskiego. Jeden z ziomków Pytagorasa, Democedes, lekarz królewski, wstawił się za nim i uzyskał uwolnienie filozofa.

Wrócił tedy Pytagoras do Samos po trzydziestoczteroletniej niebytności. Znalazł ojczyznę swoją ciemzoną, dławioną rządami satrapy wielkiego króla. Szkoły i świątynie były zamknięte; poeci i uczeni umknęli, jak chmara jaskółek, przed cezaryzmem perskim. Zznał on przynajmniej pociechy przyjęcia ostatniego tchnienia pierwszego swojego mistrza Hermomadasa, i odnalezienia matki swojej, Partenis, która jedna jedyna tylko nie zwątpiła o jego powrocie. Wszyscy bowiem uważali awanturniczego syna sprzedawcy pierścieni z Samos za zmarłego. Ona natomiast rozumiała, że w białej swojej szacie kapłana egipskiego, syn jej przygotowuje się do wysokiego posłannictwa. Wiedziała, że ze świątyni Neith-Izydy wyjść ma mistrz zbawczy, prorok świetlany, o którym śniła w świętym gaju delfickim i którego zapowiedział jej hierofanta Adonaia pod cedrami Libanu.

A teraz, na falach lazurowych morza Cykladzkiego unosiła łódź lekka matkę i syna ku nowemu wygnaniu. Opuszczali z całym dobytkiem swoim uciskaną, zaprzepuszczoną wyspę.

Rozpięli żagle ku Grecji. Ani wawrzyny olimpijskie, ani sława poetycka nie pociągały syna Partenis. Dzieło jego bardziej było tajemnicze i bardziej podniosłe: zburzyć uśpioną w świątyniach duszę Bogów; sprawić, aby świątynia Apollina odzyskała dawną siłę i czar; a potem założyć gdziekolwiek szkołę nauki i życia, która wykształciłaby nie polityków i sofistów, lecz ludzi wtajemniczonych, zarówno mężczyzn jak kobiety, prawdziwe matki i prawdziwych bohaterów!

III

ŚWIĄTYNIA W DELFACH

NAUKA APOLLIŃSKA — TEORIA WIESZCZBIARSTWA — PYTIA TEOKLEA

Droga z równiny Focydy wiodła wzdłuż kwietnych łąk, obrzeżających koryto rzeki Plistios i wrzynała się w krętą pomiędzy wysokimi górami dolinę, zwężającą się co krok i nadającą krajobrazowi charakter coraz bardziej surowy i pustynny. Droga kończyła się wreszcie półkolem gór urwistych, uwiecznionych nagimi szczytami, istnymi zbiornikami elektryczności, nad którymi srożyły się częste burze. Nagle, w głębi ponurej przełęczy, ukazywało się miasto Delfy, niby gniazdo orle na okolonej przepaściami skale, po nad którym strzelały w górę dwa wierzchołki Parnasu. Z dala już widać było połyskujące brązowe posagi Zwycięstwa, spiżowe rumaki, niezliczone posagi złote, rozstawione na świętej drodze, niby straż bohaterów i Bogów, czuwających nad dorycką świątynią Phoibosa Apollina.

Było to miejsce najbardziej święte w Grecji. Przepowiadała tam Pytia i zbierał się związek Amfiktionński; tam również wzniosły ludy helleńskie dokoła świątyni kaplice, w których mieściły się skarby ofiar. Orszaki mężczyzn, kobiet i dzieci, przybyłych z daleka, wspinały się tam po drodze świętej, aby złożyć hołd Bogu Światła. Religia poświęciła świątynię w Delfach od niepamiętnych czasów na miejsce składania czci przez ludy. Przyczyniło się do tego jej położenie w samym środku Hellady, jej skała, chroniąca od napaści i umożliwiająca jej łatwość

obrony. Miejsce to było jak gdyby stworzone do oddziaływania na wyobraźnię; czarodziejski urok nadawała mu zwłaszcza pewna specjalna okoliczność. W pieczarze poza świątynią rozwierała się szczelina, z której wydobywały się zimne opary, mające — jak mówiono — dawać natchnienie i ekstazę. Plutarch powiada, że w zamierzonych dawno czasach pewien pasterz, który usiadł przypadkiem na skraju tej szczeliny, wpadł nagle w wizję proroczą. Zrazu uważano go za obłąkanego; lecz kiedy przepowiednie jego zaczęły się sprawdzać, zwrócono baczniejszą na ten fakt uwagę. Zajęli się tym kapłani i poświęcili owo miejsce bóstwu. Stąd powstała instytucja Pytii, którą sadzano nad szczeliną na trójnogu. Opary, wychodzące z przepaści, wprawiały ją w napad konwulsji, w jakiś dziwny stan nerwowy, wywołujący owo **jasnowidzenie**, jakie spotykamy u wybitnych somnambulików. Ajschylos, którego twierdzenia nie są pozbawione wagi, ponieważ był synem kapłana eleuzyjskiego i sam był wtajemniczonym, mówi nam w **Eumenidach** przez usta Pytii, że Delfy były z początku poświęcone Ziemi, potem Temidzie (sprawiedliwości), potem Febusowi (księżycowi pośredniczącemu), wreszcie Apollinowi, Bogu Słońca. Jupiter, opowiadali poeci, chcąc przekonać się, gdzie jest środek ziemi, wypuścił dwa orły: jednego od wschodu, drugiego od zachodu; spotkały się one w Delfach. Czemu przypisać ów urok szczególny, ów niezaprzeczony autorytet wszechświatowy, który uczynił z Apollina Boga greckiego w całym znaczeniu tego wyrazu i który sprawia, że i dla nas nawet zachował on promiennosc niepojętą?

Historia nie mówi nam nic o tym doniosłym fakcie. Zapytajcie mówców, poetów i filozofów, a dadzą wam odpowiedzi powierzchowne w tej sprawie. Właściwe jej rozwiązanie pozostało tajemnicą świątyni. Spróbujmy jej dociec.

W myśl ideologii orfickiej byli: Dionizos i Apollo dwiema odmiennymi postaciami tego samego bóstwa. Dionizos uosabiał prawdę ezoteryczną, treść i wewnętrzną stronę rzeczy, dostępną jedynie dla wtajemniczonych. Zawarte w nim były tajniki życia, byty minione i przyszłe, stosunki wzajemne duszy i ciała, nieba i ziemi.

Apollo wyobrażał tę samą prawdę, zastosowaną do życia ziemskiego i do układu społecznego. Dawał natchnienie poezji, lecznictwu i prawodawstwu; był wiedzą, zdobytą wieszczbiarstwem; był pięknem — w sztuce, pokojem — na ziemi, zyskanym przez sprawiedliwość oraz harmonią duszy i ciała, osiągniętą przez oczyszczanie się. Słowem dla wtajemniczonego Dionizos był duchem bożym w jego ewolucji we wszechświecie, zaś Apollo jego objawieniem człowiekowi ziemskiemu. Kapłani uprzystępnili to ludowi w postaci legendy. Powiedzieli mu, że za czasów Orfeusza Bachus i Apollo spór wiedli o trójnog w Delfach. Wreszcie ustąpił Bachus dobrowolnie bratu i usunął się na jeden ze szczytów Parnasu, gdzie kobiety tebańskie święciły jego misteria. W rzeczywistości za tym obydwaj wielcy synowie Jupitera podzielili się władzą nad światem. Jeden panował nad tajemniczym zaświatem; drugi — nad żyjącymi.

Odnajdujemy więc w Apollinie Zakłęcie słoneczne, Słowo wszechświata, wielkiego Pośrednika, hinduskiego Wisznu, perskiego Mitrasa, egipskiego Horusa. Różnica polega na tym jedynie, że dawne idee ezoteryzmu azjatyckiego zyskały w legendzie Apollinowej szatę piękna plastycznego i świetności rzucającej się w oczy, która pozwoliła im wrazić się głębiej w świadomość ludzką, jak gdyby strzałom rzuconym przez Boga, „węzom biało-skrzydłym, wypuszczonym z jego złotego łuku“ — mówi Ajschylos.

Apollo pojawia się w noc wielką w Delos. Wszystkie boginie witają jego narodziny; chodzi, chwyta łuk i lirę; kędziory jego falują na wietrze, jego kołczan dźwięczy mu na ramionach; morze drga i cała wyspa jaśnieje skąpana w glorii płomieni i złota. To objawienie światła boskiego, które dostojną obecnością swoją stwarza ład, świetność i harmonię, znajdujące odzew cudowny w poezji.

Bóg udaje się do Delf; przebija strzałami swymi potwornego węża, który do rozpacz doprowadzał całą okolicę, uzdrowia okolicę i zakłada świątynię, wizerunek zwycięstwa światła boskiego nad mrokami i złem. W religiach starożytnych wąż symbolizował zarazem zakłęty krąg życia i zło, jakie ono rodzi. A jednak to życie, zro-

zumiane i zdławione, jest źródłem świadomości. Apollo, zabójca węża, jest symbolem wtajemniczonego, który przenika naturę wiedzą, ujarzmią ją wolą i, przerwawszy wyroczny krąg ciała, ulatuje na wyżyny w całym blasku ducha, gdy tymczasem zmiążdżone ułamki zwierzęcości ludzkiej wiją się w piasku.

Apollo jest nadto panem pokuty, panem oczyszczenia duszy i ciała. Zbryzgany krwią potwora, odbył pokutę i oczyścił się on sam też na wygnaniu ośmioletnim, pod gorzkimi, uzdrawiającymi drzewami lauru w dolinie Tempe. — Apollo, wychowawca ludzi, lubi przebywać pośród nich: dobrze się czuje w miastach, w gronie młodzieży męskiej, w walkach poezji i palestry ¹⁾, pozostaje tam wszakże tylko na pewien czas. Jesienią powraca do ojczyzny, do kraju Hyperborejczyków. Tajemniczy to naród dusz świetlanych i przejrzystych, które żyją w jutrzni wiekuistej doskonałego szczęścia. Tu są prawdziwi jego kapłani i ulubione kapłanki. Żyje z nimi w głębokiej wspólnocie duchowej, a ilekroć obdarzył ludzi darem królewskim, sprowadza im z kraju Hyperborejczyków jedną z wielkich dusz świetlistych i każe jej zrodzić się na ziemi, aby nauczała śmiertelnych. On sam zaś powraca do Delf co wiosnę, kiedy śpiewane są peany i hymny. Przybywa, widzialny jedynie dla wtajemniczonych, w hyperborejskiej białości swojej, na wozie ciągnionym przez dźwięczne łabędzie. Powraca, aby zamieszkać w świątyni, gdzie przez usta Pytii wypowiada swoje wyrocznie i gdzie słuchają go mędrcy i poeci. Śpiewają wówczas słowiki, źródło Kastalskie przelewa się falami srebrnymi, wytryski olśniewającego światła i niebiańskiej muzyki przenikają do serca człowieka i docierają do naczyń krwionośnych natury.

Z tej legendy o Hyperborejczykach przeziiera promieniami świetnymi ezoteryczny podkład mitu Apollinowego. Kraj Hyperborejczyków — to zaświaty, to niebo empirejskie dusz zwycięskich, których zorze niebiańskie oświetlają strefy różnobarwne. Sam Apollo uosabia duchowe światło niematerialne, którego obrazem fizycznym

¹⁾ **palestra** — u starożytnych miejsce ćwiczeń ciała (przyp. tłum.).

jest słońce i z którego wypływa wszelka prawda. Cudowne labędzie, które go przywożą, to poeci, boscy geniusze, zwiastuni jego wielkiej duszy słonecznej, pozostawiający za sobą drgania światła i dźwięku. Apollo hyperborejski był więc personifikacją zejścia z nieba na ziemię, wciele-
nia piękna duchowego w pieśni i w kształty ludzkie, ob-
jawiania prawdy nadzmysłowej przez dawanie natchnie-
nia, przez wieszczanie.

Czas już jednak uchylić złocistą zasłonę legend i wejść do wnętrza świątyni. W jaki sposób odbywało się tam wieszczbiarstwo? Dotykamy już tutaj arkanów nauki Apollinowej i tajników delfickich. Głęboko sięgający węzeł łączył w starożytności wieszczbiarstwo z kultami słonecznymi i on właśnie jest złotym kluczem wszelkich tajemnic, zwanych czarodziejskimi.

Ludy aryjskie kierowały uwielbienie swoje już od początków cywilizacji ku słońcu, jako źródłu światła, ciepła i życia. Kiedy wszakże myśl mędrców wzniosła się od zjawiska do jego przyczyny, pojęli oni, że poza tym ogniem dotykalnym i poza tym światłem widowym, istnieć musi płomień niematerialny i światło duchowe. Pierwszy utożsamiali z pierwiastkiem męskim, z duchem twórczym czyli treścią duchową wszechświata; drugi — z jego pierwiastkiem żeńskim, jego duszą kształtującą, jego substancją plastyczną. Intuicja ta sięga czasów niepamiętnych. Pojęcie, o którym mówię, odnaleźć możemy w najstarszych mitologiach. Tkwi ono w hymnach wedyjskich w postaci Agni, ognia wszechświata, przenikającego rzecz każdą. Rozwija się w religii Zoroastra, w której kult Mitrasa odzwierciadla stronę ezoteryczną. Mitras jest ogniem męskim, a Mitra — światłem żeńskim. Zoroaster mówi wyraźnie, że Wiekuisty stworzył Słowem żywym światło niebiańskie, nasienie Ormuzda, źródło światła i ognia materialnego. Myśl Mitrasowego wtajemniczonego ujmuje słońce jako materialny odbłask tego światła. W swojej ciemnej grocie, której strop zdobią wymalowane na nim gwiazdy, wzywa on słońce łaski, ogień miłości, zwycięzcę złego, pojednawcę Ormuzda i Arymana, ducha oczyszczającego i pośredniczącego, zamieszkującego duszę świętych proroków. W podziemiach świątyń egipskich szukają wtajemniczeni tegoż samego słońca pod

mianem Ozyrysa. Kiedy Hermes chce oglądać źródło wszechrzeczy, czuje się pogrążonym w fale lotne rozkosznego jakiegoś światła, w którym poruszają się wszystkie kształty żywe. Potem, pogrążony w mroki grubej materii, słyszy głos jakiś, w którym rozpoznaje **głos światła**. Równocześnie też wytryskuje z głębin ogień i natychmiast chaos porządkuje się i rozjaśnia. W egipskiej **Księdze zmarłych** dusze z trudnością żeglują ku temu światłu w barce Izydy. Mojżesz przyjął w zupełności doktrynę tę w Księdze Rodzaju. „I rzekł Aelohim: Niech będzie światło — i stało się światło“. Owo stworzenie światła poprzedza stworzenie słońca i gwiazd. Znaczy to, że w porządku pierwiastków i kosmogonii światło duchowe poprzedza światło materialne. Grecy, którzy wcielali idee najbardziej oderwane w postać człowieczą i dramatyzowali je, wyrazili tę samą doktrynę w micie o Apollinie hyperborejskim.

Umysł ludzki doszedł więc na drodze wewnętrznego rozważania wszechświata ze stanowiska duszy i intelektu do wytworzenia pojęcia światła duchowego, żywiołu nieważkiego, odgrywającego rolę pośrednika pomiędzy materią i duchem. Nie trudno byłoby wykazać, że fizycy współcześni doszli niepostrzeżenie do tego samego wniosku, idąc drogą odwrotną, to znaczy drogą badania ustroju materii i przekonania się, iż niemożliwością jest odnalezienie wytłumaczenia jej przez samą jej istotę. Już w szesnastym wieku uznał Paracelsus, na podstawie badania związków chemicznych i przetwarzania się ciał, istnienie powszechnego tajemnego czynnika, który powoduje ich dokonywanie się. Fizycy siedemnastego i osiemnastego wieku, wyobrażający sobie wszechświat jako martwą maszynę, wierzyli w pustkę bezwzględną przestworzy niebieskich. Z chwilą wszakże gdy uznano, że światło nie jest wpływem materii promieniującej, lecz drganiem ośrodka nieważkiego, przyjąć należało, że przestwór cały wypełniony jest fluidem nieskończenie subtelnym, który przenika wszystkie ciała i za którego pośrednictwem rozchodzą się fale ciepła i światła. Był to powrót do fizycznych i teozoficznych poglądów greckich. Newton, który życie całe spędził na badaniu ruchów ciał

niebieskich, posunął się dalej jeszcze. Nazwał eter ten — **sensorium Dei**, czyli mózgiem Boga, to znaczy organem, za którego pośrednictwem myśl boska działa zarówno w nieskończenie wielkim, jak w nieskończenie małym. Formułując myśl tę, która zdawała mu się konieczną do wytłumaczenia zwykłego krążenia ciał niebieskich, wypłynął wielki ten fizyk na pełne morze filozofii ezoterycznej. Tego samego eteru, który odnalazła myśl Newtona w przestworzach, dopatrywał się Paracelsus na dnie swoich alembików i nazwał go światłem astralnym.

Otóż istnienie fluidu tego nieważkiego, lecz wszechobecnego, przenikającego wszystko, tego czynnika subtelnego, lecz niezbędnego, tego światła niewidzialnego dla oczu naszych, lecz ukrytego na dnie wszelkich iskier, drgań świetlnych i fosforescencji — stwierdził fizyk niemiecki, Reichenbach, na podstawie całego szeregu umiejętnie przeprowadzonych doświadczeń. Zauważył on, że osobniki, posiadające włókna nerwowe szczególnie wrażliwe i umieszczone w zupełnie ciemnym pokoju w obecności magnezu, spostrzegały na obu jego końcach silne promienie światła czerwonego, żółtego i niebieskiego.

Promienie te drgały czasem ruchem falistym. Przeprowadzał on w dalszym ciągu doświadczenia swoje z rozmaitego rodzaju ciałami, zwłaszcza z kryształami. Osobniki wrażliwe widziały emanacje świetlne dokoła wszystkich tych ciał. Dokoła głowy ludzi, umieszczonych w ciemnym pokoju, widziały promienie białe, z ich palców wychodziły małe płomyki. Somnambulicy widują czasem w pierwszej fazie snu te same znaki dokoła osoby swego magnetyzera. Czyste światło astralne widzialne jest jedynie w stanie najwyższej ekstazy; polaryzuje się ono wszakże, to znaczy zmienia fizyczne własności swoich promieni przy przejściu przez wszystkie ciała, łączy się ze wszystkimi fluidami ziemskimi i odgrywa role odmienne w elektryczności, w magnetyzmie ziemskim i w magnetyzmie zwierzęcym¹⁾. Doniosłość doświadczeń Rei-

¹⁾ Reichenbach nazwał fluid ten **Odylem**. — Pracę jego przełożył na język angielski Gregory pt. „**Researches on magnetism electricity, heat, light, cristallisation and chemi-**

chenbacha polega na dotarciu przez niego do granic widzenia fizycznego i przejścia jego w widzenie astralne, które prowadzić może do widzenia duchowego. Doświadczenia te uchylają również zasłonę, kryjącą nieskończone wysubtelnienia materii nieważkiej. Wszedłszy raz już na te tory, śmiało wyobrazić sobie możemy materię tę tak lotną, tak subtelną i tak przenikliwą, że utożsamia się ona do pewnego stopnia z duchem i służy mu za szatę doskonałą.

Przekonaliśmy się więc, że dla wytłumaczenia ustroju świata zmuszona była fizyka nowoczesna uznać istnienie czynnika nieważkiego, że stwierdziła ona nawet jego obecność i że w ten sposób powróciła — niepostrzeżenie dla siebie — do idei teozofii starożytnych. — Spróbujmy teraz określić naturę i działalność fluidu kosmicznego ze stanowiska filozofii okultystycznej wszystkich czasów. Bowiem na tym punkcie zasadniczym zgadza się Zoroaster z Heraklitem, Pytagoras z świętym Pawłem, Kabałiści z Paracelsem. Wszędzie panuje Cybela-Maia, wielka dusza świata, substancja drgająca i plastyczna, którą kieruje wedle woli swojej tchnienie Ducha twórczego. Jej oceany eteru są spoidłem, łączącym wszystkie światy. Jest ona wielką pośredniczką pomiędzy niewidzialnym a widowym, pomiędzy duchem a materią, pomiędzy wewnętrzną a zewnętrzną stroną wszechświata. Zgęszczona w maskach olbrzymich w atmosferze, pod działaniem słońca wybucha tam jako piorun. Wchłonięta przez ziemię, krąży tam w postaci prądów magnetycznych. Wyszubtelniona w systemie nerwowym zwierzęcym, komunikuje wolę swoją członkom, a wrażenia mózgowi. Ten fluid subtelny tworzy organizmy żywe, podobne do ciał materialnych. Bowiem stanowi on substancję astralnego ciała duszy, szatę świetlną, jaką duch tka dla siebie nieustannie. Fluid ten przeistacza się, wysubtelnia, lub zgęszcza, zależnie od duszy, jaką przyodziewa i od światów, jakie otacza. Nie tylko ucieleśnia on ducha i uduchowia materię, lecz odzwierciadla też w ruchli-

cal attraction". (Badania magnetyzmu, elektryczności, ciepła, światła, krystalizacji i chemicznego przyciągania). Londyn 1850.

wym łonie swoim rzeczy, wolę, i myśli ludzkie w mirażu nieustannym. Siła i tworzenie tych obrazów proporcjonalne są do napięcia woli, która je wytwarza. W istocie bowiem, nie ma innego sposobu wytłumaczenia poddawania myślowego i przenoszenia myśli na odległość, tej podstawy magii, stwierdzonej obecnie i uznanej przez naukę¹⁾. Tak więc przeszłość światów drga w świetle astralnym w obrazach niewyraźnych, a przyszłość krąży tam wraz z duszami żywymi, zniewalanymi przez przeznaczenie swoje nieuniknione do zejścia na ziemię. Takim właśnie jest znaczenie zasłony Izydy i płaszcz Cybeli, w których tkaninę wesnute są wszystkie istoty.

Widzimy zatem, że doktryna teozoficzna światła astralnego utożsamia się z doktryną tajemną zakłęcia słonecznego w religiach Wschodu i Grecji. Widzimy też, w jaki sposób doktryna ta wiąże się z doktryną wieszczbiarstwa. Światło astralne występuje w niej jako medium powszechne zjawisk wizyjnych i ekstazy, które też ona tłumaczy. Jest ono zarazem przewodnikiem, przesyłającym poruszenie myśli oraz żywym zwierciadłem, w którym dusza ogląda obrazy świata materialnego i duchowego. Znalazłszy się w tym żywiole, wychodzi umysł widzącego poza granice warunków cielesnych. Przestaje istnieć dla niego miara przestrzeni i czasu. Przyczynia się on do pewnego stopnia do wszechobecności fluidu wszechświata. Materia nieprzezroczysta staje się dla niego przejrzystą, dusza, wyzwolona z więzów ciała, wznosząca się wzwyż w glorii własnego swojego światła, przenika wreszcie — dzięki stanowi ekstazy — do świata duchowego, aby oglądać dusze, spowite w ciała i obcować tam z nimi.

Wszyscy wtajemniczeni starożytni mieli wyraźnie sformułowane pojęcie o tym darze **jasnowidzenia**, czyli bezpośredniego widzenia duchowego. Jako dowód służyć może Ajschylos, u którego cień Klitemnestry mówi:

„Spójrz na te rany, duch twój może je oglądać; duch śpiącego ma oczy bardziej przenikliwe; w dzień biały nie

¹⁾ Porówn: Biuletyn T-wa Psychologii fizjologicznej, na czele którego stoi Charcot, 1885. — Por. zwłaszcza piękne dzieło Juliana Ochorowicza „O poddawaniu myślowym“:

ogarniają śmiertelni wzrokiem swoim tak wielkich przestrzeni“.

Dodajmy, że ta teoria jasnowidzenia i ekstazy cudownie zgadza się z licznymi doświadczeniami, przeprowadzonymi naukowo przez współczesnych uczonych i lekarzy na somnambulikach oraz wszelkiego rodzaju jasnowidzących¹⁾). Opierając się na tych właśnie faktach współczesnych, spróbujemy scharakteryzować pokrótce szereg kolejnych stanów psychicznych, zaczawszy od zwykłego jasnowidzenia aż do ekstazy kataleptycznej.

Stan jasnowidzenia, jak na to wskazują wyraźnie tyśiące stwierdzonych faktów, jest stanem psychicznym, różniącym się w tym samym stopniu od snu ile od jawy.

¹⁾ Istnieje w tej materii bogata literatura, bardzo nierównej zresztą wartości, we Francji, w Anglii i w Niemczech: Przytoczymy tutaj dwa dzieła, traktujące sprawy te w sposób naukowy przez ludzi wiarogodnych:

1^o) *Letters on animal magnetism*, by **William Gregory** (Listy o magnetyzmie zwierzęcym przez Williama Gregory) — Londyn 1850. — Gregory był profesorem chemii w uniwersytecie edynburskim. Dzieło jego jest nader pogłębionym studium zjawisk magnetyzmu zwierzęcego, poczynawszy od sugestii i skończywszy na widzeniu na odległość i na jasnowidzeniu na jawie, przeprowadzonymi na osobnikach obserwowanych przez niego samego, metodą naukową i z drobiazgową dokładnością.

2^o) *Die mystischen Erscheinungen der menschlichen Natur*, von **Maximilian Perty** (Mistyczne objawy natury ludzkiej, przez M. Perty). Lipsk 1872. Perty jest profesorem filozofii i medycyny uniwersytetu berneńskiego. Książka jego jest przebogata skarbnicą wszystkich zjawisk okultystycznych, posiadających jakąkolwiek wartość historyczną. Godny uwagi rozdział o jasnowidzeniu na jawie (Schlafwachen) w tomie I-ym zawiera dwadzieścia opowieści o dziejach somnambulistek i pięć o dziejach somnambulików, przytoczonych przez lekarzy, którzy ich leczyli: Największą jest historia jasnowidzącej Weiner, pacjentki samego autora.

Porównaj również prace o magnetyzmie Dupotet'a, Deleuze'a, oraz niezmiernie ciekawą książkę: *Die Scherin von Prevost*, (Jasnowidząca z Prevost) Justyna Kernerera.

Władze intelektualne jasnowidzącego nie tylko nie słabną, lecz wzmagają się w sposób zdumiewający. Pamięć jego działa z większą dokładnością, wyobraźnia staje się żywszą, inteligencja — bardziej rozbudzoną. Wreszcie — i w tym właśnie tkwi punkt ciężkości — rozwinął się w nim zmysł nowy, nie będący już zmysłem cielesnym, lecz duchowym. Nie tylko udzielają mu się poruszenia myśli magnetyzera, jak w zwykłym zjawisku poddawania myślowego, które już samo przez się wychodzi poza zakres fizyczny, lecz jasnowidzący odczytuje myśli obecnych, widzi po przez mury, przenika na odległość setek mil od wewnątrz domów i mieszkań, w których nigdy nie był oraz do życia intymnego ludzi, których nie znał. Oczy jego są zamknięte i nie mogą nic widzieć, ale duch jego widzi dalej i lepiej, aniżeli uczyniłyby to jego oczy otwarte i zdaje się szyć swobodnie w przestrzeni¹⁾.

Słowem, o ile jasnowidzenie jest stanem anormalnym ze stanowiska ciała, jest ono stanem normalnym i wyższym ze stanowiska ducha. Bowiem pogłębiła się jego świadomość, rozszerzył się zakres jego widzenia. Jażn jego pozostała ta sama, wzniosła się ona jedynie na poziom wyższy, na którym wzrok jego, wyzwolony z materialnych narządów ciała, obejmuje i przenika widnokrag szerszy²⁾. Zaznaczyć należy, że niektóre somnambulistki

¹⁾ Liczne przykłady u Gregory'ego. List XVI, XVII i XVIII.

²⁾ Filozof niemiecki, Schelling, uznał zasadniczą doniosłość somnambulizmu w kwestii nieśmiertelności duszy. Czyni on spostrzeżenie, że w stanie snu na jawie zachodzi wzniesienie się i względne wyzwolenie duszy w stosunku do ciała takie, jakie nie miewa nigdy miejsca w stanie normalnym: U somnambulików zdradza wszystko wyższy stopień świadomości, jak gdyby cała ich istota ześrodkowana była w jednym ognisku świetlnym, które łączy przeszłość, terażniejszość i przyszłość: Nie tylko nie zatracają oni pamięci rzeczy minionych, lecz widzą je wyraźniej; odsłania się nawet czasem przed nimi przyszłość w znacznym promieniu. Jeśli stan taki jest możliwy w naszym życiu ziemskim, czyż nie dowodzi to — stawia sobie Schelling pytanie — że nasza jażn duchowa, która jest tym, co pozostaje po nas po śmierci na-

w chwili poddawania się usypianiu przez magnetyzera, czują, że zalawa je fala światła coraz jaśniejszego, gdy natomiast chwila zbudzenia wydaje im się przykrym powrotem do mroków.

Poddawanie myślowe, odgadywanie myśli i widzenie na odległość są faktami, które już same przez się dowodzą niezależnego istnienia duszy i przenoszą nas ponad poziom fizyczny wszechświata, z którym nie zrywamy jednak całkowicie łączności. Jasnowidzenie posiada wszakże nieskończone odmiany i stopniowania różnych stanów, znacznie rozleglejsze, aniżeli stan jawy. Przytoczymy główne jego etapy. **Retrospekcja** — rzut oka wstecz — jest oglądaniem rzeczy minionych, zachowanych w świetle astralnym i wskrzeszonych odczuwaniem jasnowidzącego. **Wieszczanie** właściwie jest oglądaniem zagadkowym rzeczy przyszłych, bądź za pośrednictwem

szego ciała, jest obecna w nas już za życia, że nie rodzi się ona w chwili zgonu, lecz wprost wyzwala się z chwilą, kiedy przestaje być związana zmysłami ze światem zewnętrznym. Stan po śmierci jest zatem bardziej rzeczywistym, aniżeli stan ziemski. Bowiem w życiu ziemskim przypadkowość, na którą wciąż jesteśmy narażeni, paraliżuje w nas treść zasadniczą. Schelling określa stan przyszły jednym wyrazem: jasnowidzenie. Duch wyzwolony ze wszystkiego, co jest przypadkową naleciałością w życiu ziemskim, staje się żywszym i silniejszym; zły staje się gorszym, dobry — lepszym.

Niedawno Karol du Prel bronił tej samej tezy, popierając ją bogactwem faktów i spostrzeżeń w pięknym dziele: „**Philosophie der Mystik**“ (Filozofia mistyki) 1886. Jego punkt wyjścia jest następujący: Świadomość jaźni nie wyczerpuje swojego przedmiotu. Dusza i świadomość nie są to dwa określenia tożsame i nie pokrywają się wzajem, ponieważ rozciągłość ich nie jest jednakowa. Sfera duszy przetrasta znacznie sferę świadomości. „Istnieje więc w nas **jaźń ukryta**. Ta jaźń ukryta, objawiająca się we śnie i w marzeniu, jest jaźnią istotną, nadziemską i duchową, której istnienie poprzedzało naszą jaźń ziemską związaną z ciałem. Jaźń ziemska jest zniszczalna; jaźń duchowa — nieśmiertelna. Oto dlaczego powiedział św. Paweł: „Już na ziemi kroczymy w niebie“.

wewnętrznej pracy duszy człowieka, w której tkwią w zarodku czyny przyszłe, bądź pod tajemnym wpływem duchów wyższych, odsłaniających duszy jasnowidzącego żywe obrazy przyszłości. W obu wypadkach są to rzuty myśli w świetle astralnym. **Ekstazę** wreszcie określić należy jako wizję świata duchowego, w której duchy złe czy dobre ukazują się jasnowidzącemu w postaci ludzkiej i obcuja z nim. Dusza zdaje się rzeczywiście przeniesioną poza rami ciała, które życie opuściło niemal i które sztywnieje w stanie katalepsji bliskim śmierci. Nic nie jest w stanie oddać, jak opowiadają ekstatycy, piękna i świetności tych wizji, ani też uczucia niewypowiedzianego złączenia się z istotą boską, jakie pozostaje po nich w postaci upojenia jasnością i harmonią. Można wątpić o istotności tych wizji. Zastrzec się wszakże należy, że jeśli w przeciętnym stanie jasnowidzenia posiada dusza dokładną świadomość miejsc dalekich i ludzi nieobecnych, logiczne jest przypuszczenie, iż w stanie wyższego uniesienia mogłaby ona oglądać rzeczywistość wyższą i niematerialną.

Zadanie przyszłości polegać będzie, zdaniem moim na przyznaniu transcendentnym władzom duszy ludzkiej należynej im godności i roli ich społecznej, oraz na zorganizowaniu ich pod kontrolą nauki, na podstawach religii prawdziwie powszechnej, dającej wolny dostęp wszystkim prawdom. Wówczas dopiero dotrzeć będzie mogła nauka, odrodzona prawdziwą wiarą i duchem miłosierdzia, mającą oczy otwarte, do sfer owych, w których filozofia pozytywna błąka się po omacku, z opaską na oczach. Tak, nauka stanie się jasnowidzącą i zbawczą w miarę, jak wzrastać w niej będzie i potęgować się znajomość i umiłowanie ludzkości.

I może właśnie „wrotami snu i marzeń“ — jak mówił stary Homer — boska psyche, którą cywilizacja nasza skazała na wygnanie i która płacze w milczeniu pod ukryciem swojej zasłony, odzyska utracone swoje ołtarze.

Zjawisko jasnowidzenia, badane we wszystkich ich fazach przez uczonych i lekarzy XIX-go wieku, rzucają bądź co bądź nowe zupełnie światło na rolę wieszczbiarstwa w starożytności, a także na mnóstwo przejawów napozór nadnaturalnych, których pełne są dzieje wszystkich narodów. Oddzielić należy niewątpliwie legendę od

historii, halucynację, czyli chorobliwą władzę zmysłów, od wizji prawdziwej. Współczesna psychologia doświadczalna uczy nas wszakże nieodrzucać ryczałtem faktów, które leżą w granicach możliwości natury ludzkiej, lecz, przeciwnie, każe badać je ze stanowiska prawd stwierdzonych. Jeśli jasnowidzenie jest władzą duszy, nie wolno już odrzucać bez namysłu proroków, wyroczni i sybill do lamusa przesądów. Wieszczybiarstwo i wróżbiarstwo¹⁾ mogło być znane i uprawiane przez świątynie starożytne na podstawach ustalonych, w celu społecznym i religijnym. Badanie porównawcze religii i tradycji ezoterycznych wskazuje, że podstawy te były jednakie wszędzie, jakkolwiek stosowanie ich nieskończenie mogło być różne. Sztukę wieszczania zdyskredytowała jej przedajność, która dawała możliwość dopuszczania się najgorszych nadużyć, zaś piękne jej przejawy możliwe są jedynie u istot nieposzlakowane czystych i wyjątkowo wzniosłych.

Wieszczbiarstwo w tej postaci, w jakiej dokonywane ono było w Delfach, opierało się na powyżej wyłuszczonej podstawach, którym odpowiadała wewnętrzna organizacja świątyni. Składała się na nią, podobnie jak w wielkich świątyniach egipskich, sztuka i nauka. Sztuka polegała na przenikaniu odległości, przeszłości i przyszłości jasnowidzeniem lub ekstazą proroczą; nauka — na obliczeniu przyszłości na podstawach praw rozwoju wszechświata. Sztuka i nauka kontrolowały się wzajemnie. O nauce tej, zwanej przez starożytnych genetliologią — czyli nauką wyciągania horoskopów z ruchów gwiazd — której niedostatecznie zrozumianym ułamkiem była astrologia średniowieczna, nie powiemy nic więcej

¹⁾ **Wieszczenie** — „mantyka atekniczna“ i **wróżenie** — „mantyka antekniczna“. W pierwszym wypadku bóg bezpośrednio zwraca się do człowieka, w drugim zsyła mu znaki, wymagające wytłumaczenia przez doświadczonego wróżbitę. Oczywiście nie mogło być tu wyraźnej granicy; najbardziej znana w starożytności mantyka **snów proroczych** zajmowała miejsce pośrednie ponieważ sny bywały czasem symboliczne i wymagały wróżbity dla ich wytłumaczenia. — Prof. **Tadeusz Zieliński**: „Religia starożytnej Grecji“ — przekł. prof. Stefana Srebrnego. — str. 116. (Przyp. tłum.).

ponad to, że wymagała ona znajomości całej encyklopedii ezoteryzmu, zastosowanej do przyszłości narodów i jednostek. Nader użyteczna, jako sposób orientowania się, pozostawała ona zawsze nader problematyczną w zastosowaniu. Posługiwać się nią umiały jedynie duchy pierwszego stopnia. Pytagoras zgłębił ją w Egipcie. W Grecji stosowano ją na podstawie danych mniej pełnych i mniej ścisłych. Jasnowidzenie natomiast i wieszczanie posunięte były dość daleko.

Wiadomo, że w Delfach uprawiano sztukę tę za pośrednictwem kobiet młodych i starych, zwanych Pytiami i odgrywających bierną rolę jasnowidzących somnambulistek. Kapłani komentowali, wyjaśniali i układali podług własnego rozumienia ich wyrocznie często mgliste i niejasne. Historycy nowocześni nie widzieli w wyroczni delfickiej nic poza wyyskiwaniem zabobonu przez sprytnych szarlatanów. Nie mówiąc już o tym, że cała filozofia starożytna uznawała sztukę wieszczbiarską świątyni delfickiej, stwierdzić należy, że przemawiają też za nią wyrocznie, przytoczone przez Herodota, jak np. wyrocznie, dotyczące Krezusa i bitwy pod Salaminą. Niewątpliwie miała sztuka ta swoje pierwociny, swój okres rozkwitu i upadku. Szarlatanizm i sprzedajność znieprawiły ją, jak o tym świadczy historia króla Kleomena, który przekupił arcykapłankę delficką, aby pozbawić Demorata tronu. Plutarch napisał traktat, w którym usiłował dociec, jakie przyczyny spowodowały wygaśnięcie wyroczni, odczute, jako klęska, przez całą społeczność starożytną.

W epoce poprzedzającej uprawiane było wieszczbiarstwo ze zbożną szczerością i pogłębieniem naukowym, które wzniosły je na wyżyny prawdziwego kapłaństwa. Na frontonie świątyni wypisane były te słowa: „Poznaj samego siebie“, a zaś ponad wrotami wejściowymi: „Niech ten, kto nie ma dłoni czystych, nie zbliża się tutaj“. Słowa te mówiły każdemu przybyszowi, że namiętność, kłamstwa i hypokryzje ziemskie nie powinny być przekraczać progu sanktuarium, którego wewnątrz było królestwem prawdy, panującej tam z pełną grozy powagą.

Pytagoras powrócił do Delf dopiero po zwiedzeniu wszystkich świątyń Grecji. Przebywał on przez czas pe-

wieni u Epimenidesa w sanktuarium Jupitera Ideńskiego; był obecnym na igrzyskach olimpijskich; pod jego przewodnictwem odbyły się misteria w Eleuzum, którego hierofanta odstąpił mu swojego miejsca. Wszędzie przyjmowano go jako mistrza. Oczekiwano go w Delfach. Sztuka wieszczbiarska chyliła się tam ku upadkowi i Pytagoras postanowił wznowić dawną jej głębię, jej siłę i jej urok. Nie tyle więc przybywał on celem zasięgnięcia rady Appolina, ile dla oświecenia jego interpretatorów, ożywienia ich zapału i podniecenia ich energii. Oddziałał na nich znacząco oddziałał na duszę Grecji, pracować dla jej przyszłości.

Na szczęście, znalazł on w świątyni cudowne narzędzie, które, zdało się, przygotowały dla niego wyroki opatrności.

Młoda Teoklea była członkinią bractwa złożonego z kapłanek Apollina. Pochodziła ona z jednej z owych rodzin, w których godność kapłańska była dziedziczną. Młodość jej upłynęła pośród podniosłych wrażeń odnoszonych w świątyni, obrządków kultu, pieśni i uroczystości na cześć Apollina pytyjskiego i hyperborejskiego. Wybrazić ją sobie należy, jako jedną z owych młodych dziewcząt, mających instynktowny wrodzony wstręt do tego, co pociąga inne. Dziewczęta takie nie lubią Cerery i boją się Wenery. Niepokoi je ciężka atmosfera ziemska, a niejasno przeczuwana miłość fizyczna wydaje się im pogwałceniem duszy, sprofanowaniem nieskalanej, nietykalnej ich dziewiczości. Są one natomiast dziwnie wrażliwe na prądy tajemnicze, na wpływy astralne. Ilekroć srebrzył księżyc ciemne zarośla dokoła źródła Kastalskiego, dostrzegła tam Teoklea prześlizgujące się białe cienie. Wśród dnia białego słyszała głosy tajemnicze. Kiedy wpatrywała się w promienie wschodzącego słońca, wprawiały ją drgania ich w rodzaj ekstazy, podczas której słyszała chóry niewidzialne. Była ona jednak zupełnie niepodatna na wpływ zabobonów i niewrażliwa na bałwochwalstwo kultu gminnego. Posągi były jej obojętne, wstrętem przejmowało ją składanie ofiar ze zwierząt. Nie opowiadała nikomu o widzeniach, które zakłócały jej sen. Czowała instynktem jasnowidzącej, że kapłani Apollina nie posiadli najwyższego światła prawdy, jakiego pożądała.

Oni natomiast pilnie dawali na nią baczenie, chcąc ją nakłonić, aby została Pytią. Czula się ona istotnie pociągniętą niejako ku światom wyższym, do których nie posiadała klucza. Kim byli owi bogowie, którzy opanowali ją, których technienie i dreszcz święty czuła w sobie? Chciała dowiedzieć się tego, zanim odda im się w ofierze. Bowiem wielkie dusze czują instynktownie konieczność zdawania sobie jasno sprawy nawet wówczas, kiedy oddają się potęgom boskim.

Jakiż dreszcz głęboki, jakie przecucie tajemne wstrząsnąć musiało duszą Teoklei, kiedy ujrzała po raz pierwszy Pytagorasa, kiedy usłyszała głos jego wymowny, rozbrzmiewający w pośród kolumn świątyni Apollina! Odczuła obecność proroka, na którego czekała, poznała swojego mistrza. Pragnęła poznać prawdę; pozna ją dzięki niemu; dzięki niemu przemówi do niej ów świat wewnętrzny, który nosiła w sobie!

On zaś również, wiedziony zwykłą sobie przenikliwość i nieomylnością wzroku, poznać w niej musiał ową duszę żywą i wrażliwą, której szukał, chcąc uczynić z niej interpretatorkę swojej myśli w świątyni i tchnąć w nią nowego ducha. Od pierwszego zaraz zamienionego spojrzenia, od pierwszego wypowiedzianego wyrazu, łańcuch niewidzialny przykuł mędrca z Samos do młodej kapłanki, wsłuchanej w słowa jego w niemym zachwycie i chłonej jej wpatrzonymi w niego szeroko oczami. Nie pamiętam już, kto powiedział, że poeta i lira poznają się wzajem po drganiu głębokim, kiedy zbliżają się do siebie. Podobnie poznali się wzajem Pytagoras i Teoklea.

Ze wschodem słońca rozpoczynały się długie rozprawy Pytagorasa z kapłanami Apollina, których zwano świętymi prorokami. Zażądał on dopuszczenia do rozpraw tych młodej kapłanki celem wtajemniczenia jej w naukę świętą i przygotowania do przyszłej roli. Dzięki temu słuchać mogła wykładów, jakie mistrz miewał codziennie w świątyni. Pytagoras był wówczas w sile wieku męskiego. Jego biała szata kapłańska przepasana była po egipsku, opaska purpurowa przecinała wyniosłe jego czoło. Kiedy mówił, jego głębokie i spokojne spojrzenie tkwiło w osobie, do której kierowane były jego słowa.

spowijając ją falą gorącego światła. Powietrze dokoła niego zdawało się stawać lżejszym i czysto duchowym.

Rozprawy mędrca z Samos z najwyższymi przedstawicielami religii greckiej niesłychaną miały doniosłość.

Nie dotyczyły one wyłącznie wszechświata i natchnienia, lecz przyszłości Grecji, losów całego świata. Wiedza, zaszczyty i władza, jakie zyskał w świątyniach memfijskich i babilońskich otoczyły go aureolą wielkiego autorytetu. Miał on prawo przemawiania w charakterze zwierzchnika i przewodnika mistrzów greckich. Czynił to z siłą wymowy geniuszu swojego, z zapalem swojego posłannictwa. Chcąc rozjaśnić widnokreśli myślowe kapłanów, rozpoczął nauczanie od opowiedzenia im dziejów swojej młodości, swoich walk i swojego wtajemniczenia egipskiego. Mówił im o Egipcie, tej macierzy Grecji, odwiecznym jak świat, nieporuszonym jak mumia, pokryta hieroglifami w głębi jego piramid, kryjąca w grobie swoim tajemniki ludów, narzeczy i religii. Odsłonił przed oczami ich tajemnice wielkiej Izdy ziemskiej, matki Bogów i ludzi, i każąc im przejść przez te same próby, przez jakie przeszedł on sam, zanurzył ich wraz z sobą w światło Ozyrysa. Z kolei przeszedł do Babilonu, do magów chaldejskich do ich nauk tajemnych, do owych świątyń obszernych i ciężkich, gdzie wzywają oni ogień żywy, siedlisko demonów i Bogów.

Słuchając Pytagorasa, doznawała Teoklea uczuć zdumiewających. Każde słowo jego wryte było ognistymi głoskami w jej umyśle. Wszystko, co mówił, wydawało jej się zarazem cudownym i już znanym. Słowa mistrza rozwierały przed nią karty wszechświata, jak gdyby był on otwartą dla niej księgą. Nie widziała już Bogów w ich obrazach ludzkich, lecz w ich istocie, tworzącej rzeczy i duchy. Szybowała z nimi, wznosiła się i opadała wraz z nimi w przestworza. Czasem doznawała wrażenia, że nie czuje już granic swojego ciała i że rozwiewa się w nieskończoność. W ten sposób wyobraźnia jej wchodziła z wolna w świat niewidzialny, a dawne jego oblicza, które znajdowała w głębi własnej duszy, mćwiły jej, że jest on jedyną, prawdziwą rzeczywistością; wszystkie inne są tylko pozorami. Czuła, że wkrótce jej oczy wewnętrzne

otworzą się i że będzie mogła odczytywać bezpośrednio jego tajniki.

Z wyżyn tych mistrz ściągnął ją nagle na ziemię opowiadaniem o klęskach Egiptu. Po nakreśleniu obrazu wielkości egipskiej wiedzy, pokazał ją, padającą pod ciosami najazdu perskiego. Opowiedział o okrucieństwach Kambyzesa, o grabieży świątyń, paleniu na stosach ksiąg świętych, o zabijaniu lub wysyłaniu na wygnanie kapłanów, o perskim potworze despotyzmu, skupiającym pod żelaznymi rżadami swoimi wszystkie barbarzyńskie ludy azjatyckie, o koczowniczych, nawpół dzikich rasach z głębi Azji i Indii, czyhających tylko na sposobność rzucenia się na Europę. Tak, ten potężniejący z każdą chwilą huragan runąć musi na Grecję z tak nieubłaganą pewnością, z jaką piorun uderzyć musi z chmury, gromadzącej się w powietrzu. Czy Grecja rozkawałkowana, podzielona na drobne, wrogie wzajem państewka, zdolna będzie oprzeć się temu straszliwemu ciosowi? Nie miała ona wyobrażenia nawet o grożącym jej niebezpieczeństwie. Narody nie mogą uniknąć swoich przeznaczeń, jeśli nie stoją same na ich straży, Bogowie przyspieszają wybuch. Czyż mądry naród Hermesa, Egipt, nie padł po sześciu tysiącach lat rozkwitu? Nicstety Grecja, piękna Jonia, ulegnie prędzej jeszcze! Przyjdzie chwila, że Bóg słońca opuści tę świątynię, którą barbarzyńcy zrównają z ziemią, tak że pastarze przyprowadzą stada swoje, aby pasły się na gruzach Delf.

Przy słuchaniu ponurych tych przepowiedni przeobraziło się oblicze Teoklei, przybierając wyraz nieopisanego przerażenia. Osunęła się na ziemię i tu, oplatając ramionami kolumnę, z wzrokiem nieruchomym, pogrążona w zadumę, podobna była do geniusza Bólu, płaczącego na grobie Grecji.

„Są to wszakże tajemnice — mówił dalej Pytagoras, — które pogrzebać należy w głębi świątyni. Wtajemniczony przyciąga śmierć lub odtrąca ją dowolnie. Tworzeniem czarodziejskiego łańcucha woli zbiorowej przedłużają wtajemniczeni istnienia narodów. W waszej leży mocy opóźnić godzinę fatalną, doprowadzić Grecję do rozkwitu, sprawić, aby promieniało w niej słowo Apollina. Ludy są tym, czym je czynią ich Bogowie; Bogowie objawiają się

wszakże tylko tym, którzy ich wzywają. Kim jest Apollo? Słowem Boga jedyne, objawiającym się wiekuiście we wszechświecie. Prawda jest duszą Boga, jego ciałem jest światło. Oglądają je jedynie mędrcy, jasnowidzący i prorocy, ludzie widzą tylko cień jego. Duchy wyniesione do chwały, nazywane przez nas bohaterami i półbogami, przebywają w tym świetle; legiony ich zaludniają je sferami niezliczonymi. Takim jest prawdziwe ciało Apollina, słońce wtajemniczonych; bez jego promieni nic wielkiego nie dzieje się na ziemi. Jak magnes przyciąga żelazo, tak samo myślami naszymi, modlitwami i czynami przyciągamy natchnienie boskie. Waszym winno być dziełem przekazanie Grecji słowa Apollinowego, a wówczas zająśnieje Grecja światłością nieśmiertelną“!

Rozprawami podobnymi zdołał Pytagoras rozbudzić w duszach kapłanów delfickich świadomość ich posłannictwa. Teoklea chłonęła słowa mistrza ze skupioną, niemą namiętnością. Myśl i wola jego przeistaczały ją; przeobrażała się pod ich wpływem, jak gdyby zaczarowana przez nie. Stojąc pośród zdumionych starców, rozplatała gęstwinę kruczych włosów i odrzucała je w tył głowy, jak gdyby czuła w niej płomienny żar. Oczy jej, szeroko rozwarte, zdawały się oglądać już duchy słoneczne i planetarne na ich drogach świetlistych, w ich blasku olśniewającym.

Pewnego dnia wpadła samorzutnie w głęboki sen na jawie. Otoczyło ją pięciu proroków, nie słyszała wszakże ich głosów, nie czuła ich dotknięcia. Pytagoras zbliżył się do niej i rzekł: „Wstań i idź, dokąd posyła cię myśl moja. Bowiem jesteś już teraz Pytią!“

Po wpływem głosu mistrza dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem i uniósł je jednym drgnieniem przeciągłym. Oczy jej były zamknięte; widziała wzrokiem duszy.

— Gdzie jesteś? — zapytał Pytagoras.

— Wznoszę się... wznoszę się nieustannie.

— A teraz?

— Płynę w jasności Orfeusza

— Co widzisz w przyszłości?

— Wielkie wojny... ludzi stalowych... białe zwycięstwa... Apollo powraca do swojej świątyni i ja będę jego

głosem!... Ale ty, jego goniec, niestety! niestety! — opuścisz mnie... i zawieszysz światło swoje do Italii.

Jasnowidząca, z oczami zamkniętymi, mówiła długo, głosem dźwięcznym, urywanym, rytmicznym; potem nagle, z łkaniem padła jak nieżywa. — Wlewał tak Pytagoras czyste nauki w łono Teoklei i nastrojał ją, jak lirę, na przyjęcie tchnienia Bogów. Wzniesiona na takie wyżyny natchnienia, stała się ona dla niego samego pochodnią, dzięki której mógł zgłębić własne swoje przeznaczenie, przeniknąć możliwą swoją przyszłość i znajdować drogę w bezbrzeżnych strefach świata niewidzialnego. To żywe świadectwo prawd przez niego głoszonych, zbudziło zachwyty w kapłanach, podniecało ich zapał i ożywiało ich wiarę. Świątynia miała już Pytię natchnioną, kapłanów wtajemniczonych w nauki i sztuki boskie; Delfy mogły stać się ponownie ośrodkiem życia i płodnego czynu.

Pytagoras pozostał tutaj przez rok cały. Dopiero po wyjawieniu kapłanom wszystkich tajników swojej doktryny i przygotowaniu Teoklei do wysokiego jej posłannictwa, opuścił Delfy i udał się do Wielkiej Grecji.

IV

ZAKON I DOKTRYNA

Miasto Krotona zajmowało skrajny cypel zatoki Tareńskiej, obok przylądka Lacynijskiego, mając przed sobą morze otwarte. Było ono, obok Sybarys, najbardziej kwitnącym miastem południowej Italii. Sławiono jego społeczny ustrój dorycki, jego atletów, zwyciężających na olimpijskich igrzyskach, jego lekarzy, współzawodniczących z Asklepiadami¹⁾. Sybaryci zawdzięczali nieśmiertelność swoją swojemu zbytkowi i zniewieściałości.

O Krotończykach zapomnianoby może pomimo ich cnót, gdyby nie unieśmiertelniła ich sława siedliska wielkiej szkoły filozofii ezoterycznej, znanej pod nazwą Związku Pytagorejskiego. Szkołę tę uważać można za rodzicielkę akademii platońskiej i pramacierz wszystkich szkół idealistycznych. O ile szlachetnymi są jej potomkinie, pramacierz znacznie je pod tym względem przerasta. Szkoła platońska oparta była na wtajemniczeniu niezupełnym; szkoła stoicka zatraciła już prawdziwą tradycję. Inne systemy filozofii starożytnej i nowoczesnej były mniej lub

¹⁾ Wyspa Kos była ośrodkiem kultu Asklepiosa, czymś w rodzaju fakultetu medycznego. Ojciec medycyny naukowej, Hippokrates, pochodził z tej wyspy, z rodu kapłanów — Asklepiadów. Znajomość ziół leczniczych, która z czasem stała się farmakologią, była uboczną gałęzią nauki Asklepiadów. (Przyp. tłum.)

więcej szczęśliwym myśleniem spekulatywnym, gdy, przeciwnie, Pytagoras oparł doktrynę swoją na nauce doświadczalnej i związał z nią całkowity ustrój życia.

Wobec zaniknięcia ruin miasta pogrzebane są dzisiaj głęboko pod ziemią tajemnice Związku i myśli mistrza. Spróbujmy wszakże wskrzesić je. Da nam to sposobność dotarcia do głębi doktryny teozoficznej, będącej ukrytą sprężyną religii i filozofii oraz do uchylenia rąbka zasłony Izdy przy świetle pochodni geniusza greckiego.

Kilka powodów skłoniło Pytagorasa do obrania tej kolonii doryckiej za środowisko swojej działalności. Celem jego było nie tylko wyjaśnienie doktryny ezoterycznej gronu wybranych uczniów, lecz również przeprowadzenie podstaw jej w wychowaniu młodzieży oraz w ustroju państwa. Plan ten wymagał założenia instytucji świeckiej z powziętą z góry myślą stopniowego przekształcania politycznego ustroju miast na wzór tego ideału filozoficznego i religijnego. Nie ulega wątpliwości, iż ani jedna republika Hellady czy Peloponezu nie zniosłaby podobnego nowatorstwa. Posądzonoby tam napewno filozofa o knowanie przeciw państwu. Miasta greckie, położone nad zatoką Tareńską, mniej podminowane przez podżegaczy ludu, były liberalniejsze. Nie mylił się też Pytagoras, żywiąc nadzieję znalezienia u królewskiego senatu posłuchu dla swoich reform. Dodajmy, że plany jego sięgały poza granice Grecji. Odgadując dalszy rozwój rzeczy, przewidywał on upadek hellenizmu, myślał więc o potrzebie wpojenia umysłowi ludzkemu podstaw religii naukowej. Założeniem szkoły swojej nad zatoką Tareńską rozpowszechnił on idee ezoteryczne w Italii i zachował w cennej czarze doktryny swojej oczyszczoną treść mądrości wschodniej dla narodów Zachodu.

Przybycie Pytagorasa do Krotonu, skłaniającego się wówczas ku naśladowaniu życia sąsiedniego Sybarysu, od danego rozkoszy, wywołało tu istny przewrót. Porfiriusz i Jamblik opisują nam pierwsze kroki jego w tym mieście jako czyny czarodzieja raczej, aniżeli filozofa. Zgromadził on młodzież męską w świątyni Apollina, gdzie udało mu się płomienną wymową wyrwać ich z odmetu rozpusty. Zgromadził niewiasty w świątyni Junony i skłonił je do

ofiarowania Bogini szat swoich ze złotogłowi i klejnotów, jako trofeów zwycięstwa, odniesionego nad zbytkiem i próżnością. Surowość nauk jego krasił czar jego głosu; tryskająca płomieniem mądrość budziła oddźwięk sympatii w słuchaczach. Piękno jego oblicza, szlachetność całej postaci, urok głosu i wyrazu twarzy dopełniały dzieła. Kobiety porównywały go do Jupitera, młodzież męska do Apollina hyperborejskiego. Podbijał i pociągał tłum, zdumiony własnym ukochaniem cnoty i prawdy pod wpływem wieszczych słów.

Senat krotoński, tak zwana **Rada tysiąca**, zaniepokoił się tym wzrastającym wpływem. Wezwał Pytagorasa, aby zdał sprawę z postępowania swojego oraz ze sposobów, jakich użył do opanowania umysłów. Wezwanie to dało mędrcom sposobność rozwinięcia poglądów swoich na sprawę wychowania młodzieży oraz wykazania, że nie tylko nie zagrażają one doryckiemu ustrojowi Krotonu, lecz, przeciwnie, mogą go jedynie umocnić. Pozyskawszy dla zamierzeń swoich najzamożniejszych obywateli miasta oraz większość senatu, podał im Pytagoras projekt utworzenia instytutu dla niego i jego uczniów. To bractwo wtajemniczonych świeckich prowadzić miało życie wspólne w umyślnie zbudowanym na ten cel gmachu, nie porzucając wszakże prywatnego życia obywatelskiego. Ci spośród zrzeszonych, którzy zasługiwali już na miano mistrzów, mogliby wyklądać nauki fizyczne, psychiczne i religijne. Do wykładów tych, jak również do rozmaitych stopni wtajemniczenia, byłaby dopuszczona młodzież, zależnie od stopnia jej rozwoju umysłowego i jej dobrej woli, pod kontrolą przewodnika związku. Na początek mieli młodzieńcy poddać się regulaminowi życia wspólnego i spędzać całe dnie w instytucie pod okiem mistrzów. Ci, którzy chcieliby wcielić się formalnie do zakonu, musieliby złożyć majątek swój w ręce obranego kuratora z mocnością odebrania go, kiedy zechcą. Instytut miałby mieć oddział specjalny dla kobiet, których wtajemniczenie by równoległe, różniłoby się wszakże od męskiego, jako przystosowane do wymagań płci żeńskiej.

Senat krotoński przyjął entuzjastycznie ten projekt, tak że po upływie kilku lat wznosił się już na krańcu miasta gmach, otoczony rozległymi portykami i pięknymi

ogrodami. Krotończycy nazwali go świątynią Muz; w istocie też pośrodku budowli, tuż obok skromnego mieszkania arcyministra, mieściła się świątynia, poświęcona tym bóstwom.

W ten sposób zrodził się Instytut Pytagorejski, który stał się zarazem kolegium wychowawczym, akademią nauk oraz małym grodem wzorowym pod kierunkiem wielkiego wtajemniczonego. Teorią i praktyką, poznawaniem nauk i sztuk zarazem osiągnano tutaj stopniowo ową naukę nauk, ową czarodziejską harmonię duszy i umysłu ze wszechświatem, którą Pytagorejczycy uważali za najgłębiej ukrytą sprężynę filozofii i religii. Szkoła pytagorejska szczególne ma dla nas znaczenie, jako najbardziej godna uwagi próba wtajemniczenia świeckiego. Ta uprzedzająca fakty synteza hellenizmu i chrystianizmu zaszczerpiła owoc nauki na drzewie życia; osiągnęła owo żywe wewnętrzne urzeczywistnienie prawdy, jakie dać może jedynie głęboka wiara. Urzeczywistnienie chwilowe, mające znaczenie zasadnicze, jako wzór płodny w daleko idące wyniki.

Ażeby stworzyć sobie pojęcie o nim, dostańmy się do Instytutu Pytagorejskiego wraz z nowicjuszem i przejdźmy krok za krokiem przez wszystkie stadia jego wtajemniczenia.

PRÓBA

Biała siedziba braci wtajemniczonych błyszczała z wysokości pogórka, jaśniała pośród cyprysów i gajów oliwkowych. Z dołu, idąc wzdłuż wybrzeża, widać było jej portyki, ogrody i jej gimnazjum. Ponad dwoma skrzydłami gmachu wznosiły się półkolem wysmukłe, lekkie kolumny świątyni Muz. Z tarasu ogrodów otwarty był widok na miasto z jego Prytaneum¹⁾, jego portem i jego placem zgromadzeń publicznych. Z dala pomiędzy urwistymi brzegami, niby w czarze z agatu, lśniły wody zatoki;

¹⁾ Prytaneum — miejsce posiedzeń stale funkcjonujących organów zarządu państwa. (Przyp. tłum.).

widnokrąg zamykało smugą lazuru morze Jońskie. Czasem widzieć można było wychodzące z lewego skrzydła długie sznury niewiast, odzianych w szaty różnokolorowe i idących aleją cyprysową ku morzu. Szły pełnić obowiązki swoje w świątyni Cerery. Często też widywano szeregi mężczyzn, odzianych w białe szaty, wychodzących ze skrzydła prawego i idących w górę ku świątyni Apollina. Niemalym też musiało być urokiem dla żywej wyobraźni młodzieży, że nad szkołą wtajemniczenia pieczę rozciągały dwa bóstwa, z których jedno, Wielka Bógini, mieściło w sobie głębokie tajniki Kobiety i Ziemi, zaś drugie, Bóg słońca, wyjaśniało tajniki Mężczyzny i Nieba.

Jaśniał więc nazewnątrz miasta i ponad nim mały gród wybranych. Jego cicha pogodność pociągała szlachetne instynkty młodzieży, nie widać wszakże było nic z tego, co zachodziło wewnątrz jego murów; wiadomo też było, że wstęp do niego nie należał do rzeczy łatwych. Za całą ochronę ogrodów, przeznaczonych na Instytut Pytagorejski, służył okalający je żywopłot. Stał tu jednak posąg Hermesa, na którego cokole wypisane były słowa: **Eskato Bebeloi**, cofnijcie się, profani. Wszyscy szanowali ten nakaz Misteriów. Pytagoras niezmiernie był surowy w przyjmowaniu nowicjuszków, mówiąc, że „nie każde drzewo nadaje się do urobienia zeń Merkurego“. Młodzi ludzie, pragnący wstąpić do Związku, musieli przejść przez okres prób i doświadczeń. Wprowadzonym przez rodziców lub jednego z mistrzów pozwalano zrazu wchodzić tylko do gimnazjum pytagorejskiego, gdzie nowicjusze oddawali się grom i zabawom, właściwym ich wiekowi. Młodzieniec spostrzegł na pierwszy rzut oka, że gimnazjum to niepodobne było do zwykłych instytucji tego rodzaju. Nie słychać tu było głośnych okrzyków, nie było grup hałaśliwych; ani niedorzecznego junactwa, ani pełnego próżności popisywania się przyszłych atletów siłą, wyzywania się wzajem i napinania z przechwałką swoich mięśni; snuły się tutaj natomiast grupy młodzieńców uprzejmych i wytwornych, przechadzały się pary ich pod portykami lub oddawały się grom na arenie. Młodzieńcy zapraszali przybysza z wdziękiem i prostotą do wzięcia udziału w ich rozmowie, jak gdyby należał już do nich, bynajmniej

wszakże nie obrzucali go przy tym ciekawym lub nicu-
fnym spojrzeniem. Na arenie urządzano gonitwy, lub ba-
wiono się ciskaniem dziurytów i szermierką krążkiem.
Urządzano też udawane boje w postaci tańców doryckich,
surowo natomiast zakazane były przez Pytagorasa wszel-
kie zapasy atletyczne. Mistrz utrzymywał, że zbędnym
byłoby, a nawet niebezpiecznym, rozwijanie siły i zręcz-
ności za cenę podniecania pychy i nienawiści; że ludzie,
przeznaczeni do uprawiania cnót braterstwa i przyjaźni,
nie mogą rozpoczynać od powalania się wzajem na zie-
mię i tarzania się w piasku jak dzikie zwierzęta; że praw-
dziwy bohater umie walczyć odważnie, lecz bez zaciekło-
ści; że nienawiść czyni człowieka niższym od każdego z je-
go przeciwników. Nowoprzybyły słuchał mądrych ma-
ksym, powtarzanych przez nowicjuszów, dumnych, że mo-
gą podzielić się z nim nabytą już tak wcześniej mądrością.
Zarazem też zachęcali go oni do wypowiedzenia własnego
jego w tej mierze zdania, do otwartego zwalczania ich
poglądów. Naiwny przybysz, ośmielony tą zachętą, rychło
odsłaniał prawdziwą swoją naturę. Szczęśliwy, że go słu-
chają i podziwiają, prawił i rozwodził się, ile chciał. Mi-
strzowie pilnie go tymczasem obserwowali, żadnych nie
czyniąc mu uwag. Pytagoras zjawiał się niespodziewanie,
aby swobodnie badać słowa jego i ruchy. Zwracał on bacz-
ną uwagę na chód i ra śmiech młodzieńców. Śmiech, mó-
wił, zdradza charakter w sposób niewątpliwy i za-
dne udawanie nie może upiększyć śmiechu złego czło-
wieka. Przeprowadził on również tak głębokie bada-
nia twarzy człowieka, że umiał wyczytać z niej g'ąb
jego duszy¹⁾.

Szczegółowa ta obserwacja dawała mistrzowi możność
urobienia sobie dokładnego pojęcia o przyszłych uczniach.
Po kilku miesiącach następowały próby ostateczne. Były
one naśladowaniem wtajemniczenia egipskiego, wielce
wszakże złagodzoną i przystosowaną do natury gre-
ckiej, której wrażliwość nie byłaby zdolną do zniesienia
śmiertelnej grozy podziemi memfiskich lub tebańskich.
Nakazywano pragnącemu wstąpić do Związku, aby spę-

¹⁾ **Orygenes**, filozof ze szkoły nowoplatońskiej, utrzymu-
je, że Pytagoras był wynalazcą fizjognomiki.

dził noc w pieczarze, nawiedzanej, jak utrzymywano, przez potwory i zjawy. Tych, którzy nie mieli siły znieść ponurych wrażeń samotności i nocy, którzy nie chcieli wejść do pieczary lub uciekali z niej przed nadejściem świtu, odrzucano jako zbyt słabych do wtajemniczenia.

Próba moralna była poważniejsza. Nagle, bez przygotowań, zamykano pewnego pięknego rana przyszłego adepta w smutnej, nagiej celi. Zostawiano mu tabliczkę sztyrową i nakazywano, nie dając żadnych wyjaśnień, odnaleźć znaczenie jednego z symbolów pytagorejskich, jak np.: „Co oznacza trójkąt, wpisany w koło?“ lub też: „Dlaczego dwunastościan, zawarty w kole, jest cyfrą wszechświata?“. Z tabliczką tą i tym zagadnieniem spędzał młodzieniec dwanaście godzin w swojej celi, mając za jedynych towarzyszy samotności — kubek wody i kęs suchego chleba. Po upływie tego czasu sprowadzano go do sali przed zebranych nowicjuszów. W tym jedynie wypadku nakazywano im szydzić niemiłosiernie z nieszczęśliwego, który, zły i zgłodniały, stawał wobec nich jak winowajca. „Oto — mówili — nowy filozof. Jaką ma natchnioną twarz! Opowie nam o rozmyślaniach swoich! Nie ukrywaj przed nami wielkich odkryć twoich. Przejdziesz w ten sposób wszystkie symbole. Jeszcze miesiąc takiego życia, a staniesz się wielkim mędrce!“

W takiej właśnie chwili wpatrywał się mistrz z głębokim napięciem uwagi w młodzieńca, obserwując badawczo jego zachowanie się i wyraz twarzy. Rozdrażniony głodem, obrzucany szyderstwami, upokorzony niemożnością rozwiązania niezrozumiałej zagadki, czynić musiał olbrzymi wysiłek, aby nie utracić panowania nad sobą. Niektórzy płakali ze złości, inni dawali odpowiedzi cyniczne; jeszcze inni, tracąc równowagę i wybuchając wściekłością, rzucali na ziemię tabliczki, tłukąc je w kawałki i miotając obelgi na szkołę, mistrza i jego uczniów. Wówczas zjawiał się Pytagoras i oznajmiał z pełną spokoju powagą, że człowiek, który tak źle zniósł próbę, jakiej poddano jego miłość własną, proszony jest o nieprzychodzenie więcej do szkoły, o której tak uprzejmy wyraził sąd, a której podstawowymi cnotami muszą być uczucia przyjaźni i poszanowania dla mistrzów. Odrzucony kandydat odchodził ze wstydem, stając się częstokroć groźnym wrogiem Zwią-

zku, jak ów słynny Cylon, który w następstwie podjudził przeciwko Pytagorejczykom tłum i spowodował upadek instytucji. Ci natomiast, którzy znosili napaści z niezachwianym spokojem, którzy odpowiadali na prowokacje słusznymi uwagami, oznajmiając, że będą gotowi ponawiać próbę stokrotnie, byleby zdobyć bodaj okruszynę wiedzy, przyjmowani byli uroczyście do nowicjatu, a nowi ich towarzysze wieszowali im entuzjastycznie tego zaszczytu.

STOPIEŃ PIERWSZY — PRZYGOTOWANIE NOWICJAT I ŻYCIE PYTAGOREJSKIE

Wówczas dopiero rozpoczynał się nowicjat zwany **przygotowaniem** (paraskeie), trwający conajmniej dwa lata i mogący przedłużyć się do lat pięciu. Nowicjusze, czyli **słuchacze** (akusikoi), poddać się musieli podczas wykładów regulaminowi bezwzględnej milczenia. Nie mieli oni prawa ani oponowania mistrzom swoim, ani dyskusowania w sprawie ich wykładów. Mieli obowiązek przyjmowania nauk z szacunkiem, a potem długiego rozważania ich w głębi własnej myśli. Aby wrazić nakaz ten w pamięć nowego **słuchacza**, pokazywano mu posąg niewiasty, spowitej długą zasłoną i trzymającej palce na ustach, posąg **Muzy milczenia**.

Pytagoras nie wierzył, aby młodzież zdolna była zrozumieć początek i koniec wszechrzeczy. Uważał też, że ćwiczenie jej w dialektyce i w umiejętności rozumowania, zanim zdobędzie poczucie prawdy, rodzi puste mózgownice i zarozumiałych sofistów. Dbał on nade wszystko o rozwinięcie w swoich uczniach pierwotnej władzy wyższej: intuicji. Dlatego też nie wykladał rzeczy zagadkowych i trudnych. Brał za punkt wyjścia uczucia wrodzone, pierwsze obowiązki człowieka od chwili przyjścia jego na świat i wykazywał stosunek ich do praw, rządzących wszechświatem. Wpajając młodzieży przede wszystkim miłość dla rodziców, rozszerzał to uczucie, upodabiając pojęcie ojca do pojęcia Boga, wielkiego twórcy wszechrzeczy. „Nie masz nic bardziej czcigodnego — mówił — nad godność ojca. Homer nazwał Jupitera królem Bogów, aby wszakże wykazać całą jego wielkość, nazwał go

ojcem Bogów i ludzi". Matkę porównywał z naturą szczerą i dobroczynną. Jak niebiańska Cybela tworzy ciała niebieskie, jak Demeter płodzi owoce i kwiaty ziemskie, tak matka karmi dziecię wszystkimi swoimi radościami. Syn winien zatem czcić w matce i ojcu przedstawicieli ziemskie wizerunki wielkich tych bóstw. Wykazywał również, że miłość dla ojczyzny jest wyższym szczeblem miłości, którą się w latach dziecięcych czuło dla matki. Rodzice dani nam zostali nie przypadkowo, jak sądzi prostak, lecz na mocy układu uprzedniego i wyższego, zwanego losem lub koniecznością. Rodziców należy czcić, przyjaciela zaś trzeba wybierać. Zachęcano nowicjuszków, aby grupowali się parami, kierowani powinowactem dusz. Młodszy winien był szukać w starszym cnót, które sam pragnął osiągnąć, i obaj przyjaciele winni byli pobudzać się wzajem do lepszego życia. „Przyjaciel jest drugim naszym ja. Czcić go należy jak Boga“ — mówił mistrz. O ile regulamin pytagorejski nakazywał nowicjuszowi — słuchaczowi bezwzględną uległość mistrzom, pozostawiał mu on zupełną swobodę w rozkoszowaniu się czarem przyjaźni, widział w niej nawet bodziec do rozwijania wszelkich cnót, budzenia poezji, wskazywania drogi do ideału.

Rozbudzał w ten sposób władze indywidualne, ożywiał i zdobił moralizatorstwo czarem poezji. Regulamin, przyjmowany chętnie, przestawał być przymusem, stając się stwierdzeniem istotnej jaźni osobnika. Pytagoras chciał, ażeby posłuszeństwo było zgodą i przyzwalaniem. Kształcenie moralne było przygotowaniem do studiów filozoficznych. Bowiem stosunek, jaki uczył się nowicjusz dostrzegać pomiędzy obowiązkami społecznymi a harmonią wszechświata, nasuwał mu myśl o prawie analogii i zgodności. Na prawie tym opiera się zasada Misteriów, doktryny tajemnej oraz wszelkiej filozofii. Umysł ucznia przywykał w ten sposób odnajdywać piętno porządku niewidzialnego na widomej rzeczywistości. Zasady ogólne i treściwe nakazy otwierały perspektywy na świat wyższy. Przez dzień cały brzmiały w uszach ucznia wraz z dźwiękami liry **wiersze złote:**

Bogom nieśmiertelnym nieś hołd im poświęcony,
A potem wiarę twoją zachowaj.

Komentując tę maksymę, wykazywano, że Bogowie, napozór różni, byli w gruncie rzeczy jednacy u wszystkich narodów, bowiem odpowiadali tym samym władzom umysłowym i duchowym, działającym w całym wszechświecie. Mędrzec mógł zatem czcić Bogów swojej ojczyzny, mimo że o istocie ich odmienne aniżeli ogół urobił sobie pojęcie. Tolerancja dla wszystkich kultów; zespolenie wszystkich ludów w ludzkość; jednolitość religii w nauce ezoterycznej: wszystkie te nowe idee świtać zaczynały mglistymi zarysami w umyśle nowicjusza, niby bóstwa wspaniałe, dojrzane w przelocie w przepychach zachodu. A złota lira rozbrzmiewała w dalszym ciągu powagą swoich pouczeń:

Cześć miej dla pamięci

Bohaterów-patronów, duchów nawpół-boskich.

Z poza słów tych jaśniała dla nowicjusza, jak przez zasłonę, boska psyche, dusza ludzka. Droga niebieska jaśniała niby przedziwo świetlne. Albowiem w kulcie bohaterów i pół-bogów dopatrywał się wtajemniczony doktryny życia przyszłego i tajemnicy rozwoju wszechświata. Nie odślaniano przed nowicjuszem wielkiej tej tajemnicy; przygotowywano go jedynie do zrozumienia jej mówieniem mu o hierarchii istot, wyższych od ludzkości, zwanych bohaterami i pół-bogami i będących przewodnikami jego i opiekunami. Dodawano, że istoty owe odgrywają rolę pośredników pomiędzy człowiekiem a bóstwem, że za ich pośrednictwem może on stopniowo zbliżyć się doń, jeśli będzie uprawiał cnoty bohaterskie i boskie. „Jak jednak porozumiewać się z tymi geniuszami niewidzialnymi? Skąd się bierze dusza? dokąd dąży? i dlaczego to ponure milczenie śmierci?“ Nowicjusz nie śmiał formułować takich pytań, czuło się je wszakże w jego spojrzeniu. Za całą odpowiedź wskazywali mu duchowi jego przewodnicy ludzi walczących na ziemi, posągi w świątyniach oraz dusze chwałą okryte w niebie, „w ogniowej twierdzy Bogów“, dokąd udało się dotrzeć Herkulesowi.

W ukrytej głębi tajników starożytnych sprowadzano wszystkich Bogów do Boga jedyne, najwyższego. Objawienie prawdy tej, pojmowanej ze wszystkimi jej konsekwencjami, stawało się kluczem Kosmosu.

Dla tego właśnie odkładano wyjaśnienie jej do właściwego wtajemniczenia.

Nowicjusz nie wiedział nic o niej. Pozwalano mu jedynie domyślać się jej poza osłoną tego, co mu mówiono o potędze Muzyki i Liczby. Bowiem w liczbach — naucał mistrz — zawarta jest tajemnica wszechrzeczy, a Bóg jest harmonią wszechświata. Siedem odmian świętych, opartych na siedmiu nutach liry siedmiostrunnej, odpowiada siedmiu barwom światła, siedmiu planetom, siedmiu postaciom bytu, powtarzającym się we wszystkich sferach życia materialnego i duchowego, od najmniejszej do największej. Melodie tych form, umiejętnie wrażane w ucho, nastrojać miały duszę i czynić ją tak dźwięczną, aby mogła współdrgać z tchnieniem prawdy.

Temu oczyszczeniu duszy odpowiadało z natury rzeczy oczyszczenie ciała, osiąganę stosowaniem higieny i surowości obyczajów. Opanowanie żądz własnych i namiętności pierwszym było obowiązkiem wtajemniczenia. Kto nie przetworzył w harmonię własnej swojej istoty, nie może być odbiciem harmonii boskiej. Mimo to wszakże nie miał w sobie ideał życia pytagorejskiego nic z życia ascetycznego, bowiem małżeństwo uważane w nim było za rzecz świętą. Nowicjuszom zalecano wszakże czystość, a wtajemniczonym umiarkowanie, jako źródło siły i doskonalenia się. „Ulegaj rozkoszy wówczas tylko, kiedy zgodzisz się być niższym od samego siebie“ — uczył mistrz. Dodawał, że rozkosz sama przez się nie istnieje i porównywał ją do śpiewu Syren, rozwiewających się, gdy się do nich zbliżyć i pozostawiających, zamiast siebie, jedynie połamane kości i krwawiące ciało zwabionego na, stoczonym przez wody, cyplu skalnym. Prawdziwa natomiast radość podobna jest do koncertu Muz, pozostawiających w duszy boską harmonię.

Pytagoras wierzył w cnoty kobiety wtajemniczonej, nie ufał wszakże zwykłej kobiecie. Jednemu z uczniów, który zapytał go, kiedy wolno mu będzie zbliżyć się do kobiety, odpowiedział ironicznie: „Kiedy znuży cię twój wypoczynek“.

Dzień pytagorejski podzielony był w sposób następujący: Z chwilą gdy płomienna tarcza słoneczna wynurzała się z błękitnych fal morza Jońskiego i złościła kolumny

świętyni Muz ponad siedzibą wtajemniczonych, intonowali młodzi Pytagorejczycy hymn do Apollina, do którego wtórem był taniec dorycki o charakterze męskim i świętym. Po przepisanych obmywaniach odbywano w milczeniu przechadzkę po świątyni. Każde przebudzenie jest wskrzeszeniem, mającym swój kwiat niewinności. Dusza winna skupić się wraz z brzaskiem dnia i pozostać nieskalaną do wykładu porannego. W gaju świętym gromadzono się dokoła mistrza albo nauczycieli i rozpoczynał się wykład pod cieniem wielkich drzew lub w chłodzie portyku. W południe odprawiano modły do bohaterów, do geniuszów dobroczynnych. Wedle tradycji ezoterycznej duchy przyjazne lubią zbliżyć się do ziemi wraz z promieniami słońca, zaś złe duchy szukają mroku i zapełniają atmosferę z nadejściem nocy. Skromny posiłek południowy składał się zazwyczaj z chleba, miodu i oliwek. Po południu poświęcano ćwiczeniom gimnastycznym, potem nauce, rozmyślaniu i opracowywaniu myślowemu porannego wykładu. Po zachodzie słońca odprawiano wspólne modły, śpiewano hymn do bogów kosmogonicznych, do Jupitera niebiańskiego, do Minerwy-Opatrzności, do Diany-Opiekunki zmarłych. Podczas tego płonęły na urządzonym na otwartym powietrzu ołtarzu: żywica pachnąca, kadzidło lub manna; dźwięki hymnu, zmieszane z oparem wonnym, ulatywały cicho wśród zmroku, gdy pierwsze gwiazdy wyblyskiwały na bladym lazurze nieba. Dzień kończyła wieczerza, podczas której najmłodszy z Pytagorejczyków odczytywał ustęp, objaśniany przez najstarszego.

W ten sposób upływał dzień pytagorejski, czysty jak woda kryniczna, jasny jak bezobłoczny poranek. Podział roku odpowiadał wielkim świętom astronomicznym. Tak więc powrót Apollina hyperborejskiego i święcenie misteriów Cerery gromadziły nowicjuszków i wtajemniczonych wszystkich stopni: mężczyzn i niewiasty. Młode dziewczęta grały na lirach z kości słoniowej, kobiety zameżne, strojne w peplum z purpury i tkaniny barwionej szafranem, tworzyły chóry z akompaniamentem śpiewu oraz harmonijnych nawrotów strofy i antystrofy, naśladowanych w następstwie przez tragedię. Pośród tych wielkich festynów, na których bóstwo zdawało się przejawiać w pięknie kształtów i ruchów, w przenikliwej melodii

chórów, doświadczał nowicjusz jakgdyby przecucia się tajemnych, wszechmocnych praw ożywionego wszechświata, nieba głębokiego i przejrzystego. Zaślubiny, obrządki pogrzebowe miały charakter bardziej poufny, lecz nie mniej uroczyste. Oryginalna ceremonia specjalnie nadawała się do oddziaływania na wyobraźnię. Jeśli zdarzyło się, że nowicjusz opuszczał związek dobrowolnie, aby powrócić do życia zwykłego lub też jeśli — co zdarzyło się raz jedyny tylko — uczeń zdradził jeden z tajników doktryny, wtajemniczeni wnosili mu w specjalnie na to przeznaczonym miejscu grobowiec, jakgdyby był umarł. Mistrz mówił wtedy: „Bardziej on umarł niż zmarł, albowiem powrócił do złego życia; ciało jego chodzi wśród ludzi, lecz dusza jego umarła; płaczmy nad nią“. I grobowiec ten, wzniesiony dla żywego, prześladował go jak własna zjawa i jak ponura przepowiednia.

DRUGI STOPIEŃ — OCZYSZCZENIE — ¹⁾ LICZBY — TEOGONIA

Był to dzień szczęśliwy, „złoty dzień“, jak mówili starożytni, ów dzień, w którym przyjmował Pytagoras u siebie nowicjusza i włączał uroczyście do grona uczniów swoich. Dzięki aktowi temu nawiązywał młodzieniec stały, bezpośredni stosunek z mistrzem: wolno mu było wchodzić na wewnętrzny podwórzec siedziby mistrza, dostępny jedynie dla wiernych jego wyznawców. Stąd nazwa **ezoteryków** (tych z wewnątrz), przeciwna nazwie **egzoteryków** (tych z zewnątrz). Rozpoczynało się prawdziwe wtajemniczenie.

Wtajemniczenie to polegało na pełnym i wyrozumowanym wykładzie doktryny okultystycznej, poczynawszy od jej podstaw, zawartych w tajemnej nauce liczb aż do ostatecznych wyników ewolucji jej we wszechświecie, do przeznaczeń i celów najwyższych boskiej psyche, duszy ludzkiej. Ta nauka liczb znana była pod rozmaitymi nazwami w świątyniach Egiptu i Azji. Tajono ją starannie przed tłumem w przeświadczeniu, że daje ona klucz do

¹⁾ Po grecku **Katharsis**.

całej doktryny. Jedynie wtajemniczony zrozumieć mógł cyfry, litery, figury geometryczne lub też wizerunki ludzkie, służące jako znaki tej algebry świata tajemnego. Znaczenie ich odsłanianie odeptom dopiero po złożeniu przez nich przysięgi milczenia. Pytagoras sformułował naukę tę w książce napisanej przez siebie własnoręcznie: **hieros logos**. mowa święta. Książka ta nie doszła do nas; główne wszakże wytyczne jej znane nam są dzięki późniejszym pismom Pytagorejczyków: Filolausa, Archytasa i Hieroklesa, dzięki dialogom Platona, traktatom Arystotelesa, Porfiriusza i Jamblika. Pozostały one wszakże dla współczesnego filozofa księgą zamkniętą na siedem pieczęci wprost dlatego, że znaczenie ich oraz ich doniosłość mogą być zrozumiane jedynie na podstawie klucza porównawczego wszystkich doktryn Wschodu.

Pytagoras nazwał uczniów swoich matematykami, ponieważ wyższy wykład jego rozpoczynał się od doktryny liczb. Ta matematyka święta, czyli nauka zasad, była wszelako zarazem bardziej duchową i bardziej żywotną aniżeli matematyka świecka, jedyna, znana naszym uczonym i filozofom. LICZBA nie była w niej uważana za czynnik oderwany, lecz za właściwość istotną twórczą JEDNOŚCI najwyższej, Boga, źródła harmonii wszechświata. Nauka liczb była nauką potęg żywych, **władz boskich** czynnych we wszechświecie i w człowieku, w makrokosmie i mikrokosmie... Przenikając je, rozróżniając i wyjaśniając, budował Pytagoras podstawy racjonalnej teologii czyli teologii.

Teologia prawdziwa powinna dostarczyć podstaw wszystkim naukom. Stanie się ona wiedzą boską wówczas dopiero, kiedy zdolna będzie wykazać jednolitość i łączność wszystkich nauk naturalnych. Zasługiwać może na miano swoje jedynie pod warunkiem stania się narzędziem i syntezą wszystkich innych nauk. Taką była właściwa rola nauki słowa świętego w świątyniach egipskich, sformułowana i ustalona przez Pytagorasa pod nazwą nauki liczb. W pojęciu jej twórcy stanowiła ona klucz bytu, wiedzy i życia. Adept winien był, pod kierunkiem mistrza, zaczynać od rozważania jej podstaw we własnym umyśle, zanim zapoznać się miał z wielorakimi jej zastosowaniami w koncentrycznym bezmiarze sfer rozwoju.

Poeta nowoczesny przeczuł prawdę tę, każąc Faustowi zstąpić do **Matek**, aby natchnąć ponownie życie w cień Heleny. Faust chwyta ów klucz magiczny, ziemia zapada się pod jego stopami, wszystko wiruje dokoła niego i pogrąża się on w próżnię przestworzy. Dociera wreszcie do **Matek**, czuwających nad pochodnymi postaciami wielkiej Całości i wyłaniających istoty z tygla pratypów. Matkami tymi są liczby Pytagorasa, boskie potęgi świata. Poeta oddał drgnienie myśli własnej przy tym pogrążeniu się w otchłanie Niezgåłębionego. To objawienie duchowe wydawało się starożytnemu wtajemniczonemu, w którym, niby zmysł nowy, budziło się bezpośrednie widzenie wewnętrzne — wzlotem raczej ku żarzącemu się słońcu Prawdy, z którego w pełni Światła oglądał byty i kształty, rzucone w wir żywotów promieniowaniem zawrotnym.

Nie od razu wszakże zdobywał on takie wewnętrzne opanowanie Prawdy, dzięki któremu, skupiając wszystkie władze swoje, osiąga człowiek poznanie życia wszechświata. Wymagało to całych lat ćwiczenia się, wyrabiania w sobie tak trudnego szarmonizowania rozumu i woli. Zanim dane mu było zawładnąć słowem twórczym — jakże niewiele osiągało ten cel najwyższy! — musiał, litera po literze, zgłoska po zgłosce, odczytywać słowo święte.

Pytagoras miewał zazwyczaj wykłady te w świątyni Muz, wzniesionej przez senat krotński na wyraźne żądanie filozofa i podług jego wskazówek, tuż przy siedzibie jego, w zamkniętym ogrodzie. Przekraczać jej progi mogli jedynie wtajemniczeni drugiego stopnia i to zawsze w obecności mistrza. Wewnątrz tej świątyni kształtu kulistego stało dziewięć marmurowych posągów Muz. Po środku ich czuwała Hestia, spowita w zasłonę, uroczysta i tajemnicza. Lewą ręką osłaniała płomień ogniska, prawą wskazywała niebo. U Greków, zarówno jak i u Rzymian, Hestia, czyli Westa, jest strażniczką wszechobecnego żywiołu boskiego. Jako świadomość ognia świętego ma ona ołtarz swój zarówno w świątyni Delfickiej, jak w Prytaneum ateńskim i w każdym najmniejszym ognisku domowym.

W sanktuarium Pytagorasa była ona symbolem Wiedzy boskiej ośrodkowej czyli Teogonii Skupione dokoła niej Muzy nosiły, oprócz tradycyjnych nazw mitologi-

cznych, miano nauk tajemnych i sztuk świętych, nad którymi powierzona im była piecza. **Urania** miała pod swoją opieką astronomię i astrologię; **Polyhymnia** — znajomość dusz w zaświatach oraz sztukę wieszczbiarską; **Melpomena** — naukę życia i śmierci, przeobrażeń i odrodzeń. Trzy te Muzy tworzyły pospołu kosmogonię, czyli fizykę nieba. **Kalliope**, **Klio** i **Euterpe** były opiekunkami nauki o człowieku czyli psychologii oraz odpowiadających jej sztuk: medycyny, magii i moralności. Grupa ostatnia: **Terpsychora**, **Erato** i **Talia** obejmowała fizykę ziemską, naukę żywiołów, kamieni, roślin i zwierząt. W żywym kręgu Muz, którą oświetlał płomień boski, dostrzegał uczeń, na pierwszy rzut oka całokształt nauk, będący odbiciem całokształtu wszechświata.

Po wprowadzeniu uczniów swoich do małego tego sanktuarium otwierał Pytagoras Księgę Słowa i rozpoczął swój wykład ezoteryczny.

„Muzy te — mówił — są tylko ziemskim wizerunkiem boskich potęg, których niematerialne wzniosłe piękno w sobie samych podziwiać będziecie. Jak one wpatrzone są w ogień Hestii, z którego się wyłoniły, który nadał im ruch, rytm i melodię — tak samo i wy pograżać się winniście w centralny ogień wszechświata, w Ducha bożego, aby wcielić się wraz z nim w jego przejawy widome“. Po słowach tych śmiałym, potężnym rzutem porwał Pytagoras uczniów swoich ze świata kształtów i rzeczywistości, zacierał granice czasu i przestrzeni i zagłębiał się wraz z nimi w **wielką Monadę**, w treść Istoty Niestworzonej.

Pierwszą, stworzoną z harmonii, Jednością nazywał Pytagoras Ogień męski, przenikający wszystko, Ducha poruszającego się własną swoją siłą, Niepodzielnego i Nieobjawionego, którego myśl twórczą przejawiają znikome światy, Niezmiennego, ukrytego w wielorakości rzeczy zmiennych i przemijających. „Istota rzeczy samej w sobie wymyka się przed człowiekiem — mówi Pytagorejczyk, Filolaus. Zna on jedynie tworzywa tego świata, w którym znikomość łączy się z nieskończonością. A w jaki sposób może je poznać? Oto dlatego, że pomiędzy nim a tworami tymi istnieje harmonia, związek, zasada wielości, zgodność w różnorodności. Zasada ta nadana została

wszechrzeczy przez Jedność, która wraz z istotą rzeczy daje im miarę i rozumiałość. Tą wspólną zasadą jest miara wspólna podmiotu i przedmiotu, przyczyna i racja bytu wszechrzeczy, sprawiająca, że dusza bierze udział w ostatecznej przyczynie Jedności¹⁾. W jaki wszakże sposób zbliżyć się do Niej, do Istoty nieuchwytniej? Czy widział kto kiedykolwiek władcę czasu, duszę słońc, źródło intelektów? Nie, bowiem jedynie zlewając się z nim, przenika się jego istotę. Jest on jak ogień niewidzialny, umieszczony w ośrodku wszechświata, którego płomień ruchliwy krąży we wszystkich światach i porusza ich obwód. Dodawał, że zadaniem wtajemniczenia jest zbliżenie się do wielkiej Istoty, przez wyniesienie się intelektu ponad poziomność rzeczy ziemskich, przez stanie się równie **czynnym** jak ona, nie zaś **biernym** jak one. „Czyż dusza wasza własna nie jest mikrokosmem, małym wszechświatem? Pełna ona wszakże burz i rozdźwięków. Osiągnąć w niej zatem należy jedność w harmonii. Wówczas, wówczas dopiero zstąpi Bóg w świadomość waszą, wy zaś weźmiecie udział w potędze jego i z woli waszej uczynicie kamień węgielny, ołtarz Hestii, tron Jupitera“.

Liczbą Boga, Treści Niepodzielnej, jest zatem Jedność, zawierająca w sobie Nieskończoność; imieniem jego — Ojciec, Twórca lub Wiekuista Męskość; godłem — Ogień żywy, symbol Ducha, istota Wszystkiego. Oto zasada pierwsza.

¹⁾ Matematyka transcendentna (nadmysłowa) udowadnia algebraicznie, że zero, pomnożone przez Nieskończoność, równa się Jedności. Zero w układzie pojęć bezwzględnych oznacza Istotę nieokreśloną. Nieskończoność, Wiekuistość — oznaczona była w języku świątyni za pomocą koła lub też węża gryzącego własny ogon, co oznaczało Nieskończoność w ruchu. Otóż z chwilą, kiedy Nieskończoność określa się; wytwarza ona wszystkie liczby, jakie zawiera w wielkiej swojej jedności i jakimi rządzi w harmonii doskonałej.

Takim jest znaczenie transcendentne pierwszego zagadnienia teorii pytagorejskiej, przyczyna, sprawiająca, że wielka Monada zawiera w sobie wszystkie małe i że wszystkie liczby wylaniają się z wielkiej jedności w ruchu.

Władze boskie podobne są wszakże do lotosu mistycznego, który wyrasta spośród nocy ciemnej, widzialny dla oczu złożonego w grobie wtajemniczonego egipskiego. Jest to zrazu tylko punkt świetlny, potem rozwiera się on jak róża świetlana o tysiącach płatków olśniewających:

Pytagoras mówił, że wielka Monada działa jako **Dwoistość** twórcza. Z chwilą, gdy Bóg się objawia, staje się on dwoistym: treścią niepodzielną i substancją podzielną: pierwiastkiem męskim czynnym, tchnącym życie i pierwiastkiem żeńskim biernym czyli ożywioną materią plastyczną. Dwoistość wyobrażała więc złączenie pierwiastków: **Wiekuiście Męskiego** i **Wiekuiście Żeńskiego** w istocie Boga, czyli dwie zasadnicze i wzajem uzupełniające się władze boskie. Orfeusz poetycznie wyraził myśl tę w następującym wierszu:

Jupiter jest Małżonkiem i Małżonką boską.

Wszystkie politeizmy intuicyjnie miały świadomość tego pojęcia, bowiem wyobrażały Boskość czasem w postaci męskiej, a czasem w postaci niewieściej.

Zaś ta Natura żywa, wiekuista, ta wielka Małżonka Boga, jest nie tylko naturą ziemską, lecz zarazem naturą niebiańską, niedostrzegalną dla naszych oczu cielesnych, Duszą świata, źródłem Światła, z kolei Mają, Izydą lub Cybelą, które pierwsze drgnęły pod tchnieniem boskim i w których mieszczą się treści dusz wszystkich, typy duchów wszystkich istot. Jest to również Demeter, ziemia żywa i wszystkie ziemie wraz z zawartymi w nich ciałami, w które dusze te mają się wcielić. Jest to Kobieta, towarzyszka Mężczyzny. W ludzkości jest Kobieta wyobrażeniem Natury; doskonałym wszakże obrazem Boga nie jest wyłącznie mężczyzna, lecz Mężczyzna i Kobieta pospół. Stąd ich nieprzeparty, czarodziejski i fatalny pociąg wzajemny; stąd Upojenie Miłosne, w którym tkwi marzenie o twórczości nieskończonej oraz przecucie niejasne, iż pierwiastek wiekuiście Męski i wiekuiście Żeński osiągnęły zespół doskonały w łonie Boga. „Cześć zatem Kobięcie na ziemi i w niebie — mówił Pytagoras, a wraz

z nim wszyscy wtajemniczeni starożytności: — dzięki niej rozumiemy wielką Kobietę-Naturę. Niech więc będzie ona uświęconym jej wizerunkiem i niech pomaga nam do stopniowego wznoszenia się do wielkiej Duszy Świata, która rodzi, zachowuje i odnawia, do boskiej Cybeli, ciągnącej za sobą świat dusz w zwojach płaszcza swojego świetlistego“.

Monada — jedność wyobraża istotę Boga; Dwoistość — Diada — jej zdolność twórczą i płodzącą. Rodzi ona świat, ten rozkwit widomy Boga w przestrzeni i czasie. Otóż świat rzeczywisty jest potrójny. Zarówno bowiem jak człowiek składa się ze ścisłego zespołu trzech różnych pierwiastków: ciała, duszy i umysłu, tak samo dzieli się wszechświat na trzy sfery współśrodkowe: świat natury, świat ludzki i świat boski. Zatem **Triada** czyli **prawo troistości** jest prawem ustrojowym wszechrzeczy i prawdziwym kluczem życia. Bowiem odnaleźć ją możemy na wszystkich szczeblach rozwojowej drabiny życia, począwszy od ustroju komórki organicznej, poprzez ustrój fizjologiczny ciała zwierzęcego, działanie systemu krwionośnego i systemu mózgo-rdzeniowego, aż do nadzmysłowego ustroju człowieka, do ustroju wszechświata i Boga. Otwiera więc ona przed zdumionym umysłem, niby kluczem czarodziejskim, wewnętrzną budowę wszechświata. Wykazuje nieskończoną łączność między makrokosmem — wszechświatem i mikrokosmem — człowiekiem. Działa jak światło, które przeniknęłoby w rzeczy, aby uczynić je przejrzystymi i dzięki którym małe i wielkie światy świeciłyby niby latarnie czarnoksiężskie. Wyjaśnimy prawo to na podstawie łączności człowieka z wszechświatem.

Pytagoras uznawał, że duch człowieka, czyli intelekt, czerpie z Boga swoją naturę nieśmiertelną, niewidzialną, bezwzględnie czynną. Duch bowiem jest tym, co porusza się samo przez się. Nazywał on ciałem część człowieka śmiertelną, podzielną i bierną. Sądził on, że to, co nazywamy **duszą**, jest ściśle zespolone z duchem, tworzy je wszakże żywioł trzeci, pośredniczący, powstający z **fluidu kosmicznego**. Dusza jest więc podobna do ciała lotnego, które tka i tworzy duch dla samego siebie. Bez tego ciała

lotnego nie mogłoby ciało materialne być czynnym, byłoby więc jedynie nieruchomą, martwą bryłą¹⁾).

Kształt duszy podobny jest do kształtu ciała, w które technie ona życie i które przeżywa po jego rozłożeniu się, czyli śmierci. Staje się ona wówczas, podług wyrażenia Pytagorasa, powtórzonego przez Platona, **wozem lotnym**, unoszącym ducha ku sferom boskim lub też strącającym go w ciemne głębiny materii, zależnie od tego, czy jest ona mniej lub więcej złą czy dobrą. Otóż ustrój i rozwój człowieka powtarzają się, zataczając coraz szersze kręgi, na wszystkich szczeblach istnień i we wszystkich sferach. Podobnie jak ludzka psyche walczy z duchem, który ją przyciąga i ciałem, które ją zatrzymuje, tak samo ludzkość waha się pomiędzy światem naturalnym a zwierzęcym, w którym tkwi swoimi ziemskimi korzeniami, a boskim światem czystych duchów, w którym mieści się jej źródło niebiańskie i do którego pragnie ona wznieść się. Zaś to, co się dzieje z ludzkością, dzieje się też na wszystkich ziemiach i we wszystkich systemach słonecznych, w rozmiarach wciąż odmiennych, w nowych wciąż przejawach. Rozciągnijcie krąg w nieskończoność — i, jeśli możecie, — ogarnijcie jednym pojęciem światy bezgraniczne. Co tam znajdziecie? Myśl twórczą, fluid astralny i światy w stadium rozwoju: ducha, duszę i ciało bóstwa. Uchylając zasłonę za zasłoną i badając władze samego tego bóstwa, dostrzeżecie w nich Trójkę i Diadę, spowijające się w ciemne głębiny Monady, jak wykwit gwiazd — w otchłanie nieskończoności.

Po tym pobieżnym wyjaśnieniu zrozumiałą będzie doniosłość zasadnicza, jaką przywiązywał Pytagoras do prawa troistości. Rzecz można, iż stanowi ona kamień węgielny nauki ezoterycznej. Wszyscy wielcy twórcy religii byli jej świadomi, przeculi ją wszyscy teozofowie. Wyróżnia Zoroastra głosi:

Liczba trzy rządzi wszędzie we wszechświecie.

Zaś jej podstawą jest Jedność — Monada.

¹⁾ Identyczną doktrynę rozwija wtajemniczony Ś-ty Paweł, który mówi o ciele duchowym.

Nie zrównaną zasługą Pytagorasa jest, że sformułował on myśl tę z jasnością właściwą umysłowi greckiemu. Uczynił z niej ośrodek swojej teogonii i podwalinę nauk. Pojęcie to, przysłonięte już w pismach ezoterycznych Platona, zupełnie niezrozumiane przez późniejszych filozofów, udało się przeniknąć w czasach obecnych poszczególnym jedynie wtajemniczonym w nauki okultystyczne¹⁾ Już teraz więc widzimy, jaką szeroką i mocną podstawę dawało powszechne prawo troistości klasyfikacji nauk oraz budowie kosmogonii i psychologii.

Podobnie jak troistość powszechna ześrodkowuje się w jedności Boga czyli w Monadzie, tak samo troistość człowieka ześrodkowuje się w świadomości jego własnej jaźni i w woli, skupiającej wszystkie władze ciała, duszy i umysłu w żywej swojej jedności. Troistość ludzka i boska, streszczona w Monadzie, stanowi **świętą Poczwórność**. Człowiek zdaje sobie wszakże sprawę ze swojej jedności w sposób jedynie względny. Bowiem wola jego, oddziaływująca na całą jego istotę, nie może jednakże działać równocześnie w całej pełni w trzech jej organach, to znaczy: w instynkcie, w duszy i w intelekcie. Wszeczeńświat, Boga samego nawet, dostrzega kolejno jedynie jako odbite jeden po drugim w trzech tych zwierciadłach.

1. Bóg, widziany poprzez zwierciadło instynktu i poprzez kalejdoskop zmysłów, jest wieloraki i nieskończony, jak wielorakie i nieskończone są Jego przejawy. Stąd politeizm, w którym liczba bogów jest nieograniczona.

2. Oglądany poprzez duszę rozumną, Bóg jest podwójny, to znaczy jest duchem i materią. Stąd dualizm Zoroastra, Manichejczyków i kilku innych religii.

3. Dostrzegany poprzez intelekt czysty, jest on potrójny, to znaczy jest duchem, duszą i ciałem we wszystkich przejawach świata. Stąd troiste kultury indyjskie

¹⁾ W pierwszym rzędzie pomieścić należy Fabra d'Olivet (**Złote wiersze Pytagora**). To żywe ujęcie potęg wszechświata, przebieżonego z góry w dół nie ma nie wspólnego z jałowym dowodzeniem spekulatywnym czystych metafizyków, jak teza, antyteza i synteza Hegla, będąca zwyczajną łamięglówką myślową.

(Brahma, Wisznu, Sziwa) i sama nawet Trójca chrystianizmu (Ojciec, Syn i Duch Święty).

4. Pojęty jako wola, streszczająca całokształt, Bóg jest jedyny, mamy więc monoteizm hermetyczny Mojżesza w całej jego surowości. Nie ma tu już personifikacji, nie ma wcielenia; opuszczamy wszechświat widomy i wchodzimy do Absolutu. Wiekuisty rządzi światem, który stał się garścią prochu jedynie.

Wielorakość religii jest więc wynikiem tego, że człowiek może wytworzyć sobie pojęcie bóstwa jedynie poprzez własną istotę, która jest względna i skończoną, zaś Bóg jest w każdym momencie stwierdzeniem jedności trzech światów w harmonii wszechświata.

Już ten ostatni tylko punkt wykazałby sam przez się czarodziejskie w pewnej mierze znaczenie **tetragramu**²⁾ w rozwoju pojęć. Nie tylko znajdowano w nim podstawę nauk, prawo bytów i drogę ich rozwoju, lecz nadto przyczynę religii odmiennych i wyższą ich jedność. Był to więc istotnie klucz powszechny. Tym się tłumaczy entuzjazm, z jakim mówi o nim Lizys w Wierszach złotych łatwo też zrozumieć, dlaczego Pytagorejczycy przysięgali na wielki ten symbol:

Przysięgam temu, co wyrzył w mym sercu
Tetrade świętą, wielki, czysty symbol,
Źródło Natury i prawzór dla Bogów.

Pytagoras posuwał znacznie dalej swoją naukę liczb. W każdej z nich ustalał zasadę, prawo, potęgę czynną wszechświata. Mówił jednak, że zasady główne zawarte są w czterech pierwszych liczbach, ponieważ, dodając je i mnożąc, otrzymuje się wszystkie inne. Tak samo też nieskończoną różnorodność bytów, składających wszechświat, stworzyły połączenia trzech potęg pierwotnych: materii, duszy i ducha, pod impulsem twórczym boskiej jedności, która łączy je i rozdziela, skupia je i ożywia. Pytagoras, narówni z najwybitniejszymi mistrzami wiedzy ezoterycznej, przywiązywał wielką wagę do **siódemki**

¹⁾ Tetragram — wyraz złożony z czterech liter. (Przyp. tłum.).

i do dziesiątki. Liczba siedem, będąca połączeniem trójki i czwórki, oznacza związek człowieka z Bogiem. Jest to liczba adeptów, wielkich wtajemniczonych, a ponieważ wyobraża urzeczywistnianie wszystkiego poprzez siedem stopni, jest więc wyobrażeniem prawa rozwoju. Liczba dziesięć, utworzona przez dodanie wzajem do siebie czterech pierwszych i zawierająca w sobie siódemkę, jest właściwą liczbą doskonałą, ponieważ wyobraża wszystkie pierwiastki bóstwa czynne i złączone w nową jedność.

Kończąc wykład swojej teogonii, wskazywał Pytagoras uczniom swoim dziewięć Muz, będących uosobieniem nauk ugrupowanych trójkami, będących prawzorem troistości, która zrodziła dziewięć światów i tworzących wraz z Hestią Naukę boską, strażniczkę Ognia pierwotnego — **Świątą Dekadę**.

TRZECI STOPIEŃ DOSKONAŁOŚCI ¹⁾ KOSMOGONIA I PSYCHOLOGIA—EWOLUCJA DUSZY

Mistrz wyjawiał uczniowi podstawy nauki. Już to pierwsze wtajemniczenie sprawiło, że opadły grube łuski materii, przysłaniające oczy jego ducha. Rozdzierając świetną zasłonę mitologii, wyrwało go wtajemniczenie to ze świata widomego, aby rzucić go gwałtownie w przestwory bezgraniczne i pogrążyć w słońcu Intelaktu, z którego Prawda promieniuje na trzy światy. Nauka liczb była wszakże wstępem tylko do wielkiego wtajemniczenia. Uczeń, uzbrojony w znajomość tych zasad, zstąpić miał teraz pod przewodem mistrza z wyżyn Absolutu w głąbie natury, aby uchwycić tam myśl boską w tworzeniu się wszechrzeczy oraz w ewolucji duszy poprzez światy. Kosmogonia i psychologia ezoteryczna dotyczyły już wielkich tajników życia, tajemnic niebezpiecznych i zazdrośnie strzeżonych przez nauki i sztuki okultystyczne. Dlatego też Pytagoras lubił miewać wykłady te z dala od profanującego je światła dziennego, nocą, na brzegu morza, na stopniach świątyni Cerery, przy cichym plusku fali jońskiej, o rytmice tak harmonijnej, przy da-

¹⁾ Po grecku, *Teleietes*.

lekich fosforescencjach gwiazdzistego Kosmosu, albo też w podziemiach sanktuarium, w których naftowe lampy egipskie rozsiewały łagodne, równe światło. Kobiety wtajemniczone brały udział w tych nocnych zgromadzeniach. Czasem też przybyli z Delf kapłani i kapłanki ilustrowali nauki mistrza opowiadaniem własnych swoich przeżyć, lub też mową proroczą snu jasnowidzącego.

Rozwój materialny i rozwój duchowy świata są to dwa kierunki odwrotne, lecz równoległe i zgodne na wszystkich szczeblach bytu. Jeden może być wytłumaczony jedynie przez drugi, zaś rozważane pospołu są one wyjaśnieniem świata.

Rozwój materialny wyobraża przejawienie się Boga w materii przez duszę świata, która go urabia; rozwój duchowy — wyrabianie się świadomości w monadach osobniczych oraz usiłowanie ich połączenia się poprzez cykl żywotów, z duchem boskim, z którego się wyłoniły. Rozpatrywać świat ze stanowiska fizycznego lub ze stanowiska duchowego nie znaczy to bynajmniej rozważać dwie rzeczy różne, lecz rozpatrywać świat z dwu przeciwnych jego krańców. Ze stanowiska ziemskiego rozpocząć należy racjonalne wytłumaczenie świata od rozwoju materii, ponieważ ukazuje się on nam z tej właśnie strony, odsłaniając nam pracę ducha wszechświata w materii i każąc nam śledzić rozwój monad osobniczych, kieruje nas wytłumaczenie takie — niepostrzeżenie pod względem duchowym — od strony zewnętrznej świata ku jego siedlisku.

Tak przynajmniej postępował Pytagoras, uważający wszechświat za żywą istotę, którą ożywia wielka dusza i którą przenika wielki intelekt.

Drugą część jego wykładu rozpoczynała też kosmogonia. O ile opieralibyśmy się na podziałach nieba, jakie odnajdujemy w egzoterycznych fragmentach Pytagorasa, astronomia ta byłaby podobna do astronomii Ptolomeusza, uznającej nieruchomość ziemi, dokoła której obraca się słońce wraz z planetami i całym niebem. Sama zasada tej astronomii wskazuje nam, że jest ona symboliczną jedynie. W ośrodku wszechświata swojego umieszcza Pytagoras Ogień (którego odbiciem jedynie jest słońce). Oóż, w całym ezoteryzmie Wschodu Ogień jest symbo-

licznym godłem Ducha Świadomości boskiej powszechnej. To, co nasi filozofowie biorą ogólnie za poglądy fizyczne Pytagorasa i Platona, nie jest niczym innym, jak obrazowym przedstawieniem ich filozofii tajemnej, zupełnie jasnym dla wtajemniczonych, tym bardziej wszakże nieprzeniknionym dla umysłów pospolitych, że uważano je za zwykłą fizykę. Dopatrujemy się w niej jedynie kosmografii duszy i niczego innego. Sfera podksiężycowa oznacza sferę, w której dokonywa się przyciąganie ziemskie; nazwana ona jest **kręgiem narodzin**. Wtajemniczeni rozumieli przez to, że ziemia jest dla nas sferą życia cielesnego. Tutaj dokonywają się wszelkie zabiegi, mające związek z wcielaniem się dusz i opuszczaniem przez nie ciała. Sfera sześciu planet i słońca odpowiada kategoriom wznoszenia się duchów wzwyż. Olimp, pojęty jako sfera ruchoma, zwany jest **niebem ustalonych**, bowiem utożsamiony jest z siedliskiem dusz doskonałych. Ta astronomia dziecięca jest zatem przykrywką duchowego ujmowania Wszechświata.

Wszystko wszakże wskazuje nam, że wtajemniczeni staorożytni, a zwłaszcza Pytagoras, mieli słuszniejsze daleko pojęcie o wszechświecie fizycznym. Arystoteles utrzymuje stanowczo, że Pytagorejczycy wierzyli w krążenie ziemi dokoła słońca. Kopernik stwierdza, że myśl o obracaniu się ziemi dokoła jej osi powstała w nim przy czytaniu u Cyncerona, iż niejaki Hycetas z Syrakuz mówił o obrocie dziennym ziemi. Uczniom swoim trzeciego stopnia wyjaśniał Pytagoras podwójny ruch ziemi. Jakkolwiek nie posiadał on ścisłych danych wiedzy nowocześniejszej, wiedział — tak samo jak kapłani z Memfis — że planety wyłonione ze słońca krążą dokoła niego, że gwiazdy są takimi samymi i rządzone przez te same prawa systemami słonecznymi, jak nasz i że każdy z nich ma miejsce swoje w bezmiarze wszechświata. Wiedział on również, że każdy świat słoneczny tworzy mały wszechświat, mający odpowiednik swój w świecie duchowym oraz własne swoje niebo. Planety służyły na oznaczenie jego drabiny. Dane te wszakże, które mogłyby wywołać przewrót w mitologii ludowej i które tłum uważałby za świętokradztwo, nie były nigdy powierzone pi-

smu pospolitemu. Wyjawiono je jedynie pod pieczęcią najgłębszej tajemnicy¹⁾).

Świat widomy — mówił Pytagoras — nieba ze wszystkimi jego gwiazdami, jest jedynie przejściową postacią duszy świata, wielkiej Maii, skupiającej materię rozszarpaną w nieskończonych obszarach, potem rozpraszającą ją i rozlewającą w postaci nieważkiego fluidu kosmicznego. Każdy wir słoneczny posiada cząstkę tej duszy powszechnej, działającą w łonie jego przez miliony wieków, ze specjalną siłą rozpędu i rytmem sobie właściwym.

Co się tyczy potęg, państw, gatunków i dusz żywych, które będą przejawiały się kolejno w ciałach niebieskich małego tego świata, pochodzą one od Boga, zstępują z Ojca; to znaczy, że wyłaniają się z układu duchowego niewzruszonego i wyższego oraz z uprzedniej ewolucji materii, czyli z wygasłego systemu słonecznego. Jedne z tych potęg niewidzialnych, bezwzględnie nieśmiertelne, kierują tworzeniem się tego świata, inne oczekują jego narodzin w śnie kosmicznym lub w marzeniu boskim, aby wcielić się w tworzywa widome, zależnie od swojego stanowiska i zgodnie z prawem powszechnym.

Dusza słoneczna wszakże i jej ogień ośrodkowy, bezpośrednio wprawiany w ruch przez wielką Monadę, oddziaływała na stopioną materię. Planety są córkami słońca.

¹⁾ Dziwne niektóre określenia w postaci metafory, jakie zostały nam przekazane i jakie mają źródło w nauczaniu tajemnym mistrza, pozwalają odgadywać, w ich znaczeniu okultystycznym, wspaniałe ujmowanie Kosmosu przez Pytagorasa. Mówiąc o konstelacjach, nazywał on Wielką i Małą Niedźwiedzicę — rękami **Rei-Cybeli**. Otóż Rea-Cybelia oznacza ezoterycznie światło astralne ruchome, boską małżonkę ognia wszechświata czyli Ducha twórczego, który ześrodkowując się w systemach słonecznych, przyciąga niematerialne treści bytów, **chwytą je** i wciąga w wir żywotów. Nazywał on też planety **psami Prozerpiny**. Dzwonne to wyrażenie może być rozumiane jedynie w sensie ezoterycznym. Prozerpina, bogini dusz, kierowała ich wcielaniem się w materię. Pytagoras nazwał więc planety psami Prozerpiny, ponieważ strzegą one dusz zmarłych, powstrzymując je podobnie jak Cerber mitologiczny pilnuje dusz w piekle.

Każda z nich, wytworzona przez siły przyciągania i krążenia, nieodłączna od materii, posiada duszę na w pół świadomą, wyłonioną z duszy słonecznej, ma też wyraźny swój charakter, swoją rolę szczególną w rozwoju. Mędrcy starożytni, opierając się na tym, że każda planeta stanowi odmienny wyraz myśli bożej oraz że wykonywa czynność specjalną w łańcuchu planetarnym, utożsamili nazwy planet z nazwami wielkich bogów, uosabiających władze boskie, czynne we wszechświecie.

Cztery żywioły, z których uformowane są ciała niebieskie oraz wszystkie istoty, oznaczają cztery stopniowe stany materii. Pierwszy, najbardziej stężony i najgrubszy, jest najodporniejszy na wpływy ducha; ostatni, najsubtelniejszy, okazuje wielką z nim pokrewność. **Ziemia** wyobraża stan stały; **woda** — stan ciekły; **powietrze** — stan lotny; **ogień** — stan nieważki. — Piąty żywioł — **eteryczny** — wyobraża stan materii tak subtelny i ruchliwy, że przestaje być atomowym i posiada dar przenikania wszechrzeczy. Jest to fluid kosmiczny pierwotny, światło astralne, dusza świata.

Następnie mówił Pytagoras uczniom swoim o przewrotach, jakim podlegała ziemia podług tradycji egipskich i azjatyckich. Wiedział on, że ziemia w stanie ciekłym, stopionym, była pierwotnie otoczona atmosferą lotną, która, skraplana wskutek stopniowego ochładzania się, utworzyła morza. Zwyczajem swoim streszczał on ideę tę pod przenośnią, mówiąc, że **Izy Saturna** (czas kosmiczny) wytworzyły morza.

Lecz oto zjawiają się poszczególne królestwa natury. Zarodki niewidzialne, krążące w eterycznej aurze ziemi, wirują w swojej szacie lotnej, potem przyciągane są przez głębokie łono mórz i pierwsze wyłonione lądy. Świat zwierzęcy i świat roślinny, pomieszane jeszcze, zjawiają się niemal równocześnie. Doktryna ezoteryczna uznaje przeistaczanie się gatunków zwierzęcych nie tylko na mocy wtórnego prawa **doboru**, lecz również na mocy podstawowego prawa **przenikania** ziemi przez potęgi niebieskie, zaś wszystkich istot żywych przez pierwiastki duchowe i siły niewidzialne. Ilekroć ukaże się nowy gatunek na globie ziemskim, znaczy to, że nowa rasa dusz wyższego typu wcieliła się w danej epoce w potomków gatunku

dawnego, aby wznieść się o stopień wyżej, przekształcając go i przeistaczając na swoją modłę. W ten sposób tłumaczy doktryną ezoteryczną zjawienie się na ziemi człowieka. Ze stanowiska ewolucji ziemi jest człowiek najwyższym szczeblem i uwieńczeniem gatunków poprzedzających. Wyjaśnienie sprawy z tego stanowiska tak samo wszakże nie jest wystarczające do wytłumaczenia faktu wystąpienia człowieka na arenę dziejową, jak nie wystarczyłoby do wytłumaczenia zjawienia się pierwszego skorupiaka w łonie mórz. Wszystkie te kolejno pojawiające się twory, również jak każde narodziny, każą przypuszczać fakt przenikania ziemi przez potęgę niewidzialną, twórczynię życia. Narodziny człowieka każą przypuszczać istnienie uprzednie ludzkości niebiańskiej, kierującej wykluciem się ludzkości ziemskiej. Przesyła jej ona, niby fale potężnego przypływu, nowe potoki dusz, które wcielają się w jej ciała i rozpalają pierwsze promienie boskiego światła w tej istocie nieodpowiedzialnej, idącej jedynie za popędem instynktu, nie znającej uczucia lęku, zmuszonej wszakże, wnet po wyzwoleniu się z mroków zwierzęcości, do walki o byt ze wszystkimi siłami natury.

Pytagoras, który czerpał wiedzę w świątyniach egipskich, miał pojęcie dokładne o wielkich przewrotach, jakim podlegała kula ziemiska. Doktryny: indyjska i egipska wiedziały o stnieniu dawnego lądu południowego, kolebki rasy czerwonej oraz potężnej cywilizacji, zwanej przez Greków Atlantą. Przypisywały one wyłanianie się i zatapanie kolejne lądów kołysaniu się biegunów i przypuszczały, że ludzkość przeszła w ten sposób przez sześć potopów. Każdy okres międzypotopowy sprowadza przewagę jednej z wielkich ras ludzkich. Pośród częściowych zanikań cywilizacji i władz ludzkich trwa jednak ruch wstępujący.

Oto już ludzkość ustanowiona i rasy rzucone na drogę ich żywota poprzez kataklizmy ziemskie. Na tym globie wszakże, który w nieświadomości naszej dziecięcej uważamy za nieruchomą podstawę świata, a który sam buja w przestworach; na tych lądach, wyłaniających się z mórz, aby zapaść się ponownie; pośród tych ludów, które przemijają i tych cywilizacji, które w gruzy się wa-

lą - - jakaż dręczy wielka, wiekuista, bolesna tajemnica? Jest nią wielka zagadka wewnętrzna, zagadka dręcząca każdego i wszystkich, zagadka duszy, odnajdującej w sobie samej otchłanie mroków i światła, spoglądającej na siebie na poły z zachwytem i na poły z przerażeniem i mówiącej sobie: „Nie jestem z tego świata, ponieważ nie wystarcza on do wytłumaczenia mojego istnienia? Nie idę z ziemi i dążę w inne strony. Lecz dokąd? To zagadka Psychy, mieszcząca w sobie wszystkie inne.

Kosmogonia świata widzialnego — nauczał Pytagoras — doprowadziła nas do historii ziemi, ta zaś — do tajemnicy duszy ludzkiej. Wraz z nią dotykamy świątyni świątyń, tajemnicy tajemnic. Z chwilą, gdy świadomość ta została rozbudzona, staje się dusza najbardziej zdumiewającym dla siebie samej widowiskiem. Sama ta wszakże świadomość jest jedynie oświetloną stroną zewnętrzną jej istoty, w której wnętrzu podejrzewa ona otchłanie ciemne i niezmierzone. W nieznanej tej głębi swojej ogarnia boska Psyche zachwyconym wzrokiem wszystkie istnienia i wszystkie światy: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, złączone w wieczności. „Poznaj samego siebie, a poznasz wszechświat Bogów“. Oto tajemnica wtajemniczonych mędrców. Ażeby wszakże przeniknąć przez tę wąską szczelinę do bezmiaru niewidzialnego wszechświata, zbudźmy w sobie bezpośredni dar widzenia, właściwy duszy oczyszczonej, uzbrójmy się w pochodnię Rozumu, nauki zasad i Liezb świętych.

W ten sposób przechodził Pytagoras od kosmogonii fizycznej do kosmogonii duchowej. Po zaznajomieniu słuchaczy z historią rozwoju ziemi mówić zaczynał o ewolucji duszy poprzez światy. Doktryna ta znana jest, poza wtajemniczeniem, pod nazwą **wędrówki dusz**. O żadnej części doktryny tajemnej nie wypowiedano tylu niedorzeczności, ile o niej właśnie i to tak dalece, że literatura starożytna i nowoczesna znają ją tylko z dziecinnie naiwnych trawestacji. Płaton nawet, który najwięcej ze wszystkich filozofów przyczynił się do spopularyzowania jej, dał nam fantastyczne, nieraz dziwaczne rzuty oka na nią, czyniąc to bądź przez ostrożność, bądź też nie mogąc, z powodu złożonej przysięgi, powiedzieć wszystkiego, co wiedział.

Nie wielu ludzi domyśla się dzisiaj, że dla wtajemniczonych mogła mieć ona znaczenie naukowe, otwierać nieskończone perspektywy i koić duszę boską pociechą. Doktryna pnącego się wzwyż, „wstępującego“ życia dusz poprzez szeregi bytów jest rysem wspólnym tradycji ezoterycznych i uwieńczeniem teozofii. Dodam, że ma ona dla nas znaczenie zasadnicze. Bowiem człowiek współczesny z jednakową wzdargą odrzuca abstrakcyjną, mglistą nieśmiertelność filozofii, jak i dziecinne pojęcie o niebie, tworzone przez religie pierwotne. Zarazem wszakże przeraża go i odstręcza suchość i nicość materializmu. Dąży on nieświadomie do idei nieśmiertelności organicznej, która odpowiadałaby zarazem wymogom rozumu jego i niezwalczonym potrzebom jego duszy. Zrozumiałe jest zresztą, dlaczego wtajemniczeni starożytnych religii, świadomi tych prawd, trzymali je wszelako w tajemnicy. Są one tak wzniosłe, że przyprawiają umysły nieoświecone o zawrót głowy. Wiążą się ściśle z głębokimi tajnikami ojcostwa duchowego, stosunku płci i płodzenia cielesnego, od których zależą losy przyszłej ludzkości.

Słuchacze oczekiwali z natężoną uwagą głównego momentu wtajemniczenia ezoterycznego. Pod wpływem słów Pytagorasa, jak gdyby pod działającym powoli czarem, wyzbywała się gruba, ciężka materia wagi swojej, rzeczy ziemskie zdawały się przejrzystymi, rzeczy niebiańskie — widzialnymi dla ducha. Sfery złote i lazurowe, prute przez istoty świetliste, zataczały swoje kręgi do nieskończoności.

Wówczas uczniowie, mężczyźni i kobiety, skupieni dookoła mistrza w podziemnej części świątyni Cerery, zwanej kryptą Prozerpiny, słuchali z tamującym dech wzruszeniem **niebiańskich dziejów Psyche**.

Czym jest dusza ludzka? Częsteczką wielkiej duszy świata iskierką ducha bożego, monadą nieśmiertelną. O ile wszakże możliwa przyszłość jej otwiera się w niezgłębionych jasnościach świadomości boskiej, tajemnicze jej narodziny sięgają początków materii organicznej. Aby stać się tym, czym jest w ludzkości obecnej, musiała przejść ona przez wszystkie królestwa natury, przez wszystkie szczeble drabiny bytów i rozwijać się stopniowo poprzez szereg niezliczonych istnień. Duch, przenika-

jący światły i stężający materię kosmiczną w masę olbrzymie, objawia się w różnym natężeniu i wzrastającym wciąż skupieniu w kolejnych królestwach natury. Jako siła ślepa i niewyraźna w minerałach, zindywidualizowana — w roślinie, spopularyzowana — we wrażliwości i instynkcie zwierzęcym, aby stanąć wreszcie na ostatnim szczeblu powolnego tego urabiania się. Tym najwyższym szczeblem jest świadoma monada, widoczna w stanie zaczątkowym w najniższym już typie zwierzęcym.

Pierwiastek animiczny i duchowy istnieje więc we wszystkich królestwach, jakkolwiek w stanie nieskończonej małej drobinki w królestwach niższych. Dusze, istniejące w stanie zaczątkowym w królestwach niższych, przebywają w nich bez przerwy w ciągu niesłychanie długich okresów i dopiero po wielkich przewrotach kosmicznych przechodzą do królestwa wyższego, na inną zarazem planetę. W ciągu okresu życia planety mogą co najwyżej wznieść się o kilka gatunków. Gdzie zaczyna się monada? Na pytanie to tak samo trudno byłoby odpowiedzieć, jak na to, kiedy utworzyła się pierwsza mgławica, lub kiedy słońce zajaśniało po raz pierwszy. Bądź co bądź wszakże, przechodzić musiało to, co stanowi istotę każdej jednostki ludzkiej, w ciągu milionów lat przez łańcuch planet i przez królestwa niższe, zachowując przy tym poprzez wszystkie te byty pierwiastek indywidualny, który szedł za nim wszędzie. Ta cecha osobnicza, ciemna jeszcze, lecz niezniszczalna, stanowi pieczęć boską monady, w której Bóg przejawiać się chce w postaci świadomości.

W miarę wcielania się w coraz wyższe organizmy coraz bardziej rozwija monada uśpione w niej pierwiastki. Siła spopularyzowana staje się wrażliwością; wrażliwość — instynktem, instynkt — inteligencją. W miarę też rozżarzania się migotliwej pochodni świadomości w płomień coraz jaśniejszy, dusza ta coraz bardziej uniezależnia się od ciała, coraz bardziej staje się zdolną do wolnego bytowania. Dusza ciekła i niespolaryzowana minerałów i roślin związana jest z pierwiastkami ziemi. Dusza zwierząt, przyciągana silnie przez ogień wnętrza ziemi, przebywa w nim przez czas pewien po opuszczeniu

swojego trupa, po czym wraca na powierzchnię globu, aby wcielić się ponownie w ten sam gatunek.

Nie może ona wydostać się z niższych warstw powietrza, zaludnionych przez żywiołaki, czyli dusze zwierzęce, odgrywające pewną rolę w życiu atmosferycznym i wywierające wielki wpływ tajemny na człowieka. Jedyne dusza ludzka zstępuje z nieba, do którego wraca po śmierci. W jakim wszakże okresie długiego swojego bytowania kosmicznego stała się dusza zaczątkowa duszą ludzką? Przez jaki rozpalony do białości tygiel, przez jaki płomień lotny przeszła ona, zanim osiągnęła ten stopień? Dokonanie przeistoczenia tego umożliwiające być mogło, w okresie międzyplanetarnym, jedynie przez zetknięcie się dusz ludzkich zupełnie już ukształtowanych, które rozwinęły w duszy zaczątkowej jej pierwiastek duchowy i odcisnęły boski swój pierwowzór, niby pieczęć ognistą, na plastycznej jej substancji.

Ileż jednak wędrówek, ile wcieleń, ile okresów planetarnych pozostało jeszcze do przebycia, ażeby dusza ludzka, w ten sposób ukształtowana, stała się człowiekiem, jakiego znamy obecnie!

Podług tradycji ezoterycznych indyjskich i egipskich osobniki, z których składa się ludzkość, rozpocząć miały istnienie na innych planetach, gdzie materia jest znacznie mniej zwarta niż na naszej. Ciało ludzkie było wówczas niemal lotne, jego wcielenia — lekkie i łatwe. Jego władze bezpośredniego postrzegania duchowego miały być nader potężne i subtelne w tej pierwszej fazie ludzkości: natomiast rozum i intelekt w stanie zarodkowym. W tym stanie napoły cielesnym i napoły duchowym oglądał człowiek duchy, wszystko było dla oczu jego świetnością i cza-rem, muzyką dla jego uszu, dla których dostępną była nawet harmonia sfer. Nie myślał, nie rozważał, niemal nie miał żadnych pragnień. Żył, pojąc się dźwiękami, kształtami i światłem i przelatując, jak marzenie, od życia do śmierci i od śmierci do życia. Orfiki nazywały stan ten **niebem Saturna**. Dopiero, wcielając się na planetach coraz bardziej zgęszczonych, zmateriałizował się człowiek w myśl doktryny Hermesa. Wcieliwszy się w materię jeszcze bardziej zwartą, zatracala ludzkość swój zmysł duchowy; wskutek wszakże coraz bardziej zaciętej walki,

jaką prowadzić była zmuszona ze światem zewnętrznym. rozwinęła potężnie swój rozum, swoją inteligencję, swoją wolę. Ziemia jest ostatnim szczeblem tego zstępowania w materię, którą Mojżesz nazywa wygnaniem z raju, a Orfeusz — upadkiem w krąg podksiężycowy. Stąd człowiek z wielkim wysiłkiem, przechodząc przez szeregi nowych bytów, wznosić się może w coraz wyższe kręgi i odzyskać swoje zmysły duchowe ćwiczeniem intelektu i woli. Wówczas dopiero — mówią wyznawcy doktryny Hermesa i Orfeusza zdobywa człowiek **działalnością** swoją posiadanie boskości, wówczas dopiero staje się **synem Bożym**. A ci, którzy nosili imię to na ziemi, musieli, zanim zjawili się pośród nas, zstąpić i wzniesić się po przerażającej tej linii węzowej.

Czymże więc jest skromna psyche w zaczątkach swoich? Technieniem przelotnym, wirującym w powietrzu nasionkiem, ptakiem miotanym przez wichry i przelatującym z życia do życia. Mimo to jednak, spadając nieustannie, z upadku w upadek — poprzez miliony lat, stała się ona córą Boga i nie uznaje innej już ojczyzny poza niebem! Dlatego też poczują grecka, którą cechuje tak głęboka i tak jasna symbolika, porównała duszę do owadu uskrzydłonego, czasem do robaka ziemskiego, a czasem do motyla lazurów. Ile razy była ona poczwarką, a ile razy motylem? Sama nie dowie się o tym nigdy, czuje jednak, że ma skrzydła!

Taką jest zawrotna przeszłość duszy ludzkiej. Wyjaśnienia nam ona jej stan obecny i pozwala na uchylenie rąbka zasłony, kryjącej jej przyszłość.

Jakim jest stanowisko boskiej psyche w życiu ziemskim? Zastanowiwszy się nad tą sprawą bliżej, dojść musimy do wniosku, że dziwniejszego i bardziej tragicznego niepodobna sobie wyobrazić. Od czasu bolesnego jej zbudzenia się w zgęszczonej atmosferze ziemi, wpleciona jest dusza w zwoje ciała. Żyje ona, oddycha i myśli za jego pośrednictwem jedynie, a jednakże nie jest ona nią. W miarę swojego rozwoju czuje się w sobie światło jakieś, zrazu niepewne i migotliwe, coś niewidzialnego, co nazywa **swoim** duchem, **swoją** świadomością.

Tak, człowiek ma wrodzone snadź poczucie troistości własnej natury, bowiem odróżnia w mowie swojej, nawet

nieuświadomionej, duszę od ciała i duszę od ducha. Lecz dusza niewolna i dręczona szamoce się pomiędzy dwoma towarzyszami swoimi, niby pomiędzy uściskiem węża o tysiącu skrętach a geniuszem niewidzialnym, który ją wzywa, lecz którego obecność odczuć się daje jedynie jako ciche łopotanie jego skrzydeł i jako przemijające przebliski. Czasem ciało to pochłania ją tak dalece, iż żyje ona jedynie jego wrażeniami i jego namiętnościami, stacza się wraz z nim w krwawe orgie uniesienia lub w gęste opary rozkoszy cielesnych, dopóki nie przerazi jej głębokie milczenie niewidzialnego towarzysza. To znów, porwana przez niego, ulatuje na takie wyżyny myśli, że zapomina o istnieniu ciała, aż nie przypomni jej ono o sobie tyranią swojego wezwania. A jednak głos jakiś wewnętrzny mówi jej, że między nią a jej towarzyszem niewidzialnym istnieje łącznik nierozzerwalny wówczas nawet, kiedy węzeł, łączący ją z ciałem, rozerwie śmierć. Miotana walką wiekiustą pomiędzy ciałem a duchem, daremnie szuka dusza szczęścia i prawdy. Daremnie szuka samej siebie na dnie przemijających wrażeń, w pierzchających przed nią myślach, w zmiennym jak miraż świecie. Nie znajdując nic stałego, nękana, gnana niby liść wichrem miotany, wątpi o samej sobie i o świecie boskim, który objawia się jej tylko przez ból, jakiego doznaje i przez poczucie własnej słabości, która uniemożliwia jej dostanie się do niego. Niewiedza ludzka wypisana jest we wzajemnych sprzecznościach rzekomych mędrców, a smutek ziemski — w niezgłębionej pożądlivości wzroku ludzkiego. Wreszcie, bez względu na rozciągłość ludzkiego poznania, narodziny i śmierć zamykają człowieka w granicach dwu kresów nieublaganych. Poza tych dwoje wrót, prowadzących do mroków, oko jego sięgnąć nie może. Płomień życia rozpała się, wchodząc przez pierwsze, i gaśnie, wychodząc przez drugie. Czyż tak samo dzieje się i z duszą? A jeśli nie — co się z nią w takim razie staje?

Odpowiedzi, jakie dawali filozofowie na to dręczące zagadnienie, były bardzo różne. Odpowiedź wtajemniczonych teozofów wszystkich epok brzmi w zasadzie jednako. Zgodna jest ona z poczuciem powszechnym i z duchem najgłębszym religii, które dawały wyraz prawdzie tej jedynie w formie zabobonu lub symbolu. Doktryna

ezoteryczna otwiera szersze znacznie widnokręgi, a twierdzenia jej pozostają w związku z prawami rozwoju wszechświata. Oto co wtajemniczeni, którzy zdobyli wiedzę dzięki poznaniu tradycji i dzięki przebytem licznym doświadczeniom życia duchowego, mówią człowiekowi: „To, co działa w tobie, co zwiesz duszą, jest **lotnym sobowtorem** ciała, w którym zawarty jest duch nieśmiertelny. Duch własną swoją działalnością buduje sobie i tka swoje ciało duchowe. Pytagoras daje mu miano „**subtelnego wozu duszy**“, bowiem przeznaczeniem jego jest uniesienie go z ziemi po śmierci. **To ciało duchowe jest narzędziem ducha**, jego powłoką czującą, narzędziem jego woli, służącym do ożywienia ciała, które bez niego pozostałoby bezwładnym. W zjawach umierających lub zmarłych **sobowtór** ten staje się widzialnym. Warunkuje to wszakże specjalny stopień nerwów widzącego. Wysubtelnienie, potęga i stopień doskonałości ciała duchowego różne są zależnie od jakości ducha, jaki w nim przebywa; zaś substancje dusz, utkanych ze światła astralnego, lecz przepojonych fluidami nieważkimi ziemi i nieba, cechują odcienie liczniejsze i różnice większe aniżeli te, jakie zachodzą pomiędzy wszystkimi ciałami ziemskimi i niebieskimi oraz wszystkimi stanami materii ważkiej. Ciało astralne, jakkolwiek znaczenie subtelniejsze i doskonalsze od ciała ziemskiego, nie jest nieśmiertelne, jak monada w nim zawarta. Zmienia się ono i oczyszcza zależnie od środowisk, przez jakie przechodzi. Duch kształtuje je i przeobraża nieustannie na swoją modłę, nie opuszcza go wszakże nigdy, gdy zaś zrzuca je stopniowo, czyni to jedynie ze względu na przeoblecenie się w substancje bardziej jeszcze lotne.

Taką była linia nauczania Pytagorasa, który nie wyobrażał sobie istoty duchowej oderwanej, monady bezkształtnej. Duch, działający w głębi niebios i na ziemi, musi mieć narząd; narządem tym jest dusza żywa, zwierzęca lub wzniosła, ciemna lub promienna, mająca wszakże kształt ludzki, ów obraz i podobieństwo Boga.

Co zachodzi podczas śmierci? Przy zbliżaniu się chwili zgonu dusza przeczuwa zazwyczaj bliskie swoje rozłączenie z ciałem. Cały przebieg jej życia przemyka przed nią w szybkich skrótach kolejnych. Kiedy jednak życie wy-

czerpane zatrzymuje się w mózgu, podlega dusza nagle-
mu zaćmieniu i zatracą całkowicie świadomość.

Jeśli jest to dusza czysta i święta, zbudziły się już jej
zmysły duchowe przez stopniowe odrywanie się od mate-
rii. Przed śmiercią miała ona już, w ten czy w inny spo-
sób, może tylko dzięki wgłębieniu się we własny stan
swoj, przeczucie obecności zaświatów. Pod wpływem na-
głych milczących, wezwań dalekich i nikłych promieni Nie-
widzialnego utraciła już ziemia swoją spoistość i kiedy,
uszcześliwiona wyzwoleniem swym, wyrwa się nareszcie
dusza z wystygłego już trupa, czuje się uniesioną w wielką
światłość promienną, ku rodzinie swojej duchowej, do
której należy niepodzielnie. Inaczej wszakże dzieje się
z człowiekiem przeciętnym, który życie swoje dzielił po-
między instynkty materialne i wyższe porwy. — Budzi
się on w stanie świadomym, jak gdyby w odrętwieniu,
spowodowanym ciężką zmorą. Nie ma już ani rąk, który-
mi mógłby chwytać, ani głosu do wołania, ale pamięta,
cierpi, istnieje, spowity w całun mroku i przerażenia. Jed-
yną rzeczą, jaką spostrzega w tych ciemnościach, jest
trup własny, od którego oderwał się już, lecz do którego
odczuwa niezwalczony pociąg. Bowiem za jego pośredni-
ctwem istniał, a teraz czymże jest? Szuka z przerażeniem
samego siebie w zlodowaciałych włóknach swojego mó-
zgu, w skrzeplej krwi swoich żył — i nie może się już od-
naleźć. Czy umarł? czy żyje? chciałby widzieć, chciałby
uchwycić się czegoś; ale nie widzi i nie chwyta nic. Za-
warty jest w ciemnościach; dokoła niego i w nim wszystko
jest chaosem. Dostrzega jedną tylko rzecz, jedną rzecz,
która go pociąga i zarazem zgrozą przejmuje... ponurą
fosforescencję własnych swoich zwłok; i zmora dręczyć
go zaczyna ponownie.

Stan taki trwać może miesiące i lata. Czas jego trwa-
nia zależy od siły materialnych instynktów duszy. Jednak-
że, bez względu na to, czy dusza ta zła jest czy dobra, dia-
belska czy niebiańska, zyska ona stopniowo uświadomienie
sobie samej siebie i nowego swojego stanu. Wyzwolona
wreszcie z więzów własnego ciała, pomknie w otchłanie
atmosfery ziemskiej, której prądy elektryczne wznoszą ją
we wsze strony i w której dostrzegać zaczyna, mniej lub
więcej podobnych do niej samej, wędrowców wielokształ-

tnych, niby błędne ogniki we mgle gęstej. Rozpoczyna się wówczas zacięta walka zawrotna ociężalej jeszcze życiem cielesnym duszy, pragnącej wznieść się w wyższe warstwy powietrza, wyzwolić się z przyciągania ziemi i dotrzeć w niebie planetarnym do sfery sobie właściwej, którą jedynie przewodnicy przyjaźni wskazać jej mogą. Zanim jednak usłyszysz ich i ujrzy, długi nieraz upłynie okres czasu. Ta faza życia duszy różnie nosiła w religiach i mitologiach miana: Mojżesz nazywał ją Horebem; Orfeusz — Erebem; chrystianizm — Czyśćcem, czyli **doliną śmierci**. Wtajemniczeni greccy porównywają ją do ostrego kręgu cienia, jaki ziemia wlecze stale za sobą i jaki ciągnie się aż do księżyca i nazywali ją z tego powodu **otchłanią Hekaty**. W ciemnych tych głębinach wirują — podług wyznawców Pytagorasa i Orfeusza — dusze, usiłujące wysiłkami rozpaczliwymi dotrzeć do kręgu księżyca i tysiącami strącane gwałtownością wichru na ziemie Homer i Wirgiliusz przyrównują je do wirujących jesienią zeschniętych liści, do rojów ptaków, oszalałych przez całą się burzą. Księżyc wielką odgrywał rolę w ezoteryzmie starożytnych. Na jego zwróconej ku niebu tarczy oczyszczać miały dusze ciało swoje astralne przed dalszym wznoszeniem się w sfery niebieskie. Przypuszczano również, że bohaterowie i geniusze przebywają przez czas pewien na jego tarczy, zwróconej ku ziemi, przed przywróceniem się w ciało, nadające się do życia na naszym świecie. Przypisywano też poniekąd księżycowi władzę magnetyzowania duszy dla jej wcielenia ziemskiego i odwrócenia magnetyzowania jej dla nieba. Twierdzenia te, wtajemniczeni przypisywali znaczenie zarazem realne i symboliczne, znaczyły na ogół, że, przed rozpoczęciem dalszej swojej wędrówki, musi dusza przejść przez stan pośredni oczyszczania się i wyzwalań z naleciałości ziemskich.

Jak wszakże opisać przybycie duszy czystej do właściwego jej świata? Ziemia znikła jak marzenie sennie Sen nowy, omdlenie rozkoszne ogarnia ją jak pieszczotliwa słodka. Nie widzi ona już nic i nikogo poza przewodnikiem swoim uskrzydłym, unoszącym ją z chyżością błyskawicy w głąbiny przestworzy. Cóż powiedzieć o jej zburzeniu się w dolinach gwiazdy lotnej, pozbawionej atmosfery.

sferę żywiołu, gdzie wszystko: góry, kwiaty, roślinność — cudowne jest, wrażliwe i mówiące? Co powiedzieć zwłaszcza o tych postaciach świetlanych mężczyzn i kobiet, które ją otaczają niby orszak święty, aby wtajemniczyć ją w święte tajniki jej nowego życia? Czy bogowie to i boginie? Nie — to dusze takie, jak i ona; a boski cud sprawił, że myśl ich, ukryta zazwyczaj w ludzkim mózgu, rozkwita na ich obliczach, że czułość, miłość, pragnienie czy lęk prześwietlają te ciała przezrocze gamą barw promiennych. Tutaj nie są już ciała i twarze maskami duszy; dusza przejrzysta objawia się tutaj w swoim kształcie istotnym i świeci jasnym światłem czystej swojej prawdy. Psyche odzyskała boską swoją ojczyznę. Bowiem światło tajemne, w którym jest teraz skąpana, które wyłania się z niej samej i które płynie od niej falą powrotną w uśmiechach istot ukochanych, owo światło szczęśliwości... to dusza świata... czuje w niej ona obecność Boga!

Teraz nie ma już przeszkód; kochać ona będzie, wiedzieć i żyć bez żadnych zapór w granicach własnego jedynie lotu.

O, błogości przedziwna i cudowna! czuje się złączona pokrewnością głęboką ze wszystkimi towarzyszkami swoimi. Bowiem w życiu zaświatów ci, co miłości dla siebie wzajem nie czują, unikają się, zaś łączą się i skupiają tylko ci, którzy się wzajem rozumieją. W doskonalszej jeszcze z nimi spójni czcić ona będzie wraz z nimi tajniki boskie w świątyniach jeszcze piękniejszych. Będą to żywe, wciąż nowe poematy, których strofą będzie każda dusza i w których każda przeżywać będzie życie własne w życiu innych. Poczym, cała drżąca, wzniesie się ona w światłości wyżyn, na wezwanie geniuszów skrzydlatych, gońców tych, którzy noszą miano Bogów, ponieważ wyzwolic się już zdołali z kręgu narodzin. Po przewodem tych wzniosłych intelektów będzie usiłowała odczytać wielki poemat Słowa tajemnego, zrozumieć to, co uda jej się uchwycić z symfonii wszechświata. Otrzyma wtajemniczenie hierarchiczne z kół Miłości bożej, będzie usiłowała ujrzeć Treści, rozsiewane po światach przez Geniusze ożywiające; oglądać będzie duchy, przyjęte już do chwały bożej, żywe promienie Boga Bogów i oczy jej znieść nie będą

mogły ich olśniewającej wspaniałości, przy której błędna słońca niby kopcały lampy.

A kiedy powróci, przerażona, z tych wędrówek zawrotnych — dreszcz bowiem zdejmuje ją wobec bezmiarów — usłyszy zdala wezwania dusz ukochanych, sfrunie więc na złociste niwy swojej gwiazdy w spowiciu różanym kołyszącego snu, pełnego kształtów białych, woni niebiańskich i melodii czarownych.

Takie jest życie niebiańskie duszy. Umysł nasz, steżony przez ziemię, zaledwie może je sobie wyobrazić. Przechuwają je natomiast wtajemniczeni i przeżywają jasnowidzący; prawa analogii i zgodności wykazują, że musi ono być takim istotnie.

Nasze obrazy z gruba ciosane, nasz język niedoskonalszy napróżno siłą się oddać je, każda wszakże dusza żywa czuje zaród jej w swoich tajemnych głębiach. W stanie obecnym niemożliwością jest dla nas zdanie sprawy z tego życia, którego warunki psychiczne formułuje filozofia okultyzmu. Ideę gwiazd eterycznych, niewidzialnych dla nas, lecz wchodzących w skład naszego systemu słonecznego i stanowiących siedlisko dusz szczęśliwych, odnajdujemy często w tajnikach tradycji ezoterycznej. Pytagoras nazywa świat ten — przeciwwągią ziemi: **antychthonem**, oświetlonym przez Ogień ośrodkowy, czyli światło boże. W zakończeniu „**Phedona**“ opisuje Platon szczegółowo, jakkolwiek pod osłoną symbolu, ową ziemię duchową, o której mówi, że jest jak powietrze lekka i skąpiana w atmosferze eterycznej.

Dusza zachowuje więc w życiu przyszłym całą jaźń swoją. Z istnienia na ziemi pozostają w jej pamięci jedynie wspomnienia szlachetne, inne zaś zacierają się w zapomnieniu, nazwanym przez poetów falami Letejskimi. Wyzwolona ze skaz swoich czuje dusza ludzka, iż odzyskała niejako swoją świadomość. Z zewnętrznej strony wszechświata powróciła ona do jego wnętrza; tchnieniem głębokim wchłonęła ją ponownie w łono swoje Cybela Mała, dusza świata. Spełni tutaj Psyche marzenie swoje, owo marzenie, rozdierane nieustannie i nieustannie znów nawiązywane na ziemi. Spełni je miarą wysiłku swojego ziemskiego i zdobytego światła, rozszerzy się wszakże stokrotnie. Zniweczone nadzieje wykwitną ponownie w pro-

miennej zorzy życia jej boskiego; ciemne zachody słońca na ziemi rozplomię się światłem olśniewającym. Tak, jeśli przeżył człowiek jedną choćby godzinę uniesienia entuzjastycznego lub zaparcia się siebie, ten jeden dźwięk czysty, wyrwany z całej gamy rozdźwięków życia ziemskiego, odbije się w jego życiu zaświatowym progresją cudowną harmonii eolskich. Przemijające rozkosze, jakimi darzy nas czar muzyki, jakie dają nam upojenia miłosne czy porywy miłosierdzia, są poszczególnymi jedynie dźwiękami tej symfonii boskiej, jaką usłyszymy wówczas. Czy znaczyć to ma, iż życie na ziemi będzie długim snem tylko, jedną wielką halucynacją? Cóż wszakże bardziej istotnego ponad to, co dusza odczuwa w samej sobie i co urzeczywistnia przez boskie zespolenie się z innymi duszami?

Wtajemniczeni, konsekwentni zawsze idealisci, wierzyli, że jedyną trwałą rzeczywistością na ziemi są przejawy Piękna, Miłości i Prawdy duchowej. Ponieważ zaś ta Prawda, Miłość i Piękno mogą być jedynym celem zaświatów dla tych, którzy uczynili z nich cel życia swojego, przeświadczeni oni są, że niebo prawdziwszym będzie niż ziemia.

Życie niebiańskie duszy trwać może setki i tysiące lat, zależnie od dostojęstwa jej i siły jej impulsu. Najdoskonalsze wszakże tylko dusze, najwznioślejsze, te, które przekroczyły krąg narodzin, mogą wieść je do nieskończoności. Nie tylko bowiem zyskały one spoczynek czasowy, lecz możliwość nieśmiertelnego trwania i działania w atmosferze prawdy; same stworzyły one własne swoje skrzydła. Są nietykalne, bowiem są światłem; rządzą światami, bowiem przenikają je wzrokiem nawskroś. Wszystkie inne zniewala niezłomne prawo rozwoju do ponownego wcielania się celem przebycia nowej próby i wzniesienia się na wyższy stopień lub też zstąpienia jeszcze niżej, gdyby miało zbraknąć im siły.

Życie duchowe ma, podobnie jak życie ziemskie, swój początek, swój moment najwyższego rozkwitu i swój okres upadku. Kiedy życie to jest na wyczerpaniu, dusza odczuwa ociężałość, zamroczenie i melancholię. Siła niezmierzona ciągnie ją znów ku walkom i cierpieniom ziemskim. Obok pragnienia tego wszakże doznaje również dusza

uczucia strasznego lęku i okrutnego bólu na myśl o konieczności rozstania się z życiem boskim. Czas jednak nadszedł; prawu musi stać się zadość. Uczucie ciężaru wzmagają się, mrok zalega głębi jej jaźni. Towarzyszkę swoje świetlane widzi już we mgle tylko, i zasłona ta, coraz gęściejsza, każe jej przeczuwać nieuniknioną rozłąkę. Słyszy smutne ich pożegnania; łzy szczęśliwych ukochanych przenikają ją niby rosa niebiańska, która pozostawi w głębi jej serca płomienną tęsknotę za szczęściem nieznanym. Wówczas — przysięgami uroczystymi — przyobiecuje **pamiętać...** pamiętać o jasności w świecie mroków, o prawdzie — w świecie kłamstwa, o miłości — w świecie niewiści.

Za tę jedynie cenę zyska możność ponownego połączenia się z nimi, zdobycia wieńca nieśmiertelności.

I budzi się znów dusza w atmosferze zgęszczonej. Gwiazda eteru, dusze przejrzyste, oceany światła — wszystko to znikło. Znów jest na ziemi, w otchłani narodzin i śmierci. Nie zatraciła wszakże jeszcze pamięci o niebie i przewodnik uskrzydłony, widzialny jeszcze dla jej oczu, wskazuje jej niewiastę, która matką jej będzie. Niewiasta ta nosi już w swym łonie zaród płodu. Zaród ten wszakże o tyle tylko żyć będzie, o ile ożywi go tchnienie ducha. Wówczas dokona się w ciągu dziewięciu miesięcy najbardziej niezbadana tajemnica życia ziemskiego — tajemnica wcielenia i macierzyństwa.

Tajemnicze zespolenie się zarodka z ciałem macierzystym dokonywa się zwolna, umiejętnie, narząd po narządzie, włókno po włóknie. W miarę jak dusza pogrąża się coraz głębiej w tę pulsującą życiem i ciepłem pieczarę, w miarę jak czuje się ona coraz ciaśniej uwikłaną w tysiączne skręty organów wewnętrznych, zaciera się w niej i gaśnie świadomość życia boskiego. Bowiem pomiędzy nią a światłością wyżyn stają fale krwi i tkanki ciała, dławiące ją w swym uścisku i wypełniające ją mrokiem. Już światło to dalekie błyskiem zamierającym jest tylko. Wreszcie ból okrutny ją przeszywa, ścisną ją kleszczami; spazm krwawy odrywa ją od duszy macierzystej i wgwążdża ją w ciało drgające

Narodziło się dziecko, nędzny wizerunek ziemski, które wita świat okrzykiem przerażenia. Wspomnienie nie-

biańskie ukryło się w tajemnych głębinach Nieświadomości. Wskrzesać je znów może Wiedza jedynie lub Ból, Miłość lub Śmierć!

Prawo wcielania się i opuszczania ciała przez duszę odsłania nam więc właściwe znaczenie życia i śmierci. Stanowi ono węzeł główny rozwoju duszy i pozwala nam śledzić ją w jej cofaniu się i w jej pochodzie naprzód do głębin natury i do jądra boskości. Prawo to bowiem odsłania nam rytm i miarę, przyczynę i cel nieśmiertelności. Z oderwanej i fantastycznej przeistacza ono ją w żywą i logiczną, wykazując stosunek wzajemny życia i śmierci. Narodziny ziemskie są śmiercią ze stanowiska duchowego; śmierć jest zmartwychwstaniem niebiańskim.

Luzowanie się kolejne obu żywotów niezbędne jest do ewolucji duszy, a każdy z nich jest zarazem wynikiem i wytłumaczeniem drugiego. Ktokolwiek przejął się prawdami tymi, dotarł do głębi tajników, do ośrodka wtajemniczenia.

Cóż jednak — zapytać można — dowodzi ciągłości trwania duszy monady, jednostki duchowej poprzez wszystkie jej istnienia, skoro zatraca ona kolejno ich pamięć? — A cóż dowodzi nam — odpowiemy — tożsamości osoby waszej podczas snu i podczas czuwania? Budzicie się codziennie z rana ze snu, równie dziwnego i niewytłumaczonego jak śmierć, zmartwychwstajecie z tej nicości, aby wpaść w nią znów z nastaniem nocy. Czy była to nicość? Nie, bowiem śniliście, a sny wasze były dla was tak samo rzeczywistymi, jak rzeczywistość dnia poprzedzającego. Zmiana warunków fizjologicznych mózgu wpłynęła na zmianę stosunku duszy do ciała i na przesunięcie waszego duchowego punktu obserwacyjnego. Byliście tymi samymi osobnikami, znajdowaliście wszakże w innym środowisku odmienne wielkością istnienie. U zamagnetyzowanych, somnambulików i jasnowidzących rozwija sen nowe władze, które wydają nam się cudownymi, lecz są naturalnymi władzami duszy, oderwanej od ciała. Po zbudzeniu się jasnowidzący ci nie pamiętają już tego, co widzieli, mówili i czynili podczas swojego snu na jawie; doskonale sobie natomiast we śnie przypominają, co miało miejsce w śnie poprzednim i przepowiadają czasem, ze ścisłością matematyczną, co nastąpi w przyszłym. Ma-

ją więc jak gdyby podwójną świadomość, dwa życia, luzujące się kolejno, zupełnie różne, z których każde wszakże ma racjonalny swój ciąg dalszy i które oplatają się dokoła jednego i tego samego osobnika, jak różnokolorowe sznurki dokoła nitki niewidzialnej.

Starożytni poeci wtajemniczeni, nazywając sen **bratem śmierci**, nadawali nazwie tej głębokie znaczenie. Bowiem zasłona zapomnienia oddziela zarówno sen od jawy, jak narodziny od śmierci. Tak samo też jak życie nasze ziemskie podzielone jest na dwie, kolejno zawsze następujące po sobie, części, tak samo wstępuje dusza, w bezkresach kosmicznego rozwoju swojego, w dwa stany kolejne: wcielenia ziemskiego i życia duchowego, zawieszona w ten sposób pomiędzy ziemią a niebem. To przechodzenie kolejne z jednej płaszczyzny wszechświata na drugą, to odwracanie biegunów własnego bytu zarówno niezbędne jest dla cielesnego istnienia człowieka. Przy przechodzeniu z jednego istnienia w drugie potrzebne nam są fale Letejskie. W życiu ziemskim zasłona zbawcza kryje przed nami przeszłość i przyszłość. Zapomnienie nie jest wszakże zupełne i światło przebłyskuje poprzez zasłonę. Już idee wrodzone dowodzą istnienia uprzedniego. Co więcej wszakże: rodzimy się, nosząc w sobie świat wspomnień niejasnych, popędów tajemniczych, przeczuć boskich. Występują nieraz u dzieci, zrodzonych z rodziców łagodnych i spokojnych, wybuchy dzikich namiętności, które nie dają się dostatecznie wytłumaczyć atawizmem, bowiem są wynikiem istnienia uprzedniego. Widzimy czasem, w życiu najskromniejszym, najbardziej przyziemnym, niewytłumaczone, wzniosłe ukochanie idei, wierność uczuciu. Czy nie są one wypływem obietnic i przysiąg, danych w życiu niebiańskim? Bowiem pamięć tajemna, którą zachowała o nich dusza, silniejsza jest od wszelkich racji ziemskich. Zwycięża ona lub zostaje pokonana, zależnie od tego, czy utrwała w sobie to wspomnienie, czy też wyrzeka się go. Prawdziwą wiarą jest ta zaklęta w milczenie wierność duszy samej sobie. Zrozumiałe jest też, że Pytagoras, podobnie jak wszyscy teozofowie, uważał życie cielesne za okres niezbędny wyrabiania się woli, zaś życie niebiańskie — za szczyt wzrostu duchowego i wydoskonalenia się.

Żywoty następują po sobie kolejno, niepodobne wzajem do siebie, lecz wzajem zazębiające się z logiką nieubłaganą. Jakkolwiek każde z nich podlega własnemu prawu i ma własne przeznaczenie, jednakże szeregiem ich ogniów rządzi jedno prawo ogólne, które możnaby nazwać **odbiciem żywotów**¹⁾. W myśl prawa tego czyny spełnione w jednym życiu znajdują nieunikniony oddźwięk w życiu następnym. Nie tylko zbudzi się człowiek do nowego życia z popędami i właściwościami, jakie rozwinęły się w nim podczas uprzedniego wcielenia, lecz rodzaj nawet istnienia jego z góry w znacznym stopniu określony będzie przez dobry czy zły użytek, jaki uczynił on z wolności w swoim życiu uprzednim. Nie ma takiego wyrazu, ani takiego czynu — mówi przysłowie — które nie odbiłyby się echem w wieczności. W myśl doktryny ezoterycznej przysłowie to stosuje się dosłownie do kolejno następujących po sobie żywotów. Pytagoras znajduje wytłumaczenie pozornych niesprawiedliwości losu, jak: kalectw, nędzy, ciosów moralnych i nieszczęść wszelkiego rodzaju — w tym, że wszelkie istnienie jest karą lub nagrodą za istnienie uprzednie. Życie występne pociąga za sobą życie, wypełnione pokutą za grzechy; życie niedoskonałe — życie prób; życie prawe warunkuje posłannictwo; życie wyższe — posłannictwo twórcze.

Sankeja moralna zastosowana z pozorną niedokładnością — do jednego tylko życia — stosuje się z cudowną doskonałością i drobiazgową sprawiedliwością do szeregu żywotów. W szeregu tym może zachodzić stopniowe wznoszenie się ku duchowości i poznaniu, lub też spadaniu ku zezwierzczeniu i ciemnocie materii. W miarę jak dusza wznosi się stopniowo ku wyżynom, zdobywa ona udział coraz większy w wyborze swoich wcieleń. Dusza niższa ślepo podlega prawu wcielenia; dusza pośrednia, przeciętna — wybiera spomiędzy wcieleń, jakie jej zostały zaoferowane; dusza wyższa, która dobrowolnie przyjęła na siebie jakąś misję, wybiera je przez poświęcenie. Im wznioślejszą jest dusza, tymbardziej zachowuje ona we wcieleniach swoich jasną, niepokonaną świadomość życia duchowego, królującego ponad naszym horyzontem ziem-

¹⁾ Tak zwane przez bramanów i buddystów prawo **Karmy**.

skim, otaczającego ziemię naszą kręgiem świetlanym i słącego promienie swoje w mroki. Tradycja dowodzi nawet, że wtajemniczeni pierwszego rzędu, boscy prorocy ludzkości, zachowali pamięć uprzednich swoich istnień ziemskich. Legenda mówi, że Gautama Buddha, Sakja-Muni, odnalazł w ekstazach swoich wątek swych istnień uprzednich. Pytagorasowi zaś przypisują, iż zawdzięczał on, jak mówił, specjalnej łasce bogów zachowanie pamięci o niektórych swoich żywotach poprzedzających.

Powiedzieliśmy już, że w ciągu szeregu żywotów swoich dusza może bądź cofać się, bądź iść naprzód, zależnie od tego, czy ciąży ona ku swojej naturze boskiej, czy też przyziemnej. Wypływa stąd doniosła konsekwencja, której prawdę odczuwała zawsze świadomość ludzka z dziwnym dreszczem lęku. W ciągu wszystkich żywotów zachodzi konieczność staczania walk, dokonywania wyborów i postanowień, których skutki są nieobliczalne. Jednakże na drodze wzwyż, to znaczy na drodze dobra, obejmującej znaczny szereg wcieleń, znaleźć się musi takie życie, taki rok, a może taka godzina chociażby, kiedy dusza, która osiągnęła pełne poznanie zła i dobra może wznieść się ostatnim i najwyższym wysiłkiem na wyżynę, skąd nie będzie już musiała zstępować i skąd rozpoczyna się droga na szczyty. Tak samo też na drodze zstępnej, czyli na drodze zła, istnieje punkt, z którego dusza przewrotna może się jeszcze cofnąć z powrotem. Z chwilą jednak przekroczenia tego punktu zatwardziałość w złym staje się już nieodwołalną. Z istnienia w istnienie będzie już dusza staczała się na samo dno mroków. Zatraci swoje człowieczeństwo. Człowiek stanie się demonem — zwierzęciem, a niezniszczalna monada jego zmuszona będzie rozpocząć na nowo swoją żmudną, przerażającą ewolucję poprzez szereg coraz wyższych państw natury oraz istnień niezliczonych. To właśnie stanowi wedle prawa ewolucji piekło prawdziwe. Nie jest że ono równie straszliwe i bardziej logiczne od piekła religii egzoterycznych? ¹⁾

Dusza może zatem wznosić się lub staczać w szeregu

¹ Religie egzoteryczne — czyli jektywne, w przeciwieństwie do religii ezoterycznych, przeznaczonych dla wtajemniczonych. (Przyp. tłum.).

żywotów. Drogę pochodzenia ludzkości ziemskiej określa prawo postępu wzwyż, wchodzące w zakres praw boskich. Prawo to, które, jak mniemamy, świeżo zostało wykryte, znane już było i głoszone w Misteriach starożytnych. „Zwierzęta są pokrewne człowiekowi, a człowiek jest pokrewny Bogu“ — mówił Pytagoras. Rozwijał on filozoficznie nauki, dawane w symbolach eleuzyńskich: prawo postępu, stałe wznoszenie się państw natury wzwyż, dążenie świata minerałów do świata zwierzęcego, świata zwierzęcego do świata ludzkiego oraz kolejny szereg coraz doskonalszych ras ludzkich. Postęp ten nie dokonywa się w sposób jednostajny, lecz regularnymi i wciąż rozszerzającymi się kręgami, wzajem w sobie zawartymi. Każdy naród ma swoją młodość, swoją dojrzałość i swój schyłek. To samo powtarza się w życiu ras całych: rasy czerwonej, czarnej i białej, które panowały kolejno na kuli ziemskiej. Rasa biała, będąca obecnie w pełni młodości, nie doszła jeszcze za naszych czasów do okresu dojrzałości swojej. Stanąwszy u szczytu potęgi, wyda z własnego łona rasę doskonalszą jeszcze, a uczyni to na drodze ponownego ustanowienia wtajemniczeń oraz duchowego doboru małżeństw. W ten sposób następują po sobie rasy, w ten sposób postępuje naprzód ludzkość. Wtajemniczeni starożytni zachodzili dalej znacznie w przewidywaniach swoich aniżeli współcześni. Przypuszczali oni, że nadejdzie chwila, w której wielka gromada osobników, stanowiących obecną ludzkość, przeniesie się na inną planetę, aby rozpocząć tam cykl nowy. W szeregu cykli, tworzących łańcuch planetarny, rozwinie ludzkość cała pierwiastki intelektualne, duchowe i nadmysłowe, jakie rozwijali w sobie już w życiu ziemskim, wielcy wtajemniczeni i doprowadzili je do bardziej powszechnego rozlania się. Rzecz oczywista, że rozwój podobny nie może ogarniać tysięcy, lecz miliony lat i że wywoła on takie zmiany w warunkach bytu i natury człowieka, jakich nie jesteśmy wcale w stanie sobie wyobrazić. Dla scharakteryzowania ich, mówi Platon, że wówczas Bogowie będą istotnie zamieszkiwali świątynie ludzkie. Logika nakazuje przypuszczać, że w łańcuchu planetarnym, to znaczy w kolejnych stadiach rozwoju naszej ludzkości na innych planetach, wcielenia jej staną się coraz bardziej uduchowione, zatem

niepostrzeżenie coraz bardziej ją zbliżą do stanu czysto duchowego, do owej ósmej sfery, będącej poza kołem narodzin i określanej przez starożytnych teozofów mianem stanu boskiego. Rzeczą jest też naturalną, że wobec nierównej siły ich rozpędu, wobec faktu, że wiele z nich ustaje w drodze lub stacza się ponownie, liczba wybrańców w cudownym tym pięciu się w zwyż wciąż się zmniejsza. Intelekty nasze, ograniczone przez warunki życia ziemskiego, nie są w stanie objąć tego olśniewającego wzlotu, który umysły niebiańskie rozpatrują z taką swobodą, z jaką my rozpatrujemy każdy żywot poszczególny. Czyliż pojęta w ten sposób ewolucja dusz nie jest zgodna z jednością Ducha, tą zasadą wszystkich zasad? z jednorodnością Natury, tym prawem wszystkich praw? z ciągłością ruchu, ową siłą sił? System słoneczny, oglądany przez pryzmat życia duchowego, nie stanowi jedynie mechanizmu materialnego, lecz organizm żywy, królestwo niebieskie, w którym dusze wędrują ze świata w świat, jak samo, ożywiająca je, tchnienie Boże.

Jakiż jest więc w myśl doktryny ezoterycznej cel ostateczny człowieka i ludzkości? Po tylu żywotach, śmierciach, odrodzeniach, okresach ciszy, bolesnych zbudzeniach — czy nastanie kiedykolwiek kres trudom psychy? Tak — mówią wtajemniczeni — nastanie on, kiedy dusza pokona ostatecznie materię, kiedy, rozwinąwszy wszystkie swoje władze duchowe, odnajdzie w sobie samej źródło i cel ostateczny wszechrzeczy — wówczas wcielenie nie będzie już potrzebne, zespoli się więc ona w zupełności z intelektem boskim i osiągnie boski stan. Jakże jednak my, synowie ziemi, którzy zaledwie przeczuć jesteśmy w stanie życie duchowe duszy po każdym życiu ziemskim, zdolni będziemy wyobrazić sobie to życie doskonałe, które nastąpić będzie musiało po szeregu owych bytów duchowych? To niebo nie będzie w stosunku do uprzednich błogości swoich tym, czym jest Ocean w porównaniu ze strumieniami. Dla Pytagorasa apoteozą człowieka nie było pograżenie się w nieświadomość, lecz świadoma w stopniu najwyższym celów swoich i zadań — czynność twórcza. Dusza, która stała się duchem czystym.

nie zatraciła swojej osobowości; udoskonaliła ją jedynie. bowiem zespoliła się z pratytem swoim w Bogu. Przypomina ona sobie wszystkie swoje dawne istnienia, które wydają się jej szczeblami, wiodącymi na szczyty, skąd ogarnia i przenika wszechświat. W stanie tym człowiek przestaje już być człowiekiem, jak mówił Pytagoras; jest on pół-bogiem. Bowiem cała jego istota jest odbiciem światłości niewypowiedzianej, jaką Bóg wypełnia bezmiary. Dla niego wiedzieć — znaczy móc; kochać — znaczy tworzyć; być — to promieniować prawdę i piękno.

Czy kres ten jest już ostateczny? Wiekuistość duchowa odmienne ma miary, aniżeli czas słoneczny; ma ona wszakże również swoje etapy, normy i cykle. Przerastają one jednak najzupełniej zakres pojmowania człowieczego. Wszelako prawo podobieństw postępowych w coraz wyższych państwach natury pozwala nam twierdzić, że — o ile światy widzialne zmieniają się i przemijają — nieśmiertelnym pozostaje świat niewidzialny, który jest racją tamtego bytu, jego źródłem i ujściem ostatecznym, a którego częścią jest boska Psyche.

Takie promienne perspektywy otwierał Pytagoras w końcu opowieści swojej o losach **boskiej Psyche**. Ostatnie słowa skonały już na wargach mędrca, lecz znaczenie tej, niepodobnej do udzielenia, prawdy zawieszono wciąż jeszcze było w nieruchomym powietrzu krypty. Każdemu zdawało się, że prześnił do końca sen żywotów i że budzi się w wielkiej ciszy, w słodkim bezmiarze życia jedyne i niemającego kresu. Lampy naftowe łagodnie oświetlały posąg Persefony, wyobrażonej w postawie stojącej, jako żniwiarka niebiańska i wskrzeszały pamięć jej symbolicznych dziejów w świętych freskach sanktuarium. Zdarzało się czasem, że która z kapłanek wpadała w ekstazę pod czarem melodii głosu Pytagoraszowego; postać jej i oblicze promienne tchnęły wówczas niewypowiedzianym pięknem oglądanej wizji, która zdawała się wcielać w jej rysy. Zdjęci dreszczem zbożnym uczniowie patrzyli na nią w niemym zachwycie. Niebawem wszakże mistrz — ruchem powolnym i pewnym — sięgał natchnioną **wieszczkę** na ziemię. Z wolna zatraci-

ły rysy jej sztywność kamienną, po czym osuwała się ona na ręce towarzyszek i wpadała w głęboki letarg, z którego budziła się oszołomiona, smutna, jak gdyby wyczerpana wzlotem swoim w zaświaty.

Krypta pustoszała. Pytagoras i jego uczniowie szli do ogrodów Cerery, aby napawać się świeżością świtania, bielejącego już na morzu, na linii jego zetknięcia się z niebem gwiazdzistym.

STOPIEŃ CZWARTY — EPIFANIA ¹⁾
ADEPT — KOBIETA WTajemniczona — MIŁOŚĆ
I MAŁŻEŃSTWO

Dotarliśmy pod przewodem Pytagorasa na szczyty wtajemniczenia starożytnego. Z wyżyny tej ziemia zdaje się tonąć w ciemni jak gasnąca gwiazda. Otwierają się stąd gwiazdne perspektywy i roztacza się w całokształcie cudownym widzenie z wyżyn — **epifania** wszechświata. Celem nauczania nie było wszakże pograżenie słuchacza w kontemplację czy ekstazę. Mistrz oprowadził uczniów swoich po niespółmiernych krainach Kosmosu, pograżył ich w otchłanie świata niewidzialnego. Z przerażającej wędrówki tej winni byli prawdziwi wtajemniczeni powrócić na ziemię lepszymi i bardziej zahartowanymi na próby i przejścia życiowe.

Po wtajemniczeniu intelektu następować musiało, najtrudniejsze ze wszystkich, wtajemniczenie woli. Szło teraz o to, aby uczeń mógł wchłonąć prawdę głębiami swojej istoty, wprowadzić ją w czyn w praktyce życiowej. Dla osiągnięcia tego ideału, należało — zdaniem Pytagorasa — zjednoczyć w sobie trojaka doskonałość: osiągnąć urzeczywistnienie prawdy w intelekcie, cnoty — w duszy, czystości — w ciele. Rozumna higiena i umiarkowana wstrzeźliwość podtrzymywać winny były czy-

¹⁾ **Epifania** -- czyli widzenie z wyżyn: **autopsja** -- widzenie bezpośrednie; **teofania** czyli objawienie Boga. Wszystkie te pojęcia współrzędne i wyrażenia odmienne dla oznaczenia stanu doskonałości, w którym wtajemniczony, zespoliwszy się z Bogiem, ogląda prawdę całkowitą.

stość cielesną. Wymagana ona była nie jako cel, lecz jako środek. Wszakże nadużycie cielesne pozostawia ślad i coś w rodzaju skazy na ciele astralnym, tym żywym organizmie duszy, a tym samym i na duchu. Bowiem ciało astralne bierze udział we wszystkich czynnościach ciała fizycznego, które bez niego byłoby bryłą nieruchomą. Ażeby więc czystą była dusza, musi ciało być czystym. Należy dalej, aby dusza, oświecana nieustannie przez intelekt, zdobyła męstwo, zaparcie się siebie, poświęcenie i wiarę, słowem — cnotę i uczyniła z niej drugą swoją naturę, która w zupełności zastąpiłaby pierwszą. Intelekt z kolei zdobyć musi mądrość w taki sposób, aby umiał on odróżniać we wszystkim złe od dobrego i dostrzegać Boga, zarówno w stworzeniu najdrobniejszym, jak w całości kształcie światów. Na tej dopiero wyżynie staje się człowiek **adeptem**, i o ile posiada dostateczną energię—zyskuje nowe władze i zdolności. Rozwierają się zmysły wewnętrzne duszy, z innych promienieje wola. Magnetyzm jego ciała, który przeniknęły wypływy jego duszy astralnej i który naelektryzowała jego wola, zdobywa potęgę cudotwórczą na pozór. Czasem uzdrowia on chorych nałożeniem rąk lub wprost obecnością swoją. Często przenika wzrokiem swoim myśli ludzkie. Czasem w stanie jawy widzi wypadki, zachodzące daleko ¹⁾. Działa z odleg-

¹⁾ Przytoczymy dwa słynne tego rodzaju fakty najzupełniej autentyczne. Pierwszy miał miejsce w starożytności. Bohaterem jego jest słynny filozof nowopytagorejski, cudotwórca Apoloniusz z Tiany.

Fakt pierwszy: Jasnowidzenie Apoloniusza z Tiany. — „W czasie kiedy wypadki te (zamordowanie cesarza Domicjana) zachodziły w Rzymie, widział je Apoloniusz w Efezie. — Domicjan napadnięty został przez Klemensa około południa; tego samego dnia i w tej samej chwili nauczał Apoloniusz w ogrodach, przylegających do **Xyst** czyli kolumnad, gdzie odbywały się ćwiczenia. Nagle przyciechł jego głos jak gdyby zdjęło go nagle przerażenie. Nie przerwał rozprawy swojej, wszelako mowa jego nie miała zwykłej siły, jak to się zdarza tym, którzy, mówiąc, myślą o czym innym. Nagle zamilkł jak człowiek który zgubił nagle wątek swoich myśli, spojrzął na ziemię wzrokiem strasznym.

łości skupieniem myśli i woli na osoby, związane z nim węzłami sympatii osobistej i okazuje im się na odległość, jak gdyby jego ciało astralne miało moc przenoszenia się poza jego ciało materialne. Ukazywanie się umierających lub zmarłych przyjaciółom ich wkracza w sferę tych samych zjawisk, z tą wszakże różnicą, że zjawą, którą powoduje zazwyczaj nieświadome pragnienie umierającego lub dusza zmarłego, wywołana zostaje przez adepta w pełni zdrowia i świadomości. Bądź co bądź wszakże wywołać on ją może jedynie podczas snu, przeważnie podczas snu letargicznego. Wreszcie czuje się adept otoczony niejako przez istoty niewidzialne, wyższe i świetlane, które udzielają mu swojej siły i pomagają mu w spełnieniu jego posłannictwa.

Nie wielu jest adeptów, mniej jeszcze takich, co osiągnąć zdołali potęgę podobną. Grecja znała trzech załedwie: Orfeusza w zaraniu hellenizmu; Pytagorasa u szczytu je-

postąpił o trzy czy cztery kroki naprzód i zawołał: „Przebij tyrana!“ Rzecz można było, że widzi on nie odbicie faktu; lecz sam fakt w całej grozie jego rzeczywistości. Efezejczycy (bowiem cały Efez obecny był przy rozprawie Apoloniusza) zdumieni byli i przerażeni. Znieruchomiał Apoloniusz, jak człowiek, który czeka na wynik niepewnego faktu. Po chwili znów zawołał: „Bądźcie dobrej myśli, Efezejczycy tyran został zabity dzisiaj. Co mówię, dzisiaj?! Na Minerwę, zabity został w tej samej chwili, kiedy przestałem mówić“. Efezejczycy przypuszczali, że Apoloniusz postradał zmysły; pragnęli gorąco, aby to, co powiedział, było prawdą, bali się wszakże, aby niebezpieczeństwo jakieś nie wynikło dla nich z jego słów... Wkrótce wszakże przybyli gońcy, którzy oznajmili im wieść radosną i stwierdzili prawdziwość widzenia Apoloniusza. Bowiem: Bowiem zamordowanie tyrana, dzień w którym zostało ono dokonane, godzina południa, sprawca zabójstwa, którego Apoloniusz zagrzewał do czynu—wszystkie te szczegóły okazały się najzupełniej zgodnymi z tymi, jakie Bogowie ukazali mu w dniu jego mowy do Efezejczyków“. Żywot Apoloniusza przez Filostrata.

Fakt drugi. Jasnowidzenie Swedenborga. — Fakt drugi dotyczy największego z nowoczesnych jasnowidzących. Można prowadzić spory na temat przedmiotowej istności wi-

go rozkwitu; i u schyłku jego — Apoloniusza z Tiany. Orzeusz był wielkim wtajemniczonym i wielkim twórcą religii greckiej; Pytagoras — budowniczym nauki ezoterycznej i filozofii szkół; Apoloniusz — stoikiem moralizatorem i znanym cudotwórcą okresu upadku. We wszystkich trzech wszakże, poprzez odcienie i pomimo różnic, jaśnieje promień boski: duch, dążący z upragnieniem do zbawienia dusz, niezłomna energia, przyobleczona w szatę łaskawości i pogodności. Nie zbliżajcie się wszakże zbyt do tych wyniosłych czół spokojnych; płoną one w milczeniu. Czuje się pod nimi ogień woli płomiennej, stale powściąganej.

Pytagoras jest więc dla nas typem adepta pierwszego rzędu, obdarzonego duchem naukowym i umysłem filozoficznym, najbardziej zbliżonym do umysłów współczesnych. On sam wszakże nie mógł i nie zamierzał czynić z uczniów swoich doskonałych adeptów. Wielka epoka ma zawsze w zaraniu swoim wielkiego ducha twórczego,

dzeń Swedenborga, niepodobna wszakże wątpić o jego darze jasnowidzenia, stwierdzonym mnóstwem faktów. Widzenie, które oglądał Swedenborg na odległość trzydziestu mil, mianowicie widzenie pożaru Sztokholmu, narobiło wiele wrzawy w drugiej połowie XVIII-go stulecia. Słynny filozof niemiecki, Kant, przeprowadził badanie za pośrednictwem jednego ze swoich szwedzkich przyjaciół, zamieszkałego w Goteborgu, w mieście w którym fakt ów miał miejsce i oto co pisze on o tym do jednej ze swoich przyjaciółek.

„Fakt, który tutaj opowiem, posiada, jak mi się wydaje, jak największą siłę przekonywającą i powinien też przeciąć wszelkiego rodzaju wątpliwości. Działo się to w 1759 r., ku końcowi września. P. Swedenborg, w drodze powrotnej z Anglii, wylądował pewnej soboty, około czwartej po południu, w Goteborgu, gdzie został zaproszony, wraz z piętnastoma innymi osobami do domu pana Wiliama Costela. Wieczorem, około szóstej, p. de Swedenborg, który oddalił się wszedł do sali błady i zmieszany i oznajmił, że w tej samej chwili wybuchł pożar w Sztokholmie, na Sudermalmie i że ogień dociera z wielką gwałtownością do jego domu... Po chwili dodał, że dom jednego z jego przyjaciół, którego nazwał po imieniu, spalony jest do tła i że własny jego dom

dającego mu natchnienie. Uczniowie jego i uczniowie jego uczniów tworzą łańcuch namagnetyzowany i szerzą myśl jego na świecie. W czwartym stopniu wtajemniczenia mu przestawał więc Pytagoras na nauczaniu wiernych mu stosowania doktryny jego w życiu. Bowiem **Epifania**, widzenie z wyżyn, dawało całokształt głębszych i odradzających poglądów na sprawy ziemskie.

Źródło zła i dobra pozostaje tajemnicą niezrozumiałą dla człowieka, który nie zdał sobie sprawy z początku i końca wszechrzeczy. Moralność, nie mająca na względzie najwyższych przeznaczeń człowieka, będzie utylitarzną jedynie i wielce niedoskonałą. Co więcej, wolność ludzka nie istnieje w rzeczywistości dla tych, którzy czują się zawsze niewolnikami swoich pożądań, nie przysługuje również z prawa tym, którzy nie wierzą ani w duszę, ani w Boga i dla których życie jest błyskiem pomiędzy dwiema nicościami. Pierwsi żyją w niewoli duszy, przykutej łańcuchami do żądz; drudzy — w niewoli intelektu ograniczonego do sfery świata fizycznego. Inaczej się

jest w niebezpieczeństwie. O ósmej, po oddaleniu się ponownym; zawołał głosem radosnym: „Bogu Najwyższemu dzięki, pożar wygasł przy trzecich wrotach od moich“. Tegoż wieczora zawiadomiono o tym gubernatora. W niedzielę z rana wezwał on Swedenborga, aby wybadać go w tej sprawie. Swedenborg opisał dokładnie pożar, jego początek, koniec i czas trwania. Tego samego dnia wieść ta obiegła miasto, wywołując tym większe wrażenie, że zainteresował się nią gubernator i że wielu mieszkańców niepokoilo się o swoje majątki i o swoich przyjaciół. W poniedziałek wieczorem przybyła sztafeta, którą kupcy sztokholmscy wysłali podczas pożaru. W listach tych pożar opisany był w sposób najściślej zgodny z opisem Swedenborga. — Cóż można przytoczyć na dowód, zbijający autentyczność tego faktu? Przyjaciel, który mi o nim pisze, zbadał to wszystko nie tylko w Sztokholmie, lecz przed dwoma miesiącami w samym Goteborgu, zna tam domy najznacześniejsze i mógł w ten sposób zasięgnąć dokładnych informacji w całym mieście, w którym żyje jeszcze większość świadków naocznych, ile że dopiero 9 lat upłynęło od 1859 r.“ — List do panny Szarloty de Knobloch, przytoczony przez Mattera. **Życie Swedenborga.**

dzieje z człowiekiem wierzącym i prawdziwym filozofem, tym bardziej z teozofem wtajemniczonym, który urzeczywistnia prawdę w troistości swojej istoty i w jasności swojej woli. — Ażeby zrozumieć źródło zła i dobra, ogląda wtajemniczony **trzy światy** okiem ducha. Widzi mroczny świat materii i zwierzęcości, w którym góruje nieubłagany **Los**. — Widzi świetlisty świat Ducha, który jest dla nas światem niewidzialnym, olbrzymią hierarchią dusz wyzwolonych, podległych prawu boskiemu i będących czynną **Opatrznością**. Pomiedzy dwoma tymi światami widzi w półmroku ludzkość, wrosłą korzeniami w świat ziemski i sięgająca szczytami swoimi świata boskiego. Geniuszem jej jest **Wolność**. Bowiem z chwilą, kiedy uświadamia sobie człowiek prawdę i błąd, ma prawo wolnego wyboru: złączenia się z Opatrznością przez urzeczywistnianie prawdy lub też wprzęgnięcie się w jarzmo losu przez kroczenie po drodze błędu. Akt woli w łączności z aktem intelektu jest punktem matematycznym jedynie, z punktu tego wszelako wytryska wszechświat duchowy. Umysł każdego człowieka przeczuwa instynktownie cząstkę tego, co intelekt teozofa ogarnia w całości, mianowicie, że Złem jest to, co strąca człowieka w jarzmo materii, Dobrem — co wznosi go ku boskiemu prawu Ducha. Prawdziwym jego przeznaczeniem jest wznoszenie się coraz wyżej wysiłkiem własnej woli. Ażeby osiągnąć to — musi on mieć jednakże wolność staczania się na samo dno. Krąg wolności rozszerza się do granic nieskończonych w miarę wznoszenia się na wyżyny; kurczy się on do nieskończoności w miarę staczania się w dół. Im wyżej człowiek się wznosi, tym się staje wolniejszym; im głębiej bowiem przenika w sferę jasności, tym więcej zdobywa siły do dobrego. Im niżej stacza się człowiek, tym bardziej staje się niewolnikiem. Bowiem każde stoczenie się w odmęty zła osłabia poznanie prawdy i zdolność do dobra. Los panuje więc nad przeszłością, wolność nad przyszłością, zaś Opatrzność nad jedną i drugą, zatem nad teraźniejszością, nad wiecznym „teraz“, które nazywać można Wiecznością¹⁾. Łączne działanie Losu, Wol-

¹⁾ Idea ta wypływa logicznie z trójcy ludzkiej i boskiej, z troistości mikro- i makrokosmu, którą wyłożyliśmy w roz-

ności i Opatrzności rodzi niezliczone przeznaczenia, piekła i raje dusz. Zło, jako niezgodność z prawem boskim, nie jest dziełem Bożym, lecz dziełem człowieczym; istnienie jego jest względne, pozorne i przejściowe. Jedynie Dobro, zgodne z prawem boskim, istnieje rzeczywiście i wiekuście. Ani kapłani delficy, eleuzyńscy, ani filozofowie wtajemniczeni nie chcieli nigdy wyjawiać tych głębokich myśli tłumowi, który mógłby opacznie je rozumieć i nadużywać ich. W Misteriach przedstawiano doktrynę tę symbolicznie przez rozczłonkowanie Dionizosa, przy czym wszakże okrywano nieprzeniknioną dla profanów zasłoną to, co nazywano **cierpieniem Boga**.

Najżarliwsze spory religijne i filozoficzne obracają się dokoła źródła dobra i zła. Widzieliśmy, że arkana doktryny ezoterycznej są kluczem do tego zagadnienia. Istnieje inna jeszcze kwestia zasadnicza, od której zależy problemat socjalny i polityczny, sprawa **nierówności warunków życia ludzkiego**. Widok zła i cierpienie ma w sobie coś przerażającego. Dodać można, iż dowolny i niesprawiedliwy na pozór podział ich jest źródłem wszelkich nienawiści, wszelkich buntów i wszelkich przeczeń. I tutaj głęboka doktryna rozprasza nasze mroki ziemskie najwyższym światłem pokoju i nadziei. Różnorodność dusz, warunków i przeznaczeń usprawiedliwić się daje w istocie jedynie wielorakością bytów oraz doktryną ponownych wcieleń. Gdyby bowiem człowiek rodzić się miał po raz pierwszy w tym życiu — jak można byłoby wytłumaczyć niezliczone klęski, które zdają się dotyczyć go za sprawą ślepego trafu? Jak uwierzyć w istnienie wiekuistej sprawiedliwości, skoro jedni rodzą się w warunkach nieuniknienie pociągających za sobą nędzę i poniżenie, gdy inni przychodzą na świat w dobrobycie i wiedzą żywot szczęśliwy? O ile wszakże prawdą jest, że przeszliśmy już przez inne życia i że przechodzić mamy przez jeszcze inne, że poprzez wszystkie te istnienia podlegamy prawu powrotności i odwetu — w takim razie

działach poprzednich. Stosunek metafizyczny Losu, Wolności i Przeznaczenia cudownie wyprowadzony został przez Fabra d'Olivel w jego komentarzu do **Wierszy złotych Pytagorasa**.

uznać musimy, że odmienność dusz, warunków i przeznaczeń jest wynikiem żywotów uprzednich oraz wielorakich zastosowań tego prawa. Różnice warunków wpływają z nierównego korzystania z wolności w żywotach poprzednich; zaś różnice umysłowe z tego, że ludzie, przebywający na ziemi w ciągu jednego stulecia, są przedstawicielami niesłychanie różnych stadiów rozwoju, zaczynając od stanu na pół zwierzęcego biednych, cofających się w swoim pochodzie, ras ludzkich, potem sięgając do anielskich stanów istot świętych i kończąc na boskim panowaniu geniuszu. Ziemia podobna jest w rzeczywistości do wielkiego okrętu, zaś my wszyscy, którzy ją zamieszkujemy — do podróźnych, przybywających z dalekich krajów i rozpraszających się etapami po różnych punktach widnokręgu. Doktryna kolejnych wcieleń uzasadnia, na podstawie sprawiedliwości i logiki wiekuistej, zarówno klęski najstraszliwsze, jak szczęście najdoskonalwsze, wzbudzające największą zazdrość. Niedorozwój idioty wyda nam się zrozumiałym, o ile pomyślimy, że jego tępota, której jest na pół świadomy i nad którą boleje, jest karą za występne wyzyskiwanie inteligencji w życiu poprzednim. Wszystkie odcienie cierpień fizycznych czy moralnych, szczęścia i nieszczęścia w niezliczonych ich odmianach wydadzą się nam naturalnymi i mądrze stopniowanymi wpływami popędów i czynów, wad i cnót długotrwałej przeszłości, bowiem dusza przechowuje w swoich tajemnych głębiach wszystko, co nagromadziła podczas wielorakich bytowań swoich. Nawarstwienia dawne zjawiają się i znikają, zależnie od chwili i wpływu; przeznaczenie zaś, a raczej duchy nim kierujące, zastosowują rodzaj ponownego wcielenia do poziomu duszy i jej jakości. Lizys wypowiada symbolicznie prawdę tę w swoich **Złoty Wierszach**:

„Pojmiesz, że klęska, co ludzi pożera,
To wynik dowolny wyboru własnego,
I ujrzysz także, iż ci nieszcześliwi
Zdała od siebie szukają dobrego,
Które w ich własnym ukryte jest łonie“.

Doktryna ta nie tylko nie osłabia poczucia braterstwa i solidarności ludzkiej, lecz — przeciwnie — może je

wzmocnić jedynie. Obowiązani jesteśmy nieść wszystkim pomoc, mieć dla wszystkich współczucie i miłosierdzie; wszyscy bowiem jesteśmy dziećmi tej samej rasy, jakkolwiek osiągnęliśmy różne szczeble rozwoju. Cierpienie każde jest świętością, albowiem ból jest ogniem probierczym duszy. Wszelkie współczucie jest boskie; pozwala nam ono bowiem odczuć, jak gdyby prądem magnetycznym, łańcuch niewidzialny, wiążący z sobą wszystkie światy. Cnota cierpienia jest źródłem geniuszu. Tak mędrzy i święci, prorocy i boscy twórcy jaśnieją bardziej wzruszającym pięknem dla tych, którzy wiedzą, że i te istoty wyższe są ogniwami rozwoju wszechświata. Przez ile żywotów przejść musiała ta zdumiewająca nas siła? Ilu dokonać musiała zwycięstw, aby stanąć na takiej wyżynie? A to wrodzone światło geniuszu ilu nieb przebytych jest darem? Nic o tym nie wiemy. Życia te jednak były i niebiosa te istnieją. Nie myli się zatem świadomość ludów, nie były kłamstwem słowa proroków, nazywające tych ludzi synami Boga, wysłannikami nieba głębokiego. Bowiem wiekuista prawda wskazała im posłannictwo ich; strzegą ich legie niewidzialne i przez usta ich mówi Słowo żywe!

Zachodzą pomiędzy ludźmi różnice, będące wpływem pierwotnej jaźni osobników; zachodzą inne — jak mówiliśmy — wynikające ze stopnia duchowego rozwoju, jaki osobniki te osiągnąć zdołały. Pod tym względem przyjęto, że ludzie mogą uszeregować się w cztery grupy, obejmujące wszystkie podziały i wszystkie odcienie.

1^o) U znacznej większości ludzi wola działa nade wszystko w ciele. Ludzi takich nazwać można **instynktowcami**. Zdatni są oni nie tylko do prac cielesnych, lecz również i do ćwiczenia i rozwijania umysłu swojego w świecie fizycznym, zatem do handlu i przemysłu.

2^o). Na drugim stopniu rozwoju człowieka wola, a jako wynik jej, świadomość ma siedlisko w duszy, to znaczy we wrażliwości, na którą oddziałują intelekt, co stwarza pojmowanie. Są to **animicy** czyli **uczuciowcy**.

Zależnie od temperamentu nadają się oni na wojowników, artystów lub poetów. Znaczna większość piszących i uczonych należy do tego gatunku. Żyją oni bowiem pojęciami względnymi, modyfikowanymi przez uczucia lub

też zamkniętymi w ograniczonym widnokregu i nie mogą wznieść się na wyżyny idei czystej, ogarniającej wszechświaty.

3^o) U ludzi grupy trzeciej, znacznie rzadziej spotykanych, wola zwykła działać głównie i wszechwładnie w czystym intelekcie, wyzwalać rozum w jego funkcji specjalnej z jarzma namiętności i zapór materii, co nadaje wszystkim ich, urobionym przez nich, pojęciom charakter ogarniania wszechświatów. Są to **intelektualiści**. Z ludzi takich rodzą się bohaterowie-męczennicy za ojczyznę, poeci pierwszego rzędu, wreszcie — i nade wszystko — prawdziwi filozofowie i mędracy, słowem ci, którzy — zdaniem Pytagorasa i Platona — winniby sprawować rządy nad ludzkością. W ludziach tych nie wygasało uczucie, bez którego nic się nie dzieje; stanowi ono ogień i elektryczność w świecie moralnym. Z tą wszakże różnicą, że w nich uczucia stały się służebnicami rozumu, gdy — przeciwnie — u grupy poprzedniej rozum bywa najczęściej sługą uczuć.

4^o) Najwyższy ideał człowieczy ziszcza czwarta grupa ludzi, którzy z panowaniem rozumu nad duszą i nad instynktem łączą władztwo woli nad całą swoją istotą. Dzięki opanowaniu i zdobyciu wszystkich swoich władz sprawują oni rządy świata. Osiągnęli jedność w troistości ludzkiej. Dzięki temu cudownemu ześrodkowaniu, obejmującemu wszystkie potęgi życia, ich wola — przenosząc się na innych — zdobywa siłę nieograniczoną niemal, promienny i twórczy dar czarodziejski. Ludzie tacy różne nosili imiona w dziejach. Są to prawzory ludzi, **adepci**, **wielcy wtajemniczeni**, wzniosłe geniusze, przeistaczające ludzkość. Są oni zjawiskiem tak rzadkim, że można policzyć ich na palcach w historii. Opatrzność sieje ich w długich odstępach czasu, jak gwiazdy na niebie¹⁾.

Oczywiście, ta ostatnia kategoria wymyka się spod wszelkich reguł, z ram wszelkiej klasyfikacji. Natomiast

¹⁾ Ta klasyfikacja ludzi odpowiada czterem stopniom wtajemniczenia pytagorejskiego — i stanowi podstawę wszystkich wtajemniczeń aż do wolnomularzy pierwotnych właściwie, którzy posiadli kilka okrucich doktryny ezoterycznej. — por. Fabre d'Olivet, **Złote wiersze Pytagorasa**.

ustrój społeczny nie liczący się z właściwościami trzech pierwszych kategorii, nie wprzegający każdej z nich do pełnienia jej funkcji normalnej i nie dostarczający jej środków potrzebnych do jej rozwoju — byłby jedynie zewnętrznym, a nie **organicznym**. Rzecz jasna, że w epoce pierwotnej, sięgającej czasów wedyckich, Bramini indyjscy oparli podział społeczności na kasty na zasadzie troistości. Z czasem wszakże podział ten, tak słuszny i owocny, przeistoczył się w przywilej kapłaństwa i arystokracji. Zasada powołania i wtajemniczenia ustąpiła miejsca zasadzie dziedziczenia. Kasty zamknięte skamieniały z czasem, powodując nieunikniony i bezpowrotny upadek Indii.

Egipt, który zachował za wszystkich Faraonów ustrój, oparty na troistości, z ruchomością i dostępnością jego kast i z zasadą wtajemniczenia, stosowaną do kapłaństwa; z egzaminem, od którego wyniku zależało sprawowanie funkcji cywilnych i wojskowych — przetrwał w ciągu pięciu czy sześciu tysięcy lat, nie zmieniając tego ustroju.

Co się tyczy Grecji, jej ruchliwy temperament sprawił, że zmieniła ona rychło ustrój arystokratyczny na demokratyczny, a ten z kolei na tyranję. Obracała się ona w tym zaczarowanym kole, jak chory, który przechodzi od gorączki do letargu, aby znów później powrócić do stanu gorączkowego. Może potrzebne jej było to podniecenie, aby dokonać mogła swojego niezrównanego dzieła: przełożenia głębokiej lecz mglistej mądrości Wschodu na język jasny, zrozumiały dla wszystkich; stworzenia Piękna przez Sztukę i założenia podwalin pod gmach wiedzy dostępnej i rozumowanej, jaka zastąpiła intuicyjne, ukryte wtajemniczenie. Zasadzie wtajemniczenia zawdzięcza ona wszelako ustrój swojej religii oraz najwyższe swoje natchnienia. Pod względem społecznym i politycznym żyła ona zawsze niejako tymczasowością i nadmiarem. Jako adept, ogarnął Pytagoras z wyżyn wtajemniczenia zasady wiekuiste, rządzące światem, powziął też plan wielkiej, opartej na tych prawdach, reformy. Przekonamy się niebawem, w jaki sposób on i jego szkoła rozbili się o burzliwe fale demokracji.

Z nieskalanych szczytów doktryny rozwija się życie światów w rytmie Wiekuistości; wspaniała epifania!

W czarodziejskich wszakże promieniach odsłoniętego firmamentu ziemia, ludzkość i życie rozwierają przed nami tajemne swoje głębie. Chcąc czuć obecność Boga, odnaleźć należy nieskończenie wielkie w nieskończenie małym.

Tego właśnie doświadczali uczniowie Pytagorasa, kiedy na uwieńczenie swoich nauk wskazywał im mistrz, w jaki sposób Prawda wiekuista objawia się w związku małżeńskim, łączącym Mężczyznę i Kobieta. Piękno liczb świętych, o jakich usłyszeli i jakie podziwiali w Nieskończoności, odnaleźć mieli w samym łonie życia, a Bóg rozdził się dla nich w wielkim tajniku Płci i Miłości.

Starożytność zrozumiała prawdę podstawową, której nie doceniały wieki następne. Kobięcie do należytego spełnienia jej posłannictwa małżonki i matki potrzebne jest wtajemniczenie specjalne. Stąd wtajemniczenie czysto żeńskie, to znaczy przeznaczone wyłącznie dla kobiet. Istniało ono już w Indii, w czasach wedyckich, kiedy kobieta była kapłanką ołtarzy domowych. W Egipcie sięga ono Misteriów Izdy. W Grecji podstawy jego założył Orfeusz. Aż do wygaśnięcia pogaństwa widzimy je w Misteriach Dionizyjskich, jak również w świątyniach Junony, Diany, Minerwy i Cerery. Polegało ono na obrzędach symbolicznych, na ceremoniach, na uroczystościach nocnych, a potem — na nauczaniu specjalnym, prowadzonym przez starsze kapłanki lub też przez arcymistrza, a dotyczącym najintymniejszych spraw życia małżeńskiego. Dawano rady i przepisy, mające na względzie wzajemny stosunek płci, wskazywano pory roku i miesiąca, sprzyjające szczęśliwym poczęciom. Doniosłą wagę nadawano moralnej i fizycznej higienie kobiety ciężarnej, ażeby dzieło święte — stworzenie dziecka — spełnić się mogło wedle praw boskich. Uczono, słowem, znajomości życia małżeńskiego i sztuki macierzyństwa. Ta ostatnia sięgała daleko poza moment narodzin. Do siedmiu lat pozostawały dzieci pod wyłącznym kierunkiem matki w gynecium, do którego mąż nie miał wstępu. Mądra starożytność uważała dziecko za wątłą roślinkę, wymagającą ciepłej atmosfery macierzyńskiej, aby nie ulec wypaczeniu. Ojciec zniekształciłby ją. Do rozwoju jej konieczne są pocałunki i pieszczoty matki, niezbędna jest miłość po-

tężna i chroniąca, aby ustrzec przed zamachami zewnętrznymi tę duszę, którą przeraża życie.

Dzięki wywiązywaniu się z pełnią świadomości z wysokich zadań tych, uważanych przez starożytność za funkcje boskie, kobieta była istotną kapłanką rodziny, strażniczką świętego ognia życia, siły pokoleń, trwałości rodów w starożytności greckiej i rzymskiej¹⁾.

Ustanawiając w Instytucie swoim oddział dla kobiet, oczyścił tylko Pytagoras i pogłębił to, co istniało już przed nim. Kobiety, wtajemniczane przez niego, otrzymywały, wraz ze znajomością rytuału, przepisy i zasady najwyższe swoich funkcji. Tym, które były tego godne, dawał on też świadomość ich posłannictwa. Wyjawiał przekształcanie się miłości w małżeństwie doskonałym, które jest wzajemnym przenikaniem się dwu dusz w samym ośrodku życia i prawdy. Czyż bowiem mężczyzna siłą swoją nie uosabia pierwiastka i ducha twórczego? A kobieta czyż całą potęgą swoją nie personifikuje natury w jej sile plastycznej, w jej ziszczeniach cudownych, ziemskich i boskich? Jeśli więc dwie istoty przenikną się wzajem jak najściślej ciałem, duszą i umysłem — uosobią one w doskonałym zespole swoim streszczenie świata. Ażeby wszakże uwierzyć w Boga, musi kobieta widzieć żywe odbicie jego w mężczyźnie; w tym celu musi mężczyzna być wtajemniczonym. Tylko taki jedynie mężczyzna zdolny będzie głęboką swoją znajomością życia, swoją wolą twórczą zapłodnić duszę kobiecą, przeistoczyć ją miarą ideału boskiego. A ideał ten, spotęgowany wielokrotnie, tworzy mężczyźnie kobieta ukochana współdrżaniem myśli swoich, swoją subtelną wrażliwością, swoim głębokim przeczuwaniem. Odbija ona dlań, niby tafla lustrzana, obraz jego przetworzony entuzjazmem; staje się jego ideałem. **Urzeczywistnia** ideał ten potęgą miłości we własnej swojej duszy. Przez nią staje się ideał żywym i widowym, staje się krwią i ciałem. Gdy

¹⁾ Monteskiusz i Michelet są jedynymi prawie autorami, którzy zwrócili uwagę na wysoką wartość małżonek greckich. Żaden z nich wszakże nie zauważył przyczyny tego objawu, przytoczonej tutaj przeze mnie.

bowiem mężczyzna stwarza mocą pożądaną i woli, kobieta rodzi fizycznie i duchowo przez miłość.

W roli kochanki, małżonki, matki czy wtajemniczonej nie jest kobieta mniej wielką niż mężczyzna, jest natomiast bardziej od niego boską. Bowiem kochać — znaczy zapomnieć o samym sobie. Kobieta, która kocha z zaparciem się samej siebie i zatraceniem własnej jaźni, jest zawsze wzniosłą. W tym unicestwieniu się znajduje ona odrodzenie swoje niebiańskie, swój wieniec świetlany i nieśmiertelną promiennność swojej istoty.

Miłość panuje wszechwładnie w literaturze współczesnej od dwu stuleci. Nie jest to miłość czysto zmysłowa, którą rozplómienia piękno ciała, jak u poetów starożytnych; nie jest ona również mdłym kultem ideału oderwanego i umównego, jak w średniowieczu; nie — ta miłość, zarazem zmysłowa i psychiczna, rozpalona z całą swobodą i pełnią fantazji osobniczej, daje wolny bieg uczuciu. Najczęściej obie płcie zwalczają się wzajem w samej tej miłości. Kobieta burzy się przeciwko egoizmowi i brutalności mężczyzny, a mężczyzna ma pogardę dla obłudy i próżności kobiety; ze stron obojga — gra zmysłów, wściekłość bezsilna ofiar rozkoszy, niewolników rozpusty. A pośród tego — uczucie głębokie, pociąg niepohamowany i tym potężniejszy, że natrafiający na zapory w postaci konwencjonalizmu życia towarzyskiego i ustroju społecznego. Stąd miłość burzliwa, pełna wyboistości moralnych, katastrof tragicznych, dokoła których obraca się prawie wyłącznie powieść i dramat współczesny. Rzec możnaby, że mężczyzna znużony, nie znalazłszy Boga ani w nauce, ani w religii, szuka go zapamiętałe w kobiecie. I dobrze czyni; odnajdzie go on wszakże w Niej, i wzajem Ona w Nim, tylko poprzez wtajemniczenie się w prawdy wielkie. Jakaś żądza niezmierną przeniknięcia się wzajem, znalezienia w tym doskonałym zespole wymarzonego szczęścia, pociąga ku sobie te dusze, nieznające jedna drugiej i nieznające samych siebie, te dusze, które rozchodzą się czasem, wzajem sobie zlorzecząc. Pomimo wynikających stąd zbroczeń i rozpasania, to rozpaczliwe szukanie się wzajem jest potrzebne; jest ono wpływem boskiej nieświadomości. Będzie punktem zwrotnym i źródłem budowania przyszłości. Bowiem, kiedy mocą miłości

głębokiej i wtajemniczenia mężczyzna i kobieta odnajdą się wzajem i odnajdą samych siebie, związek ich stanie się ideałem siły promieniującej i twórczej.

Od niedawna dopiero weszła do literatury, a przez nią do świadomości powszechnej, miłość duchowa, miłość — żądza duszy. Źródłem jej jest wszelako wtajemniczenie starożytne. Jeśli literatura grecka daje zaledwie jej przebliski, jest to wynikiem faktu, że była ona niesłychanie rzadkim w jej epoce wyjątkiem. Wpłynęła na to również głęboka tajemnica Miśteriów. Mimo to przechowała tradycja religijna i filozoficzna ślad istnienia kobiety wtajemniczonej. Poza poezją i filozofią oficjalną ukazują się kilka napół przysłoniętych, lecz świetlistych postaci kobiecych. Znamy już pytię Teokleę, którą natchnął Pytagoras; w następstwie poznamy kapłankę Korynnę, szczęśliwą często współzawodniczkę Pindara, najbardziej wtajemniczonego z liryków greckich i wreszcie ukazują się na uczcie Platona tajemnicza Diotima, dająca najwyższe wyjaśnienie istoty Miłości. Obok wszakże tych wyjątkowych ról pełniła kobieta grecka rzeczywiste posłannictwo swoje kapłanki ogniska domowego i gyneceum. Jej dziełem twórczym byli bohaterowie, artyści, poeci, których śpiewy, rzeźby i wzniosłe czyny tak gorąco wielbimy. Ona to poczęła ich w tajemnicy miłości swojej, ukształtowała ich w łonie swym upragnieniem piękna, pod którego wpływem rozkwitli, ogrzani ciepłem jej skrzydeł macierzyńskich. Dodajmy, że dla mężczyzny i kobiety prawdziwie wtajemniczonych poczęcie dziecka ma znaczenie nieskończenie piękniejsze, doniosłość większą znacznie aniżeli dla nas. Gdy matka i ojciec wiedzą, że dusza dziecka istniała już przed ziemskimi jego narodzinami, staje się poczęcie aktem świętym, wezwaniem duszy do wcielenia się. Pomiędzy matką a duszą wcieloną zachodzi zawsze głęboki stosunek podobieństwa, powinowactwa duchowego. Matki złe i przewrotne przyciągają duchy demoniczne, matki kochające — duchy boskie. A czyż ta dusza niewidzialna, na którą czekamy, która przyjdzie i przychodzi — tak tajemniczo i z tak niewątpliwą pewnością — nie jest rzeczą boską? Jej narodziny, jej uwięzienie w ciele będzie przejściem bolesnym. Jakkolwiek

bowiem pomiędzy nią a niebem, które świeżo porzuciła, rozpostarła się — o ile zatraciła ona pamięć o niem — gęsta zasłona, nie zmniejsza to bynajmniej jej bólu! Świętym więc i boskim jest zadanie matki, która musi stworzyć nowe dla niej siedlisko, osłodzić jej przykrość więzienia i ułatwić oczekujące ją przejście.

Tak więc nauczanie Pytagorasa, rozpoczęte w głębiach Absolutu od Trójcy Boskiej, kończyło się w samym źródle życia trójcą ludzką. W Ojcu, Matce i Dziecięciu nauczył się już wtajemniczony rozpoznawać Ducha, Duszę i Serce żywego wszechświata. To ostatnie wtajemniczenie zakładało dla niego podwaliny dzieła społecznego, poczętego na wyżynie w całym pięknie ideału; rozpoczynało budowę gmachu, do którego każdy z wtajemniczonych własną dorzucić miał cegielkę.

IV

RODZINA PYTAGORASA — SZKOŁA I JEJ LOSY

Pośród niewiast, słuchających nauk mistrza, znajdowała się młoda dziewczyna niezwyklej urody. Ojciec jej, Krotończyk, nazywał się Brontinos. Jej zaś imię brzmiało: Teano. Pytagoras dobiegał wówczas sześćdziesiątki. Bezwzględne jednak opanowanie namiętności i życie czyste, poświęcone niepodzielnie szczytnemu posłannictwu, sprawiły, iż zachował w całej nietykalności swą męską siłę. Młodość duszy, ów płomień nieśmiertelny, jaki wielki wtajemniczony czerpie w swoim życiu duchowym i jaki zasilają tajemnicze siły natury, promieniała w nim, jednając mu i podbijając całe otoczenie. Czarodziej grecki nie był u schyłku, lecz w rozkwicie swojej potęgi. Nadludzka niemal promiennosc, jaką tchnęła cała jego istota, pociągnęła Teano ku Pytagorasowi. Poważna, skupiona, niejednokrotnie już szukała ona w naukach mistrza wytłumaczenia tajemnic, które kochała, nie rozumiejąc ich. Kiedy wszakże w promieniach prawdy, w słodkim, ogarniającym ją stopniowo, ciepłe uczuła, że dusza jego rozkwita w głębi własnej jej istoty tysięczlistną różą mistyczną, kiedy zrozumiała, że rozkwit ten jest dziełem jego jaźni i jego słów — zapalała bezgranicznym dla mistrza uwielbieniem i miłością gorącą, którą taila w głębi serca.

Pytagoras nie starał się pociągnąć jej. Uczucia swoje dzielił pomiędzy wszystkich uczniów. Myślał jedynie

o swojej szkole, o Grecji, o przyszłości świata. Jak wielu wielkich adeptów, wyrzekł się kobiety, ażeby oddać się niepodzielnie swojemu dziełu. Czarodziejski dar jego woli, władza duchowa nad tyloma duszami, ukształtowanymi przez niego i oddanymi mu jak ubóstwianemu ojcu, wonny, idący ku niemu opar mistyczny tyłu miłości tajonych w milczeniu, oraz aromat ów cudowny sympatii ludzkiej, jaka łączyła wszystkich braci pytagorejskich — wszystko to zastępowało mu rozkosze płciowe, szczęście i miłość. Pewnego dnia wszakże, kiedy rozmyślał samotnie w krypcie Prozerpiny o swojej przyszłości, ujrzał, zbliżającą się ku niemu poważną i stanowczą piękną dziewczynę, do której nigdy nie przemawiał w cztery oczy. Uklękła przed nim i, nie podnosząc głowy pochylonej aż do ziemi, błagała mistrza — jego, który mógł uczynić wszystko! — aby uleczył ją z miłości niemożliwej i nieszczęśliwej, toczącej jej ciało i pożerającej duszę. Pytagoras chciał poznać imię tego, którego pokochała. Po długich wahaniach wyznała Teano, że to on sam jest owym wielbionym, dodając, że gotowa jest poddać się we wszystkim jego woli. Pytagoras nie odpowiedział nic. Milczenie to dodawało jej otuchy, podniosła więc głowę i ogarnęła go spojrzeniem błagalnym, z którego biła potęga życia i czar duszy, złożonej w ofierze na ołtarzu bezgranicznej miłości do mistrza.

Mędrzec wstrząśnięty był do głębi; i chociaż umiał pokonywać zmysły i zdławić wyobraźnię, wszelako błysk duszy tej przeniknął własną jego duszę. W dziewicy tej, którą miłość uczyniła dojrzałą i którą przeistoczyła myśl oddania się bezwzględne, znalazł towarzyszkę życia i przeczuł możliwość pełniejszego ziszczenia swojego dzieła. Gestem pełnym wzruszenia podniósł Pytagoras młodą dziewczynę. I wyczytać już mogła Teano w oczach mistrza, że przeznaczenia ich splotły się na wieki.

Poślubienie Teano było **pieczęcią urzeczywistnienia**, nałożoną przez mistrza na jego dzieło. Zespolenie się, zlanie obu istnień było zupełne.

Pewnego dnia zapytano małżonkę mistrza, jak długiego okresu czasu wymaga oczyszczenie kobiety po ob-

cowaniu z mężczyzną. „Jeśli uczyniła to z mężem swoim, jest czystą natychmiast; jeśli z obcym — nigdy“ — brzmiała odpowiedź Teano. Wiele kobiet powie z uśmiechem, że do wyrzeczenia słów takich należy być żoną Pytagorasa i kochać go, jak kochała go Teano.

Mają one słuszność. Bowiem nie małżeństwo jest uświęceniem miłości, przeciwnie, miłość usprawiedliwia małżeństwo. Teano tak całkowicie wniknęła w głąb myśli swego męża, że, po jego śmierci, stała się ostoją Bractwa Pytagorejskiego i że jeden z autorów greckich przytacza zdanie jej o doktrynie Liczb, jako zdanie autorytetu. Dała ona Pytagorasowi dwóch synów: Arymnesta i Telaugesa oraz córkę: Damo. Telauges był w następstwie nauczycielem Empedoklesa i przekazał mu tajniki doktryny.

Rodzina Pytagorasa służyła bractwu za wzór prawdziwy. Dom jego nazwano świątynią Cerery, a dziedziniec — świątynią Muz. Podczas uroczystości rodzinnych prowadziła matka choreje¹⁾ niewiast, a Damo — choreje młodych dziewcząt. Damo była pod każdym względem godną swej matki i ojca. Powierzył jej Pytagoras swoje pisma, zakazując bezwzględnie zapoznawania z ich treścią ludzi, nienależących do jego rodziny. Po rozproszeniu się Bractwa Pytagorejskiego wpadła Damo w ostateczną nędzę. Ofiarowywano jej znaczne sumy za cenny rękopis. Wierna wszakże woli ojca odmawiała stale ich wydania.

Pytagoras pozostawał przez trzydzieści lat w Krotonie. W ciągu lat dwudziestu niezwykły ten człowiek zyskał tak wielką władzę, że ci, co pół-bogiem go nazwali, nie zdawali się przesadzać. Wpływ ten wkraczał w zakres cudowności niejako; żaden z filozofów nie posiadał nigdy podobnego. Ogarniał on nie tylko szkołę krotońską oraz rozgałęzienia jej w innych miastach wybrzeża italskiego, lecz również i politykę wszystkich tych państweczek. Pytagoras był reformatorem w całym znaczeniu tego słowa.

¹⁾ **Choreja** — składała się w równym stopniu z poezji, muzyki i tańca, poświęconych bóstwu. (Przyp. tłum.).

Krotona, osada achajska, miała ustrój arystokratyczny. **Rada tysiąca**, złożona z przedstawicieli wielkich rodów, sprawowała tu władzę prawodawczą i rozciągała pieczę nad władzą wykonawczą. Istniały zgromadzenia ludowe, władza ich wszakże była ograniczona. Pytagoras, pragnący, aby Państwo było ładem i harmonią, zarówno nie uznawał ucisku oligarchii jak chaosu demagogii. Przyjmując tedy ustrój dorycki takim, jakim on był, usiłował jedynie wprowadzić do jego maszyny nowe koło. Myśl była śmiała: utworzenie, ponad władzą polityczną, władzy naukowej, mającej głos rozważający i doradczy w sprawach zasadniczych i stanowiących główny ośrodek, najwyższą sprężynę regulacyjną Państwa. Ponad Radą Tysiąca zorganizował **Radę Trzystu**, obieraną przez tamtą, lecz wyłącznie spośród wtajemniczonych. Liczba ich wystarczająca była, aby podołać zadaniu. Porfiriusz opowiada, że dwa tysiące obywateli krotońskich porzuciło zwykły swój tryb życia i zrzęszyło się, aby wraz z żonami i dziećmi, połączywszy we wspólne dobro swoje majątki, wieść żywot zjednoczonego bractwa. Pytagoras chciał więc postawić na czele Państwa rząd wiedzy mniej tajemnej, lecz mający równie wysokie stanowisko jak kapłaństwo egipskie. To, co urzeczywistnił on na czas pewien, pozostało marzeniem wszystkich wtajemniczonych, którzy zajmowali się polityką: wprowadzić żywioł wtajemniczenia i badania do rządów państwowych i pogodzić w tej syntezie najwyższą zasadę obieralności, a więc zasadę demokratyczną, z zasadą rządu, opartego na doborze rozumu i cnoty.

Rada Trzystu utworzyła zatem rodzaj zakonu politycznego, naukowego i religijnego, na którego czele stanął z natury rzeczy Pytagoras. Zobowiązywano się wobec niego uroczystą, straszliwą przysięgą do zachowania bezwzględnej tajemnicy, jak w Misteriach. Towarzystwa takie, czyli **hetairie**, rozszerzyły się z Krotony, gdzie była hetairia macierzysta, po wszystkich niemal miastach Wielkiej Grecji, w których wywierały wpływ potężny na bieg polityki. Bractwo Pytagorejskie dążyło do objęcia

władzy kierowniczej nad państwem w całej południowej Italii.

Rozgałęzienia jego sięgały Tarentu, Heraklei, Matapontu, Regium, Himery, Katany, Agrygentu, Sybarysu i, jak utrzymuje Arystoksenes, szły aż do Etrusków. Co zaś do wpływu Pytagorasa na rządy tymi wielkimi i bogatymi grodami, trudno wyobrazić sobie wpływ podnioslejszy, bardziej liberalny, bardziej pokojowy i kojący. Gdziekolwiek się zjawił, przywracał lub sprowadzał ład, sprawiedliwość i zgodę. Wezwany przed oblicze jednego z tyranów sycylijskich, zniewolił go potęgą swojego słowa do wyrzeczenia się nieprawnie zdobytych bogactw i złożenia podstępnie zagarniętej władzy. Miastom, które podlegały sobie wzajem, zapewnił niezależność i wolność. Jego działalność tak dalece była dobroczynna, że kiedy udawał się na objazd miast, mówiono: „Nie przychodzi nauczać, lecz uleczać“.

Przemożny wpływ wielkiego umysłu i wielkiego charakteru, władza czarodziejska duszy i intelektu tym straszliwszą budzą zawiść, tym gwałtowniejszą rodzą nienawiść, im wyżej stoją ponad wszelkie napaści. Panowanie Pytagorasa trwało już od ćwierćwieku, adept niestrudzony dobiegał już lat 90-iu, kiedy przyszła reakcja. Iskra wybuchła we współzawodniczącym z Krotonem mieście Sybarys w postaci powstania ludowego, którego wynikiem była porażka stronnictwa arystokratycznego. Pięćset wygnańców schroniło się pod opiekę Krotończyków, Sybaryci zażądali wszelako wydania ich. W obawie pomsty ze strony wrogiego grodu zamierzała Rada miasta przychylić się do tego żądania, natrafia wszakże na opór Pytagorasa. Za jego wstawiennictwem odmówiono wydania nieszczęśliwych, błagających o opiekę ofiar w ręce ich zaciętych wrogów. Wynikiem tej odmowy było wytoczenie Krotonowi wojny przez Sybarys. Armia Krotończyków, pod wodzą jednego z uczniów Pytagorasa, słynnego atlety, Milona, zadała Sybarytom klęskę zupełną, zakończoną zdobyciem ich miasta, obrabowaniem go, zniszczeniem do tła i przeistoczeniem w kupę gruzów. Niepodobna przypuścić, aby podobny odwet dokonany

został za zgodą Pytagbrasa. Zbyt rażącym był on przeciwieństwem jego zasad, jak w ogóle zasad wszystkich wtajemniczonych. Ani oni wszakże, ani Milon nie byli w stanie opanować rozkiełznanych namiętności zwycięskiej armii, podsycanych odwieczną zawiścią obu miast i podniecnych niesprawiedliwą napaścią.

Wszelki akt zemsty, zarówno ze strony poszczególnych jednostek jak całych narodów, odbija się echem zwrotnym w rozpętaniu namiętności. Nemezys pomsty Krotończyków wybuchła w całej grozie: wyniki jej zawisły swoim ciężarem na losach Pytagorasa i jego Bractwa. Po wzięciu Sybarydy lud zażądał podziału ziemi. Nie zadowolniając się otrzymaniem jej, zaproponowało stronnictwo demokratyczne zmianę ustroju, odbierającą przywileje Radzie Tysiąca i znoszącą Radę Trzystu, uznającą odtąd za jedyny autorytet głosowanie powszechne. Rzecz naturalna, że Pytagorejczycy, wchodzący w skład Rady Tysiąca, przeciwstawili się reformie, niezgodnej z ich zasadami i podcinającej w korzeniu dzieło ich mistrza. Już od dawna byli Pytagorejczycy przedmiotem głuchej nienawiści, jaką tajemniczość i wyższość budzą zawsze wśród tłumu. Ich stanowisko polityczne rozpałiło przeciwko nim wściekłość demagogii. Nienawiść osobista, żywiona dla osoby mistrza, przyspieszyła wybuch.

Pewien Krotończyk, imieniem Cylon, zjawił się niedługo w Szkole w charakterze aspiranta. Pytagoras, bardzo surowy w przyjmowaniu uczniów, odrzucił go z powodu gwałtowności i krewkości jego charakteru. Oddalony ten kandydat stał się dyszącym nienawiścią przeciwnikiem Zakonu. Korzystając ze zwrócenia się opinii publicznej przeciwko Pytagorasowi, założył on klub jego przeciwników, wielkie zrzeszenie ludowe. Udało mu się przyciągnąć na swoją stronę głównych przywódców ludu, z których pomocą zorganizował w zrzeszeniach swoich rewolucję, rozpocząć się mającą od wypędzenia Pytagorejczyków. Wobec wzburzonego tłumu wstąpił Cylon na trybunę i odczytał wyjątki, wykradzione z tajemnej księgi Pytagorasa, noszącej miano Mowy Świętej (*hieros logos*). Wyjątki te celowo przeinaczył i wypaczył. Kilku

mówców usiłowało obronić „braci milczenia“, umięjących uszanować nawet zwierzęta. Wybuchy śmiechu były im odpowiedzią. Cylon kilkakrotnie schodził z trybuny i wchodził na nią. Wykazał, że przykazania religijne Pytagorasa zagrażają wolności. „I nie tylko to — dodaje trybun. Kim jest ów mistrz, ów rzekomy pół-bóg, któremu reszta ślepo jest posłuszna, tak że wystarcza, aby wydał nakaz, a wszyscy braciszczowie wykrzykują: „mistrz tak rzekł?“ — kim jest, jeśli nie tyranem Krotonu, najgorszym z tyranów, tyranem ukrytym? Na czym opiera się ta przyjaźń nierozzerwalna, łącząca wszystkich członków hetairii pytagorejskiej, jeśli nie na pogardzaniu ludem i lekceważeniu go? Mają oni zawsze na ustach owo powiedzenie Homerowe, że księżę winien być pasterzem swojego ludu. A zatem lud jest dla nich stadem tylko! Tak, samo istnienie bractwa nieustannym jest zamachem na prawa ludu. Dopóki nie zostanie ono zniesione, nie będzie wolności w Krotonie!“ Jeden z członków zgromadzenia, wiedziony poczuciem lojalności, zawołał: „Niech przynajmniej dozwolone będzie Pytagorasowi i Pytagorejczykom przyjść i usprawiedliwić się z mównicy naszej, zanim zapadnie wyrok ostateczny“. Lecz Cylon odparł wyniośle: „Czyż Pytagorejczycy ci nie pozbawili nas prawa sądenia spraw publicznych i wyrokowania o nich? Jakim prawem śmieliby żądać teraz, aby ich wysłuchano? Nie pytali nas o radę, odbierając nam prawo wydawania i wykonywania wyroków sprawiedliwości; dobrze! więc my z kolei zadajmy im cios, nie wysłuchując ich obrony!“ Grzmoty oklasków były odpowiedzią na te napaści gwałtowne i umysły tłumu burzyły się coraz bardziej.

Pewnego wieczoru, kiedy czterdziestu głównych członków Bractwa zebrało się u Milona, trybun zesforował swoje bandy. Otoczono dom. Pytagorejczycy, w których gronie był ich mistrz, zabarykadowali wejścia. Rozwścieczony tłum podłożył ogień, którego płomień objęły wnet budynek. Trzydziestu ośmiu Pytagorejczyków, najwybitniejszych uczniów mistrza, z nim samym na czele, zgi-

nęto; jedni spłonęli w pożarze, inni — padli z ręki ludu¹⁾.
Jedynie Archipiusz i Lizys uszli z życiem.

Tak zginął ten wielki mędrzec, ów boski człowiek, który usiłował wprowadzić mądrość swoją do rządów ludzkich. Wymordowanie Pytagorejczyków było hasłem do rewolucji demokratycznej w Krotonie i w zatoce Tarenckiej. Miasta italskie skazały nieszczęsnych uczniów mistrza na wygnanie. Bractwo zostało rozproszone, szczątki jego wszelako rozpierzchły się po Sycylii i Grecji, sięgając wszędzie naukę mistrza. Lizys stał się mistrzem Epaminondasa. Po szeregu ponownych przewrotów zyskali Pytagorejczycy możliwość powrotu do Italii pod warunkiem, że nie będą tworzyli zreszenia politycznego. Nie przestały ich wszakże łączyć węzły wzruszającego bractwa; uważali się zawsze za członków jednej rodziny. Jeden z nich wpadł w chorobę i nędzę i został przygarnięty z lietości przez pewnego oberżystę. Przed śmiercią nakreślił on na drzwiach gościnnego domu kilka znaków tajemnych i rzekł do gospodarza: „Bądź spokojny; jeden z braci moich zapłaci dług“. Po roku obcy jakiś przyjezdny zatrzymał się w oberży i zobaczywszy znaki, powiedział:

¹⁾ Tak brzmi opowieść Diogenesa z Laerty o śmierci Pytagorasa. Według Dicearka, którego słowa przytacza Porfiriusz, mistrz miał ocalić się wraz z Archipem i Lizysem. Błąkał się potem, wędrując od miasta do miasta, aż do Matadontu, gdzie umarł z głodu, jakoby, w świątyni Muz. Mieszkańcy Matapontu, utrzymywali natomiast, że mędrzec, przyjęty przez nich gościnnie, dokonywał spokojnie żywota w tym mieście. Pokazywali nawet Cyceronowi dom jego, ławę i grób. Zaznaczyć należy, że przez długi czas po śmierci mistrza, miasta, które go najwięcej prześladowały podczas przewrotu demokratycznego, ubiegały się o zaszczyt goszczenia go i ocalenia. Miasta, położone nad zatoką Tarencką, wiodły taki sam zacięty spór o popioły filozofa, jak miasta Jonii o miejsce urodzenia Homera. (Patrz. sumienne w tej sprawie studjum Chaigneta: Pytagoras i filozofia pytagorejska).

„Jestem Pytagorejczykiem; jeden z braci moich umarł tutaj; powiedz, ile jestem ci dłużny za niego?”

Bractwo przetrwało w ciągu 250 lat, lecz idee i tradycje mistrza żyją dotychczas jeszcze. Odradzający wpływ Pytagorasa na Grecję był olbrzymi. Wywierał on go w sposób tajemniczy acz niezawodny za pośrednictwem świątyń, w których przebywał. Widzieliśmy go w Delfach, nadającego nową siłę wieszczbiarstwu, wzmacniającego autorytet kapłanów i stwarzającego swą sztuką arcywzór Pytii. Dzięki tej reformie wewnętrznej, budzącej entuzjazm w łonie samych świątyń i w duszy wtajemniczonych, stały się Delfy bardziej niż kiedykolwiek ostoją moralną Grecji. Widoczne to było zwłaszcza w okresie wojen perskich. Lat trzydzieści zaledwie upłynęło od śmierci Pytagorasa, kiedy rozszalał się nad wybrzeżami Hellady, przepowiedziany przez mędrca z Samos, cyklon azjatycki. W tej epopei zmagania się Europy z barbarzyńską Azją ma Grecja, przedstawicielka wolności i cywilizacji, oparcie mocne w wiedzy i geniuszu Apollina. Pod wpływem jego ducha patriotycznego i religijnego milknie budzące się współzawodnictwo Sparty i Aten; z niego czerpią natchnienie Milcjades i Temistokles. Pod Maratonem zapał jest tak wielki, iż Ateńczykom wydaje się, że dostrzegają dwóch wodzów, jak światło promiennych, walczących w ich szeregach. Jedni poznają w nich Tezeusza i Echetosa, inni Kastora i Polluksa. Kiedy armia Xerxesa, dziesięciokrotnie przywyszająca armię Dariusza, przekracza Termopyle i zalewa Helladę, wówczas Pytia z wyżyn trójnoga swojego wskazuje wysłańcom Aten drogę zbawienia i dopomaga Temistoklesowi do odniesienia zwycięstwa na okrętach Salaminy. Karty Herodota drgają jej urywanymi słowami: „Opuścić siedziby i wysokie wzgórza grodu zbudowanego wkrąg... ogień i groźny Mars na wozie syryjskim zburzą wieże wasze... chwieją się świątynie, na murach ich skrapla się pot zimny, z ich wierzchołków płynie czarna krew... opuście świątynię moją. Niech będzie wam warownią niezdobytą mur z drzewa. Uciekajcie! podajcie tyły żołnierzom pie-szym i jeźdźcom niezliczonym! O, boska Salamino! jakże

złowrogą będziesz dla synów niewiasty!“¹⁾). W opowiadaniu Ajschylosa bitwę rozpoczyna okrzyk, podobny do peanu, do hymnu Apollina. „Niebawem dzień na białych rumakach rozpostarł nad światem olśniewające światło swoje. W tej samej chwili wrzawa ogromna, dźwięcząca jak pieśń święta, zrywa się wśród szeregów greckich; echa wyspy odpowiadają jej wybuchem tysięcy głosów! Czyż dziwić się można, że Hellenowie, upojeni nektarem zwycięstwa, w bitwie u stóp Mykole, mając przed sobą Azję zwyciężoną, obrali za hasło: „Hebe! Młodości wiekuista!“ — Tak, tchnienie Apollina przenika zdumiewające te wojny perskie. Zapał religijny, sprawiający cuda, porywa żywych i umarłych, opromienia trofea wojenne i złoci groby. Zburzono wszystkie świątynie, lecz świątynia delficka stoi nieporuszona. Armia perska zbliżała się już, aby zbeczczyć gród święty. Wszystkich zdjął dreszcz grozy. Lecz Bóg słoneczny oznajmił przez usta arcykapłana swojego: „Sam się obronię!“ Z nakazu świątyni opróżnia się miasto; mieszkańcy szukają schronienia w grotach Parnasu; jedynie kapłani pozostali na progu świątyni na straży świętej. Armia perska wchodzi do miasta niemego jak grób; posągi tylko są świadkami jej wejścia. W głębi wąwozu skłębia się ciemna chmura; huczy grom i piorun spada na najeźdźców. Dwie skały olbrzymie staczają się ze szczytu Parnasu, miażdżąc wielkie zastępy Persów²⁾). Równocześnie rozlega się wrzawa ogrom-

¹⁾ W mowie świątyni określenie: **syn niewiasty** oznaczało stopień niższy wtajemniczenia, bowiem kobieta miała tutaj znaczenie natury. Na szczeblu wyższym stali **synowie męża**, czyli wtajemniczeni w Ducha i w Dusze. **synowie Bógów**, czyli wtajemniczeni w nauki kosmogoniczne i **Syn Boga**, czyli wtajemniczony w wiedzę najwyższą. Pytja nazywa Persów: „synami niewiasty“, określając ich cechą ich religii. Wzięte dosłownie wyrazy te pozbawione byłyby znaczenia.

²⁾ Widać je jeszcze w zagrodzie Minnerwy — mówi Herodot (VIII. 39). — Najazd Gallijski w 200 lat później odparty był w sposób podobny. I tutaj wybucho burza, pioru-

na ze świątyni Minerwy; spod ziemi, pod stopami zaborców, wytryskają snopy płomieni. Wobec cudów tych cofają się przerażeni barbarzyńcy; ich armia ucieka w popłochu. Bóg obronił się własną swoją mocą. Czyż wydarzyłyby się cuda te, czy zostałyby odniesione te zwycięstwa, które ludzkość zapisała na kartach swojej chwały, gdyby o trzydzieści lat wcześniej nie zjawił się w świątyni delfickiej Pytagoras, aby rozpalić w niej ogień święty? Wolno wątpić o tym.

Kilka słów jeszcze o wpływie mistrza na filozofię. Przed nim istnieli fizycy z jednej i moralisci z drugiej strony; Pytagoras włączył moralność, wiedzę i religię do szerokiej swojej syntezy. Synteza tą nie jest nic innego, jeno doktryna ezoteryczna, której pełnię światła odnaleźć usiłowaliśmy na dnie wtajemniczenia pytagorejskiego. Filozof krotoński nie był wynalazcą, lecz świetlanym regulatorem tych prawd podstawowych w duchu naukowym. Obraliśmy też system jego, jego ramy najbardziej nadające się do pełnego wykładu doktryny Misteriów i prawdziwej teozofii.

Ci, którzy poszli wraz z nami śladem myśli mistrza, zrozumieli, że w głębi doktryny tej błyszczą słońce Prawdy jedynej. Rozsiane jej promienie znaleźć można w filozofiach i religiach; głównego ich wszakże ośrodka szukać należy tam właśnie. Czego potrzeba, aby dotrzeć do niego? Badanie i rozumowanie nie wystarczą. Konieczna jest jeszcze i nade wszystko **intuicja**. Pytagoras był adeptem, był wtajemniczonym pierwszego stopnia. Osiągnął bezpośrednio widzenie ducha, posiadał klucz nauk tajemnych i świata duchowego. Czerpał więc z praźródła Prawdy. Że zaś z właściwościami transcendentnymi duszy ro-

ny wałą się kilkakrotnie na Gallów, ziemia drży pod ich stopami, widzą zjawy nadziemskie, świątynia Apollina zostaje ocalona. Fakty te zdają się dowodzić, że kapłani delficy posiadali wiedzę ognia kosmicznego i umieli za pomocą potęg tajemnych posiłkować się elektrycznością, jak magowie chaldejscy. — Patrz Amedeusz Thierry — **Historia Gallów, I.** str. 246.

zumnej i uduchowionej łączył szczegółową obserwację przyrody fizycznej oraz mistrzowską umiejętność porządkowania ich w wielkim umyśle swoim — nikt bardziej od niego nie był stworzony do wzniesienia gmachu wiedzy kosmologicznej. Gmach ten nie został, co prawda, nigdy zburzony. Platon, który przejął od Pytagorasa całą jego metafizykę, miał dokładne o gmachu tym pojęcie, jakkolwiek wyłożył je w sposób mniej ścisły i jasny. Szkoła aleksandryjska zajęła wyższe jego piętra. Nauka współczesna sięgnęła do jego podstaw i wzmocniła jego fundamenty. Liczne szkoły filozoficzne, sekty mistyczne i religijne przebywały w różnych jego częściach. Ani jedna wszakże filozofia nie zdołała nigdy ogarnąć jego całokształtu. Całokształt ten właśnie usiłowaliśmy odnaleźć tutaj w harmonii jego i jego jednolitości.

KSIEGA SIÓDMA
P L A T O N
MISTERIA ELEUZYŃSKIE

Ludzie nazwali bóstwo, *będące*
uosobieniem miłości — Erosem,
ponieważ ma skrzydła; Bogowie
nazwali je — Pteros, ponieważ ma
zdolność nadawania ich.

Platon („Uczta“).

W niebie poznawać — to widzieć,
Na ziemi — przypominać sobie.
Szczęsny, kto przeszedł przez cu-
da misteriów,
Bowiem zna źródło i poznał kres
życia.

Pindar.

Po dokonaniu próby odtworzenia w osobie Pytagorasa największego z wtajemniczonych greckich i ujawnienia za jego przewodem pierwotnych zasad powszechnych prawdy religijnej i filozoficznej moglibyśmy właściwie nie mówić już o Platonie, który nadał jedynie prawdzie tej formę bardziej dowolną i bardziej ją spopularyzował. Oto wszakże powód, który nas zatrzyma przez chwilę przed szlachetną postacią ateńskiego filozofa.

Niewątpliwie, istnieje doktryna — rodzicielka i synteza religii i filozofii. Rozwija się ona i pogłębia w przebiegu wieków; podstawa jej wszakże i ośrodek pozostają niezmienione. Odnaleźliśmy główne jej wytyczne. Czy wystarcza to? Nie; należy jeszcze wykazać, powołaną wyrokami Opatrzności, przyczynę różnych jej odmian, w zależności od ras i wieków. Odtworzyć należy łańcuch wielkich wtajemniczonych, którzy byli istotnymi wieszczami ludzkości. Wówczas dopiero siłę każdego z nich spotęguje siła wszystkich innych i jedność prawdy odsłoni się nam w samej właśnie różnorodności jej wyrazu. Grecja — jak wszystko na świecie — miała swoją jutrzenkę, swoją pełnię słońca i swój zachód. Takie jest prawo dni, ludzi, narodów, ziem i nieb. Orfeusz jest wtajemniczonym jutrzemki, Pytagoras — pełni słońca, Platon — zachodu Grecji, zachodu gorąco-purpurowego, który staje się różnym świtaniami nowej jutrzni, jutrzni ludzkości.

Platon idzie za Pytagorasem, jak niosący pochodnię na misteriach Eleuzyńskich kroczył za wielkim hierofantą. Wraz z nim przenikniemy raz jeszcze, drogę odmienną, poprzez aleje wiodące do sanktuarium, do samego serca świątyni, aby móc przyjrzeć się ukrytemu tam wielkiemu jej tajnikowi.

Zanim wszakże udamy się do Eleuzys, dajmy posłuch naszemu przewodnikowi, boskiemu Platonowi. Niech on sam ukáže nam rodzinną ziemię swoją, niech opowie nam dzieje swojej duszy i niech poprowadzi nas do swojego ukochanego mistrza.

I

MIŁOŚĆ PLATONA I ŚMIERĆ SOKRATESA.

Urodził się w Atenach, w ojczyźnie Piękna i Ludzkości. Oczom młodzieńca odsłaniały się widnokregi bezkresne. Attyka otwarta na wszystkie strony świata wrzyła się, niby dziób okrętu, w morze Egejskie i króluje nad kręgiem wysp, co jak szereg białych syren rozsiadły się na ciemnym szafirze fal. Wzrósł u stóp Akropolu, pod opieką Pallas Ateny, na płaszczyźnie rozległej, otoczonej fioletem gór i spowitej w lazury świetliste, pomiędzy marmurowo ściennym Pentelikonem i Hymetem, uwieńczonym lasami wonnych pinii, dokoła których rozlega się brzęczenie pszczół a cichą zatoką Eleuzyńską.

Tym posepniejszy i bardziej zaćmiony był widnokrąg polityczny, otaczający lata dziecięce i młodość Platona. Przypadły one na ów okres nieubłaganej wojny Peloponeskiej, bratobójczej walki Sparty i Aten, która przyspieszyła rozprzężenie Grecji. Przeminięły wielkie dni wojen perskich, zaszło słońce Maratonu i Salaminy. Rok narodzin Platona (429 przed Chr.) jest rokiem śmierci Periklesa, największego z greckich mężów stanu, nieskazitelnego jak Arystydes, zręcznego jak Temistokles, najdoskonalszego przedstawiciela cywilizacji helleńskiej, człowieka, który umiał czarować burzliwą demokrację ateńską, gorącego patrioty, który pośród gwałtownych zamieszek ludowych umiał zachowywać spokój pół-boga. Matka Platona musiała opowiedzieć mu wydarzenie, którego była świadkiem na dwa lata przed przyjściem na świat

przyszłego filozofa. Spartanie zajęli Attykę; Ateny, których byt narodowy był zagrożony, walczyły przez całą zimę i Perykles był duszą obrony. W ponurym roku tym odbyła się w Ceramiku, dzielnicy Ateńskiej, uroczystość imponująca. Mary wojowników poległych za ojczyznę umieszczone były na wozach żałobnych, a lud cały zgromadził się dokoła olbrzymiego grobu, w którym złożyć miano pospołu ich zwłoki. Mauzoleum to czyniło wrażenie wspaniałego, posępnego symbolu grobu, który Grecja własnymi rękami kopała sobie swoją walką występna. Wówczas to wygłosił Perykles najpiękniejszą z mów, jaką przekazała nam starożytność. Tucydides przepisał ją na swoich tablicach śpizowych, na których, jak tarcza na frontonie świątyni, jaśnieją słowa: „Groblem bohaterów jest wszechświat cały, a nie kolumny zdobne w napisy pompatyczne“. Słowa te tchną głębokim zrozumieniem Grecji i jej nieśmiertelności.

Lecz po śmierci Peryklesa cóż pozostało z dawnej Grecji, która żyła swoimi ludźmi czynu? Wewnątrz Aten właśnie dogorywającej demokracji; na zewnątrz — niestanna groza najścia lacedemońskiego, wojna na lądzie i na morzu, złoto króla Perskiego, krążące, niby trucizna zakażająca, w rękach trybunów i urzędników.

Po Peryklesie odziedziczył Alcybiades popularność i względy powszechne. Typowy ten przedstawiciel złotej młodzieży ateńskiej stał się bohaterem dnia. Awanturniczy polityk, intrygant pełen powabu, z uśmiechem prowadził ojczyznę swoją do zguby. Baczenie zaobserwował go Platon, który w następstwie mistrzowską dał psychologię tej postaci. Przystawia on szaloną żądę władzy, jaka opanowała duszę Alcybiadesa, do wielkiego uskrzydłonego szerszenia, dokoła którego brzęczą namiętności, uwieńczone kwiatami, zaprawione aromatami, upojone winem i wszystkimi wyuzdanymi rozkoszami, idącymi w ich orszaku. Żywią go one, hodują, zbroją wreszcie w żądła ambicji swoich. Wówczas ten tyran duszy, otoczony konwojem obłądnym, miota się wściekle, a jeśli znajduje dokoła siebie myśli i uczucia uczciwe, zdolne jeszcze wstydem spłonąć, zabija je i odpędza, dopóki nie

wypije z duszy resztek powściągliwości i nie wypełni jej szaleń, który wywołał.

Niebo ateńskie ma więc barwę posępną w latach młodości Platona. Mając lat dwadzieścia pięć, był świadkiem naocznym wzięcia Aten przez Spartę po nieszczęśliwej bitwie morskiej pod Aigos Potamos. Potem widział wejście Lizandra do swojego rodzinnego miasta; oznaczało ono koniec niezawisłości Aten. Widział, jak burzono przy dźwiękach muzyki godowej mury zbudowane przez Temistoklesa i jak upojony triumfem nieprzyjaciół literalnie tańczył z radości na ruinach jego ojczyzny. Potem przyszły czasy trzydziestu tyranów i ich okrucieństw.

Obrazy te zasępiły młodocianą duszę Platona, nie były wszakże w stanie zmącić jej. Była ona łagodna, jasna i przejrzysta jak strop nieba nad Akropolem. Platon był młodzieńcem wysokiego wzrostu, o szerokich ramionach, poważnym, skupionym, zawsze prawie milczącym; ilekroć jednak otwierał usta, słowa jego tchnęły cudowną wrażliwością i czarującą słodyczą. Nic w nim nie raziło nagłym wyskokiem, przesadą, ani nadmiernością. Liczne i różnorodne uzdolnienia jego ukryte były, jak gdyby skupione, w najwyższej harmonii jego jestestwa. Wdzięk podniosły, wrodzona skromność przysłańały powagę jego umysłu; kobieca niemal czułość łagodziła męskość i hart jego natury. Cnota jego wykwitła uśmiechem i powabem czystości niewinnej. Cechą wszelako górującą, niezwykłą, wyjątkową duszy jego był pakt tajemniczy, jaki, zdało się, zawarła ona z Wiekuistością. Tak, jedynie sprawy wiekuiste żyć zdawały się w głębi wielkich jego oczu; inne prześlizgiwały się po nich, niby zjawy złudne po zwierciadlanej tafli. Poza widomymi, zmiennymi, niedoskonałymi postaciami istot i świata dostrzegał kształty niewidzialne, doskonałe, zawsze promienne tych samych istot, widzialne tylko dla ducha jedynie i służące mu za wzory wiekuiste. I oto dlaczego młody Platon, nie zdolawszy sformułować jeszcze doktryny swojej, nie wiedząc nawet, że będzie kiedyś filozofem, miał już świadomość boskiej rzeczywistości Ideału i jego wszechobecności. Oto dlaczego na widok sunących ruchem rozkołysanym nie-

wiaś, wozów żałobnych, uroczystości i smutków — wzrok jego zdawał się sięgać dalej i mówić: „Czemu płaczą i czemu wnoszą okrzyki radości? Zdaje im się, że są, a nie są. Czemu nie mogą przywiązać myśli do tego, co się rodzi i do tego, co, umiera? Dlaczego kochać mogą jedynie niewidzialne nierodzące się i nieumierające, a wszakże istniejące wiecznie?“

Miłość i Harmonia — oto treść duszy Platona; jednak jednak Harmonia i jaka Miłość?! Ukochanie Piękną wiekuistego i Harmonia, obejmująca wszechświat. Im wznioślejszą i głębszą jest dusza, tym więcej zużywa czasu na poznanie samej siebie. Pierwszy poryw Platona pchnął go ku sztuce. Pochodził z wysokiego rodu, bowiem ojciec jego utrzymywał, że jest potomkiem króla Kodrusa, a matka wywodziła pochodzenie swoje od Solona. Miłość jego upłynęła więc w zwykłych ramach życia bogatego Ateńczyka: otaczał je przepych oraz wszelkie ponęty okresu upadku. Oddał się im bez nadużywania ich, lecz i bez pruderii, żyjąc życiem swojego otoczenia, korzystając w sposób szlachetny ze swego dziedzictwa, otoczony i podejmowany przez licznych przyjaciół. Zbyt dobrze opisał nam w swoim **Fajdrocie** miłość we wszystkich jej przejawach, abyśmy mogli przypuścić, że nie zakosztował jej uniesień i okrutnych jej rozczarowań. Pozostał nam po nim jedyny wiersz, równie namiętny jak wiersz Safo, tak samo iskrzący się światłem, jak noc gwiazdzista nad morzem Cykladzkim: „Chciałbym być niebem, aby mieć miriady oczu do patrzenia na ciebie“. Szukając wyższego Piękną poprzez wszystkie rodzaje i formy piękności, oddawał się z kolei malarstwu, muzyce i poezji. Ta ostatnia zdawała się odpowiadać wszystkim jego wydomom, tak że zatrzymał się wreszcie na niej. Zdumiewającą miał łatwość do wszystkich jej rodzajów. Odczuwał z jednaką siłą poezję miłosną i pieśni pochwalne, epopeję, tragedię, nawet komedię zaprawną najsubtelniejszą solą attycką. Czego brakło mu, aby stać się drugim Sofoklesem i podnieść teatr ateński z grożącego mu niechybnie upadku? Myśl ta przemawiała do jego ambicji. Przyjaciele nie szczędzili mu zachęty w tym kierunku. Mając lat

dwadzieścia siedem, napisał kilka tragedii i zamierzał przystąpić z jedną z nich do konkursu.

W tym właśnie czasie zetknął się Platon z Sokratesem, który prowadził dysputy z młodymi ludźmi w ogrodach Akademii. Mówił o Sprawiedliwości i niesprawiedliwości, o Pięknie, Dobru i Prawdzie. Poeta zbliżył się do filozofa, wysłuchał jego dowodzeń, powrócił nazajutrz i odtąd co dnia już. Po upływie kilku tygodni przewrót zupełny dokonał się w jego umyśle. Bez troski młodzieniec, poeta pełen ułud nie poznawał samego siebie. Narodził się z niego inny Platon pod wpływem słów tego, który nazywał się sam „akuszerem dusz“. Co się właściwie stało? Jakich czarów użył ten rezoner o twarzy satyra, aby wyrwać pięknego, genialnego Platona ze środowiska przepychu i rozkoszy, oderwać go od poezji i piękna, nawrócić go na pełną zaparcia się siebie drogę mądrości?

Prosty był człek, ale wielki oryginał z tego pocziwego Sokratesa. Syn rzeźbiarza, sam też w latach młodzieńczych rzeźbił trzy Gracje; potem rzucił dłuto, mówiąc, że woli rzeźbić duszę własną aniżeli marmur. Od tej chwili poświęcił całe swoje życie na poszukiwanie mądrości. Spotykać go można było w gimnazjach, na placu publicznym, w teatrze, rozmawiającego z młodymi ludźmi i żądającego od każdego z nich uzasadnienia swoich twierdzeń.

Od kilku lat rzucili się sofiści, jak chmara szarańczy, na Ateny. Sofista jest sfałszowaną kopią, a zarazem żywą negacją filozofa, podobnie jak demagog jest podrobionym mężem stanu, hipokryta — podrobioną kopią księdza, czarny magik — szatańskim podrobieniem prawdziwego wtajemniczonego. Typ grecki sofisty jest subtelniejszy, bardziej rozumujący, uszczypliwszy od innych; rodzaj ten wszakże stałą jest właściwością cywilizacji chyłających się ku upadkowi. Roi się w nich od sofistów równie nieuniknienie, jak od robaków w gnijącym cieple. Czy nazywają się ateistami, nihilistami czy pesymistami — wszędzie i po wsze czasy — wszyscy sofiści podobni są do siebie wzajem. Zawsze przeczą istnieniu Boga i Duszy, a więc istnieniu Prawdy i Życia najwyższego. So-

fiści z czasów Sokratesa: Gorgiasze, Prodikusy i Protagorasi, dowodzili, że nie ma różnicy pomiędzy prawdą a błędem. Chętni się, że potrafią dowieść każdego twierdzenia równie dobrze, jak twierdzenia odwrotnego; utrzymywali, że nie istnieje inna sprawiedliwość poza siłą, inna prawda poza sądem danego osobnika. Przy tym zadowoleni z siebie, używający życia, słono każąc sobie płacić za swoje wykłady, pchający młodzież do rozpusty, intrygi i tyranii.

Sokrates zbliżył się do sofistów z ujmującą swoją słodyczą i przenikliwą prostotą, niby człowiek ciemny, pragnący się oświecić. Oko jego błyszczało rozumem i dobrocią. Potem, przechodząc od pytania do pytania, zmuszał ich do wypowiadania twierdzeń wręcz odwrotnych aniżeli te, które formułowali pierwotnie i do przyznawania się, że nie wiedzą nawet, o czym mówią. Wykazywał im też, że nie znają przyczyn ani zasad niczego, im, którzy chętni się, że posiadli wiedzę wszechświata.

Zamknawszy im w ten sposób usta, nie chętni się odniesionym zwycięstwem, lecz, przeciwnie, dziękował z uśmiechem swoim przeciwnikom za pouczenie go od powiedziami swoimi, dodając, że „wiedzieć, iż się nic nie wie, jest początkiem prawdziwej mądrości“. W co wierzył, co twierdził sam Sokrates? Nie przeczył istnieniu Bogów; czcił ich tak samo, jak jego współziomkowie, utrzymywał wszakże, że istota ich jest nieprzenikniona i szczerze przyznawał się, że nie rozumie nic z fizyki i metafizyki, wykładanych w szkołach. Najważniejszą jest rzeczą — mówił — wierzyć w Sprawiedliwość i Prawdę i stosować je w życiu. Dowodzenia jego nabierały mocy szczególnej w jego ustach, bowiem on sam najlepszy stanowił przykład na ich poparcie: nieposzlakowany obywatel, nieustraszony żołnierz, nieskazitelny sędzia, przyjaciel wierny i bezinteresowny, bezwzględny pan wszystkich swoich żądz.

Jak widzimy, taktyka wychowania moralnego zmienia się zależnie od środowiska i czasu. Pytagoras wobec wtajemniczonych uczniów swoich rzucał hasła moralne z wyżyn kosmogonii. W Atenach, na placu publicznym, pośród

Kleonów i Goriaszów, mówił Sokrates o wrodzonym poczuciu Sprawiedliwości i Prawdy, aby odbudować świat i zachwiany w posadach ustrój społeczny. I jeden i drugi, pierwszy w porządku zstępującym zasad, drugi w ich porządku wstępującym, dowodzili tej samej prawdy. Pytagoras jest wyobrazicielem podstaw oraz metody najwyższego wtajemniczenia; Sokrates wieści erę wiedzy dostępnej dla wszystkich. Ażeby nie wyjść ze swojej roli popularyzatora, nie chciał zostać wtajemniczonym w tajniki eleuzyńskie. Mimo to miał głębokie odczucie i zrozumienie najwyższej prawdy, jakiej uczyły wielkie Mistéria i wierzył w nią całkowicie. Kiedy mówił o niej on, ów dobry i mądry Sokrates, zmieniał się na twarzy, jak Faun natchniony, którym owładnie Bóg. Oczy jego płonęły, aureola światła opromieniała łysą jego czaszkę, a z ust jego padało jedno z owych prostych zdań słonecznych, rozjaśniających głębie rzeczy.

Co wszakże spowodowało, że Platon uległ nieodpartemu czarowi tego człowieka, który podbił go całkowicie? Oto, poznawszy go, zrozumiał wyższość Dobra nad Pięknem. Bowiem Piękno jest urzeczywistnieniem Prawdy jedynie w ułudzie Sztuki, zaś Dobro dokonywa tego w głębiach dusz. Rzadki i potężny urok, w którym zmysły żadnej nie odgrywają roli. Na widok człowieka prawdziwie sprawiedliwego zbladły w duszy Platona olśniewające świetności sztuki widomej, a na ich miejscu wykwitło marzenie bardziej boskie.

Człowiek ten wykazał mu niższość piękna i sławy, w jego dotychczasowym ich ujmowaniu, wobec piękna i chwały duszy czynnej, zjednywającej na zawsze inne dusze dla swoich prawd, gdy, przeciwnie, wspaniałości Sztuki zdolne są jedynie błyszczeć przez chwilę złudą prawdy pod barwną zwodniczą osłoną. To promienne wiekuiste Piękno, będące „Wspaniałością Prawdy“, zabiło zmienne i ułudne piękno w duszy Platona. Oto dlaczego Platon, wyrzekając się wszystkiego, co ukochał dotychczas, oddał się Sokratesowi w kwiecie młodości swojej z całą poezją, jaka grała mu w duszy. Wielkie to zwycię-

stwo Prawdy nad Pięknem miało nieobliczalne dla dziejów ducha ludzkiego wyniki.

Przyjaciele Platona czekali tymczasem na jego pierwszy popis poetycki na arenie tragedii. Zaprosił ich tedy do siebie na wielką ucztę; wszyscy dziwili się, że w tym właśnie momencie ją wydaje. Było bowiem w zwyczaju wydawać ją dopiero po zdobyciu nagrody i po pierwszym wystawieniu uwieńczonej tragedii. Nie odmawiało się wszakże zaprosin bogatego syna domu, w którym spotkać można było Muzy i Gracje w towarzystwie Erosa. Dom jego był od dawna miejscem zebrzań wykwintnej młodzieży ateńskiej. Platon wydał majątek na to przyjęcie. Ustawiono stoły biesiadne w ogrodzie. Młodzi chłopcy, uzbrojeni w pochodnie, oświetlali ucztujących. Na zebraniu obecne były trzy najpiękniejsze hetery ateńskie. Festyn trwał do rana. Śpiewano hymny na cześć Amora i Bachusa. Fletniarki tańczyły swoje najlubieźniejsze tańce.

Wreszcie poproszono Platona, by wygłosił jeden ze swoich dytyrambów. Podniósł się z uśmiechem i rzekł: „Uczta dzisiejsza jest ostatnią, jaką dla was wydaję. Od dnia dzisiejszego wyrzekam się uciech życia, aby poświęcić się mądrości iść śladami nauki Sokratesa. Otóż, wiedząc o tym wszyscy: wyrzekam się poezji nawet, poznałem bowiem jej nieudolność wyrażania prawdy, do której dążę. Nie stworzę już ani jednego wiersza i spalę w waszej obecności te wszystkie, które dotychczas ułożyłem“. Jeden łączny okrzyk zdumienia i protestu rozbrzmiał ze wszystkich końców biesiadnego stołu, dokoła którego leżeli na łożach wspaniałych goście, strojni w wieńce z wonnych róż. Jedne z tych twarzy, rozpalonych winem, wesołością i dowolnymi tematami rozmowy, wyrażały zdziwienie, inne oburzenie.

Tu i owdzie wykwitał na obliczu któregoś z wykwintnisiów czy sofistów uśmiech niedowierzania i szyderstwa. Uważano pomysł Platona za szal i świętokradztwo; nalegano, aby cofnął, co powiedział. Platon wszelako potwierdził swoje postanowienie ze spokojem i stanowczością, które wykluczały wszelką możliwość repliki. Zakończył, mówiąc: „Dziękuję wszystkim uczestnikom tej uczty po-

żegnalnej; zatrzymam wszelako przy sobie tylko tych, którzy zechcą dzielić nowe moje życie. Przyjaciele Sokratesa będą odtąd jedynymi moimi przyjaciółmi“.

Słowa te wionęły niby fala mroźnego tchnienia po polu kwietnym. Pod ich wpływem zasepiły się radosne przed chwilą twarze, przybierając ów wyraz zażenowania i przymusu, zwykły ludziom kroczącym w orszaku pogrzebowym. Kurtyzany podniosły się i kazały odwieść się w lektykach swoich, obrzucając gniewnym spojrzeniem pana domu. Wytworni młodzieńcy i sofiści wysunęli się ze słowami ironicznymi i podkpiwającymi: „Bądź zdrów Platonie! Bądź szczęśliwy! Powrócisz do nas! Żegnaj! Żegnaj!“

Jedynie dwaj poważni młodzi ludzie pozostali przy nim. Ujął za ręce wiernych tych przyjaciół i, zostawiając na pół opróżnione amfory wina, osypujące się róże, liry i fletnie porzrucane w nieładzie pośród pełnych jeszcze czar, wyprowadził ich na wewnętrzny dziedziniec domu. Ujrzeli tam, spiętrzony na małym ołtarzu, stos zwojów pergaminowych. Były to wszystkie dzieła poetyckie Platona. Poeta wziął pochodnię i podpalił nią stos z uśmiechem, wypowiadając te słowa: „Wulkanie, zejdz do nas; potrzebny jesteś Platonowi“¹⁾.

Kiedy zgasł płomień, ulatując w powietrze, łyzy napełniły oczy obu przyjaciół, którzy pożegnali w milczeniu przezłego swojego mistrza. Platon wszakże, pozostawszy sam, nie płakał. Spokój, cisza cudowna przepelniły całą jego istotę. Myślał o Sokratesie, do którego miał iść. Świt różowił już tarasy domów, krużganki, kolumnady i frontony świątyń; niebawem pierwszy promień słońca zabłysnął na kasku Minerwy, na szczycie najwyższym Akropolu.

¹⁾ Fragment pełnego wydania dzieł Platona, zachowany pod tytułem „Platon, pałacy swoje poezje“.

II

WTAJEMNICZENIE PLATONA I JEGO FILOZOFIA.

W trzy lata po przystąpieniu Platona do grona uczniów Sokratesa został mistrz skazany na śmierć przez Aeropag i umarł w otoczeniu swoich adeptów po wypiciu kubka cykuty.

Niewiele mamy faktów historycznych, których historia tylokrotnie byłaby powtarzana, jak śmierć Sokratesa. Utała się obecnie pogląd, że Aeropag miał słuszość ze swojego stanowiska, skazując Sokratesa, jako wroga religii państwowej, bowiem, przecząc istnieniu Bogów, godził on na całość republiki ateńskiej. Wykażemy niebawem, że twierdzenie to cechują dwa błędy zasadnicze. Przypomnijmy przede wszystkim, co Wiktor Cousin odważył się napisać we wstępie do **Apologii Sokratesa**, w pięknym swoim przekładzie dzieł Platona: „Anytus, przyznać to należy, był obywatelem godnym szacunku; Aeropag — sądem wyrozumiałym i umiarkowanym; jeśli też czemu można byłoby się dziwić, to faktowi skazania Sokratesa tak późno oraz nie wydania wyroku znaczną większością głosów”. Filozof francuski, minister oświecenia publicznego, nie dostrzegają, że, gdyby słuszość była po jego stronie, należałoby wydać wyrok potępiający zarazem filozofa i religię, aby móc sławić wyłącznie politykę kłamstwa, gwałtu i przemocy. Bowiem, jeśli dana filozofia doprowadza z konieczności do obalenia podstaw ustroju społecznego, nie jest ona niczym więcej, jeno obłądem szumnym; jeśli

zaś religia może się utrzymać jedynie dzięki zakazowi poszukiwania prawdy, jest ona tylko tyranją złowrogą. Postarajmy się być sprawiedliwsi zarówno w stosunku do religii greckiej jak i do greckiego filozofa.

Istnieje fakt zasadniczy i uderzający, który uszedł uwagi większości historyków i filozofów nowoczesnych.

W Grecji źródłem, nader rzadkiego zresztą, prześladowania filozofów nie były nigdy świątynie, lecz zawsze ludzie, robiący politykę. Filozofii helleńskiej obcą była wojna kapłanów z filozofami, jaka odgrywa tak wielką rolę w naszej filozofii, zaczawszy od zniszczenia ezoteryzmu chrześcijańskiego w drugim wieku naszej ery. Tales mógł bezpiecznie głosić, że świat powstał z wody; Heraclit — że jest on dziełem ognia; Anaksagoras mógł utrzymywać bezkarnie, że słońce jest rozpaloną do białości masą ognistą; Demokryt — dowodzić, że wszystko powstało z atomów. Nie zaniepokoiło to żadnej świątyni. Wiedzano w nich o tym, wiedzano wiele więcej jeszcze. Wiedzano także, iż rzekomi filozofowie, przeczący istnieniu Bogów, nie mogli obalić ich w świadomości ludu; wiedzano, że prawdziwi filozofowie wierzyli w nich w ten sam sposób, co wtajemniczeni, widzący w nich symbole wielkich kategorii hierarchii ducha; Boskości, przenikającej Nature; Niewidzialnego, kierującego Widomym. Doktryna ezoteryczna była więc węzłem, łączącym prawdziwą filozofię z prawdziwą religią. Oto fakt, głęboko tkwiący w naturze sprawy, podstawowy i ostateczny, wyjaśniający tajemny ich sojusz w cywilizacji helleńskiej.

Któż zatem oskarżył Sokratesa? Kapłani eleuzyńscy, którzy złorzeczyli sprawcom wojny Peloponeskiej, otrząsając pył z szat swoich ku Zachodowi, nie wyrzekli przeciwko niemu ani słowa. Co się zaś tyczy świątyni delfickiej, złożyła mu ona najpiękniejsze świadectwo, jakie można dać człowiekowi. Pytia, zapytana o sąd Apolina o Sokratesie, orzekła „Nie ma człowieka wolniejszego, sprawiedliwszego i rozważniejszego“¹⁾. Oba więc główne punkty oskarżenia Sokratesa: że psuje on młodzież

¹⁾ Ksenofont: „Apologia Sokratesa“.

i nie wierzy w Bogów, były jedynie pretekstem. Na drugi zarzut odpowiedział Sokrates sędziom swoim zwycięsko: „Wierzę w mojego ducha opiekuńczego, tym bardziej więc wierzyć muszę w Bogów, którzy są wielkimi duchami wszechświata“. Skąd więc ta nienawiść nieubłagana do mędrca? Oto, zwalczał on niesprawiedliwość, demaskował obłudę, wykazywał fałsz i bezpodstawność tylu czczych uroszczeń. Ludzie wybaczą wszystkie występki i wszelkie ateizmy, nie wybaczą jednakże nigdy tym, którzy ich zdemaskowali. Dlatego właśnie prawdziwi ateusze, zasiadający w Aeropagu, wydali wyrok śmierci na sprawiedliwego i niewinnego, pomawiając go o zbrodnię, którą oni raczej popełniali. W cudownej obronie swojej, odtworzonej przez Platona, Sokrates wypowiada to sam z zupełną prostotą: „Te właśnie poszukiwania moje bezowocne ludzi mądrych pomiędzy Ateńczykami wywołały przeciwko mnie tyle nieprzyjaźni niebezpiecznych, stąd wszystkie oszczerstwa, szerzone na mój rachunek, bowiem wszyscy ci, którzy słuchają mnie, sądzą, że wiem sam to wszystko, na mocy czego zdzieram maskę z ciemnoty innych... Intryganci czynni i liczni, mówiąc o mnie podług planu z góry ukartowanego, z darem wymowy zdolnym porwać słuchaczy, od dawna już dziurawią wam uszy najpodstępniejszymi, najbardziej wiarołomnymi pogłoskami i przeprowadzają bez wytchnienia swój system szkalowania. Dzisiaj wystawiają przeciwko mnie Melitusa, Anytusa i Lykona. Melitus jest przedstawicielem poetów; Anitus — polityków i artystów; Lykon — mówców“.

Poeta — tragiczny bez talentu; złośliwy, fanatyczny bogacz i beczelny demagog, zdołali wymóc skazanie na śmierć najlepszego z ludzi; śmierć ta uczyniła go nieśmiertelnym. Mógł on też z dumą oznajmić sędziom swoim: „Bardziej wierzę w Boga, aniżeli którykolwiek z oskarżycieli moich. Czas już, abyśmy się rozstali; dla mnie — czas umrzeć, dla was — żyć. Komu z nas lepszy los przypadł w udziale? Nikomu to nie wiadomo, jedynie Bogu“¹⁾).

¹⁾ Platon: „Apologia Sokratesa“.

Sokrates nie tylko nie obalał prawdziwej religii i jej symbolów, lecz, przeciwnie, uczynił wszystko, aby ją umocnić. Byłby on największą ostoją swojej ojczyzny, gdyby zdolna ona była zrozumieć go. Podobnie jak Chrystus, umarł on, przebacząc katom swoim i stał się dla ludzkości całej wzorem mędrca - męczennika. Bowiem uosabia on ostateczne wprowadzenie wtajemniczenia indywidualnego i wiedzy, otwartej dla wszystkich.

Jasny obraz Sokratesa, umierającego za prawdę i spędzającego ostatnią godzinę życia na rozprawianiu z uczniami swoimi o nieśmiertelności duszy, uwiecznił się w sercu Platona jak widok najpiękniejszy i najświętsza tajemnica. Było to jego pierwsze wielkie wtajemniczenie. W następstwie studiował fizykę, metafizykę, i wiele innych nauk; pozostał wszelako na zawsze uczniem Sokratesa. Przekazał nam żywy obraz swój, wkładając w usta mistrza skarby własnych myśli. Ten kwiat skromności czyni z niego ideał ucznia, zarówno jak ogień zapału czyni zeń poetę filozofów. Mimo że wiadomo nam, iż założył szkołę swoją, mając lat pięćdziesiąt i umarł, licząc lat osiemdziesiąt, nie możemy go sobie wyobrazić inaczej, aniżeli młodym. Albowiem młodość wiekuista jest udziałem dusz, które z głębią myśli łączą boską prostotę.

Platon zawdzięcza Sokratesowi pierwszą wielką podniecie, pierwiastek czynny i męski swojego życia, swoją wiarę w sprawiedliwość i w prawdę. Wiedzę swoją i treść idei swoich zaczerpnął z wtajemniczenia w Misterie. Geniusz jego ujawnił się w nadaniu im nowej formy, zarazem poetyckiej i dialektycznej. Wtajemniczenie swoje zdobył nie tylko w Eleuzys. Szukał go u wszystkich dostępnych źródeł świata starożytnego. Po śmierci Sokratesa zaczął podróżować. Słuchał wykładów kilku filozofów w Azji Mniejszej. Stąd udał się do Egiptu, aby zawiązać bliższe stosunki z kapłanami i przeszedł przez wtajemniczenie Izidy. Nie osiągnął, jak Pytagoras, stopnia wyższego, uprawniającego do stanowiska adepta, dającego istotne i bezpośrednie widzenie prawdy boskiej wraz z władzą nadludzką z punktu widzenia ziemskiego. Zatrzymał się na trzecim stopniu, który darzy zupełną ja-

snością umysłową oraz panowaniem intelektu nad duszą i ciałem. Potem udał się do południowej Italii, aby zetknąć się z Pytagorejczykami, wiedział bowiem dobrze, że Pytagoras był największym z mędrców greckich. Nabył na wagę złota jeden z rękopisów mistrza. Zaznajomiwszy się w ten sposób z tradycją ezoteryczną Pytagorasa u samego jej źródła, zapożyczył od filozofa tego idee przewodnie i osnowę swojego systemu ¹⁾.

Po powrocie do Aten założył tu Platon swoją szkołę, która zyskała sławę nieśmiertelną pod mianem Akademii. Chcąc prowadzić dalej dzieło Sokratesa, należało szerzyć prawdę. Platon nie mógł wszelako nauczać publicznie rzeczy, okrywanych przez Pytagorejczyków potrójną osłoną tajemnicy. Wzbraniały mu tego złożone przysięgi, przezorność, a nawet sam cel, do którego dążył. Niewątpliwie, doktryną ezoteryczną jest to, co odnajdujemy w **Diałogach** Platona, lecz ukrytą, złagodzoną, osnutą dialektyką rozumowania, niby naleciałością obcą, przybraną nawet w szatę legendy, mitu, przypowieści. Nie ukazuje ona się tutaj w imponującym całokształcie, jaki nadał jej Pytagoras i jakiego obraz usiłowaliśmy odtworzyć, w postaci gmachu, zbudowanego na niewzruszonych podstawach, gmachu, którego wszystkie części spojone są trwałym, niezniszczalnym cementem; lecz w postaci fragmentów analitycznych. Platon, podobnie jak Sokrates, staje na gruncie młodych ludzi ateńskich, światowców, retoryków i sofistów, których pobija własną ich bronią. Geniusz jego stale wszakże czuwa; w każdej chwili gotów jest, jak

¹⁾ To, co głosił Orfeusz pod osłoną ciemnych alegorii — mówi Proklus — „co wykladał Pytagoras po przejściu wtajemniczenia orfickiego, tego Platon dokładną zdobył znajomość z pism orfickich i pytagorejskich“. Ten pogląd szkoły aleksandryjskiej na rodowód idei platońskich znajduje pełne potwierdzenie w zesławieniu porównawczym tradycji orfickich i pytagorejskich z pismami Platona. Rodowód ten, utrzymywany w tajemnicy w ciągu kilku wieków, ujawniony został dopiero przez filozofów aleksandryjskich, bowiem oni pierwsi wyjaśnili ezoteryczne znaczenie Misteriów.

orzeł, zerwać sieć dialektyki, aby poszybować śmiałym i atmosferą jego rodzinną. Dialogi te owiane są czarem lotem w krainę prawd szczytnych, które są ojczyzną jego niezwykłym i podniecającym: umysł czytelnika rozkoszuje się w nich zapałem delfickim i eleuzyńskim oraz cudowną jasnością, solą attycką, złośliwością dobrodusznego Sokratesa, subtelną, natchnioną ironią mędrca.

Nie ma nic łatwiejszego nad odnalezienie w pismach Platona różnych części doktryny ezoterycznej, a zarazem wykrycie źródeł, z których czerpał. Doktryna idei praty-pów wszechrzeczy, wyłożona w **Fajdrocie**, jest uzupełnieniem doktryny **Liczb świętych** Pytagorasa ¹⁾ — **Tymeusz** daje wykład nader niejasny i pogmatwany kosmogonii ezoterycznej. Co zaś do doktryny duszy, jej wędrówek i jej ewolucji, przetkane są nią, niby nicią czerwoną, wszystkie dzieła Platona. Nigdzie wszakże nie występuje ona tak wyraziście jak w **Uccie**, w **Fedonie** oraz w **legendzie o Erze**, umieszczonej na końcu **Rzeczypospolitej** ²⁾. Dostrzegamy w nich Psyche osłoniętą, lecz jakże piękną i wzruszającą! Jaśniejże ona poprzez zasłonę kształtami swoimi przedziwnymi i wdziękiem boskim swoim.

Widzieliśmy w księdze poprzedniej, że klucz Kosmosu, tajemnica ustroju jego od góry do dołu, tkwi w zasadzie **trzech światów**, odbitych w mikro- i makro-kosmosie, w troistości człowieczej i boskiej. Pytagoras po mistrzowsku sformułował i streścił tę doktrynę w symbolu **świętej Tetrydy**. Doktryna ta Słowa żywego, wiekuistego, stanowiła wielki tajnik, źródło zaklęć czarnoksiężkich, diamentową świątynię wtajemniczonego, warownię niezdobytą ponad oceanem wszechrzeczy. Platon ani mógł, ani chciał

¹⁾ Por. doktrynę tę, wyłożoną w księdze poprzedniej.

²⁾ O tym samym Erze, nazywając go „Herem Armeńczykiem“ (Ja, Her Armeńczyk, leżałem na stosie trupem...) mówi Słowacki w Rapsodzie I pieśni I **Króla-Ducha**. Źródłem przeinaczenia imienia **Er** na **Her** jest prawdopodobnie przekład francuski **Rzpltej**, z którego zapoznał się Słowacki z dziełem Platona, a którego tłumacz błędnie imię Era napisał. (Przyp. tłum.).

odsłonić tajnika tego w nauczaniu publicznym. Przede wszystkim zamykała mu usta przysięga dochowania tajemnicy. Poza tym nie wszyscy byliby zrozumieli; prostak byłby niegodnie pokalał tę tajemnicę teogoniczną, mieszczącą w sobie rodzenie światów. Czego innego potrzeba było do zwalczania znieprawionych obyczajów i rozkiełzanych namiętności politycznych. Wraz z wielkim wtajemniczeniem zamknąć się miały wkrótce wrota, wiodące do zaświatów, owe wrota, uchylające się w galerii świetlistej jedynie przed wielkimi prorokami oraz przed rzadkością niesłychaną — przed prawdziwymi wtajemniczonymi.

Platon zastąpił doktrynę trzech światów trzema koncepcjami, które, w braku zorganizowanego wtajemniczenia, pozostały w ciągu dwóch tysięcy lat jak gdyby trzema drogami otwartymi do najwyższego celu. Trzy te koncepcje dotyczyły zarazem świata ziemskiego i świata niebiańskiego; zaletą ich jest, że łączą je, jakkolwiek w sposób abstrakcyjny. Okazał się tutaj w całej pełni popularyzatorski i twórczy geniusz Platona. Rzucił on potoki światła a świat, stawiając na jednej linii ideę Prawdy Piękna i Dobra. Wyjaśniając jedną przez drugą, wykazał, że są one promieniami, które z jednego wyszły ogniska i które skupiając się, odtwarzają ponownie to samo ognisko, to znaczy Boga.

Dążąc ku Dobru, to znaczy ku Sprawiedliwości, dusza oczyszcza się; przygotowuje się do poznania Prawdy. Jest to pierwszy nieodzowny warunek jej postępu. — Dążąc ku idei Piękna i rozszerzając ją, osiąga ona Piękno intelektualne, owo światło duchowe, rodziciela wszechrzeczy, nadającego życie kształtom, stanowiącego treść i organ Boga. Zanurzając się w duszy świata, czuje dusza człowiecza, że wyrastają jej skrzydła. Idąc za ideą Prawdy, osiąga ona czystą Treść, pierwiastki zawarte w czystym Duchu. Poznaje nieśmiertelność swoją po tożsamości pierwiastka swojego z pierwiastkiem boskim. To doskonałość, epifania duszy. Otwierając wielkie te drogi duchowi ludzkiemu, wyczerpująco określił i stworzył Platon, poza ciasnymi ramami systematów i poszczególnych religii,

kategorię **Ideału**, która na całe wieki zastępować miała i zastępuje po dzień dzisiejszy **wtajemniczenie organiczne** i zupełne. Utorował trzy drogi święte, prowadzące do Boga, podobnie jak droga święta wiodła z Aten do Eleuzys przez wrota Ceramiku. My, którzy dotarliśmy wraz z Hermesem, Orfeuszem i Pytagorasem do wnętrza świątyni, tym lepiej ocenić możemy trwałość i prostolinijność szerokich tych dróg, zbudowanych przez boskiego inżyniera, Platona. Znajomość Wtajemniczenia starczy nam za usprawiedliwienie i rację bytu Idealizmu.

Idealizm — to śmiałe stwierdzenie prawd boskich przez duszę, która bada sama siebie w samotności swojej i ocenia rzeczywistości niebiańskie swoimi władzami ośrodkowymi i głosami wewnętrznymi. **Wtajemniczenie** — to przeniknięcie tych samych prawd drogą doświadczenia duszy, bezpośredniego widzenia ducha, odrodzenia się wewnętrznego. Na stopniu najwyższym jest to wejście duszy w obcowanie ze światem boskim.

Ideał — to moralność, poezja, filozofia; **Wtajemniczenie** — jest czynnością, widzeniem, szczytną obecnością Prawdy. **Ideał** — to marzenie o ojczyźnie boskiej i tęsknota za nią. **Wtajemniczenie**, ta świątynia wybranych, jest jasną, wyraźną pamięcią ideału, jest jego osiągnięciem. Stworzeniem więc kategorii **Ideału** dał wtajemniczony Platon schronienie, otworzył drogę zbawienia milionom dusz, nie mogących dosięgnąć w życiu doczesnym bezpośredniego wtajemniczenia, dążących wszakże z bolesnym upragnieniem do Prawdy. Platon uczynił w ten sposób z filozofii przedproże przyszłej świątyni, wzywając doń wszystkich ludzi dobrej woli. **Idealizm** licznych wyznawców jego, pogańskich czy chrześcijańskich, wydaje nam się jak gdyby poczekalnią przed wielkim wtajemniczeniem.

Tłumaczy nam to olbrzymią popularność i siłę promieniotwórczą idei platońskich. Źródłem siły tej jest ich podkład ezoteryczny. Oto dlaczego Akademia Ateńska, założona przez Platona, przetrwała wieki, znajdując dalszy ciąg swój w wielkiej szkole aleksandryjskiej. Dlatego też pierwsi Ojcowie Kościoła złożyli hołd Platonowi;

a święty Augustyn zaczerpnął z niej dwie trzecie teologii swojej. Dwa tysiące lat upłynęło od chwili, w której uczeń Sokratesa wydał ostatnie tchnienie w cieniu Akropolu. Przez świat przeszło chrześcijaństwo, przeszły najazdy barbarzyńców, wieki średnie. We Francji chcieli Medyceusze założyć akademię i wezwali do zorganizowania jej uczonego greka, wygnańca z Konstantynopola. Jakie imię nadał instytucji tej Marsyllus Ficynus? Nazywał ją Akademią Platońską. Dzisiaj nawet, kiedy tyle systematów filozoficznych, spiętrzonych jedne nad drugimi, zupełnie uległo rozsypce; dzisiaj, kiedy nauka zbadała materię aż do ostatnich jej przeistoczeń i stanęła wobec niewytłumaczonego i niewidzialnego, dzisiaj jeszcze powraca do nas Platon. Zawsze prosty i skromny, lecz promienny młodością wiekuiłą, wyciąga ku nam świętą gałązkę Misteriów, gałązkę mirtu i cyprysu wraz z narcyzem — **Kwiatem duszy**, zapowiadającym boskie odrodzenie w nowym Eleuzys.

III

MISTERIA ELEUZYŃSKIE.

Misteria Eleuzyńskie były w starożytności greckiej i łacińskiej przedmiotem specjalnej czci. Ci sami autorowie, którzy wyśmiewali bajki mitologiczne, nie śmieli tknąć kultu „wielkich bogiń“. Ich panowanie, mniej głośnie niżli Olimpijczyków, okazało się jednak pewniejszym i bardziej skutecznym. W czasach niepamiętnych kolonia grecka, pochodząca z Egiptu, sprowadziła nad cichą zatokę, nad którą leżało Eleuzys, kult wielkiej Izydy pod mianem Demetry, czyli matki wszechświata. Od tego czasu pozostało Eleuzys siedliskiem wtajemniczenia.

Demeter i córka jej Persefona były patronkami małych i wielkich misteriów, stąd ich urok.

Lud czcił w Cererze matkę ziemię i boginię rolnictwa, wtajemniczeni zaś widzieli w niej światło niebiańskie, matkę dusz, intelekt boski, matkę bogów kosmogonicznych. Kult jej uprawiali kapłani, należący do najstarszego attyckiego rodu kapłańskiego. Nazywali sami siebie synami Księżyca, to znaczy zrodzonymi na pośredników pomiędzy Ziemią a Niebem, pochodzącymi ze sfery, mieszczącej most przerzucony pomiędzy dwiema tymi dziedzinami, przez który dusze zstępują i wstępują. Od samego początku czynność ich polegała na „opiewaniu na tym padole nędz rozkoszy bytowania niebiańskiego i nauczania sposobów znalezienia drogi do niego“. Stąd ich miano Eumolpidów, czyli „piewców melodii dobroczynnych“,

słodkich odrodzicielek ludzi. Kapłani eleuzyńscy wykładali zawsze wielką doktrynę ezoteryczną, pochodzącą z Egiptu. Z biegiem wieków wszelako przystroili ją w całą czar zachwycającej mitologii plastycznej. Sztuką swoją subtelną i głęboką umieli czarodzieje ci posługiwać się namiętnościami ziemskimi dla wyrażenia idei niebiańskich. Wykorzystali urok zmysłowy, świetność ceremoniału, czar sztuki, aby skłonić duszę do życia lepszego, a urnyś do poznania prawd boskich. Nigdzie nie ukazują się misteria w formie tak ludzkiej, żywej i barwnej.

Mit o Cererze i jej córce, Persefonie, stanowi ośrodek kultu Eleuzyńskiego. Niby kołowrót świetlny obraca się wielkie wtajemniczenie eleuzyńskie dokoła tego promiennego kręgu. Owóz, w znaczeniu swym najgłębszym mit symbolicznie wyobraża dzieje duszy, jej zstąpienie w materię, jej cierpienie w mrokach zapomnienia, potem ponownego jej wzniesienia się, powrotu do życia boskiego. Innymi słowy — jest to dramat upadku i odkupienia w jego postaci helleńskiej.

Skądinąd zatem twierdzić można, że dla światłego i wtajemniczonego Ateńczyka z czasów Platona były misteria Eleuzyńskie uzupełnieniem wyjaśniającym, świetlaną przeciwagą tragicznych widowisk ateńskich. Tam, w teatrze Bachusa, wobec wzburzonego, wyjącego tłumu odtwarzały straszliwe czary Melpomeny człowieka ziemskiego, którego zaślepiały własne jego namiętności i żądze, prześladowała Nemezys jego zbrodni, przytłaczał Los nieubłagany i często niepojęty. Rozlegały się odgłosy walk prometejskich, przekleństw Eryinii; ryk rozpaczny Edypa i wściekłość Oresta. Tam było królestwo ponurej Grozy i bolesnej Litości.

W Eleuzys, w gaju Cerery, wszystko się rozjaśniało. Krąg rzeczy rozszerzał się dla wtajemniczonych, którzy stawali się jasnowidzącymi. Dzieje Psyche-Persefony były dla każdej duszy objawieniem zdumiewającym. Życie zyskiwało znaczenie bądź pokuty, bądź próby. Poza i ponad teraźniejszością swoją ziemską odkrywał człowiek gwiaździste strefy przeszłości i przyszłości boskiej. Po grozie śmierci — nadzieje wyzwolenia i rozkosze elizejskie, a po-

przez szeroko rozwarte portyki świątyni — śpiewy szczęśliwych, olśniewające potopy światła czarownego zaświata.

Misteria, w zestawieniu z Tragedią, były dramatem boskim duszy, uzupełniającym dramat ziemski człowieka.

Małe Misteria święcone były w lutym, w Agrae, osadzie sąsiadującej z Atenami. Aspiranci, którzy przeszli przez egzamin przedwstępny i złożyli dowody swoich narodzin, przyjmowani byli przy wejściu do świątyni zamkniętej przez kapłana z Eleuzys, zwanego **hierokeryksem** czyli świętym heroldem, upodobnionym Hermesowi, jak on strojącego głowę w rodzaj mitry o wąskich skrzydłach i noszącego laskę Merkurego z węzami. Był on przewodnikiem, pośrednikiem i tłumaczem Misteriów. Prowadził przybyszów ku małej świątyni o kolumnach jońskich, poświęconej wielkiej dziewicy — Persefonie, zwanej **Kore**. Pełna wdzięku świątynia ta kryła się w głębi cichej doliny, pośrodku świętego lasu, pomiędzy grupami cisów i srebrnych topoli. Wówczas wychodziły ze świątyni kapłanki Prozerpiny, hierofanty, w śnieżnych szatach, z obnażonymi ramionami i wieńcami z narcyzów na głowach. Ustawiały się szeregiem na najwyższym stopniu schodów i intonowały melopeę uroczystą na modłę dorycką. Skandując słowa i podkreślając je gestami wymownymi, mówiły:

„O, przyszli adepci Misteriów, stanęliście u progu Prozerpiny. Wszystko, co oglądać będziecie, w zdumienie was wprawi. Dowiedcie się, że życie wasze obecne jest splątana tkaniną uludnych rojeń. Sen, który otacza was strefą mroków, uniesie na fali swojej rojenia i dni wasze, niby płynące szczątki ostatnie, które rozwiewają się w oczach. Poza strefą mroków wszelako jest strefa miłości wiekui-stej. Niech sprzyja wam Persefona i niech nauczy was, jak przebyć rzekę ciemności i dostać się do Demetry niebiańskiej“.

Gdy słowa te przebrzmiały, prorokini, prowadząca chór, zstępowała z trzech stopni w dół schodów i wypowiadała głosem uroczystym, rzucając przytym spojrzenia pełne grozy, przekleństwo następujące: „Lecz biada tym, którzy

przyszli, aby pokalać Misteria! Bowiem bogini prześladować będzie te serca przewrotne przez całe ich życie i w królestwie cieni nie wypuści ona swojej ofiary“.

Kilka dni następnych upływało na obmywaniach, postach, modlitwach i naukach.

Wieczorem ostatniego dnia zbierali się neofici w najtajniejszej części świętego gaju, aby być widzami przy scenie **porwania Persefony**. Przedstawienie to odgrywały kapłanki na otwartym powietrzu. Zwyczaj odgrywania Misterii sięgał bardzo dawnych czasów, przyczym treść przedstawienia, jego myśl przewodnia, pozostawały zawsze bez zmiany, jakkolwiek forma zewnętrzna ulegała w ciągu wieków znacznym przeobrażeniom. Za czasów Platona, dzięki niedawnemu rozwojowi tragedii, ustąpiła surowość hieratyczna miejsca gustowi bardziej ludzkiemu i bardziej wysubtelnionemu oraz kierunkowi bardziej uczuciowemu. Anonimowi poeci eleuzyńscy przekształcili scenę tę pod kierunkiem hierofanty w mały dramat, który przebiegał w sposób mniej więcej następujący:

(Neofici schodzą się parami na polanę. W głębi widać skały i grotę, otoczone lasem mirtowym i kilkoma topolami. Na przodzie łąka, na której leżą nimfy dokoła źródła. W głębi grotty widać **Persefonę** siedzącą na stołku. Obnażona jest do pasa jak Psyche; wysmukły jej biust wylania się wstydliwie ze zwojów gazy, spowijającej obłokiem lazurowym jej ciało. Wydaje się szczęśliwą, nieświadomą swojej piękności; wyszywa długi zawój nitkami różnokolorowymi. **Demeter**, matka jej, stoi obok córki; na głowie ma kalathos¹⁾, w ręku dzierży berło).

Hermes (herold Misteriów, do obecnych): Demeter darczy nas dwoma darami świetnymi: owocami, abyśmy nie żyli jak zwierzęta i wtajemniczeniem, które daje nadzieję, od owoców słodsza, tym, którzy w nim uczestniczą, zarówno na kres życia doczesnego, jak i na całą wieczność.

¹⁾ **Kalathos** — naczynie gliniane do mleka lub wina, używane u Greków i Rzymian przy uroczystościach na cześć Bachausa i Cerery. (Przyp. tłum.)

Baczcie pilnie na słowa, jakie usłyszycie i na rzeczy, jakie będziecie oglądali.

Demeter (głosem poważnym): Córko ukochana przez Bogów, pozostań w grocie tej aż do powrotu mojego i wyszywaj zawój. Niebo — ojczyznę twoją; do ciebie należy wszechświat. Widzisz Bogów; przychodzą na wezwanie twoje. Nie dawaj wszakże posłuchu Erosowi przebiegłemu o spojrzeniu słodkim, lecz o radach zdradnych. Strzeż się opuszczania groty i nie zrywaj nigdy pociągających kwiatów ziemi; ich zapach oszałamiający i zgubny naraziłby cię na utracenie światłości nieba i zgasiłby w tobie pamięć o nim. Tkaj welon i żyj szczęśliwa do mojego powrotu z nimfami, twoimi towarzyszkami. A wtedy, na wozie ognistym, zaprzężonym w węże, powiozę cię znów do wspaniałości Eteru, ponad drogę mleczną.

Persefona: Tak, matko dostojna i grozy pełna; na to światło, które cię otacza i które mi jest drogie, przyrzekam, i niech ukarzą mnie bogowie, jeśli przysięgi nie dotrzymam. (Demeter wychodzi).

Chór nimf: O, Persefono, o Dziewico, o, czysta oblubienico Nieba, ty, która wyszywasz postaci Bogów na zawoju twoim! obyś nie zaznała nigdy ułud próżnych i niezliczonych cierpień ziemi. Uśmiecha się do ciebie Prawda wiekuista. Twój oblubieniec niebieski, Dionizos, czeka na ciebie w Empireum, w siedlisku ognia i światłości. Czasem ukazuje ci się w postaci dalekiego słońca; pieszczą cię jego promienie; oddycha on tchnieniem twoim, a ty pijesz jego blaski... Już naprzód posiadacie się wzajem!... O, Dziewico, któż szczęśliw jest bardziej nad ciebie?

Persefona: Na tym lazurowym welonie o zwojach nieskończonych wyszywam iglicą z kości słońcowej niezliczone postaci istot i wszechrzeczy. Ukończyłam historię Bogów; wysyłam Chaos przeraźliwy o stu głowach, o ramionach tysiącu. Wyłonić się stąd mają istoty śmiertelne. Któż je powołał do życia? Oznajmił mi o tym Ojciec Bogów: to — Eros. Nigdy go wszelako nie widziałam, nie wiem, jak wygląda. Kto odmaluje mi jego oblicze?

Nimfy: Nie myśl o tym. Na co to próżne pytanie?

Persefona (wstaje i odrzuca płaszcz), Erosie! najdawniejszy, a przecież najmłodszy z Bogów, źródło niewysychające radości i łez — tak bowiem mówiono mi o tobie — Bogu straszliwy, jedyny nieznan, jedyny niewidzialny z Nieśmiertelnych i jedyny upragniony, Erosie tajemniczy! jakież niepokój, jaki szal ogarnia mnie na dźwięk imienia twojego!

Chór: Nie usiłuj dowiedzieć się o nim więcej. Pytania niebezpieczne zgubiły już ludzi, a nawet bogów.

Persefona (wpija w próżnię oczy osłupiałe przerażeniem): Czy wspomnienie to? Czy też przecucie straszliwe? Chaos... ludzie... przepaść wcieleń, krzyk rodzenia, wściekła wrzawa nienawiści i wojny... otchłań śmierci! Słyszę, widzę to wszystko — i przepaść ta pociąga mnie, wchłania, muszę w nią zstąpić! Eros pogrąża mnie w nią swoją podlegającą pochodnią. O! umieram! Precz ode mnie, śnie potworny- (Ukrywa twarz w dłoniach i łka).

Chór: O! dziewico boska, to sen tylko jeszcze, lecz mógłby on łatwo ziścić się, stać się rzeczywistością nieuchronną i niebo twoje znikłoby jak złudne marzenie, gdybyś uległa twojej występnej żądzy. Usłuchaj tego ostrzeżenia zbawczego, ujmij ponownie iglicę swoją i tkaj swój zawój lazuruowy. Zapomnij o chytrym, bezczelnym, występny Erosie!

Persefona (odejmując ręce od twarzy, która zmieniła wyraz, uśmiecha się poprzez łzy): O, wy szalone! O, ja, bezrozumna! Przypominam sobie teraz, słyszałam o tym na Misteriach Olimpijskich: Eros jest najpiękniejszym z bogów; na wozie skrzydlatym kieruje on przeobrażeniami Nieśmiertelnych, mieszaniem Treści pierwotnych. On to wyprowadza ludzi śmiałych, bohaterów, z głębin Chaosu na szczyty Eteru! Wie wszystko; jako ogień pierwotny, obchodzi wszystkie światy, dzierży klucze ziemi i nieba! Chcę go widzieć!

Chór: Stój! Nieszczęsna!

Eros (wychodzi z lasu w postaci skrzydlatego młodzieńca): Wzywasz mnie, Persefono? Oto jestem.

Persefona (siada): Mówią o tobie, żeś podstępny, a oblicze twoje to niewinność wcielona; mówią, żeś wszechwła-

dny, a zdajesz się wątłym dziecięciem; mówią, żeś zdradziecki, a im więcej patrzę w oczy twoje, tym bardziej rozwiera się moje serce, tym więcej nabieram ufności w ciebie, piękne dziecię swawolne. Mówią o tobie, żeś mądry i zręczny. Czy możesz mi dopomóc w wyszywaniu tego zawoju?

Eros: Chętnie. Oto, siadam tuż przy tobie, u stóp twoich. Jakież welon cudowny! Zdaje się być skąpanym w lazurze twoich oczu. Jakie cudowne postacie wyszyła na nim dłoń twoja — mniej piękne wszakże, aniżeli boska hafciarka, która nigdy nie oglądała samej siebie w zwierciadle. (Uśmiecha się figlarnie).

Persefona: Oglądać siebie samą! czyżby to było możliwe? (rumieni się). Czy poznajesz wszakże te postacie?

Eros: Czy je poznają? to historia Bogów. Pocóż jednak zatrzymywać się na Chaosie? Tam właśnie rozpoczyna się walka. Czy chciałabyś wyszywać wojny Tytanów, ludzi i miłość ich?

Persefona: Brak mi na to umiejętności i zawodzi mnie pamięć. Czy nie mógłbyś pomóc mi wyszyć resztę?

Eros (rzuca na nią spojrzenie rozplamione): Tak, Persefono, lecz pod warunkiem, że przedtym przyjdiesz zerwać ze mną kwiat na łące, najpiękniejszy ze wszystkich!

Persefona (poważnie): Dostojna i mądra matka moja zakazała mi tego. — Nie ulegaj głosowi Erosa — rzekła do mnie — nie zrywaj kwiatów na łące. Jeśli to uczynisz, będziesz najnędniejszą z Nieśmiertelnych!

Eros: Rozumiem. Matka twoja nie chce, abyś знаła tajemnice ziemi i piekieł. Gdybyś odetchnęła zapachem kwiatów łącznych, zostałyby ci one ujawnione.

Persefona: Czy znasz je?

Eros: Wszystkie; mimo to jak widzisz — młodszym jeszcze mnie to czyni i zwinniejszym. O, córo bogów, otchłań pełna jest grozy i dreszczów nieznanych niebu! nie rozumie wszakże nieba, kto nie przeszedł przez ziemię i otchłanie piekielne.

Persefona: Czy możesz mi je wytłumaczyć?

Eros: Tak, patrz; (dotyka ziemi ostrzem swojego łuku; wyrasta z niej wielki narcyz).

Persefona: O, jaki cudowny kwiat! Na jego widok drga i rozkwita w sercu moim wspomnienie boskie. Czasem, uśpiona na szczycie mojej uwielbianej gwiazdy, którą złoci wiekuisty zachód, dostrzegałam po zbudzeniu się, zawieszoną na szkarłacie widnokręgu, gwiazdę srebrzystą w perłowym łonie bladego seledynu nieba. Zdawało mi się wówczas, że jest ona pochodnią oblubieńca nieśmiertelnego, zapowiedzią bogów, boskiego Dionizosa. Lecz gwiazda zniżała się, zniżała... i pochodnia gasła w oddali. Ten kwiat cudowny podobny jest do owej gwiazdy.

Eros: Ja, który przekształcam i wiązę każdą rzecz; ja, który czynię z małego wizerunek wielkiego, z głębin — zwierciadło nieba; ja, który mieszam niebo z piekłem na ziemi; który wytwarzam wszystkie kształty w głębokim oceanie, sprawiam, że gwiazda twoja odradza się z otchłani w postaci kwiatu, abys mogła go dotknąć, zerwać i wonią jego się napawać.

Chór: Strzeż się, aby czar ten nie był zasadzką!

Persefona: Jak nazywasz ten kwiat?

Eros: Ludzie nazywają go narcyzem; ja nazywam go Pożądaniem. Spójrz, jak patrzy na ciebie, jak się ku tobie zwraca. Białe jego płatki drżą jak żywe, z jego złotego łona ulatuje aromat, napełniający całą atmosferę upojeniem. Jak tylko zbliżysz kwiat ten do oblicza twojego, ujrzysz w obrazie olbrzymim i cudownym potworów otchłani, głębię ziemi i serce ludzi. Nic nie będzie ukryte przed tobą.

Persefona: O, kwiecie cudowny, co pachniesz upajająco; moje serce drży, palce moje płoną, kiedy dotykam ciebie. Chcę upoić się aromatem twoim, przyłgnąć do ciebie ustami położyć cię na moim sercu — chociażbym miała umrzeć przez to!

(Ziemia rozwiera się obok niej. Z czarnej szczeliny zięjącej wyłania się powoli do połowy ciała **Pluton** na wozie, zaprzężonym w dwa czarne konie. Chwyta Persefonę w chwili, kiedy zrywa ona kwiat i pociąga ją gwałtownie ku sobie. Dziewica wije się na próżno w jego ramionach i wydaje głośny okrzyk. W tej samej chwili wóz zapada

się w ziemię i niknie. Odgłos warkotu jego kół zamiera w oddali, jak ryk podziemnego gromu. Nimfy rozpierzcha ją się z jękiem po lesie. Eros ucieka z głośnym wybuchem śmiechu).

Głos Persefony (pod ziemią): Matko moja! Ratuń! Matko!

Hermes: O, przyszli adeptci tajników, których życie przyćmiewają jeszcze opary złego życia — oto dzieje wasze. Zachowajcie w pamięci te słowa Empedoklesa i rozważcie je dobrze: płodzenie jest straszliwym niszczeniem, które sprawia, iż żywi przeistaczają się w zmarłych.

Niegdyś żyliście życiem prawdziwym, a potem pociągnięci mrokiem, wpadliście w przepaść ziemską, pokonani przez ciało, oddani w jego moc. Teraźniejszość wasza jest tylko bolesnym snem. Jedyne, co istnieje prawdziwie — to przeszłość. Nauczcie się przypominać sobie, nauczcie się przewidywać“.

Podczas sceny tej noc zapadła, zapalono więc dokoła małej świątyni, pomiędzy czarnymi cyprysami, pochodnie pogrzebowe; wodzowie oddalili się w milczeniu, a za nimi szły płaczliwe śpiewy hierofantyd, wzywających: Persefono! Persefono! Małe Misteria były skończone. Neofici stali się **mistami**, to znaczy **osłoniętymi**. Powrócić mieli do zwykłych swoich zajęć, ale wielka **zasłona tajemnic** rozpostarła się na ich oczach. Pomiędzy nimi a światem zewnętrznym stanął obłok mglisty. Zarazem też otworzyło się w umyśle ich oko wewnętrzne, którym niewyraźnie dostrzegali inny świat, pełen form pociągających, poruszających się w otchłaniach, raz olśniewających, to znowu mrocznych. **Wielkie Misteria**, będące dalszym ciągiem małych i zwane także **Świątymi orgiami**, odprawiane były raz na pięć lat, we wrześniu w Eleuzys.

Uroczystości te, czysto symboliczne, trwały dziewięć dni, ósmego dnia rozdawano mistom godła wtajemniczenia: laskę Merkurego oraz koszyk przetkany gałązkami bluszczu i nazwany cystą. Mieściły się w nim przedmioty tajemnicze, których znajomość miała dawać klucz życia. Koszyk był jednak starannie opieczętowany. Nie wol-

no było go otwierać przed końcem wtajemniczenia, a i wtedy w obecności hierofanty.

Potem oddawano się radości hałaśliwej, biegano z pochodniami, które jeden oddawał drugiemu, wznoszono okrzyki uciechy. Dnia tego niósł orszak specjalny z Aten do Eleuzys posąg Dionizosa, uwieńczony mirtem i zwany Jakchos. Przybycie jego do Eleuzys zapowiadało odrodzenia. Bowiern wyobrażał on ducha boskiego, przenikającego wszystko, odrodziciela dusz, pośrednika pomiędzy ziemią a niebem.

Tym razem wchodzono do świątyni wrotami mistycznymi, aby spędzić w niej noc świętą, czyli noc wtajemniczenia.

Dostawano się naprzód pod obszerny portyk, zawarty w zewnętrznym obmurowaniu. Tam, herold, z okrutnymi pogroźkami i krzykiem: **Eskato Bebeloi!** — precz stąd, profani! — usuwał intruzów, którym udawało się czasem wślizgnąć poza mur wraz z mistami. Tym ostatnim kazał on przysięgać pod karą śmierci, że nie ujawnią nic z tego, co zobaczą. W końcu dodawał: Oto jesteście u podziemnego progu Persefony. Ażeby zrozumieć życie przyszłe i wasze obecne położenie, przejść należy przez państwo śmierci; to wypróbowanie wtajemniczonych. Należy umieć stawić czoło mrokom, aby korzystać ze światła. Poczynn wkładano na siebie skórę jelonka, symbol udręczenia i rozdarcia duszy, pogrążonej w życie cielesne, gaszono pochodnie i lampy i wchodzono do podziemnego labiryntu.

Mistowie szli zrazu po omacku w mroczkach. Niebawem rozległy się szmery, jęki i groźne odgłosy. Błyskawice, którym towarzyszyły grzmoty, rozdierały ciemności. Błysk ich oświecłał przeraźliwe zjawy: potwory, chimery i smoki, czasem człowieka, miażdżonego stopą sfinksa, czasem larwę ludzką. Zjawy te były tak nagłe i przelotne, że nie starczyło czasu, aby zauważyć sztuczne ich wywoływanie, a ciemność zupełna, jaka zalegała po błyskach, podwajała ich grozę. Plutarch porównywa uczucie grozy, jakim przejmowały te wizje, do stanu człowieka na łożu śmierci.

Scena najdziwniejsza, granicząca już z magią istotną,

odbywała się w krypcie, w której kapłan frygijski, w szacie azjatyckiej w podłużne pasy czerwone i czarne, stał przed miedzionym naczyniem z rozżarzonymi węglami, słabo oświetlającymi salę swymi przelotnymi błyskami. Gestem stanowczym, nieznoszącym oporu, zmuszał wchodzących do zajęcia miejsca przy wejściu i rzucał na paleńsko duże garście kadzideł narkotycznych. Wnet wypełniały salę gęste kłęby dymu, w których rozróżnić można było niebawem splątane, kłębiące się, zmienne nieustannie kształty zwierzęce i ludzkie. Czasem były to wielkie węże, wydłużające się w syreny i skłębione w skręty nieskończone; czasem biusty nimf wygięte lubieżnie z wyciągniętymi ramionami, przeistaczające się w nietoperze; czarujące głowy młodzieńców z psimi pyskami. I wszystkie te poczwary — to ładne, to wstrętne, płynne, zwiewne, zwodnicze, nieistotne, równie rychło znikające, jak nagle pojawiające się — wirowały, migotały, falowały zawrotnie, okrążały oczarowanych mistów, jak gdyby chcąc zagrozić im drogę. Czasem kapłan Cybeli wyciągał pośrodku mgieł krótką swoją laseczkę, a wówczas emanacja woli jego zdawała się nadawać wielokształtnemu kołowrotowi temu ruch wirujący i niepokojącą szybkość. Idźcie dalej! — wołał Frygijczyk. Mistowie podnosili się i wchodzili w krąg. Wówczas większość ich czuła się muskaną w dziwny sposób; inni doznawali nagłych dotknięć niewidzialnych rąk lub czuli się gwałtownie ciskanymi na ziemię. Niektórzy cofali się przerażeni i wracali skąd przyszli. Najodważniejsi jedynie przechodzili, ponawiając próby kilkakrotnie; bowiem stanowczość i mocna wola najskuteczniej zwalczały czary¹⁾. Wówczas śmiałkowie ci

¹⁾ Wiedza współczesna widziałaby w faktach tych zwykle tylko halucynacje lub sugestie. Nauka starożytnego ezoteryzmu nadawała zjawiskom tego rodzaju, wywoływanym często w Misteriach, wartość zarazem przedmiotową i podmiotową. Wierzyła ona w istnienie duchów żywiołowych, pozbawionych zindywidualizowanej duszy i rozumu, napół-świadomych, zapelniających atmosferę ziemską i będących poniekąd duszą żywiołów. Maja, która jest wolą, wprowadzona

wchodzili do wielkiej okrągłej sali, oświetlonej ponurym światłem nielicznych świeczników. Pośrodku jedna jedyna kolumna, drzewo z brązu, którego listowie metaliczne rozkłada się po całej powale¹⁾. W liście te wbite są, jako inkrustacja: chimery, gorgony, harpie, sowy, sfinksy, wampiry, żywe wizerunki wszystkich klęsk ziemskich, wszystkich demonów, prześladowających człowieka. Potwory te, odtworzone z metali lśniących, owijają się dokoła gałęzi i zdają się z wysoka czyhać na swoją ofiarę. Pod drzewem zasiada na wspaniałym tronie Pluton — Aïdoneus w purpurowym płaszczu. Pod płaszczem nebryda²⁾; w rękę ma trójzab, czoło jego zasepione. Obok króla piekieł, którego oblicza nie opromienia nigdy uśmiech, jego małżonka, smukła Persefona. Mistowie rozpoznają ją w rysach hierofantki, która wyobrażała już boginię w małych misteriach. Jest zawsze piękna, piękniejsza może w melancholii swojej, jakże zmieniona jednak w swojej

w czyn w posługiwaniu się siłami tajemnymi, czyni je czasem widzialnymi. O nich to myśli Heraklit, kiedy powiada: — „Natura jest na każdym miejscu pełna demonów“. Platon nazywa je „demonami żywiołów“; Paracelsus — „żywiołnikami“. Zdaniem tego lekarza-teozofa z szesnastego wieku przyciąga je atmosfera magnetyczna człowieka, elektryzuje i sprawia, że są one zdolne wówczas do przybierania wszelkich możliwych kształtów. Im więcej człowiek oddany jest na łup swoich namiętności, tym bardziej staje się ich ofiarą, nie domyślając się nawet tego. Mag tylko jedynie pokonuje je i posługuje się nimi, stanowią one wszelako sferę ułud zwodniczych i obłądnych, które musi on opanować i przez które musi przejść przed wkroczeniem swoim do świata tajemnego. Bulwer nazywa je w ciekawym romansie pt. „Zenoni“ — strażą progu.

1) To drzewo snów, wspomniane przez Wirgiljusza przy zstępowaniu Eneusza do Piekieł w VI księdze *Eneidy*, która odtwarza główne sceny misteriów Eleuzyjskich z upiększeniami poetyckimi.

2) *Nebryda* — skóra jelenia, noszona zazwyczaj przez bachantki. (Przyp. tłum.).

szacie żałobnej z przybraniem z łańcuchów srebrnych, w diademy z złotym na głowie! To już nie dziewczyna z grotu; teraz zna już ona życie podziemi i cierpi z jego powodu. Panuje nad potęgami niższymi, jest władczynią królestwa śmierci, obcą wszelako w swoim państwie. Blady uśmiech rozjaśnia jej twarz, na którą pada cień Piekła. O! w uśmiechu tym jest wiedza Dobrego i Złego, czar niewypowiedziany rzeczy przeżytych, zaklętego w milczenie cierpienia. Ból uczy litości. Uśmiechem współczucia przyjmuje mistów, którzy klękają i składają u stóp jej wieńce z narcyzów. W oczach jej rozpała się na chwilę gasnący wnet płomień utraconej nadziei, dalekiego wspomnienia nieba!

Nagle, w głębi galerii, idącej w górę, rozbłyskują pochodnie i — jak ryk trąb — grzmi głos jakiś: „Pójdźcie, mistowie! Jakchos powrócił! Demeter czeka na swoją córkę Ewohe! Okrzyk ten powtarzają głośnie echa podziemne. Persefona podnosi się na swoim tronie, jak gdyby zbudzona nagle z długiego snu i olśniona myślą błyskawiczną woła: „Światło! Matka moja! Jacchos!“ Chce rzucić się, lecz Aidoneus powstrzymuje ją gestem za kraj szaty; pod jego wpływem opada ona na swój tron jak martwa. Świeczniki gasną nagle i głos jakiś woła: „Umrzeć — to odrodzić się!“.

Lecz mistowie spieszą przez galerię bohaterów i półbogów ku wejściu do podziemi, gdzie oczekuje ich Hermes oraz niosący pochodnie. Zdejmują z nich skóry jelenie, skrapiają ich wodą lustralną¹⁾, wkładają na nich świeże szaty lniane i wprowadzają do rzeźbiście oświetlonej świątyni, gdzie przyjmuje ich hierofanta, arcykapłan eleuzyński, majestatyczny, przybrany w purpurę starzec.

A teraz oddajemy głos Porfiriuszowi. Oto, co opowiada on o najwyższym wtajemniczeniu eleuzyńskim:

„Uwieńczeni mirtem, wchodzimy wraz z resztą wtajemniczonych do podziemia świątyni — ślepi jeszcze; lecz hierofanta, znajdujący się w jej wnętrzu, otworzy nam

¹⁾ Woda lustralna u starożytnych — woda do omywań. Dzień lustralny — dzień, w którym w starożytności nadawano dziecku imię. (Przyp. tłum.).

wkrótce oczy. Przede wszystkim jednak — nie należy bowiem nic czynić pośpiesznie — przede wszystkim, umyjmy się w wodzie świętej. Albowiem żądano od nas, abyśmy weszli do świętego przybytku z rękami czystymi i sercem czystym. Kiedy stajemy przed hierofantą, odczytuje on z księgi kamiennej rzeczy, których nie wolno nam rozgłaszać pod karą śmierci. Powiemy też jedynie, że przystosowane one są do miejsca i okoliczności. Wyśmialibyście je może, gdybyście usłyszeli je poza Świątynią; lecz tutaj nie przychodzi wam wcale na myśl śmiać się, słuchając słów zgrzybiałego starca i patrząc na symbole wyjawione ¹⁾. I dalecy bardzo jesteście od śmiechu, kiedy Demeter potwierdza, szczególną mową swoją i swoimi znakami, żywymi błyskami światła, obłokami piętrzącymi się na obłoki, wszystko, co widzieliśmy i co usłyszeliśmy z ust świętego jej kapłana. Wówczas nareszcie światło jasnego cudu napełnia Świątynię. Widzimy czyste pola elizejskie; słyszymy chór szczęśliwych; i w chwili tej już nie przez pozór zewnętrzny, czy interpretację filozoficzną, lecz faktycznie i w rzeczywistości staje się hierofanta twórcą (**demiurgos**) i wyjawicielem wszechrzeczy. Słońce jest tylko jego świecznikiem. Księżyc — jego oficjantem przy ołtarzu, a Hermes — jego heroldem mitycznym. Wypowiedziane zostało słowo ostatnie: **Konx Om Pax** ²⁾.

¹⁾ Przedmiotami złotymi, zamkniętymi w koszyku, były: szyszka jodłowa (symbol płodności, rodzenia), skręcony wąż (ewolucja duszy we wszechświecie, zstąpienie w materię i wyzwolenie przez ducha), oraz jajko (przypominające sferę czyli doskonałość boską — cel człowieka).

²⁾ Tajemnicze wyrazy te nie mają żadnego znaczenia po grecku. Dowodzi to, że są one bardziej starożytne i że pochodzą ze Wschodu. Wilford przypisuje im pochodzenie sanskryckie. **Konx** ma pochodzić od **Kansha**, co znaczy: przedmiot największego upragnienia; **Om** — od **Oum** — dusza Brahmy i **Pax** — od **Pasha** — wieża, zmiana, cykl. Najwyższe zatem błogosławieństwo hierofanty z Eleuzys miało oznaczać: Niech pragnienia twoje będą spełnione, powróć do duszy wszechświata!

Rytuał jest ukończony i jesteśmy Widzącymi (**epoptai**) na wieki. Co mówił więc wielki hierofanta? Jakie były święte słowa, owo wyjawienie ostatnie?

Wtajemniczeni dowiadawali się, że boska Persefona, którą oglądali pośród grozy i katuszy piekieł, była obrazem duszy boskiej, skutej w życiu doczesnym z materią lub też wydanej w życiu przyszłym na łup straszliwszych jeszcze chimer i udręczeń, o ile żyła w niewoli swoich żądź. Jej życie ziemskie jest pokutą lub próbą, zadaną jej za istnienia uprzednie. Lecz dusza oczyścić się może życiem karnym, może wysiłkiem woli, skojarzonej z intuicją i pracą myśli przypominać sobie i przeczuwać; brać naprzód już udział w wielkich prawdach, które osiąść ma całkowicie w zaświatach niezmiernych. Wówczas dopiero stanie się Persefona ponownie czystą, świetlaną Dziewicą niewypowiedzianą, siewczynią miłości i radości. Co się zaś tyczy matki jej, Cerery, była ona w misteriach symbolem Intelaktu boskiego i pierwiastka intelektualnego w istocie ludzkiej, z którym dusza musi złączyć się, aby osiągnąć doskonałość.

O ile wierzyć można Platonowi, Proklusowi i wszystkim filozofom aleksandryjskim, doznawać mieli wewnątrz świątyni wybrańcy spośród wtajemniczonych cudownych wizji ekstatycznych. Przytoczyłem świadectwo Porfiriusza. A oto inne, Proklusa: „We wszystkich wtajemniczeniach i misteriach bogowie (wyraz ten oznacza tutaj wszystkie rodzaje duchów) ujawniają wielorakie postacie własne i ukazują się w znacznej różnorodności kształtów. Czasem jako światło bez formy określonej, czasem jako światło, przybierające kształt ludzki, a czasem kształt odmienny“¹⁾. A tak znów brzmi ustęp z Apuleusza: „Zbliżałem się do pogranicza śmierci i — stanąwszy u progu Prozerpiny — powróciłem stamtąd, uniesiony poprzez wszystkie żywioły (duchy żywiołowe ziemi, wody, powietrza i ognia). O północy ujrzałem słońce, świecące światłem wspaniałym, a równocześnie bogów piekielnych

¹⁾ Proklus: Komentarz do „Rzeczypospolitej“ Platona.

i bóstwa najwyższe i — zbliżając się do tych bóstw — hołd im złożyłem uwielbienia pobożnego“.

Przy całej mglistości tych świadectw zdają się one wszakże dotyczyć zjawisk tajemnych. Wedle doktryny misteriów wizje ekstazy w świątyni miały się dokonywać poprzez pierwiastek najczystszy: światło duchowe, upodobnione niebiańskiej Izydzie. Wyrocznie Zoroastrą nazywają je Naturą, która przemawia sama przez się, to znaczy pierwiastkiem, przez który Mag daje wyraz bezpośredni i widomy myśli swojej i który służy zarazem za ciało i szatę duszom, tym najpiękniejszym myślom Boga.

Oto dlaczego hierofanta, o ile miał władzę wywoływania tego zjawiska, wprowadzania wtajemniczonych w zetknięcie z duszami bohaterów i bogów (aniołów i archaniołów), upodobniony był w tej chwili Twórcy, Demiurgowi; niosący świecznik — Słońcu, to znaczy światłu nadzmysłowemu; zaś Hermes — słowu boskiemu, które jest jego tłumaczem. Bez względu wszakże na istotę tych wizji starożytności jednomyślna jest w opisach pogodnego nastroju ducha i radosnego uniesienia, jakie wywoływały ostatnie objawienia eleuzyńskie. Uczucie błogości niezaznanej, nadziemskiego spokoju spływało w serca wtajemniczonych. Życie zdawało się zwyciężonym, dusza wyzwoloną, groźny cykl istnień spełnionym. Wszyscy odnajdywali się z uczuciem jasnej radości i upojenia niewypowiedzianego w czystym eterze duszy wszechświata.

Przeżyliśmy dramat eleuzyński w jego ukrytym znaczeniu najgłębszym. Wskazałem nić przewodnią, przewijającą się poprzez ten labirynt, wykazałem wielką jasność, górującą nad jego przepychem i jego skomplikowaniem. Węzeł najwyższej harmonii umiejętnej łączył obrządki różnorodne z dramatem boskim, stanowiącym ośrodek idealny, ognisko świetlne tych uroczystości religijnych. W ten sposób wtajemniczeni utożsamiali się stopniowo z czynem. Ze zwykłych widzów przedzierzgiwali się w aktorów i poznawali w końcu, że dramat Persefony rozgrywał się w nich samych. Jakąż niespodzianką, jaką radością było dla nich to odkrycie! Jeśli cierpieli, jeśli walczyli wraz z duszą własną w życiu obecnym — mieli, jak ona, nadzieję odży-

skania szczęśliwości boskiej, światła wielkiego Intelaktu. Słowa hierofanty, sceny i objawienia świątyni dawały im przedsmak tego.

Oczywiście, że każdy rozumiał te rzeczy zależnie od stopnia swojej kultury i swoich zdolności umysłowych. Bowiem — jak mówi Platon i co jest prawdą po wsze czasy — istnieje wielu ludzi, dzierzących łaskę Merkurego i pałeczkę czarnoksięską, lecz niewielu wtajemniczonych. Po epoce aleksandryjskiej odbił się na Eleuzyniach w znacznej mierze upadek pogaństwa, lecz ich wzniosły podkład utrzymał się i uratował je od rozprzężenia, jakiemu uległy inne świątynie. Dzięki głębi swojej świętej doktryny, wspaniałości swojej inscenizacji, utrzymały się Mistéria przez trzy wieki wobec potężniejącego chrystianizmu. Schodziły się na nie owe umysły wybitne, które, mimo uznawania bohaterskiego i boskiego charakteru postaci Jezusa, nie chciały — jak to czynił już Kościół ówczesny — zapominać o dawnej nauce i świętej doktrynie. Potrzeba było dopiero edyktu Teodozjusza Wielkiego, nakazującego zrównanie z ziemią świątyni w Eleuzys, aby położyć kres temu dostojnemu kultowi, w którym podobało się czarowi sztuki greckiej ucieleśnić najszczytniejsze doktryny Orfeusza, Pytagorasa i Platona.

Dzisiaj schronisko starożytnej Demetry znikło bez śladu nad cichą zatoką Eleuzyńską; motyl jedynie, godło Psychy, przefruwający wiosną ponad lazurowymi wodami, przypomina, że niegdyś wielka Wygnanka, Dusza ludzka, wzywała tutaj Bogów i poznała wiekuiłą swoją ojczyznę.



KSIĘGA ÓSMA

J E Z U S

POSŁANNICTWO
CHRYSZTUSOWE¹⁾

1) Studia, dokonywane od stu lat przez krytykę nad życiem Jezusa, są niewątpliwie jednymi z najznaczących w dobie obecnej. Znajdziemy pełny ich przegląd w świetnym streszczeniu, zestawionym przez Sabatier'a (*Dictionnaire des Sciences religieuses* p. Lichtenberger'a, t. VII. Artykuł: Jezus). Piękna ta praca daje cały zarys historyczny kwestii i ściśle określa jej stan obecny. Przypomnę na tym miejscu dwie główne fazy, przez jakie przeszła ona wraz ze Straussem i Renanem, ażeby lepiej ustalić nowe stanowisko, jakie zajęłem w danej sprawie.

Strauss, uczeń szkoły filozoficznej Hegla, związany ze szkołą historyczno-krytyczną Bauera, nie przecząc istnieniu Jezusa, usiłował dowieść, że życie jego w tej postaci, w jakiej opowiedziane ono jest w Ewangeliach, jest mitem, legendą, stworzoną przez wyobraźnię ludu na użytek rodzącego się chrześcijaństwa zgodnie z przepowiedniami Starego Testamentu. Jego teza, czysto negatywna, broniona z wielkim rozumem i głęboką erudycją, okazała się słuszną w pewnych szczegółach, absolutnie jednak niepodobną do przyjęcia w całości kształcie swoim oraz w punktach zasadniczych. Jej wielką wadą jest, że nie tłumaczy ona ani charakteru Jezusa, ani też powstania chrześcijaństwa. Życie Jezusa w koncepcji Straussa jest systemem planetarnym bez słońca. Przyznając mu wszakże należyłą poważną zasługę przeniesienia zagadnienia z dziedziny teologii dogmatycznej do dziedziny krytyki tekstów i historii.

Życie Jezusa w opracowaniu **Renana** zawdzięcza wielką swoją sławę wysokim zaletom estetycznym i literackim, a także śmiałości pisarza, który pierwszy odważył się zrobić z życia Chrystusa zagadnienie psychologii człowieka. Czy rozwiązał je? Po oszalamiającym powodzeniu książki zdanie ogólne krytyki poważnej było negatywne. Jezus Renanowski rozpoczyna swoją karierę życiową, jako idealny marzyciel, jako zapalony i naiwny moralista; kończy ją jako cudotwórca gwałciciel, który zatracił poczucie rzeczywistości. Pomimo całego oszczędzania go przez historyka — mówi Sabatier — jest to kroczenie zdrowego umysłu ku szalowi. Chrystus Renanowski waha się pomiędzy wyrachowaniem

człowieka ambitnego i marzycielstwem odbierającego światło boskie „illuminata”. Faktem jest, że staje się on Mesjaszem bez udziału swojej woli i niemal bezwiednie. Pozwala nadać sobie nazwę tę jedynie, aby uczynić zadość apostołom i życzeniu ogółu. Wiara tak słaba nie mogłaby wystarczyć prorokowi do stworzenia nowej religii i przeistoczenia duszy świata. Renanowskie życie Jezusa jest systemem planetarnym, oświetlonym przez słabe słońce, pozbawione ożywczego magnetyzmu i twórczego ciepła.

W jaki sposób stał się Jezus Mesjaszem? Oto kwestia główna, zasadnicza w ujęciu postaci Chrystusa. I właśnie przed tą kwestią zawahał się Renan i zboczył. **Teodor Keim** zrozumiał, że należy przystąpić do niej bezpośrednio. (Das Leben Jesu, Zurich, 1875, 3-cie wyd.). Jego **Życie Jezusa** jest najbardziej godnym uwagi dziełem ze wszystkich napisanych po Renanie w tym kierunku. Przedstawia ono sprawę w pełni światła, jaki można wyciągnąć z tekstów i z historii, pojętych **egzoterycznie**. Zagadnienie to wszakże nie należy do rzędu tych, które można byłoby rozwiązać inaczej, aniżeli intuicyjnie i z wyłączeniem tradycji **ezoterycznej**. W promieniu światła ezoterycznego, pochodni wewnętrznej wszystkich religii prawdy ośrodkowej wszelakiej filozofii płodnej—usiłowałem odtworzyć życie Jezusa w głównych zarysach, uwzględniając całą uprzednią pracę krytyki historycznej, która oczyściła i utarowała grunt. Zbyteczne byłoby chyba określać tutaj, co rozumiem przez punkt widzenia ezoteryczny: syntezę Nauki i Religii. Cała ta książka jest jego rozwinięciem, dodam więc tylko, że, o ile to dotyczy historycznej i względnej wartości Ewangelii, wziąłem za podstawę trzech pierwszych: Matusza, Marka i Łukasza, zaś Jana za ukryty klucz doktryny ezoterycznej Chrystusa, zupełnie uznając redakcję późniejszą oraz tendencję symboliczną tej Ewangelii.

Cztery Ewangelie, które należy kontrolować i prostować jedno na podstawie drugich, są jednakowo autentyczne. Z różnych wszakże powodów Ewangelie Mateusza i Marka są cennymi Ewangeliami słowa i faktu; mieszczą się w nich czyny i słowa publiczne. Łagodny Łukasz pozwala wyczuwać znaczenie tajników pod osłoną legendy; jest to Ewangelia

Duszy, Kobiety i Miłości. Święty Jan odsłania te tajniki. Znajdujemy u niego głęboki podkład doktryny, tajemnego znaczenia zapowiedzi, powściągliwości ezoterycznej. Klemens z Aleksandrii, jeden z rzadkich biskupów chrześcijańskich posiadających klucz ezoteryzmu powszechnego, dobrze ją nazwał Ewangelią Ducha. Jan głębokie ma zrozumienie prawd transcendentnych, objawionych przez Mistra oraz potężny sposób ujmowania ich. Dlatego też symbolem jego jest Orzeł, którego skrzydło przebija bezmiary i którego oko płomienne je ogarnia.

„Nie mniemajcie, abym przyszedł rozwiązywać Zakon albo proroki, nie przyszedłem rozwiązywać, ale wypełnić“.

Ew. Sw. Mateusza V. 17. ¹⁾

Na świecie był, a świat jest uczyziony przezeń, a świat go nie poznał.

Ew. Sw. Jana I, 10).

Albowiem, jako błyskawica wychodzi od Wschodu i idzie aż na Zachód...

(Sw. Mateusz, XXIV, 27).

¹⁾ Wszystkie, mieszczące się w księdze Jezusowej, cytaty z Ewangelii podaję podług polskiego wydania Nowego Testamentu w przekładzie ks. J. Wujka, w przepięknym opracowaniu ks. dr. Antoniego Szlagowskiego. Wyd. 2.ie uzupełnione., Warsz. 1913. (Przyp. tłum.).

I

STAN ŚWIATA PRZY NARODZINACH JEZUSA.

Na zegarze dziejów wybiła godzina uroczysta; widnokrąg ziemski był ponury i pełen znaków złowieszczych.

Pomimo wysiłków wtajemniczonych doprowadziło wielobóstwo do ruiny cywilizacji w Azji, w Afryce i Europie. Nie dotyczy to wzniosłej kosmogonii Orfeusza, tak wspaniale opiewanej, zarazem wszakże pomniejszonej już przez Homera. Jedyłą winą tego faktu jest trudność, jaką sprawia naturze człowieka utrzymanie się na pewnej wyżynie intelektualnej. Dla wielkich duchów starożytności byli bogowie jedynie tylko wyrazem szierarchizowanych sił natury, żywym odzwierciedleniem wewnętrznego jej ustroju. W pojęciu ludzkości Bogowie ci żyli niezniszczalni jako symbole sił kosmicznych i duchowych. W świadomości wtajemniczonych nad tą różnorodnością bogów czy sił górował, przenikający je, Bóg najwyższy czyli Duch czysty. Głównym celem świątyni Memfis, Delf i Eleuzys było właśnie pouczanie o jedności Boga, a także wykładanie związanych z nią idei teozoficznych i przepisów moralnych. Usiłowania uczniów Orfeusza, Pytagorasa i Platona nie wydały należytego plonu wobec egoizmu polityków, drobiazgowości sofistów i namiętności tłumu. Społeczny i polityczny rozkład Grecji był wynikiem rozkładu jej religijnego, moralnego i intelektualnego. Milknie Apollin, słowo słoneczne, objawienie Boga najwyższego i świata nadziemskiego w pięknie, sprawie-

dliwości i wieszczaniu. Milkną wyrocznie, wygasa ród wtajemniczonych, nie ma już prawdziwych poetów. Minerva — Mądrość i Opatrzność — okrywa się zasłoną wobec ludu swojego, zamienionego w satyrów, profanującego Misteria, znieważającego mędrców i bogów na widowiskach bachanalii i w farsach Arystofanesowych. Misteria nawet ulegały rozprzężeniu, bowiem na uroczystości eleuzyńskie dopuszczani są sykofanci¹⁾ i kurtyzany. — W miarę jak dusza grubieje, religia staje się bałwochwaltwem; im więcej materializuje się myśl, tym sceptyczniejszą staje się filozofia. Stąd widzimy Lucjana, ów mikrob, wylęgły na trupie pogaństwa, wydrwiwiającego mity, gdy przed nim jeszcze Karneades²⁾, uznający wszelką wiedzę za niemożliwą, zapoznawał naukowe ich pochodzenie.

Zabobonna w religii, agnostyczna w filozofii, egoistyczną i rozwiązłą w polityce, upojoną anarchią i nieuniknienie skazaną na tyranie — taką stała się boska Grecja, która przekazała nam wiedzę egipską i misteria azjatyckie w nieśmiertelnych postaciach piękna.

Jeśli istniał człowiek, który rozumiał, czego brakło światu starożytnemu, który usiłował podnieść go wysiłkiem bohaterstwa i geniuszu — był nim Aleksander Wielki. Legendarny ten zdobywca, wtajemniczony, równie jak ojciec jego, Filip Macedoński, w Misteria Samotrackie, okazał się bardziej jeszcze duchowym synem Orfeusza, aniżeli uczniem Arystotelesa. Niewątpliwie ten Achilles

¹⁾ **Sykofanta** u Ateńczyków dozorca, pilnujący wywozu fig z Afryki i donoszący rządowi o tych, którzy wywozili figi potajemnie. Stąd w następstwie nazywano sykofantami ludzi, trudniących się donosicielstwem dla zysku. (Przyp. tłum.).

²⁾ **Karneades z Cyreny**, żyjący w II w. przed Chr., założyciel tzw. trzeciej akademii platońskiej, odznaczającej się sceptycyzmem. Uważał on rzeczywiste poznanie za niemożliwe dla celów praktycznych, zastąpił je więc teorią **prawdopodobieństwa** (pithanotes), która jest największą jego zaletą w teorii poznania. (Przyp. tłum.).

Macedoński, który rzucił się z garstką Greków po przez Azję aż do Indii, marzył o podboju całego świata, nie tak wszakże jak Cezarowie, przez ucisk ludu, podeptanie religii i zdławienie wolnej nauki. Wielką ideą jego było pojednanie Azji z Europą przez syntezę religii, opartą na autorytecie wiedzy. Powodowany tą myślą, składał hołd zarówno wiedzy Arystotelesowej, jak Minerwie ateńskiej, Jehowie jerozolimskiemu, Ozyrysowi egipskiemu i Brahmi induskiemu, uznając, jako prawdziwy wtajemniczony, to samo bóstwo i tę samą mądrość w tych różnych symbolach. Szeroki pogląd, wspaniałe wieszczanie nowego tego Dionizosa! Miecz Aleksandra był ostatnim błyskiem Grecji Orfeuszowej. Rozświetlił on Wschód i Zachód. Syn Filipa umarł, upojony sławą — pozostawiając szmaty swojego państwa chciwym wodzom. Myśl jego nie umarła wszakże wraz z nim. Założył on Aleksandrię w której filozofia Wschodu: judaizm i hellenizm, stopić się miały w tyglu ezoteryzmu egipskiego w oczekiwaniu Chrystusowych słów wskrzesielskich.

W miarę jak bliźniacze gwiazdy Grecji: Apollin i Minerwa, blednąc, spadały coraz niżej, oglądać mogły ludy wznoszący się na wyżyny burzliwego nieba groźny znak: wilczycę rzymską.

Jaki jest początek Rzymu? Sprzysiężenie chciwej oligarchii w imię siły brutalnej, gnębienie Intelktu, Religii, Nauki i Sztuki przez władców politycznych, zaliczanych w poczet bogów, innymi słowy przeciwieństwo prawdy, głoszącej, iż rządy wyprowadzają prawo swoje z najwyższych zasad Nauki, Sprawiedliwości i Ekonomii ¹⁾.

¹⁾ To stanowisko ideowe, biegunowo przeciwne szkole empirycznej Arystotelesa i Monteskiusza, było stanowiskiem wtajemniczonych kapłanów egipskich, jak również Mojżesza i Pytagorasa. Uwypuklił to z wielką siłą Saint Yves we wzmiankowanej już tutaj pracy swojej: *Posłannictwo żydów* („*La mission de Juifs*“). Patrz godny uwagi rozdział o założeniu Rzymu.

Cała historia Rzymu jest jedynie konsekwencją nie-
nego układu, mocą którego senatorowie rzymscy, **patres
conscripti**, wypowiedzieli wojnę najpierw Italii, a potem
rodzajowi ludzkiemu. Dobry obrali sobie symbol! Spizowa
wilczyca, jeżąc płową szerść demona, który opanuje do
końca duszę rzymską.

W Grecji szanowano przynajmniej świątynię w Del-
fach i w Eleuzys. W Rzymie — odtrącono od początku
Naukę i Sztukę. Próba mądrca Numy, wtajemniczonego
etruskiego, nie powiodła się wobec podejrzliwej ambicji
Senatów. Sprowadził on księgi sybillińskie, zawierające
część nauki Hermesowej. Stworzył instytucję sędziów-
rozjemców, obieranych przez naród; rozdał ludowi ziemię;
wzniósł świątynie Dobrej Wiary i Janusa; hierogram,
oznaczający powszechność Prawa; poddał prawo wojny
decyzji Fecjałów, to znaczy specjalnych kapłanów do ob-
rządków, związanych z wypowiedzeniem wojny lub za-
warciem pokoju. Król Numa, którego pamięć narodu nie
przestała wielbić, uważając go za natchnionego geniuszem
boskim, jest więc niejako dziejowym wdaniem się nauki
świętej w sprawy rządzenia. Nie jest on przedstawicielem
geniuszu rzymskiego, lecz geniuszu wtajemniczenia etru-
skiego, opierającego się na tych samych zasadach, co
szkoła w Memfisie i Delfach.

Po śmierci Numy spalił senat rzymski księgi sybilliń-
skie, odebrał władzę kapłanom-flaminom, obalił instytu-
cje rozjemcze i powrócił do dawnego swojego systemu,
w którym religia była jedynie narzędziem władzy poli-
tycznej. Rzym stał się hydrą, która pochłoneła narody
wraz z ich Bogami. Ludy ziemi zostały stopniowo poko-
nane i odarte ze wszystkiego. Więzienie mamertyńskie
zapełniło się królami północy i południa. Rzym, który
chciał mieć w kapłanach swoich jedynie niewolników
i szalbierzy, wyrzyna w Grecji, w Egipcie, w Judei
i w Persji ostatnich przechowiwaczy tradycji ezotery-
cznej. Uduje wielbienie bogów, w rzeczywistości wszakże
wielbi jedynie swoją lwicę. I oto, w glorii krwawej staje
przed ludami ostatni potomek tej lwicy, streszczający
w sobie cały geniusz Rzymu: Cezar! Rzym pochło-

nał wszystkie narody; Cezar, jego wcielenie, pochłonię całą władzę. Cezar nie tylko dążył do stania się imperatorem narodów; łącząc na swojej głowie tiarę z koroną, kazał się obwołać arcykapłanem. Po bitwie pod Thapsus, która zakończyła wojnę afrykańską, uchwała mu lud apoteozę bohatera; po bitwie pod Mundą — apoteozę boską; potem ustawia posąg jego w świątyni Kwirynusa, przydzielając doń cały zastęp obsługujących go kapłanów, zwanych od jego imienia: kapłanami Juliańskimi. Dziwną ironią losu i niezbadaną logiką rzeczy ten sam Cezar, który ogłasza się Bogiem, przeczy wobec zgromadzonego w pełni senatu nieśmiertelności duszy. Czy można powiedzieć wyraźniej, że nie ma już innego Boga ponad Cezarem!

Rzym Cezarów, spadkobierca Babilonu, wyciąga ramię na podbój całego świata. Czym się więc stało Państwo Rzymskie? Państwo Rzymskie niszczy na zewnątrz wszelkie życie zbiorowe. Dyktatura wojskowa w Italii; łupieństwo wielkorządców i poborców w prowincjach. — Rzym zdobywczy legł jak wampir na trupie społeczności starożytnych.

Teraz już orgia rzymska może z całą swobodą w biały dzień rozpasać swoją bachanalię występków i swój pochód zbrodni. Rozpoczyna je lubieżne spotkanie Marka Antoniusza z Kleopatram; kończy — rozpusta Messaliny i szal Nerona. Pierwszym występem politycznym orgii rzymskiej jest rozwiązłe publiczne sparodiowanie misteriów; ostatnim — będzie puszczenie w cyrku dzikich bestii na nagie dziewice, męczennice wiary, przy wtórze szalonych oklasków dwudziestotysięcznego tłumu widzów.

Wszelako wśród narodów pokonanych przez Rzym był jeden, który nadał sobie miano ludu Bożego i którego geniusz był przeciwieństwem geniuszu rzymskiego. Jak stać się mogło, że Izrael, zżarty przez swoje walki wewnętrzne, zdławiony trzema wiekami niewoli, zachował swoją nieugiętą wiarę? Jaką mocą natchniony — wobec upadku Grecji, pośród orgii Rzymu — staje naród ten, jako prorok, z głową nakrytą worem popiołu i oczami,

ciskającymi płomienie straszliwego gniewu? Co daje mu śmiałość przepowiadania upadku władców, których stopa miażdżyła mu gardło i mówienia o niezrozumiałym jakimś zwycięstwie ostatecznym w chwili, kiedy on sam staczał się w przepaść nieuchronnej ruiny? Oto żyła w nim wielka idea. Wpoił mu ją Mojżesz. Za Jozuego, syna Numów, na którego nałożył Mojżesz swoje dłonie, wzniosło dwanaście pokoleń kamień ku pamięci wiecznej z napisem: „Jest to świadectwo pomiędzy nami a Jewem, że Jewe jest Bogiem jedynym“.

W jaki sposób i dlaczego prawodawca izraelski uczynił z jednobóstwa kamień węgielny swojej nauki, prawa społecznego oraz powszechnej idei religijnej — widzieliśmy to w księdze Mojżesza. Genialny jego umysł zrozumiał, że od zwycięstwa idei tej zależy przyszłość ludzkości. Dla utrzymania jej napisał Księgę hieroglificzną; zbudował złotą Arkę; z koczowniczej kurzawy pustyni powołał do życia naród wybrany. Na tych świadków idei duchowej spuścił Mojżesz ogień z nieba i kazał nad głowami ich ryczeć gromom. Sprzysięgli się przeciwko nim nie tylko Moabitowie, Filistyni, Amalekitowie, wszystkie ludy Palestyny, lecz także żądze i słabości samego narodu żydowskiego. Kapłani przestali rozumieć Księgę Zakonu; nieprzyjaciele zabrali Arkę, a lud setki razy zdawał się puszczać posłannictwo swoje w niepamięć. Czemu więc przypisać, że mimo wszystko pozostał mu wiernym? Dlaczego idea Mojżesza pozostała wyrytą zgłoskami ognistymi na czole i w sercu Izraela? Komu i czemu zawdzięcza on tę wyjątkową wytrwałość, te wierność, imponującą poprzez zmienne koleje historii burzliwej i pełnej katastrof, wierność która nadaje Izraelowi jedyną i wyłączną fizjonomię jego pośród narodów? Śmiało odpowiedzieć można: prorokom oraz instytucji wieszczania. Ściśle biorąc, sięga jej tradycja ustna czasów Mojżesza. Naród Hebrajski miał swoich **Nabi** we wszystkich okresach dziejów swoich aż do rozproszenia. W postaci organicznej wszelako występuje instytucja wieszczania po raz pierwszy za proroka Samuela, założyciela bractw **Nebiim**, owych szkół proroków, wobec powstającej monarchii

i zwyrodniałego już kapłaństwa. Z bractw tych uczynił on nowe strażnice tradycji ezoterycznej i powszechnej myśli religijnej, stawiające czoło królom, jako przedstawicielom idei politycznej i celów narodowych. Bractwa te przechowywały istotnie resztki nauki Mojżesza: muzykę świętą, lecznictwo tajemne i wreszcie sztukę wieszczbiarską, którą wielcy prorocy rozwinęli z potęgą i podniosłością nadzwyczajną, ze zdumiewającym zaparciem się i oddaniem.

Wieszczbiarstwo istniało w najrozmaitszych postaciach, posługując się najróżniejszymi środkami, u wszystkich ludów starożytności. Rozciągłość wszakże, wzniosłość i powaga, jaką ma sztuka prorocza w Izraelu, stawiają ją na wysokim poziomie intelektualnym i duchowym, na jakim idea jednobóstwa utrzymuje duszę ludzką. Wieszczbiarstwo proroka, przedstawiane przez teologów jako bezpośrednie przestawanie z Bogiem osobowym, negowane przez filozofię naturalistyczną jako czysty zabobon, jest w rzeczywistości wyższym przejawem powszechnych praw Ducha.

„Prawdy ogólne, rządzące światem — mówi Ewald ¹⁾ w pięknej swojej książce o prorokach — innymi słowy **myśli Boże** — są niezienne i nietykalne, zupełnie niezależne od zmienności rzeczy, od woli i czynów ludzkich. Człowiek powołany był pierwotnie do uczestniczenia w nich, do rozumienia i przeistaczania ich w czyny. Tą właśnie drogą ziszcza on właściwe, istotne swoje powołanie. Ażeby jednak słowo Ducha przeniknąć mogło w człowieka cielesnego, musi człowiek ten być wstrząśnięty do głębi wielkimi przełomami dziejów. Wówczas prawda wiekuista wytryskuje z nich niby snop światła. Dla tego właśnie tak często powtarza się w Starym Testamencie, że **Jewe jest Bogiem żywym**. Na głos wezwania boskiego budzi się w człowieku nowe życie, w którym nie czuje on się już samotnym, bowiem pozostaje w łączności z Bogiem i z wszystkimi jego prawdami i w którym gotów jest kroczyć od jednej prawdy do drugiej —

¹⁾ Ewald, *Die Propheten (Prorocy)*. — Wstęp.

aż do nieskończoności. W tym nowym życiu myśl jego utożsamia się z wolą powszechną. Jasno zdaje sobie sprawę z teraźniejszości i zupełną ma wiarę w ostateczne zwycięstwo idei boskiej. Człowiek, który takich doświadcza uczuć, jest prorokiem, to znaczy, że czuje nieprzeparty pociąg do objawienia się innym w roli przedstawiciela Boga. **Myśl jego staje się widzeniem** i ta siła wyższa, za której sprawą prawda tryska z jego duszy, łamiąc ją czasem, stanowi pierwiastek prorocy. „**Objawienia prorocze były w historii ciosami gromu i piorunowymi błyskami prawdy**“.

Takim jest źródło, z którego ci tytani ducha, zwani Eliaszami, Izajaszami, Ezechielami czy Jeremiaszami; czerpali siłę swoją. W głębi pieczar czy w pałacach królewskich byli oni prawdziwą strażą Wiekuistego i, jak mówi Elizeusz do mistrza swojego, Eliasza, „rydwanami i rycerzami Izraela“. Często przepowiadają oni ze zdumiewającym jasnowidzeniem upadek państw, klęski Izraela. Czasem też mylą się. Jakkolwiek zażgnięta u słońca prawdy boskiej, waha się czasem, chwieje i przyćmiewa w ich rękach pochodnia prorocza, gdy padnie na nią tchnienie namiętności narodowych. Nigdy wszakże nie zdołają one zmącić ich poczucia prawd moralnych, ich zrozumienia właściwego posłannictwa Izraela, ich wiary w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości na ziemi.

Jako prawdziwi wtajemniczeni głoszą oni pogardę dla zewnętrznej strony kultu, konieczność zniesienia krwawych ofiar, oczyszczenia duszy i uprawiania miłosierdzia. Ich najczarowniejsze wizje są zwłaszcza, kiedy dotyczą ostatecznego zwycięstwa idei, jako siły wyzwalającej ludzkość, darzącej wszystkie narody błogosławieństwem pokoju. Nic nie jest w stanie osłabić ani zachwiać tej wiary; nawet największe klęski, jakie dotknąć mogą naród, najście wroga i masowe wygnanie do Babilonu. Słuchajcie, co mówi Izajasz, podczas najścia Sennacheriba: „Cóżbym ja, który otwieram żywot, rodzić Sionu nie miał? — mówi Pan. Cóżbym ja, który to czynię, że rodzą, zawartym był? — mówi Bóg twój..

— Weselcie się z Jeruzalemem, a radujcie się w nim

wszyscy, którzy go miłujecie. Weselcie się z nim wielce wszyscy, którzyście płakali nad nim... Bo tak mówi Pan: Oto, ja obrócę na nie pokój, jako rzekę, a sławę narodów jako strumień zalewający, i będziecie ssać; na ręku noszeni i na kolanach rozkosznie piastowani będziecie. —

— Jako ten, którego cieszy matka jego, tak ja was cieszyć będę; a tak w Jeruzalemie uciechy miewać będziecie.

— Ujrzyście zaiste, a radować się będzie serce wasze, a kości wasze jako trawa zakwitną. I poznana będzie ręka Pańska przy sługach jego; ale się gniewem zapali przeciwko nieprzyjaciołom swoim.

— Albowiem ja znam sprawy ich i myśli ich, i przyjdzie ten czas, że zgromadzę wszystkie narody i języki, i przyjdą a oglądają chwałę moją¹⁾.

Dzisiaj dopiero, wobec grobu Chrystusa, wizja ta zaczyna się urzeczywistniać; któż mógłby wszakże przeczyć jej prawdziwości proroczej, myśląc o roli Izraela w dziejach ludzkości?

Niemniej niewzruszoną, aniżeli ta wiara w przyszłą chwałę Jerozolimy, w jej wielkość moralną, w znaczenie wszechświatowe jej religii, jest wiara proroków w Zbawiciela czyli Mesjasza. Wszyscy mówią o tym; nieporównany Izajasz jest tym, który widzi to najwyraźniej, opisuje z największą siłą śmiałym swoim językiem:

„Ale wynijdzie różdżka ze pnia Izajego, a latorostka z jego korzenia wyrośnie.

— I odpocznie na nim Duch Pański, Duch mądrości i rozumu, Duch rady i mocy, Duch umiejętności i bojaźni Pańskiej.

— I będzie czułym w bojaźni Pańskiej, nie będzie według widzenia oczu swoich sądził, ani według słyszenia uszu swoich karał.

— Ale będzie ubogie sądził w sprawiedliwości, a w prawości będzie karał ciche na ziemi. I uderzy zie-

¹⁾ Izajasz LXII, 9 — 18. Przekład polski: Biblia Święta. Wyd. Trowieca i S-na, Berlin — 1861).

mię różgą ust swoich, a duchem warg swoich zabije nie-
zbożnika“¹⁾).

Wizja ta uspokaja i rozjaśnia posępną duszę proroka, jak rozjaśnia się burzliwe niebo przy drzeniu arfy niebiańskiej, i znikają wszystkie jej burze. Teraz już bowiem przed okiem jego duszy zarysowuje się naprawdę obraz Galilejczyka: „Bo wyrósł jako latorostka z ziemi suchej, nie mając kształtu ani piękności.

— Najwzgardziwszy był i ostatni z ludzi, mąż boleści...

— Zaiste, on niemocy nasze wziął na się, a boleści nasze własne nosił, a myśmy mniemali, że jest zraniony, ubity od Boga i utrapiony.

— Lecz on zraniony jest dla występków naszych, starty jest dla nieprawości naszych; kaźń pokoju naszego jest na nim, a sinością jego jesteśmy uzdrowieni...

— Uciśniony jest i utrapiony, a nie otworzył ust swoich i jako baranek na zabicie wiedziony był i, jako owca przed tymi, którzy ją strzygą, oniemiał i nie otworzył ust swoich!²⁾

Przez osiem wieków, ponad niezgodą i klęskami narodowymi, unosił grzmiący głos proroków ideę i obraz Mesjasza, raz jako strasznego mściciela, to znów jako anioła miłosierdzia. Idea mesjaniczna, spłodzona pod wpływem tyranii assyryjskiej, zrodzona w niewoli babilońskiej, wzrosła i spotężniała pod panowaniem Seleucydów i Machabeuszów. Za rządów rzymskich i za panowania Heroda żyje już Mesjasz w świadomości wszystkich. Wielcy prorocy widzieli go w postaci męża sprawiedliwego, męczennika, prawdziwego syna Bożego; lud, wierny idei judaistycznej, wyobrażał go sobie jako Dawida, Salomona lub też jako nowego Machabeusza. Bez względu wszakże na to, kim i jakim miał być ów wskrzesiciel sławy Izraela, wierzyli w niego wszyscy, oczekiwali go i wzywali.

Taką jest siła czynu proroczego.

¹⁾ Izajasz. XI, 1 — 5. (Ten sam przekład polski).

²⁾ Izajasz. LIII, 2 — 8.

Widzimy więc, że jak dzieje Rzymu doprowadziły nieuniknienie, drogą instynktowną i logiką piekielną Losu, do Cezara — tak samo prowadzi historia ludu Izraelskiego, drogą świadomą i boską logiką Opatrzności, objawioną w jej widomych przedstawicielach: prorokach — do Chrystusa. Zło jest z konieczności skazane na przeczenie samemu sobie i na zniweczenie samego siebie, ponieważ jest Fałszem; Dobro natomiast — bez względu na wszelkie przeszkody — rodzi w przebiegu czasów światło i harmonię, ponieważ jest płodnością Prawdy. Zwycięstwa i triumfy były dla Rzymu źródłem cezaryzmu; z klęsk swoich i upadku zrodził Izrael Mesjasza, stwierdzając słuszność pięknych słów poety: „Z własnego swojego rozbicia stwarza Nadzieja rzecz, którą głęboko przemyślała“. Niewyraźny jakiś stan oczekiwania zawisł nad narodami. Znękana nadmiarem cierpień, przeczuwała ludzkość cała zbawcę. Od wieków już śniła mitologia o boskim dziecięciu. Świątynie mówiły o nim tajemniczo, astrologowie obrachowywali możliwy czas jego przyjścia, sybille w majaczeniach swoich okrzykiwały upadek bogów pogańskich. Wtajemniczeni wieścili nadejście dnia, w którym rządzić będzie światem jeden z nich, przez syna Bożego¹⁾. Ziemia czekała na Króla-Ducha, którego mogliby zrozumieć maluczcy, prostaczkowie i biedacy.

Wielki Ajschylos, syn kapłana z Eleuzys, omal nie został zamordowany przez Ateńczyków, ponieważ ośmielił się wygłosić ze sceny, ustami swojego Prometeusza, że skończy się panowanie Jupitera-Losu. W cztery wieki później, w cieniu tronu Augusta, zapowiada słodki Wirgijusz nadejście nowej ery i marzy o cudownym dziecięciu:

„Wiek już nastaje ostatni: Sybilla wieści go z Cumae:
Wielki powraca porządek wieków, co już przeminęły;
Wraca już znowu Dziewica, a z nią Królestwo Saturna;

¹⁾ Takim jest znaczenie ezoteryczne pięknej legendy o królach-magach, którzy z głębi Wschodu przybyli złożyć hołd dziecięciu z Bethleem.

Z niebios wyżyny już rasa nowa zstępuje ludzkości.
 Dziecię, którego zrodzenie okres żelazny usunie
 I wiek znów złoty sprowadzi na świecie całym szerokim,
 Przyjając pod twoją opiekę racz, o Lucyno przezczysta,
 Brat twój Apollo panuje — Patrz, jak na osi zachwianej
 Świat się już cały kołysze; niebios sklepienie głębokie,
 Cała natura: i ziemia i morza szlaki przepastne
 Drga zapowiedzią tych wieków, co nadejść mają niebawem!¹⁾

To dziecko oczekiwane gdzie się narodzi? Z jakiego boskiego świata przyjdzie ta dusza? Na jakim promieniu miłości zstąpi ona na ziemię? Jakim niepokalaniem cudownym, jaką energią nadludzką przypomnieć zdoła sobie niebo, które opuściła? Jakim wysiłkiem bardziej jeszcze olbrzymim potrafi wzlecieć znów na nie z głębi swojej ziemskiej świadomości i pociągnąć za sobą ludzkość całą?

Nikt nie mógłby odpowiedzieć na te pytania; mimo to czekano na niego. Wielki Herod, uzurpator idumejski, popierany przez Cezara Augusta, konał wówczas w swoim zamku Cypros w Jerycho po pełnym przepychu i rozlewem krwi panowaniu, które zaludniło Judeę pałacami wspaniałymi i pokryło ją hekatombami ludzkimi. Konał na straszliwą chorobę, na rozkład krwi, zniechęcony przez wszystkich, toczony wściekłością i wyrzutami sumienia, dręczony zjawami niezliczonych swoich ofiar, z niewinną żoną, szlachetną Marianną, z rodu Machabeu-

1) *Ultima Cumaei venit jam carminis actas:
 Magnus ab integro saeculorum nascitur ordo.
 Jam redit et Virgo, redeunt Saturnia regna:
 Jam nova progenies caelo demittitur alto.
 Tu modo nascenti puero, quo ferrea primum
 Desinet, ac toto surgel gens aurea mundo,
 Casta, fave, Lucina; tuus jam regnat Apollo.
 Terrasque, traclusque maris, coelumque profundum;
 ...Aspice convexo nutantem pondere mundum,
 Aspice venturo lactantur ut omnia saeclo.*

(Wirgiliusz, Sielanka, IV).

szów oraz trzema własnymi jego synami na czele. Siedem kobiet z haremu uciekło przed zmorą królewską, która, choć żyła jeszcze, trąciła już pleśnią grobu. Opuściły go nawet jego strażę. Obok konającego czuwała nieporuszona jego siostra, Salome, zły duch jego, podżegaczka do zbrodni najczarniejszych. Z diademem na czole, z gorsem skrzącym się brylantami, w dumnej postawie czatowała na ostatnie tchnienie króla, aby chwycić z kolei ster rządów.

Tak umarł ostatni król żydowski. W tej samej też chwili narodził się przyszły duchowy władca ludzkości¹⁾. Nieliczni wtajemniczeni Izraela przygotowywali przyjęcie królestwa jego w głębokiej ciszy, pokorze i mrokach.

¹⁾ Herod umarł w roku 4-ym przed naszą erą. Obliczenia krytyki historycznej jednoznacznie są na ogół co do przesunięcia na ten czas daty narodzin Jezusa. Patrz Keim „Das Leben Jesu“ (Życie Jezusa).

II

MARIA. PIERWSZE LATA ROZWOJU JEZUSA.

Jehoszua, którego nazywamy Jezusem z jego zheleni-zowanego imienia **Jesous**, urodził się prawdopodobnie w Nazareth ¹⁾. Niewątpliwie w tym właśnie głuchym zakątku Galilei upłynęło jego dzieciństwo i spełnił się pierwszy, największy z tajników chrześcijańskich: zbudzenie się duszy Chrystusa. Był on synem Miriam, którą zwie-my Marią, żoną cieśli Józefa, Galilejki szlchetnego rodu, przyjętego do stowarzyszenia Esseńczyków.

Legenda osnuła narodziny Jezusa przedziwem cudów. Cechą jej charakterystyczną jest, jak każdej zresztą legendy, że — torując drogę niejednemu zabobonowi — kryje w sobie niejedną też prawdę duchową mało znaną, bowiem przekraczającą możność pospolitego pojmowania. Dzieje legendarne Marii uwypuklają fakt, że pragnieniem matki było, aby dziecię Jezus poświęcone zostało, jeszcze przed narodzinami swymi, posłannictwu proroka. To samo mówią dzieje o niektórych bohaterach i prorokach Starego Testamentu. Synowie ci, poświęceni przez matki swoje Bogu, nazywali się **Nazarejczykami**. Ciekawe są z tego względu do odczytania dzieje Samsona i Samuela.

¹⁾ Nie byłoby bynajmniej niemożliwością, aby Jezus urodził się przypadkowo w Bethleem. Tradycja ta wszakże zdaje się wchodzić w skład cyklu późniejszych legend o świętej rodzinie i dziecięctwie Chrystusa.

Anioł oznajmia matce Samsona, że „pocznie i urodzi syna“, na którego „głowie nie postoi brzytwa, bo Nazarejczykiem Bożym będzie to dziecko zaraz z żywota; a on pocznie wybawiać Izraela z ręki Filistynów“¹⁾. — Matka Samuela sama prosiła Boga o dziecko swoje: „Anna, żona Elkany, była bezpłodną. Uczyniła ona śluby i rzekła: „Panie zastępów, jeśli wejrzawszy wejrzysz na utrapienie służebnicy Twojej i dasz służebnicy Twej potomstwo męskiej płci, tedy je dam Panu po wszystkie dni żywota jego, a brzytwa nie postoi na głowie jego“²⁾... **Tedy poznał Elkana Annę, żonę swą...** I stało się po wypełnieniu dni jako poczęła Anna, że porodziła syna i nazwała imię jego Samuel, bo rzekła: „u Panam go uprosiła“. Otóż S - A - M - U - E - L oznacza podług pierwotnego źródłosłowu semickiego: **Świetność wewnętrzną Boga**. Matka, czując się jak gdyby oświeconą przez tego, którego nosiła w swoim łonie, uważała go za „**eterową treść Pana**“.

Ustępy te są niezmiernie doniosłe, ponieważ pozwalają nam przeniknąć do tradycji ezoterycznej, stale żywej w Izraelu, a przez nią do istotnego znaczenia legendy chrześcijańskiej. Elkana, mąż, jest właściwym ojcem ziemskim Samuela z ciała, Wiekuisty wszelako jest niebieskim Ojcem jego z Ducha. Symboliczny język mono-teizmu judejskiego przysłania tutaj doktrynę uprzedniego istnienia duszy. Kobieta wtajemniczona wzywa duszę wyższą, pragnąc przyjąć ją do swojego łona i wydać na świat proroka. Doktryna ta, mocno osłonięta u Żydów, zupełnie wykluczona z ich oficjalnego kultu, wchodziła w skład ukrytej tradycji wtajemniczonych. Ślady jej widoczne są u proroków. Jeremiasz stwierdza ją w tych słowach: „Stało się do mnie słowo Pańskie, mówiąc: „**Pierwej, aniżelim cię utworzył w żywocie matki twojej, znałem cię, a pierwaj, aniżeliś wyszedł z żywota jej, poświęciłem cię, za proroka narodom dałem cię**“³⁾. Podobnie też rzeknie Jezus zgorszonym Faryzeuszom: „Zaprawdę,

1) Księga Sędziów, XIII, 3 — 5.

2) Księga Samuela, ks. I, rozdz. 1, 11 — 20.

3) Jeremiasz, 1 — 4.

zaprawdę, powiadam wam: Pierwej niż Abraham się stał, jam jest“¹⁾).

Co z tego wszystkiego wynika dla Marii, matki Jezusa? Zdaje się, że Jezus uważany był przez pierwsze gminy chrześcijańskie za syna Marii i Józefa, bowiem Mateusz daje nam drzewo genealogiczne Józefa, ażeby dowieść, że Jezus pochodzi od Dawida. Gminy te, zarówno jak i kilku sekt gnostycznych, widziały w Jezusie syna, którego dał Wiekuisty w tym samym znaczeniu, co Samuela. W następstwie snuć będzie legenda, usiłująca wykazać nadnaturalne pochodzenie Chrystusa, swoją zasłonę ze złota i lazuru: historię Józefa i Marii, Zwiastowanie i nawet dziecięstwo Marii w świątyni²⁾).

Gdybyśmy usiłowali wyłuskać znaczenie ezoteryczne z tradycji żydowskiej i z legendy chrześcijańskiej, powiedzielibyśmy: działalność Opatrznościowa, lub — mówiąc jaśniej — wpływ świata duchowego, współdziałającego przy narodzinach każdego człowieka, bez względu na to, kim on jest, potężnieje i staje się wyraźniejszym przy narodzinach geniuszów, których pojawienia się nie tłumaczy bynajmniej samo prawo atawizmu fizycznego. Wpływ ten dochodzi do szczytu swojej potęgi, o ile idzie o jednego z boskich proroków, których przeznaczeniem jest przekształcić oblicze świata. Dusza wybrana, mająca spełnić posłannictwo boskie, przychodzi ze świata boskiego; przychodzi dobrowolnie i świadomie; ażeby jednak wystąpić mogła na widownię życia ziemskiego, musi istnieć naczynie wybrane, wezwanie matki wyjątkowo doskonałej, która jestestwem swoim moralnym, pragnieniem duszy i czystością życia przeczuwa, przyciąga i wciela w krew swoją i w ciało swoje duszę Odkupiciela, mającego stać się w oczach świata synem Bożym.

Taką jest prawda głęboka, kryjąca się pod osłoną odwiecznej idei Dziewicy-Matki. Geniusz hinduski wyraził

¹⁾ Ewangelia Jana VIII, 58.

²⁾ Ewangelia apokryficzna Marii i dziecięstwa Zbawiciela, opublikowana przez Tiszendorfa.

ją już w legendzie o Krysznie. Ewangelie Mateusza i Łukasza oddały ją z czarowniejszą jeszcze prostotą i poezją.

„Dla duszy, przybywającej z nieba, narodziny są śmiercią“ — powiedział Empedokles na pięćset lat przed narodzinami Chrystusa. Bowiem, bez względu na boskość swoją, duch, wchłonięty przez ciało, zatraca chwilowo pamięć całej swojej przeszłości. Pochwycony przez splątane tryby życia cielesnego podporządkować musi rozwój swojej świadomości ziemskiej prawom świata, w który się wciela. Staje się ofiarą rozpętanej siły żywiołów. Im wyższe było jego pochodzenie, tym większego będzie musiał dokonać wysiłku dla odzyskania uśpionych władz swoich, przyrodzenia swojego niebiańskiego i uświadomienia sobie swojego posłannictwa.

Duszą głębokim i tkliwym potrzeba do rozkwitu milczenia i spokoju. Jezus wzrastał w ciszy Galilei. Jego pierwsze wrażenia były słodkie, pełne powagi i pogody. Dolina ojczysta podobna była do zakątka nieba, ukrytego wśród osłony gór. Osada Nazareth nie zmieniła wcale swojego wyglądu w przebiegu wieków¹⁾. Domy jej, spiętrzone na zboczu skały, przypominają — zdaniem podróżników — białe sześciany, rozsiane pośród lasu drzew granatowych, figowych i łoż winnych, nad którymi przefruwają wielkie chmary gołębi. Tę ustron, pełną świeżości i zieleni, owiewa czyste, rzeźwiące powietrze górskie; z wyżyn otwiera się wolny, jasny widnokrąg Galilei. Dodajmy do tych wspaniałych ram środowisko rodziny pobożnej i patriarchalnej. Siła wychowania żydowskiego polegała po wsze czasy na jedności prawa i wiary, jak również na potężnej organizacji rodziny, podporządkowanej idei narodowej i religijnej. Dom rodzicielski był dla dziecka rodzajem świątyni. Zamiast wesołych fresków z wyobrażeniami faunów i nimf, zdobiących atrium domów greckich, jakie widzieć można było w Seforis i w Ty-

¹⁾ Znane są wszystkim mistrzowskie opisy Galilei przez Renan'a w jego *Życiu Jezusa*, jak również nie mniej godne uwagi opisy Melchiora de Vogüé w jego *Podróży po Syrii i Palestynie*.

beriadzie, spoczywało oko w domach żydowskich jedynie na wyjątkach z ksiąg zakonu i proroków, których sztywne wstęgi sterczały ponad drzwiami i na ścianach, wypisane głoskami chaldejskimi. Ścisłe wszakże zespolenie się ojca i matki w miłości dla dzieci ogrzewało i rozświeślało nagość tego wnętrza życiem czysto duchowym. Tutaj odbierał Jezus pierwsze początki nauki, tutaj ojciec i matka uczyli go czytać Pismo Święte. Od lat najwcześniejszych dziwne przeznaczenia ludu Bożego przesuwają się przed oczyma jego duszy w miarę powtarzania się świąt periodycznych, które święcono w domu rodzicielskim Jezusa czytaniem odpowiednich ustępów Pisma, śpiewami i modłtwnami. Na święta szałasów wystawiano w dziedzińcu lub na dachu domu altanę z gałęzi mirtowych i oliwnych na pamiątkę zamierzchłej epoki patriarchów koczowniczych. Zapalano świecznik siedmioramienny, potem otwierano zwoje papyrusu i odczytywano dzieje święte. Wyobraźnia dziecięca widziała Przedwiecznego nie tylko na niebie gwiazdzistym, lecz i w świeczniku, w którym odbijała się chwała jego, w słowach ojca i w cichej miłości matki. Tak więc dni wielkie Izraela kołysały dziecięstwo Jezusa, dni radości i żaloby, zwycięstwa i wygnania, niezliczonych smutków i wiekuistej nadziei. Na gorące, przenikliwe pytania dziecka odpowiadał ojciec milczeniem. Matka natomiast, podnosząc spod długich rzęs wielkie swoje oczy rozmarzonej Syryjki, i krzyżując spojrzenie ich z pytającym wzrokiem syna, mówiła mu: „Słowo Boże żyje tylko w prorokach Pana. Przyjdzie dzień, w którym odpowiedzą ci mędrcy Esseńscy, samotnicy z góry Karmel i morza Martwego“.

Łatwo też wyobrazić sobie dziecię Jezus pośród towarzyszy zabaw, na których wywierało ono urok szczególny umysłem swoim nad wiek wybujałym, głębokim poczuciem sprawiedliwości i współczuwaniem czynnym. Idziemy dalej za nim do synagogi, gdzie przysłuchiwał się on dysputom biegłych w Piśmie i Faryzeuszów. Od wczesnych już lat odpychała go oschłość tych „doktorów prawa“, którzy tak mordowali tekst, że wyciskali zeń całego ducha. Widzimy go też, stykającego się z życiem pogań-

skim, odgadującego je i ogarniającego wzrokiem przy zwiedzaniu bogatego Seforis, stolicy Galilei, rezydencji Antypasa, nad którą górował jej akropol i której strzegli najemnicy Heroda, jurgeltnicy galijscy i traccy, barbarzyńcy wszystkich krajów. Możliwe jest nawet, że podczas jednej z owych podróży, tak często odbywanych przez rodziny żydowskie, dotarł aż do któregoś z miast fenickich, istnych mrowisk ludzkich, rojących się na morskim wybrzeżu. Z dala dostrzec mógł tam niskie świątynie o kolumnach przysadzistych, otoczone ponurymi gajami, z których dolatywały płacziwe jęki fletni, towarzyszących śpiewom kapłanki Astarty. Ich krzyk lubieżny, ostry jak ból, odzywał się w zdumionym jego sercu echem przeciągłego dreszczu, trwogi i współczucia. Z wycieczek takich powracał syn Marii do umiłowanych swoich gór z uczuciem wyzwolenia. Wchodził na szczyt skały Nazarejskiej i ogarniał z niej wzrokiem daleki widnokrąg Galilei i Samarii. Patrzył na Karmel, Gelboe, Thabor i góry Sichem, które pamiętały patriarchów i proroków. Święte szczyty zataczały krąg, stercząc na tle bezbrzeżnego nieba, niby śmiałe ołtarze, czekające na kadzidło i ogień. Czy i one oczekiwały kogoś?

Potężne te wrażenia, jakie wywierał na duszę Jezusa otaczający go świat zewnętrzny, bladły wszelako wobec najwyższej, niedającej ująć się w słowa, prawdy jego świata wewnętrznego. Prawda ta rozkwitła w głębi jego jestestwa, niby kwiat świetlany, wyłaniający się z toni ciemnych. Była ona jak jasność wciąż rosnąca, która się w nim rozpałała, ilekroć był sam i mógł skupić się w sobie. W chwilach takich istoty i rzeczy — bliższe czy dalsze — zdawały mu się przejrzystymi w swej ukrytej treści. Czytał myśli, widział dusze. Potem oglądał we wspomnieniu, jak gdyby przez zasłonę leciuchną, istoty bosko piękne i promienne, pochylone nad nim lub skupione w zachwyceniu światłem olśniewającym. Przecudne wizje nawiedzały sny jego lub, rozdwarzając jego świadomość, stawały pomiędzy nim a rzeczywistością. W chwilach najwyższego napięcia tych zachwyceń, unoszących go ze szczytów na szczyty, jak gdyby ku nowym niebio-

som, doznawał czasem wrażenia, że pociąga go nagły błysk świetlny, po czym tonął w rozżarzonej ogniu słonecznym. Po takich momentach upojenia pozostawało mu uczucie niewysłowionej tkliwości, siły szczególnej. Jakże czuł się wówczas cudownie pogodzony ze wszystkimi istotami, szarmonizowany z wszechświatem! Czym było to światło tajemnicze, bliższe mu i bardziej żywe niż owo inne, tryskające z głębi własnej jego duszy, unoszące go w przestworza, światło, którego pierwsze promienie olśniły go, idąc z wielkich oczu matki, a które teraz jednoczyło go współdrgnieniem tajemnym z duszami wszystkimi? Czy nie było ono źródłem dusz i światów?

Nazwał je: Ojcem Niebieskim¹⁾.

Wrodzone to poczucie zjednania się z Bogiem w świetle Miłości było pierwszym wielkim objawieniem Jezusa. Głos wewnętrzny mówił mu, że musi zamknąć je w najgłębszej treści istoty własnej, miało ono wszelako opromieniać całe jego życie. Dało mu ono pewność niezmożną. Zrobiło go łagodnym i niepokonanym zarazem. Uczyniło z myśli jego puklerz diamentowy, z jego słowa — miecz świetlisty.

¹⁾ Księgi mityczne wszech czasów wykazują, że prawdy moralne czy duchowe wyższego rzędu pojmowane były przez pewne dusze wybrane nie drogą rozumowania, lecz kontemplacji wewnętrznej i w postaci wizji. Ten objaw psychiczny, niedostatecznie jeszcze znany nauce współczesnej, jest faktem niezaprzeczoną. Katarzyna Siennicka, córka ubożego farbiarza, miewała już od czwartego roku życia wizje nadzwyczajne. (Patrz: **Życie jej**, przez p. Albana Mignaty, u Fichbachera). Swedenborg, człowiek nauki, o umyśle zrównoważonym, obserwującym i rozumującym, zaczął w czterdziestym roku życia, w doskonałym zdrowiu, miewać widzenia, nie pozostające w żadnym związku z jego życiem uprzednim. (Patrz: **Życie Swedenborga** p. Mattera, wyd. Perinn'a). Nie zamierzam bynajmniej stawiać przejawów tych na jednym poziomie z tymi, jakie odbywały się w świadomości Jezusa: pragnę wprost ustalić powszechność postrzegania wewnętrznego, niezależnego od zmysłów cielesnych.

To głęboko ukryte życie mistyczne łączyło się poza tym w młodzieńcu z zupełną trzeźwością w życiu rzeczywistym. Ewangelista Łukasz przedstawia go nam, gdy miał lat dwanaście, „wzrastającym w siłę, wdzięk i mądrość“. Świadomość religijna była mu wrodzoną, najzupełniej niezależną od świata zewnętrznego. Jego świadomość prorocza i mesjaniczna zbudzić się mogła dopiero przy zetknięciu z światem zewnętrznym, przy wejściu w warunki epoki mu współczesnej, wreszcie na drodze wtajemniczenia specjalnego i długotrwałego urabiania się wewnętrznego. Ślady tego odnajdujemy w Ewangelii i gdzie indziej.

Pierwszego wielkiego wstrząśnienia doznał w czasie pierwszej podróży do Jerozolimy z rodzicami, o której mówi Ewangelista Łukasz.

Gród ten, chluba Izraela, stał się ośrodkowym punktem jego dążeń duchowych. Klęski, jakich doznał, bardziej jeszcze rozpały dla niego umysły. Rzec można było, że im więcej gromadziło się w nim grobów, tym żywiej biła z nich nadzieja. Za Seleucydów, Machabeuszów, za Pompejusza i wreszcie za Heroda waliły się na Jerozolimę ciosy straszliwych oblężeń. Krew lała się strumieniami, legie rzymskie urządziły na ulicach rzeź ludu; masowe rozpinania na krzyżu splugawiły otaczające pagórki scenami piekielnymi. Po tylu okropnościach, po upokorzeniu, zadany przez okupację rzymską, po zdziesiątkowaniu Sanhedrynu i uczynieniu z arcykapłana drżącego ze strachu niewolnika, odbudował Herod świątynię wspanialszą jeszcze (jak gdyby na urągowisko), niż Salomonowa. Jeruzalaim pozostało wszakże mimo wszystko miastem świętym. Izajasz, którego Jezus czytał najchętniej, nazwał go wszak „oblubienicą, przed którą klękać będą narody“. Wieścił on: „Ogłaszać będziesz zbawienie na murach twoich, a chwałę w murach twoich i będą chodziły narodem w światłości twojej, a królowie w jasności, która wnijdzie nad tobą“¹⁾.

¹⁾ Izajasz, LX. 18, 3.

Zobaczyć Jerozolimę i świątynię Jehowy było marzeniem wszystkich Żydów, zwłaszcza odkąd Judea stała się prowincją rzymską. Przybywali do niej z Perei, z Galilei, z Aleksandrii i Babilonu. W drodze, na puszczy, pod palmami, przy źródłach, śpiewali psalmy, wzdychali do przedstonków Wiekuistego i z dala już szukali wzrokiem stęsknionym pagórka Sjonu.

Dziwne uczucie przygnębienia opanować musiało duszę Jezusa, kiedy podczas pierwszej swojej pielgrzymki ujrzał gród, opasany potężnymi murami, rozsiadły na wzniesieniu niby warownia ponura; kiedy zobaczył amfiteatr rzymski Heroda, wieżę Antonia, górującą nad świątynią i legie rzymskie z włócznikami w ręku, strzegące miasta z góry. Wszedł na stopnie świątyni. Podziwiał wspaniałość jej portyków marmurowych, pod którymi chodzili Faryzeusze strojni w bogate szaty. Minął dziedziniec obcokrajowców i dziedziniec niewiast. Zbliżył się wraz z tłumem Izraelitów do wrót Nikanoru i do balustrady trzyłokciowej, poza którą widać było kapłanów w ich fioletowych i purpurowych szatach, połyskujących złotem i drogimi kamieniami, odprawiających modły przy ołtarzu, zabijających kozły i byki ofiarne, skrapiających lud krwią ich i wymawiających przy tym słowa błogosławieństwa. Niepodobny był widok ten do świątyni jego marzeń, ani do nieba jego serca.

Potem wszedł do dzielnic ludowych dolnego miasta. Ujrzał tam żebraków wybladłych z głodu, twarze udreżone z wrytym na nich piętnem ostatnich wojen domowych, mąk przebytych i masowych ukrzyżowań. Wyszedłszy przez jedno z wrót miasta, błąkać się zaczął po dolinach kamienistych i ponurych wąwozach, w których natrafił na sterty kamieni, stawy i grobowce królów, okalające Jerozolimę niby pasem cmentarnym. Ujrzał tu obłąkańców, wychodzących z pieczar i miotających przekleństwa na żywych i umarłych. Potem, zszedłszy przez szerokie schody do głębokiej jak cysterna fontanny Siloe, ujrzał wlokące się nad brzegami żółtawych wód szeregi trędowatych, paralityków, istot nieszczęsnych, okrytych wszelkiego rodzaju ranami i wrzodami. Jakiś pociąg

nieprzeparty zniewalał go do wpatrzenia się wgłąb ich oczu, do wchłonięcia w siebie całego bezmiaru ich bólu. Jedni błagali go o pomoc; inni byli ponurzy, bo wszelką utracili już nadzieję; jeszcze inni, otepiali, zdawali się nie cierpieć już wcale. Ileż czasu wszelako trzeba było, aby dojść do tego stanu skamienienia?

Powstało wówczas w duszy Jezusa pytanie: Na cóż ta świątynia, ci kapłani, te ofiary, skoro ukoić nie mogą wszystkich bólów i cierpień? I nagle niby strumień, wezbrany potokami łez bezkresnych, poczuł napływające do swojego serca fale cierpień tych wszystkich dusz, tego grodu, tego ludu, całej ludzkości. Zrozumiał, że nie ma już dla niego szczęścia, gdy nie może udzielić go innym. Spojrzenia te, te rozpaczliwe oczy błagalne nie miały już nigdy wyjść z jego pamięci. Ponura oblubienica, Udręka ludzka, kroczyła u jego boku, mówiąc mu: Już cię nie opuszczę!

Odszedł, zdjęty grozą i smutkiem, a kiedy wstępował na jasne szczyty Galilei, z głębi serca jego wydarł się okrzyk gorący: „Ojciec niebieski... Chcę wiedzieć... Chcę uleczyć! Chcę zbawić!“

III

ESSEŃCZYCY — JAN CHRZCICIEL — POKUSA

Chciał poznać Prawdę! Wiedzę tę mogli mu dać jedynie Esseńczycy. Ewangelie pokryły milczeniem zupełnym fakty i czyny życia Jezusowego z czasu, poprzedzającego jego spotkanie z Janem Chrzcicielem, z którego rąk otrzymać miał podług nich pomazanie niejako na boskie swoje posłannictwo. Bezzwłocznie potem ukazuje się w Galilei z urobioną już doktryną, występuje z całą stanowczością proroka, z poczuciem potęgi Mojżesza. Oczywiście jest wszelako, że śmiałe i obmyślane z góry wystąpienie to poprzedzać musiał długotrwały okres rozwoju i poprzedniego wtajemniczenia.

Nie mniej też jest pewne, że wtajemniczenie to mogło odbywać się w jedynym stowarzyszeniu, które utrzymywało w ówczesnym Izraelu rzeczywiste tradycje i prowadziło tryb życia proroków. Nie może to ulegać wątpliwości dla tych, którzy wzniosłszy się ponad literę i strupieszalą sztywność pisanego dokumentu — wazą się przeniknąć duchem przyczynowy łańcuch wszechrzeczy. Uwydatnia się to nie tylko w bliskim powinowactwie doktryny Jezusa i doktryny Esseńczyków, lecz nadto w milczeniu, jakie zachowuje o sekcie tej sam Chrystus i najbliżsi mu. Czemuż bowiem przypisać, że on, który z nieporównaną swobodą chłószcze wszystkie stronnictwa religijne ówczesne, nie wymienia nigdy Esseńczyków? Czemu nie mówią też o nich Apostołowie i Ewangeliści? Niewąt-

pliwie dlatego, iż uważają Esseńczyków za swoich braci po duchu, że złączeni są z nimi ślubem Misteriów i że sekta ta spoiła się w całość nierozzerwalną z sektą chrześcijan pierwotnych.

Zakon Esseńczyków stanowił za czasów Jezusa ostatnią pozostałość owych bractw proroczych, zorganizowanych przez Samuela. Despotyzm władców Palestyny i zawzięcie ambitnych a służalczych kapłanów zepchnęły ich w otchłań zapomnienia i milczenia. Nie walczyli już, jak ich poprzednicy, zadawalniając się jedynie utrzymaniem tradycji. Mieli dwa główne swoje ośrodki: jeden w Egipcie nad brzegiem jeziora Maoris, drugi w Palestynie, w Engaddi nad Morzem Martwym. Nazwa Esseńczyków, jaką sobie nadali, pochodziła od wyrazu syryjskiego: **Asaya**, lekarze; po grecku: **terapeuci**, bowiem jedynym ich powołaniem, do którego przyznawali się publicznie, było leczenie niemocy fizycznych i moralnych. „Studiowali oni nader pilnie — mówi Józef Flawiusz — „pewne pisma lekarskie, rozpatrujące tajemne własności roślin i minerałów“.¹⁾ Niektórzy z nich posiadali dar proroczego wieszczania, jak ów Menahem, który przepowiedział Herodowi, że będzie panował. „Służą oni Bogu nader żarliwie — mówi Filon — nie przez składanie mu ofiar, lecz przez uświęcanie swojego ducha. Unikają miast i oddają się dziełom pokoju. Niema pośród nich ani jednego niewolnika; wszyscy są wolni i pracują jedni dla drugich²⁾. Reguły zakonu były surowe. Przyjęcie do grona Esseńczyków wymagało całorocznego nowicjatu. Po złożeniu dostatecznych dowodów umiarkowania zostawało się dopuszczonym do ablucji, nie wchodząc wszelako jeszcze w styczność z mistrzami zakonu. Przyjęcie ostateczne do bractwa wymagało dalszych dwóch lat próby. Zaprzysięgano strasznymi klątwami dotrzymywania obowiązków zakonu i niezdradzania jego tajemnic. Wówczas dopiero przyjmowali nowi członkowie udział w posiłkach wspól-

¹⁾ Józef Flawiusz; Wojna Żydowska II, itd. Starożytności, XIII, 5-9; XVIII; 1-5.

²⁾ Filon: O życiu kontemplacyjnym.

nych, święconych z wielką uroczystością i stanowiących kult intymny Esseńczyków. Uważali oni odzież, którą przywdziewali na te biesiady, za świętą i zdejmowali ją przed ponownym przystępowaniem do pracy. Te uczy braterskie, jako forma pierwotna Wieczery, wprowadzonej przez Jezusa, zaczynały się od modłów i kończyły się nimi. Podczas biesiad odbywało się pierwsze wyjaśnienie świętych ksiąg Mojżesza i proroków. Zarówno objaśnienie tekstów, jak wtajemniczenie, trojkie posiadało znaczenie i trzy miało stopnie. Bardzo nie wielu jedynie osiągało stopień najwyższy. Wszystko to zdumiewająco przypomina organizację Pytagorejczyków¹⁾, pewnym jest wszelako, że taki sam mniej więcej ustrój cechował wszystkie bractwa proroków starożytnych, bowiem odnajdujemy go wszędzie, gdziekolwiek istniało wtajemniczenie. Dodajmy że Esseńczycy wyznawali dogmat zasadniczy doktryny orfickiej i pytagorejskiej, to znaczy dogmat uprzedniego istnienia duszy, będącego wynikiem i powodem jej nieśmiertelności. „Dusza — mówili — która zstąpiła z eteru najsubtelniejszego i którą przyciągał do ciała jakiś urok przyrodzony, pozostaje uwięziona w nim; wyzwolona z więzów ciała, jakgdyby z długiej niewoli, ulatuje z radością. (J. Fl., Star. Żyd. II, 8).

U Esseńczyków bracia właściwie żyli we wspólnocie dóbr i w celibacie, w miejscach odległych, uprawiając ziemię, wychowując czasem cudze dzieci. Żonaci Esseńczycy tworzyli rodzaj trzeciej reguły, wchodzącej w skład głównej i podporządkowanej jej. Milczący, łagodni i powa-

¹⁾ Punkty wspólne pomiędzy Esseńczykami a Pytagorejczykami: Modlitwy o wschodzie słońca; odzież lniana; biesiady wspólne; całoroczny nowicjat; trzy stopnie wtajemniczenia; ustalenie porządku i wspólności majątków, którymi zarządzali kuratorzy; przepis mleczenia; przysięga Tajemnicy; podział nauczania na trzy części: 1) Naukę zasad powszechnych czyli teologię, odpowiadającą temu, co Filon nazywa **logiką**; 2) **fizykę** czyli kosmogonię; 3) **moralność** czyli wszystko, co ma związek z człowiekiem; nauce tej poświęcali się specjalnie terapeuti.

zni, wędrowali wszędzie, uprawiając sztuki i oddając się dziełom pokoju. Tkacze, cieśle, uprawiacze winnic lub ogrodnicy, nigdy—płatnerze ani handlujący. Rozsiani drobnymi grupami po całej Palestynie, w Egipcie, aż do góry Hereb, stosowali wzajem względem siebie zasadę gościnności nieograniczonej. Zobaczymy też Jezusa i uczniów jego, wędrujących od miasta do miasta, zawsze pewnych, że znajdą dach nad głową. „Esseńczycy — mówi Józef Flawiusz — odznaczali się moralnością wzorową; usiłowali pokonywać w sobie wszelką namiętność i każdy odruch gniewu; zawsze dobrotliwi w stosunku do innych, cisi, przejęci wiarą i ufnością. Mowa ich większą miała siłę niżli przysięgi; uważali też przysięgi w życiu zwykłym za zbędne, za kalandrię świętego imienia. Woleli znosić ze zdumiewającym hartem duszy i z uśmiechem na ustach najśrodsze tortury, aniżeli zgwałcić najdrobniejszy przepis religijny“.

Przyrodzone powinowactwo ducha pociągało ku Esseńczykom Jezusa, obojętnego na okazałość zewnętrzna kultu jerozolimskiego, odpychanego surowością saducejską¹⁾, pychą Faryzeuszów, pedantyzmem i oschłością synagog. Przedwczesna śmierć Józefa uczyniła zupełnie wolnym syna Marii, gdy doszedł do wieku męskiego. Bracia jego mogli uprawiać nadal rzemiosło ojca i prowadzić dom. Za wiedzą matki udał się tedy Jezus potajemnie do Engaddi. Przyjęty jak brat, powitany jako wybraniec, rychło zyskał wielkimi zdolnościami swoimi, głębokim swoim miłosierdziem i dziwną boskością, jaką tchnęła cała jego istota, wpływ przemożny na mistrzów swoich nawet. Wzajem otrzymał od nich to, co jedynie Esseńczycy

¹⁾ **Saduceusze** — sekta żydowska, odrzucająca nieśmiertelność duszy. (Przyp. tłum.).

Punkty styczne pomiędzy doktryną Esseńczyków a doktryną Jezusa: Miłość bliźniego wysunięta na plan główny jako zasadniczy obowiązek; zakaz przysięgania dla stwierdzenia prawdy; nienawidzenie kłamstwa; pokora; instytucja Wieczerzy, zapożyczona ze wspólnych biesiad Esseńczyków, mająca wszakże nowe znaczenie — znaczenie ofiary.

dać mu mogli; tradycję ezoteryczną proroków, a przez nią kierunek własnej swojej orientacji historycznej i religijnej.

Zdawał sobie jasno sprawę z przepaści, jaka dzieliła oficjalną doktrynę żydowską od dawnej mądrości wtajemniczonych, tej istoty macierzy religii, zawsze prześladowanej przez Szatana, to znaczy przez ducha Zła, ducha egoizmu, nienawiści i przeczenia, łączącego z cechami tymi absolutyzm polityczny i szalbierstwo kapłanów. Poznał, że Księga Rodzaju zawiera, pod pieczęcią symboliki, teogonię i kosmogonię, równie dalekie od dosłownego znaczenia, jak daleką jest wiedza najgłębsza od najnaiwniejszej baśni dziecięcej. Oczami duszy oglądał Aelohima, to znaczy stworzenie wiekuiste, drogą emanacji pierwiastków i kształtowania światów; pozostawanie dusz w zawieszeniu w przestworzu i powrót ich do Boga, poprzez szereg kolejny istnień, czyli pokoleń Adamowych. Uderzyła go potęga myśli Mojżesza, który pragnął utorować grunt jedności religijnej narodów przez stworzenie kultu jedyne go Boga i wszczęcie idei tej wybranemu przez siebie ludowi.

Odsłonięto przed nim doktrynę Słowa Bożego, głoszoną już przez Krysznę w Indii, przez kapłanów Ozyrysa — w Egipcie i przez Pytagorasa — w Grecji i znaną prorokom pod mianem **Tajemnicy Syna człowieczego i Syna Bożego**. W myśl doktryny tej najwyższym objawieniem Boga jest Człowiek, który ustrojem swoim, kształtem, narządami swoimi i swoim intelektem jest obrazem Istoty powszechnej i posiada jej własności. W ziemskim wszelako rozwoju ludzkości Bóg jest rozsiany i rozproszony w mnogości ludzi i jakgdyby okaleczony w niedoskonałości człowieka. Cierpi on, szuka samego siebie, walczy w niej — jest Synem Człowieczym. Człowiek doskonały, Człowiek — Prawzór, który jest najgłębszą myślą Boga, pozostaje ukryty w niezgłębionym bezmiarze pragnień jego i jego potęgi. W pewnych wszakże epokach, kiedy wyrwać należy ludzkość z otchłani, skupić ją celem pchnięcia jej na wyżyny, wybraniec utożsamia się z bóstwem, przyciąga je do siebie Siłą, Mądrością i Miłością i obja-

wia z kolei ludziom. Wówczas boskość, mocą istoty i tchnienia Ducha, wszechobecna jest w nim. **Syn Człowieka** staje się **Synem Boga** i żywym jego słowem.

Inne wieki i inne narody miały już swoich Synów Bożych; od czasu Mojżesza nie powstał wszelako żaden w Izraelu. Wszyscy prorocy czekali na przyjście tego Mesjasza. Jasnowidzący przepowiadali nawet, że tym razem nazwie się on **Synem Niewiasty**, Izydy, światłości niebiańskiej, która jest Małżonką Boga, ponieważ światło Miłości będzie jaśniało w nim ponad wszystkie inne blaskiem olśniewającym, nieznanym jeszcze ziemi. Te ukryte sprawy, które odsłaniał młodemu Galilejczykowi patriarcha esseński na pustynnych wybrzeżach morza Martwego, w samotności Engaddi, wydawały mu się cudownymi i znanymi zarazem. Z dziwnym wzruszeniem wsłuchiwał się w słowa głowy zakonu, wskazującego mu i wyjaśniającego słowa, które dzisiaj jeszcze czytamy w księdze Henocha: „Od początku był Syn Człowieczy w tajnikach ukryty. Najwyższy utrzymywał go w potędze swojej i **objawiał go swoim wybranym...** Lecz królowie ulękną się i padną twarzą na ziemię i przerażenie ich ogarnie, gdy ujrzą **syna niewiasty**, siedzącego na tronie chwały... Wówczas przyzwie wybraniec wszystkie moce niebieskie i potęgę Bożą. Wówczas Cherubinowie, Serafimowie i Ofanimowie, wszyscy aniołowie **siły**; wszyscy aniołowie Pana, to znaczy Wybrańca, oraz **innej mocy**, którzy służą na ziemi i ponad wodami, wzniosą głosy swoje“¹).

Przy tych objawieniach nauk tajemnych iskrzyły się przed oczyma Nazarejczyka po stokroć odczytywane i rozpamiętywane słowa proroków nieznanymi, głębokimi i straszliwymi błyskami, niby błyskawice, rozdzierające

¹ Księga Henocha. Roz. XLVIII i LXI. Ustęp ten wskazuje, że doktryna Słowa i Trójcy, zawarta w Ewangelii Ś. go Jana, istniała w Izraelu na długo przed Jezusem i wpływała z głębi wieszczey sztuki ezoterycznej. W księdze Henocha **Władza duchów** wyobraża Ojca; **Wybraniec** — Syna; zaś **inna moc** — Ducha Świętego.

wężami świetlnymi mroki nocy. Któż jednak był tym Wybrańcem? i kiedy przyjdzie On do Izraela?...

Szereg lat spędził Jezus u Esseńczyków. Poddał się dyscyplinie ich, badał wraz z nimi tajniki natury i uprawiał leczenie tajemne. Ujarzmił całkowicie swoje zmysły, aby rozwinąć ducha. Nie było takiego dnia, w którym nie rozmyślałby o przeznaczeniach ludzkości i nie badał samego siebie.

Pamiętna to była dla zakonu Esseńczyków i dla nowego jej członka noc, w której otrzymał on, pod osłoną głębokiej tajemnicy, wtajemniczenie najwyższe czwartego stopnia, udzielane jedynie w szczególnym wypadku posłannictwa proroczego, które czuł w sobie młody adept i które uznawali w nim Starsi. Gromadzono się w grocie, wykutej we wnętrzu góry w kształcie obszernej sali, mającej ołtarz oraz ławy z kamienia. Przełożony zakonu znajdował się tam wraz z bracią Starszą. Czasem dopuszczano do tajemnego obrzędu dwie lub trzy niewiasty esseńskie, wtajemniczone prorokinie. Niosąc świeczniki i palmy, pozdrowiały one nowego adepta, odzianego w białą lnianą szatę, jako „Oblubienca i Króla“, którego przyście przeczuwały, a którego widziały może po raz ostatni! Następnie, przełożony zakonu, zazwyczaj starzec stuletni (Józef Flawiusz mówi, że Esseńczycy byli nader długowieczni) podawał mu **złoty kielich**, godło najwyższego wtajemniczenia, w którym było wino z **winnicy Pańskiej**, symbol natchnienia boskiego. Niektórzy utrzymywali, że Mojżesz pił z tego kielicha wraz z swoimi siedemdziesięcioma. Inni przesuwali pochodzenie jego do Abrahama, który otrzymał z rąk Melchysedeka to samo wtajemniczenie w postaci chleba i wina¹⁾.

Kielich ten podawał Starszy zakonu jedynie temu, w którym poznał znaki nieomyłne jego proroczego posłannictwa. Nikt wszakże nie mógł mu posłannictwa tego określić; musiał odnaleźć je sam. Albowiem jest prawem wta-

¹⁾ Księga Rodzaju, XIV, 18: „A Melchysedek, król Salemski, wyniósł chleb i wino, a ten był kapłanem Boga Najwyższego“.

jemniczonych: nic z zewnątrz, wszystko z wnętrza duszy własnej. Odtąd był wolnym, był panem swoich czynów, wyzwolonym z więzów bractwa, bowiem sam był hierofantą, podległym jedynie tchnieniom Ducha, który mógł strącić go w otchłań — lub unieść na szczyty ponad strefę udręk i zamroczeń.

Kiedy po ukończeniu śpiewów, modłów i słów sakramentalnych Przełożonego ujął Nazarejczyk kielich w swoje dłonie, blady promień jutrzeńki wcisnął się przez zakręt góry i padł drżący na świeczniki i na długie szaty młodych Essenjanek. Drgnęły i one, kiedy promień padł na bladego Galilejczyka. Bowiem oblicze jego powlokło się głębokim smutkiem. Czy wzrok jego zadumany szedł ku chorym z Siloe? a może w głębi bólu tego, który był mu nieodstępnym towarzyszem, dostrzegał już drogę swoją?

W czasie owym nauczał Jan Chrzciciel nad brzegiem Jordanu. Nie był on Esseńczykiem, lecz prorokiem ludowym z silnego rodu Judy. Na puszczy, kędy pchnęła go pobożność ascetyczna, pędził żywot jak najtwardszy, w modłach i postaciach, nosząc na gołym ciele rodzaj włosienicy, utkanej z sierści wielbłądziej, na znak pokuty, jaką nałożyć chciał na siebie i na swój naród. Odczuwał on bowiem głęboko nędzę Izraela i oczekiwał jego wyzwolenia. Wyobrażał sobie, w myśl doktryny judejskiej, że przyjdzie wkrótce Mesjasz, jako sędzia i mściciel, jako nowy Machabeusz, który sprawi, iż cały lud powstanie i wypędzi Rzymian, on sam zaś, przykładnie ukarawszy winnych, w triumfie wkroczy do Jerozolimy, przywróci królestwo Izraelskie i wyniesie je ponad wszystkie narody w pokoju i sprawiedliwości. Zwiastował ludowi bliskie przyście tego Mesjasza, dodając, że przygotowywać się doń należy pokutą serca. Zapożyczywszy od Esseńczyków zwyczaj ablucji, który przekształcił na swoją modłę, obmyślił chrzest w wodach Jordanu, jako widomy symbol, jako spełnienie publiczne oczyszczenia wewnętrznego, którego wymagał. Ten nieznanym dotychczas obrządek, to płomienne wieszczenie wobec tłumów niezmiernych, w ramach puszczy, nad świętymi wodami Jordanu, po-

między dzikimi skałami Judei i Perei, porywało wyobraźnię, przyciągało zastępy. Przypominało ono pełne chwaly dni dawnych proroków; dawało ludowi to, czego nie znajdował on w świątyni: potężne wstrząśnięcie duszy i — po grozie żalu za popełnione grzechy błysk promienny nieśmiałej nadziei. Zbiegano się tłumnie ze wszystkich krańców Palestyny, a nawet z dalszych jeszcze stron, aby słuchać świętego z pustyni, zwiastującego przyjście Mesjasza. Ludy pociągnięte magnesem jego głosu, obozowały tam tygodniami całymi, aby słuchać go codziennie; nie chciały odejść już więcej i czekały na zapowiedzianego Zbawiciela. Większość gotowa była chwycić pod wodzą jego za broń, aby wszcząć znów wojnę świętą. Heroda Antypasa i kapłanów jerozolimskich zaczynały zatrzymywać ruchy ludowe. Mnożyły się zresztą oznaki nadciągania niespokojnych czasów. Tyberiusz, mający już wówczas siedemdziesiąt cztery lata, dokonywał starości swojej w pośród orgii Kaprei; Poncjusz-Piłat podwajał srogość względem żydów; w Egipcie zwiastowali kapłani, że feniks odrodzić się ma z popiołów¹⁾).

Jezus, który czuł wzrastającą z każdym dniem w duszy własnej świadomość mesjanicznego posłannictwa swojego, lecz który wciąż jeszcze szukał swojej drogi, udał się na pustynne brzegi Jordanu wraz z kilkoma braćmi Esseńczykami, którzy szli już za nim, jak za mistrzem. Chciał widzieć Jana, usłyszeć go i poddać się obrządkowi publicznego chrztu. Pragnął, występując na widownię, zacząć od aktu pokory i czci wobec proroka, który považał się podnosić głos przeciwko potęgom ówczesnym i budzić z uspienia duszę Izraela.

Zobaczył surowego ascetę, długowłosego, obrośniętego, z głową lwa wizjonera, stojącego na wzniesieniu drewnianym pod rodzajem polowego ołtarza, okrytego zielenią młodych gałęzi i skórami kozłimi. Dokoła niego, pośród wyschłych krzewów puszczy, tłum olbrzymi, obóz cały: poborcy myta, żołnierze Heroda, Samarytanie, lewici jerozolimscy, Idumejczycy ze swoimi stadami owiec,

¹⁾ Tacyt *Annales*, VI, 28, 31.

Arabowie nawet, którzy się tutaj zatrzymali ze swoimi wielbłędami, namiotami i karawanami, pociągnięci głosem „wołającym na puszczy“. A głos ten grzmiał: „Poprawcie się, stańcie się lepszymi, gotujcie drogę Pańską, czyńcie proste ścieżki jego“.

Nazywał Faryzeuszów i Saduceuszów „rasą żmij“. Dawał, że „siekiera już jest do korzeni drzew przyłożona“ i mówił o Mesjaszu: „Ja chrzcilem was wodą, aleć on będzie chrzcil Duchem Świętym i ogniem“.

Wreszcie ku zachodowi słońca, ujrzał Jezus masy ludowe, spieszące ku przystani na brzegu Jordanu i jurgeltników Heroda, rozbójników, pochylających twarde karki swoje nad strumieniami wody, którą lał na nich Chrzciciel. Zbliżył się więc i on. Jan nie znał Jezusa, nie wiedział o nim nic, poznał wszelako Esseńczyka po jego szacie lnianej. Ujrzał go, zmieszanego z tłumem, wchodzącego po pas w fale i chylącego się kornie pod wodą chrztu. Kiedy neofita podniósł głowę, skrzyżował się groźny wzrok proroka ze spojrzeniem Galilejczyka. Człowiek z puszczy drgnął, przeszyty promieniem słodczy cudownej; usta jego szepnęły mimo woli: „Czyżbyś ty był Mesjaszem? ¹⁾ — Tajemniczy Esseńczyk nie odrzekł nic, lecz pochylając głowę zadumaną i krzyżując ręce na piersiach, prosił Chrzciciela o błogosławieństwo. Jan wiedział, że milczenie było regułą, obowiązującą nowicjuszów esseńskich. Wyciągnął uroczyście obie ręce; poczym Nazarej-

¹⁾ Wiadomo, że podług Ewangelii Jan poznał natychmiast w Jezusie Mesjasza i ochrzcił go jako takiego. Pod tym względem opowieści Ewangelistów sprzeczne są z sobą. Bowiem w następstwie Jan, uwięziony przez Antypasa, każe zapytać Jezusa przez uczniów swoich: Tyś jest, który ma przyjść, czyli innego czekamy? (Mat. XI, 3). Ta późniejsza wątpliwość dowodzi, że o ile nawet podejrzewał on Mesjasza w Jezusie, nie był tego pewien. Pierwsi wszakże układacze Ewangelii, jako Żydzi, skłonni byli przedstawiać Jezusa, otrzymującego posłannictwo swoje i błogosławieństwo z rąk Jana Chrzciciela, jako ludowego proroka judejskiego.

czyk znikł wraz z towarzyszami swoimi pomiędzy sito-
wem rzeki.

Chrzciciel powiódł za odchodzącym wzrokiem, w którym była zarazem niepewność, ukryta radość i melancholia głęboka. Czym była jego wiedza i wizja prorocza wobec światła, jakie dostrzegł w oczach Nieznajomego, światła, jakie opromieniać się zdawało całą jego istotę? O! jeśli młody i piękny Galilejczyk Mesjaszem jest — oglądał Jan radość dni swoich! Lecz jego rola skończona, musi zamilknąć jego głos. Od tego dnia zaczął głosić słowo Boże głosem głębszym i bardziej wzruszonym na temat melancholijny: „Ten jest, o którym powiedziałem: Idzie za mną mąż, który stał się przede mną, iż pierwej był, niż ja“¹⁾. Odczuwać zaczynał znużenie i smutek starych lwów, zmęczonych rykiem i układających się w ciszy, aby czekać śmierci...

Miałżeby on być Mesjaszem? Pytanie Chrzciciela rozbrzmiewało też w duszy Jezusa. Od chwili zbudzenia się własnej świadomości odnalazł Boga w samym sobie i pewność Królestwa niebieskiego w promiennym pięknie swoich widzeń. Potem cierpienie człowieka odezwało się w jego sercu krzykiem rozpaczonym swojej udręki. Mędrcy esseńscy odsłonili przed nim tajemnice religii, naukę tajników; ukazali mu upadek duchowy ludzkości, jej oczekiwanie Zbawiciela. Jak wszakże znaleźć siłę wyrwania jej z tej otchłani? I oto wezwanie bezpośrednie Jana Chrzciciela pada w milczącą głęb jego rozpamiętywania, jak grom z Synaju. Czyżby on miał być tym Mesjaszem?

Na pytanie to mógł odpowiedzieć Jezus jedynie po skupieniu się w najgłębszej treści jaźni własnej. Stąd owo usunięcie się od świata, ów post czterdziestodniowy, o którym opowiada Mateusz w postaci legendy symbolicznej. **Pokusa** wyobraża w rzeczy samej w życiu Jezusa ów wielki przełom i ową najwyższą wizję prawdy, przez jakie przejść muszą nieuniknienie wszyscy prorocy, wszyscy twórcy religii, zanim przystąpić mogą do swojego dzieła.

¹⁾ Ew. Ś-go Jana I, 30.

Ponad Engaddi, gdzie Esseńczycy uprawiali sesam¹⁾ i wino, prowadziła urwista drożyna do grotty, rozwierającej się w górskim zwale. Wchodziło się do niej pomiędzy dwiema kolumnami doryckimi, wykutymi w nagiej skale, podobnymi do kolumn, strzegących wnijsia do schronienia Apostołów w dolinie Józefata. Tam, niby w gnieździe orlim, pozostawało się zawieszonym na cyplu, ściętym prostopadle ponad przepaścią. W głębi wąwozu widać było winnice, siedziby ludzkie; jeszcze dalej morze Martwe, nieruchome, szare i pustynne, nagie góry Moabskie. Esseńczycy urządzili tu schronienie dla tych z pośród braci swojej, którzy zapragnęliby poddać się próbie samotności. Znajdowały się tam zwoje pism proroków, wonne zioła wzmacniające, suche figi i strużka wody — jedyne pożywienie ascety w momentach rozmyślenia.

Tutaj schronił się Jezus.

Najpierw przeciągnęły przed oczyma jego ducha całe minione dzieje ludzkości. Rozważył on grozę chwili obecnej. Górował w niej Rzym, a w nim to, co magowie perscy nazwali królestwem Ahrymana, zaś prorocy — panowaniem Szatana, znakiem Bestii, apoteozą Zła.

Mroki ogarniały ludzkość, duszę ziemi.

Naród Izraelski otrzymał z rąk Mojżesza królewskie i kapłańskie posłannictwo uosabiania męskiej religii Ojca, ducha czystego, szerzenia jej wśród innych narodów i zapewnienia jej zwycięstwa. Czy spełnili to posłannictwo królowie i kapłani Izraela? Prorocy, jedynie tego świadomi, odpowiadali jednogłośnie: Nie! Izrael konał w szponach Rzymu. Czy należało, dla ocalenia go, ważyć się po raz setny na powstanie, jak o tym marzyli wciąż Faryzeusze, na odzyskanie potęgi doczesnej Izraela siłą? Czy miał wystąpić jako potomek Dawidowy i zawołać z Iza-jaszem: „Ucieszę się nad nieprzyjaciółmi moimi, a pom-szczę się nad przeciwnikami swymi. I obrócę rękę moją na cię, a wypalę aż do czysta zużelicę twoją i odpędzę

¹⁾ sesam — roślina, z której wytłaczano olej. (Przyp. tłum.),

wszystką cenę twoją“¹⁾). Czy należało nowym stać się Machabeuszem i obwołać się arcykapłanem — królem? Jezus mógł ważyć się na to. Widział tłumy, gotowe powstać na głos Jana Chrzciciela, a siła, jaką czuł w sobie samym, była jeszcze większą stokroć! Czy jednak gwałt odniesie zwycięstwo nad gwałtem? Czy miecz położy kres panowaniu miecza? Czy nie będzie to raczej wzmocnienie nową siłą zaciężną mrocznych potęg, czyhających na swoją ofiarę w cieniu nocy?

Czy nie należało raczej uprzystępnąć wszystkim owej prawdy, która stanowiła dotychczas wyłączny przywilej kilku świątyń i nielicznych wtajemniczonych, otworzyć dla niej serca, zanim przeniknie ona do umysłów mocą objawienia wewnętrznego i mocą nauki? Zatem głosić prostaczkom przyjście królestwa niebieskiego, zastąpić panowanie Zakonu panowaniem Łaski, przeistoczyć ludzkość w jej podstawach, odrodzić ją przez odrodzenie dusz?

Kto wszakże pozostanie zwycięzcą? Szatan — czy Bóg? Duch zła, który wraz z mocami swoimi włada ziemią, czy duch Boży, kierujący niewidzialnymi zastępami nieba i utajony w sercu człowieka, niby iskierka w krzemieniu? Jakim będzie los narodu, który poważyłby się zedrzyć zasłonę ze świątyni, aby odsłonić pustkę ołtarza, stawić czoło zarazem Herodowi i Cezarowi?

Należało to wszelako uczynić! Głos wewnętrzny, głos Pana, nie mówił mu, jak Izajaszowi: „Weźmij sobie kręgi wielkie, a napisz na nich pismem człowieczym“²⁾). Głos Przedwiecznego mówił doń: „Powstań i przemów“. Należało więc znaleźć słowo żywe, wiarę, zdolną przenosić góry, siłę, kruszącą najtęższe warownie.

Zaczął tedy Jezus modlić się żarliwie. Ogarnął go niepokój i wciąż wzrastająca niepewność. Doznawał uczucia utraty owej cudownej błogości, która przypadła mu w udziale i pogrążania się coraz głębiej w mroki przepastne. Widział się otoczonym ciemną chmurą. Chmure tę wypełniały cienie wszelakiego rodzaju. Rozróżniał

¹⁾ Izajasz I—24,25.

²⁾ Izajasz VIII, 1.

wśród nich postacie swoich braci, mistrzów swoich Esseńskich, matki swojej. Cienie mówiły mu, jeden po drugim: „Szalony, który chcesz rzeczy niemożliwych! Ani wiesz, co cię czeka! Odstąp“! Niezłomny głos wewnętrzny odpowiadał: „Musisz!“ Walczył tak przez szereg długich dni i nocy, czasem w postawie stojącej, czasem klęcząc, czasem leżąc rozciągnięty na ziemi. Im głębszą stawała się przepaść, w którą zstępował, tym bardziej zwierzał się dokoła niego obłok. Miał uczucie zbliżania się czegoś przerażającego i nienazwanego.

Wreszcie wstąpił w stan ekstatycznego snu na jawie, który był mu właściwym i w którym budziła się najgłębsza treść jego świadomości, wstępowała w łączność z żywym Duchem wszechrzeczy i rzucała na przejrzystą tkaninę marzenia obrazy przeszłości i przyszłości. Świat zewnętrzny znikał; oczy przymykały się. Jasnowidzący oglądał Prawdę w światłości, w której tonęła jego istota i która czyniła z jego intelektu rozżarzony ośrodek ognisty.

Zagrzmiał ryk gromu; góra zatrzęsa się w posadach. Wir prądu, idącego z głębi przestworzy, uniósł Jasnowidzącego na szczyt świątyni jerozolimskiej. Dachy i wieże błyszczały w słońcu niby srebrno-złoty las. Hymny rozlegały się w Świętym Świętych. Sponad wszystkich ołtarzy unosiły się fale kadzideł i wirowały u stóp Jezusa. Lud w strojach odświętnych zapełniał portyki, niewiasty śpiewały mu wspaniałe hymny gorącej miłości. Dźwięczały trąby i sto tysięcy głosów wołało: — „Chwała Mesjaszowi! Królowi Izraelskiemu!“ Będziesz królem tym, jeśli zechcesz wielbić mnie — zawołał głos z dołu. Kim jesteś? — rzekł Jezus. I znów uniósł go wiatr poprzez przestworza na szczyt góry. U stóp jego rozpościerały się w poświęcie złotej ziemskie królestwa.

— Jestem królem duchów i księciem ziemi — zawołał głos z dołu.

— Wiem kim jesteś — odrzekł Jezus — postacie twoje są niezliczone, na imię ci — Szatan. Ukaż się w twojej ziemskiej postaci.

Postać ukoronowanego monarchy ukazała się na obłokach, rozpostarta na nich niby na tronie. Krąg światła

przyćmionego opasywał jego królewską głową. Posepna postać odcinała się na tle krwawej łuny, twarz jego była blada, a spojrzzenie ostre, jak cięcie topora.

Rzekł: — To wszystko dam tobie, jeśli, upadłszy, uczynisz mi pokłon.

Wtedy mu rzekł Jezus: — „Pójdź precz, szatanie. Albowiem powiedziane jest: Panu Bogu twemu kłaniać się będziesz, a jemu samemu służyć będziesz!“ Wtedy opuścił go diabeł, a oto aniołowie przystąpili i służyli jemu¹⁾.

Pozostawszy znów sam w grocie Engaddi, rzekł Jezus: — Jakim znakiem zwyciężę potęgę ziemskie?

— Znakiem Syna Człowieczego — odezwał się głos z góry.

— Ukaż mi znak ten — powiedział Jezus.

Konstelacja gwiazd zajaśniała na widnokregu. Złożona była z czterech gwiazd w postaci krzyża. Galilejczyk poznał w niej godło wtajemniczeń starożytnych, znane Egipcjanom i utrzymane przez Esseńczyków. W zaraniu świata synowie Jafeta czcili je jako znak ognia ziemskiego i niebieskiego, znak Życia ze wszystkimi jego uciechami, Miłości ze wszystkimi jej cudami. W następstwie nadali mu wtajemniczeni egipscy znaczenie symbolu wielkiego tajnika, Trójcy, nad którą góruje Jedność, godła ofiary, uczynionej z samej siebie przez Istotę niewypowiedzianą, przełamującą się, aby objawić się w światach. Symbol zarazem życia, śmierci i zmartwychwstania, jaśniejący na pieczarach, grobach i niezliczonych świątyniach. Krzyż wspaniałały olbrzymiał i zbliżał się, jak gdyby przyciągany przez serce Jasnowidzącego. Cztery żywe gwiazdy promieniały słońcami potęgi i sławy.

„Oto czarodziejski znak Życia i Nieśmiertelności — ozwał się głos niebiański. Ludzie posiadli go niegdyś i tracili go. Czy chcesz im zwrócić go?

— Chcę — rzekł Jezus.

— Patrz zatem! — oto przeznaczenie twoje!“

Cztery gwiazdy zgasły nagle. Zaległa noc. Grom pod-

¹⁾ Ew. Ś-go Mat. IV,10,11.

ziemny wstrząsnął górami i z głębin morza Martwego wynurzyła się ciemna góra, na której wzniesiony był czarny krzyż. Człowiek konający przygwożdżony był do niego. Tłum szatański zapełniał szczyt góry, wyjąc śmiechem piekielnym: — Jeśli jestem Mesjaszem — uratuj się! — Jasnovidzący otworzył szeroko oczy, potem cofnął się, oblały zimnym potem. Tym człowiekiem ukrzyżowanym — był on sam... Zrozumiał. Aby zwyciężyć, musiał utożsamić się z tym przeraźliwym sobowtórem, którego sam wezwał i postawił przed sobą jako pytanie złowieszcze. Zawieszony w niepewności, niby w pustce przestworzy bezkresnych, czuł Jezus równocześnie tortury ukrzyżowanego, szyderstwa i obelgi ludzi i głębokie milczenie nieba.

— Możesz wziąć na siebie krzyż lub odtrącić go — przemówił głos anielski.

Widzenie już zaczęło migotać miejscami i krzyż-zjawa blednąc zaczął wraz z męczennikiem, kiedy nagle stanął we wspomnieniu Jezusa obraz chorych dokoła źródła w Siloe, a poza nim szły zastępy dusz rozpacznych, szepczących z rękami złożonymi: „Bez ciebie będziemy zgubione. Zbaw nas ty, który umiesz kochać!“

Powstał zwolna Galilejczyk i — rozwierając ramiona gestem miłosnym — zawołał: „Wezmę na siebie krzyż — niech świat będzie zbawiony!“ W tej samej chwili uczuł Jezus straszne rozdarcie wszystkich członków i wydał okrzyk przerażenia... Równocześnie zawałiła się czarna góra, krzyż zapadł się w morze; światło łagodne, uczucie błogości boskiej zalało Widzącego, a z wyżyn lazurowych głos triumfu przeszył bezmiary, wołając: „Szatan przestał być władcą! Śmierć jest zwyciężona: Chwała Synowi Człowieczemu! Chwała Synowi Bożemu!“

Kiedy Jezus zbudził się po tej wizji, wszystko pozostało niezmienione dokoła niego: wschodzące słońce zło-ciło ściany grotty Engaddi, rosa ciepława, niby łyzy miłości anielskiej, wilżyła zbolące jego stopy; mgły zwiewne unosiły się nad morzem Martwym. Lecz on sam nie był już tym, co dotychczas. Wydarzenie rozstrzygające dokonało się w niezgłębionej otchłani jego świadomości. Rozwiązał zagadnienie życia, zdobył spokój; wielka pewność

nappełniła jego duszę. Z przełamania jego istoty ziemskiej, którą podeptał nogami i rzucił w przepaść, wyłoniła się nowa, promienna świadomość: wiedział, że akt nieodwołalny woli własnej uczynił z niego Mesjasza.

W krótki czas potem zszedł do osady Esseńczyków. Dowiedział się tam, że Jan Chrzciciel porwany został przez Antypasa i osadzony w twierdzy Makeru. Nie tylko nie przeraziła go ta zapowiedź, lecz wskazała mu, że czas już dojrzał i że należało samemu zacząć z kolei działać. Obwieścił zatem Esseńczykom, że idzie do Galilei głosić „Ewangelię Królestwa niebieskiego“. Znaczyło to: wyjawić ubogim duchem wielkie Tajniki i uprzystępnąć im zrozumienie ich przez wykład doktryny wtajemniczonych. Na krok równie śmiały nie powążył się nikt od czasu, kiedy Sakia Muni, ostatni Buddha, zdjęty litością bezmierną, nauczał nad brzegami Gangesu. To samo wzniosłe współczucie dla ludzkości ożywiało Jezusa. Potęgował on je światłem wewnętrznym, siłą miłości, wielkością wiary oraz energią czynu, właściwymi jemu tylko jednemu. Z głębin śmierci, którą zbadał i której zakosztował już przed czasem, niósł swoim braciom nadzieję i życie.

IV

ŻYCIE PUBLICZNE JEZUSA — NAUCZANIE LUDOWE I NAUCZANIE EZOTERYCZNE — CUDA — APOSTOŁOWIE — NIEWIASTY.

Usiłowania moje zmierzały dotychczas ku rozjaśnieniu światłem jej właściwym tej części życia Jezusa, którą Ewangelie pozostawiły w cieniu lub też osnuły wątkiem legendy. Powiedziałem drogą jakiego wtajemniczenia, jakiego doskonalenia duszy i myśli osiągnął wielki Nazarejczyk uświadomienie sobie swojego posłannictwa mesjanicznego. Staralem się, słowem, odtworzyć wewnętrzną drogę stawania się Chrystusa, jego genezę. Rozpoznanie genezy ułatwi mi pozostałą część zadania. Życie publiczne Jezusa opowiedziane zostało przez Ewangelistów. Są w ich opowiadaniach rozbieżności, sprzeczności wyraźne, ślady spajania. Tu i owdzie przeziera jeszcze legenda, pokrywająca lub wyolbrzymiająca pewne tajemnice; całokształt tchnie wszakże taką jednością myśli i czynu, ma charakter dzieła tak potężnego i swoistego, iż niepodobna jest oprzeć się uczuciu znajdowania się wobec rzeczywistości, wobec życia. Zbędne byłoby przerabianie tych nieporównanych opowieści, wymowniejszych w dziecięcej swojej prostocie i w symbolicznym swoim pięknie od wszelkich przeróbek, uzupełnień i rozszerzeń. Najważniejszym jest wszakże obecnie: rzucenie na rolę Jezusa światła tradycji i prawd ezoterycznych, wykazanie znaczenia i doniosłości duchowej podwójnego jego nauczania.

Jaką wielką nowinę zwiastował ten Esseńczyk, sławny już, powracający znad wybrzeży morza Martwego do swojej ojczyzny, aby głosić tam Ewangelię Królestwa Niebieskiego? Czym przeistoczyć miał oblicze świata? Myśl proroków ciałem się w nim stała. Zbrojny poświęceniem całej swojej istoty, przychodził dzielić z ludźmi owo królestwo niebieskie, które osiągnął mocą rozmyślań i walk, mocą swoich nieskończonych cierpień i radości bezbrzeżnych. Rozdarł zasłonę, którą dawna religia Mojżeszowa rzuciła na zaświaty. Głosił: „Wierście, kochajcie, czyńcie i niech nadzieja będzie duszą czynów waszych. Poza tym padłem ziemskim istnieje świat dusz, życie doskonalsze. Wiem o tym, idę stamtąd i powiodę was tam. Nie wystarcza jednak pragnąć dostać się tam. Aby uczynić to — należy zacząć od urzeczywistnienia królestwa Bożego tutaj na ziemi, w nas samych najpierw, a potem w całej ludzkości. Czym osiągnąć je? — Miłością, Miłosierdziem czynnym“.

Przybył więc młody prorok do Galilei. Nie mówił, że jest Mesjaszem, dysputował jedynie w synagogach o zakonie i prorokach. Nauczał nad brzegiem jeziora Genezareth, na łodziach rybackich, przy studniach, w oazach zieleni, od których roją się okolice Kapharnaum, Bet-saïdy i Korazimu. Uzdrawiał chorych nakładaniem dłoni, spojrzeniem, nakazem, często samą swoją obecnością. Tłumy szły za nim; liczni uczniowie i wyznawcy wiązali już życie swoje z jego osobą. Rekrutowali się oni spośród ludu, spośród rybaków i celników. Szło mu o przyciągnięcie do siebie natur prostych i nietkniętych, gorących i wierzących, na które wywierał urok nieodparty. Wyborem jego kierował w tym względzie ów dar jasnowidzenia, przyrodzony zawsze ludziom czynu, a zwłaszcza twórcom religii. Jedno spojrzenie wystarczało mu do zgłębienia duszy. Niepotrzebne mu były inne próby, a kiedy mówił: idź za mną! — szli za nim. Jednym gestem wzywał do siebie nieśmiałych, wahających się i mówił im: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni — a ja was ochłodzę. Weźmijcie jarzmo moje na się, a uczcie się ode mnie, żem jest cichy i pokornego serca,

a znajdziecie odpoczynek duszom waszym“¹⁾). Odgadywał najtajniejsze myśli ludzi, którzy zmieszani, oszołomieni, poznawali w nim mistrza. Zdarzało się, że w niedowiarstwie widział prawość. Kiedy rzekł Nataniel: „Możesz z Nazaretu być co dobrego?“ — odpowiedział Jezus: „Oto prawdziwy Izraelczyk, w którym nie masz zdrady“²⁾).

Od adeptów swoich nie wymagał ani przysięg, ani wyznania wiary, żądał jedynie tylko, aby go kochali i aby wierzyli w niego. Przeprowadził w praktyce wspólność dóbr nie jako regułę bezwzględną, lecz jako zasadę braterstwa wzajemnego.

W ten sposób urzeczywistniać zaczął Jezus w małym środowisku swoim królestwo niebieskie, które ustanowić chciał na ziemi. Kazanie na górze daje nam obraz utworzonego już w zarodku tego królestwa, a zarazem treść nauczania Jezusowego, przeznaczonego dla ludu.

Na szczycie pagórka siedzi mistrz; przyszli wtajemniczeni skupiają się u jego stóp; niżej jeszcze lud stłoczony chwyta chciwie słowa, wychodzące z jego ust. Co wieści młody mędrzec? — Post? Umartwienia? Pokuty publiczne? Nie; mówi: „Błogosławieni ubodzy, bo wasze jest królestwo Boże... Błogosławieni, którzy płaczecie teraz, bo się śmiać będziecie“³⁾). Rozwija potem, w porządku wstępnym, cztery cnoty bolesne: cudowny dar pokory; smucenia się za innych; dobroci wewnętrznej serca; głodu i pragnienia sprawiedliwości. Po czym idą promienne cnoty czynne i zwycięskie: miłosierdzie, czystość serca, dobroć wojująca i wreszcie męczeństwo za sprawę słuszności. „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają“⁴⁾). Słowa te, jak dźwięk dzwonu złotego, otwierają przed oczyma wsłuchanych, niebo, iskrzące się gwiazdami nad głową mistrza. Widzą w nim ciche cnoty, nie w postaci wychudzonej niewiasty w szarych szatach pokutnych, lecz przeistoczone w błogość, w dziewicę świe-

¹⁾ Mat. XI. 28. 29.

²⁾ Jan I — 46 — 47.

³⁾ Ew. św. Łuk. VI, 20, 21.

⁴⁾ Ew. św. Mat. V. 8.

tliste, zaćmiewające blaskiem swoim wspaniałość lili i sławę Salomona. Wiewem swoich liści palmowych napawają one serca spragnione balsamem królestwa niebieskiego. Największym jest cudem, że królestwo to nie rozkwita w oddali niebios, lecz w duszach słuchaczy. Patrzą na siebie wzajem zdumieni. Ubodzy stali się nagle tak bogatymi! Potężniejszy od Mojżesza czarodziej duszy trafił do ich serc, trysnęło z nich źródło nieśmiertelne. Całe jego nauczanie ludu zawarte jest w zdaniu: „królestwo niebieskie w was samych“! Teraz, kiedy wykłada im sposobę, jakich użyć muszą, aby osiągnąć to niesłychane szczęście, nie dziwią ich rzeczy niezwykle, jakich od nich żąda: zabić w sobie nawet chęć zła, wybaczać urazy, kochać nieprzyjaciół swoich. Potok miłości, wylewający się z serca, rwie z taką potęgą, że unosi ich z sobą. W jego obecności wszystko zdaje się łatwe.

Olbrzymią nowością, szczególną śmiałością tego nauczania jest, że prorok galilejski stawia życie wewnętrzne duszy ponad całą działalność zewnętrzną, niewidzialne wyżej od widzialnego, królestwo niebieskie ponad ziemskie dobra. Każe wybierać pomiędzy Bogiem a Mammonem¹⁾. Streszczając wreszcie doktrynę swoją mówi: „Kochajcie bliźnich waszych jak samych siebie i bądźcie doskonali, jak doskonałym jest wasz Ojciec niebieski“. Pozwalał w ten sposób dostrzegać w formie popularnej całą głębię moralności i wiedzy. Bowiem najwyższym nakazem wtajemniczenia jest odtwarzanie doskonałości boskiej w doskonałości duszy. Tajemnica wiedzy tkwi w łańcuchu podobieństw i odpowiedników, jakie łączą kręgami coraz szerszymi zjawiska poszczególne z zasadami powszechnymi, skończoność z nieskończonością.

Takim było publiczne, czysto moralne nauczanie Jezusa. Oczywiście musiał on obok niego miewać wykłady poufne dla swoich uczniów, prowadzić nauczanie równo-

¹⁾ **Mammon** — słowo aramejskie, oznaczające pieniądź, zysk (gr. mamonas) używane jest w Nowym Testamencie jako uosobienie bogactwa, jako potęga przeciwstawna Bogu. (Mat. VI, 24, Łuk. XVI, 9, 11, 13). (Przyp tłum).

ległe, wyjaśniające pierwsze, wykazujące właściwy jego podkład i przenikające do dna prawd duchowych, jakie czerpał z tradycji ezoterycznej Esseńczyków i z własnego swojego doświadczenia. Tradycja ta tłumiona była gwałtownie przez Kościół, zaczawszy od drugiego wieku i dla tego większości teologów obcą już jest właściwa doniosłość słów Chrystusowych, ich znaczenie podwójne i potrójne; widzą oni w nich tylko ich znaczenie pierwotne i literalne. Dla tych natomiast, którzy zgłębili doktrynę Tajników Indii, Egiptu i Grecji, myśl ezoteryczna Chrystusa ożywia nie tylko każde, najdrobniejsze chociażby jego słowo, lecz również i wszystkie czyny jego życia. Jest to widoczne już u trzech synoptyków, a już zupełnie wyraźne w Ewangelii Ś-go Jana. Oto przykład, dotyczący punktu zasadniczego doktryny:

Jezus jest chwilowo w Jerozolimie. Nie naucza jeszcze w świątyni, lecz uzdrowia chorych i miewa wykłady u przyjaciół. Dzieło miłości przygotować ma grunt, na który padnie dobre nasienie. Nikodem, uczony Faryzeusz, „książe żydowski“ siyszał o nowym proroku. Pałając ciekawością, lecz nie chcąc narażać się wobec swoich, prosi o rozmowę tajemną z Galilejczykiem. Jezus zgadza się. Nikodem przychodzi nocą do jego mieszkania i mówi doń: „Rabi, wiemy, żeś przyszedł od Boga Nauczycielem, bo żaden tych znaków czynić nie może, które ty czynisz, jeśliby z nim Bóg nie był“.

A na to Jezus: — Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci: Jeśli się kto **nie odrodzi znowu**, nie może widzieć królestwa Bożego. —

Rzekł do niego Nikodem: — Jakoż się może człowiek narodzić, będąc starym? Zali może powtórę wniść w żywot matki swojej i odrodzić się?

Odpowiedział Jezus: — Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci: jeśliby się kto **nie odrodził z wody, a z Ducha Świętego**, nie może wniść do królestwa Bożego¹⁾.

W tej formie, wyraźnie symbolicznej, streszcza Jezus starożytną doktrynę odradzania się, znaną już w miste-

¹⁾ Ew. Jana, III, 2, 3, 4, 5.

riach egipskich. Odrodzenie się z wody i z ducha, przejście przez chrzest wody i ognia — zaznacza dwa stopnie wtajemniczenia, dwa etapy wewnętrznego i duchowego rozwoju człowieka. Woda wyobraża tutaj prawdę, pojętą duchowo, to znaczy w jej znaczeniu oderwanym i ogólnym. Oczyszcza ona duszę i rozwija zarodek jej duchowy.

Odrodzenie się z ducha, czyli chrzest ognia (niebiańskiego) oznacza przyswojenie sobie tej prawdy wolą tak, aby stała się ona krwią i życiem, duszą wszystkich czynów. Wynikiem jego jest ostateczne zwycięstwo ducha nad materią, nieograniczone panowanie duszy uduchowionej, przeistoczonej w narzędzie posłuszne, nad ciałem. Panownie to, budzące uśpione władze duszy, otwierające jej zmysł wewnętrzny, darzy ją intuicyjnym widzeniem prawdy i zdolnością oddziaływania bezpośredniego duszy na duszę. Stan ten równa się stanowi niebiańskiemu, zwanemu przez Jezusa Chrystusa królestwem Bożym. Chrzest z wody, czyli wtajemniczenie intelektualne, jest więc zapoczątkowaniem odrodzenia; chrzest z ducha jest odrodzeniem całkowitym, przeistoczeniem całkowitym, przeistoczeniem duszy ogniem intelektu i wolą, a tym samym do pewnego stopnia przeistoczeniem pierwiastków ciała, słowem odrodzeniem radykalnym. Stąd władza wyjątkowa, jaką daje ono człowiekowi.

Takim jest znaczenie ziemskie rozmowy wybitnie teozoficznej Faryzeusza Nikodema z Jezusem. Posiada ona wszakże znaczenie inne, które możnaby nazwać krótko: doktryną ezoteryczną o ustroju człowieka. W myśl tej doktryny człowiek jest potrójny; składa się z ciała, duszy i ducha. Posiada część nieśmiertelną i niepodzielną: ducha; część zniszczalną i podzielną: ciało. Dusza, spajająca je obie, podziela naturę obu. Jako organizm żywy, ma ona ciało eterowe, lotne, podobne do ciała materialnego, które, bez tego niewidzialnego sobowtóra, nie miałoby ani życia, ani ruchu, ani jedności. Zależnie od tego, czy człowiek ulega podszeptom ducha, czy pokusom ciała, zależnie od tego, czy przekłada on związaną się z jednym nad związaną się z drugim — ciało lotne staje się bar-

dziej rozwiewnym lub zgęszcza się, zespala się lub rozprasza.

W ten sposób podlega większość ludzi, po śmierci fizycznej, powtórnej śmierci duszy, to znaczy wyzbyciu się nieczystych pierwiastków swojego ciała astralnego, czasem nawet powolnemu jego rozkładowi. Natomiast człowiek zupełnie odrodzony, który już na ziemi ukształtował swoje ciało duchowe, posiadał swoje niebo w duszy własnej, ulatuje więc w sfery, ku którym pociąga go jego pokrewność im.

Otóż woda w ezoteryzmie starożytnym symbolizuje materię fluidową nieskończenie przekształcalną, zaś ogień symbolizuje ducha czystego. Mówiąc o odrodzeniu z wody i z ducha, czyni Chrystus aluzję do podwójnego tego przekształcania się jego istoty duchowej i jego otoczki fluidowej, jakie czeka człowieka po jego śmierci i bez którego nie może on wejść do królestwa dusz błogosławionych i duchów czystych. Bowiem „co się narodziło z ciała, jest ciałem (to znaczy zniszczalnym i przykutym), a co się narodziło z Ducha, duchem jest (to znaczy wolnym i nieśmiertelnym)... Duch, kędy chcę, tchnie i głos jego słyszysz, ale nie wiesz skąd przychodzi, ni dokąd idzie; tak jest wszelki, który się narodził z Ducha“¹⁾.

Tak przemawia Jezus do Nikodema w ciszy nocy jerozolimskiej. Mała, umieszczona pomiędzy nimi, lampka słabo oświetla niewyraźne zarysy postaci obu rozmawiających. Oczy mistrza galilejskiego błyszczą wszakże w ciemności światłem tajemniczym. Jakże nie wierzyć w duszę, patrząc w te oczy, czasem łagodne, a czasem płonące ogniem?

Uczony Faryzejczyk widzi, że burzy się cały gmach jego wiedzy tekstów, natomiast odsłania się przed nim świat nowy. Dostrzegł promień w oku proroka, którego długie włosy kasztanowate opadają falisto na ramiona. Czuł, iż żar potężny, jakim wionie cała istota mistrza, pociąga go ku niemu. Widział ukazujące się i znikające, niby aureola magnetyczna, trzy małe białe płomyki dokoła

¹⁾ Ew. Jana III, 6 — 8.

jego skroni i czoła. Doznał w tej chwili wrażenia, jak gdyby tchnienie Ducha owionęło jego serce. Wzruszony, milczący, wraca Nikodem pośpiesznie do domu w noc głęboką. Będzie żył dalej pośród Faryzeuszów, lecz w głębi serca swego pozostanie wiernym Jezusowi.

Zaznaczmy jeden jeszcze zasadniczy punkt tego nauczania. W myśl doktryny materialistycznej jest dusza przelotnym, przypadkowym wpływem sił fizycznych; podług zwykłej doktryny spirytualistycznej jest ona pojęciem oderwanym, pozbawionym wszelkiej z ciałem łączności; wedle doktryny ezoterycznej — jedynie racjonalnej — jest ciało fizyczne wytworem nieustannej pracy duszy, działającej na nie za pośrednictwem organizmu, posiadającego tę samą naturę, zatem ciała astralnego, podobnie jak wszechświat widomy jest tylko wpływem siły czynnej Ducha nieskończonego.

Dlatego podaje Jezus doktrynę tę Nikodemowi jako wytłumaczenie cudów, jakich dokonywa. Może ona służyć w istocie za klucz lecznictwa okultystycznego, uprawianego zarówno przez niego samego, jak i przez małą garsstkę adeptów i świętych przed Chrystusem i po nim. Zwykle lecznictwo zwalcza choroby ciała oddziaływaniem na ciało. Adept czy święty, będący ogniskiem siły duchowej i fluidalnej, działa bezpośrednio na duszę chorego, zaś za pośrednictwem ciała astralnego — na jego ciało fizyczne. Dzieje się to również we wszystkich przejawach uzdrawiania magnetycznego. Jezus działa za pośrednictwem sił, istniejących w każdym człowieku, jego wszakże działanie wyróżnia się rozmachem, potęgą i skupieniem swoich rzutów. Przekazuje Skrybom i Faryzeuszom swoją władzę leczenia ciała, jako dowód swojego daru odpuszczania grzechów i uzdrawiania duszy, co stanowi jego cel najwyższy. Uzdrawianie fizyczne staje się w ten sposób sprawdzianem uzdrowienia moralnego, które pozwala mu rzec do człowieka: Wstań i chodź! Nauka obecna usiłuje tłumaczyć zjawiska te, nazywane w starożytności i w wiekach średnich opętaniem, jako zwykle zaburzenie nerwowe.

Wyjaśnienie to jest niewystarczające. Psychologowie, usiłujący wnikać głębiej w tajniki duszy, dopatrują się w zjawisku tym rozdzielenia świadomości, przedzierania się jej części ukrytej na powierzchnię. Pytanie to zahacza już o sprawę odrębnych płaszczyzn świadomości ludzkiej, działającej raz na jednej, to znów na innej płaszczyźnie i przejawiającej się, dzięki ruchliwości swojej, w rozmaitych stanach somnambulicznych. Zahacza ono również o dziedzinę nadwrażliwości. Bez względu jednak na ostateczne rozstrzygnięcie tego pytania, posiadał Jezus niewątpliwie władzę doprowadzania do równowagi ciał, wytrąconych z niej i budzenia w duszach doskonalszego stopnia świadomości.

„Prawdziwą sztuką czarodziejską — powiedział Platon — jest miłość, nienawiść jest jej przeciwieństwem. Miłością i nienawiścią kierowani, działają czarodzieje za pomocą napojów swoich i swoich uroków“. Miłość w najwyższym stopniu jej uświadomienia i w najwyższej jej potędze — oto tajemnica czarodziejskiej mocy Chrystusa.

Liczni uczniowie uczestniczyli w nauczaniu poufnym. Wszelako dla utrwalenia nowej religii należało uruchomić zastęp wybrańców czynnych, którzy mogliby stać się filarami duchowej świątyni, jaką zbudować chciał obok owej istniejącej już świątyni ziemskiej. Stąd instytucja Apostołów. Nie wybierał ich spośród Esseńczyków, bowiem szukał natur dzielnych i nietkniętych, a nade wszystko zaszczepić chciał religię swoją w sercu ludu. Dwie grupy braci: Szymon Piotr i Andrzej, synowie Jonasowi z jednej strony i Jan i Jakub, synowie Zabedeuszowi — z drugiej, wszyscy czterej rybacy z zawodu, pochodzący z rodzin zamożnych, utworzyli pierwszy związek Apostołów. W pierwszym czasie publicznej działalności swojej zjawia się Jezus w ich domu w Kapharnaum, nad brzegiem jeziora Genezaret, gdzie znajdowały się ich miejsca połowu ryb. Mieszka u nich, naucza, nawraca całą rodzinę. Piotr i Jan wysuwają się na pierwszy plan, górując nad pozostałymi, jako dwie postacie główne. Piotr — serce prawe i proste, umysł naiwny i zamknięty w ciasnych względnie granicach, równie skory do świe-

tlanych nadziei, jak do ponurego zniechęcenia, wszelako człowiek czynu, nadający się do przewodzenia innymi dzięki swemu charakterowi energicznemu i silnej swojej wierze bez zastrzeżeń. Jan, natura głęboka i skupiona, tak płomiennie entuzjastyczna, że Jezus nazywał go „synem gromu“. Z cechami tymi łączył umysł intuicyjny, duszę gorącą, zawsze niemal w sobie samej zamkniętą, zazwyczaj marzycielską i melancholijną, wybuchy potężne, szła apokaliptyczny, lecz zarazem głębie uczuciowości, o jakie trudno go nawet podejrzewać i jakie mistrz jedynie w nim odkrył. On jeden, milczący, kontemplacyjny, zrozumie najgłębiej myśl Jezusa. Będzie on Ewangelistą miłości i rozumu boskiego, właściwym Apostołem ezoterycznym.

Nawróceni słowami Jezusa, przekonani dzięki jego czynom, korzący się przed wielkim jego rozumem i ogarnięci promieniowaniem jego magnetyzmu, szli Apostołowie za mistrzem od grodu do grodu. Głoszenie nowej nauki, „dobrej nowiny“, ludowi zgromadzonemu przeplatało nauczanie w kole ściślejszym. Stopniowo otwierał przed Apostołami swoją myśl. Bądź co bądź wszakże głęboką jeszcze zachowywał tajemnicę co do własnej osoby, co do roli swojej i własnej swojej przyszłości. Oznajmił im jedynie bliskość królestwa niebieskiego i przyjścia Mesjasza. Już szeptali Apostołowie między sobą: „To On!“ — i powtarzali to dokoła. On sam wszakże, z właściwą sobie łagodną powagą nazywał się „Synem Człowieczym“ — określeniem, którego znaczenia ezoterycznego nie rozumieli oni jeszcze wówczas, a które mówić się zdawało w jego ustach: zwiastun ludzkości cierpiącej. Dodawał bowiem: „Lisy mają jamy, a ptaki niebieskie — gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma gdzie skłonić głowy“¹⁾. Apostołowie wyobrażali sobie Mesjasza zgodnie z ludowym pojęciem żydowskim; w naiwnych nadziejach swoich rozumieli królestwo niebieskie jako formę rządu politycznego, którego ukoronowanym monarchą byłby Jezus, a oni mistrzami. Zwalczenie tego pojęcia, przeistoczenie go od początku do końca, objawienie Apostołom prawdziwego

¹⁾ Ew. Łuk. X. 58.

Mesjasza, królestwa ducha; wtajemniczenie ich w ową prawdę szczytną, zwaną przez niego Ojcem, siłą najwyższą, którą nazywał Duchem, siłą tajemniczą, zespalającą wszystkie dusze ze światem niewidzialnym; wskazanie im słowem swoim, swoim życiem i śmiercią swoją prawdziwego Syna Bożego; utrwalenie w nich przeświadczenia, że i oni i wszyscy ludzie są braćmi i mogą zjednoczyć się z nim, jeśli zechcą; nieopuszczanie ich, dopóki nie otworzy nadziejom ich całego bezkresu nieba — takim było potężne dzieło Jezusa, obowiązek, jaki miał do spełnienia względem Apostołów. Czy uwierzą, czy nie uwierzą?

Oto węzeł dramatu, jaki rozgrywa się między nim a nimi.

Istnieje boleśniejszy jeszcze i straszliwszy ten, jaki wstrząsa własną jego duszą. Zbliżamy się już doń.

W tej chwili bowiem fala radości zalewa myśl tragiczną, lęgnącą się w świadomości Chrystusa. Burza nie rozpętała się jeszcze nad jeziorem Tyberiadzkim¹⁾. To galilejska wiosna Ewangelii, jutrznia królestwa Bożego, zaślubiny mistyczne wtajemniczonego z duchową jego rodziną. Idzie ona za nim, odbywa wraz z nim wędrówkę, jak crszak paranimf za oblubieńcem w przypowieści. Gromada wiernych ciśnie się śladami ukochanego mistrza. Idzie brzegiem lazurowego jeziora, zamkniętego w oprawie gór, niby w kruży złotej. Idzie z nad soczystych łąk Kapharnaum do gajów pomarańczowych Bet-saïdy, do górzystego Korazimu, gdzie bukiety palm cienistych górują ponad wodami Genezarethu. W tym orszaku Jezusowym kobiety mają osobne miejsce. Matki i siostry uczniów, dziewice nieśmiałe, czy grzesznice żalujące, otaczają go w każdym miejscu. Wsłuchane, wierne, płonące miłością, ścielą mu pod stopy, niby kwiecie wonne, swój aromat nadziei i smutku. Im nie potrzeba wykazywać, że Jezus jest Mesjaszem. Wystarcza im, gdy

¹⁾ Inaczej jezioro Genezareth, nad którym położone było miasto Tyberjada w prowincji Galilejskiej, w Palestynie — stąd nazwa. (Przyp. tłum.).

widzą go, a wiedzą. Dziwna błogość, jaką tchnie cała atmosfera dokoła niego, zmieszana z nutą boskiego, niewypowiedzianego cierpienia, jakie dźwięczy w głębi jego istoty, przekonywa je, że stoją wobec Syna Bożego. Już w zaraniu młodości swojej zagłuszył w sobie Jezus głos ciała; pokonał podczas pobytu u Esseńczyków moc zmysłów. Zdobył tym rząd dusz i boski dar przebaczenia, ową rozkosz aniołów. Do grzesznicy, tarzającej się u jego stóp w fali włosów rozsypanych kaskadą na plecy, wśród balsamów rozlanych, rzeknie: „Wiele jej będzie odpuszczone, bo wiele kochała“. Wzniosłe słowo, w którym mieści się całe odkupienie; bowiem, kto przebacza — wyzwala.

Chrystus podniósł i wyzwolił kobietę bez względu na to, co mówią o tym: Ś-ty Paweł i Ojcowie Kościoła, którzy, spychając ją do roli służebnicy mężczyzny, wypaczyli myśl mistrza. Epoka wedyjska miała cześć dla kobiety; Buddha nie ufał jej; Chrystus podniósł ją, składając w jej ręce własne swoje posłannictwo miłości i wieszczenia. Kobieta wtajemniczona wyobraża duszę Ludzkości, Aiszę, jak ją nazwał Mojżesz, zatem Potęgę Intuicji, zdolność miłowania i jasnowidzenia. Burzliwa Magdalena, z której Jezus — wedle wyrażenia biblijnego — wypędził siedmiu diabłów, stała się najgorętszą jego wyznawczynią. Ona to pierwsza — jak utrzymuje Jan — ujrzała boskiego mistrza, Chrystusa duchowego, zmartwychwstałego na jego grobie. Legenda uporczywie dopatrywała się w namiętnej, wierzącej kobiecie najgorętszej wielbicielki Jezusa, wtajemniczonej jego serca — i nie myliła się. Historia jej jest uosobieniem całego odrodzenia kobiety w myśl Chrystusa.

W małym domku w Betanii, pomiędzy Marią i Magdaleną, lubił Jezus odpoczywać po trudach posłannictwa swego, przygotowując się do prób ostatnich. U nich roztaczał najśłodsze swoje pocieszenia, w ciepłych z nimi gawędach mówił o tajnikach boskich, których nie miał jeszcze odwagi powierzać uczniom swoim. Czasem, w porze, kiedy złoto zachodu błednie pośród gałęzi drzew oliwnych, kiedy zmierzch zaciera już zarysy drobnego ich

listowia, wpadał Jezus w zadumę. Zasłona padała na jego świetlane oblicze. Myślał o trudnościach swojego dzieła. o chwiejnej wierze Apostołów, o wrogich potęgach światła. Świątynia, Jerozolima, ludzkość, z występkami jej i jej niewdzięcznością, waliły się na niego, niby góra żywa.

Czy będą dość mocarne jego ramiona, wyciągnięte ku niebu, aby na proch ją zetrzeć, czyli też legnie zmiażdżony ogromem jej ciężaru? W chwilach takich mgliście wspominał o przejściu straszliwym, jakie go czeka i o bliskim końcu swoim. Przerażone uroczystym tonem jego słów, nie śmiały niewiasty pytać go więcej. Jakkolwiek niewzruszenie był zawsze pogodny, rozumiały, że dusza jego spowita jest jak gdyby w całun smętku niewypowiedzianego, oddzielający go od radości życia. Przeczuwały przeznaczenie proroka, czuły postanowienie jego niezłomne. Skąd te ciemne chmury, nadciągające od strony Jerozolimy? Skąd wiatr ten, palący gorączką i śmiercią, owiewający zarówno ich serca, jak wysuszone pagórki Judei o barwach trupio fioletowych? Pewnego wieczoru... Iza, gwiazda tajemnicza, błysnęła w oku Jezusa. Drgnęły trzy niewiasty i nieme łzy ich spłynęły w ciszy Betanii. Niewiasty opłakiwały Chrystusa, a on opłakiwał ludzkość.

V.

WALKA Z FARYZEUSZAMI — UCIECZKA DO CEZAREI — PRZEMIENIENIE.

Dwa lata trwała ta wiosna galilejska, podczas której, pod tchnieniem słów Chrystusa, błyszczące lilie anielskie zdawały się rozkwitać w powietrzu, przepojonym wonią balsamów, a jutrznia królestwa niebieskiego wznosić się ponad wsłuchanymi tłumami. Rychło wszakże zasnuło się niebo chmurami, rozdzieranymi przez ponure błyskawice, zwiastuny katastrofy. Nad nieliczną ową rodziną z ducha rozszalała burza, podobna do jednej z tych, co srożą się nad jeziorem Genezareth i chłoną w rozwścieczeniu swym wątłe łodzie rybackie. Przerażała ona uczniów; Jezusa nie zdziwiła bynajmniej. Spodziewał się jej. Niemożliwością było, aby jego głoszenie nauki nowej i wzrastająca jego popularność nie poruszyły religijnej starszyny żydowskiej. Niepodobna też, aby pomiędzy nią a nim nie zawiązała się walka głęboka. Co więcej — światło z tego zderzenia jedynie wytrysnąć mogło.

Za czasów Jezusa tworzyli Faryzeusze zwarty zastęp sześciotysięczny. Ich nazwa **Perishin** oznaczała: oddzielonych czy wyróżnionych. Zapaleni patrioci, ciśni wszakże i dumni, stanowili oni stronnictwo, którego hasłem było przywrócenie dawnej świetności narodowej. Istnienie jego datowało się od Machabeuszów dopiero. Obok tradycji pisanej uznawali też tradycję ustną. Wierzyli w aniołów, w życie przysze, w zmartwychwstanie. Te —

idące z Persji — przebłycki ezoteryzmu, tonęły wszakże w powodzi grubej, materialistycznej interpretacji. Ściśle przestrzegający litery prawa, pozostający wszakże w zupełnej sprzeczności z duchem proroków, dla których religia streszczała się w miłowaniu Boga i ludzi, dawali wyraz swojej pobożności w sprawowaniu jedynie obrządków i praktyk religijnych, w zachowaniu postów i odbywaniu publicznej pokuty. Widzieć ich można było w dni uroczyste, przebiegających ulice z twarzami pokrytymi sadzą, zawodzących i modlących się głosem strapionym i ostentacyjnie rozdających jałmużnę. Poza tym żyli w przepychu i chciwie zagarniali dostojeństwa i władzę. Mimo to stali na czele stronnictwa demokratycznego i mieli cały lud w swoich rękach.

Saduceusze natomiast uosabiali stronnictwo kapłańskie i arystokratyczne. Tworzyły je rodziny, roszczące sobie, na mocy dziedziczości, prawo pełnienia obowiązków kapłańskich od czasów Dawida. Zaciekli wstecznicy, odrzucali tradycję ustną, wierząc jedynie w literę prawa pisanego: nie uznawali duszy i życia przyszłego. Szydzili też z głośnych praktyk Faryzeuszów i ich wierzeń, nie dorzecznym ich zdaniem. Religia w ich pojęciu polegała wyłącznie na sprawowaniu obrządków kapłańskich. Utrzymywali pontyfikat za Seleucydów, doskonale zgadzając się z bałwochwalcami, przesiąkając nawet sofistyką grecką oraz epikureizmem wytwornym. Za Machabeuszów usunięci zostali przez Faryzeuszów od pontyfikatu, który odzyskali wszakże za Heroda i Rzymian. Byli to ludzie twardzi i zawzięci, kapłani używający życia, wyznający jedyną tylko wiarę: w własną swoją wyższość i mający za jedyne dążenie: utrzymanie władzy, jaką posiadli na mocy tradycji.

Co mógł widzieć w podobnej religii Jezus, wtajemniczony, następca proroków, natchniony jasnowidzący z Engaddi, dopatrujący się w porządku społecznym odzwierciedlenia porządku boskiego, w którym sprawiedliwość rządzi życiem, wiedza — sprawiedliwością, a mądrość wszystkimi trzema?

W świątyni, w przybytku najwyższej wiedzy i wta-

jemniczenia — ciemnota materialistyczna i agnostyczna, posiłkująca się religią, jako narzędziem władzy — zatem — szalbierstwo kapłańskie. W szkołach i synagogach, zamiast chleba życia i rosy niebiańskiej, którymi darzyć miano serca — moralność interesowna, w obsłonce pobożności formalistycznej — więc obłuda religijna. W dali, ponad nimi, tronujący w glorii, Cezar wszechpotężny, apoteoza zła, ubóstwienie materii, Cezar, jedyny ówczesny Bóg świata, jedyny możliwy władca Saduceuszów i Faryzeuszów, z wolą ich czy wbrew niej.

Czyż nie miał słuszności Jezus, który, zapożyczając wzorem proroków pojęcie to z ezoteryzmu perskiego, nazwał panowanie Cezarowe królestwem Szatana czy Ahrymana, to znaczy panowaniem materii nad duchem, któremu przeciwstawić chciał opanowanie materii przez ducha?

Jak wszyscy wielcy reformatorzy zwalczał nie ludzi, pośród których mogły być wyjątki doskonałe, lecz doktryny i urządzenia społeczne, jako formy, służące do odlewania z nich większości. Wyzwanie musiało być rzucone, wojna wypowiedziana chwilowym potęgom świata.

Walka zawrzała pierwotnie w synagogach galilejskich, skąd przeniosła się pod portyki świątyni jerozolimskiej, w której Jezus długo nieraz przebywał, nauczając i stawiając mężnie czoło swoim przeciwnikom. W tym, jak w całej w ogóle swojej karierze życiowej, działał on z cechującym zawsze jego cudownie zrównoważoną naturę połączeniem przezorności i męstwa, przezorności, będącej wynikiem długich rozmyślań i nieustraszonego czynu. Nie wystąpił pierwszy przeciwko przeciwnikom swoim, lecz czekał na zaczepkę z ich strony, aby godnie na nią odpowiedzieć. Nie wypadło mu długo czekać. Od samego już początku swojego wystąpienia na widownię wzbudził on zazdrość Faryzeuszów cudownym uzdrawianiem chorych i wzrastającą wciąż popularnością. Niebawem podejrzewać w nim zaczęli wroga najniebezpieczniejszego. Jeśli więc zaczepiać go z szyderczą grzecznością i przebiegłą złośliwością, z zamaskowaną obłudną słodyczą, która była ich stałą cechą. Jako uczeni doktorowie, jak

ludzie, zajmujący wybitne stanowiska, zażądali od niego zdania sprawy z powodów jego obcowania z celnikami i ludźmi naganego życia. Dlaczego uczniowie jego poważali się zbierać kłosa z pola w dzień sobotni? Wszystko to było poważnym wykroczeniem przeciw obowiązującym przepisom. Jezus odpowiedział im ze zwykłą swoją słodyczą i szerokością poglądów, wyrazami łaskawości i dobroci. Próbował na nich swojego słowa miłości. Zaczął mówić im o ukochaniu Boga, którego bardziej raduje jeden nawrócony grzesznik, aniżeli kilku sprawiedliwych. Opowiedział im przypowieść o zbłąkanej owcy i o synu marnotrawnym. Stropieni umilkli. Naradziwszy się wszakże powtórnie, ponowili napaści, zarzucając mu nieszanowanie dnia sobotniego, uzdrawianie w nim chorych. „Obłudnicy! — odparł Jezus z błyskiem oburzenia w oku — czyż każdy z was w sabat nie odwiązuje wołu swojego albo osła od żłobu i wiedzie napajać? a tej córki Abrahamowej, którą związał szatan oto osiemnaście lat, nie potrzeba było od związku tej rozwiązać w dzień sobotni?“ —¹⁾ Nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, zarzucili mu Faryzeusze, że wypędza demony w imię Belzebuba. Jezus odpowiedział im równie trafnie jak mądrze, że diabeł nie wypędza się sam; że grzech przeciwko Synowi Człowieczemu będzie wybaczony, nigdy wszakże nie uzyska odpuszczenia grzech przeciwko Duchowi Świętemu. Chciał przez to powiedzieć, że mało sobie robi z obelg na jego własną osobę miotanych, lecz że przeczenie Dobru i Prawdzie, kiedy się je stwierdziło, jest przewrotnością umysłu, występkiem najwyższym, złem nie do naprawienia. Powiedzenie to było rzuceniem rękawicy. Wołano nań: „bluźnierco“ — a on odpowiadał: „Obłudnicy!“ — „Poplecznik Belzebuba!“ a on: „Rodzaju jaszczurczy!“ — Od tej chwili zawrzała walka, potężniejąca coraz bardziej! Jezus rozwinął w niej ostrą, ciętą dialektykę. Słowa jego chłostały niby cięcia bicia, przesywały jak strzała. Zmienił taktykę; zamiast się bronić, atakował i na zarzuty odpowiadał zarzutami jeszcze mocniejszymi, nieubłagany zwa-

¹⁾ Ew: Św. Łuk. XIII, 15, 16

szcza wobec kardynalnej wady Faryzeuszów — obłudy. Albowiem Bóg rzekł: „Czcij ojca i matkę; któryby złorzeczył ojcu i matce, śmiercią niechaj umrze. A wy powiadacie: — Ktobykolwiek rzekł ojcu lub matce: dar, którykolwiek jest ze mnie, tobie pożyteczny będzie: I nie będzie czczył ojca swego albo matki swojej, i skazaliście rozkazanie Boże dla ustawy waszej. Obłudnicy, dobrze o was prorokował Izajasz, mówiąc: ten lud czci mnie wargami, ale serce ich daleko jest ode mnie“¹⁾).

Ani na chwilę nie utracił Jezus panowania nad sobą, zapalał się jedynie w walce i potężniał. W miarę im mocniejsze stawały się napaści na niego, tym jawniej występował jako Mesjasz. Zaczynał grozić świątyni, przepowiadać klęski Izraela, mówić, że Pan innych ześle pracowników do winnicy swojej. „Albowiem przyjdą na cię dni i otoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem i oblegą cię i ścisną cię zewsząd. I na ziemię cię obalą i synów twoich, którzy w tobie są, a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu“...²⁾).

Poruszyło to Faryzeuszów jerozolimskich. Widząc, że ust mu nie zamkną, ani go nie odeprą, zmienili i oni taktykę. Umyślili zastawić nań sidła, „podchwycić go w mowie“. Posłali mu tedy uczniów swoich z Herodianami, aby sprowokować go do wypowiedzenia herezji, które pozwoliłyby sanhedrynowi ująć go w imię Zakonu Mojżeszowego, jako bluźniercę lub też dałyby możność gubernatorowi rzymskiemu skazać go jako buntownika. Takim było źródło podstępnych pytań o kobietę cudzołożną i o czynsz Cezarowy. Jezus, przenikający zawsze zamiary swoich przeciwników, rozbroił ich odpowiedziami swoimi, w których występował jako głęboki psycholog i zręczny strateg. Widząc, że nie uda się im przyłapać go, próbowali Faryzeusze osłabić go drażnieniem i zaczepianiem na każdym kroku. Podszczuwana przez nich większość ludności odwracać się już od niego zaczęła, widząc, że nie odbudowuje on Królestwa Izraelskiego. Wszędzie, w osadzie

1) Ew. Ś. Mat. XV, 4, 5, 7, 8.

2) Ew. Ś. Łuk. XIX, 43, 44.

najlichszej, spotykał twarze podejrzliwe i podstępne, znajdował śledzących go szpiegów, obłudnych wysłańców, których zadaniem było zniechęcać go.

Niektórzy z nich mówili mu: — „Wynijdź, a idź stąd, bowiem Herod (Antypas) chce cię zabić! A on rzekł im: „Idźcie a powiedźcie lisowi onemu: — nie może być, aby prorok gdzie indziej zginął okrom w Jeruzalem“¹⁾. Musiał jednakże przeprowiać się kilkakrotnie przez morze Tyberjadzkie i schronić się na wschodnim wybrzeżu, aby uniknąć tych zasadzek. Nigdzie wszelako nie był już bezpieczny. W tym czasie zginął Jan Chrzciel, któremu Antypas kazał ściąć głowę w twierdzy Makeru. Mówią, że Hannibal, ujrzawszy głowę brata swojego, Azdrubala, zabitego przez Rzymian, zawołał: „Teraz poznaję los Kartaginy!“ Podobnie poznać mógł Jezus własny swój los w śmierci swojego poprzednika. Nie miał zresztą co do tego wątpliwości od czasu wizji swojej w Engaddi; z góry już przyjął los ten, rozpoczynając swoje dzieło; mimo to wszakże nowina ta, przyniesiona przez zasmuconych uczniów głosiciela na puszczy, ugodziła Jezusa jako przepowiednia ponura. Zawołał tedy: „Nie poznali go, lecz uczynili z nim, co chcieli. Tak oto Syn Człowieczy przez nich ucierni“.

Apostołowie niepokoiłi się; Jezus wahał się w wyborze drogi. Nie chciał dać się pojmać, bowiem pragnął oddać się dobrowolnie z chwilą, gdy dzieła swojego dokona i skończyć życie jak prorok w obranej przez siebie godzinie. Osaczony już od roku, nawykły do wymykania się nieprzyjacielowi i rozgoryczony na lud, którego ochłodzenie po dniach zapału wyraźnie odczuwał, postanowił Jezus raz jeszcze uciec wraz z wiernymi swoimi. Stanąwszy na szczycie góry wraz z dwunastu uczniami, odwrócił się, aby spojrzeć poraz ostatni na swoje jezioro ukochane, na którego brzegach chciał dać wzejść jutrzence królestwa niebieskiego. Ogarnął wzrokiem miasta, położone nad brzegiem wód lub spiętrzone na górach, tonące w zielonych oazach, bielejące w złotej poświacie zmierzchu,

¹⁾ Łuk. XIII. 31, 33.

wszystkie te grody umiłowane, w których siał słowo życia, a od których teraz widział się opuszczonym. Miał przecucie przyszłości. Okiem proroczym widział ten kraj wspaniały, zamieniony w pustynię pod mściwą dłonią Izmaela i z ust jego spadły bez gniewu, lecz pełne goryczy i melancholii, słowa: „Biada ci Kapharnaum! Biada ci, Korazyn! Biada ci, Betsaido!“ Potem, zwracając się w stronę świata pogańskiego, poszedł wraz z Apostołami drogą, wiodącą ku dolinie Jordanu, z Gadary do Cezarei Filipowej.

Smutną i długą była droga gromadki, uciekającej poprzez wielkie płaszczyzny sitowia i maremmy górnego Jordanu, pod palącym słońcem syryjskim. Noce spędzano pod namiotem pasterzy bawołów lub też u Esseńczyków, osiadłych w małych grodach tego zapadłego kąta. Zgnębieni uczniowie pochylali głowy; smutny i milczący Mistrz pogrążony był w rozmyślaniach. Myślał o niemożliwości wszczęcia nauki swojej w serce ludu samym tylko głosem jej, myślał też o groźnych knowaniach swoich przeciwników. Walka ostateczna stawała się nieuniknioną; stanął w ulicy bez wyjścia; jak wydostać się z niej? Myśl Jezusa ogarniała też z troską nieskończoną rozproszoną jego rodzinę duchową, zwłaszcza dwunastu Apostołów, którzy wierni mu i ufający, porzucili wszystko, aby iść za nim: rodzinę, zawód, dobrobyt, a których serca miały być rozdarte i zawiedzione nadzieje, pokładane w Mesjaszu zwycięskim. Czy mógł pozostawić ich samych sobie? Czy prawda dostatecznie ich przeniknęła? Czy uwierzą, mimo wszystko, w niego i w jego naukę? Czy wiedzą kim jest? Pod wpływem troski tej zadał im dnia pewnego pytanie: — Kim mienią być ludzie Syna człowieczego?

A oni rzekli: — Jedni Janem Chrzcicielem, a drudzy Eliaszem, a inni Jeremiaszem, albo jednym z proroków.

Rzekł im Jezus: — A wy kim mnie być powiadacie?

Odpowiadając, Szymon Piotr rzekł: — Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego¹⁾.

W ustach Piotra i w myśli Jezusa słowa te nie znaczy-

¹⁾ Mat. XVI. 12, 16.

ły, jak tego chciał w następstwie Kościół: Jesteś jedynym wcieleniem Istoty bezgranicznej, wszechmocnej, drugą osobą Trójcy; lecz po prostu: jesteś Wybrańcem Izraela, zapowiedzianym przez proroków. We wtajemniczeniu hinduskim, egipskim i greckim **Syn Boży** oznacza **świadomość, utożsamioną z prawdą boską, wolę, zdolną do objawienia jej**.

W myśl proroków miał być Mesjasz ten największym z owych objawień. Będzie on Synem Człowieczym, to znaczy wybrańcem ludzkości ziemskiej; synem Bożym, to znaczy wysłańcem ludzkości niebieskiej, i jako taki — będzie miał w sobie Ojca czyli Ducha, który przez nią panuje nad wszechświatem.

To stwierdzenie wiary Apostołów przez usta ich przedstawiciela napełniło serce Jezusa radością niewymowną. Zatem zrozumieli go uczniowie jego; żyć będzie w nich; zadzierzgnięty zostanie węzeł pomiędzy niebem a ziemią. Rzekł Jezus do Piotra: — Błogosławionyś, Szymonie Bariona: bo ciało i krew nie objawiła tobie, ale Ojciec mój, który jest w niebiesiech ¹⁾.

Odpowiedzią tą daje Jezus do zrozumienia Piotrowi, że uważa go za wtajemniczonego na tej samej zasadzie, co samego siebie: przez wewnętrzne, głębokie poznanie prawdy. Oto prawdziwe, jedyne Objawienie, „Opoka, na której Chrystus zbudować chce Kościół swój, którego nie zwyciężą bramy piekielne“ ²⁾. Jezus liczy na Apostoła Piotra o tyle tylko, o ile posiędzie on tę świadomość. W chwilę później, kiedy staje się on znów człowiekiem zwykłym, wylęknionym, o ciasnym widnokregu myślowym, traktuje go mistrz zupełnie inaczej.

Kiedy Jezus zwiastował uczniom, że zostanie skazany na śmierć w Jerozolimie, Piotr wzięwszy go na stronę, począł go strofować, mówiąc: „Boże cię uchwaj, Panie! nie przyjdzie to na ciebie“.

Lecz Jezus, jakgdyby widząc w tym przejawie współczucia pokusę ciała, usiłującą zachwiać wielkim jego po-

¹⁾ Św. Mat. XVI, 17.

²⁾ Św. Mat. XVI, 18.

stanowieniem, zwrócił się żywo do Apostoła i rzekł: „Pójdź za mną, Szatanie! jesteś mi zgorszeniem: iż nie rozumiesz, co jest Bożego, ale co jest ludzkiego“¹⁾. — I gest władczy mistrza dodawał: Naprzód, poprzez pustynię! — Onieśmieni jego uroczystym głosem, pochylili Apostołowie głowy w milczeniu i poszli w drogę po kamienistych dolinach Gaulcinitydy.

Ucieczka ta, którą Jezus pociągnął uczniów swoich po za granice Izraela, była jako pochod ku zagadce jego przeznaczenia mesjanicznego w poszukiwaniu ostatniego jej słowa.

Stanęli wreszcie u wrót Cezarei. Miasto, które stało się pogańskim od czasów Antiochiusza Wielkiego, chroniło się w cieniu zielonej oazy, nad źródłem Jordanu, u stóp śnieżnych wierzchołków Hermonu. Posiadało ono swój amfiteatr, jaśniało szeregiem wspaniałych pałaców i świątyń greckich. Jezus przeszedł przez nie aż do miejsca, z którego jasnym i bystrym potokiem wypływa Jordan z wnętrza pieczary górskiej, jak życie, tryskające z głębokiego łona niewzruszonej natury. Stała tam niewielka świątynia, poświęcona bożkowi, Panowi, a w grocie, na brzegu rodzącej się rzeki, było mnóstwo kolumn, nimf marmurowych i bóstw pogańskich. Żydzi wstręt czuli do tych oznak kultu bałwochwalczego. Jezus patrzył na nie bez gniewu, z pobłażliwym uśmiechem. Widział w nich niedoskonałe jego wyobrażenie boskiego piękna, którego wzory promienne nosił w sercu własnym. Nie przyszedł, aby przeklinać pogaństwo, lecz aby je przestoczyć; nie przyszedł, aby rzucać klątwę na ziemię i tajemnicze jej potęgi, lecz aby niebo jej ukazać. Serce jego dostatecznie było wielkie, jego nauka dość rozległa, aby ogarnąć nimi wszystkie narody i powiedzieć wszystkim kultom: „Podnieście głowę i uznajcie, że macie wszyscy jednego Ojca“. A przecież znajdował się tutaj na samym krańcu Izraela, tropiony jak zwierz dziki, osaczony, wciśnięty pomiędzy dwa światy, które jednako odrzucały go. Przed nim — świat pogański, który go jeszcze nie rozu-

¹⁾ Św. Mat. XVI, 22-23.

miał i, w którym słowa jego przebrzmiewały bezsilne; poza nim — świat żydowski, lud, który kamienował swoich proroków i zatykał uszy, aby nie słyszeć swojego Mesjasza, banda Faryzeuszów i Saduceuszów, czyhających na swoją ofiarę. Jakiej odwagi nadludzkiej, jakich czynów niesłychanych potrzeba było, aby przełamać wszystkie te zapory, aby przeniknąć, poprzez bałwochwalstwo pogańskie i oschłość żydowską, w głąb serca ludzkości cierpiącej, umiłowanej przez niego całą duszą i dać jej poznać słowo zmartwychwstania? W chwili tej, zwrotem nagłym, cofnęła się myśl jego nazad i poszła znów z biegiem Jordanu, świętej rzeki Izraela; uleciała od świątyni bożka Pana ku świątyni Jerozolimskiej, przemierzyła całą przestrzeń, oddzielającą pogaństwo starożytne od ogarniającej wszechświat myśli proroków i, powracając do własnego swojego źródła, niby orzeł do gniazda, cofnęła się od obrazu upodlenia Cezarei do wizji w Engaddi! I oto widzi znów, wylaniającą się z fal morza Martwego groźną zjawę krzyża!... Czy nadeszła już godzina wielkiej ofiary?

Jak wszyscy ludzie, miał też Jezus w sobie świadomość podwójną. Jedna — ziemską kołła go ułudami, podszeptując: — Kto wie? może uniknę losu mojego; druga — boska, powtarzała nieubłaganie: — Droga zwycięstwa prowadzi przez wrota udręki. Czy iść należało za drugim tym głosem?

We wszystkich wielkich momentach swojego życia zwykł był Jezus udawać się w góry, aby tam modlić się w zupełnej samotności. Mędrzec wedycki rzekł był niegdyś: „Modlitwa podtrzymuje niebo i ziemię i góruje nad Bóstwami“. Jezus znał tę potęgę potęg. Zazwyczaj nie pozwalał nikomu być obecnym przy takich momentach skupiania się w najgłębszych tajnikach świadomości własnej. Tym razem wszakże zabrał z sobą Piotra oraz obu synów Zebedeusza: Jana i Jakuba, na górę wysoką, aby noc tam spędzić. Legenda mówi, że to była góra Tabor. Tam właśnie odbyło się, pomiędzy mistrzem a trzema najbliższymi wtajemniczonymi jego uczniami tajemnicze zajście owo, o którym Ewangelie opowiadają, nadając mu nazwę **Przemienienia**. Podług Mateusza ujrzeli Apostołowie w przeje-

rzystym półmroku nocy wschodniej postać mistrza świetlistą i jakgdyby przezroczą, oblicze jego, jaśniejące jak słońce, a szaty jego białe jako światłość. U boku jego ukazały się dwie postacie, które wzięli oni za postacie Proroków: Mojżesza i Eliasza. Kiedy drżący cali ocknęli się z odrętwienia, które wydało im się napoły snem głębokim i napoły jawą o wzmożonej czujności, ujrzeni obok siebie Mistrza, samego już i dotykającego ich, aby ich zupełnie oprzytomnić. — „Wstańcie a nie bójcie się“ — rzekł. A oni, podniósłszy oczy swoje, nikogo nie widzieli, tylko samego Jezusa“.

Co widział wszakże, co czuł, co przeżył on sam podczas tej nocy, która poprzedzała akt ostateczny jego działalności proroczej?

Stopniowe zacieranie się rzeczy ziemskich pod wpływem żaru modlitwy i ulatywanie w sfery coraz wyższe na skrzydłach ekstazy religijnej; powrót głębią świadomości do swojego uprzedniego istnienia, duchowego wyłącznie i boskiego. Daleko już poza nimi: słońca, światy, ziemie, kołowroty wcieleń bolesnych; dokoła niego, w atmosferze jednorodnej: treść fluidualna, światło duchowe. W świetle tym zastępy istot niebiańskich tworzą strop ruchomy, firmament ciał eterowych, lśniących bielą śnieżną, z których wytryskują łagodne błyski. Na obłoku błyszczącym, na którym stoi on sam, sześć postaci potężnych w szatach kapłańskich wznosi w dłoniach splecionych kielich olśniewający jasnością. To sześciu Mesjaszów, którzy przebywali już na ziemi; siódmy; to on sam, a kielich ten oznacza ofiarę, którą on ma spełnić, wcielając się weń z kolei. Pod obłokiem huczy grom; rozwiera się czarna przepaść: krąg narodzin, odmęt życia i śmierci, piekło ziemskie. Synowie Boży gestem błagalnym wnoszą kielich w górę; czeka nań niebo nieruchome. Jezus, na znak zgody wyciąga ramiona w kształcie krzyża, jak gdyby chciał objąć świat w uścisku. Wówczas Synowie Boży podają na twarz; zastęp anielic długoskrzydłych, opuszczających oczy, unosi skrzący się blaskiem kielich ku stropowi świe-

¹⁾ Św. Mat. XVI i. 7,8.

tlitemu. W niebiosach rozbrzmiewa **hosanna**, melodia dźwięczna... Lecz On, nie słuchając jej nawet, pogrąża się w otchłań...

Takim był ongi przebieg wydarzenia w świecie Treści, w łonie Ojca, w którym święcone są tajniki miłości wiekuistej i w którym obroty ciał niebieskich prześlizgują się jak fale lekko. Taką była treść przysięgi przez niego złożonej; takimi cel i przyczyna jego narodzin; takim powód walk, do dnia owego przez niego staczanych. I oto stawał ponownie w obliczu przysięgi wielkiej tej, u kresu dzieła swojego; ujmowała ona go znów we władanie pełnią jego świadomości boskiej, którą odzyskał w momencie ekstazy najwyższej.

Straszliwa przysięga, przerażający kielich! Należało wysączyć go do dna. Po upojeniu ekstazą zbudził się na dnie otchłani, na skraju męczeństwa. Nie było już wątpliwości: nadszedł kres. Przemówiło niebo; ziemia błagalnie wzywała pomocy.

Wówczas zawrócił Jezus i powolnymi etapami zstąpił w dolinę Jordanu, skąd w dalszą udał się drogę do Jerozolimy.

VI

OSTATNIA WĘDRÓWKA DO JEROZOLIMY — ZAPOWIEDŹ — WIECZERZA, SĄD, ŚMIERĆ I ZMARTWYCHWSTANIE

„Hosanna synowi Dawidowemu!“ Okrzyk ten rozbrzmiewał śladem Jezusa, wjeżdżającego wrotami wschodnimi do Jerozolimy, a deszcz gałązek palmowych słał mu się pod stopy. Witali tak entuzjastycznie proroka galilejskiego wyznawcy jego, nadbiegli z okolic i ze środka miasta, aby być świadkami jego wjazdu. Witali wybawcę Izraelowego, który wkrótce królem ogłoszon będzie. Dwunastu towarzyszących mu Apostołów wciąż jeszcze żywiło ułudną nadzieję pomimo wyraźnych zapowiedzi Jezusa. On jeden tylko, Mesjasz witany z zapalem, wiedział, że idzie na męczeństwo i że najbliżsi mu przenikną do świątyni myśli jego dopiero po jego śmierci. Zdecydowany był on na nią całą pełnią świadomości swojej i całą mocą swojej woli. Stąd rezygnacja jego, stąd słodka jego pogoda. W chwili wjazdu w przysień ogromną, wybitą w ponurej warowni jerozolimskiej, okrzyki powitalne odbijały się o sklepienie i szły za nim, niby głos Losu, chwytającego swoją ofiarę: „Hosanna synowi Dawidowemu!“

Tym wjazdem uroczystym oznajmił Jezus władzom religijnym Jerozolimy, iż bierze na siebie rolę Mesjasza ze wszystkimi jej konsekwencjami. Nazajutrz zjawił się w świątyni, w podwórku obcokrajowców i, kierując się ku kupcom bydła i zamieniaczom, których twarze lich-

wiarskie i ogłaszający brzęk monet bezcześciły miejsce, okalające święty przybytek, przemówił do nich słowami Izajasza: — Napisano: dom mój dom modlitwy zwany będzie, a wyście uczynili go jaskinią zbójców¹⁾. — Kupcy uciekli, zabierając w pośpiechu stoły swoje i swoje wory pieniędzy, ulękli się bowiem stronników Proroka, otaczających go zwartym murem, a bardziej jeszcze wzroku jego płomienistego i władczego jego gestu.

Oszołomieni kapłani zdumieli się tą śmiałością i przerażili potęgą Jezusa. Wysłannicy sanhedrynu przystąpili do niego z pytaniem: „Któż mocą to czynisz? a kto ci dał tę władzę²⁾).

Na to podstępne pytanie odpowiedział Jezus, jak to miał w zwyczaju, pytaniem niemniej kłopotliwym dla przeciwników swoich: — Chrzcist Janów skąd był? z nieba czyli z ludzi? — A oni rozbierali między sobą, mówiąc: Jeśli powiemy: — z nieba — rzecze nam: — Czemużście mu tedy nie uwierzyli? — A jeśli powiemy: — z ludzi — boimy się rzeszy, bo wszyscy Jana mieli za proroka. — I odpowiadając Jezusowi, rzekli: — Nie wiemy. — Rzekł im też on: — Ani ja wam nie powiem, którą mocą to czynię³⁾. — Odparłszy wszelako cios ten, przeszedł Jezus z roli obronnej do zaczepnej i dodał: Zaprawdę powiadam wam, że was celnicy i wszetecznicze uprzedzą do Królestwa Bożego⁴⁾. — Poczym przyrównał ich w przypowieści do złego oracza, który zabija syna pana swojego, aby odziedziczyć po nim winnicę. Kończąc przypowieść, nazwał samego siebie kamieniem węgielnym, który „zetrze na kogoby upadł“.

Z tych czynów, ze słów tych widać, że przy ostatnim wjeździe do stolicy izraelskiej chciał Jezus odciąć sobie możliwość odwrotu. Od dawna już pilnie zanotowano z własnych słów jego dwa główne punkty oskarżenia, wystarczające do zgubienia go: jego groźby, skierowane prze-

¹⁾ Św. Mat. XXI, 13.

²⁾ Św. Mat. XXI, 23.

³⁾ Św. Mat. XXI, 24, 27.

⁴⁾ Św. Mat. XXI, 31.

ciwko świątyni oraz twierdzenie, że jest Mesjaszem. Ostatnie jego napaści rozjątrzyły do reszty wrogów jego. Od tej chwili śmierć jego, postanowiona przez władze, była li kwestią czasu. Od samego momentu przybycia jego najbardziej wpływowi członkowie sanhendrynu: Saduceusze i Faryzeusze, pojednani w nienawiści do Jezusa, porozumieli się, aby zgubić „uwodziciela ludu“. Wahano się jedynie pojmać go publicznie z obawy przed powstaniem ludu. Kilkakrotnie już straż wysłana, aby go ująć, wracała, pokonana jego słowami lub też zaniepokojona gromadzeniem się tłumów. Kilkakrotnie załoga wojskowa świątyni widziała go, znikającego pośród ciżby w sposób niepojęty. W taki sam sposób cesarz Domicjan urzeczony, oszłomiony, rażony niejako ślepotą przez maga, którego chciał skazać, był naocznym świadkiem zniknięcia Apoloniusza z Tiany w obecności aeropagu sędziów spośród otaczającej go straży.

Walka pomiędzy Jezusem a kapłanami trwała wciąż, wzmagając z dniem każdym ich nienawiść, a równocześnie potęgując jego siłę, żar i zapał, podniecane przeświadczeniem o nieuchronnym końcu fatalnym. Był to ostatni atak Jezusa, skierowany przeciwko tym, którzy dzierżyli chwilowo ster władzy w swoich dłoniach. Rozwinął on w nim energię niezrównaną i całą ową siłę męską, zbrojną w puklerz miłości najszczytniejszej, którą nazwać można Wiekuistą Kobiecością jego duszy. Groźną walkę zakończyły straszliwe klątwy, rzucone przez niego na fałszyżery wiary: „Biada wam, doktorowie i Faryzeusze obłudnicy, iż zamykacie królestwo niebieskie przed ludźmi, albowiem wy nie wchodzicie, ani wchodzącym dopuszczacie wejść! — Biada wam, głupi i ślepi, iż dajecie dziesięcinę z miętki, z anyżu i z kminku, a opuściliście co ważniejszego jest w zakonie: sąd, miłosierdzie i wiarę! — Biada wam, iżeście podobni grobom pobielanym, które zwierzchu zdadzą się piękne ludziom, ale wewnątrz pełne są kości umarłych i wszelakiego plugastwa“¹⁾.

Napiętnowawszy tak na wieki całe obłudę religijną

¹⁾ Św. Mat. XXIII, 13, 23, 27.

i fałszywą powagę kapłanów, uważa Jezus walkę swoją za ukończoną niejako. Opuszcza Jerozolimę w otoczeniu uczniów swoich i idzie z nimi na Górę Oliwną. Wspinając się coraz wyżej, widzą świątynię Heroda w całym blasku jej okazałości, z jej tarasami, obszernymi portykami, ścianami wyłożonymi marmurem, inkrustowanymi jaspisem i porfirem, z błyszczącym jej dachem, obwiedzionym srebrem i złotem. Upadli na duchu, przeczuwający katastrofę uczniowie zwracają uwagę mistrza na wspaniałość przybytku, który opuszczał on na zawsze. W głosie ich drga nuta melancholii i żalu. Bowiem do chwili ostatniej nie tracili nadziei zasiadania tam w przyszłości w roli sędziów Izraela, dokoła Mesjasza, ukoronowanego na godność arcykapłana - króla. Odwraca się Jezus, mierzy świątynię wzrokiem i rzecze: „Widzicie to wszystko? Zaprawdę powiadam wam, nie zostanie tu kamień na kamieniu, któryby nie był zepsowany“¹⁾).

Sądził o trwałości świątyni na podstawie wartości moralnej tych, którzy władzę nad nią sprawowali. Rozumiał, że fanatyzm, nietolerancja i nienawiść nie były orężem, który mógłby przeciwstawić się skutecznie taranom i toporom Cezara rzymskiego.

Wzrokiem wtajemniczonego, zaostrzonym jasnowidzeniem przedednia śmierci, dostrzegł pychę Judejczyków, politykę królów, całą historię żydów, która musiała niechybnie doprowadzić do ostatecznej katastrofy. Źródła zwycięstwa nie w świątyni szukać należało; kryło się ono w myśli proroków, w religii powszechnej; w owej świątyni niewidzialnej, której on sam jedynie pełną miał w tej chwili świadomość. Nad starożytną warownią Sionu, nad tą świątynią z kamienia, widział już anioła zniszczenia, stojącego u wrót jej i mającego w dłoni pochodnię, niecałą pożogę.

Wiedział Jezus, że godzina jego już bliska, nie chciał wszakże dać się zaskoczyć sanhedrynowi i cofnął się do Betanii. Że zaś umiłował szczególnie górę Oliwną, przychodził tutaj co wieczór prawie rozmawiać z uczniami.

¹⁾ Św. Mat. XXIV, 2.

Z wyżyny tej widok roztacza się przepiękny. Oko ogarnia ponure góry Judei i Moabu, odrzynające się na widnokregu barwą sinawą i fioletową. Zdale widać szmat morza Martwego niby zwierciadlaną tafłę z ołowiu, nad którą unoszą się opary siarkowe. U stóp góry leży Jerozolima z wysoko w niebo strzelającymi szczytami świątyni i warowni Sjonu. Dzisiaj jeszcze, kiedy zmierzch opada na ponure wąwozy Hinnomu i Józafata, gród Dawidowy i Chrystusowy, strzeżony przez synów Izraela, wyłania się majestatycznie z głębi posępnych tych dolin. Jego kopuły i minarety skupiają na sobie ostatnie, zamierające błyski nieba i zdają się pozostawać w wiecznym oczekiwaniu aniołów sądu ostatecznego. Tam Jezus ostatnie udzielał uczniom swoim wskazówek, dotyczących przyszłości religii, przez niego założonej i przyszłych przeznaczeń ludzkości. Tam przekazywał im swoje przepowiednie ziemskie i boskie, głęboko związane z jego nauczaniem ezoterycznym.

Jasną jest rzeczą, że układający **Ewangelie synoptyczne**¹⁾ przekazali nam rozmowy apokaliptyczne Jezusa w sposób tak mętny, że niemal niepodobna odcyfrować ich. Znaczenie ich zaczyna uwypuklać się nieco i stawać się zrozumialszym dopiero w Ewangelii Jana. Gdyby Jezus wierzył był w istocie w swój powrót na obłokach w kilka lat po śmierci swojej, jak tego chce naturalistyczny wykład Pisma Świętego; albo też, gdyby wyobrażał sobie koniec świata i sąd ostateczny w takiej właśnie postaci, jak to przypuszcza teologia prawowierna, mógłby być co najwyżej illuminatem, odbierającym od czasu do czasu światło boskie i tworzącym sobie różnego rodzaju urojenia lub wizjonerem pośledniego gatunku, nie zaś mędrce w tajemniczym i wzniosłym jasnovidzącym, jak to dowodnie wskazuje każdy wyraz jego nauki, każdy

¹⁾ **Synopsis Ewangelii** — wybór miejsc z Ewangelij, mówiących o jednym przedmiocie, stąd nazwa trzech pierwszych Ewangelistów, opowiadających o jednym i tym samym okresie żywota Chrystusowego w Galilei. (Przyp. tłum.).

krok jego życia. Rzecz oczywista, że tutaj, więcej niż gdziekolwiek, słowa jego pojmowane być muszą w znaczeniu alegorycznym, zgodnie z duchową symboliką proroków. Ewangelia Ś-go Jana, oddająca najwierniej naukę ezoteryczną Mistrza, samą narzuca nam ten sposób interpretowania jej, tak zgodny zresztą z przypowieściowym duchem nauki Jezusowej, przytoczeniem własnych słów jego: „Mamci wam wiele jeszcze mówić, ale teraz znieść nie możecie... **To wam powiedziałem przez przypowieści.** Przychodzi godzina, kiedy dalej już nie przez przypowieści mówić wam będę, ale jawnie o Ojcu oznajmię wam“¹⁾).

Zapowiedź uroczysta, uczyniona przez Jezusa Apostołom, dotyczy czterech punktów, czterech sfer coraz szerszych, planetarnych i kosmicznych: życia duchowego jednostki; życia narodowego ludu Izraelskiego, ewolucji i ziemskiego kresu ludzkości, własnej jego ewolucji i kresu jego boskiego. Rozpatrzmy z kolei cztery te punkty jego zapowiedzi, te cztery sfery, w których promieniuje myśl Chrystusowa z okresu, poprzedzającego jego męczeństwo, niby słońce zachodzące, oblewające łuną glorii swojej całą atmosferę ziemską aż do zenitu, zanim nad innymi rozgorzeje światami.

1) **Sąd pierwszy**, „dzień Pański“, oznacza: dalsze przeznaczenie duszy po śmierci, zależne od natury jej ukrytej oraz od czynów jej życia ziemskiego. Wyłożyłem już doktrynę tę, mówiąc o rozmowie Jezusa z Nikodemem. Na górze Oliwnej tak przemawia on w tej materii do Apostołów: „A miejcie się na pieczy, aby kiedy nie były obciążone serca wasze obżarstwem i opilstwem i staraniem tego żywota: ażeby z trzaskiem on dzień przypadł“²⁾. I jeszcze: „Przełoż i wy bądźcie gotowi; bo której godziny nie wiecie, Syn człowieczy przyjdzie“³⁾).

2) **Zburzenie świątyni i koniec Izraela.** „Powstanie naród przeciw narodowi... Wtedy podadzą was w udrczenie

¹⁾ Ew Św. Jana XVI, 12, 25.

²⁾ Ew. Św. Łuk. XXI, 34.

³⁾ Ew. Św. Mat. XXIV, 44.

nie... Zaprawdę powiadam wam, iż nie przeminie ten naród, ażby stało się to wszystko“¹⁾).

3) **Ziemski cel ludzkości**, nieokreślony ściśle co do czasu, lecz możliwy do osiągnięcia przez cały stopniowy i kolejny szereg udoskonaleń. Celem tym jest królestwo społeczności Chrystusowej, czyli panowanie człowieka boskiego na ziemi; to znaczy urząd społeczności ludzkiej, oparty na Prawdzie, Sprawiedliwości i Miłości, a tym samym pokój powszechny. Przepowiedział go już Izajasz w epoce odległej, w widzeniu wspaniałym, kończącym się słowami takimi: „Albowiem ja znam sprawy ich i myśli ich; i przyjdzie ten czas, że zgromadzę wszystkie narody i języki, i przyjdą, a oglądają chwałę moją. I położę na nich znak...“ itd.“²⁾).

Jezus uzupełniając to proroctwo, wyjaśnia uczniom swoim, jaki będzie ten znak. Będzie nim zupełne odsłonięcie wszystkich tajemnic, czyli przyście Ducha Świętego, którego zwie on również Pocieszycielem, czyli „Duchem Prawdy, co zamieszka z wami na wieki“. — „A ja prosić będę Ojca, a innego Pocieszyciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki, Ducha Prawdy, którego świat przyjąć nie może, bo go nie widzi, ani go zna. Lecz wy poznacie go, iż i u was mieszkać będzie i w was będzie“³⁾). Apostołowie pierwsi objawienie to nieść będą, ludzkość później dopiero, w rozwoju czasów. Ilekroć wszakże odbywa się ono w świadomości jednego osobnika lub grupy ludzi, przenika je nawskroś i ogarnia całkowicie. „Albowiem jako błyskawica wychodzi od wschodu słońca i ukazuje się aż na zachodzie, tak będzie i przyście Syna człowieczego“⁴⁾). Tak samo, kiedy rozżarza się ognisko prawdy ośrodkowej i duchowej, ogarnia ono blaskiem swoim wszystkie inne prawdy i wszystkie światy.

4) **Sąd ostateczny** oznacza kres kosmicznej ewolucji ludzkości lub też wstąpienia jej w stan duchowy osta-

¹⁾ Ew. Św. Mat. XXIV, 7, 9, 34.

²⁾ Proroctwo Izajaszowe LXLI, 18, 19.

³⁾ Ew. Św. Jana XIV, 16, 17.

⁴⁾ Ew. Św. Mat. XXIV, 27.

teczny. Ezoteryzm perski nazywał moment ten zwycięstwem, odniesionym przez Ormuzda nad Ahrymanem, czyli Ducha — nad materią. Ezoteryzm indyjski nadawał mu miano wchłonięcia zupełnego materii przez Ducha, czyli kresu dni Brahmy. Po upływie tysięcy i milionów lat przyjdzie czas, kiedy poprzez szeregi narodzin i odradzań się, wcielań się i odtwarzań, osobniki, z których złożona jest ludzkość, wstąpią ostatecznie w stan duchowy, lub też unicestwione zostaną, jako dusze świadome, przez zło, to znaczy przez własne ich namiętności, których symbolem jest ogień gehenny i zgrzytanie zębami. „A na on czas ukaże się znak Syna człowieczego na niebie. I ujrzą Syna człowieczego, przychodzącego w obłokach... pośle anioły swoje z trąbą i głosem wielkim: i zgromadzą wybranych jego ze czterech wiatrów“...¹⁾ **Syn Człowieczy**, określenie rodzajowe, oznacza tutaj ludzkość w jej przedstawicielach doskonałych, zatem w nielicznej garstce tych, którzy wznieśli się do poziomu Syna Bożego.

Znakiem jego jest Baranek i Krzyż, to znaczy Miłość i Życie wiekuiste. **Obłok** jest symbolem Tajników, które stały się przezroczyimi oraz materii subtelnej, przeistoczonej przez ducha, substancji fluidowej, która przestała już być ciemną i gęstą zasłoną, a jest lekką i przejrzystą szatą duszy; nie jest już zaporą grubą, lecz wyrazem prawdy; nie pozorem złudnym, lecz samą prawdą duchową, światem wewnętrznym, natychmiastowo i bezpośrednio objawionym.

Aniołowie, gromadzący wybranych — to duchy błogosławione, których kolebką jest ludzkość, co ich wydała. **Trąby**, w które dmą, symbolizują żywe słowo Ducha, ukazującego dusze takimi, jakimi są w rzeczywistości, niweczącego wszelkie złudne pozory materii.

Czując wigilię śmierci swojej, roztoczył w ten sposób Jezus przed oczyma zdumionych Apostołów wysokie perspektywy, które od czasów najdawniejszych wchodziły w skład doktryny tajników, lecz którym każdy twórca religii nadawał barwę i postać indywidualną. Pragnąc

¹⁾ Ewang. Ś-go Mat. XXIV, 30, 31.

wrazić prawdy te w ich umysły, chcąc ułatwić im szerzenie ich, streścił je w obrazach, które cechuje pomysłowość niezwykła oraz moc, przenikająca dusze. Obraz, objawiający prawdę, żywy symbol, był powszechnym językiem wtajemniczonych starożytnych. Charakteryzuje go w wysokim stopniu własność udzielania się słuchaczom, siła skupienia i trwałości, jakich brak abstrakcyjnym sposobom wypowiedzania się. Posługując się nim, szedł Jezus za przykładem Mojżesza i proroków. Wiedział on, że Idea nie będzie zrozumiana od razu, chciał wszakże wyrzyc ją zgłoskami ognistymi w naiwnych duszach swoich wyznawców, pozostawiając wiekom trud wyczarowania zawartych w jego słowach potęg. Czuł się zespolony ze wszystkimi, poprzedzającymi go, prorokami ziemskimi, którzy, równie jak on sam, byli głosicielami Życia i Słowa wiekuistego. W tym uczuciu zespolenia się i wspólnoty z prawdą niewzruszoną, wobec tych bezbrzeżnych widnokręgów gwiazdzisto-promiennych, które dostrzegać można jedynie z zenitu Praprzyczyn, miał odwagę rzucenia uczniom swoim słów dumnych: „Ziemia i niebo przemina, lecz słowa moje nie przemina“¹⁾).

Tak upływały poranki i wieczory na górze Oliwnej. Dnia pewnego, idąc za jednym z owych, właściwych jego naturze płomiennej i wrażliwej, popędów uczucia, które nagle ściągały go z najwznioślejszych szczytów myśli na padół cierpień ziemskich, odczuwanych przez niego nie mniej niż jego własne, łzy zaczął ronić nad Jeruzalaim, nad grodem świętym i nad ludem jego, którego los straszliwy przeczuwał. Własny jego los zbliżał się też krokiem olbrzyma. Już obradował sanhedryn nad wydaniem wyroku nań i postanowił na śmierć go skazać; już przyrzekł Judasz z Kariotu wydać swojego mistrza. Nie chciwość skąpca była źródłem tej nikczemnej zdrady, lecz miłość własna i zraniona ambicja. Judasz, typ zimnego egoisty i bezwzględного pozytywisty, niezdolnego do porywów idealnych, stał się uczniem Chrystusa jedynie z wyrachowania światowca. Liczył on na bezpośrednie zwycięstwo

¹⁾ Ewang. Ś-go Mat. XXIV, 35.

proroka na ziemi i na korzyści, jakie z tego tytułu spłyną na jego uczniów. Nie rozumiał nic z głębokich tych słów mistrza: „Bo, kto by chciał zachować duszę swoją, straci ją: a kto by stracił duszę moją dla mnie, znajdzie ją“¹⁾. Jezus, w nieograniczonym miłosierdziu swoim, przyjął go do grona uczniów w nadziei przerobienia jego natury.

Kiedy spostrzegł się Judasz, że sprawy źle stoją, że Jezus jest zgubiony, a uczniowie jego skompromitowani, że tym samym zawiodły go wszystkie nadzieje — rozczarowanie jego w szal się przerodziło. Nieszczęsny zdradził tego, który, w jego przekonaniu, fałszywym był jeno Mesjaszem i przez którego on sam uczuł się zdradzonym. Przenikliwy wzrok Jezusa odgadł, co się dzieje w duszy niewiernego Apostoła. Postanowił nie unikać już losu, którego sieć nie do rozwikłania zacieśniała się z dniem każdym coraz ściślej dokoła niego. Było to w przededniu święta Paschalnego. Nakazał uczniom swoim przygotowanie posiłku w mieście, u jednego z przyjaciół. Przeczuwał, że będzie to ostatnia wspólna wieczerza, pragnął więc nadać jej cechę szczególnie uroczystą.

I oto stajemy wobec ostatniego aktu dramatu mesjanicznego. Konieczne było, chcąc ująć duszę i dzieło Jezusa u ich źródła, oświetlić światłem wewnętrznym dwa pierwsze rozdziały jego życia, to znaczy wtajemniczenie i jego działalność publiczną. Rozegrał się w nich dramat wewnętrzny jego świadomości. Ostatni rozdział jego życia, dramat męczeństwa, jest wynikiem logicznym obu poprzednich. Znany wszystkim, nie wymaga komentarzy. Ten dramat męki Pańskiej potężnie przyczynił się do stworzenia chrystianizmu. Wycisnął on łzy z oczu wszystkich mających serce i nawrócił miliony dusz. Nieporównane jest piękno opisu wszystkich tych scen w Ewangeliach. Jan nawet zstępuje z wyżyn swoich. Jego opis okolicznościowy nabiera tutaj wartości bolesnego świadectwa prawdy, złożonego przez naocznego świadka. Każdy może w samym sobie przeżyć dramat boski, nikt nie byłby w stanie odtworzyć go. Zmuszony jestem wszelako, celem

¹⁾ Ewang. Ś-go Mat. XVI, 25.

dokończenia mojego zadania, oświetlić promieniami tradycji ezoterycznej trzy zasadnicze momenty, które zaznaczają kres żywota boskiego Mistrza: Wieczerną Pańską, proces Mesjaszowy i Zmartwychwstanie. O ile punkty te zostaną dostatecznie wyświetlone, odbłask ich padnie na całe życie i na całą działalność uprzednią Chrystusa i rzuci promienie swoje na całe następne dzieje chrystianizmu.

Dwunastu współbiedników, a wraz z Mistrzem trzynastu, zasiadło w wysokiej komnacie jednego z domów jerozolimskich. Przyjaciel nieznan, amfitrion Jezusa, przystroił pokój kobiercem bogatym. Obyczajem wschodnim, Mistrz i uczniowie rozłożyli się, po trzech na czterech szerokich ławach w kształcie trykliniów, ustawionych dookoła stołu. Kiedy przyniesiono baranka wielkanocnego i napełniono winem wszystkie czary oraz najdrogocenniejszą, puchar złoty, użyczony przez nieznanego przyjaciela, rzecze Jezus, umieszczony pomiędzy Janem i Piotrem: „Pożądaniem pożądałem pożywać tę Paschę z wami, pierwaj niżbym cierpiał. Boć wam powiadam, że od tąd nie będę jeść tego, ażby się wypełniło w królestwie Bożym“¹⁾. Na te słowa sposepniały oblicza i powietrze stało się ciężkie. Jan, uczeń ukochany przez Jezusa, który sam jeden tylko odgadywał wszystko, pochylił w milczeniu swoją głowę na łono Mistrza. Zwyczajem żydowskim przy uczcie wielkanocnej spożywano w milczeniu zioła gorzkie i charoset²⁾. Wówczas wziął Jezus chleb i, dzięki uczyniwszy, przełamał go i dał im, mówiąc: „To jest Ciało moje, które się za was daje. To czyńcie na pamiętkę moją. Także i kielich, gdy było po wieczerni, mówiąc: „Ten jest kielich nowy testament we Krwi mojej, która za was wylana będzie“³⁾.

1) Ewang. Ś-to Łukasza, XXII, 15, 16.

2) **Charoset** — zwarta masa żółtawa, zrobiona z drobno siekanych orzechów i mająca wyobrażać glinę, spożywana podczas wierzchni wielkanocnej na pamiętkę ciężkich robót przy wyrobie cegieł z gliny, do jakich używano Żydów w Egipcie. (Przyp. tłum.).

3) Ewang: Ś-go Łuk. XXII, 19, 20.

Takim był przebieg Wieczerzy w całej jej prostocie. Więcej zawiera ona w sobie, aniżeli się o tym mówi, aniżeli wiadomo o tym powszechnie. Nie tylko symboliczny i mistyczny akt ten jest uwieńczeniem i streszczeniem całej nauki Chrystusowej, lecz stanowi on zarazem uświęcenie i odrodzenie odwiecznego symbolu wtajemniczenia. U wtajemniczonych egipskich i chaldejskich, zarówno jak u proroków i Esseńczyków, zaznaczały łączne wieczerze braterskie pierwszy stopień wtajemniczenia. Pożywanie ciała Bożego, komunია w postaci chleba, tego owocu zboża, oznaczała znajomość tajników życia ziemskiego, a także podział wspólny dóbr ziemskich, tym samym doskonałe zespolenie się braci stowarzyszonych. Na stopniu wyższym pożywanie Krwi Bożej w postaci wina, soku winorośli, którą przeniknęły promienie słońca, oznaczało współdziałanie w dobrach niebieskich, w tajnikach duchowych i nauce boskiej. Przekazując symbole te Apostołom, rozszerza Jezus ich zakres. Bowiemy poprzez nie rozciąga braterstwo i wtajemniczenie, będące ongi przywilejem wybranych, na całą ludzkość. Dodaje do nich tajnik najgłębszy, moc najpotężniejszą: siłę ofiary z siebie samego. Czyni on z niej niewidzialny, lecz nierozzerwalny zarazem łańcuch miłości, skuwający go z tymi, co naukę jego dzielają. Miłość ta da jego duszy błogosławionej władzę boską nad ich sercami i nad sercami wszystkich ludzi. Tę czarę prawdy, pochodzącą z głębi wieków proroczych, ów złoty kielich wtajemniczenia, podany mu przez starca esseńskiego, który nazwał go prorokiem, ten kielich miłości niebiańskiej, którym obdarowali go synowie Boży w uniesieniu jego ekstazy najwyższej, tę czarę, w której widzi teraz krew własną — podaje on ukochanym uczniom swoim z tkliwością niewysłowioną ostatniego pożegnania. Czy widzą, czy rozumieją Apostołowie tę myśl odkupicielską, ogarniającą światy? Błyszczą ona w głębokim i bolesnym spojrzeniu, jakie zwraca Mistrz od ucznia ukochanego ku temu, który ma go zdradzić. Nie, nie rozumieją jeszcze; zaledwie oddychać są zdolni; dręczy ich zmora złowroga; w powietrzu unosi się jakiś opar ciężki, czerwony; dziwią się też skąd to świetliste promienio-

wanie niezwykle dokoła głowy Chrystusa. Kiedy wreszcie oznajmia Jezus, że spędzi noc na modlitwie w ogrójcu na górze Oliwnej i wstaje, mówiąc : „Idźmy!“ — nie domyśla ją się, co ma nastąpić.

Jezus spędzał noc i jej udrękę w Getsemane. Naprzód już, z przerażającą jasnością, widzi zacieśniający się coraz bardziej krąg piekielny, co ma go zdławić. Wobec grozy położenia, w straszliwym oczekiwaniu, w chwili, gdy miał być pojmany przez wrogów, zadrżał Jezus; przez chwilę dusza jego wzdygnęła się na myśl o oczekującej go męce, pot krwawy sperlił mu czoło. Potem wszelako wzmocniła go modlitwa. Gwar głosów zmieszanych... błyski pochodni pośród ciemnego gąszczu drzew oliwnych... szczęk oręża... to oddział żołnierzy sanhedrynu. Prowadzący ich Judasz pocałunek składa na twarzy Mistrza, aby go poznano. Jezus oddaje mu pocałunek z niewysłowionym politowaniem i rzecze: „Przyjacielu, na coś przyszedł?“ Ta słodycz, ten pocałunek braterski, złożony wzamian za najnikczemniejszą zdradę, wywiera na duszy tej, tak zatwardziałej przecie, wrażenie tak wielkie, że, w chwilę później, Judasz, ogarnięty wyrzutami sumienia i wstrętem do samego siebie, życia się pozbawi.

Prostaczymi rękami swoimi chwytają żołnierze Proroka galilejskiego. Po krótkim oporze pierzchają uczniowie, niby garść trzcin wodnych wiatrem rozrzuconych. Jedyne tylko Jan i Piotr pozostają w pobliżu. Pójdą oni za mistrzem do sądu z sercem rozdartym i duszą do losów mistrza przykutą. Jezus sam odzyskał już spokój. Od chwili tej ani jeden wyraz protestu, ani jedna skarga z ust jego nie wyjdzie.

Członkowie sanhedrynu gromadzą się pośpiesznie na pełnym zebraniu. Wśród nocy sprowadzają Jezusa. Bowiem sąd chce bez zwłoki skończyć z niebezpiecznym prorokiem. Ofiarnicy, kapłani w togach purpurowych, złotych i fioletowych, w zawojach na głowach, zasiadają uroczyście w półkole. Pośrodku nich, na wywyższonym

siedzeniu, tronuje Kaifasz, arcykapłan w migbie¹⁾). Na obu krańcach półkola, na dwóch małych trybunach, na których ustawione są stoły, stoją dwaj pisarze — obrońcy sądowi: jeden do uniewinnienia, drugi do skazywania — **advocatus Dei, advocatus Diaboli**. Niewzruszony, stoi pośrodku Jezus w białej szacie Esseńczyka. Otaczają go funkcjonariusze sądowi, uzbrojeni w rzemienie i powrozy; ramiona ich obnażone, zaciśnięta pięść oparta mocno na biodrach, wzrok zły. Arcykapłan, sędzia najwyższy, jest głównym oskarżycielem. Proces ma rzekomo na celu obronę bezpieczeństwa publicznego przeciwko zbrodni obrazy religii; w rzeczywistości wszelako jest zapobiegawczym aktem zemsty zaniepokojonego kapłaństwa, które czuje władzę swoją, zagrożoną przez nową potęgę.

Wstaje Kaifasz i oskarża Jezusa, że jest uwodzicielem iudu, **mesytem**. Kilku świadków zebranych na los trafu spośród tłumu składa swoje zeznania, wzajem wszakże sprzeczne. Wreszcie, jeden z nich powtarza owe słowa, uważane za bluźnierstwo, które Nazarejczyk rzucać miał kilkakrotnie w twarz Faryzeuszom pod portykiem Salomona: „Ją rozwałę kościół ten ręką uczyniony, a za trzy dni, inny, nie ręką uczyniony, zbuduję“²⁾). Jezus milczy. — Nie odpowiadasz nic — pyta arcykapłan — na to, co tobie ci zarzucają? — Jezus któremu wiadomo, że będzie skazany i który nie chce tracić słów nadaremnie, milczy uparcie. Słowa owe wszakże, nawet gdyby prawda ich została stwierdzona, nie byłyby wystarczającym motywem do wydania wyroku śmierci. Konieczne jest przyznanie się do winy cięższej. Aby wyciągnąć je z oskarżonego — zadaje mu chytry Saduceusz, Kaifasz, pytanie, zahaczające bezpośrednio o punkt główny, o zasadnicze zadanie posłannictwa jego. Bowiem największa zręczność polega częstokroć na mierzeniu wprost do głównego celu. „Tyżeś jest Chrystus, syn Boga Błogosławionego?“³⁾.

¹⁾ **migbah** — rodzaj tiary, uroczysty strój głowy arcykapłana jerozolimskiego. (Przyp. tłum.).

²⁾ Ewang. Ś-go Marka XIV, 58.

³⁾ Ewang. Ś-go Marka XIV, 61.

Jezus odpowiada zrazu w sposób dwuznaczny, świadczący, że poznał się na podstępnie: „Jeśli wam powiem — nie uwierzycie mi, a jeśli i spytam — nie odpowiecie mi, ani wypuścicie“¹⁾). Kaifasz, widząc, że nie udał mu się wybieg śledczy, korzysta ze swojego prawa arcykapłana i ponawia pytanie uroczyście: „Poprzysięgam cię przez Boga żywego, abys nam powiedział, jeśliś jest Chrystus, Syn Boży?“²⁾). Zagadnięty w ten sposób, wezwany do zaparcia się lub wyznania swojego posłannictwa wobec najwyższego przedstawiciela religii izraelskiej, nie waha się już Jezus i odpowiada spokojnie: „Tyś powiedział; jednak powiadam wam: Odtąd ujrzycie Syna człowieczego, siedzącego na prawicy mocy Bożej i przychodzącego w obłokach niebieskich“³⁾).

Wyrażając się w ten sposób językiem proroczym Daniela i księgi Henocha, wtajemniczony esseński, Jehoszua, nie przemawia do Kaifasza, jako do poszczególnego osobnika. Mówi on do najwyższego kapłana Jehowy, a poprzez niego do przyszłych arcykapłanów, do wszystkich kapłanów ziemi i chce im przez to powiedzieć: „Po spełnieniu posłannictwa mojego, przypieczętowanego moją śmiercią, skończyło się w zasadzie i zastosowaniu panowanie Zakonu religijnego i niewyjaśnionego. Tajniki będą wyjawione i człowiek będzie oglądał boskość poprzez ludzkość. Nie będą miały znaczenia religie i kultury, które nie potrafią wykazać i ożywić jednej przez drugą“. Takim, w myśl ezoteryzmu proroków i Esseńczyków, jest znaczenie Syna, siedzącego po prawicy Ojca. Tak pojęta odpowiedź Jezusa, dana arcykapłanowi jerozolimskiemu, zawiera duchowy i naukowy testament Chrystusa, przekazany ziemskim władzom religijnym, podobnie jak ostatnia Wieczerza zawiera jego testament miłości i wtajemniczenia, przekazany Apostołom i ludziom.

Po przez głowę Kaifasza, przemawia Jezus do świata całego. Saduceusz wszelako, który zyskał był, czego pra-

¹⁾ Ewang. Ś-go Łuk. XXII, 67, 68.

²⁾ Ewang. Ś-go Mat. XXVI, 63.

³⁾ Ewang. Ś-go Mat. XXVI, 64.

gnął, nie słucha go już więcej. Rozdzierając szatę swoją z cienkiej tkaniny lnianej, woła: „Zbłąźni! Cóż dalej potrzebujemy świadków? Otoście teraz słyszeli bluźnierstwo: Cóż się wam zda?“¹⁾ Ponury pomruk jednozgodny sanhedrynu odpowiada: „Winien jest śmierci!“.

Nikczemne obelgi i brutalne znieważania natychmiastową są ze strony niższych odpowiedzią na wyrok, wydany z góry. Żołnierze plwają na niego, biją go w twarz, wołając: „Prorokuj nam, Chrystusie! kto jest, który cię uderzył?“²⁾. Wobec tego wylewu niskiej nienawiści, wzniosłe, blade oblicze wielkiego męczennika przybiera znów swoją marmurową nieruchomość wizyjną. Istnieją, jakoby, posągi, które płaczą; są też cierpienia bez łez i nie-me modlitwy ofiar, kamionujące katów dreszczem grozy i prześladujące ich przez całe życie.

Lecz nie wszystko jeszcze skończone. Sanhedryn ma prawo wydania wyroku śmierci; do zatwierdzenia go wszakże i wprowadzenia w czyn konieczna jest aprobata władzy rzymskiej i świecka siła wykonawcza. Rozmowa z Piłatem, podana szczegółowo przez Jana, nie mniej jest godna podziwu, niż poprzednia z Kaifaszem. Ciekawy ten dialog pomiędzy Chrystusem i gubernatorem rzymskim, podczas którego wykrzykiwania namiętne kapłanów żydowskich i wrzaski tłumu sfanatyzowanego odgrywają rolę chórów w tragedii starożytnej, ma siłę przekonywującą głębokiej prawdy dramatycznej. Obnaża on bowiem dusze obu tych osobistości, ujawnia konflikt trzech potęg wchodzących w grę: cezaryzmu rzymskiego, ciasnego żydostwa i powszechnej religii Ducha, której przedstawicielem jest Chrystus. Piłata, któremu ów spór religijny najdoskonalej jest obojętny, gniewa mocno cała ta sprawa, obawia się bowiem, aby śmierć Jezusa nie wywołała rozruchów ludowych. Bada go więc ostrożnie i podaje mu deskę ratunku w przeświadczeniu, że skazany skwapliwie z niej skorzysta.

¹⁾ Ewang. Ś-go Mat. XXXI, 65, 66.

²⁾ Ewang. Ś-go Mat. XXXI, 68.

— Tyś jest król Żydowski? — pyta.

Odpowiedział Jezus: — Królestwo moje nie jest z tego świata...

Rzekł mu tedy Piłat: — Toś ty jest Król? ¹⁾

Piłat tak samo nie rozumie stwierdzenia duchowego królowania Jezusa, jak Kaifasz nie rozumiał jego testamentu religijnego.

— Co jest prawda? ²⁾ — rzekł Piłat, wzruszając ramionami. Ta odpowiedź sceptycznego wojownika rzymskiego odsłania stan duszy ówczesnego społeczeństwa pogańskiego, jak w ogóle wszelkiego społeczeństwa w dobie upadku. Widząc wszakże w oskarżonym niewinnego męczennika jedynie, dodaje, zwracając się do Żydów.

— Ja żadnej winy w nim nie znajduję ³⁾.

Proponuje więc Żydom puszczenie go na wolność, lecz tłum, podszczuwany przez kapłanów, wyje:

— Nie tego, ale Barabasa! — A barabasz był zbójcą ⁴⁾.

Wówczas Piłat, nienawidzący Żydów, czyni sobie szyderczą przyjemność i każe ochłostać różgami rzekomego ich króla. Sądzi, że kara taka wystarczy sfanatyzowanej tłuszczy. Rozwściecza ich to wszakże jeszcze bardziej, wrzeszczą więc jak opętanci: — „Ukrzyżuj, ukrzyżuj go!“

Pomimo tego rozpętania namiętności ludu opiera się Piłat wciąż jeszcze. Dość ma okrucieństwa. Tyle widział w życiu swoim krwi przelanej, tylu opornych skazał na męki, tylu jęków był świadkiem i tyle słyszał przekleństw, nie tracąc przy tym zimnej krwi i nie doznając śladu wzruszenia... Lecz to cierpienie bez słów, te udręki, znoszone z nieziemskim stoicyzmem przez Proroka galilejskiego, odzianego przez szyderców w płaszcz purpurowy i koronę z cierni, dziwnym, niezaznanym dotychczas, przejmując go dreszczem. Pod wpływem szczególnego widzenia, jakie olśnić go musiało przelotnie, wypowiada dwa

¹⁾ Ewang. Ś-go Jana XVIII, 33, 36.

²⁾ Ewang. Św. Jana XVIII, 38

³⁾ Ewang. Ś-go Jana XVIII, 38.

⁴⁾ Ewang. Ś-go Jana XVIII, 40.

wyraży, z których doniosłości nie zdaje sobie wcale sprawy — **Ecce Homo!** Oto człowiek! — Nieugięty Rzymianin wzruszony jest niemal; gotów jest wydać wyrok uniewinniający. Kapłani z sanhedrynu, śledzący go pilnie, dostrzegają to wzruszenie. Lęk ich ogarnia, czują, że ofiara może im wymknąć się. Naradzają się chytrze pomiędzy sobą. Po czym, wyciągając prawice i odwracając głowy gestem obłudnej zgrozy, wykrzykują jednogłośnie: „My Zakon mamy i według Zakonu ma umrzeć, bo się Synem Bożym czynił“¹⁾.

A kiedy usłyszał Piłat te słowa — powiada Jan — bardziej się jeszcze uląkł. — Uląkł się, czego? Jakie wrażenie sprawić mogła nazwa ta na pogańskim Rzymianinie, pogardzającym z głębi serca Żydami i ich religią i wierzącym jedynie w religię polityczną Rzymu i w Cezara? — Ważna zachodzi tego przyczyna.

Nazwa **Syna Bożego** bardzo była rozpowszechniona w ezoteryzmie starożytnym, jakkolwiek różne nosiła miana, a Piłat, jakkolwiek był sceptykiem, nie był wolnym od przesądów. W Rzymie, podczas małych misteriiw Mitrastowych, w które dawali się wtajemniczać rycerze rzymscy, słyszał, że Syn Boży był rodzajem pośrednika — tłumacza, objawiającego myśli bóstwa. Jakiegokolwiek był więc narodowości, jakiegokolwiek wyznawał religię, wielką było zbrodnią targnąć się na jego życie. Nie wierzył Piłat bynajmniej we wszystkie te brednie perskie, mimo to niepokoila go usłyszana nazwa, potęgując jego zakłopotanie. Widząc to, rzucają Żydzi prokonsulowi w twarz najwyższe oskarżenie: — „Jeśli tego wypuścisz, nie jesteś przyjacielem Cesarskim, **każdy bowiem, co się czyni królem, sprzeciwia się Cesarzowi... Nie mamy króla jedno Cesarza**“²⁾.

Argument nieodparty; przeczyć istnieniu Boga — nie wielkie to przestępstwo; zabić — błażostka, lecz knować przeciwko Cesarzowi — zbrodnią jest nad zbrodnie. Piłat zmuszony jest ustąpić i wydać wyrok potępiający. U kre-

1) Ewang. Św. Jana XIX, 7.

2) Ewang. Ś-go Jana XIX, 12, 15

su swojej ziemskiej kariery staje więc Jezus wobec władcy świata, którego zwalczał pośrednio, jako tajemny przeciwnik, przez całe życie swoje. Cień Cezara skazuje go na ukrzyżowanie. Jakaż głęboka logika rzeczy: Żydzi wydali go, a widmo rzymskie zabija go, wyciągając dłoń swoją. Zabija ciało; lecz to On właśnie, Chrystus, do chwały Bożej wyniesiony, męczeństwem swoim pozbawi Cezara glorii niezasłużonej, przywłaszczonej, zedrze z niego apoteozę bóstwa, szatańskie to bluźnierstwo absolutyzmu w koronie.

Piłat — umywszy ręce przed ludem, powiedziawszy: „Niewiniem ja krwi tego sprawiedliwego i wy siebie patrzcie“¹⁾, wyrzekł to słowo straszne: „**Condemno, ibis in crucem...**” Już tłum niecierpliwy ciśnie się ku Golgocie.

Stoimy oto na szczycie nagim, posianym kośćmi ludzkimi, sterczącym nad Jerozolimą i noszącym nazwę Gilgal, Golgotha, czyli miejscem głów trupich, pustynią ponurą, poświęconą od wieków już na miejsce katuszy najstraszliwszych. Tu Aleksander Janneusz, król żydowski obecny był, wraz z całym haremem swoim, przy ścięciu setek więźniów; tu Warus ukrzyżować kazał dwa tysiące buntowników; tutaj też ponieść miał słodki, przepowiedziany przez proroków, Mesjasz mękę straszliwą, którą wymyślił okrutny geniusz Fenicjan, a którą przejęło nieubłagane prawo Rzymskie. Kohorta żołnierzy legionowych tworzy krąg wielki na szczycie pagórka, usuwa dziadami resztę wiernych, towarzyszących skazańcowi. Są to niewiasty galilejskie; nieme, zrozpaczone, padają twarzą na ziemię.

Nadeszła ostatnia godzina Jezusa. obrońca biednych, słabych i uciśnionych dokonać musi dzieła swojego poniesieniem haniebnego męczeństwa, przeznaczonego dla niewolników i łotrów.

Prorok, uświęcony przez Esseńczyków, musi dać się

¹⁾ Ewang. Ś-go Mat. XXVII, 27.

przygwoździć do krzyża, którego znak przyjął w widzeniu w Engaddi; Syn Boży wypić musi kielich, oglądany podczas Przemienienia; zstąpić musi na samo dno piekła i ohydy ziemskiej.

Odmówił Jezus przyjęcia napoju, który przygotowały pobożne niewiasty jerozolimskie, a którego miłosiernym przeznaczeniem było zmącić przytomność męczenników. Chce w pełni świadomości znieść męki okrutne. Kiedy wiążą go na szubienicy haniebnej, kiedy żołdacy okrutni mocnymi uderzeniami młota wbijają gwoździe w te stopy, ubóstwiane przez nieszczęśliwych, w te dłonie, co jeno błogosławić umiały, obłok czarny rozdzierającego cierpienia gasi oczy jego, dławi mu gardło.

W pośród konwulsji bólu, wstrząsających jego ciało, z głębi mroków piekielnych, żywa wciąż świadomość Zbawiciela jedno tylko ma słowo dla katów swoich: „Ojcze! odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią“¹⁾.

Lecz oto dno kielicha goryczy: godziny konania, od południa aż do zachodu słońca. Tortura moralna przewyższa fizyczną. Wtajemniczony rzekł się swojej potęgi. Syn Boży zniknie; pozostaje jedynie człowiek cierpiący. Na kilka godzin utraci swoje niebo, aby mógł zmierzyć odmet cierpień człowieczych. Krzyż wznosi się powoli wraz z ofiarą swoją i napisem, owocem ostatniej ironii prokonsula: „**Ten jest król Żydowski**“²⁾. Teraz spojrzenia ukrzyżowanego widzą, zawieszane jak gdyby na obłoku groźnym, Jeruzalem, gród święty, który chciał przyjąć do chwały swojej, a który rzuca nań anatemę. Gdzież są jego uczniowie? Znikli. Słyszy tylko obelgi członków sanhedrynu, którzy, uważając, że nie ma już powodu obawiać się Proroka, szydzą, jak triumfatorzy, z mąk jego: „Inszych wybawiał, niechże się sam wybawi, jeśli ten jest Chrystus, wybrany“³⁾. Poprzez bluźnierstwa te, poprzez tę przewrotność, widzi Jezus, w przerażającej wizji przyszłości, wszystkie zbrodnie, które w jego imieniu popełniać będą mocarze

1) Ewang. Ś-go Łuk. XXIII, 34.

2) Ewang. Ś-go Łuk. XXIII, 38

3) Ewang. Ś-go Łuk. XXIII, 35.

niegodni i kapłani-fanatycy. Znaku jego używać będą do przeklinania, a na krzyżu jego będą rozpinali męczenników! Nie posępne milczenie nieba, co się osłoniło przed nim, lecz światło utracone dla ludzkości z ust mu wydiera jęk rozpaczny: — **Eloi! Eloi lamma sabactani!** — Boże mój! Boże mój! Czemuś mnie opuścił? ¹⁾). Świadomość Mesjasza, wola całego żywota jego w ostatnim wybucha błysku i duch jego ulatuje z okrzykiem: „Wykonało się!“ ²⁾).

O, Nazarejczyku wzniosły, o boski Synu Człowieczy, nie masz cię już tutaj. Jednym wzlotem skrzydła dusza twoja niewątpliwie odnalazła, w bardziej olśniewającej jasności, niebo twoje z Engaddi, niebo twoje z góry Thabor! Widziałeś zwycięskie słowo twoje, ulatujące poprzez stulecia i nie pożałowałeś innej sławy oprócz rąk ku tobie wyciągniętych i idących za tobą spojrzeń tych wszystkich, których uzdrawiałeś i pocieszałeś... Lecz twój okrzyk cstatni, niezrozumiany przez strażę, dreszczem trwogi je przejął. Odwrócili się żołnierze rzymscy, a na widok promienności niezwykłej, jaką duch twój rozświetlił ukojone oblicze trupa, zdumieni oprawcy spojrzeli po sobie, mówiąc: — Byłżeby to naprawdę Syn Boży?“

Czy istotnie „dokonany“ już jest dramat? Czy zakończyła się już walka potężna i milcząca boskiej Miłości i Śmierci, co zazała się na nią pospołu z panującymi mocami ziemi? Kto jest zwycięzcą? Czy są nimi owi kapłani, schodzący z Kalwarii, zadowoleni z siebie, pewni swojego ciosu, bowiem byli świadkami zgonu proroka? — czyli też jest nim ten blady, siny już, męczennik, na krzyżu rozpięty? Dla tych niewiast wiernych, którym żołnierze legii rzymskiej pozwolili zbliżyć się i które łkają u stóp krzyża, dla uczniów przerażonych, szukających schronienia w grocie doliny Józefatowej — wszystko się skończyło,

¹⁾ Ewang. Ś-go Marka XV, 34.

²⁾ Ewang. Ś-go Jana XIX, 30.

Mesjasz, co zasiąść miał na tronie jerozolimskim, zginął nędznie, haniebną śmiercią krzyża. Znikł Mistrz, a wraz z nim zgasła nadzieja, umilkła Ewangelia, zawarło się Królestwo Niebieskie. Ponure milczenie, rozpacz głęboka zawisły nad gromadką jego wiernych. Zgnębienie ogarnęło nawet Piotra i Jana. Dokoła nich noc czarna; żaden promień nie jaśnieje już w ich duszach.

Jednakże, jak w Misteriach Eleuzyńskich światło olśniewające następowało po mrokach głębokich; podobnie w Ewangeliach po tej rozpaczliwej otchłannej następuje nagły, chwilowy, cudowny błysk radości. Wybucho on, wpada nagle jak gloria świetlana przy wschodzie słońca, i po całej Judei rozlega się okrzyk, radością wezbrany: Zmartwychwstał!

Pierwsza Maria Magdalena, błakająca się w bezbrzeżnej rozpaczliwej swojej dokoła grobu, ujrzała Mistrza i poznała jego głos, wzywający ją imieniem jej: Mario! Oszałała z radości, rzuca mu się do stóp. Widzi jeszcze, że Jezus kieruje wzrok swój na nią i czyni gest, jak gdyby wzbraniający dotykania go, po czym zjawa znika nagle, pozostawiając dokoła atmosferę ciepła i upojenia, która napędza ją słodką uludą rzeczywistej jego obecności. Po niej widzą Pana święte niewiasty i słyszą słowa jego: „Nie bójcie się; idźcie, oznajmijcie braciom moim, aby poszli do Galilei, tam mię ujrzą“¹⁾. Tegoż wieczora, gdy onych jedenastu zgromadzonych było przy drzwiach zamkniętych, widzą Jezusa wchodzącego. Przystąpiwszy do nich, zajmuje miejsce pośród nich i przemawia do nich słodko, wyrzucając im niedowiarstwo ich. Potem mówi:— „Idąc na wszystkie światy, opowiadajcie Ewangelię wszemu stworzeniu“²⁾.

Rzecz dziwna: podczas kiedy słuchają go, są wszyscy jak gdyby we śnie, zapominają zupełnie o jego śmierci.

¹⁾ Ewang. Ś-go Mateusza XXVIII, 10.

²⁾ Ewang. Ś-go Marka XVI, 15.

myślą, że żyje i przekonani są, że Mistrz nie opuści ich już więcej. Lecz w chwili, kiedy sami przemówić chcą, znika nagle sprzed ich oczu jak światło, które gaśnie. Echo głosu jego drga jeszcze w ich uszach. Olśnieni Apostołowie szukają miejsca jego, pustego już; pozostaje na nim blady brzask jedynie; nagle znika i on.

Podług Mateusza i Marka ukazał się wkrótce potem Jezus na górze pięciuset braciom, zgromadzonym przez Apostołów. Raz jeszcze ukazał się jedenastu zebranych. Potem przestać objawiać się. Lecz wiara była stworzona, impuls dany, Chrystianizm żył. Apostołowie, pełni ognia świętego, uzdrawiali chorych i głosili Ewangelię Mistrza swojego. W trzy lata później młody Faryzeusz, imieniem Saul, dyszący nienawiścią gwałtowną do nowej religii i prześladowający chrześcijan z całym żarem zapalczywości młodocianej, udał się wraz z kilkoma towarzyszami do Damaszku. W drodze olśniła go nagle światłość tak oślepiająca, że padł na ziemię. Drżący cały zawołał: „Ktoś jest Panie?” — I usłyszał głos, mówiący doń: — „Jam jest Jezus, którego ty prześladowasz i trudno jest tobie przeciw ościeniowi wierzgać“¹⁾). Towarzysze Saula, równie jak on wylęknieni, podnoszą go. Słyszeli głos, lecz nie widzieli nic. Młodzieniec, oślepiiony jasnością, po trzech dniach dopiero wzrok odzyskał.

Nawrócił się on na wiarę Chrystusową i stał się Pawłem, Apostołem pogan. Świat cały zgodnie twierdzi, że — bez tego nawrócenia — chrystianizm, ograniczony do Judei, nigdyby Zachodu nie podbił.

Tak opowiada fakty Nowy Testament. Bez względu na wszelkie usiłowania sprowadzenia ich do minimum, bez względu też na ideę filozoficzną i religijną, jaką możemy z nimi wiązać, niepodobna uważać ich za legendę jedynie i odmawiać im wartości autentycznego świadectwa w rzeczy podstawowej. Od dziewiętnastu wieków fale zwątpienia i negacji podmywają skałę tego świadectwa, od stu lat zawzięta się przeciw niej krytyka, uzbrojona we wszystkie swoje narzędzia walki. Udało jej się

¹⁾ Dzieje Apostolskie IX, V.

czynić w niej miejscami wyłomy, lecz z miejsca jej porużyć nie mogła.

Co kryje się poza widzeniami Apostołów? Teologowie pierwotni, egzegeci, wyjaśniający Pismo święte dosłownie i uczeni agnostycy, odrzucający możliwość uzasadnienia istoty boskiej, mogą wieść spory do nieskończoności i walczyć w mrokach po omacku; nie nawrócą się jednak wzajem nigdy i rozumować będą w próżni, dopóki teozofia, będąca nauką Ducha, nie rozszerzy swojej sfery pojęciowej, a wyższa psychologia doświadczalna, będąca sztuką odkrywania duszy, nie otworzy im oczu.

Ze zwykłego wszakże stanowiska sumiennego krytyka, to znaczy ze stanowiska autentyczności faktów tych, jako przejawów duchowych, pozostaje rzecz jedna, o której wątpić nie podobna, mianowicie, że Apostołowie mieli objawienia te i że ich wiara w zmartwychwstanie Chrystusa była niezachwiana. Odrzuciwszy nawet opowiadanie Jana, zredagowane w postaci ostatecznej w sto lat po śmierci Jezusa, oraz Łukasza z Emmausu jako upiększenie poetyckie, pozostają proste, pozytywne stwierdzenia Marka i Mateusza, stanowiące źródło tradycji i religii chrześcijańskiej. Pozostaje nadto coś solidniejszego jeszcze i bardziej niewątpliwego: świadectwo Pawła. Pragnąc wyjaśnić Koryntianom przyczynę swojej wiary oraz podstawę głoszonej Ewangelii, wylicza on sześć objawień się Jezusa w ich porządku kolejnym: Piotrowi, jedenastu, pięciuset, „których większość — dodaje — żyje jeszcze“, Jakubowi, zgromadzonemu Apostołom, i wreszcie własne widzenie na drodze do Damaszku ¹⁾.

Owóz fakty te zakomunikował Pawłowi sam Piotr oraz Jakub w trzy lata po śmierci Jezusa, wkrótce po nawróceniu Pawła, podczas pierwszej jego podróży do Jerozolimy. Opowieść o nich czerpał zatem od świadków naocznych. Wreszcie, najbardziej niezaprzeczalne ze wszystkich tych widzeń nie jest najmniej niezwykłym; mówię tu oczywiście o widzeniu samego Pawła. Wobec poprzedzającego ten fakt stanu duszy Pawła oraz natury jego wizji,

¹⁾ List do Koryntów, XV, 1, 9.

przyjąć należy, iż nie przyszła ona z wewnątrz lecz z zewnątrz, była nagłą i porażającą; przeistoczyła z gruntu całe jego jestestwo. W swoich listach powraca do niej wciąż jako do źródła swojej wiary. Jak chrzest ognia ogarnia go ona całego, od stóp do głowy, przyodziewa go w zbroję nieprzebitą i czyni z niego wobec całego świata niezłomnego rycerza Chrystusowego.

Tak więc świadectwo Pawła podwójną posiada moc, stwierdza bowiem własną jego wizję i potwierdza wizje innych. Gdyby chcieć wątpić o szczerości podobnych stwierdzeń, należałoby odrzucić ryczałtem wszystkie świadectwa historyczne i wyrzec się pisania historii.

Dodajmy nadto, że o ile nie istnieje historia krytyczna bez ścisłego rozważania i rozumowanego doboru wszystkich dokumentów dziejowych, nie ma również historii filozoficznej, która nie wniosłaby z wielkości skutków o wielkości ich przyczyn. Możemy wraz z Celsem, Straussem i Renanem nie przypisywać żadnego znaczenia przedmiotowego zmartwychwstaniu i uważać je jedynie za przejawy halucynacji. W takim razie jednak oprócz musimy najpotężniejszy przewrót religijny, jaki notują dzieje ludzkości na podłożu zboczenia zmysłów i urojeń umysłu ¹⁾).

Owóż pamiętać należy, że wiara w zmartwychwstanie jest podstawą chrystianizmu historycznego. Bez tego potwierdzenia doktryny Jezusowej przez fakt zdumiewający religia jego nie byłaby nawet zaczęła się utrwać.

Fakt ten wywołał przewrót zupełny w duszy Apostołów. Świadomość ich z żydowskiej, jaką była, przeistoczyła się w chrześcijańską. Dla nich Chrystus Przenajświętszy żyje: przemawiał do nich; niebo rozwarło się; zaświaty zstąpiły na ziemię; jutrznia nieśmiertelności opromieniła ich czoła i rozżarzyła w duszach ich ogień, który nie

¹⁾ Strauss powiada: — Fakt zmartwychwstania da się wytłumaczyć jedynie jako figiel kuglarski na użytek historii powszechnej, **ein welthistorischer Humbug**. — Powiedzenie to jest raczej cyniczne niż dowcipne i nie tłumaczy bynajmniej wizji Apostołów i Pawła.

noże już nigdy zagasnąć. Ponad walącym się w gruzy ziemskim królestwem Izraela dane im było oglądać w całej jego świetności Królestwo Niebieskie i powszechne. Stąd zapał ich w walce, stąd radosne ich przyjmowanie męczeństwa. Ze zmartwychwstania Jezusa płynie ów pęd cudowny i owa nadzieja bezgraniczna, które roznoszą Ewangelię po wszystkich krajach i ludach i które sprawiają, że fale jej rozbryzgują się aż po krańce świata. Ażeby chrystianizm mógł utwierdzić się, potrzeba było dwóch rzeczy — jak powiada Fabre d'Olivet: — aby Jezus chciał umrzeć i aby miał siłę zmartwychwstać.

Wszelako, ażeby z faktu zmartwychwstania wyprowadzić ideę racjonalną, ażeby zrozumieć całą jej doniosłość religijną i filozoficzną, wystarczy skupić uwagę na zjawiskach objawień kolejnych i z góry odrzucić niedorzeczną ideę zmartwychwstania ciała, stanowiącą jeden z największych kamieni obrazy dogmatu chrześcijańskiego, który na tym punkcie, jak i na wielu innych, pozostał najzupełniej pierwotnym i dziecinnym. Zniknięcie ciała Jezusowego daje się wytłumaczyć przyczynami naturalnymi, zaznaczyć też należy, że ciała kilku innych adeptów zniknęły również bez śladu i w sposób niemniej tajemniczy, między innymi, ciała: Mojżesza, Pytagorasa i Apoloniusza z Tiany, i nigdy nie dowiedziano się, co się z nimi stało. Możliwe, iż bracia, znani czy nieznan, straż nad nimi sprawujący, zniszczyli ogniem doczesne szczątki swoich mistrzów, celem uchronienia ich od pokalania przez wrogów. Bądź co bądź wszakże, podkład naukowy i wzniosłość duchowa zmartwychwstania ujawniają się w całej pełni wówczas jedynie, jeśli pojmować je będziemy w znaczeniu ezoterycznym.

Przez Egipcjan i przez Persów, wyznających medejską religię Zoroastra¹⁾ przed Jezusem i po nim, w Izraelu, zarówno jak u chrześcijan z pierwszych dwu wieków, interpretowane było zmartwychwstanie dwojako: w sposób materialny — niedorzeczny, oraz w sposób ducho-

¹⁾ Zoroaster — nazwa perskiego Zarathustry, reformatora narodowej religii Iranu i Persji. (Przyp. tłum.).

wy — teozoficzny. Interpretacja pierwsza jest poglądem gminnym, przyjętym ostatecznie przez Kościół po zwalczaniu gnostycyzmu; druga stanowi podstawę głębokiego poglądu wtajemniczonych. W ujęciu pierwszym oznacza zmartwychwstanie powrót do życia ciała materialnego, słowem wskreszenie trupa rozłożonego czy rozproszonego, które — jak sobie wyobrażano — miało nastąpić wraz z przyjściem Mesjasza lub na Sądzie ostatecznym. Zbyteczne byłoby chyba podkreślanie grubego materializmu i niedorzeczności podobnego ujmowania sprawy. Zgoła odmienne znaczenie miało zmartwychwstanie dla wtajemniczonego. Pozostawało ono w związku z doktryną troistego ustroju człowieka. Oznaczało ono: oczyszczenie i odrodzenie ciała duchowego, eterycznego i fluidowego, będącego właściwym organizmem duszy, rodzajem otoczki ducha. Oczyszczenie to nastąpić może już za życia ziemskiego przez wewnętrzną pracę duszy oraz przez pewien określony sposób bytowania; dla większości ludzi spełnia się ono wszelako po śmierci dopiero i to dla tych jedynie, których życie całe było, w ten czy inny sposób, dążeniem ku dobru i prawdzie. Obłuda w życiu pozaziemskim jest niemożliwa. Dusze okazują się tam takimi, jakimi są w rzeczywistości; objawiają się one ściśle w kształcie i barwie właściwej istoty swojej: mroczne i potworne, jeśli są złymi; promienne i piękne, o ile są dobrymi. Tak brzmi doktryna, ułożona przez Pawła w pierwszym liście do Koryntian. Mówi on tam: „Nie każde ciało, toż ciało... które duchowe jest, a które cielesne“...¹⁾). Jezus wyraża to symbolicznie, z większą wszakże głębią dla tego, który umie czytać między wierszami, w rozmowie swojej z Nikodemem: „Co się narodziło z ciała — ciałem jest, a co narodziło się z Ducha, duchem jest“...²⁾).

Owóz im bardziej uduchowioną będzie dusza, im bardziej oddali się ona od atmosfery ziemskiej, im odleglejsza sfera kosmiczna przyciągnie ją mocą prawa powi-

¹⁾ List I. Św. Pawła do Koryntian, XV, 39, 46.

²⁾ Ewang. św. Jana III, 6.

nowactwa duchowego — tym trudniejsze będzie jej objawienie się ludziom. Dlatego też dusze wyższe objawiają się ludziom tylko w stanie snu głębokiego lub w stanie ekstazy. W stanie takim oczy fizyczne zamknięte są, zaś dusza, napół wyzwolona z ciała, widzi czasem dusze. Zdarza się wszelako, że bardzo wielki prorok, prawdziwy syn Boży, objawia się braciom swoim w sposób wyraźny i w stanie jawy, ażeby bardziej ich przekonać, działając na zmysły ich i ich wyobrażenie. W takim wypadku dusza odcieleśniona nadaje chwilowo duchowemu ciału swojemu postać widomą, czasem nawet dotykalmą, drogą szczególnego dynamizmu, jaki wywiera na materię za pośrednictwem elektrycznych sił atmosfery oraz magnetycznych sił ciał żyjących.

Tak się też wedle wszelkiego prawdopodobieństwa stało z Jezusem. Objawienia, o których mówi Nowy Testament, wchodzą kolejno w zakres jednej i drugiej kategorii: widzeń duchowych i zjaw dotykalnych. Nie ulega wątpliwości, że dla Apostołów miały one charakter najwyższej rzeczywistości. Raczej zwątpić mogliby o istnieniu nieba i ziemi, aniżeli o tym żywym obcowaniu swoim ze zmartwychwstałym Chrystusem. Wzruszające te widzenia Pana były najpromienniejszymi momentami ich życia, najgłębszym przejawem ich świadomości. W naturze nie ma nic nadprzyrodzonego, istnieje tylko nieznanne, jego tajemna ciągłość w nieskończoności oraz błyski niewidzialnego na krańcach granic widzialnego. W obecnym naszym stanie cielesnym z trudnością przychodzi nam wierzyć w rzeczywistość zjawisk nadzmysłowych, a nawet trudno nam wyobrazić je sobie; w stanie duchowym materia raczej wydawałaby się nam nierzeczywistą i nieistniejącą. Duch wszakże jest syntezą duszy i materii, tych dwu postaci substancji pierwotnej. O ile bowiem sięgniemy do zasad wiekuistych, do przyczyn ostatecznych, przekonamy się że dynamizm natury wyjaśnić się daje na podstawie wrodzonych praw intelektu, zaś prawo życia wyjaśnia badanie duszy drogą psychologii doświadczalnej.

Zmartwychwstanie, pojęte w znaczeniu ezoterycz-

nym, takim, jakie wskazałem powyżej, było więc zaraz koniecznym uzupełnieniem życia Chrystusa oraz nieodzownym wstępem do dziejowego rozwoju chrystianizmu, uzupełnieniem koniecznym, bowiem zapowiadał je Jezus wielokrotnie uczniom swoim. Władzę objawiania się im po śmierci w glorii zwycięskiej zawdzięczał czystości i wrodzonej mocy duszy swojej, spotęgowanej stokrotnie wielkością wysiłku i dokonanego dzieła.

Dramat mesjaniczny, rozpatrywany od strony zewnętrznej ze stanowiska ziemskiego, kończy się na krzyżu. Jakkolwiek wzniosły jest on sam przez się, brak mu wszakże spełnienia zapowiedzi. Rozważany od strony wewnętrznej, z głębi własnej świadomości Jezusa i z punktu widzenia niebiańskiego, ma on trzy akty, których punkty kulminacyjne stanowią: **Kuszenie, Przemienienie i Zmartwychwstanie**. Trzy te fazy wyobrażają inaczej mówiąc: **Wtajemniczenie Chrystusa, Wyjawienie zupełne i Uwieńczenie dzieła**. Odpowiadają one dość wiernie temu, co Apostołowie i wtajemniczeni chrześcijanie pierwszych wieków nazywali: **tajnikami Syna, Ojca i Ducha Świętego**.

Uzupełnienie konieczne, powiedziałem, życia Chrystusa i wstęp nieodzowny do dziejowego rozwoju chrystianizmu. Statek, zbudowany na wybrzeżu, musiał być spuszczonej na fale Oceanu. Zmartwychwstanie było nadto otwarciem wrót świetlnych na ukrytą głębię słów Jezusa. Nie powinno też dziwić nas, że jarzące ich światło, którego snopy wpadły tak nagle, tak dalece olśniło i niemal oślepiło pierwszych chrześcijan, iż często brali oni naukę Mistrza dosłownie, zapoznając właściwe jej znaczenie.

Dzisiaj, kiedy umysł ludzki przeżył długie okresy wieków religii i nauk, odgadujemy, co taki święty Paweł, święty Jan, co sam Jezus rozumiał przez tajniki Ojca i Ducha. Widzimy, że mieściło się w nich to, co znajomość duszy oraz intuicja teozoficzna Wschodu posiadały najwznioślejszego i najprawdziwszego. Podziwiać też możemy całą potęgę nowej ekspansji, jaką nadał Chrystus odwiecznej prawdzie wiekuistej ogromem miłości swojej

i energią swojej woli. Dostrzegamy wreszcie zarazem metafizyczną i praktyczną stronę chrystianizmu, stanowiącą jego potęgę i jego żywotność.

Starożytnej teozofii azjatyckiej znane były prawdy duchowe. Brahmanowie odnaleźli nawet klucz do rozwiązania zagadki uprzedniego i przyszłego życia w sformułowaniu organicznego prawa wcieleń ponownych i kolejności żywotów. Tak niepodzielnie wszakże pochłonęły myśl ich zaświaty oraz kontemplacja Wieczności, że zapomnieli o rzeczywistości ziemskiej: o życiu jednostki i życiu społecznym.

Grecja, wtajemniczana pierwotnie w te same prawdy, w postaci bardziej przysłoniętej i bardziej antropomorficznej, wiedziona właściwym sobie geniuszem, skupiła całą myśl swoją na życiu ziemskim i życiu natury. Umożliwiło jej to ujawnienie, drogą przykładu plastycznego, nieśmiertelnych praw Piękna i sformułowanie podstaw nauk ścisłych. Wszelako to stanowisko ideowe zacieśniło i przyćmiło stopniowo jej pojęcie o świecie pozaziemskim.

Jezus szerokością poglądów swoich, obejmujących wszechświaty, ogarnia obie strony życia. W modlitwie Pańskiej, streszczającej całą jego naturę, mówi on: „Przyjdź Królestwo Twoje na **ziemi** jako i w **niebie**“. Owóż Królestwo Boże na ziemi oznacza urzeczywistnienie prawa moralnego i społecznego w całym przepychu, w całym blasku Piękna, Dobra i Prawdy. Cały też czar jego doktryny, potężna, nieograniczona nieledwie zdolność rozwoju tkwią w ścisłym zespoleniu jego moralności z jego metafizyką, w płomiennej jego wierze w życie wiekuiste oraz w dążeniu jego do rozpoczęcia go już na ziemi pełnieniem aktów czynnego miłosierdzia. Chrystus mówi do duszy zgnębionej i przytłoczonej ciężarem trosk ziemskich:

— Wznies się, bowiem ojczyzną twoją jest niebo; aby jednak uwierzyć w nie i dostać się doń, doświadcz go już na ziemi dziełem twoim i twoją miłością!

VII

OBIETNICA I URZECZYWISTNIENIE — ŚWIĄTYNIA

— W trzy dni ją obalę i w trzy dni znów ją wzniosę!— powiedział do uczniów swoich syn Marii, Esseńczyk, wyświęcony ¹⁾ na Syna Człowieczego, to znaczy duchowy spadkobierca Słowa Mojżeszowego, Hermesowego i wszystkich dawnych Synów Bożych. Czy ziścił on tę zapowiedź światła, to słowo wtajemniczonego i twórcy? Tak, o ile weźmiemy pod uwagę skutki, jakie miała dla ludzkości nauka Chrystusa, przypieczętowana jego śmiercią i jego zmartwychwstaniem duchowym, a nadto wszystkie inne wyniki, jakie zawiera zapowiedź jego na przyszłość nieograniczoną. Słowo jego i jego ofiara założyły podwaliny pod gmach świątyni niewidzialnej, mocniejszej i trwalszej od wszelkich świątyni z kamienia; ciągłość jej wszakże i wykończenie ostateczne zależne są od udziału w pracy dokoła niej każdej jednostki ludzkiej i całych wieków.

Jakaż to świątynia? — Jest nią ludzkość odrodzona. Świątynia moralna, społeczna i duchowa.

Świątynią moralną jest odrodzenie duszy człowieczej, przeistoczenie osobników na modłę ideału ludzkiego, podanego ludzkości, jako wzór szczytny w osobie Jezusa. Cudowna harmonia i pełnia cnót jego utrudniają określenie jego istoty. Rozum zrównoważony, niepojęta intu-

¹⁾ Chrystus — po grecku „Pomazaniec”. (Przyp. tłum.).

cja, miłość, znajdująca ujście w samozaparciu się, odwaga w obliczu śmierci — niczego mu nie brakło. W każdej kropli jego krwi tyle było duszy, że wystarczyło jej na uczynienie z niego bohatera; a przy tym jaka słodycz boska! Zespół głęboki bohaterstwa i miłości, woli i rozumu, pierwiastka Wiekuiście Męskiego i Wiekuiście Zeńskiego — czyni z niego wykwit najwyższy ideału ludzkiego. Cała jego moralność, której ostatnim wyrazem jest miłość braterska bez granic i związek powszechny całej ludzkości — jest naturalnym wpływem tej wielkiej osobowości.

Praca dziewiętnastu wieków, jakie upłynęły od jego śmierci, dała w wyniku przeniknięcie ideału tego do świadomości powszechnej. Nie ma bowiem już człowieka w świecie cywilizowanym, który nie posiadałby mniej lub więcej jasnego o nim pojęcia.

Jakkolwiek więc gmach świątyni moralnej, do jakiej wzniesienia dążył Chrystus, nie jest jeszcze ukończony, śmiało rzec można, iż założone są już niezniszczalne jego podwaliny w głębi świadomości świata współczesnego.

Inaczej rzecz się ma ze świątynią społeczną. Wymaga ona utwierdzenia królestwa Bożego czyli prawa opatrnościowego w podstawowych urządzeniach społecznych. Budowa gmachu tego jest całkowicie jeszcze sprawą przyszłości. Albowiem ludzkość żyje wciąż jeszcze w stanie walki, podporządkowana prawu siły i losu. Prawo Chrystusowe, które rozciągnęło już panowanie swoje nad świadomością moralną, nie przeniknęło jeszcze w krew i ciało urządzeń społecznych.

W książce tej, poświęconej wyłącznie rzuceniu światła na zagadnienie filozoficzne i religijne w samym jego ośrodku, na podstawie kilku zasadniczych prawd ezoterycznych oraz życia wielkich wtajemniczonych, dotykam nawiasem tylko spraw ustroju społecznego i moralnego. Nie będę też zajmował się nimi w jej zakończeniu. Na zbyt są one rozległe i powikłane i zbyt mało czuję się powołanym i przygotowanym do ich rozstrzygnięcia, ażebym próbował lub chciał określić je w kilku wierszach. Powiem też tyle tylko: Walka socjalna dokonywa się

w zasadzie we wszystkich krajach europejskich, nie ma bowiem praw ekonomicznych, socjalnych i religijnych, które przyjęte byłyby i uznane przez wszystkie klasy i warstwy społeczne. Tak samo też nie przestały narody europejskie żyć wzajem na otwartej stopie wojny lub w stanie zbrojnego pokoju, nie łączy ich bowiem żaden związek federacyjny. Ich interesy, ich dążności wspólne nie znajdują obrony ani sankcji w powadze żadnego, uznanego przez wszystkich, trybunału najwyższego¹⁾. Mimo że prawo Chrystusowe przeniknęło do świadomości jednostek, a nawet w pewnej mierze do życia społecznego, wszalako ustrojem naszych instytucji politycznych rządzi wciąż jeszcze prawo pogańskie i barbarzyńskie. W chwili obecnej władza polityczna oparta jest wszędzie na podstawach niewystarczalnych. Z jednej strony bowiem wyłania się ona z rzekomego prawa boskiego królów, które nie jest niczym innym, jak tylko potęgą militarną; z drugiej zaś — na powszechnym prawie wyborczym, które jest jedynie instynktem mas, zatem rozumem zbiorowym, nie opartym na prawie doboru. Naród nie jest sumą wartości jednakowych czy szeregiem dodanych do siebie cyfr. Jest on żywym organizmem, składającym się z narządów. Dopóki przedstawicielstwo narodowe nie będzie odzwierciedleniem tego organizmu, zaczawszy od jego ciał rękodzielniczych i skończywszy na ciałach kierowniczych oświecających — nie będzie mogło być mowy o przedstawicielstwie organicznym i rozumnym. Dopóki delegaci wszystkich ciał naukowych i wszystkich kościołów chrześcijańskich nie utworzą popołu Rady Najwyższej, dopóty społecznościami naszymi będzie rządził instynkt, żądza i siła; nie będzie też świątyni socjalnej.

Czym się więc dzieje, że ponad Kościołem zbyt cia-

¹⁾ Przekład niniejszy dokonany został z 51-go. ogłoszonego drukiem w 1919 r., wydania dzieła Schure'go. Ostatnie trzy lata pomimo prac Ligi Narodów i Konferencji Genewskiej, nie uczyniły uwag autora mniej aktualnymi. (Przyp tłum.).

snym, aby zmieścić w sobie całego Chrystusa, ponad polityką, wypierającą się go i Nauką, która rozumie go dopiero w połowie, żyje on w duszach ludzkich bardziej niż kiedykolwiek? Tym, że wzniosła moralność jego jest uwieńczeniem nauki jeszcze wznioślejszej. Bowiern ludzkość zaczyna dopiero przeczuwać doniosłość dzieła jego, cały ogrom jego zapowiedzi. Bowiern po za nim dostrzegamy, obok Mojżesza i po za nim, całą starożytną teozofię indyjską, egipską i grecką, której jest on olśniewającym stwierdzeniem. Rozumieć zaczynamy, że Jezus u szczytu swojego uświadomienia, że przemieniony Chrystus z góry Thabor wyciąga miłośnię ramiona ku braciom swoim, ku innym Mesjaszom, którzy poprzedzali go, jak on — promienie słowa żywego; że otwiera je szeroko Wiedzy całkowitej, Sztuce boskiej i Życiu pełnemu. Zapowiedź jego wszelako nie może spełnić się bez współudziału wszystkich żywych sił ludzkości. Dwie rzeczy zasadnicze konieczne są dzisiaj do prowadzenia w dalszym ciągu wielkiego jego dzieła: z jednej strony otwarcie przejawom natury psychicznej, pierwiastkom intelektualnym i prawdom duchowym dostępu coraz szerszego do przybytku wiedzy doświadczalnej i filozofii intuicyjnej, z drugiej zaś — rozszerzenie dogmatu chrześcijańskiego w znaczeniu tradycji i nauki ezoterycznej, i co za tym idzie, przekształcenie Kościoła na modłę wtajemniczenia stopniowego, a to na zasadzie nietamowanego, więc tym bardziej niepokonanego, pędu wszystkich Kościołów chrześcijańskich, które wszystkie są jednakowo i z jednakowego tytułu dziećmi Chrystusa. Nauka musi się stać religijną, a religia — naukową. Podwójna ta ewolucja, której pierwsze kroki już są zapoczątkowane, doprowadziłaby z konieczności w wyniku ostatecznym do pojednania Wiedzy i Religii na gruncie ezoterycznym. Dzieło to napotyka zrazu wielkie trudności na swojej drodze, pamiętać wszakże należy, że przyszłość społeczności europejskiej od niego zawisła. Przekształcenie Chrystianizmu w sensie ezoterycznym pociągnęłoby za sobą przekształcenie Judaizmu i Islamizmu, a także odrodzenie Brama-

nizmu i Buddyzmu w tym samym duchu; dałoby więc podstawę religijną pojednaniu Azji z Europą.

Oto świątynia duchowa, której budowa jest zadaniem ludzkości; oto uwieńczenie dzieła, poczętego intuicyjnie przez Jezusa, i świadomie przez niego urzeczywistnianego. Czy może jego słowo miłości utworzyć łańcuch magnetyczny nauk i sztuk, religii i narodów i stać się w ten sposób słowem powszechnym?

Dzisiaj jest Chrystus władcą kuli ziemskiej za pośrednictwem dwu najmłodszych i najsilniejszych, pełnych jeszcze wiary, ras ludzkich. Poprzez Rosję wkracza on już do Azji, przez rasę anglo-saską zawładnął on Światem Nowym. Europa starsza jest od Ameryki, lecz młodsza od Azji. Ci, którzy sądzą, że skazana ona jest na upadek nieunikniony, niesłusznie ją oczerniają. Jeśli jednak ludy jej w dalszym ciągu pożerać się będą wzajem zamiast sfederalizowania się pod kierunkiem i za podniętą jedynej władzy prawowitej: autorytetu naukowego i religijnego — cywilizacji jej grozi zagłada, którą spowodują przede wszystkim przewroty socjalne, a potem najście ras młodszych. Te z kolei uchwycą w swe dłonie pochodnię, którą ona tak niebacznie z rąk swoich wypuściła.

Europa ma wszakże zadanie piękniejsze do spełnienia. Rolą jej być winno utrzymanie kierownictwa światem przez dokończenie społecznego dzieła Chrystusa, sformułowanie całkowitej myśli jego, uwieńczenie Wiedzą, Sztuką i Sprawiedliwością budowy świątyni duchowej największego z Synów Bożych.

KONIEC

Wojewódzka
Biblioteka
Publiczna
w
Poznaniu

SPIS RZECZY

WSTĘP

Pamięci Margherity Albana Mignaty	str. 9
O doktrynie ezoterycznej czyli nauce dla wtajemniczonych	11—27

KSIEGA PIERWSZA

Rama — Cykl aryjski

I. Rasy ludzkie i początek religii. II. Posłannictwo Ramy. III. Wyjście i podbój. IV. Testament wielkiego przodka. V. Religia wedyjska	31—68
----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	-------

KSIEGA DRUGA

Kryszna — Indie i wtajemniczenie braminów

Przypisek tłumaczki	70
I. Indie bohaterskie. — Synowie słońca i synowie księżycy. II. Król Madury. III. Dziewica Dewaki. IV. Młodość Kryszny. V. Wtajemniczenie. VI. Dokryna wtajemniczonych. VII. Zwycięstwo i śmierć. VIII. Promieniowanie doktryny słonecznej	73—124

KSIEGA TRZECIA

Hermes — Tajemnice Egiptu

I. Sfinks. II. Hermes. III. Izyda — Wtajemniczenie — Próby. IV. Ozyrys — Śmierć i zmartwychwstanie. V. Widzenie Hermesa	127—163
-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	---------

KSIEGA CZWARTA

Mojżesz — Posłannictwo Izraela

I. Tradycja jednobóstwa i patriarchowie pustyni. II. Wtajemniczenie Mojżesza w Egipcie—Ucieczka jego do Jetry. III. Sefer Bereszyt. IV. Widzenie na górze Synaj. V. Exodus — Pustynia—Magia i sztuka wywoływania duchów — Teurgia. VI. Śmierć Mojżesza.	167—219
---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	---------

Orfeusz — Misteria Dionizosa.

- I. Grecja przedhistoryczna. — Bachantki — Ukazanie się Orfeusza. II. Świątynia Jupitera. III. Uroczystości Djonizyjskie w dolinie Tempe. IV. Wywoływanie duchów. V. Śmierć Orfeusza 223—252

KSIEGA SZÓSTA

Pytagoras — Misteria delfickie.

- I. Grecja w szóstym wieku. II. Lata wędrówki. III. Świątynia w Delfach — Nauka Apollinińska — Teoria wieszczbiarstwa — Pytia Teoklea. IV. Zakon i Doktryna: Próba, Stopień pierwszy.—Przygotowanie, Nowiejął i Życie Pytagorejskie: Drugi stopień — Oczyszczenie, Liezby, Teogonia. Trzeci stopień doskonałości; Kosmogonia i psychologia — Ewolucja duszy. Stopień czwarty — Epifania. Adept — Kobieta wtajemniczona — Miłość i małżeństwo. V. Rodzina Pytagorasa — Szkoła i jej losy 265—379

KSIEGA SIÓDMA

Platon — Misteria Eleuzyńskie

- Wstęp I. Miłość Platona i Śmierć Sokratesa. II. Wtajemniczenie Platona i jego filozofia. III. Misteria Eleuzyńskie 383—419

KSIEGA ÓSMA

Jezus — Posłannictwo Chrystusowe.

- Przypisek o studiach krytycznych nad życiem Jezusa. I. Stan świata przy narodzinach Jezusa. II. Maria — Pierwsze lata rozwoju Jezusa. III. Eśnieńczycy — Jan Chrzciciel — Pokusa. IV. Życie publiczne Jezusa — Nauczanie ludowe i nauczanie ezoteryczne — Cuda — Apostołowie — Niewiasty. V. Walka z Faryzeuszami — Ucieczka do Cezarei — Przemienienie. VI. Ostatnia podróż do Jerozolimy — Wieczera — Sąd — Śmierć i Zmartwychwstanie. VIII. Spełnienie zapowiedzi — Świątynia 422—524

E R R A T A

Str.	Wiersz;	Zamiast:	Powinno być;
21	11 od góry	narzędzi	narządów
35	1 „ „	kryć	korzyć
43	12 od dołu	są jej odbiciem	są słabym zaledwie jej odbiciem
91	9 „ „	móglby	mogłaby
101	10 od góry	twoją duszą	moją duszę
132	14 „ „	swoją kategorią	swoją, z kategorią
133	1 od dołu	poznać	poznawać
134	3 od góry	posiadał	posiadał
137	15 od dołu	którego	których
137	13 od góry	przyszłości	przeszłości
147	9 od dołu	Horuso	Horus
151	6 od dołu		
	(w przyp.)	w niej ma studnię	w niej można studnię
158	1 od góry	wypromieniowują	wypromieniowują ją
159	5 od dołu		
	(w przyp.)	Chcybi	Checybi
159	4 od dołu		
	(w przyp.)	Kon	Kou
161	14 od dołu	sławiących Akhima-Seku	sławetnych Akhimu - Seków
168	18 od dołu	jednostki były głębokie, ale znacznie mniej czyste, mniej wzniosłe i mniej owocne	jednostki, brak zasad religijnych, nieokreślona ambicja cechowały następców Ninusa i Semiramidy Wiedza kapłanów chaldejskich była głęboka, ale znacznie mniej czysta, mniej wzniosła i mniej owocna
170	19 od dołu	dogmat	dogmatu
172	1 od góry	Niniura, kolosalnymi	Niniwa z kolosalnymi
174	1 od dołu	Moabit	Moabu
179	18 od góry	powąchać, widząc	pouąchać, a widząc
195	6 od góry	Nawróćmy	Powróćmy
214	3 i 5 od dołu		
	(w przyp.)	Foreańczycy	Foceañczycy
237	10 od góry	rzekł-synu	rzekł uczeń-synu
247	12 od dołu	sutych	suchych